

ARCHIWUM HISTORICZNE

II/1052

Antoni Ekert
/Henryk EIGER/

ZIEMIA KAINA
ZAPISKI ŁAGIERNIKA
1939 - 1947

W O R S Z A W A - 1990

w y d a n i a :

- 1 - Direkt Från Ryssland**
Albert Bonniers Förlag - Stockholm 1948
- 2 - Échappé de Russie**
Librairie Hachette - Paris 1949
- 3 - Vanished Without Trace**
Max Parrish - Londyn 1954

Retranslacja wydania angielskiego:
Zbigniew Mellon

Przedmowa do I wydania

Książka ta jest relacją, na którą składają się wyłącznie moje osobiste doświadczenia i obserwacje. Staran się w niej również przedstawić wiernie i dokładnie, na ile to możliwe oczywiście - wszystkie rozmowy jakie przeprowadziłem w tych niecodziennych okolicznościach, chociaż wiele rozmów, z jedną i tą samą osobą, przedstawiam nieraz jako jedną opowieść. Jedynym odstępstwem od absolutnej prawdy jest też, że w wielu przypadkach zmieniłem imiona i nazwiska pewnych osób o których piszę, a także okoliczności w jakich te rozmowy lub spotkania miały miejsce. A uczyniłem to mając jedynie na względzie osobiste bezpieczeństwo tych osób. Wiem bowiem doskonale, że NKWD ma bardzo długie ręce.

Nigdy nie miałem, ani też nadal nie mam, zamiaru występować w roli sędziego bądź oskarżyciela, przedstawiam jedynie wydarzenia jako naoczny świadek, który przed trybunałem opinii publicznej zeznaje prawdę, samą prawdę i tylko prawdę.

Muszę tu także dodać pewne uzupełnienie: otóż już po napisaniu tej książki dotarła do mnie wiadomość, że doktor Berger zmarł w obozie w Kotłas. Czuję się zobowiązany, by w tym miejscu w imieniu własnym oraz w imieniu wielu innych więźniów tego obozu wyrazić głęboką wdzięczność człowiekowi, który jako obozowy lekarz ocalił setki ludzi od niechybnej śmierci. W warunkach łagiernych, gdzie szansa na jeden dzień odpoczynku w miarę ludzkich warunkach, albo jedna dodatkowa łyżka strawy mogła zdecydować o czasie życia lub śmierci - działał szybko, zdecydowanie i dykretnie a ryzykując własnym życiem starał się ocalić tylu więźniów, ile tylko mógł.

Dzisiaj jednak jak nigdy dotąd przekonamy jesteście, że zawdzięczamy Mu wiele więcej, coś znacznie bardziej zasadniczego. Brutalność życia obozowego, niekończąca się propaganda, wciśkana nam przez miesiące i lata, stała presja moralna znużająca ludzi do kompromisów a niekiedy nawet do akceptacji

zasad sowieckiej etyki i sowieckiego sposobu życia. Innych, ale nie doktora Bergera. On nigdy, ani na cal nie odstąpił od raz przyjętych zasad. Był nękany przez choroby, otoczony przez kapusiów i donosicieli lecz nigdy nie złamał zasad, które raz uznał za nadrzędne.

Na zawsze pozostał w mojej pamięci incydent, jaki wydarzył się w naszej izdebce. Dr Berger leżał na swojej pryczy ciężko już chory. Byliśmy w trakcie naszych stałych, niekończących się i oczywiście nielegalnych dyskusji politycznych. Był z nami też ktoś trzeci, pewien doktor filozofii. Starał się nas przekonać, że roboty przymusowe są nieodzowne dla istnienia państwa i że z tego powodu należy uznać je jako zło wprowadzone, ale zło konieczne. Ta oczywista negacja praw członkowską doprowadziła doktora Bergera do furii. Zerwał się z pryczy, chwycił filozofa za kołnierz i wypchnął go z pokoju.

Książkę tę poświęcam więc pamięci Człowieka, który sam nigdy się nie załamał i nam nie pozwolił na załamanie.

Autor

Rozdział I

PIERWSZE SPOTKANIE

Wydarzenia związane z wrześniem 1939 roku ~~...~~ czas zatarł już w mojej pamięci. Oczywiście doskonale pamiętam poszczególne epizody: pierwszy niemiecki nalot bombowy na miasteczko, w którym byłem zatrudniony przy budowie fabryki, a który wziąłem za rutynowe odstrzały w pobliskich kamieniołomach. Rozkaz ewakuacji. Samoloty bezkarnie bombardujące i ostrzeliwujące drogi wypełnione uchodźcami. Determinację, z jaką ludność Warszawy przygotowywała obronę swojego miasta. A potem apel radiowy pułkownika Umiastowskiego, nakazujący ewakuację na wchód wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni.

Wydawało się to nawet logiczne: od wchodu, bezpieczeństwo zapewniał ~~...~~ pakt o nieagresji, na długo przed wojną zawarty między Polską a ZSSR. Ewakuacja więc otwierała możliwości przeniesienia w takie regiony produkcji koniecznej dla prowadzenia wojny, zorganizowania drugiej linii obrony itp. W każdym razie, takie było podówczas powszechne przekonanie.

Znowu więc, wraz z żoną, jechaliśmy samochodem przez zatłoczone, pełne uchodźców drogi, nękani nalotami i ostrzeliwaniami z powietrza, mijając zniszczone wsie i miasteczka.

Szesnastego września skończyła się nam benzyna, zorganizowaliśmy sobie nocleg w stodole w niewielkiej miejscowości Koczyńce /?/ jakieś trzydzieści kilka kilometrów od granicy sowieckiej. Miasteczko zatłoczone było takimi jak my uchodźcami z zachodniej Polski, wśród których większość stanowili kobiety i dzieci. Wieczór był ciepły i pogodny. Lwów ciągle się bronił, a generał Sosnkowski podobno zmusił do odwrotu niemieckie dywizje pancerne nacierające na Przemyśl. W każdym razie tak głosiły komunikaty, więc starając się zachować optymizm i nadzieję zasnąłiliśmy spokojnie w stodole na sianie.

Z samego rana obudził mnie czyjś głośny krzyk: - "Bolszewickie czołgi w mieście! Wydawało się to w najwyższym stopniu nieprawdopodobieństwem. Zerwany ze snu, wybiegłem ze stodoły i ruszyłem w kierunku ryneczka przed kościołem, który był centralnym punktem miasta. Sięgnąc, ^{WAWET} jeszcze przez myśl ^{mi} nie przeszło, że zdążę na spotkanie z obcą, nieznaną i niemiłą cywilizacją.

Kozłar okazał się rzeczywistością. Na placu stały czołgi z czerwonymi gwiazdami na wieżycach działowych. Z jednego wychylał się brudny i zaróżniony kierowca, spokojnie palący papierosa. W cieniu drugiego rozłożył się oficer Czerwonej Armii i leniwie przyglądał się ludziom zgromadzonym przed kościołem, zapewne czekając na rozkazy. Nad drogę ciągnącą się wzdłuż linii horyzontu wznosiły się tumany kurzu i po chwili mogłem odróżnić: 5, 10, 20, całą masę czołgów ciągnących na zachód. "Finis Poloniae" - pomyślałem.

Rozpoczęły się teraz dni zupełnego chaosu i załamania. Niekończące się kolumny maszerującej dniami i nocami sowieckiej piechoty, tłumy uchodźców błąkające się we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu szansy na przetrwanie. Przyglądałem się żołnierzom o stężonych ze zmęczenia, nic nie wyrażających twarzach, nieruchomych oczach i rysach w większości szjettyckich, przyglądałem się kolumnom czołgów, artylerii, ciężarówek i zwykłych konskich zaprzęgów ciągnących przez galicyjskie miasto i wzbierała we mnie bezsilna rozpacz.

^{Po kilku dniach} Dotarliśmy wreszcie do Lwowa. Znowu ten sam chaos i nieopieczony bałagan. Tu pierwszy raz zobaczyłem zwykłych cywilnych obywateli sowieckich. Wyróżniali się w tłumie na lwowskiej ulicy od razu, od pierwszego rzutu oka. Czy? Nie wiem dzisiaj powiedzieć. Ale odróżniło się ich bezbłędnie. A poza tym cechowała ich pasja kupowania. Dzika, nieokiełzana pasja. Kupowania wszystkiego co tylko wpadło w rękę, co było do kupienia. Wszystkiego, rzeczy najbardziej bezużytecznych.

W październiku wczesnie zaczęły się chłody, sowieci zaś rozpoczęli swoją farsę z plebiscytem: "czy chcesz, aby obszar w którym zamieszkujesz został przyłączony do Związku Radzieckiego?". Oczywiście nikt wówczas nie brał tego ś serio. Ale gazety wkrótce ogłosiły, że wszyscy mieszkańcy dawnej wschod-

niej Polaki jednogłośnie i z entuzjazmem nie pragnę niczego innego, jak tylko przyłączyć się do ZSRR i to jak najrychlej. Śmieliśmy się z tego, no bo jakże? Wojna dopiero się rozpoczęła a ci już uważają się za zwycięzców. A poza tym ... taki bałagan, zdziwienie i nieudolność, czy miały szansę się utrzymać? Nie wydawało się to prawdopodobne.

Stopniowo jednak, w miarę upływu czasu, zaczynało się coraz mniej rozmawiać o sprawach dotyczących polityki. Jedzenie, ubranie, opał, możliwości przetrwania zaczęły zajmować w naszym życiu coraz więcej miejsca i wkrótce zdominowały nas zupełnie.

Zaczęli też znikać ludzie. Ot, wyszedł ktoś rano po papierosy albo na miasto i nigdy więcej nie wrócił. Najbliżsi zaginionych rozpoczęli gorączkowe poszukiwanie, przeszli w rozpaczy i nic. Wszystkie starania kończyły się fiaskiem. Kamień w wodę. Władza sowiecka bezradnie rozkładała ręce: "Nas, nic nie wiadomo". Zaginięcia nabierały szczególnie alarmujących rozmiarów zwłaszcza wśród ludzi wykształconych, urzędników państwowych, przemysłowców. W tym samym czasie wielu znanych członków partii komunistycznej i sympatyków komunizmu zaczęło zajmować uprzywilejowane stanowiska. W mieście zaś mówiło się, że to one właśnie przygotowują listy ludzi przeznaczonych do aresztowania.

Po wielu deliberacjach, oboje z żoną postanowiliśmy spróbować przedostać się na Węgry.

W dniu poprzedzającym naszą wyprawę, rozeszła się wiadomość, że na bocznicę kolejowej, przetrzymywanych jest kilkanaście wagonów towarowych, odizolowanych i pozostających pod silną strażą, które od kilku dni nie są otwierane i dochodzą z nich rozpaczliwe krzyki i wołanie o pomoc. Plotka zaś głosiła, że wypełnione są właśnie takimi, którzy spróbowali ucieczki na Węgry.

Mimo pilnujących żołnierzy, kilku dąbalnym i sprytnym chłopcom z miasta udało się któreś nocy zbliżyć na tyle do wagonów aby uzyskać dokładniejsze informacje, a nawet podjąć grypsy pisane do rodzin na skrawkach papieru i wyrzucane

z wagonów. Plotka więc przestała być plotką a okazała się prawdą, nie pozostawiającą żadnych wątpliwości.

Zdecydowaliśmy się porzucić węgierskie plany i spróbować przedostawać się przez - jak mówiono - słabiej strzeżoną granicę północną. Na Litwę. W Wilnie, teraz włączonym do Litwy, nieszkął zresztą jeden z moich wujów, który był asystentem na Uniwersytecie im. Stefana Batoroego i mógł okazać się w naszych planach bardzo pomocny. A co najważniejsze, powszechnie mówiono, że na Litwie panują nadal normalne, stare, przedwojenne obyczaje i cywilizowane stosunki.

W pierwszym rzędzie jednak trzeba było postarać się o uzyskanie specjalnej przepustki do Lidy, miasta położonego najbliższej litewskiej granicy, co wcale nie było sprawą ani łatwą ani prostą. Na szczęście ciągle jeszcze mieliśmy trochę kosztowności, kilka złotych monet, biżuterię mojej żony, no i nasze zegarki. Mając tedy nadzieję na rychłe wyrwanie się spod władzy terroru, bezprawia i bałaganu - sprzedaliśmy część naszych kosztowności.

Tymczasem niemal z dnia na dzień wszystko wokół domy, sklepy, ulice, całe otoczenie stawało się coraz biedniejsze, brudniejsze i coraz bardziej zaniedbane. Roztopiały się i przechodziły w nicoté wszelkie ślady dawnego porządku społecznego. Wszystko nagle zszarzało i zbiedniało. Mój elegancki, letni garnitur, brązowe półbuty i angielskie Burberry zaczęły na ulicy zwracać uwagę. Przestałem nosić krawat, a żona zamiast kapeluszy zaczęła sowiecką modę, wiązać chustkę pod szyję.

Do Lidy jechaliśmy wagonem, w którym powybijane szyby w oknach pozatykano kawałkami dykty. Dął zimny wiatr, sypał śnieg. Był sam środek zimy, najostrzejszej chyba w całym dziesięcioleciu.

Nasza pierwsza próba przekroczenia granicy w święta Bożego Narodzenia 1939 roku, zakończyła się fatalnie. Zanim jeszcze zdążyliśmy zbliżyć się do linii granicznych, zatrzymały nas strażę. Znaleźliśmy się pod kluczem w Raduniu, w siedzibie dawnego jeszybotu /szkole ortodokeyjnych Żydów/, teraz zamienionej na tymczasowy areszt.

Najwidoczniej jednak NKWD nie przejęło jeszcze pełnej kontroli na całym obszarze zagarniętych przez Sowietów ziem polskich, najwidoczniej też, straż graniczna nie dostała jeszcze żadnych instrukcji, bo właściwie nie bardzo wiadzieliśmy co z nami zrobić. Zwłaszcza, że zatrzymywano nas jednak w pewnej odległości od granicy a nie ^{na} próbie jej przekraczania. Więc po rewizji i odebraniu co bardziej wartościowych przedmiotów, puszczono nas wolno.

Powróciliśmy do Lidy, by czekać na następną sposobność.

Podczas kolejnych tygodni - a był to już początek 1940 roku - przyszły zmiany o wielkim, jeśli nie decydującym znaczeniu. Zaczęło się to od rozporządzenia, nakazującego wszystkim uchodźcom przymusową rejestrację. Większość z nas, przybyłych z zachodniej Polski przyjęło to w sposób zupełnie naturalny i z całkowitym spokojem: władze po prostu są zainteresowane w ustaleniu ^{nasz} statusu prawnego. Okazało się jednak, że każda osoba podlegająca rejestracji musi złożyć także osobne oświadczenie: że albo zgadza się na przyjęcie obywatelstwa sowieckiego, albo że pragnie powrócić na zachód, a więc na ziemię objętą teraz okupacją niemiecką. Większość z nas zresztą pozostawiła tam swoje rodziny. Oczywiście nie mieliśmy najniejzszego pojęcia, że samo zgłoszenie chęci wyjazdu "za granicę", dla władz sowieckich oznacza po prostu przyznanie się do "kontrrewolucyjnych skłonności".

Większość uchodźców, w swojej bezgranicznej naiwności zgłosiła oczywiście chęć wyjazdu z ZSRR - nie zdając sobie sprawy, że tym samym podpisuje donos na samych siebie, oznaczający wcześniej czy później aresztowanie i zesłanie do łagru.

W tym samym też czasie, Sowietci systematycznie i bez specjalnego rozgłosu zaczęli przygotowywać listy kandydatów do deportacji. Kiedy już wszystko było gotowe, pewnego ranka przed świtem na miasto wyjechały ciężarówki z NKWD-ziestami.

Rodzina wyznaczona do deportacji dostawała 15 minut na zapakowanie najpotrzebniejszych rzeczy, jeśli zaś ktoś wydał się żołnierzom zbyt powolny, popędzali go kolbami i kopnia-

kami. Nie było wyjątków, w ten sam sposób traktowano starców i ludzi obciążonych małymi dziećmi. Przy czym, nie były to przejawy szczególnego okrucieństwa albo celowej złośliwości z ich strony. Taki sposób postępowania należał po prostu do urzędowej rutyny NKWD.

Na bocznicę dworcową stał przygotowany pociąg, składający się z bydzących wagonów, do którego załadowywano deportowanych po 40 osób do każdego. Pociąg ten, pod silną strażą przez blisko dwa tygodnie oczekiwał na załadowanie, a była to pora najcięższych mrozów. Każdego ranka, żołnierze otwierali wagony, dostarczali chleba i wodę oraz zabierali ciała tych, którzy zamarli na śmierć. Większość zamkniętych, to były małe dzieci. I nie są to żadne niesprawdzone plotki. O tych wydarzeniach opowiadali pracownicy kolei ludzie najbardziej wiarygodni, naczelnicy stacji, Nowika cała Lida.

Mimo to jednak cała ta "operacja" odbywała się nadzwyczaj gładko i sprawnie. Ludzie pozwalali wpędzić się do wagonów, nie rozumiejąc nawet o co chodzi, nie mając najmniejszego pojęcia dlaczego i za co ten los ich spotkał, ani też nie wiedząc co się z nimi stanie. Większość z nich najczęściej była do końca przekonana, że wszystko jest tylko przykrą pomyłką, która szybko się wyjaśni.

Przez kilka dni ciężarówki krężyły po ulicach zabierając ludzi trzymanyh przed bramami pod strażą, następnie odwoziły ich na stację, gdzie bez żadnych ceregieli ładowano do wagonów. Wszystko to odbywało się bez jakichkolwiek protestów.

I ja i moja żona, również zgłosiliśmy się do rejestracji. Oboje też, zgłosiliśmy chęć wyjazdu z ZSRR. Nasza naiwność i zupełne niezrozumienie tego, co można nazwać sowieckim porządkiem prawnym, sprawiło, że jak posłuszne owce, dobrowolnie znaleźliśmy się na drodze do rzeźni. Jednak wszystko to, co działo się w międzyczasie, sceny widziane na ulicach i na bocznicach kolejowej, dodały nam dodatkowego bodźca w przygotowaniach do ucieczki. I znów wpadliśmy.

Sowiecki patrol "pograniczników" przyłapał nas nad granicą i znów całą grupę znaleźliśmy się pod kluczem, tym razem w jakiejś dawnej wozowni. Ocalił nas mój zegarek.

Przesłuchiwał nas młody elegancki NKWD-zista, jak sądził oficer, spostrzegłem że z wielkim zainteresowaniem przygląda się mojemu zegarkowi. W dwa dni później, kiedy cała nasza grupa przeprowadzana była do innego aresztu, oficer ten wywołał mnie i moją żonę. Sam jechał na koniu, nam zaś kazał iść za sobą. W ten sposób, zapadając się w śniegu po pachy, znaleźliśmy się w szczyrym polu. Tam, zatrzymał się i pogroziwszy nam palcem puścił wolno.

Do dziś nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak postąpił. Poznawszy dokładnie przez wiele lat NKWD i jej funkcjonariuszy, nie mam nawet cienia nadziei, że zrobił to z poczucia sympatii, czy ludzkiego współczucia. Już raczej, z chęcią zachowania tajemnicy mojego zegarka między nami dwoma. Mimo to, muszę przyznać, że znalazł jednak najbardziej ludzki sposób pozbycia się niewygodnego świadka.

Trzecią próbę przejścia litewskiej granicy, podjęliśmy w marcu 1940 roku w pobliżu Oszniany. Przygotowaliśmy się bardzo starannie, pod osłoną nocy specjalnie wynajęty przewodnik doprowadził naszą, około dziesięciosobową grupę na skraj lasu za którym, przez niewielką żukę przebiegała linia graniczna. Pamiętam, że z daleka, już po litewskiej stronie zobaczyłem migoczące światełko. Był to dla naszego przewodnika umówiony znak, że patrol graniczny przeszedł i droga jest wolna.

Biegłem z bijącym sercem, najezybciej jak umiałem, zapadając się w głębokim śniegu z bezwzględny przekonaniem, że jeszcze tylko kilka metrów a znajdę się znowu na wolnej ziemi, że znowu wrócę do Europy.

Mniej więcej w połowie otwartej przestrzeni, nagle rozległ się huk wystrzałów i eksplozje rakiet świetlnych. Wokół zrobiło się widno jak w dzień.

Z trzech stron, błyskawicznie otoczył nas narcisarski patrol pograniczników z psami. Ktoś krzyknął: - "ruki w wierzch". Jeden z żołnierzy obmacywał nas po kolei w poszukiwaniu broni, pozostali mierzyli do nas z automatów. Kiedy rewizja się skończyła ustawiono nas w dwuszeręgu i sformowano kolumnę

marszową. Po trzech żołnierzy z każdej strony z wycelowaną w nas bronią a "starszyna" i "sobecznik" /przewodnik psa/ zamykali pochód. Padła komenda "wперед" i ostrzeżenie: "jeden krok w prawo albo w lewo oznacza próbę ucieczki, Straż strzela bez uprzedzenia". Ruszyliśmy.

x x x

Rozdział II

ZA KRATAMI

Brnęliśmy w śniegu głębokim po kolana, w dość ostrym tempie i wkrótce ci z naszej grupy, starsi i słabsi, nie mogąc dotrzymać kroku zaczęli zostawać w tyle. Zamykający kolumnę "sobacznik" natychmiast wydłużył linówkę i pies groźnym werczeniem i ujedzeniem popędzał maruderów. Drugi żołnierz, ten bez psa poganiał okrzykami "skarej, skarej", ale widać albo nie czuł się wystarczająco dowartościowany, albo może dla podkreślenia własnego znaczenia, przez całą drogę nas wymyślał: "Związek Radziecki im się nie podoba ... szpiegzy, burżuazy, szmuglerzy proklatyje ... Może myślicie, że będę się o was martwić? Jak zechcę to was rozwalę, tutaj na miesiąc itd., itp."

Przyznał, że jakoś szczególnie ~~nie~~ ani tymi pogroźkami, ani sytuacją nie umiałem ^(nie) przejąć. Wprowadził jeszcze w Lidzie ~~światło~~ że ci którzy zostają złapani na gorącym uczynku, przy przekraczaniu granicy, rzadko bywają wypuszczeni, ale ciągle miałem nadzieję, że uda nam się i tym razem. Cała ta sprawa zakończy się na kilku dniach odsiadki, głodowania, nieprzyjemnych przesłuchaniach i porcji wazy.

Po długim i męczącym marcu, dotarliśmy wreszcie do typowej polskiej zagrody chłopskiej. "Stareżyna" weszła do chaty najwidoczniej po rozkazy i rzeczywiście, po chwili zaprowadzono nas do stojącego w pobliżu budynku z grubych drewnianych bali. Wewnątrz było zupełnie ciemno. Dopiero o świcie, kiedy pierwsze promienie słońca zaczęły przenikać przez szpary w ścianach, zorientowałem się, że jesteśmy zamknięci w budynku, który niegdyś był wioskową łaźnią. Po trudach i emocjach nieprzespanej nocy, rozłożyliśmy się na ławach i zapadli w sen. Niestety bardzo krótki, bo wczesnym rankiem rozpoczęły się przesłuchania, na które prowadzono nas po kolei do owej chaty.

Kiedy już protokół został spisany, zapakowano nas na sianie i w kilka godzin później znaleźliśmy się ponownie w areszcie, w małym miasteczku, którego nazwa uleciała mi z pamięci.

Zapamiętałem natomiast ogromnie zatłoczoną salę, gdzie nas ułożono i zapamiętałem też młodą wieśniaczkę z zapuchniętymi od płaczu oczami, rozpaczliwie lamentującą.

Otóż, zdarzyło się, że nieumyślnie przekroczyła nowo wytyczoną granicę sowiecko-litewską. Wioska, w której zamieszkiwała znalazła się po stronie litewskiej, a wioska z której pochodził jej mąż, zaliczona została do sowieckiej Białorusi. Podczas świąt Wielkanocnych, młode małżeństwo, jak zwykle, jak przez całe życie, poszło w odwiedziny do teściów. Z istnienia granicy w ogóle nie zdawali sobie sprawy. Kiedy wrócili do domu zostali złapani przez pograniczników i aresztowani a ich roczne dziecko zostało im zabrane.

Kobieta lamentowała tak głośno, że w końcu przywołało to do celi dyżurującego na korytarzu strażnika. Najwidoczniej znał sprawę i wiedział już o co chodzi, bo od razu zaczął ją uspokajać: - "Czego ryczysz, durna? Nie mówili ci, że u nas w Związku Radzieckim, państwo troszczy się o dzieci. Umieszczają się je w sierocińcach a tam mają dobrze i raz dwa zapominają o rodzicach".

Ten strażnik z pewnością nie był wcale złym człowiekiem. Przeciwnie, mówił szczerze; z potrzeby serca. Żał mu było kobiety i naprawdę chciał ją pocieszyć.

W ciągu wielu następnych lat, wielokrotnie miałem jeszcze okazję obserwować podobne ograniczenia, czy też oberacje umysłowe u ludzi wychowanych w systemie bolszewickim. Znacznie później, już w łęgrze na dalekiej północy, jadłem obiad ze swoim szefem dr Bergerem. Oba należeliśmy do uprzywilejowanej grupy obozowej, on jako naczelny lekarz, a ja jego pomocnik, kiedy nagle drzwi się otworzyły i wszedł nadzira-
ciel /inspektor obozowy/. Popatrzył na nasze dobrze napełnione miski i powiedział: - "Wicie doktorze, ale ja naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego wy tak ciągle przeklinacie wasz los tu w obozie, kiedy jest tylu ludzi na wolności, którzy nie mają na obiad tego co wy". I to również nie była ironia ani tym bardziej szyderstwo. Po prostu, on naprawdę tak myślał

i nie chciało mu się pomyśleć w głowie, że mogą być jeszcze jakieś inne wartości, dla których chce się żyć, niż misa balandy, nawet wypełniona po brzegi.

Następnego dnia, znów wyprowadzono nas na dziedziniec. Ustawiono w dwójkową kolumnę. Straż zajęła swoje pozycje z bronią gotową do strzału i znowu "starszyna" wykrzyczał ostrzeżenie "krok w lewo, krok w prawo ...". Rozpoczęliśmy nasz w nieznane. Szliśmy w milczeniu, nikomu nie chciało się mówić. Zaczęły ogarniać mnie niedobre przeczucia. Każda z naszych prób ucieczki kończyła się do tej pory zupełnie inaczej. Zamykano nas od razu, na granicy, na miejscu odbywało się przesłuchanie, konfiskowano nam rzeczy i puszczano wolno.

Tym razem, przenoszono nas z miejsca na miejsce i uznałem to za zły omen. Przypomniały mi się opowieści o ludziach, którzy nigdy nie dojechali do Wilna i nigdy też nie powrócili do Lidy ...

Zołnierze śpiewali: "Niet takiej drugiej strony nie znaju, gdzie tak wolno dyszy człowiek", "starszyna" pokrzykiwał swoje "skarej, skarej", pies ujadł i popędzał opieszających. I tak znaleźliśmy się na głównej ulicy miasteczka Oazniany. Na nasz widok przechodnie odwracali oczy. Na końcu ulicy był okazały budynek wyróżniający się wśród otaczających go drewniaków. Przed wojną, kiedy te ziemie należały do Polski, zapewne mieściło się tu starostwo, albo może urząd pocztowy. Zołnierze przestali śpiewać, poprawiali mundury i pasy, wszystko więc wskazywało, że zbliżamy się do celu. Rzeczywiście, budynek był teraz komendą lokalnej NKWD i kresem naszego marszu. Od razu zostaliśmy wepchnięci na dół, do piwnicy. Już na schodach i w korytarzu poczułem ohydny odór. Kiedy strażnik otworzył drzwi i wepchnął mnie do środka, z początku nie mogłem nic zobaczyć. Stopniowo jednak oczy zaczęły się przyzwyczajać do mroku. Na końcu długiej i wąskiej celi znajdowało się małe, zakratowane okienko przesłonięte brudną szybą przepuszczającą skąpe światło. Ludzie leżeli cicho w szeregu na gołej, cementowej podłodze. Bałem się, że mogę na kogoś nadepnąć, a nie miałem gdzie postawić nogi. W końcu udało mi się znaleźć tyle miejsca, by przykuknąć na podłogę.

Najbliższy sąsiad chciał się ode mnie czegoś dowiedzieć, ale przerwałem pytania: - "jak długo tu siedzisz?"

- "Dwadzieścia jeden dni" - padła odpowiedź.

Od razu odechciało mi się wszelkich rozmów i zagłębiłem się we własnych, coraz czarniejszych myślach.

Ściany celi pokryte były kropelkami wilgoci, na cementowej podłodze warstwa mokrego mułu. Z sąsiedniej piwnicy, służącej dawniej za komórkę na węgiel, dochodził płacz jakiejś kobiety. Długo nie mogłem zasnąć, myślałem o żonie zamkniętej w kobiecej celi, ze wstrętem przeżywałem nową inwazję wszy.

Rankiem dostaliśmy jedzenie: kromkę czarnego chleba i wodę. I tak było przez wszystkie następne dni, jakie spędziłem w tej piwnicy.

Nowi aresztanci przybywali każdego dnia. Zabrakło miejsca do leżenia i większość z nas musiała sypiać w kucki. Dopiero kilka dni później, część aresztantów, nie wyłączając mnie, przeniesiono do szopy na podwórku.

Tu było już znacznie lepiej. Świeże powietrze przenikało przez szpary w ścianach a drewniana podłoga to jednak nie beton. Co najważniejsze jednak zaczęliśmy dostawać gorącą zupę. Dwa razy dziennie miszkę porządnej, prawdziwej zupy na mięsie. To ona dla wielu z nas stała się wyznacznikiem czasu i głównym wydarzeniem dnia. Zapamiętałem też związane z tym zdarzenie. Otóż już pierwszego dnia, jeden z naszych współtowarzyszy niedoli, młody Żyd, uczeń szkoły rabinackiej, spróbował zupy, odsunął miszkę i kiepską polszczyznę oświadczył: - "Nie będę jadł. Niech zje kto chce". Oczywiście od razu wyciągnęło się kilka rąk i zawartość miski zniknęła w oka mgnieniu. Okazało się, że zupa gotowana była na wieprzowinie, a jeśli ktoś miał szczęście, mógł nawet znaleźć w niej kawałek mięsa.

Donator jednak, jak to często bywa, zamiast spotkać się z wdzięcznością stał się przedmiotem żartów i kpinek: - "Naszego rabinka mięsko w zębki kole. Pewnie nie dosyć koszerne ... No zobaczymy jak długo wytrzyma?"

Dni mijają a pobożny Żyd trwa przy swoich zasadach żywiąc się suchym chlebem i wodą. Nawet najbardziej złośliwi doncipnie niebrali jakby pewnego szacunku. Trwało to ponad 10 dni, po tym zaś już nigdy więcej go nie spotkałem.

Gdzieś po dwóch tygodniach pobytu w Oszmianie, pewnego ranka, pod konwojem zostaliśmy wraz z żoną odetawieni na stację kolejową. Jak zwykle, odbyliśmy przed tym rutynową rewizję, spisano kolejny protokół, ale tym razem nic nam już nie skonfiskowano, bo też i nie wiele już nam do konfiskaty pozostało.

Nadjechał pociąg, opróżniono dla nas przedział w osobowym wagonie, jeden konwojent siedział przy oknie, drugi przy drzwiach, my z żoną w środku. Była to bardzo przyjemna podróż, mimo że nie znaleźmy jej celu, ani miejsca przeznaczenia, ale czuliśmy się zupełnie spokojni i na ile to możliwe w takich okolicznościach - prawie szczęśliwi. Byliśmy razem.

Ale podróż niestety nie trwała długo. Po jakiejś godzinie wysiedliśmy na stacji Stara Wilejka. Znowu marsz pod stacją przez ulice miasteczka, takiego samego, jak wszystkie miasta w tej części Polski: zabudowanego niewysoko, raczej parterowymi, drewnianymi budynkami. Wkrótce znaleźliśmy się, przed okazałym dwupiętrowym budynkiem, otoczonym wysokim murem z surowej cegły. Otworzyła się żelazna brama, znaleźliśmy się na dziedzińcu i bez dalszych ceregieli zamknięto nas w pustej zimnej łaźni. Znowu usiedliśmy obok siebie. Prawie nic nie mówiliśmy, wszystko było oczywiste; znaleźliśmy się w więzieniu. Nie pozostało nam nic innego jak tylko pogodzić się z sytuacją.

- "Czy ty aby wytrzymasz? Czy dasz radę?" - pytałen z niepokojem.

- "Nie martw się o mnie. Ja się nie boję".

Spodziewając się, że za chwilę rozpocznie się przesłuchanie, spróbowaliśmy uzgodnić szczegóły odpowiedzi na ewentualne pytania. A potem siedzieliśmy już spokojnie trzymając się za ręce.

Otworzyły się drzwi.

- Ekart - sierżant z grubością wysylabizował moje nazwisko.

- Obecny.

- Inię?

- Antoni

- Inię ojca?

- Stefan

- Rok urodzenia?
- 1912
- Ręce do tyłu! Wychodzić!

Popatrzyłem jeszcze na żonę, ucałowałem ją szybko i wyszedłem.

W chwilę później, stałem rozebrany do naga i poddawany szczegółowej rewizji. Przeszukiwano mnie już wiele razy przedtem, ale teraz rewizja obejmowała nawet jamę ustną, pachy, pachwiny i odbytnicę. Drugi żołnierz przewraca moje ubranie, tak jakby można było w nim jeszcze coś znaleźć. Zabrano mi sznurowadła, pasek, poobcinano wszystkie guziki i metalowe klamki i dopiero wtedy pozwolono się ubrać. Spodnie oczywiście musiałem trzymać w ręku.

Do tej pory znałem więzienie właściwie z kociątek i z filmów. Teraz kiedy zatrzasnęły się zamknięte drzwi celi, stanąłem dość ogłupiały nie bardzo wiedząc jak się zachować. Zamiast naszej celki z dwoma czy czterema pryzkami, znalazłem się w ogromnej, wysokiej celi, wypełnionej tłumem istot ubranych prawie jednako w szarą bieliznę, zerośniętych i kudźlatych, wykonujących dziwnie nieskoordynowane i nienaturalne ruchy. Wszystko to sprawiało, że wydali mi się bardziej jakimś nieznanym gatunkiem stworzeń niż ludźmi. Poczujęm się jak w klatce w ogrodzie zoologicznym.

Stałem więc, nie widząc jak się poruszyć, gdy jedno z tych indywidualium wakszuję na mnie rękę, odezwało się: - "Tam twoje miejsce. Jest zasada, że kiedy więzienie jest przepełnione, każdy kto przychodzi ostatni zajmuje miejsce obok "parazyta". Jak ktoś wyjdzie to się przesuniecz w głąb celi".

Rozejrzałem się wokoło. Sala była ogromna, wysoka i nieregularna. Przypominała raczej kaplicę niż więzienie. Okna umieszczone były dość wysoko, pod sufitem świeciła się szaba żarówka. Powietrze wypełniał odór niedomytych ciał, ludzkich odchodów, stęchlizny i podłego tytoniu. Długi wąski stół przedzielał salę na dwie części i stanowił jej jedyne urządzenie. Ludzie leżeli pokotem na gołej podłodze. W świetle żarówki dostrzegłem na ścianie ślady po zdjętym krzyżu.

Ściągnąłem płaszcz, żeby się nim przykryć. Mój sąsiad z lewej przesunął się o cal, z prawej nie miałem sąsiada.

Z prawej była "parasza", wielki kubeł, /w polskiej gwarze więziennej zwany "kiblen"/. Kiedy tak wierciłem się, usiłując znaleźć odrobinę miejsca, ktoś ostrożnie stawiając nogi by nie nastąpić na leżących, dotarł do "paraszy" uniósł pokrywę i uwolnił wypełniony pęcherz.

Niedługo potem strażnik z korytarza kilkakrotnie uderzył kluczami o drzwi celi, co oznaczało początek ciszy nocnej. Do "paraszy" teraz uformowała się kolejka, jakieś 90 osób.

Nie rozumiałem jeszcze co to znaczy mieć miejsce obok "paraszy" aż kiedy przed świtem obudziły mnie krople spadające na twarz. "Parasza" wypełniona była po brzegi, przelewało się z niej, a dla wielu i tak nie starczyło miejsca. Ci przestępując z nogi na nogę niecierpliwie oczekiwali pod drzwiami celi. Wreszcie upragniony moment nadszedł.

W grupach po dwudziestu, gęstego, z rękami do tyłu i w nakazany milczeniu zaprowadzono nas na drugi koniec korytarza, do toalety. Ubikacja była niewielka, ale pozwalała nie tylko na zaspokojenie naturalnych potrzeb, lecz także, kto chciał, mógł się umyć pod bieżącą wodą. Wyprawa do toalety, czyli inaczej "oprarka" odbywała się dwa razy dziennie - wczesnym rankiem i późnym popołudniem i stała się jednym z najbardziej wyczekiwanych momentów w rozkładzie dnia. Po pierwsze, ze względu na fizjologię i możliwość opróżnienia wiecznie przelewającej się "paraszy" a po drugie, dla wielu ten spacer do latryny stał się też dodatkową atrakcją. Otóż okazało się, że wszystkie cele tego samego piętra korzystają z jednej i tej samej ubikacji. Dawało to więc pewne możliwości porozumienia między celami, a dla osób oskarżonych w tej samej sprawie - które z reguły rozmieszczane były w oddzielnych celach - jedyną szansę nawiązania kontaktu i przekazania sobie wiadomości. W toalecie można było znaleźć najróżniejsze informacje wydrapane na ścianie, a nawet grypsy na skrawkach papieru, umieszczone za rurami kanalizacyjnymi. I ja wydrapałem kilka słów do żony, nie mając nawet nadziei, że jej cela znajduje się na tym samym piętrze co moje.

Dwa razy dziennie rozglądałem się po ścianach w oczekiwaniu odpowiedzi i po jakimś czasie znalazłem wiadomość. Chyba nigdy w życiu nie ucieszyłem się tak bardzo z żadnego

lietu, jak wtedy z tych kilku słów na ścianie. Korzystaliśmy z tego sposobu jeszcze wiele razy. W ten sposób poinformowałem żonę o zajęciu przez Niemców Danii i Norwegii, a od niej zaś dowiedziałem się o upadku Paryża. Ale długo to nie trwało, któregoś ranka zastaliśmy ściany całkowicie odarte z tynku i nie było już na czym drapać.

Dzień w więzieniu zaczynał się wraz ze świtem, a w okresach największego przepełnienia jeszcze wcześniej, nawet o czwartej, aby wszystkie cele mogły zdążyć z "oprawką" przed porannym apelem. Po nim zaczynały się długie chwile niekończącej się "prowierki". Staliśmy w celi atłoczeni w czterech szeregach, a sierżant odczytywał listę. Szło mu to nieskładnie, nie zawsze lista się zgadzała, mylił się i odczytywanie zaczynało się od początku, raz jeszcze i raz ... Po "prowierce" znów drzwi się otwierały i stawał przed nimi kosz z chlebem.

Wszyscy pilnie obserwowali rozdział chleba. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że żołnierz rozdzielający bochenki, stara się nas oszukać, by później nadwyżkę sprzedać na bazarze, albo wymienić na wódkę. My naturalnie, chcieliśmy oszukać żołnierza i dostać więcej bochenków niż nam się należało. Tak więc prawie codziennie sprawa kończyła się awanturą i ordynarnym wymyślaniem.

Później jeden z więźniów, specjalnie upoważniony i cieszący się ogólnym zaufaniem, dzielił bochenki na odpowiednią ilość porcji. Dokonywało się to w drzwiach celi, nożem wypożyczonym w tym celu od strażnika i na jego oczach. Również i cukier dzielony był przy pomocy miarki specjalnie na ten cel przygotowanej. Zazwyczaj była to szufladka pudełka od zapalek.

Oczywiście, żaden sposób nie dawał w najmniejszym stopniu gwarancji równego i sprawiedliwego podziału. Kwestie wątpliwe rozstrzygane były przez głosowanie i decydowało zdanie większości. Gorąca woda "kapatok", także stanowiła część naszego pożywienia i też była starannie odmierzana. I wody również było zazwyczaj zbyt mało, mimo że na jednego więźnia przypadało tylko pół kubka. Nazywało się to "herbatą". Przy czym, za dobrą herbatę uważano gorącą wodę, za złą, kiedy była letnia.

Do codziennych zajęć należało też polowanie na wazy. Oddawaliśmy się temu zajęciu chętnie, pilnie i z zapałem, już choćby dlatego, że nie był to obowiązek nakazany przez władze. Wyłapywanie wazy może się komuś wydawać prostym i łatwym zadaniem. Otóż, wcale nie. Polowanie, aby było skuteczne wymaga dobrych oczu, systematyczności i dużej uwagi. Dopiero mój sąsiad nauczył mnie właściwego sposobu. Wazy trzeba było delikatnie przewrócić ją na drugą stronę i poddawać ją dokładnym oględzinom, bacząc pilnie by co bardziej przedsięwzięte insekty nie zdążyły ukryć się w szwach i załamkach. Najtrudniejsze polowania odbywały się zwłaszcza po zmianie bielizny, okazywało się bowiem, że wraz z nowo otrzymaną bielizną wprost z prania dostawało się wazy znacznie bardziej złośliwe i dokuczliwe niż własne.

Wolny czas przed obiadem spędzaliśmy najchętniej na "wizytach", wzajemnych odwiedzinach w różnych końcach celi. Sala zawsze była przepełniona, w pewnych okresach zajmowało ją sto i więcej osób. Związywały się więc nowe znajomości, była szansa dogadania się wspólnych znajomych, poznania ludzkich losów. Te przedobiednie rozmowy były bez wątpienia najprzyjemniejszą częścią codziennego bytowania.

Ale centralnym punktem w rozkładzie dnia był zawsze obiad. Gdzieś koło południa, najciekawsze nawet rozmowy oichły, każdy wracał na swoje miejsce, zajęty jedną myślą: jaka dziś będzie zupa? Cienka z samej marchwi, czy może gęsta z kaszą, kartoflami czy grochem? Najpierw dawał się słyszeć ruch gdzieś w oddali, na końcu korytarza. Wtedy sala ożywiła się, każdy starał się zajęć strategiczną pozycję, przygotować miskę, łyżkę, sól, skrócić sobie czas oczekiwania zeoszczędzonymi okruchami chleba. Każdy jadał tam gdzie spał, na swoim miejscu na podłodze. Byliśmy jednak tak stłoczeni, że wymagało to pewnej współpracy z sąsiadami. Nareszcie kocioł z zupą pojawił się przed naszymi drzwiami i w chwilę później zapach jedzenia napełniał celę.

Nasz chef de cuisine - więzień w drodze wyboru wyznaczony przez wszystkich do tego zajęcia - ujmował w rękę warząchw i w zależności od rodzaju zupy, rozpoczynał skomplikowaną procedurę jej rozdzielania. Chef musiał być człowiekiem nie tylko

uczciwym, ale również wyróżniać się wystarczająco mocnym charakterem by móc się oprzeć pokusie przekupstwa. Niejednokrotnie, zamożniejsi proponowali mu najróżniejsze dobra za protekcyjną porcję.

Wszyscy ustawiali się przed kotłem w kolejce z naczyniami w rękę, przy czym kolejka a raczej miejsce w niej, było z góry ustalone. Ten, kto dzisiaj odbierał swoją porcję jako pierwszy, jutro stawał na końcu. Było w tym coś w rodzaju loterii, ponieważ pewno zupy najlepiej było dostawać z wierzchu kotła a inne ze spodu.

Po obiedzie, niektórzy zapadali w krótkotrwałą drzemkę, ale rychło sala znów się ożywiła. Rozpoczynały się "wizyty", była też pora na partyjkę brydża lub grę w szachy.

Koniusz udało się przeczekać do celi papier, ktoś inny sporządził atrament, ktoś inny narysował piki, trefle, kare, króle, walety itd. Ktoś jeszcze inny ulepił z chleba figury szachowe, a narysowanie na podłodze szachownicy było już błahością. Gra toczyła się nie o pieniądze, lecz o machorkę lub cukier. Pozostali niez zaangażowani pilnie nadeślichiwali przy drzwiach by w porę ostrzec przed strażnikiem, gdyż w przypadku przyłapania na grze, która jest surowo zakazana, i karty i szachy uległyby natychmiastowej konfiskacie, a na całą całą nałożono by zbiorą karą.

Pod wieczór cały poranny ceremoniał zaczynał się od poczętku: "oprawka" i "prowierka" a później wieczorna "herbata" - tym razem bez chleba. Tym, którzy zjedli cały swój dzienny przydział pozostawało kontentować się półkubkiem ciepłej wody i przyglądanie się innym, którym udało się zachować parę okruchów na kolację.

O godzinie dziesiątej wieczorem strażnik stuknął pękiem kluczy w drzwi i wołał: "otboj" - co oznaczało koniec dnia. Od tej chwili, wszelka aktywność i rozmowy są zabronione. Światło jednak nie jest gaszone, żarówka u sufitu pali się całą noc.

Dla mnie chwile, między apelen a zaśnięciem, były chyba najtrudniejsze. Wokół panowała cisza, nic się nie działo, leżałem wciśnięty między dwoma obcymi ludźmi i pozostawałem sam na sam z ponurą rzeczywistością.

Często, ale nie codziennie przewidziany był spacer. Była to jednak dość wątpliwa forma odpoczynku. Kiedy na naszą celę przypadł dzień spaceru, wszyscy byli usuwani z sali, bez względu na pogodę, stan zdrowia czy braki w ubraniu. Wśród nas zawsze było kilka osób chorych, ale władze więzienia za chorych uznawały tylko tych, którzy przebywali w szpitalu.

No więc ustawiono nas w dwójkową kolumnę, padał rozkaz: "ręce do tyłu, nie rozmawiać, naprzód marasz" - dwóch strażników jeden na początku kolumny a drugi na końcu prowadzili nas korytarzem, na dół, po schodach na małańki dziedziniec, gdzie w tym samym ordynku mieliśmy chodzić w kółko przez dziesięć minut, po czym odprowadzano nas z powrotem do celi. Dziedziniec, przed naszą przyjściem był zawsze świeżo zagrąbiony, chodziło o to, by nie pozostawić żadnej szansy przekazania czegokolwiek - informacji lub przedmiotów - jedna grupa następnej.

Nigdy nie lubiłem tych więziennych spacerów, ale inni, bardziej aktywni z natury, zawsze potrafili z tych dziesięciu minut wyciągnąć jakiś praktyczny użytek. Czasem mógł to być skrawek papieru, zwięta gazeta, beztroosko porzucona przez strażnika, kawałek metalu, gwóźdź czy niedopałek papierosa. Gazeta przydawała się nie tylko jako źródło informacji, ale i jako bibułka do skręcania papierosa z machorki. Zresztą w naszych prywatnych warunkach każdy przedmiot miał nieocenioną wartość.

Rewizje odbywały się często, zawsze niespodziewanie i przeważnie w nocy. Strażnicy, nie oszczędzając szturchańców i kopniaków wyrzucali wszystkich z sali. Dwóch z nich przeszukiwało nas ustawionych w szeregu na korytarzu, a w tym samym czasie reszta przetrząsała cele. Po takiej operacji, zastawialiśmy wszystko porozrzucane, a celi wyglądała jak pobojowisko. Ale i my mieliśmy swoje sposoby żeby wyprowadzić ich w pole. Przez długi czas, na przykład naszą najlepszą skrytkę była obluzowana deska w podłodze i pod nią trzymaliśmy takie bezcenne przedmioty jak kerty, szachy a nawet nóż. Z tego powodu nie bardzo przerażała nas najbardziej nawet niespodziewana rewizja.

Po kilku tygodniach mego pobytu w więzieniu, wprowadzono regularne kąpiele, a nawet golenie i strzyżenie oraz obo-
wiązkową dezynfekcję naszej odzieży. Powiadano, że w tej
sprawie przyшло nawet z Moskwy specjalne rozporządzenie, po-
tym, jak w kilku więzieniach wybuchły epidemie tyfusu pla-
miatego. Dezynfekcji jednak nie polubiliśmy. Za każdym razem
część naszych rzeczy wracała przepalona w stanie nie nadają-
cym się do noszenia.

x x x

Rozdział III

ROZCZAROWANI SYMPATYCY

Zawsze, kiedy słyszałem zgrzyt klucza w zamku celi, w porach innych niż rutynowe, odczuwałem pewien rodzaj niepokoju. Zazwyczaj oznaczało to, że któryś z nas będzie zabrany na przesłuchanie. Wszyscy bowiem byliśmy "pod śledztwem" i każdego z nas czekać miał proces.

W mojej sprawie, śledztwo wyróżniało się tym, że miało przebieg łagodny: nie dręczono mnie na przesłuchaniach, nie bito, nawet nie krzyczano na mnie. Bo też i od razu przyznałem się do wszystkiego. Byłem złapany na gorącym uczynku, na samej linii granicznej, przy próbie jej przekroczenia. Niczego się nie zapierałem. A poza tym byłem jednym z wielu uchodźców z ziem objętych obecnie okupacją niemiecką. W konsekwencji więc fakty dotyczące mojej przeszłości dawały się ustalić wyłącznie w oparciu o to, co sam zeznałem. Nic nie dawało się sprawdzić.

Śledztwo polegało na niekończących się wypytywaniach o fakty mające ustalić osobowość przesłuchiwanego, jego pochodzenie społeczne, zawód ojca, wykształcenie, działalność polityczną, znajomość języków obcych, podróże zagraniczne i powiązania wreszcie. Dodatkowo, każdy przesłuchiwany musiał kilkakrotnie napisać własnoręcznie szczegółowy życiorys.

Powtarzało się to wielokrotnie i wielokrotnie należało odpowiadać na te same w kółko pytania. Jeśli ktoś chciał zataić jakieś szczegóły, albo zataić prawdę, musiał mieć doskonałą pamięć i naprawdę szybką orientację.

Ja byłem przesłuchiwany trzy razy i najbardziej zapaniętym z tego właściwie tylko ciemny, jakby piwniczny pokój. Miałem wielkie trudności ze zrozumieniem mojego śledczego, oficera NKWD, i całe moja uwaga na tym właśnie była skoncen-

trawiana. Nie znałem wtedy rosyjskiego. Próbowałem go wyjaśnić, że jestem uchodźcą, że moja żona zachorowała, próbowaliśmy więc przedostać się do Wilna, gdzie mam rodzinę i gdzie mieliśmy nadzieję na znalezienie oparcia. Wypytywał mnie szczególnie o nazwiska moich krewnych i ich stosunki rodzinne, społeczne i towarzyskie. Ja mówiłem, on bardzo długo i mozolnie sporządzał protokół. Później kazał mi podpisać każdą kartkę oddzielnie. Do dzisiaj wprawdzie nie wiem co tam było napisane, ale podpisałem.

Zapamiętałem natomiast, że w trakcie jednego z przesłuchań mój śledczy wyraził takie oto zdanie: "my /NKWD/ wolimy aresztować tysiąc niewinnych ludzi, jeśli podejrzewamy, że wśród nich jest choć jeden przestępca, niż dopuścić by jeden winny uszedł zasłużonej karze".

Moje śledztwo było jednak wyjątkowe. Inni traktowani byli znacznie brutalniej, niektórych nawet torturowano.

Zapamiętałem przypadek pewnego osadnika wojskowego, uczestnika wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku. Pochodził z Pomorza, ale otrzymał kawałek ziemi na kresach wschodnich. Kilka nocy pod rząd zabierany był na przesłuchanie i wracał nad ranem. Z początku nie wiele zwracałem na niego uwagi, gdyż jego miejsce było w odległym kątku sali. Aż, pewnego wieczoru, zaraz po "odboju", nie jeszcze zaangażem, drzwi się otworzyły i strażnicy wrzucili do celi dość ciężkiego i nieruchomego. Był to ów osadnik, pobity do nieprzytomności i pokrwawiony. Ja i paru innych pośpieszyliśmy z pomocą próbując go opatrzyć i ocucić. Opowiadał nam później, że sześciu NKWD-istów rzuciło go na ziemię i zaczęło kopać. Co się z nim działo później i jak się znalazł w celi już nie wiedział - stracił przytomność.

Społecznie, nasza cela przedstawiała bogatą mieszankę. Obok osadników wojskowych, rolników i robotników byli ^{TEŻ} intelektualiści, prawnicy, lekarze, inżynierowie, urzędnicy, ziemianie i nauczyciele, w większości z Wilna. Bolszewicy, nie miasto tu zostało włączone do Litwy zdążyli deportować ponad tysiąc osób. Byli wśród nich liczni dziennikarze, oficerowie rezerwy, studenci a nawet licealiści. Wszyscy zostali aresztowani bez podania powodów i teraz w celi musieli sami

wymyślać swoje zbrodnie, w myśl zasady, że "jak mamy człowieka, to i paragraf na niego się znajdzie" - którą to zasadę później często powtarzano w łagrach, jako ilustrację metod działania NKWD.

Stało się regułą, że procesy odbywały się w nocy. Strażnik wchodził do celi i wywoływał na przykład "wszyscy na C". oznaczało to, że każdy, *czyje* nazwisko zaczynało się na literę C ma się zameldować. On sam nigdy nie wymieniał głośno nazwisk aresztowanych. Prawdopodobnie chodziło o to, by nie udzielić przypadkowej informacji komuś w innej celi, np. o kimś z rodziny albo z tej samej sprawy.

Już pięć miesięcy przebywałem w więzieniu i w tym czasie najbardziej zżyłem się z moim najbliższym sąsiadem z podłogi w celi z panem Preissen. Był on przed wojną znanym warszawskim socjalistą i adwokatem. Tutaj zaś był absolutnie przekonany, że jego aresztowanie jest czystym przypadkiem, zwykłą pomyłką, która rychło się wyjaśni i on zostanie zwolniony. Miał pewne podstawy by tak sądzić. Jeszcze przed wojną blisko współpracował z ambasadą sowiecką w Warszawie, był jej radcą prawnym a nawet w jakimś procesie udało mu się uzyskać wyrok korzystny dla ambasady, a więc niekorzystny dla rządu polskiego. Często też występował w procesach politycznych komunistów jako obrońca a jego klientami byli znani działacze Kominternu. Czekał więc niecierpliwie na przesłuchanie, które miało jego sprawę ostatecznie wyjaśnić i przynieść uwolnienie.

Wreszcie został wezwany i ... wrócił ciężko pobity i pokrwawiony. Był tak przygnębiony, że nie chciał z nikim rozmawiać. Siedział nieruchomo z głową wciśniętą w kolana, zagłębił się we własnych myślach i cierpieniu. Przesłuchania trwały przez kilka nocy z rzędu i po każdym wracał w coraz gorszym stanie. Wreszcie, już tylko z trudem mógł się obrócić na drugi bok, jęcząc przy tym żałośnie. Dostał wysokiej gorączki, wstrząsały nim gwałtowne wymioty, najwidoczniej *dużo* wewnętrzny obratek. Opatrywałem mu rany i opiekowałem się nim jak umiałem. W końcu przeżemał milczenie i zaczął opowiadać:

- Czy zdaje pan sobie sprawę, o co mnie oskarżają? O prowokację i działalność na szkodę interesów Związku Sowieckiego. Żądają abym im podał nazwiska współników ...

- Jakich współników?

- To wszystko jest niedorzeczne ... Nie mogę po prostu w to uwierzyć. To jest zbyt nieprawdopodobne. Oni twierdzą, że będąc obrońcą komunistów, otrzymałem od nich różne cenne informacje, które następnie przekazywałem polskiemu wywiadowi wojskowemu ...

- Ale czemu miałby pan to robić?

- Oni w ogóle nic nie wiedzą o zawodowej etyce. Nie znają tego pojęcia. Nie potrafię sobie wyobrazić, że coś takiego istnieje i że można to brać na serio. Kiedy usiłowałem tłumaczyć im, że działałem zawsze zgodnie z moją etyką zawodową i że jeśli nawet otrzymywałem jakieś informacje od swoich klientów, to mogłem ich użyć wyłącznie dla ich dobra i na ich korzyść - uznali to po prostu za hipokryzję, kręctwo i próbę świadomego wprowadzenia w błąd. Dla nich jest czymś najzupełnie oczywistym, że jeśli ktoś ma jakieś wiadomości cenne dla wywiadu, to oczywiście je sprzedaje. Chcą więc bym podał im nazwiska oficerów wywiadu z którymi się kontaktowałem, oraz nazwiska tych prawników, którzy byli moimi współnikami w konspirowaniu przeciwko ZSRR i komunizmowi. Bili mnie ... kopali, pownie odbili nerki ... I co mam robić? Przecież ja osobiście nigdy w życiu nie znałem żadnego oficera wywiadu.

- Niech im to pan spróbuje wytłumaczyć.

- Ależ to beznadziejne ... Mój Boże, tłumaczyłem im całymi godzinami ... Pozwalali mi mówić i słuchali z ironicznymi uśmiechami. A w końcu ten najważniejszy walnął pięścią w stół i krzyknął: Dosyć kłamstw! Mów prawdę!

Zawsze kiedy teraz tu, na zachodzie, ludzie "rozsądni" i "racjonalnie myślący" powiadają mi, że w stosunkach z sowietami należy kierować się dobrą wolą i współpracować z nimi na zasadach partnerstwa i po przyjacielsku - przyponim mi się pan Preiss. On też był "rozsądny", "racjonalnie myślący", przyjacielsko usposobiony i współpracował z nimi na zasadach partnerstwa.

Drugi z moich przyjaciół w celi - nazwiskiem Ruszczyk - był wysokim dzentelmenem o arystokratycznym wyglądzie. Przed wojną dzierżawił czy administrował majątkiem w Wilnie pod Warszawą. Ten znowu, nawet tu w więzieniu, traktował bolszewików jak robotwo i całym swym zachowaniem okazywał im największe lekceważenie i pogardę. To dziwne, ale nikt go nigdy nie uderzył, ani nawet nie popchnął, a strażnicy odnosili się do niego jakby z pewnym respektem, na co odpowiadał zimną, arogancką wyniosłością.

Kiedy powrócił z przesłuchania, zaciąkawiony pytałem go, jak się to odbyło:

- Nic szczególnego. Od razu na wstępie powiedziałem im, że jestem śmiertelnym wrogiem ZSRR i komunizmu, mogą więc ze mną zrobić co im się tylko podoba. Jest mi najzupełniej obojętne o co mnie się oskarża, bo wolę zdechnąć od razu, niż żyć w ich bolszewickim raju. Dlatego przyjmuję każdy wyrok jaki sobie wymyślą i czym wcześniej ta farsa się skończy tym lepiej.

- I co na to śledczy? - pytałem zaciąkawiony.

- Że szanuje ludzi szczerych, którzy mówią prawdę.

- Tylko tyle?

- Dodał jeszcze, żebym nie był taki pewny, że się w ZSRR tak łatwo umiera, a poza tym są jeszcze gorsze rzeczy niż śmierć.

- Czy oskarżali cię o coś konkretnego?

- Właściwie nie. Ale powiedziałem im, że mogę sobie wymyślić każde oskarżenie jakie chcą, a ja się i tak pod tym podpiszę, ponieważ wiem, że są łajdakami i żywego mnie z łap nie wypuszczą.

- Nie bili cię?

- Przeciwnie, poczęstowali mnie herbatą i papierosami a śledczy oświadczył, że jestem typowym przykładem ofiary kreacji, antyradzieckiej propagandy, że Rosja potrzebuje uczciwych ludzi, a jak dłużej pobędę w Sowieciech, to sam się przekonam jak niesłusznie kapitaliści oskarżają ZSRR, itd.

Miło wspominałem również z tamtych czasów młodego dziennikarza wileńskiego - p. Zieliński⁰⁹⁰ przez dwóch młodych chłopaków,

15 i 17-letniego licealistów z Wilna. Ci ostatni byli zapalonymi radiomatorami i próbowali zbudować krótkofalówkę. Ten rodzaj zainteresowań wydał się jednak władzom sowieckim wysoce podejrzany, więc aresztowano ich jako potencjalnych szpiegów.

Którejś nocy strażnik eprowadził mnie i kilku innych na dół, do małego pomieszczenia, w którym za stołem przykrytym czerwonym płótnem zasiadł oficer NKWD. Przy migotliwym świetle odczytał nam z kartki maszynopisu nasze wyroki. Było to jednocześnie niesamowite, tragiczne i groteskowe.

Ja zostałem skazany na trzy lata obozu pracy i wyrok ten należał do najniższych. Tak więc od tej chwili, przestałem być aresztantem a stałem się więźniem. Nie wróciliśmy już do naszej starej celi, tylko od razu zabrano nas do innej części budynku. I było to najgorsze, czego dotąd doświadczyłem.

W mojej nowej celi, obliczonej na 20-25 osób, tłoczyło się ponad 200 więźniów. Nie było w niej literalnie nic. Cztery ściany i goła podłoga, na której leżeliśmy bokiem, jeden obok drugiego. Był taki ściek, że poleżenie na plecach przez chwilę wydawało się luksusem niemożliwym do osiągnięcia ... Co pół godziny, na komendę mogliśmy przekrócić się z boku na bok. A było wśród nas sporo chorych ludzi. Już po pierwszej nocy czułem się zupełnie rozbity i wykończony.

Nie miałem wtedy pojęcia, że kiedyś z perspektywy, będąc ten okres wspominał jako znosny, jeśli nie wręcz przyjemny. Nie było przecież ciężkiej, wyczerpującej pracy, że względu na zatłoczenie - było ciepło, a wyżywienie można wręcz uznać za luksusowe, w porównaniu z tym czym ^{pozniej} karmili nas w łegrach.

Pewnego dnia przybył do naszej celi, stary siwłosy człowiek, w wieku powyżej 60 lat, który różnił się tak dalece od pozostałych, że zwrócił moją uwagę. Wydał mi się czegoś dziwnie radosny i uszczęśliwiony. Nazywał się Ametow i był pierwszym Rosjaninem, jakiego spotkałem wśród więźniów. Dostał miejsce w pobliżu mnie, a w dodatku okazało się, że mówi po niemiecku. Wkrótce też opowiedział mi swoją historię, dość typową - jak sądzę - dla stosunków panujących w ZSRR.

Otóż był on zatrudniony w przedsiębiorstwie transportowym gdzieś w głębi Rosji, w okolicach Saratowa. Kiedy ZSRR zajęł terytoria należące do Polski, oddalagowano go na zachód, do obsługi linii autobusowej ze Starej Wilejki do Mińska. Tak wielu Rosjan otrzymało wtedy podobne przeniesienia, że zabrakło dla nich mieszkań. Do piątej rano mógł spać w autobusie, który na noc przyjeżdżał do Wilejki. Ale potem, zgodnie z rozkładem jazdy, ^{autobus} wrócił z powrotem do Mińska. Tak więc Amstow, nie mając się gdzie podziąć między godzinę 5 a 8, to jest do czasu otwarcia swego biura musiał spacerować po ulicach, bez względu na pogodę i porę roku. Trwało to kilka miesięcy. W tym czasie wysłał oczywiście kilka podań do swoich władz prosiąc, aby odwołano go do domu, albo przydzielono mu mieszkanie. Oczywiście podania ~~te~~ pozostały bez odpowiedzi. Żyjąc w ten dzinaczny sposób, zmęczony i chronicznie niewyspany, wpadł wreszcie na genialny pomysł. W owym czasie wszedł w życie w ZSRR nowy przepis prawny, na mocy którego nieusprawiedliwiona nieobecność w pracy, karana miała być sześcioma miesiącami więzienia. Postanowił więc zrobić użytek z tego przepisu i przez kilka dni nie stawił się do pracy. Tak jak przewidział, aresztowano go i skazano zgodnie z przepisem. Równocześnie, został też karnie zwolniony z pracy w swoim przedsiębiorstwie. Po odsiedzeniu wyroku będzie miał możliwość powrotu do domu, do Saratowa. A niczego innego bardziej nie pragnął. Szóstym miesiącem więzienia wydawało mu się racjonalną ceną za możliwość powrotu do rodziny. - "A w końcu wyępię się tu nareczcie za wszystkie czasy, nie będę moknął na deszczu i ziemi" - powiedział z satysfakcją.

Ten chytry podstęp sowieckiego obywatela wywarł na nas niemałe wrażenie.

Najosobliwszym przypadkiem w mojej nowej celi była sprawa pana Katza. Urodzony w Wilnie, przed wojną był znanym działaczem Komunistycznej Partii Polski, wielokrotnie przez władze polskie więzionym za działalność wywrotową.

Katz był bardzo zaskoczony, kiedy on, komuniata, a w dodatku członek Kominternu został aresztowany, gdy zaś odczytano mu wyrok:

mu wyrok: pięć lat obozu pracy, omal nie dostał zawału serca. Ale nie nattym polegało jego największe rozczarowanie. Otóż kilka lat przesiedział on w jednym z najcięższych więzień polskich, we Wronkach koło Poznania. W "reakcyjnej" i "faszystowskiej" Polsce będąc więźniem politycznym korzystał z licznych przywilejów: jego cela zamknięta była wyłącznie w nocy, w ciągu dnia mógł przebywać na dworze, grać w piłkę, rozmawiać z przyjaciółmi. Wolno mu było otrzymywać gazety i czasopisma, paczki żywnościowe, nawet z owocami i słodyczami. Miał prawo do ocenzurowanej wprawdzie, ale nieograniczonej korespondencji, wygodne łóżko, czystą pościel, kąpiel raz na tydzień. Miał też dobre wyżywienie i czyste, schludne otoczenie oraz możliwość zakupów w więziennej kantynie. Na koniec wreszcie: w celi było ich tylko pięciu.

Teraz Katz porównywał to wszystko z obecnymi warunkami w więzieniu sowieckim i właściwie nie umiał już rozmawiać o niczym innym. On, który walczył z poświęceniem o wprowadzenie komunistycznego ładu w kapitalistycznej Polsce, dopiero teraz nie mógł wybaczyć sobie własnej głupoty.

Na kilka dni przed moim wyjazdem z Wilejki, do naszej celi wepchnięto dwóch mężczyzn, zupełnie ogłupianych więźniaków białoruskich. Obaj mieli po siedemnaście lat i obaj dostali po pięć lat obozu pracy.

W ich rodzinnej wiosce odbywało się wesele i jak to na weselu, wywiązała się bijatyka. Nic zresztą poważnego. Ale zostali aresztowani i skazani. Byli to zresztą całkiem spokojni, ograniczeni wiejscy chłopcy, dla których bijatyka na weselu, była czynem najbardziej normalnym pod słońcem.

Teraz nic z tego wszystkiego nie potrafili zrozumieć. I chociaż odczytano im wyroki, nie mogli uwierzyć, że naprawdę będą musieli całe pięć lat przepracować w obozie. Do końca przepuszczali, że ich się tylko straszy, tak jak nauczyciel w szkole straszy postawieniem do kąta.

x x x

Rozdział IV

TAJGA I DRUT KOLCZASTY

Dwudziestego siódmego października 1940 roku zamknęły się za nami bramy więzienia i wynaszerowaliśmy na stację Stara Wilejka. Miałem wiele szczęścia, mimo wieczornego mroku, ścisłości i zamieszania - udało mi się spotkać moją żonę i całą drogę szliśmy ramię przy ramieniu.

Dostałem od niej trochę chleba i cukru, które zaszczydziła dla mnie, i ja też odwzajemniłem się tym samym. Był to jedyny sposób okazania naszych uczuć, tęsknot i przywiązania. Nasze spotkanie trwało bardzo krótko, tyle ile droga z więzienia na stację. Następnie ~~miało się~~ ^{odjechać} dopiero w 1947 roku w Warszawie.

Załadowano nas do wagonów towarowych, po czterdziestu do każdego i drwiliśmy się zamknęły. Pociąg stał jeszcze na stacji dwie doby, zimno było przenikliwe, zapasik drewna do żelaznego piecyka niewielki. Dostawaliśmy do wagonów tylko chleb i wodę w niewielkich ilościach, zbyt małych by ugasić pragnienie. Wreszcie pociąg ruszył.

Naprawdę jednak zięb zaczął doskwierać nam dopiero w czasie jazdy. Nasz skromny zapasik drewna wypaliliśmy jeszcze na stacji, popełniając błąd nowicjuszy, bo nikt opału nie uzupełnił. Ci którzy zajęli miejsca na górnych pryczach mogli wprawdzie wyglądać przez okienka, ale wiało tam jeszcze gorzej. U nas z kolei na dole, było może trochę cieplej, ale za to kompletnie ciemno.

Dwa razy dziennie, w czasie postojów odbywała się obowiązkowa "prowierka". Dzienna racja żywnościowa składała się z porcji rozgotowanej kaszy, na pół zgniłej ryby i chleba. Nie głód jednak dokuczał nam najbardziej, lecz pragnienie. Stały brak wody. I nie wynikało to wcale z celowego okrucieństwa,

czy chęci zadawania nam dodatkowych cierpień. Dostarczenie wody kilku setkom ludzi, oznaczało dla strażników nadprogramową robotę. Nikt im tego nie nakazał, nikt nie wydał rozkazu, więc po co? Komendant transportu nie zajmował się takimi drobiazganiami, jego podwładni zaś nie widzieli żadnego powodu by użyć doli więźnia. Byliśmy zwykłym transportem jakichś setki a może tysiące przyszło im konwojować w ciągu lat służby.

Udręczeni pragnieniem zaczęliśmy walić w drzwi i krzyzczać. Strażnicy słyszeli nas oczywiście, kręcili się obok wagonu, ale żaden z nich nie zareagował. W końcu jednak jeden z nich stracił ~~na~~ cierpliwość, uchylił drzwi wagonu i zaczął dziko na oślep tłuc kijem po nogach najbliższej stojących a następnie zamknął drzwi wagonu. I to była jedyna reakcja.

Dotarliśmy wreszcie do jakiegoś większego węzła kolejowego. Padła komenda "wychadicie". Osłabieni, ledwie trzymając się na nogach, staliśmy zbici w gromadę jak stado owiec. Wzdłuż torów, jak okiem sięgnąć niekończące się rzędy wagonów towarowych. Dochodziły z nich krzyki i stukania nie było więc wątpliwości. Transporty więzienne. Odczytałem nazwę stacji: Orsza.

Była odwilż, staliśmy po kostki w mokrej mazi. Strażnicy zgonili kilka setek ludzi w jedno miejsce i padła komenda: "na kolana" poparta szczerzeniem zamków karabinów.

Ugięliśmy nasze odrętwiałe nogi i uklękliśmy w lodowatym błocie. Teraz wiem, że zimno przysparza więcej bólu niż oparzenie, ale wówczas doświadczyłem tego po raz pierwszy. Parę osób zemdlało. Rozlegały się jęki i krzyki protestu. Poblądzy na twarzy z gniewu i zimna doktor Grunhut z Krakowa, głośno protestując krzychał po rosyjsku, że w Związku Sowieckim zabronione są tortury.

Strażnik tęgi i flegmatyczny, głosem perowazji raczej niż złości, próbował go uspokoić:

- Zamknij mordę i przestań się wygłupiać. Nie rozumiem, że tak nam łatwiej jest was pilnować. Kiedy stoicie, nie widzę waszytkich. Jakiś mały może schować się za dużym i uciesć. A ja za was odpowiadam. Ilość musi się zgadzać. Wcale nie chcę was męczyć. Od klęczenia nikt nie umarł, to przecież głupstwo.

Mamy swoje instrukcje i sami wiemy, że w Związku Sowieckim nikogo torturować nie wolno!"

Kłęcząłem w pierwszym szeregu i wszystkie moje zmysły paraliżowało przenikające zimno. Nagle jednak zobaczyłem coś, co pozwoliło mi zapomnieć o cierpieniu i upokorzeniu. Tuż przed nami otworzyły się drzwi i spostrzegłem, że jest to transport kobiet. Jedna z nich wyskoczyła na ziemię, w otwartych drzwiach zobaczyłem znajomą sylwetkę mojej żony.

Zacząłem krzyczeć i desperacko machać rękami, chcąc zwrócić jej uwagę. Spostrzegła mnie i również pomachała ręką. Ale widocznie zmieniły się rozkazy, bo ta która wyskoczyła, została zawrócona, a drzwi wagonu zamknęły się na powrót. Wkrótce transport kobiety ruszył.

Nie wiem jak długo kłęczeliśmy, zapewne kilka godzin. Kiedy padła komenda "wstawać" prawie nikt nie mógł jej wykonać. Nogi nie chciały się wyprostować. Dolna część skostniałego ciała nie chciała słuchać górnej.

Znowu załadowano nas do wagonu. Tym razem dostaliśmy goręzy niż poprzednio. Szpary w deskach były większe a piecyk mniejszy.

Ci, którzy zajmowali górne prycze przy okienkach, mówili tym na dole, co widzą. Przejechaliśmy most nad szeroką rzeką. Ktoś lepiej zorientowany twierdził, że jest to Wołga w okolicach Jarosławia. Jedno było niewątpliwe - jechaliśmy na północ.

Wkrótce znowu skończył się nasz zapas drewna opałowego i znowu nie dano nam nowego. Z opalem jest dokładnie tak samo, jak z wodą. Nikomu nie chce się sobie zawracać głowy z dostarczeniem drewna, bo przecież nikt nie będzie odpowiadał, za to kilku więźniów zamarźnie na śmierć. Komwojantom jest najzupełniej obojętne w jakich warunkach podróżują więźniowie. Aby tylko ~~była~~ ilość się zgadzała, a czy dojadą żywi czy martwi - "wsio rawno".

Oczywiście protestowaliśmy w sprawie opału tak, jak w sprawie wody krzyząc i waląc w drzwi wagonu. Skutek był identyczny jak poprzednio. Za to, przy każdej "prowierce" zaczęto teraz starannie sprawdzać czy aby nie spaliliśmy prycz.

Po raz pierwszy w życiu zostałem poddany torturze długotrwałego przemarzania. Jeśli już koniecznie chce się we wszystkim doszukiwać tej drugiej, lepszej strony, to w tym wypadku jedno można tylko uznać za czynnik pozytywny: zamierzają wszelkie ^{inne} doznania, nawet instynkt strachu i głód.

Jedną ucieczką od tej tortury jest sen. Sen zaś oznacza śmierć. Wobec mrozu trzeba zmobilizować całą siłę woli, całą energię albo poddać się i zginąć. Stopniowo stawałem się coraz bardziej obojętny na wszystko, nie potrafiłem jednak przywyknąć do zimna. Obserwowaliśmy się nawzajem i budziliśmy jeden drugiego, jeśli ktoś usnął zbyt głęboko. Podczas snu przychodziły cudowne, fantastyczne wizje i tym przykrzejsze stawało się przebudzenie i otaczająca rzeczywistość. Wreszcie zapragnąłem już tylko jednego: wydostać się za wszelką cenę, bez względu na to co się stanie, żywy czy martwy. Z pewnością, żadna podróż nie może być bardziej okropna.

O, jakże się myliłem. Nasz transport nie był jeszcze wcale taki zły w porównaniu z tymi, w których podróżuje się z więźniami rosyjskimi. Nie potrafiłem wtedy jeszcze docenić faktu, że wszyscy w naszym wagonie byli "zapadnikami", a więc ludźmi wyrosłymi na wspólnej kulturze, kierującymi się wspólnymi nakazami i ograniczeniami moralnymi, wspólnym impulsem. W naszym wagonie byli Polacy, Białorusini, Żydzi i kilku Bałtów, wśród nich zaś paru intelektualistów, lecz w większości chłopci, robotnicy, drobni rzemieślnicy - słowem proletariatus. Ale czuliśmy się ze sobą bezpieczni. Nikt nie musiał pilnować swoich rzeczy, nikt nikomu nic nie ukradł. Biorąc zaś pod uwagę warunki, brutalne bytowanie, właściwie nie było przypadku większej swantury czy bijatyki.

Dzisiaj potrafię to docenić. Mimo całego koszmaru tej podróży czuliśmy się zjednoczeni poczuciem - instynktownym być może - przynależności do tej samej cywilizacji i więzi to wzmacniały się w zderzeniu z inną cywilizacją - a raczej jej brakiem. Nienawiść i pogarda jaką odczuwaliśmy wobec azjatyckiego porządku i jego niszcicieli, podświadomie kreowały wśród nas pewną solidarną wspólnotę silniejszą niż różnice jakie nas dzieliły: narodowość, poziom wykształcenia, odmienność poglądów, a nawet język.

Dlatego też chyba, z tych właśnie powodów "zapadnicy" gdziekolwiek spotykali się w ZSSR, od razu czuli więzy pewnej lojalności i otwartości oraz potrzebę wzajemnego współdziałania i pomocy. Oczywiście zdarzały się też wypadki - chociaż dość rzadkie - że i Rosjanie poczuli się do więzi z "zapadnikami". Ale raczej dotyczyło to głównie ludzi starszych, którzy ukształtowani zostali jeszcze przed rewolucją, albo intelektualiści, którzy przez pewien czas przebywali za granicą. Tacy prawie automatycznie przyłączali się do naszej "ligi".

Transporty składające się w większości z więźniów Rosjan są zupełnie inne. Przede wszystkim trzeba w nich pilnować wszystkiego przez cały czas, nie tylko rzeczy, nawet miejsca.

Zdradliwi, podstępni, wrodzy wszyscy wobec wszystkich, wywołują szczególną atmosferę, w której trudności samej jazdy są niczym w porównaniu z udawką moralną, jaką wytwarzają wokół siebie. I to wcale nie dotyczy tylko elementów kryminalnych.

Pewnego razu, w transporcie, gryzłem swój kawałek suchego chleba a współtowarzysz niedoli wyrwał mi go z ręki i pozerł natychmiast grożąc mi przy tym nożem. I nie był to wcale dziczyzna urka, ale rosyjski inteligent, człowiek wykształcony, inżynier. Zdarzyło się to w 1946 roku, ale mogło się zdarzyć w każdym miejscu i o każdej porze.

Nasz transport składał się w większości z ludzi ciężkiej pracy fizycznej - głównie z chłopów - i ci najlepiej znosili trudy. Byli przede wszystkim bardziej praktyczni, odporni i mieli większą umiejętność przystosowania do złych warunków. Byli też znacznie lepiej ubrani niż np. inteligenci, wyglądający wręcz groteskowo w swoich letnich okryciach, półbucikach i kapeluszach przy temperaturze -10°C w wagonie.

Dzięki faktowi, że jechałem z "zapadnikami" uniknąłem też jeszcze jednej formy tortury: niesamowitego brudu i smrodu okiekrementów w których tonęło się wręcz na podłodze wagonu, co jest regułą w transportach zdominowanych przez więźniów sowieckich. Każdy z nas korzystał z dziury w podłodze wagonu specjalnie w tym celu wyciętej. I nie trzeba było nic ustalać, umawiać się czy organizować. Nikomu nie przyшло do głowy,

że można zachować się inaczej. Rosyjscy więźniowie nie dają się nawet nakłonić do takiego postępowania.

Byliśmy w drodze już tydzień, każdy obrót kół przesunął nas na północ, coraz dalej i dalej. Każdy też dzień wydawał się zinniejszy i ciemniejszy od poprzedniego. Ci przy okienkach niezmiennie powtarzali to samo: śnieg i las, las i śnieg i ani żywej duszy.

Nareszcie, pewnej nocy ktoś dostrzegł w oddali, blade, migotliwe światła, która stopniowo zaczęły stawać się coraz bardziej wyraźne i bliskie.

Wjechaliśmy w obóz ogrodzony wysokim drewnianym płotem lub raczej palisadą, zwieńczoną u szczytu poczwórną linią drutu kolczastego i tworzącą coś w rodzaju ogromnej zagrody w formie odmiokęta. W każdym kącie zagrody wznosiła się wieża obserwacyjna z ruchomymi reflektorami. W ich wędrującym świetle dawały się dostrzec rzędy prostokątnych, drewnianych pudełek, przykrytych śniegiem i słabo widocznych w śnieżnym krajobrazie. Bez wątpienia - baraki. Czy to jest miejsce naszego przeznaczenia? Pociąg zwolnił tempo, ale nie zatrzymał się. Minęliśmy zagrodę i na powrót zapadliśmy w ciemność.

- Znowu widzę światła - zawołał obserwator przy okienku. I po pewnym czasie znowu wjechaliśmy w identyczną jak poprzednio zagrodę otoczoną drutem kolczastym i z reflektorami na wieżach obmacujących teren.

Nasze zaciekawienie rosło z minuty na minutę. I ja, pokonując zmęczenie wciągnąłem się na górną półkę i udało mi się zobaczyć nawet coś więcej niż samą zagrodę, zobaczyłem ludzi. Maszerującą dwójkami wzdłuż toru kolumnę pod eskortą konwojentów.

Znowu wjechaliśmy w ciemność i znowu światła na horyzoncie i kolejna, taka sama jak poprzednie zagroda. Ktoś obliczył, że położone są one mniej więcej co 10-15 km jedna od drugiej. Ile ich minęliśmy, kilkanaście czy kilkadziesiąt - już nie pamiętam.

Wreszcie pociąg zwolnił, stukot kół ustał. Po paru szarpnięciach w przód i tył stanęliśmy. Czy dotarliśmy już do

miejsca przeznaczenia czy też jest to kolejny jeden z codziennych, niezliczonych postojów? Ale wokół, choć jesteśmy w szarym polu, rozpoczyna się ruch, słychać otwieranie drzwi wagonów, ujadanie psów, krzyki komend. Wreszcie przychodzi kolej na nas.

Przed wagonem oficer NKWD, dwóch żołnierzy, pies.

- Ci, których wywołam mają natychmiast podać imię, imię ojca, rok urodzenia, artykuł w którego zostali skazani i długość wyroku. Z trudem przychodziło mu odczytywanie naszych nazwisk i przekręcał je na rosyjski sposób.

- Ekart - usłyszałem i rozpocząłem recytację:

- Antoni, syn Stefana, urodzony w 1912 roku, artykuł 84, trzy lata.

- "Wychadź". Wskoczyłem z wagonu i dołączyłem do reszty swoich towarzyszy klęczących na śniegu w czterech szeregach. Opróżniono w ten sposób jeszcze trzy wagony i pozwolono nam wstać. Padła komenda: "naprzód". Utrudzeni niechętną podróżą, odrętwiali ruszyliśmy niemrawo. Nogi odmawiały posłuszeństwa, mój plecak, lekki przecież, zawierający kilka łachów, ciążył teraz jak kamień młyński. Ale na szczęście marez był krótki. Za niewielkim wzniesieniem objawił się ~~nam~~ ~~znowu~~ znajomy widok: wysokie ogrodzenie, drut kolczasty i wieże strażnicze.

- Trzy lata - pomyślałem przechodząc przez bramę - to nie jest tak źle. Inni dostali dziesięć ...

Nasz obóz nazywa się Ł P F, co oznacza "Łagierpunkt F" i należy do grupy, czy też może raczej kombinatu obozów Kargopol-Łag. Słyszę tę nazwę po raz pierwszy i nic mi ona nie mówi. Nikt z nas dotąd w Łagrze nie siedział i nikt z nas nie zna na tyle Rosji, by wiedzieć gdzie ten Kargopol właściwie leży. Jest dopiero 3 listopad a tu zima w całej pełni.

Pierwsza noc w nowym baraku, nowe wozy i biegunina szczerów, ale usnąłem od razu ciężkim kamiennym snem. Pierwszy raz od dziesięciu dni nie czułem zima. Rano niespodzianka, nikt nas nie wysyła do żadnych robót, ale też rychło wyjaśnia się, że jesteśmy dopiero w obozie przejściowym czy etapowym, skąd

więźniowie rozcyłani są do obozów właściwych. Zawieramy nowe znajomości. Wieczorem przychodzi do nas nowo przybyłych inż. Pielejew, Rosjanin mówiący po polsku. Chwali się, że do 1915 roku chodził do szkoły w Warszawie. Ktoś pyta go za co siedzi?

- Za co? - uśmiecha się - "tylko nowi przybywają, zagranicznicy, zaczynają od takich pytań. Przecież i tak nic nie zrozumiecie. A żeby coś zrozumieć, trzeba tu jakieś czas poznać".

Ale jednak opowiedział swoją historię. Został aresztowany w czasie wielkiej czystki, kiedy naprawdę niewiele było trzeba, by znaleźć się pod kluczem. Po prostu jego matka mieszkała w Warszawie, utrzymywali korespondencję - pisali listy, matka przysyłała mu paczki.

- "Acha, przysyłała wam paczki ... Znaczą pisaliście jej, że u nas, w Związku Radzieckim są trudności z żywnością" - stwierdził oficer NKWD w czasie procesu. Artykuł 58 paragraf 6 - 10 lat obozu pracy przymusowej za szpiegostwo.

- Wy naprawdę musicie chyba mieć źle w głowie, jeśli skarzyście się na warunki - powiedział nam później. Przecież tu jest wszystko co trzeba: baraki, prycze, kuchnia, łaźnia, izba chorych ...

Obóz jest zorganizowany i wyposażony. O o o c h o d z i ?
Trzeba było przyjechać tu w 1937, wtedy kiedy ja ... Wtedy tu zupełnie inaczej wyglądało ... Nasz transport 700 więźniów wylądowano w szczerym polu. Najpierw 150 km maszerowaliśmy w śniegu po pas. Wreszcie komendant zarządził: "tu zostajemy". Wokół był las, śnieg i mróz i gołe niebo. Więc spaliliśmy w śniegu, do czasu nim zbudowaliśmy sobie baraki. Przez wiele miesięcy odżywiłiśmy się breją z mąki rozgotowanej nad ogniskiem, w wodzie z rozpuszczonego śniegu. Wtedy było naprawdę trudno. Ale nie dziś. Każdy, najzwyklejszy strażnik był panem życia i śmierci więźnia, mógł go zastrzelić kiedy mu się spodobało, albo kiedy mu się spodobała jakaś rzecz więźnia czapka czy sweter. Strażnicy mieli nieograniczoną władzę a byli to półdzicy azjaci. Dopiero później NKWD położyło na tym rękę. Wielu strażników i nadzorców trafiło do więzienia ... Ale wtedy.... Z 700-osobowej grupy po pół roku zostało nas

230 osób. Za niewykonanie normy, latem przywiązywano nas nagi do drzewa a zimą zakopywano w śniegu.

- Wlu, spośród tych 230 przeżyło do dziś? - zapytałem.

- Ci, którzy starali się przetrzymać, przetrzymali - padła dyplomatycznie odpowiedź - ale nie wielu. Ja należą do najsterazszych więźniów w tym obozie. I radzę, jeśli chcecie i wy przetrzymać, musicie dostać się na f u n k c j ę. Inaczej nie dacie rady.

Przypominam sobie, że to Bielajew był pierwszą osobą, która wymówiła słowo "funkcja" - ale nie miałem pojęcia, co to oznacza.

Po paru dniach pobytu w obozie stepowym, w grupie około 300 więźniów zostałem przeniesiony do innego obozu i dopiero tu miała się rozpocząć moja prawdziwa kariera łagietnika.

A zaczęła się od łaźni. Brudna, wąska mroczna ziemianka, w której trzęsąc się z zimna dostaliśmy po kwarcie letniej wody. To wszystko. W tym czasie, nasze rzeczy zabrano do odwieszenia. Dziś już wiem, że odwieszenie jest najdogodniejszą okazją okradania nowo przybyłych z najlepszych części ich garderoby, ale zaczynałem wtedy dopiero poznawać życie w obozie. Więc zapłaciłem frycowe. Zamiast swojej porządnej koszuli dostałem stary pocerowany i przetarty łaż. Mogłem zresztą nie dostać nic - "spaliło się podczas suszenia" - brzmi zazwyczaj odpowiedź, jeśli poszkodowany zbyt natrętnie dopomina się o swoją własność.

Nia jednak zdążyłem pogodzić się ze świeżo poniesioną stratą, zapędzono nas do baraków, prymitywnych i nieogrzanych. Podwójne prycze, jedna nad drugą. Żadnego posłania, gołe dechy. Spać mieliśmy w ubraniach. Rano powiedziano nam, że nasz obóz nazywa się Aleksiejowka II i jest czymś w rodzaju - jeśli można to tak nazwać - filią głównego obozu Aleksiejowka I.

Był 7 listopad. Wielkie narodowe święto. Rocznicą Rewolucji Październikowej. W całym Związku Radzieckim dzień wolny od pracy, ale nie dla nas więźniów. No tak, byliśmy przecież tylko "wrogami ludu".

x x x

Rozdział V

ŁAGIER

Taszczy my pnie drzewa ośmionetrowej długości - od skraju lasu na plac przed stacją kolejową, w mrozie i głębokim śniegu. Śnieg tu pada ciągle, mam na nogach wareszawskie półbuty, nie mam rękawiczek. Strażnik pogania bezlitośnie nie dając chwili na oddech: "bystrei, bystrei". Z wysiłkiem trzymam się na nogach, serce podchodzi do gardła, robi się ciemno przed oczami i przestaje myśleć. Krótkie chwile świadomości uznają się jedno: potworne, wazechogarniające zmęczenie.

Popadłem w stan jakiegoś zupełnego otumanienia. Trwało to dwa miesiące /może więcej/, równie dobrze mogło trwać i rok. Nie wiele z tego okresu zapamiętałem. Odreutowałem umysł odnotowywał fakty pomieszane i bez związku. Zmęczenie wyłączyło wolę i wyobraźnię w tych warunkach nieprzydatne na nic. Poddałem się swemu losowi. Nie byłem świadomy tego, co mnie otacza. Nie znałem jeszcze języka i to dodatkowo utrudniło mi egzystencję. Nie mogłem skorzystać z doświadczenia innych więźniów - Rosjan, którzy przebywali tu dłużej. Nie miałem też pojęcia o samej organizacji życia w obozie, wazyeskiego musiałem się dopiero uczyć. Pobudka, zbiórka, apel, wymarsz, jedzenie, "powierka" - i znów wazyesko od początku. Dzień mijał za dniem, jeden podobny do drugiego. Wiedziałem tylko tyle, że najwyższą władzę jest brygadzieta. On wyznacza pracę - wydaje polecenia. To wazyesko.

Ale noce były jeszcze gorze. Nie mogłem spać. W baraku panował bezustanny ruch, hełas bez chwili spokoju. Miałem 300 współtowarzyszy niedoli to trzysetu udręczonych i przepracowanych ciał ludzkich, którym i sen nie przynosił ani ulgi, ani też wypeczynku. Złe odzianie, wazyesko niedożywieni /marna wodnista strawa/, przeziębione pęcherze, na zewnątrz mróz sięgający -40°C . Wazyesko to sprawiało, że jeśli ktoś potrzebował

wyjść na zewnątrz /a zdarzało się co chwilę/ musiał się całkowicie ubierać. I tak trwało to całą noc. Jeden wchodził, drugi wychodził, ktoś dręczony koszmarami krzyczał przez sen, inny chrapał, nieustanne szepty, rozmowy, kłótnie, i oczywiście szczury.

Szczury to oddzielny rozdział. Tłuste i ogromne jak koty z długimi, ruchliwymi ogonami. Odważne i agresywne, nie bojące się ludzi, biegały po całym baraku, po podłodze, pryzkach, po ludziach. Powiadano w obozach, że wypasają się na zwłokach zmarłych więźniów, niedbale grzebanych w płytkich, masowych grobach - i zapewne była to prawda.

Szczury bezczelnie grzebały w naszych plecakach, które służyły za poduszki i szafki, bo wielu trzymało w nich odłożone na później okruchy chleba. Były mądre i przebiegłe. Nieustannie czuło się ich obecność, bliskość ich kosmatych ciał, ostre pazury tuż koło siebie, przy twarzy. Widziało się ich blyszczące oczy obok swoich oczu.

Szczurów było tak wiele, że wszelka walka z nimi z góry skazana była na niepowodzenie, z góry przegrana. Nikt zresztą z nimi nie walczył. "Jeśli nie możesz pokonać to musisz polubić" - powiadają starzy, doświadczeni więźniowie. Nie polubiłem. Bałem się ich. W kilka lat później, w innym już obozie, gdy pracowałem w szpitalu, widziałem człowieka, któremu szczury żywcem obgryzły uszy. Przekonałem się, że mój instynktowny lęk i obrzydzenie nie były przesadą.

"Starszym" naszego baraku, a zatem przełożonym i odpowiedzialnym za ład i porządek - był żydowski kupiec z Baranowicz, o nazwisku Korzeń. Powiadano, że osiągnął swoje ważne w więziennej hierarchii stanowisko dzięki rzeczom, które posiadał a następnie ofiarowywał odpowiednim osobom. Powiadano też, że był półoficjalnym informatorem NKWD mającym za zadanie szczególny nadzór nad naszą grupą "zapadników". W tym celu zorganizował siatkę swoich "asystentów" czyli donosicieli, którzy otrzymują za to trochę lżejszą pracę i dodatkową misę jedzenia.

Najprzykrzejszy w obozie jest zawsze "podien" czyli pobudka. O piątej rano ktoś wali kawałkiem żelaza w inny kawał

żelaza zawieszony u belki eufitowej i od razu trzeba się spieszyć, bo czas przeznaczony na ubranie się i śniadanie jest bardzo krótki. Później za to musimy stać godzinami przed bramą obozu w oczekiwaniu na "rozwod". Jest ciągle jeszcze ciemno. Stoją więc uszykowani w kolumny marszowe i czekamy na swoją kolej. Trwa to długo ponieważ każdy wychodzący przez bramę musi wyrecytować wartownikowi swoje nazwisko, imię i imię ojca, rok urodzenia, artykuł i wyrok. Za bramą w brygadach odbywa się rozdzielanie narzędzi za które odpowiedzialny jest brygadier. "Strielok" codziennie powtarza to samo: "krok w lewo, krok w prawo jest próbą ucieczki strzelam bez uprzedzenia". Maszerujemy.

Jeśli śnieg jest głęboki, sam marez jest już wystarczające męczący. Często do miejsca robót trwa on dwie godziny. Czas jest tak wyliczony, że na miejscu pracy zjawiamy się wraz ze świtem a praca trwa do zmroku. Czas drogi nie jest w nią wliczony. Tak więc latem pracujemy dłużej a zimą krócej, ale nie mniej niż 14 godzin. Zgodnie z rozporządzeniem GULAG-u /Centralny Zarząd Obozów Pracy NKWD z siedzibą w Moskwie/ czas pracy więźnia jest o dwie godziny dłuższy niż wolnego. Podczas wojny trwał 12 a po wojnie 10 godzin. Ale oczywiście teoria sobie a praktyka sobie. Żaden komendant obozu nie zwraca sobie głowy przestrzeganiem czasu zatrudnienia więźnia, interesuje go wyłącznie plan i jego wykonanie, zwłaszcza, że wszystkie ewentualne skargi czy protesty więźniów i tak idą drogą służbową a więc wprost do administracji obozowej. I nie słyszałem żeby kiedykolwiek taka skarga skończyła się dobrze dla skarżącego.

Organizacja pracy wygląda mniej więcej tak: za całą pracę oddziału roboczego odpowiada brygadzieta. On sam jest więźniem, ale nie musi pracować i otrzymuje nieco lepsze jedzenie i ubranie. Aby utrzymać swoją, uprzywilejowaną pozycję musi ze swej brygady wycisnąć tyle pracy ile się da. Pod koniec dniówki, pojawia się "diesiatnik" - on też jest więźniem, ale podlega mu kilka brygad i ma przywilej poruszania się bez straży. Przyjmuje raport od brygadziety o wykonaniu planu i wyznacza zadania na następny dzień. Oczywiście w porozumieniu z "normirowszczykiem", to jest specjalistą od norm i planów.

Normy i plany ... Jest to sprawa zawiła i w uproszczeniu wygląda tak: jeśli na roboczo dniówkę, na jednego robotnika nałożono normę 5 m³ drzewa to brygada składająca się z dziesięciu robotników aby wykonać normę w 100 procentach musi "przerobić" 50 m³, jeśli zaś uda jej się "przerobić" np. 75 m³ wtedy osiągnie 150% normy i właśnie ten procent normy przypada na brygadziście oraz uznaniowo na jego ludzi. Jest to zasada podstawowa.

W tłumaczeniu na język zwykłego więźnia bowiem te normy i procenty oznaczają po prostu jedzenie, albo głód i śmierć z wyniszczenia. Nic więc dziwnego, że toczy się o nie ciągła, twarda i nieustępliwa walka.

Ale na szczęście nie zawsze i nie każda robota może być dokładnie zmierzona, obliczona i ustalona. Więc pozostaje dość szeroki margines uznania. Przez brygadziście w stosunku do jego robotników i przez "diesiatnika" do brygadziście. I tu otwiera się szerokie pole określane powiedzeniem: "karandasz zdziejalet" tzn. "zrobi to ołówek" oraz nowe pojęcie bez którego zrozumienia, nie można zrozumieć nic. Nazywa się to "błat". "Błat" jest rodzajem gentleman agreement opartego na korupcji czyli "Ja Tobie - Ty Mnie". Oczywiście dzisiejszemu czytelnikowi nie ma sensu tłumaczyć co to jest "błat" - ale w tamtych czasach, zetknąłem się z tym zjawiskiem po raz pierwszy i długo trwało zanim się go nauczyłem.

W każdym razie, każdy z każdym chciał pójść na ów układ - "na błat". Brygadziście z diesiatnikiem i normirowaczkiem a diesiatnik z prorabem, który był jego zwierzchnikiem i pełnił jedną z najwyższych funkcji w hierarchii obozu. Był również więźniem, ale jednocześnie czymś w rodzaju dyrektora robót i prawą ręką komendanta w sprawach organizacyjnych.

Wszystko to, przyszło mi zresztą zrozumieć dopiero znacznie później. Teraz w Aleksiejewce II codziennie walczyłem o to, by przetrwać owe 14 godzin pracy w moim żalonym stanie, nie mówiąc już o ubraniu.

Więzień, regulaminowo powinien otrzymać kazonną fufajkę, także portki oraz buty walenki, albo przynajmniej kalosze zrobione ze starych opon samochodowych. Ale jak zwykle regulaminy swoje i praktyka swoje. Przydziały owych ubiorów od-

bywały się bardzo rzadko i traktowano je jako rodzaj nagrody lub premii dla najlepszych. Nie miałem więc na co liczyć.

W Aleksiejewce II nie było stołówki. Po powrocie z pracy trzeba było się ustawić w kolejce, znów na mrozie przed okienkiem, z którego wydawano jedzenie. I stać trzeba było nieraz ponad godzinę.

Były trzy takie okienka. Numer jeden był najgoręzy, przeznaczony dla tych, którzy nie wykonywali normy. Numer dwa dla wykonujących normę i numer trzy dla "przodowników" - którzy przekraczali normę o więcej niż 125%. Chleb rozdzielano według tych samych zasad: od 300 do 900 gramów dziennie. ~~Tym~~^{Ci}, którym udało się wykonać ponad 125 procent normy lub więcej mieli jeszcze prawo dodatkowego zakupu w kantynie obozowej specjalnej racji chleba - dalszych 300 gramów, ale już za własne pieniądze. Takich uprzywilejowanych było jednak zaledwie kilku na ponad tysiąc więźniów naszego łagru. Zresztą więzień miał szansę tylko przez krótki okres czasu korzystać z tego przywileju, utrata energii była i tak znacznie większa niż wartość odżywcza tej dodatkowej racji.

Wydaje się prawdopodobne, że nawet same najwyższe władze GULAG doszły do wniosku, że my "zapadnicy" nie nadajemy się jednak do tej najcięższej, morderczej roboty. Krążyły na ten temat najróżniejsze plotki, w każdym razie norma przypadająca na "zapadnika" została zredukowana o 50 procent. Ale i tak zaledwie nielicznym z nas udawało się ^{ją} wykonać i to z największą trudnością. Mnie nie. Po prostu nie byliśmy przystosowani; warunki klimatyczne, brak właściwej odzieży - nasze ubrania były permanentnie przemoczone - i fatalne odżywianie z zupełnym wyłączeniem tłuszczów i białka powodowały, że nasza niewielka obozowa izba chorych była ustawicznie przepelniona do ostatnich granic. Ciężej chorych przekazywano do Aleksiejewki I, gdzie podobno istniał szpital, ale takie transpory odbywały się rzadko, przypadkowo i okazjonalnie. Do tego czasu chory ze zwolnieniem lekarskim przebywać musiał w swoim baraku zdany na łaskę boską i opiekę współtowarzyszy.

W naszym baraku pierwszy raz w życiu zobaczyłem człowieka, który spuchł do tego stopnia, że trzeba było na niego przecinać koszulę i kalosony, bo nie dawały się ściągnąć a uciekając, sprawiały dodatkowy ból i przysparzały cierpienia. Był to naukowiec z Krakowa - nazwiska niestety nie zapamiętałem. Dla niego również nie starczyło miejsca w izbie chorych i umierał w baraku, oczekując na transport do szpitala.

Z dnia na dzień opadałem z siły. Po powrocie z roboty natychmiast waliłem się na swoją pryczę, niezdolny do żadnego dalszego wysiłku. Nie miałem siły ruszyć się z miejsca, nawet po misę strawy. Prawdę mówiąc, ta zupa miała niewielkie wartości odżywcze /kilka plasterków zmrożonych, niedogotowanych ziemniaków, pływających w wodzie/. A wyjście na mroź, przejście ~~tylko~~ kilkadziesiąt metrów do okienka, stanie w kolejce - wydawało mi się zadaniem już ponad moje siły. Zresztą przekroczyłem ^{już} chyba próg głodowych sensacji. Zaczynało mi być wszystko jedno.

Każdy jak mógł walczył o przetrwanie. Najlepiej mieli ci, którzy pochodzili ze wschodniej Polski, z terenów włączonych do Związku Sowieckiego, a ich rodzinom udało się uniknąć deportacji. Oni przynajmniej mogli otrzymywać paczki od najbliższych. Żywność i odzież, rzecz podwójnie cenna. Po pierwsze, stanowiła ważne uzupełnienie żałosnego bytowania łagiernego, a po drugie - otwierała możliwość pójścia "na błąt". A "błąt" ^{moż} mógł zdecydować o losie więźnia i dawał szansę przetrwania. Inni znowu starali się ratować szczególnymi uzdolnieniami, albo zawodowymi umiejętnościami. Szewcy, krawcy, fryzjerzy, stolarze - to byli najbardziej poszukiwani fachowcy.

Ja nie miałem nic do zafiarowania, poza moim burberry, garniturem, kilkoma koszulami i ^{parę} parą półbutów. Jednak mimo, że permanentnie marzyłem, że moje ubranie było wiecznie przemoczzone - długo nie mogłem pogodzić się z myślą o ich wymianie na rzeczy w obozie bardziej użyteczne.

Być może - podświadomie - posiadanie tego ubrania utwierdzało mnie w przekonaniu o przynależności do innego świata, dodawało pewności, że z Rosją, jej łagranami i całym tym porządkiem nie mam nic wspólnego, że znalazłem się tu przypadkowo, a moja sytuacja jest tylko przejściowym kaprysem losu. Miałem wiele propozycji wymiany moich rzeczy, ale opierałem się tej pokusie, jak długo to było możliwe. Wielu moich współtowarzyszy niedoła dawno już poddawała swoje rzeczy za dodatkowe porcje chleba czy machorkę - ja broniłem się do końca. Załamałem się dopiero, kiedy temperatura spadła do -40°C . I pierwsza moja transakcja odzieżowa okazała się znakomitym biznesem, za mój świetny niegdyś płaszcz, ale teraz już zniszczony przy pracy w lesie, otrzymałem ciepły kożuszek a za półbuty parę walonek.

Kiedy po raz pierwszy poszedłem do pracy w moym ekwipunku i opuściło mnie wreszcie uczucie przejmującego zimna, podziękowałem Bogu, że natchnął mnie dobrą myślą w odpowiednim czasie. Ale swój genewski garnitur jednak zatrzymałem. Wprawdzie nie dawał ciepła, za to podtrzymywał mnie na duchu przypominając dawne, przedwojenne, dobre czasy, dodając komfortu i nadziei na powrót. Marynarka służyła mi wiernie aż do końca /do 1946 roku/ i choć stała się przyczyną dodatkowych dokuczliwości ze strony NKWD, wybaczyłem jej to chętnie. ~~Była~~ ^{Ale} to ^{już} inna historia.

Wykonanie normy znajdowało się poza zasięgiem moich możliwości - żywiłem się więc, jak i większość w "karnym" okienku numer 1. To, że po prostu padnę, nie budziło najmniejszych wątpliwości i wydawało ^{mi} się już tylko kwestią czasu. Zapisalem się więc do lekarza. Kilka dni zwolnienia z pracy i nie przemarzania ~~zużycia~~, wydało mi się jedyną szansą nabrania odrobiny siły koniecznej do przeżycia.

Lekarz obejrzał mnie krytycznie i zdecydował: - "Jeszcze za wcześnie. Jeśli takich jak ty zacznę wysyłać na izbę chorych, to kto będzie chodził do roboty?"

Próbowałem mu wyjaśnić, że i tak nie ma ze mnie żadnego pożytku, ale jeśli przez kilka dni nabiorę trochę siły to praca tylko na tym zyska. Teoretycznie niby przyznawał mi rację, ale ~~na koniec~~ powiedział:

- Nie mogę. Jestem takim samym więźniem jak ty i muszę przestrzegać instrukcji. Popatrzył w moją kartę i dodał: - "między nami jest tylko taka różnica, że ja dostałem 10 lat a ty 3. Gdybym miał twój wyrok już dawno byłbym na wolności". I głową pokazał mi drzwi.

Dzisiaj zdaje sobie sprawę z tego, że ów lekarz spławił mnie dlatego, iż był przekonany, że nie pożyję dłużej jeszcze niż tydzień.

Niewiele osób zapamiętałem z Alksiejowki II, ale zawsze będę wspominał człowieka, któremu jestem winien wdzięczność - gdyż według mojej opinii - ocalił mi życie, wyrwając z zaklętego koła w jakim się obracałem: mniej pracujesz - mniej jadasz, mniej jadasz - masz mniej siły, więc mniej pracujesz itd. Wyrwał mnie z zaklętego kręgu, który mógł się skończyć tylko w jeden sposób.

Pewnego wieczoru, leżałem jak zwykle na swojej pryczy, zobojętniały na wszystko i apatycznie przyglądałem się spacerującym wszon, kiedy nagle usłyszałem "starszego" wywołującego moje nazwisko. Okazało się, że wzywa mnie sam "prorab".

Był to postawny mężczyzna w średnim wieku o doskonałych manierach, emanujący inteligencją. Jak się później dowiedziałem, w życiu przed obozowym był wybitnym specjalistą w zakresie budowy i eksploatacji elektrowni. Nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. W warunkach ^{LAGIERNYCH} ~~obozowych~~ bowiem, pełniona funkcja za nazwisko wystarczała, ale żywo mam w pamięci jego szlachetną twarz i niebieskie, mądre oczy.

Kiedy mu się zameldowałem, popatrzył na mnie jak nauczyciel na tępego ucznia:

- Jest pan wystarczająco inteligentny, aby zrozumieć czym jest praca fizyczna w obozie i ^{by} zdać sobie sprawę z dysproporcji wynikającej z niedostatecznego odżywiania a wyniszczającej pracy ponad siły. Nieprzyzwoyczajonemu inteligentowi daje to minimalną szansę. Prawdę mówiąc nie daje jej wcale.

- Wiem, ale co mogę zrobić?

- Po pierwsze, wyrwać się ze stada baranów. Tutaj obowiązuje zasada, że albo się je, albo się jest zjedzonym. Żywności nie wystarcza dla wszystkich, a ta która jest, jest nie

równie dzielona. Na to nic nie poradziły, ani pan ani ja. Nie dysponuje pan wystarczającą siłą fizyczną, ale dysponuje pan pan wykształceniem i inteligencją. To wystarczy by znaleźć się wśród tych, którzy jedzą. Innymi słowy musi pan znaleźć się na "funkcji".

- Tak, ale jak to zrobić?

- Trzeba iść śladem błat". Niech pan najpierw spróbuje zbliżyć lekarza, żeby dał parę dni zwolnienia i żywienie dla chorych, a później zobaczymy co się da zrobić.

- Ależ byłem u niego przedwczoraj i odesłał mnie z niczym.

- Mimo to niech pan spróbuje jeszcze raz. Doktor bardzo lubi ładną koszulę. Stara się wyglądać jak gentleman a nie tak nie dodaje wartości gentlemanowi w jego wieku, jak dobrze użyta koszula. Radzę panu natychmiast porozmawiać na ten temat z siostrą Anną Pawłówną.

Dał mi paczkę machorki na pożegnanie i kazał zgłosić się nazajutrz.

Biznes z koszulą powiódł się nadszpedziewanie. Doktor doszedł do wniosku, że ani surowe instrukcje obozowe, ani zasady etyki lekarskiej czy ryzyko odpowiedzialności nie stoją na przeszkodzie w wydaniu mi zwolnienia. To znaczy, nie zostałem zwolniony całkowicie, ale przeniesiony do lżejszej pracy - do sprzątania izby chorych. Polegało to na codziennym wyszorowaniu niesamowicie brudnej podłogi i umyciu trzydziestu wypełnionych piaskiem słuwczek.

Parę wieczorów spędziłem później na rozmowach u swego wybawiciela - "proraba". Okazało się, że znał Szwajcarię, zwłaszcza Zurich, gdzie studiował zasady budowy i eksploatacji elektrowni wysłany tam przez władze sowieckie.

- To były wspaniałe czasy - wspominał w rozmowie. Pomyśleć, że zwykły chłop, a się tam lepiej niż tu dyrektor wielkiego kombinatu ~~dy~~ minister. Czy można to komuś powiedzieć? Przecież nikt nie uwierzy a w najlepszym razie trafić można do więzienia za kontrrewolucyjną agitację.

- Za co pan trafił do łagru?

- Artykuł 58.10. - właśnie antysewicka propaganda. Wie pan, to nawet dla mnie była niespodzianka. W maju 1936 roku, nasz kombinat wysłał mnie na rok do Ameryki. Popłynąłem tam zresztą naszym "Batorym". To był jego inauguracyjny rejs. Doborowe towarzystwo, statek roił się od generałów, ministrów, pięknych kobiet. To było coś wspaniałego, nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem.

- A sama Ameryka?

- Ach, to się nie da opowiedzieć, ci tutaj... - zatoczył ręką koło - ci tutaj chcą się porównywać z Ameryką ... Dogoniliśmy Amerykę ... Przegoniliśmy Amerykę... Oczym tu mówić? Choćby poziom zamożności, stopień mechanizacji ... Oni tutaj opierają się nie na maszynach i urządzeniach technicznych, ale na wygłodniałych szkieletach ludzkich z łopatami w ręku, etachanowszczyźnie i całej tej propagandowej gadaninie. Tam się robotnikowi po prostu płaci. Robotnik jest wolnym, zadowolonym z życia człowiekiem. Zresztą sam pan wie ... Ale wiżo, że możemy sobie chociaż powspominać ... Wracałem na "Bremen" i znów lustra, kwiaty, wytworne towarzystwo, biżuteria pięknych kobiet. W Wolhelmshafen przesiedłem się na nasz "Sewastopol" i po czterech dniach wylądowałem w Lenigradzie. Już na trapie czekało NKWD. - "Inżynier taki a taki? - Tak, o co chodzi? No i zamknęli mnie. To był rok 1937. Rok wielkiej czystki. Wtedy trzeba było znacznie mniej, niż rok pobytu za granicę, by trafić do więzienia.

- U co konkretnie pana oskarżono?

- U co? Zabawne pytanie ... Po prostu, ^{Byłem} Byłem przez rok w Ameryce a przedtem w Szwajcarii. Widziałem jak tam wygląda, mogłem porównywać. "Trojka" /specjalne sądy doraźne działające podczas czystki 1937 roku, składające się z 3 osób/ wydała na mnie wyrok zaoczny.

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Do tej pory wydawało mi się, że władze pragną wynieść mniejszości, np. nas Półaków. Ale swoich własnych obywateli?

- To co się dzieje teraz, to już są niewinne igraczki w porównaniu z czystkami 1937 roku. Wtedy miliony, tak miliony ludzi zostało zesłanych do obozów. Więcej inteli-

gencji zlikwidowano wtedy niż w ciągu całej rewolucji październikowej...

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- Ja też o tym nie słyszałem, bo byłem wtedy w Ameryce. W przeciwnym razie, bym nie wracał.

- A siostra Nina Pawłowna? Za co ona?

- Za szpiegostwo, Artykuł 58,6 - osiem lat. Nie ma żadnej tajemnicy, wszyscy znają jej historię. Jest córką działacza WKP/b/ wysokiego szczebla, w czasach rewolucji bliźkiego współpracownika Lenina. W roku 1937 była na przyjęciu w moskiewskim "Metropolu" i kilka razy zatańczył z nią pewien japoński dyplomata. Później ów dyplomata odwiózł ją samochodem do domu ... To była wtedy piękna kobieta ... No i w kilka dni potem znalazła się na łubiance ...

W czasie pracy w izbie chorych zaprzyjaźniłem się z Marią Iwanowną Lempke, rosyjską Niemką. I ona również była "z trzydziestki siódemki", czyli z roku wielkich czystek. Była zawodową pielęgniarką w wieku około 50 lat. Nie pamiętam dokładnie słów, ale zapamiętałem sens tego, co mi pewnego razu powiedziała:

- Musi pan uwierzyć, że nie wyrządzono panu żadnej specjalnej krzywdy ani nieprawości. Jest pan w Rosji. A tutaj nawet na wolności ludzie mają się niewiele lepiej. W każdym razie dostaje pan w obozie zupełny kawałek chleba. Ja zaś w Nikołajewsku, w czasie likwidacji kułaków widziałam ludzi umierających z głodu, widziałam kanibalizm. Tak, tak, na własne oczy widziałam zwłoki, w których powykrasowano kawały mięsa. Tu w obozie w końcu zwłoki się grzebie.

Maria Iwanowna była małą osobą, wyróżniającą się bezpośrednią prostotą w obyciu z ludźmi, a jednocześnie była szczerą i wzbudzała zaufanie. Przy czym cieszyła się powszechnym respektem, nawet w obozowej administracji.

Zawsze wyprostowana, ubrana w biały czepiec i chusteczkę, samą swą schludnością, tak kontrastującą z otoczeniem - sprawia, że nie można jej zapomnieć.

Jeszcze jedną osobę zapamiętałem na całe życie z Aleksiejewki II, Łotysza o nazwisku Jameson - nauczyciela z Rygi, który cierpiał na podagrę. Lubiłem z nim rozmawiać. Był chodzącą encyklopedią w dziedzinie socjologii i człowiekiem wielce odczytanym. Fascjonował się zagadnieniami społecznymi. Z przekonaniem zaś, był jednocześnie nacionalistą i komunistą, przy czym nienawidził bolszewików a szczególnie Rosjan, i tak to mniej więcej uzasadniał:

"Rosjanie ideę komunizmu bawią się jak małpa brzytwą. Są zbyt młodym narodem i zbyt prymitywnym, aby cokolwiek zrozumieć z doktryny komunistycznej. Z całego Marksza zapożyczyli tylko jedno: dyktaturę proletariatu. A kiedy udało im się tę dyktaturę ugruntować w swoim ezjatyckim stylu - zapomnieli o proletariacie w ogóle. Od 200 już lat chcą zostać europejczykami i starają się o to do dziś. Ale ich mongolekiej dzikości nie udało się zmienić Piotrowi Wielkiemu, więc nie udało się i Stalinowi. Wydaje im się, że utworzyli wielką konspirację przeciwko kapitalizmowi, a jest to konspiracja przeciw cywilizacji. O kapitalizmie zaś, nie mają nawet pojęcia. Przecież oni nigdy nie mieli nie tylko kapitalizmu, ale nawet w ogóle przemysłu".

Moje zwolnienie chorobowe dobiegało końca. Następnego dnia miałem znowu stawić się do pracy w lesie, a ciągle czułem się bardzo słaby. Ta myśl nie dawała mi zasnąć. Za wazelką cenę musiałem znowu pójść z kimś "na błat". Ale z kim? Jak to zrobić?

x x x

Rozdział IV

JABŁKO

Następnego ranka zgłosiłem się do swojej grupy roboczej, ale zamiast iść do lasu dowiedziałem się, że zostaje wraz z innymi przeniesiony do innego obozu - Jarzawa - położonego przy trasie kolejowej wiodącej do Archangielska. I znów brnąłem w śniegu na nieprzetartej drodze zapadając się w zespach. Byłem nadal tak osłabiony, że w pewnym momencie chciałem już rzucić mój plecak ze wszystkimi, co jeszcze posiadałem. Na szczęście człowiek o nazwisku Frankiel odwiódł mnie od popełnienia tego głupstwa. W połowie drogi zrobiliśmy krótki postój, oczywiście nie dla wytchnienia więźniów. Po prostu kaźmuccy konwojenci poczuli się zmęczeni.

Po drodze, w pobliżu stacji zwróciło naszą uwagę pięknie położone osiedle oddzielnych domków czy raczej willi, w szwedzkim lub szwajcarskim stylu. Wywołało to wśród nas nawet pewną dyskusję. Sprawa się wyjeździła, okazało się, że jest to osiedle wybudowane dla obozowych funkcjonariuszy NKWD i ich rodzin.

Dotarliśmy na dworzec, a podróż minęła bez specjalnych wrażeń. Nasz nowy obóz był bardzo duży w porównaniu z Aleksiejewką II. Druty kolczaste, baraki, wieże strażnicze - dokładnie jak wazędzie, tylko na znacznie większą skalę. Takie same drewniane prycze, wazy, szczury i smród. Dowiedziałem się jednak, że to jest centrum, żeby nie rzec - stolica, całego Kargopoleckiego zespołu obozowego. Mieściły się tu biura zarządu i cała administracja.

Spotkałem tu też, dawniej poznanego inżyniera Bialejewa. Należał on teraz do grupy około stu specjalistów zatrudnionych w administracji i organizacji Kargopolu. Wszyscy oni byli więźniami zatrudnionymi na funkcjach: inżynierowie, księżowie, ekonomiści, rolnicy i lekarze. W ciągu dnia pracowali na takich samych zasadach co administracja obozowa i

załoga NKWD, tyle że jako więźniowie musieli pracować o dwie godziny dłużej. Na noc zaś wracali do obozu, gdzie mieli zresztą oddzielny barak, w którym warunki były znacznie lepsze niż w innych.

Bielajew załatwił ⁴⁰⁾ mi miejsce w tym baraku i tu po raz pierwszy miałem możliwość zetknąć się z więźnią grupą sowieckich inteligentów, wśród których dominowali Rosjanie. Większość z nich była w wieku powyżej 35 lat, a więc należeli do tego pokolenia, które pamiętało jeszcze czasy sprzed rewolucji. Nie wykluczone zresztą, że to właśnie sęgało, się przyczyną ich pobytu w łagrze. Byłem jedynym Polakiem w tej grupie i od razu stałem się przedmiotem ich zainteresowania. Musiałem odpowiadać na niekończące się pytania o warunki życia w Warszawie, Wiedniu i Zurichu. Moja ubranie, koszule, buty były poddawane starannym oględzinom stając się materialnym problemem standardu życia za granicą a jednocześnie namacalnym dowodem, że mówię prawdę. Mimo to, kiedy powiedziałem, że wszystkie te rzeczy mogę kupić za miesięczną pensję jaką otrzymywałem będąc inżynierem zatrudnionym w cementowni, na twarzach niektórych z moich słuchaczy odczytałem niedowierzanie. Zwłaszcza pewien inżynier rolnik, najładniejszy z tej grupy, nie ukrywał swoich wątpliwości.

- Ile miał pan takich garniturów? - zapytał wreszcie.

- Trzy, może cztery.

- To kłamstwo! - przerwał mi gniewnie i odwracając się do pozostałych zawołał: - Dostyc tego! Nie będziemy wysłuchiwać więcej tych bajeczek. Nie jesteśmy głupimi dziećmi ... Był bardzo zagniewany a Bielajew i inni z najwyższym trudem mogli go uspokoić.

Za to, teraz ja zostałem wzięty w krzyżowy ogień bardzo szczegółowych pytań dotyczących płac, warunków pracy, możliwości nabywczych, warunków egzystencji, siły nabywczej pieniądza, możliwości zakupów itd. Z niemałym trudem przyszło mi wyjaśnić, że przeciętny inteligent na zachodzie, dbający o swą powierzchowność, co zresztą jest koniecznością, musi mieć kilka ubrań na różne okazje.

Musiałem ~~też~~ też dokładnie i z detalami opowiedzieć jak należało ubierać się np. na uroczystą kolację, do teatru itd., jak się wypadało zachować, co się jeżało, o czym rozmawiało ...

Ludzie ci, przez długie lata a może i przez całe życie oczekiwali na lepsze jutro, które od lat obiecywała im propaganda i które miało nadejść wraz ze zwycięstwem komunizmu - ale nie nadchodziło. Inni pamiętali je z czasów dzieciństwa, więc teraz kiedy opowiadałem, przedstawiało im się to wszystko jak nierealny, bajecznie kolorowy film.

Ja zaś z kolei byłem ciekawy, za co zostali ażeżani i jakie były ich losy nim trafili do łagrów, ale zazwyczaj odpowiedzią było wzruszenie ramion i co najwyżej uwaga: "okres Jeżowa". Mieli przeważnie wysoki ośmio i dziesięcioletnia. Wkrótce zacząłem sobie zdawać sprawę, że tego rodzaju pytania są właściwie z mojej strony niatakiem. Każdy z nich był przecież całkowicie przekonany o swojej absolutnej niewinności a moje nagabywanie przywoływały w nich tylko poczucie krzywdy i beznadziejności. Nauczyłem się, że należy jak najmniej pytać. Wystarczy spokojnie czekać aż sami zaczną o sobie opowiadać.

Jeden z najstarszych mieszkańców naszego baraku, siwo-włosy inżynier Pietrow, pewnego dnia ofiarował mi jabłko. Było to wydarzenie bez precedensu, po pierwsze, miało to miejsce w obozie, a po drugie bowiem o tej porze roku, jabłka w Rosji były w ogóle rzadkim luksusem.

- To dlatego, że przypomniał mi pan o istnieniu smokingów - powiedział z niepewnym uśmiechem. Przypomniał mi pan czasy, kiedy i ja miałem smoking i też przy różnych okazjach wkładałem goździk w butonierkę ... Ale cóż, były to czasy, kiedy łatwiej było o smoking niż dziś o używane buty ...

- Zastanawiam się jednak, czy moja opowieść warta była aż tak cennego dowodu przyjaźni.

- W każdym razie, to już jest ostatnie jabłko, więcej paczek nie dostanę.

Pietrow miał niewielki wyrok, taki jak ja - 3 lata, co w warunkach naszego baraku, było wyrokiem wprost dziecięcym. Pochodził z Moskwy, gdzie pracował w jednej z fabryk wytwarzających maszyny rolnicze. W Moskwie pozostawił żonę i 12-

letniego syna. Żona zatrudniona w jednym z biur Gospłanu, była na tyle dobrze sytuowana, że mogła sobie pozwolić na wysyłanie paczki mężowi raz na miesiąc. Mało tego, wykorzystując dobre układy z rodziną samego Kaganowicza, czyniła starania o przedterminowe uwolnienie męża, mimo że nie wydawało się to zbyt prawdopodobne. Ale kilka dni temu, wraz z ostatnią paczką, nadeszła wiadomość, że i ona została aresztowana. Skazano ją na rok więzienia z artykułu 162 - "drobne kradzieże".

- Widzi pan, mój syn chodzi do szkoły - powiedział spoglądając z zażenowaniem w siebie - jest zdolny, nieźle się uczy, ale wie pan, jak to jest u nas. Zawsze są trudności z materiałami piśmiennymi ani papieru, ani ołówka. Żeby je kupić, trzeba polować na nie w Uniwersyacie, a jak są, trzeba wytaśkać w wielogodzinnych kolejkach. Żona jest bardzo zapracowana, często zostaje w biurze po godzinach, musi porobić zakupy, ugotować. Syn też ma swoje zajęcia ... Więc zabrała z biura ołówek dla chłopca. Ale ktoś podpatrzył, doniósł, i po co to było?

- Nie wiem czy dobrze pana zrozumiałem? Rok więzienia? Za ołówek?

- Nie, nie ... Pan tego nie rozumie. Ale u nas drobne kradzieże w miejscach pracy stały się ostatnio coraz częstsze. Takie przedmioty jak ołówki, papier itd. są dostępne jedynie w biurach. Dla większości, kupno ich jest niemożliwe. I tak, tu kilka spinaczy, tu kilka karesek papieru, tu ołówek - niby głupstwo. Ale kiedy to wszystko zaunować, okazuje się, że państwo ponosi ogromne straty. I dlatego ostatnio, za takie kradzieże wprowadzono zaostrzone kary. Biedna ta moja żona - westchnął na koniec.

Inny inżynier, nazwiska już nie pamiętam - zaciągnął mnie w jakiś odległy kąt i upewniwszy się, że nikt nas nie podsłuchuje, zapytał co sądzę o sytuacji politycznej. W owym czasie byłem całkowicie przeświadczony o nieuchronności wojny między Rosją a Niemcami. Przekonanie to nie opierało się oczywiście

na żadnych rozumowych przesłankach, ani na informacjach o sytuacji międzynarodowej - bo te w ogóle do nas nie docierały. Dla nas, Polaków, była to po prostu jedyna nadzieja. Sędzę zresztą, że dla wszystkich więźniów i łagierników wojna wydawała się czymś pożądanym, oznaczać musiała zmiany w naszym beznadziejnym położeniu. A zmiany mogły oznaczać również wolność i nadzieję, dla których warto walczyć o przetrwanie. Dla nas bowiem wizja wojny napewno nie niosła w sobie katastrofy. Rozmawialiśmy długo nawzajem się pocieszając.

- Wojna jest jedynym sposobem znieszczenia panującej tu tyranii - twierdził ów inżynier. Dzisiejsza Rosja stała się jednym gigantycznym więzieniem, ale ani władzy ani partii, nie uda się obalić bez pomocy z zewnątrz. Bo musi pan wiedzieć, że ci co żyją na wolności, boją się jeszcze bardziej niż my tutaj. Każdy z nas otrzymał już wyrok i właściwie nie ma się czego bać, natomiast na wolności każdy żyje w ustawicznym lęku. Nikt nie wie, komu może zaufać a komu nie. Najlepszy przyjaciel może okazać się donosicielem, dla drobnej, osobistej korzyści może wykorzystać prywatną rozmowę, albo zwykłe przejęzyczenie. Rezultatem jest powszechny strach. Ludzie boją się nawet u siebie w domu. Ba, nawet własne dzieci ... przecież w szkole uczy się je, że najwyższym obowiązkiem i zaszczytem jest donosić na rodziców. Trudno sobie wyobrazić jak to jest ... My, tutaj - okrągłym gestem pokazał obóz - "jesteśmy przekonani, że nic innego, tylko wojna może wyzwolić Rosję".

- Czy sądzi pan zatem, że władza nie może polegać na lojalności swoich obywateli nawet w wypadku zagrożenia? W wypadku wojny?

→ Oczywiście nie. Lojalno wobec władzy pozostaną tylko nieliczni: NKWD, aparat partyjny ... To państwo nazywa się ludowym, ale oparte jest na przemocy.

- Jak to rozumieć?

- Tak, że władze przy pomocy NKWD starają się u każdego obywatela wywołać poczucie kompletnego osamotnienia i izolacji psychicznej. W tym celu jak najenergiczniej zwalczają każdy przejaw zaufania człowieka do człowieka, identyfikując zaufanie z konspiracją, ba nawet ze zorganizowaną działal-

nością kontrrewolucyjną. W każdym normalnym społeczeństwie stosunki między ludźmi muszą opierać się na zaufaniu, dobrej wierze i lojalności. W Rosji lojalność jest właśnie tym, co władza stara się jak najdokładniej usunąć z rzędu ludzkich wartości. A bez tych wartości zrywają się wszelkie więzi społeczne. I to, być może, jest właśnie główną przyczyną istnienia w Rosji tylu obozów koncentracyjnych i tak wysokich wyroków okazujących ... W tym kraju istnieje prawny przymus denuncjowania najbliższych, krewnych i przyjaciół. Artykuł 58.12. Przecież także wszelkie zespoły moralne, wspólnoty religijne są systematycznie łamane, ponieważ mogą prowadzić do powstania załączków zaufania. W tych warunkach żaden ruch opozycyjny a tym bardziej żadna zorganizowana konspiracja nie są możliwe. Nawet gdyby składała się tylko z pięciu osób, na drugi dzień NKWD znać będzie wszystkie szczegóły. I nie ma znaczenia czy taka konspiracja zawiąże się tu w obozie, w fabryce czy we własnym domu.

Nie przywiązywałem większego znaczenia do tej rozmowy. Opinie te wydały mi się zresztą przesadne i nazbyt krytyczne, kładłem je na karb rozgoryczenia tak naturalnego u kogoś, kto został niewinnie skazany. Rychło też, o tym zdarzeniu zapomniałem.

W dwa lata później, siedząc w więzieniu w Iwanowie, przypomniałem sobie tę rozmowę z najdrobniejszymi szczegółami, przyszło mi bowiem zapłacić wysoką cenę za tak lekkomyślne zbagatelizowanie lekcji udzielonej mi przez sowieckiego obywatela.

Podobnych rozmów odbyłem zresztą bardzo wiele. Sądzę, że ową szczerość, wywołało przekonanie, że jako cudzoziemiec nie zostałem jeszcze zainfekowany sowieckim sposobem myślenia. Ufano, że nie napiszę żadnego donosu do NKWD. Byłem "zapadnikiem" - istotą, która w oczach sowieckiego obywatela stanowi mieszaninę bezradności, naiwności i szczerości. Rosjanie zaś mają ogromną skłonność i potrzebę szczerej rozmowy, zwierzeń. W Jerezwie, okazało się to nieraz sz nęczęce głównie Blatego, że wszystkie te poufne rozmowy obrecały się wokół jednego tematu: relacji między obywatelem a NKWD. Wniosek z tych rozmów był zawsze jednakowy: "Dla przeciętnego obywatela ZSSR, państwo praktycznie nie istnieje. Władze i rzeczywistość reprezentuje NKWD. Państwo jest abstrakcją".

Rozdział VII

SZAKALE

Nie zagrzailiśmy jednak zbyt długo miejsca w tej stolicy Kargopolekich łaagrów. Nasza grupa, z Aleksiejewki II uznana teraz za specjalistów wzmocniona o kilku Rosjan, znowu musiała pakować manatki i ruszać na dworzec. Tam załadowano nas do tzw. "stożypinki", dołączono ją do jakiegoś pociągu osobowego i ruszyliśmy w drogę.

"Stożypinka" jest wagonem kolejowym przeznaczonym specjalnie do przewozu więźniów, swoją nazwę zawdzięcza Piotrowi Stożypinowi, ministrowi spraw wewnętrznych i przez pewien czas premierowi w rządzie ostatniego cara. On to bowiem, podążając za duchem czasów i postępu, postanowił unowocześnić przestarzałą już "kibitkę" i nakazał skonstruowanie kolejowych pojazdów ^{stających do tego samego celu - + BAZISOWO WIEZIOWY}. Bolszewicy nie bacząc na "reakcyjną" proveniencję wynalazku, przejęli go z wdzięcznością i nakazali budowę - w miarę rosnących potrzeb - coraz większej ilości takich wagonów. Zamiast przedziałów, "stożypinka" podzielona jest na kilkanaście cel więziennych a każda cela przeznaczona jest dla siedmiu więźniów, którzy mogą spać na wąskich drewnianych półkach. Ale tak było za cara. Nas z kolegami, konwojent kolbę karabinu upchnął do przepelnionej celi, by z trudem zasunąć drzwi.

Znaleźliśmy się wtłoczeni w tłum obcych więźniów, jeszcze bardziej brudnych, obdartych i ordynarnych niż normalnie. Zapadła ciemność. Staliśmy stłoczeni jeden obok drugiego, bez szansy na to by usiąść lub chociaż ukucnąć. Ktoś z górnej półki bezceremonialnie zaczął pluć nam na głowy. Znaleźliśmy się sam na sam z urkami, to jest sowieckimi zawodowymi kryminalistami.

Kilkakrotnie wspominałem już o urkach, pora więc bliżej z nimi zapoznać czytelnika.

Urka nie jest w żadnej mierze odpowiednikiem zawodowego kryminalisty w innych krajach świata. I żadne porównania nie mają sensu. Jest on po prostu specyficznym produktem systemu sowieckiego, a może nawet ściślej - jest produktem sowieckich więzień i łagrów. To jest jego świat i rzadko tylko zna jakieś inny. Czuje się tu więc jak u siebie w domu, bo też i jest tu u siebie.

Urka odznacza się nieprawdopodobną cierpliwością, wytrwałością i odpornością psychiczną. Jest silny, zręczny, odporny na głód, ból i zimno. Nie ceni własnego życia, ani tym bardziej życia innych. Nie ma na świecie nic wystarczająco niemoralnego lub obrzydliwego, co mogłoby zniechęcić urkę w działaniu. Nie uznaje też żadnych wartości moralnych czy zasad obyczajowych, z wyjątkiem "błatu". Urka, mimo niekończących się rawizji i "prowierek" potrafi przemycić nóż i nigdy nie zawaha się by go użyć. Potrafi cierpliwie wyczekać odpowiednią chwilę, by ugodzić każdego, kogo uważa za swego wroga.

Urkowie są dość liczni, stanowią grupę około 10 procent wszystkich więźniów i oni to zazwyczaj zajmują kluczowe pozycje, oni też dyktują swoje prawa. Żyją we własnych zamkniętych gangach i zachowują wobec siebie solidarność. Solidarni są też, jako uzbrojone grupy występują wobec innych więźniów. Bez żadnych skrępułów, otwarcie na oczach wszystkich, kradną i rabują najchętniej najsłabszych i najgorzej przystosowanych więźniów. Wierzą wyłącznie w siłę fizyczną. Dla innych więźniów czy to w więzieniu, czy w łagrze są ietnym koszmarem. Nie tylko ich okradają, ale zmuszają do oddawania części swoich racji żywnościowych, jako swóistego okupu. Jest to bowiem jedyny sposób pozwalający na uniknięcie prześladowań. Opieranie się im, gdy są w przewadze, jest zadaniem beznadziejnym. Każdy kto próbował się urkom przeciwstawić albo walczyć z nimi, prędzej czy później musiał zginąć, był ranny albo poddany najwyzukiaczynom torturom. Urka bowiem zawsze gotowy jest do walki i w każdej chwili może liczyć na pomoc kolegów.

Tak więc czyni znacznie gorzszym od najeurowskiego reżimu obozowego, jest konieczność współżycia z urkami i podporządkowania się ich niepisanyemu prawom. Oni to bowiem naprawdę

dyktują swój porządek w celach więziennych i grupach obozowych. Władze patrzą na to przez palce, a szczególnie strażnicy, chętnie wchodzi z nimi w "błat" i handluje ukradzionymi rzeczami.

Urkowie porozumiewają się swoim własnym językiem "keyw" czy "grypsery" - właściwie zupełnie nie zrozumiałym dla innych. Mają też swoje sposoby przekazywania wiadomości nawet do oddalonych obozów czy więzień. Mają również swój własny kod postępowania, za przekroczenie którego podlegają swoim własnym sądom. Są bez wątpienia jedyną w ZSSR grupą, która opiera się na zasadach solidarności i lojalności. Urka zawsze dotrzymuje słowa danego drugiemu urce. Nie stanowią jednak żadnej organizacji, są wyizolowanym kłosem czy mafią, rządzącą się całkowicie różnymi zasadami niż reszta społeczeństwa.

Gdzie tylko znajdują się urkowie, trzeba być przygotowanemu na najgorsze, bezustannie pilnować swoich rzeczy a niejednokrotnie bronić ich siłą, narażając się nawet na rany i obrażenia cielesne. Urkowie wprawdzie wolą kraść niż rabować ale jeśli są w przeważającej większości, nie wahają się przed bezwzględnym rozbojem.

W naszej wagonowej celce - jak się później okazało - było tylko dwóch urków, a jednak ich sama obecność wytworzyła ciężką do zniesienia, opresyjną i pełną terroru atmosferę. Baliśmy się na chwilę zmrzyć oczy, zdjęć z siebie kożuchy, musieliśmy nieustannie mieć się na baczności. Jako kieszonkowcy urkowie są bezkonkurencyjni, a rzeczy raz przez nich ukradzione, nigdy nie wracają do właściciela, nawet jeśli kradzież dokonana jest w małej, parosobowej celi. Przez sześć lat mojego pobytu w najróżniejszych obozach czy więzieniach, nie zdarzyło się by choć jeden zrabowany przez nich przedmiot wrócił do właściciela.

Jednak chyba najgorszą i najobrzydliwą cechą urków, jest ich kompletny brak jakichkolwiek zahamowań w załatwieniu swoich potrzeb cielesnych - z masturbacją włącznie. Czynią to bezwstydnie, gdzie im się tylko spodoba, nie krępując się nikim i niczym. Swym zachowaniem, a nieraz i wyglądem bardziej przypominają stadne zwierzęta niż ludzi. Stada szekali.

Podróż trwała trzy dni i w trakcie jej trwania wspominałem sobie pobyt w Aleksiejewce II z moimi kolegami "zapadnikami" jak coś nieomal jak piknik. W każdym razie byłbym szczęśliwy, mogąc zamienić każdą godzinę tej jazdy na miesiąc aresztu o zastrzeżonym regulaminie.

Wszystko na swój koniec, więc i koszmar tej podróży musiał wreszcie nadejść. Zatrzymaliśmy się w głębokim wykopie kolejowym, wśród zaapnionego wiatrem śniegu i kazano nam wychodzić. Jak zwykle, po długiej drodze w ścisłości i bez możliwości zmiany pozycji, byliśmy zupełnie odrętwiali.

Zaczęła się "prowierka" odliczanie, ustawianie w grupy a potem poganiani okrzykami "bystrei, bystrei" musieliśmy biegiem wspinać się pod kątem 45 stopni na odśnieżoną ścianę nasypu. Ktoś powiedział, że jesteśmy w Moskwie, ale nie odbierałem bliskości wielkiego miasta. Nim zdążyłem dokładniej się rozejrzeć, załadowano nas do oczekującej na nasypie zamkniętej ciężarówki z wyglądu przypominającej chłodnię. "Czarny Woron" - tak w Rosji nazywają tego rodzaju pojazdy. Czarny kruk, w ludowych przekazach jest zwiastunem śmierci. W latach 1918-1920 takimi wozami przewożono na egzekucje skazanych na śmierć.

Siedząc stłoczony wraz z moimi współtowarzyszami niedoli w kompletnej ciemności i odizolowany blaszanym pudłem ciężarówki słyszałem dzwonki tramwajów, klaksony sygnałów samochodowych i stłumiony gwar wielkiego miasta. Zapewne istotnie przejeżdżaliśmy przez Moskwę.

Znowu znaleźliśmy się na stacji kolejowej, na odległej od ludzkich oczu bocznicy, czekał na nas pociąg złożony ze "stołypinek". Dostaliśmy chleb i wodę. Urkowie zaś orzekli, że nas, specjalistów wiozą do Władimira, reszta pojedzie za Ural. Urkowie rzadko się w takich sprawach mylą. W nocy pociąg ruszył. Po raz pierwszy od trzech dni, mogłem nie tylko usiąść ale nawet położyć się i rozprostować kości. Rankiem strażnik otworzył drzwi, wyczytał nasze nazwiska i kazał wychodzić.

Wyskakiwałem właśnie z wagonu, gdy w tym momencie urka zerwał mi szalik i śmiejąc się bezczelnie, owinał go sobie wokół szyi. Usiłowałem protestować, odebrać, ale strażnik pchnął mnie kolbą i powiedział: "do szeregu". Wszystko to

działo się na jego oczach, ale uznał, że nie ma powodu interweniować. Tak więc ukradziono mi szalik i dostałem ciocię kołbę. Przy czym w warunkach łagiernych, strata tego rodzaju, nie jest wyłącznie stratą moralną. Nawet taki drobiazg jak szalik, ma wielką wartość materialną, ponieważ nie można go sobie odkupić.

I znów odbyła się "prowierka". Zapewne zanudzałem już opisywaniem w kółko tego samego. Ale w życiu więźnia "prowierka" stanowi wyjątkowo męczącą dokuczliwość, odbywaną co chwila i bez żadnej potrzeby, po prostu dla zabicia czasu. "Prowierki" odbywały się codziennie, po kilka razy i całkowicie bez sensu. Nawet więźniowie stłoczeni jak śledzie w beczce w "stołypince" zamknięci na siedem spustów poddawani są "prowierce" - jest to widać coś w rodzaju rytuału, czy nabożeństwa najściślej przestrzeganego. Można więźniowi nie dać jeść, pić, spać, siedzieć, stać - ale koniecznie trzeba go policzyć. Prowierka musi się odbyć.

Szliśmy ulicami Władimira, niewielkiej wieściny Iwanowskiej Obłasti na północny-wschód od Moskwy. Prowadzono nas w dwu szeregu w biały dzień, oczywiście pod konwojem. Miałem więc możliwość po raz pierwszy przyjrzeć się normalnemu rosyjskiemu miastu. Wrażenia nie były zachęcające. Brudne, odrapane kamienice, dwu- trzy piętrowe z łazajami podpałanych tynków. Okna w wielu miejscach pozabijane dyktą. Kiepsko wybrukowane ulice, przed sklepami kolejki. Przechodnie biednie, jakby z wiejskiego ubrania, niewielki ruch uliczny, przeważają sianie ciągnięte przez zabiedzone konie w charakterystycznym rosyjskim zaprzęgu z wysokimi pałkami spinającym dyszle. Z rzadka ciężarówka, gdzie nigdzie samochód osobowy.

- Spójrz na ludzi - powiedział Frenkiel - oni nas zupełnie nie zauważają.

Rzeczywiście. Nasza kolumna niewątpliwie musiała rzucać się w oczy. Byliśmy wynędzniali, brudni, zarośnięci i w łachmanach, prowadzeni pod karabinami. Samym wyglądem musieliśmy wzbudzać litość w każdym i wędznie, pod każdą szerokością

geograficzną, nawet w Rosji. Frankiel miał jednak rację. Nie budziliśmy zaciekawienia, nie dostrzegano nas. Każdy przechodzień patrzył prosto przed siebie, albo wręcz odwracał głowę.

Oziś, już wiem, że tymi ludźmi powodował strach. Strach by nie okazać litości wobec "wrogów ludu", strach żeby nie wiedzieć zbyt wiele, żeby nie widzieć tego, czemu oficjalnie zaprzeczano - istnienie obozów koncentracyjnych w ZSSR. A niewykluczone również - instyktowna obawa przed tym co każdego mogło spotkać. Obawa przed ewentualnością własnego losu.

Po drodze minęliśmy kilka cerkwi, parę pięknych architektonicznych, lecz w stanie kompletnego zaniedbania i zniszczenia. Wszystkie pozamykane. Tylko przed jedną z nich stała ciężarówka, załadowana workami mąki. Drzwi pięknie rzeźbione scenami biblijnymi były otwarte. Do wnętrza wnoszono worki. Najwidoczniej cerkiew zmieniła przeznaczenie. Stała się magazynem.

Wprowadzono nas do budynku nieco okazałego niż inne. Mieści się tu Dyrekcja Robót Wodnych dorzecza Kliazmy. Znaleźliśmy się w obazernym hollu w którym panował normalny biurowy ruch, kręcili się interesanci, zasferowani urzędnicy z teczkami akt pod pachą. Staliśmy w dużej gromadzie, przez kilka godzin, brudni, zarośnięci i wynędzniali. I znów nikt nas nie widział. Nie istnieliśmy.

Jeden po drugim mieliśmy zostać poddani egzaminowi zającemu ustalić naszą przydatność jako specjalistów. Mnie egzaminował młody mężczyzna o przyjemnej powierzchowności. Zadał kilka łatwych, podstępnych pytań, na które jednak odpowiedzieć mógł wyłącznie ktoś, kto miał wykształcenie techniczne. Mój dyplom Politechniki w Zurichu zrobił na nim duże wrażenie.

Wszyscy w naszej grupie przeszli pozytywnie "egzamin" ale zajęło to czas aż do wieczora. I znów prowadzono nas przez całe miasto, na drugi jego koniec, do miejsca, które można by określić jako punkt etapowy, całkowicie zresztą opanowany przez urków. Sądziliśmy, że będzie to tylko krótki postój, tymczasem siedzieliśmy tu trzy dni.

Frenkiel zdjął z siebie kozuch i przykrył się nim. To wystarczyło, żeby kozuch zniknął bez śladu. Stało się to w zamkniętym i pilnie strzeżonym baraku. Rano urkowie z bezczelną uciechą podkpiwali sobie z "sidorów". "Sidor" w ich gwarze, oznacza nieobytego, nie dość czujnego więźnia, który łatwo daje się określić.

Po trzech dniach, znowu maszerujemy z bagażami kilka kilometrów za miasto. I znów znajomy widok: druty kolczaste, wieże strażnicze. Tyle tylko, że w pierwszej chwili wydawało mi się iż teren jest zupełnie pusty, że nie ma na nim nic, nawet baraków. Ale nie, barak był jednak. Jeden wkopany w ziemię, a ponad powierzchnię wystawał jedynie dach, ledwie widoczny spod śniegu. Wewnątrz trzypiętrowe prycze, na których górne półki obiadli już urkowie. Barak ten, a raczej może ziemiankę ogrzewały dwa piecyki żeliwne i one stanowiły też jedyne źródło światła. Innego nie było, panował więc stały półmrok.

Ulokowałem się na pryczy pod ścianą, walcząc z ogarniającym zmęczeniem i enem. Nie wiem czy zasnąłem, czy nie, ale otrzeźwił mnie błysk zapalniczki tuż koło oczu i usłyszałem raczej, niż dostrzegłem urkę z małpią zrecznością wspinającego się na górną półkę. Było w tym coś jak z filmów z Tarzanem, nie bez powodu więc - jak się później okazało - barak ten był w obozie nazywany "cyrkiem".

Noc zapowiadała się koszmarnie. Urkowie stawali się coraz nachalniejsi i mimo naszej desperackiej obrony, jawnie zaczęli obnaczyć nasze rzeczy. W panującym półmroku, Frenkiel otrzymał cios w twarz i ktoś wyrwał mu z ręki kawałek chleba, który właśnie jadł. Na górnej półce mojej pryczy urkowie grali w karty, czy kości pokrzykując i rechocząc ze śmiechu. Odniosłem wrażenie, że gra toczy się o mój kozuch, który miałem jeszcze na sobie. Najwidoczniej czekali tylko aż zmęczeni w końcu jednak zasną.

Wyślaliśmy delegację do kierownictwa obozu, aby nas stąd zabrano. Ale wiele godzin jeszcze minęło nim nas przeprowadzono w inne miejsce. Tym razem pod namiot, ustawiony na gołej ziemi, dziurawy i przewiewny, w którym mały żeliwny piecyk ustawiony na środku, wyglądał jak kiepski żart. Wszystkom było jednak lepsze, niż towarzystwo urków. Usnąłem

prawie natychmiast, ale sen trwał tylko chwilę. Ktoś szarpnął mnie za rękę:

- Wstawaj, zupa!

Była chyba druga po północy. Na środku pokrytego śniegiem placu obozowego zobaczyłem sianie, na nich zaś wielki parujący kocioł. Przed nimi w kolejce, ze stu więźniów podkaskujących z zimna i bijących się rękami o boki, w obłokach parujących oddechów. Na bezchmurnym niebie wyblaszczony księżyc rozświetlał tę scenę nadając jej groteskowy wygląd.

Lagier był dopiero w trakcie budowy, poza "cyrkiem" i kilkoma namiotami, nie było tu nic, ani kuchni, ani łaźni, ani baraków biurowych. Pożywienie dowożono z innego miejsca. Po pół godzinie stania w kolejce, otrzymałem swoją miszkę zupy i kawałek chleba. Miało mi to wystarczyć na całą następną dobę.

X X X

Rozdział VIII

CZAS BUCHALTERÓW

Rankiem wysłano nas do pracy na jeziorze. Nas, których uznano za specjalistów, egzaminowano i wieziono ponad tysiąc kilometrów. Teraz mieliśmy wyrębywać lód. Stałem więc jeszcze w swoich półbutach, po kostki w wodzie i ładowałem tafle na sanie. Ten lód miał później służyć do przechowywania żywności. Obóz bowiem rozbudowywał się i w założeniach obliczony był na siedem tysięcy więźniów.

Każdego ranka przybywały nowe transporty, codziennie też rosła ilość namiotów. Zaczęto również zwozić drewno na budowę baraków.

Nad jeziorem, któregoś ranka pojawiła się nowa grupa licząca około trzydziestu więźniów, używano ^{ich} tak jak ^{nas} do wyrębu lodu. Nazywano ją "oddziałem buchalterów". Jedemu z nich Iwanowi Wasilewiczowi ofiarowałem paczki machorki i tak zaczęła się nasza znajomość. Dowiedziałem się od niego, że w ostatnim okresie, trybunały zaczęły hurtowo wydawać wyroki na buchalterów. Stało się to w wyniku ogłoszonego niedawno dekretu nakazującego powstrzymanie narastającego deficytu w przedsiębiorstwach państwowych. Do tej pory odpowiedzialność za gospodarczą stronę przedsiębiorstw ponosili dyrektorzy, obecnie rozciągnięta została także na głównych księgowych.

Wielka ilość przedsiębiorstw w Rosji jest oczywiście deficytowa i nie może być inaczej, bo plany są zazwyczaj zawyżane do nieprawdopodobnych rozmiarów, a ich realizacja dokonuje się głównie na papierze "karandasz zdiełajet". Nowy dekret sprawił, że buchalterzy stali się typowymi kozłami ofiarnymi. Pomijając już bowiem ich kwalifikacje zawodowe, często zupełnie niewystarczające - nie mieli oni przecież najmniejszego wpływu ani na ustalanie planów produkcyjnych, ani na przebieg ich realizacji, ani tym bardziej na zasady organi-

zacji przedsiębiorstw i ekonomikę ich funkcjonowania. I w ten sposób powstał oddział buchalterów w więziennych ubraniach i z łopatami w ręku. Iwan Wasylowicz ten pechowy obrót koła historii skwitował jedynie fatalistycznym westchnieniem: - "Biednemu zawsze wiatr w oczy ..."

Kiedy skończyło się rębanie lodu, "oddział buchalterów" wysłano do lasu, do wyrąbu drzew, a potem najwidoczniej o nich zapomniano, gdyż po kilku miesiącach, zaledwie trzech z nich spotkałem przy pracy zgodnej z zawodem.

Ich sprawa, a i nasza jest przykładem sposobu w jaki w Rosji traktuje się specjalistów wszelkich kategorii. Wielką troską i dbałością otacza się różne maszyny i urządzenia, natomiast człowieka z najwyższymi nieraz kwalifikacjami zawodowymi lekceważy się w sposób wołający o pomstę do nieba. Człowiek, w tym systemie, jest tylko tyle wart ile wartość jest siła jego mięśni, głowa się nie liczy. Nie więc dziwnego, że w Rosji panuje nieprawdopodobny wręcz brak fachowców wszelkich dziedzin. Nieudolność i brak organizacji władze próbują sztukować przy pomocy "udarań", pełnej mobilizacji wszystkich rąk zdolnych do pracy, dla wykonania określonego zadania. Polega to na tym, że np. do kopania kartofli wysyła się całe szkoły i wyższe uczelnie z uczniami, nauczycielami i całym personelem, a do żniw - inżynierów, lekarzy i biuralistów. Przypomina to walenie głowę w mur, przy jednoczesnym podbijaniu bębna propagandy "Cały naród ...". Nieraz oczywiście, kosztem ogromnego wysiłku i ofiar udaje się taki mur rozkręcić i w ten sposób. Świadczy o tym choćby praca więźniów i łagierników.

Kiedy skończyliśmy z lodem, przeniesiono mnie do pralni obozowej. Pralnia to za dużo powiedziane, był to na pół rozwalający się baraczek z kopcami, kulawym piecykiem żeliwnym do grzania wody. Mydło kiepskiej jakości wydzielano nam w ilościach mikroskopijnych, sto razy mniej niż było potrzeba. Ale pranie odbywało się również według planu i wyznaczonych odpowiednio wysokich norm "prania" dziennego przekraczających wszelkie możliwości. Wykonanie zaś normy, jak wiadomo uprawniało do jedzenia. Jakże to było pranie oczywiście nikogo nie interesowało, polegało na zanurzeniu brudnych rzeczy w równie

brudnej cieczy zwanej mydlinami a następnie wysuszeniu ich i oddaniu w odpowiednim czasie. Cała ta procedura potrzebna była chyba tylko po to, aby kierownictwo łagru mogło bezkarnie przywłaszczyć sobie 90 procent mydła i środków piorących. Praca była jednak bardzo wyczerpująca i po kilku dniach wróciło mi brzęczenie w uszach i częściowa ślepotą, symptomy jakie poznałem już w Aleksiejewce II.

Był początek marca, rozpoczęły się roztopy. ^{Awż z tuiui)} (Kuszyły też) prace nad budowę elektrowni. Zaczęło je było trzeba od wzniesienia zapory na rzece Kłiazma, aby zaś to mogło stać się możliwe, należało główny ^{celu)} nurt skierować do specjalnego kanału. Rozpoczęto zatem budowę kanału, a polegało to na wykopaniu kilkuset tysięcy metrów sześciennych ziemi i przetrzuceniu jej w inne miejsce. Dla dokonania tego dzieła, poza ludźmi z łopatami i kilkoma starymi ciężarówkami nie było nic. Ani koparek, ani transporterów, ani choćby wąskotorowej kolejki. Ponieważ zaś owi ludzie - więźniowie - znajdowali się w złej kondycji fizycznej, wyniki ich pracy nie były, bo i nie mogły być zadowalające. Efektów ciągle nie było widać, mimo że wszystko to odbywało się ogromnym kosztem eksploatacji siły roboczej.

Wobec tego, pracujących poddano silnej presji propagandowej, starając się wśród przymusowych robotników - więźniów wprowadzić zasady stachanowskiego wyścigu pracy.

Codziennie, tak zwany "kawecze" czyli zawodowy agitator, przez głośniki radiowęzła na cały obóz nadawał pogadanki polityczne-uświadamiające prawiąc o zadaniach jakie każdemu uczciwemu obywatelowi kochającemu swoją sowiecką ojczyznę stawia naród i partia, i jak to on z czystej miłości do niej te zadania wykonuje. Przekonywał, że Związek Sowiecki jest najwspanialszym miejscem pod słońcem, jakie tylko człowiek mógł wymyślić. Zaś wszyscy obywatele Rosji są dumni z przynależności do ojczyzny robotników i chłopów, ojczyzny światowego proletariatu, a ojczyzna ta nakazuje najwyższy wysiłek w wykonaniu zadań planu i w ogóle, że praca uszle-

chetnie. Obiecywał też, przodownikom, poprawę warunków bytowania.

Wszystkie te prelekcje przeznaczone były dla ludzi, którzy na własnej skórze poznali humanizm sowieckiego państwa i doznali szczęścia bycia jego obywatelami. Przemawiały jak okrutny żart. Podobnie zresztą jak hasło: "Uczciwą pracą spłacisz swój dług ojczyźnie" umieszczone na drzwiach naszego baraku.

W samym środku obozu wystawiono honorową tablicę, na której ogłaszano były wyniki wyścigu pracy. Niekiedy także umieszczano na niej portrety - dość słabe zresztą - najwybitniejszych "przodowników pracy", którzy wykonywali 500 albo i 1000 procent normy. Ponieważ zaś sprawa dotyczyła kopania ziemi łopatą, nawet największy głupiec mógł zauważyć, że nikt nie jest w stanie wykopać pięć czy dziesięć razy więcej niż inni. Było więc całkiem oczywiste, że normy te wykonano tylko na papierze. "Karandasz zdiełajet".

Ale też i owe obiecywane nagrody okazały się wkrótce bardzo umiarkowane. Za wykonanie podwójnej normy /młodzi więźniowie przez krótki czas mogli wykonać/ nagrodę stanowiło 200-300 gram dodatkowej racji chleba oraz możliwość zakupu w kantynie takiej samej ilości chleba oraz kawałka solonej ryby, czasami też porcji rzadkiej kaszy. Kaloryczna wartość tych dodatkowych racji nawet w dziesięciu procentach nie rekompensowała wydatkowanej energii.

Kiedy na rzęce gwałtownie ruszyły lody i zaczęła się powódź, z najwyższym podpiechem trzeba było podwyższać tamę, co w praktyce oznaczało konieczność przeniesienia kilkudziesięciu tysięcy metrów sześciennych ziemi. "Kawecze" dwcił się i troił, terkotał jak nakręcony przez całą dobę w kółko to samo: że socjalizm, że zwycięstwo rewolucji, że Stalin. Jednak najważniejszą rzeczą była obietnica zapłaty w wiktusach. Niektóre brygady składające się z najsłabszych więźniów, samych przodowników, pracowały jak szelone dwa dni i noc bez przerwy i w nagrodę otrzymały jednego solonego śledzia na dwóch i paczkę mąborki na czterech.

Zamiast poprawić warunki życiowe więźniów, a tym samym wpłynąć na poprawę jej efektów zaczęto rozprawiać o "racjonalizacji". "Prorab" - jako kierownik techniczny robót, otrzymał

połączenie usprawnienia pracy i podniesienia jej wyników w drodze "racjonalizacji". Musiał się z tego zadania wywiązać. Co gorsze, miał obowiązek raz na miesiąc składać raport o postępach w rozwiązywaniu technicznych problemów. Było to zadanie w samym już założeniu absolutnie beznadziejne, jakież bowiem można wykreować postęp i co zracjonalizować mając do dyspozycji trzy elementy: wygłodniałych robotników, łopaty i ciężarówki?

Ponieważ raport musiał być wysłany, któregoś dnia "prorab" zwrócił się do mnie bym spróbował wymyślić sposób na szybsze rozładowywanie ciężarówek. Wszystkie wozy były starego typu trzy i pięć-tonowe o nieruchomej platformie ładowniczej. Mając nadzieję na uzyskanie nieco lepszych warunków postanowiłem, że muszę coś wymyślić. Zdawałem sobie sprawę, że oczywiście cudu nie zrobię, ale spróbuję chociaż zaoszczędzić pracę współwięźniów. Kiedy dzisiaj o tym myślę, nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

Zaprojektowałem więc dwa płotki czy ścianki, długości burt ciężarówki połączone u szczytu pod kątem 90 stopni i tworzące coś w rodzaju dachu. Ustawiłem go na platformie ciężarówki, oczywiście przestrzeń pod "dachem" była pusta, ale po otwarciu burt ziemia ześlizgiwała się sama bez konieczności zapywania jej łopatami. Mankamentem takiego rozwiązania było zmniejszenie o połowę ładowności ciężarówek, bowiem pod "dachem" woziły powietrze. Innymi słowy, dla wykonania tej samej pracy, ciężarówki musiały teraz podwoić ilość kursów. Tak więc mój "wynałazek" nie rozwiązał w żadnej mierze problemu zwiększenia wydajności, ale przynajmniej przeniósł część wysiłku więźni więźniów na silnik ciężarówki.

W każdym razie "prorab" był zadowolony i trzy strony raportu poświęcił opisowi technicznemu tego "wynałazku". Ja też byłem zadowolony, ponieważ zwrócił na mnie uwagę i zacząłem dostawać coraz to lepszą pracę. Otrzymałem więc "funkcję" i jako specjalista zostałem zwolniony od obowiązku pracy fizycznej w brygadzie. Przeniósłem się do biura, najpierw jako kreślarz a wkrótce jako inżynier. Utwierdziłem zaś swoją pozycję, gdy przyjęto mój projekt mostu pontonowego przez rzekę dla przewozu traktorami drewna z drugiego brzegu Kłiszmy.

Wśród nowych znajomości jakie teraz zawarłem, najbardziej utkwiał mi w pamięci pewien ekonomista, Makarow, który do naszego łagru trafił z obozów w Centralnej Azji /należących do grupy Szazlag/, gdzie przez większą część roku panowały warunki tropikalne. On ^{Wrazem} (powiedział, że więźniowie z obozów na południu ZSSR jako wielkie szczęście traktują przeniesienie na północ. Ludzie wymierają tam jak muchy z pragnienia, czerwotki i malarii. Pracują tam ^{bowiem} w 40-stopniowym upale wyczerpującym siły fizyczne znacznie szybciej niż praca na mrozie, a śmiertelność w tych obozach jest najwyższa w całym GULAG-u. Makarow przebywał w obozie, w którym więźniów zatrudniano głównie przy zbiorach bawełny i kopaniu rowów nawadniających. Z grupy 500-600 więźniów z którymi przybył tam dwa lata temu, zaledwie kilku dożyło do teraz. Wypytywany przez innych o szczegóły, odpowiadał filozoficznie: "a lager comme a lager" co jest zabawną trawestacją francuskiego "à la guerre comé à la guerre".

Poznałem także pewnego Polaka, Kaczanowskiego - zresztą obywatela radzieckiego, postać dość ciekawą, za którą to znajomość przyszło mi później drogo zapłacić. Opowiedział mi historię dość niezwykłą nawet jak na stosunki panujące w ZSSR - która sprawiła, że w konsekwencji znalazł się w obozie.

Otóż pewnego razu, żona jego stała w kolejce przed sklepem w którym sprzedawano damskie pantofle. Kiedy przyszła jej kolej okazało się, że została już tylko ostatnia para butów. Stojąca za nią elegancko ubrana kobieta, poprosiła by jej te buty odstąpiła. Pani Kaczanowska stanowczo odmówiła. Później zaś okazało się, że ona modna kobieta jest żoną wysokiego dostojnika miejscowego NKWD. W kilka ^{nie} tygodni potem Kaczanowski został oskarżony o to, że brał udział w rozmowie, w której w ogóle udziału nie brał i skazano go na 10 lat obozu według gumowego artykułu 58.10 - propaganda antysowiecka. Ponieważ Kaczanowski nie był człowiekiem godnym zaufania, dla porządku tylko zapisuję jego opowieść, choć nie wydaje mi się prawdopodobna. Ale kto wie?

Inny interesujący Polak - Krajewski, był synem polskiego rewolucjonisty zesłanego na Syberię jeszcze w carskich czasach. Będąc teraz człowiekiem około sześćdziesiątki miał

możność porównania systemu penitencjarnego carskiej Rosji z bolszewickim, stawiając ten pierwszy znacznie wyżej pod względem praworządności i humanitarnego traktowania więźniów.

- Za czasów mojej młodości, na całej Syberii nie było więcej niż 10 000 więźniów. Politycznych zresztą bardzo rzadko skazywano na katorgę tj. ciężkie przymusowe roboty, a jeśli to już się zdarzyło, zazwyczaj byli ułaskawiani przed terminem. Na katordze więzień otrzymywał trzy funty chleba, okraszony kaszą i trzy razy na tydzień mięso. Nie było głodu a więźniowie dożywali późnej starości. Inni, "polityczni" - mieli się znacznie lepiej. Wolno im było mieszkać prywatnie, zabierać ze sobą rodziny, takie zaś koszmarnie obozy w ogóle nie istniały. Rząd płacił za utrzymanie skazańca a strażnikom nie wolno było ich "tykać". Mogli utrzymywać korespondencję, czytać książki i prenumerować czasopisma a ich pozycja była znacznie wyższa niż więźniów kryminalnych. Ale do dnia dzisiejszego świat pamięta o Syberii i o okrucieństwach carów. A czy można to porównywać z piekłem w jakim teraz tu żyjemy?

- W samym tylko ^{nieśwym} obozie jest dziś dziesięć razy więcej więźniów politycznych niż było ich na Syberii przez cały czas panowania wszystkich carów Rosji. Każdego roku umiera tu więcej ludzi niż rządy carskie skazały na śmierć w ciągu trzech wieków. Ale świat o tym nie wie. Syberia jako symbol okrucieństwa carów pozostanie w historii. O tych obozach zapewne nikt się nigdy nie dowie. Świat jest jednak najdziwniejszym miejscem pod słońcem.

Ojciec Krajewskiego, sybirak i zesłaniec, ofiara carskiego despotyzmu, po odbyciu kary, ze zaoszczędzone pieniądze kupił niewielki majątek ziemski. Majątek ten przekazany synowi, stał się powodem dla którego i on podzielił los swego protoplasty - został deportowany i skazany jako kułak. Przez pewien czas przebywał w Centralnej Azji w Kokoridze nim przeniesiono go do naszego obozu. Poznał tam język turkmeński i tatarski i często służył im jako tłumacz.

Adwokat Jakub Warzawski także należał do naszej grupy. Wyróżniał się pięknym futrem z wydrowym koźniercem, stanowiącym przedmiot podziwu i zazdrości nie tylko więźniów ale i administracji obozowej. Zginął przez przypadek.

... w pobliżu obozu rozdawano skałę przy użyciu silnych ładunków dynamitu. Warszawski zbyt późno usłyszał ostrzeżenie. Instyktownie schował się za tablicę z nazwiskami "bohaterów pracy". To był naprawdę pech, że wielki odłamek skały uderzył akurat prosto w tę tablicę i rozplątał mu głowę. Żył jeszcze jakiś czas.

Przypominam sobie, że prowadzący obozową kantynę Skupienko, energicznie zajmował się rannym i nalegał aby przenieść go do kantyny, nim nadejdzie pomoc. Później zaś wszystkie wypchnął ze sklepu, tłumacząc że ranny musi mieć spokój. Kiedy po jakimś czasie pomoc dotarła - Warszawski już nie żył. Jego ciało wyniesiono ze sklepu. Już bez futra.

Trzej Polacy - Stypułkowski, Wróblewski i Kuffel - stanowili nierozłączną paczkę. Byłem z nimi zaprzyjaźniony, zwłaszcza z Kufflem, który również był warszawskim inżynierem. Byli to jedyni ludzie, podczas całej mojej łagierniczej kariery, którym udało się uciec z obozu. Wezyscy trzej pracowali w warsztatach naprawczych, stąd być może mieli możliwość zdobycia nożyc do przecinania drutu kolczastego.

Uciekli w początku maja. Wszystko było doskonale zorganizowane i zaplanowane. W nocy przecięli główną linię elektryczną, zasilającą reflektory na wieżach i spowodowali krótkie spięcie. W całym obozie pogasły światła i nim strażnicy ~~zorientowali~~ ^{wie} co się stało, poprzecinali druty kolczaste i otworzyli sobie drogę na wolność.

Mam wrażenie, że jeden z nich, Wróblewski miał pewne koneksje w Moskwie i mógł tam liczyć na pomoc. Z Władimira do Moskwy nie jest daleko, zaledwie kilka dni marzu. Zresztą nie dowiedziałem się nigdy jak się to skończyło, ani też jakie były ich dalsze losy. Osobiście sądzę, że szanse jakie mieli na ocalenie, były jednak bardzo niewielkie.

W każdym razie po ich ucieczce wzmocniono strażę, a w nocy patrole z psami rozpoczęła regularne obchody wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego. Natychmiast też, obozowe NKWD rozpoczęło długotrwałe i wyczerpujące śledztwo. Moja znajomość z Kufflem nie uszła uwadze i teraz megliowano mnie na wszelkie sposoby czy wiedziałem coś o ich zamiarach. Nie musiałem kłamać ani nie ukrywać, bo rzeczywiście nic nie wiedziałem. Za to prze-

łożony Wróblewskiego, inżynier zatrudniony z wolnej stopy, dostał pięć lat obozu pracy za brak nadzoru.

Miałem w obozie już pewną pozycję i zupełnie znosne warunki bytowania. Mogłem też zacząć starania, by pomóc tym z naszej grupy, którzy nie mogli być jeszcze zatrudnieni jako specjaliści. Budowa elektrowni nie osiągnęła bowiem jeszcze takiego stanu, by specjaliści byli potrzebni. Jednego po drugim starałem się uwolnić z brygad roboczych i zainstalować jako "pridurki".

W łagiernym żargonie określenie "pridurka" - przyglup, oznacza osobę pełniącą w obozie jakąś funkcję i zwolnioną od obowiązku prymitywnej pracy fizycznej. W ten sposób prawnik Truskier i nauczyciel Tabisz zostali pomocnikami w obozowej kuchni, a mego najbliższego przyjaciela Frankla udało mi się umieścić na funkcji "tabelzeczyka", co oznacza kalkulatora w biurze planowania. Truskier i personel kuchni podlegał bezpośrednio naczelnikowi oddziału sanitarnego - który w każdym obozie jest ważną osobistością, przełożonym wszystkim lekarzy i całego personelu szpitalnego.

We Władimirze funkcję tę pełniła młoda, najwyżej 25-letnia dziewczyna. Jej ulubioną rozrywką było przyglądanie się kąpiącym więźniom. Opowiedano, że większą część dnia spędza w kuchni na tym zajęciu. Ale na czym miała polegać rozrywka?

Któregoś dnia miałem sposobność w moim biurze rzucić okiem na całocielowy plan budowy naszej elektrowni. Mogłem zobaczyć jak projektanci wyobrażali sobie całość po zakończeniu prac. Otóż miejsce, w którym istniał i funkcjonował nasz piekielny obóz, określone było na planie jako "kolonia domków robotniczych". Wyglądało to jak wytworne przedniejskie osiedle domków wolno stojących z ulicami, kwiatnikami, parkiem itd.

Myślałem, że krew mnie zaleje na widok tej potwornej hipokryzji. A więc jacyś biurokraci w Moskwie, postanowili nazwać nas "kolonistami" i taka to informacja poszła na całą Rosję, a może nawet w świat ...

x x x

Rozdział IX

NADZIEJA NA AMNESTIĘ

Dwudziestego drugiego czerwca 1941 roku obozowa szczykaczka ogłosiła koniec "wieloletniej" przyjaźni rosyjsko-niemieckiej. "Niemcy zaatakowali wysunięte placówki Czerwonej Armii!" - oznajmił Mołotow a jego przemówienie radio transmitowało na całą Rosję.

Myślę, że w całym obozie nie było chyba ani jednego więźnia który nie ucieszył się tą wiadomością. Zapowiadały się zmiany, zaświtała nadzieja.

Pierwsze dni wypełniły bez reszty niekończące się przemówienia najróżniejszych agitatorów, "kawecze" nie milkły ani na chwilę. Cała propaganda nastawiła się na umocnienie linii patriotycznej. Wieczorami zaczęto zwoływać mitingi mające przy pomocy pogadarek i czegoś w rodzaju "występów artystycznych" podbudowywać ideologicznie, nadwątłone uczucia patriotyczne więźniów. "Kawecze" przez głośniki dosłownie wychodził z siebie, jego zachrypnięty głos, przechodzący od dramatycznego szepetu do krzyku, docierał do każdego zakątka obozu. Był wazachobecny. Prawie mogłem sobie wyobrazić jak gestykuluje i ociera pot z czoła.

Cały jego wysiłek szedł na marne. Trudno go było skwitować inaczej niż wzruszeniem ramion. Nawet gdybym był gorącym patriotą i kochał Stalina oraz Związek Sowiecki nad życie - nie mógłbym postąpić inaczej.

Wyobraźmy sobie tłum wynędzniałych więźniów poddawanych celowo codziennej torturze głodu i pracy nad siły, których jedyną perspektywą życiową jest śmierć z wyczerpania i którzy swój los zawdzięczają władzy sowieckiej - zmęczonych teraz do wysłuchiwania apeli do ich patriotyzmu i wezwań do obrony tejże właśnie władzy przed zewnętrznym zagrożeniem.

"Kawecze" wykonał normę w mówieniu co najmniej w 300 procentach a sens tej mowy był mniej więcej taki: należy wzmóc wysiłki przy budowie tamy co pozwoli na szybsze uruchomienie elektrowni, ta zaś zasili powstającą w Iwanowie zakłady odzieżowe, które wyprodukują mundury dla Armii Czerwonej. I w ten sposób przyczyni się do obrony ukochanej ojczyzny.

Dla każdego, kto zachował jeszcze resztki władz umysłowych, tego rodzaju apele nie mogły stać się niczym innym jak tylko zachętą do sabotażu i otwartego bojkotu. Najwidoczniej i NKWD doszło do tego samego wniosku: kara za niestawienie się do pracy, podniesiona niedawno do 3 lat więzienia, teraz podskoczyła do kary śmierci lub dożywocia. Artykuł 58.14.

Tak więc władze widząc, że ich wszelkie wysiłki propagandowe nie przynoszą spodziewanych rezultatów, dały sobie spokój z agitacją "kawecze". Zwłaszcza, że zaraz po jednym z jego najgorętszych apeli, nadeszło z Moskwy polecenie przerwania prac nad budową elektrowni i odłożenie jej do lepszych czasów.

Na trzeci czy czwarty dzień po wybuchu wojny, wszystkich nas politycznych tj. więźniów okazanych z artykułów 58 i 84 zebrano w jedną gromadę i zamknięto w odizolowanych barakach, odgradzonych od innych zasiekami z drutu kolczastego. Wokół zasieków wystawiono strażę z psami i w ten sposób zostaliśmy odcięci od reszty obozu. Staliśmy się niejako podwójnymi więźniami: więźniami w więzieniu. Dwie linie zasieków z drutu kolczastego odgradzały nas teraz od sowieckiego świata. Naszego "izolatora" nie wolno było opuścić pod żadnym pozorem. Nie mieliśmy oczywiście ani radia ani gazet a cały wysiłek władz skierowany był najwidoczniej na odizolowanie nas od jakichkolwiek informacji z zewnątrz.

Z naszej nowej sytuacji wynikała tylko jedna korzyść. Nie musieliśmy pracować. Wygrzewaliśmy się więc na słońcu w ciepłe pogodnego lata, nie popędzani przez nikogo. W warunkach obozowych była to sytuacja wyjątkowa, niepotykana i wręcz nieprawdopodobna.

Nasza grupa politycznych składała się z 200 osób, wśród których ponad 25 procent stanowili "natemeni", a więc przede wszystkim przedstawiciele najrozmaitszych mniejszości narodowych zamieszkujących Związek Sowiecki: Turkmeni, Kirgizi, Tatarzy, przedstawiciele najróżniejszych ludów mongolskich zamieszkujące stepy Centralnej Azji graniczące z Persją i Chinami, mówiący najdziwniejszymi językami. Niektórzy z nich znali zaledwie kilka słów rosyjskich.

I choć w większości pozostawali oni na poziomie cywilizacyjnym w czasach Dżingis Chana, ich naturalna szlachetność i godność stawiała ich o niebo wyżej od tzw. "cywilizowanego" Rosjanina. Byli szczerymi i uczciwymi ludźmi, którzy potrafili się oprzeć demoralizującemu wpływowi życia obozowego; pozostali wierni swojej religii, tradycjom i zasadom moralnym. Znali pojęcie lojalności i zawsze dotrzymywali danego słowa. "Natemeni" reprezentowali starą, wysoką kulturę Azji, która potrafiła oprzeć się wieloletniemu wpływowi sowieckiej korupcji i moralnego spustoszenia.

Współżycie z nimi okazało się znacznie łatwiejsze, niż z Rosjanami. Kradzieże prawie się nie zdarzały, zaś ich sposób zachowania pozbawiony był tej brutalnej szorstkości, tak charakterystycznej wśród Rosjan. Zauważyłem to nie tylko ja, wszyscy Polacy i "zapadnicy" byli tego samego zdania. Wydało się bardzo prędko, że znacznie łatwiej znaleźć wspólny język z niepiśmiennym Kirgizem, ale wierzącym muzułmaninem, niż z wykształconym Rosjaninem, którego wszelkie zasady moralne spłaszczył strach.

Wieczorami malownicze grupy ludzi wywodzących się z Azji zasiadały wspólnie przy rozpalonym ognisku i gotowały wodę pomieszaną z ziołami i w dostojnym milczeniu popijając napar - pomimo obozowej rzeczywistości, a może właśnie na przekór niej - starały się zachować swój własny sposób życia. Wyrażało się to również w resztkach narodowej odzieży, jakie udało im się zachować - w nakryciach głowy, ale najbardziej w umysłach i sercach z których ani Marks ani Stalin nie wyparli Mahometa.

W grupie "natemenów" szczególną uwagę zwracał pewien stary Tadżyk, swoim pełnym godności sposobem zachowania i

poruszania i dystansu z jakim odnosił się do otoczenia - budząc powszechny, naturalny szacunek. Był uprzejmy, powściągliwy i zamknięty w sobie, i chociaż przebywał w obozie od 1937 roku, prawie nie znał rosyjskiego. Porozumiewałem się z nim dzięki Krajewskiemu, który tłumaczył nasze rozmowy.

Otóż, do roku 1937 żył sobie spokojnie w swoim kraju położonym wśród gór Pamiru w pobliżu granicy z Indiami. Był człowiekiem zamożnym miał swoje żony, stada owiec, wielbłądy i spędzał dni zgodnie z przykazaniami Proroka, ciesząc się powszechnym uznaniem i szacunkiem lokalnej społeczności. Czym jego egzystencja mogła zagrażać spokojowi i bezpieczeństwu sowieckiego państwa - tego nie udało mi się zgadnąć. Ale fakty są faktami, nakaz aresztowania go został gdzieś, przez kogoś wydany i trzeba go było wykonać. Wyżyna Pamiru, zwana inaczej "dachem świata" - pozbawiona jest dróg a łączność z nią utrzymują z rzadka tam docierające karawany wielbłądów. Jednak nie można było przecież dopuścić, by "wróg ludu", który skrył się aż w niedostępnych regionach "dachu świata" miał działać bezkarnie, na szkodę ojczyzny światowego proletariatu. Rozkazy jak się rzekło były wydane. Więc pewnego dnia wśród niedostępnych gór Pamiru wylądował samolot. Spadł z nieba jak sęp, wyrwał niczego niespodziewającego się Tadżyka od jego żon, owiec i wielbłądów i dostarczył go przed oblicze karzącej władzy.

Dla prostodusznego człowieka stało się oczywiste, że to sam Szejtan wmieszał się osobiście w jego życiowe sprawy.

Do obozu zajechała wojskowa komisja poborowa i rozpoczęła werbunek do armii więźniów niepolitycznych. Wcielanie do wojska było równoznaczne ze zwolnieniem z obozu. Decyzje warunkowały oczywiście fizyczne zdolności więźnia do pełnienia służby wojskowej. No i wytworzyła się paradoksalna sytuacja: bandyta, sprawca rozbojów, morderstw i gwałtów skazany na dożywotnie roboty, podlegał natychmiastowemu zwolnieniu z obozu, jeśli oczywiście był młody, zdrowy i sprawny fizycznie - natomiast cherlak, skazany za spóźnienie się do pracy, musiał siedzieć dalej.

U nas, politycznych, zamkniętych w izolacji rozpoczęły się bezustanne rewizje. Coraz częstsze i coraz bardziej szczegółowe. Doeszło do tego, że skonfiskowano moje dwa techniczne podręczniki niedawno przysłane tu, do obozu przez przyjaciół z Lidy - które zresztą były mi bardzo przydatne, a ich jedyną "winę" było chyba to, że napisane w języku niemieckim.

Nocami, gdzieś bardzo daleko zaczęły pojawiać się błyski rozświetlające odległą linię horyzontu. Noce były ciche i pogodne więc nie mogły to być wyładowania atmosferyczne. Wy tłumaczenie tych niezwykłych zjawisk było jedno. Zbliżał się front.

Znaleźliśmy się w pewnym psychicznym dyskomforcie, w konflikcie wewnętrznym. Jako Polacy uważaliśmy Niemców za głównego naszego wroga, powinniśmy zatem Rosjan traktować jako naturalnych sprzymierzeńców. Z drugiej zaś strony, w Rosji zrobiono wszystko, by uczynić z nas swoich wrogów. Komu więc mieliśmy życzyć zwycięstwa? Z czyich sukcesów się cieszyć? Takie oto rozważania stały się ^{głównym} tematem w naszych "nocnych rodaków rozmowach". Wydawało się, że pozostaje nam tylko życzyć sobie wielkiej katastrofy, które pochłonie jednych i drugich, a przede wszystkim nasz obóz.

Podczas kilku tygodni naszego pobytu w izolacji, tylko raz wysłano nas do pracy. Chodziło o pilną potrzebę natychmiastowego umocnienia teraz już wreszcie wybudowanej tamy. Jeden z brygadziestów, Gasparowicz, z którym podczas swojej pracy inżynierskiej zamieszkiwałem w jednym baraku, korzystając z chwilowej nieuwagi strażników wciągnął mi do ręki wycinek z gazety zawierający rewelacyjną i bezcenną informację. Dowiedziałem się z niej, że generał Sikorski podpisał ze Stalinem układ, na mocy którego wszyscy Polacy, przetrzymywani w ZSSR podlegać mają amnestii i w krótkim czasie zwolnieni zostaną z łagrów i więzień.

Nasze nadzieje i oczekiwania rosły z dnia na dzień, a jednocześnie warunki bytowania i sposób traktowania nas przez władze obozu nie zmieniły się ani na jotę. Nawet już sam fakt,

że nikt nie zawiadomił nas o tym wydarzeniu tj. o mającej nadejść amnestii - nie wróżył nic dobrego. Uznaliśmy więc, że najwidoczniej władze naszego łagru postępują samowolnie, okazyując podobną opieszałość. Postanowiliśmy zatem zaprotestować i przesłać odpowiednią petycję do komendy. Będąc inicjatorem tej akcji, zostałem mimowolnym liderem naszej polskiej grupy nie zdając sobie sprawy, że podejmując tego rodzaju działanie staję się tym samym, dla sowieckiego porządku - buntownikiem i kontrrewolucjonistą. Egzekwowanie należnych praw, nawet jeśli prawa takie są czarno na białym wyrażone na papierze, w Rosji Sowieckiej jest oczywistym działaniem przeciwko państwu. Jeśli więc ktoś, próbuje od państwa wyegzekwować należne mu prawa, nawet przez to samo państwo ustanowione - jest przestępcą. Państwo bowiem w drodze przywileju może pozwolić komuś skorzystać z prawa, ale przecież nie jest do tego zobowiązane, nie musi. Zbyt mocno jednak "pozostawałem "zapadnikiem" aby to zrozumieć.

Zdarzyło się, że pewnego dnia, obóz odwiedził miejscowy prokurator w celu przeprowadzenia inspekcji. W imieniu polskiej grupy wystąpiłem z protestem przeciwko dalszemu przetrzymywaniu nas, wbrew zasadom powszechnej amnestii. Prokurator potraktował mnie bardzo uprzejmie, zapisał moje nazwisko i obiecał, że będzie w tej sprawie interweniował w Moskwie. W jakiś czas po tym, zostałem wezwany do biura komendy obozu. Oczekiwała tam na mnie, niemłoda już, siwowłosa kobieta o twarzy zupełnie pozbawionej wyrazu. W tonie konwencjonalnej rozmowy spytała o dane personalne, jak trafiłem do obozu itp. Nie miałem pojęcia kim ona jest, a mając wrażenie, że rozmowa ma związek ze spodziewaną amnestią, szczerze i bez zahamowań udzielałem odpowiedzi na wszystkie pytania. W pewnym momencie popatrzyła na mnie krytycznie i zmienionym już, ostrym tonem spytała, skąd wiem o amnestii dla Polaków.

- Wszyscy w obozie o tym wiedzą. Przecież to żaden sekret ... Gazety o tym pisały.

- Nie dostajecie gazet - przerwała mi. - Skąd więc wiecie, co jest w gazetach?

- Powtarzam to, o czym wszyscy mówią - upierałem się.

Nie mogłem zdradzić Gasparowicza, a jednocześnie ^{zdarzyć się} ~~zdarzyć~~ sobie ^{Splawę} że moje odpowiedzi nie są przekonujące. Doskonale przecież wiedziała, że żyjąc w kompletnej izolacji za podwójnym kordonem, odcięty od świata nie mogłem znać treści sowieckich gazet. Kiedy wreszcie kazała mi odejść, naruszając obozową etykietę - odważyłem się zapytać: jaki był cel tego przesłuchania i kiedy zostaną zwolniony? Popatrzyła na mnie jak na przedmiot:

- Dowiedcie się, kiedy nadejdzie pora.

Wróciłem do naszej zagrody w kiepskim nastroju. Później Krajewski długo i cierpliwie, starał mi się wytłumaczyć, że więzień który próbuje wpłynąć na poprawę swego losu, jest w Rosji uważany za przestępcę, a co najmniej za sprawcę wykroczenia i powinien być za to ukarany. Oznacza to bowiem, że nie pogodził się jeszcze ze swoim losem, nie przyjął wyroku wydanego przez państwo z należytą pokorą, a po drugie buntuje się.

Jeszcze zaś później dowiedziałem się, że owa siwowłosa kobieta - nazwiskiem Utkina, jest szefem obozowej komórki kontrwywiadu NKWD tzw. "Smerszu".

W połowie sierpnia, zbudzono nas przed świtem i w szybkim tempie wraz z całym bagażem, pod zdwojonym konwojem wymaszerowaliśmy z obozu. W blasku poranka znaleźliśmy się we Władimirze. Zmiany w mieście, jakie przyniosła wojna, można było dostrzec gołym okiem. Duża ilość wojska na ulicach, mnóstwo wyładowanych wozów konnych, tłum uchodźców najwidoczniej z terenów zajętych przez Niemców.

Reakcja na nasz widok, mimo zatłoczenia ulic, była identyczna jak poprzednio - nikt nas nie widział. Kiedy jednak mijaliśmy dziwny budynek, okna jego wypełniły się tłumem kobiet, przypatrujących się nam z widocznym zalem i współczuciem. Kilka z nich odważyło się nawet pomachać nam ręką. Któraś krzyknęła: "Niemcy są pod Smoleńskiem" - ale zaraz unikała przestraszona. Konwojenci zaczęli nas gwałtownie popędzać i nawet nie miałem czasu się obejrzać.

Później, kiedy już zainstalowaliśmy się na dobre w nowym obozie, w pobliżu Boguliubowa i nawiązaliśmy nowe kontakty, pewien kierowca ciężarówki, objaśnił nam, że ów budynek to dawne zabudowania poklaszterne, ~~tenż~~ zamienione na więzienie dla kobiet, które uciekły z terenów zajętych przez Niemców a zostały wyłapane i skazane na podstawie nowowprowadzonego artykułu przewidującego kary za stanie paniki i defetyzmu. Zamknięto je wraz z dziećmi i tym drobnym dobytkiem jaki udało im się uratować, a ich wina polegała na tym, że przybyły z miejscowości, których nie wymieniono jako utraconej komunikat^u wojenny^u publikowan^u w "Prawdzie" i "Izwestiach".

Gdy minęliśmy Władimir, zaczęło padać, maszerowaliśmy w deszczu jeszcze przez wiele godzin, wśród łądów nie zebranych zbóż. Dopiero późnym wieczorem dotarliśmy do przygotowanej dla nas zagrody z drutu kolczastego - na której nie było nic z wyjątkiem pojedynczego podartego namiotu, bez podłogi, bez prycz, bez niczego z wyjątkiem gliniastej ziemi. Położyliśmy się na niej w przemoczonych ubraniach. Później dopiero, przydzielono nam trochę słomy na posłania.

Nasz nowy obóz miał służyć celom wojskowym. Mieliśmy mianowicie wybudować lotnisko polowe zakamuflowane w pobliżu lasu. Pierwszym zadaniem z jakim mieliśmy się uporać była budowa drogi, odgałęzienia od głównej osi Moskwa-Gorki /Niżnyj Nowogrod/ mającej umożliwić zaopatrywanie przyszłego lotniska z materiały pędne i niezbędne urządzenia.

Pobudka odbywała się wraz ze świtem, do pracy mieliśmy około 10 kilometrów. Budowaną drogę wytyczono przez łąki niezrebranych pól pszenicznych, które najpierw należało wyrównać i zniwelować a następnie zasypać żwirem i utwardzić. Odbywało się to w sposób normalny, czyli przy pomocy szpadla i siły mięśni napędzanych głodową racją chleba. Cała ta praca trwałaby nie dłużej niż kilka dni przy użyciu odpowiednich środków technicznych.

Nadezła fala upałów, pracowaliśmy w kurzu, pozbawieni wody, wielu mdleło z pragnienia. Zaraz na drugi dzień jeden

z Turkmenów zmarł na uder serca. Praca trwała do zmierzchu, wracaliśmy w nocy. Oczywiście nie mieliśmy w obozie światła elektrycznego, ani też żadnej lampy. Ale najgorzej: w obozie również nie było wody, na cały dzień wydzielono nam pół kubka z beczki. Przez wiele tygodni nie myliśmy się w ogóle. Ilość węgla wzrosła tak, że nawet nam, starym więźniom, wydało się to alarmujące. Przed namiotem ustawiono stół z nieobrobionych desek i dwie ławy. Później parę metrów dalej kazano nam wykopać metrowej głębokości, niczym nie osłonięte rowy. Była to latryna. Wkrótce też zaczęły się zachorowania na krwawą dyszenterię. Zresztą i tak wszyscy cierpieliśmy na dolegliwości żołądkowe.

Obóz szybko się zappełniał. Nowe grupy więźniów przybywały każdego dnia. W więźności byli to okoliczni chłopcy i robotnicy z pobliskich miasteczek jak: Kowrowo, Aleksandrowo itd. generalnie skazywani za "antysowiecką propagandę".

Siedząc przez ponad dwa miesiące w ścisłym odizolowaniu, nie mieliśmy nawet pojęcia jak wielkie zmiany zaszły w tym czasie. Teraz w Bogoliubowie udało nam się nawiązać kontakty z ludźmi wolnymi. Zawarliśmy szereg znajomości, które umożliwiły nie tylko zdobycie chleba, ale czegoś ważniejszego nawet niż chleb - wiadomości. Niekiedy ~~nawet~~ ^{nie} udało się nam dostać ^{nie} gazety.

Niemcy podchodzili pod Moskwę. Rząd a szczególnie NKWD starały się teraz zrobić wszystko co w ich mocy, by stłumić narastający krytycyzm wobec ryzykownej przedwojennej polityki. Znam wypadek skazania na 10 lat, na mocy artykułu 58.10 człowieka, który w prywatnej rozmowie wspominał jedynie o samym istnieniu paktu Mołotow-Ribentrop, bez żadnego komentarza. Prestiż władzy i Armii Czerwonej topniał jak wiosenny śnieg.

- I po co karmiliśmy Niemców przez dwa lata! - zwierzał mi się w zaufaniu poznany kierownik ciężarówki dowożącej żwir. Skłaliśmy im naftę i surowce, a teraz ich żołnierze jedzą chleb zrobiony z naszej pszenicy i strzelają z armat wytopionych z naszej rudy.

Sporo też mówiło się o linii Woroszyłowa, która rozleciała się jak domek z kart od pierwszego podmuchu wojny i

złożonymi niegdyś przez tego marszałka buńczucznych odpowiedzi, że "jeśli wróg nas napadnie, pobijemy go na jego własnej ziemi". Teraz już samo wymienianie nazwiska Woroszyłowa uważane było przez NKWD za prowokację i służyło jako podstawa do wszczęcia dochodzenia.

Krytyka nieprzygotowania Armii Czerwonej i niekompetencji jej sztabów, krytyka polityki rządu bratania się z Niemcami była tak silna, że ludzie coraz częściej i coraz otwarciej ośmielali się o tym mówić. Zwłaszcza uchodźcy, którzy utracili cały dobytek, cierpieli głód, niewygody i poniewierkę nie mieli nic do stracenia. Nikt oczywiście nie interesował się ich losem, żadne władze. Nikt też, nie pomyślał nawet o potrzebie zorganizowania dla nich jakiejś pomocy, bo też nikt zapewne nie był w stanie przewidzieć migracji ludzi w tak wielkiej skali.

x x x

Rozdział X

BEZ PRZYJACIÓŁ

Pewnego razu, do miejsca w którym pracowaliśmy zbliżył się Gaspanowicz, dając mi tajemnicze znaki, a gdy strażnik odwrócił się, przerzucił przez zasieki kamień zawinięty w papier. Była to strona "Izwesti" z 12 sierpnia 1941 roku, zawierająca dekret Najwyższego Sowietu, ogłaszający amnestię dla Polaków.

A więc nareszcie. Było to w naszym życiu niezwykle ważne rozstrzygnięcie, całkowicie zmieniające nasz status prawny. Na nowo zatem i ze zdwojoną siłą odżyły uśpione już trochę nadzieje na rychłe uwolnienie, które wydawało się nam teraz sprawą jeśli nie dni, to tygodni. Mieliśmy bowiem w najbliższym czasie przekonać się, jakie konsekwencje przyniesie dla nas nowo wydany dekret. Tymczasem nasza sytuacja była nadal równie niejasna co niepokojąca. Z jednej strony bowiem Sikorski i Stalin podpisali pakt, na mocy którego Polska i ZSSR stawały się sojusznikami wobec wspólnego wroga - Niemiec, a z drugiej zaś, sposób traktowania Polaków w obozie nie zmienił się ani trochę. Nadal byliśmy odizolowani i nadal uważano nas za "wrogów ludu".

Rozstrzęsaliśmy tę sytuację na wszelkie sposoby w niekończących się rozmowach we dnie i w nocy, przestając zachowywać zwykłą ostrożność. Jak teraz wiem, zbyt dużo i zbyt otwarcie mówiliśmy w obecności Kaczanowskiego.

W każdym razie nadzieje na odzyskanie wolności odżyły w nas na nowo. Jeszcze raz złożyliśmy do komendy obozu petycje. Ale odpowiedź nie była zbyt pocieszająca. Zostaliśmy poinformowani, że władze nie otrzymały jeszcze żadnych, dotyczących nas rozkazów, a artykuł w gazecie nie stanowi dla nich podstawy do działania.

Którego dnia jednak, kiedy prace przy budowie drogi były już prawie na ukończeniu, zajechał do nas samochodem komendant obozu. Przechadzał się po drodze, starannie sprawdzając postępy robót i w pewnym momencie kiwnął na mnie i odwołał na bok.

- Mam dla was dobrą wiadomość - powiedział - I dla reszty Polaków także. Niedługo pewnie będziecie wolni. Serce zabiło mi z przejęcia:

- Kiedy?

- Wkrótce. To zależy jeszcze od różnych okoliczności. Musimy przecież wiedzieć kogo zwalniamy. Nie możemy sobie pozwolić na wypuszczenie niemieckich szpiegów albo wrogów Związku Sowieckiego. A powiedzcie mi: nie ma w waszej grupie nikogo, kto sympatyzuje z Niemcami. Żadnych szpiegów?

- Z pewnością nie.

- Jesteście pewni?

- Dałbym głowę, że nie - powiedziałem stanowczo i w gruncie rzeczy byłem absolutnie pewny, że mówię prawdę.

Dzisiaj jestem przekonany, że rozmowa ta miała decydujący wpływ na moje dalsze losy. Wtedy jednak nie zdawałem sobie sprawy, że zgodnie z sowieckim sposobem myślenia - występowałem jako lider grupy, a więc ktoś, kto ją zorganizował i ponosi osobistą odpowiedzialność za wszystkich jej członków.

Roboty drogowe zostały zakończone. Przystąpiliśmy teraz do budowy samego lotniska, a więc pasa startowego długości ponad pół kilometra, drózek dojazdowych prowadzących do lasu, gdzie wśród drzew miały powstać naturalne hangary przykryte siatką maskującą. Baraki i pomieszczenia na zbiorniki paliwa również miały być w podobny sposób maskowane w lesie.

Teraz praca była znacząco łatwiejsza, gdyż lotnisko położone było w pobliżu obozu i odpadała konieczność 3-4 godzin marszu na miejsce robót i z powrotem.

Obok pasa startowego ustawiono dziesięć tzw. "gruszek" czyli mieszarek do betonu, ale cement okazał się nie do zdobycia nawet na potrzeby wojska i mieszarki stały sobie długo

jeszcze bezużyteczne. Ostatni raz widziałem je pokryte już grubą warstwą śniegu. Z braku cementu, do utwardzania pasa startowego, postanowiono użyć cegieł. Ale o cegły także nie było łatwo. Kierownictwo budowy rozwiązało ten problem nakazując wyсадzenia w powietrze dużej, zabytkowej cerkwi, stojącej w pobliżu. Zostaliśmy więc teraz wysłani do rozwalania murów, wybierania zachowanych cegieł i oczyszczania ich z resztek zaprawy murarskiej a następnie układania ich na pasie startowym. Oczywiście wynik tego rodzaju pracy musiał być mocno wątpliwy, wątpię bowiem należy czy wykonany w ten sposób pas startowy oprze się warunkom pogodowym: deszczom, mrozom, roztopom. Czy w ogóle mógł być użyteczny. Nie wspominać już o nieprawdopodobnym marnotrawstwie pracy i zniszczeniu samej cerkwi. Ale kto by się przejmował cerkwią. Przecież była wojna. Niemcy podchodzili pod Moskwę.

Cerkiew, którą rozbiaraliśmy cegła po cegle, stała tuż przy głównej szlaku wiedzącej z Moskwy do Gorki. Dzięki temu miałem możność obserwować paniczną ucieczkę ludności Moskwy w październiku 1941 roku. Ruch na osi wzrastał z dnia na dzień, z godziny na godzinę aż przemienił się w istny potop ludzki. Od wczesnego ranka, kiedy tylko zaczynaliśmy pracę przelawał się strumień pojazdów wszelkiego rodzaju: ciężarówek, wozów konnych, nawet dorożek miejskich, ludzi ciągnących wózki ręczne, pieszych uciekinierów. Wszystko wyładowane meblami, pościelą naczyniami, maszynami do szycia, tobołami i wszelkiego rodzaju dobytkiem. Cały ten potok nieprzerwanie porł z Moskwy w kierunku na wschód. Wyglądało to na paniczną ucieczkę setek tysięcy umęczonych i przerażonych śmiertelnie ludzi. Wśród tłumu, rycząc klaksonami uwijały się niezwykle liczne jak na Związek Sowiecki prywatne samochody osobowe, należące bez wątpienia do różnego rodzaju dygnitarzy, jako że w Sowietach wyłącznie dygnitarze dysponowali samochodami osobowymi. Wiele miesięcy później dowiedziałem się zresztą, że część tych dygnitarzy, w każdym razie ci, którzy znaleźli się w Gorki, zostali wylepani przez NKWD a następnie rozstrzelani za samowolne opuszczenie posterunku pracy w czasie wojny. Zostali potraktowani jak dezertery.

Przyglądając się tej panice, często zastanawialiśmy się, co też może stać ^{się} z nami, jeśli nastąpi konieczność szybkiej ewakuacji obozu wobec ofensywy niemieckiej. Doświadczeni więźniowie wyrażali przekonanie, iż w takim wypadku wszyscy "polityczni" zostaną natychmiast rozstrzelani. Że taka możliwość jest przez komendę obozu przewidywana, świadczyć miało - ich zdaniem - między innymi i to, że trzymano nas oddzielnie w ściśle izolowanym baraku. Uważaliśmy takie prognozy za zwyczajne krakanie pesymistów. Kiedy jednak później dowiedziałem się o masowych egzekucjach więźniów we Lwowie, Wilnie, Kijowie, Charkowie i wielu innych miastach, tuż przed wkroczeniem Niemców - zdałem sobie sprawę, że ci "pesymiści" mieli jednak zupełną rację.

Uniówka robocza dla żeglarników została wydłużona do 16 godzin co tłumaczono nam wojną i koniecznością wzmożenia wywózki na jej rzecz. My zaś Polacy żyliśmy nadzieją na wolność i każdego dnia oczekiwaliśmy, że coś się zdarzy. No i wreszcie wydarzyło się.

Pewnego wieczoru, po pracy, wywołano z listy wszystkich Polaków, na samym końcu padło i moje nazwisko. Po kolei wchodziłiśmy do namiotu kierownictwa. Oczekiwała tam sama siwowłosa kobieta - Utkina.

- Och, to wy ... - powiedziała na mój widok, i jak zwykle zaczęło się to samo: imię, nazwisko, imię ojca, wiek, artykuły, wyrok.

- Którego z Polaków podejrzewacie o szpiegostwo na rzecz Niemiec?

- Żadnego.

- Jesteście pewni? - Utkina nie miała twarzy, to była chłodna maska całkowicie pozbawiona wyrazu i uczuć.

- Tak, i na tym rozmowa się skończyła.

Moi przyjaciele odżyli. Zniknęło gdzieś zapracowanie i zmęczenie. Nie mogliśmy już mieć wątpliwości, w najbliższym czasie napewno zostaniemy zwolnieni. Zaczęliśmy enuć plany na przyszłość. Wiedzieliśmy już, że gdzieś organizuje się nasza armia pod wodzą generała Andersa, ale gdzie? Do kogo się zgłosić? Jak do niej trafić? Czy nam pozwolą? Było jeszcze wiele pytań, na które nie znaleźliśmy odpowiedzi. Wydawało się

nam, że najlepszą rzeczą będzie zgłosić się do naszej ambasady, która podobno jest już w Kujbyszewie.

Mimo ogólnego podniecenia i wewnętrznej radości, czułem się jakoś dziwnie niespokojny. Nie miałem dobrych przeczuć. Ostatnim, którego wezwano do namiotu Utkiny był Kaczanowski, ale on nie miał obywatelstwa polskiego. Z formalnego punktu widzenia, nie obejmowała go amnestia. I co dziwniejsze, przebywał w tym namiocie bardzo długo. O wiele dłużej niż my wszyscy.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień. Komenda obozu ogłosiła, że trzech spośród nas: Frenkiel, Sztejnman i Truskier mają przygotować się do opuszczenia obozu na następny dzień. Zostani zwolnieni na mocy amnestii. Mego nazwiska wśród zwolnionych nie było, mimo że miałem najmniejszy wyrok. Na wszystkie pytania w tej sprawie otrzymywałem zawsze identyczną odpowiedź:

- Jak przyjdę z Moskwy papiery z poleceniem zwolnienia, to zostaniecie zwolnieni. Jak nie przyjdę, to nie. My nic nie wiemy.

Ogarnęła mnie czarna rozpacz, a pogłębiał ją jeszcze fakt odjazdu moich najbliższych przyjaciół - zwłaszcza Frenkiela. Aby pozostać z nimi jak najdłużej, postanowiłem następnego dnia nie iść do pracy i nie oddalać się z obozu. Kosztowało mnie to ciepły wełniany pulower - jedną z ostatnich porządnych rzeczy jakie mi jeszcze zostały. Za ten pulower narządczyk - czyli odpowiedzialny za listę obecności w pracy - zwolnił mnie jako chorego.

Dla Frenkiela, rozstanie ze mną również nie było sprawą łatwą, no, ale on wychodził jednak na wolność. Umówiliśmy możliwość kontaktu i spotkania po moim uwolnieniu. Krajewski i Gasparowicz dali nam adresy swoich żon, prosząc by przekazać ich rodzinom wiadomości o nich, ich zdrowiu i kondycji. Żona Krajewskiego mieszkała w Kokandzie, Gasparowicza zaś w Gorki. Zapisaliśmy je kopicowym ołówkiem, na zamoczonych strzępkach chusteczki do nosa, a ja swoje wazyłem pod podszewkę marynarki.

Frenkiel i reszta przyjaciół wyszli z obozu, i znaleźli się po drugiej stronie drutów. Odprowadzałem ich wzrokiem, jak ^{ratujący} załadowywali się na ciężarówkę. Wkrótce zniknęli w tumanie kurzu. Byli już wolnymi ludźmi. Ja, nadal łagiernikiem.

Jesień tego roku była bardzo krótka, noce stawały się coraz zimniejsze a wazy coraz dokuczliwsze. Nie dawały spać, nie było kiedy ich wykapywać. Wychodziliśmy do pracy przed świtem, wracaliśmy po zmroku. Jedyłą szansą uwolnienia się od ich nadmieru było rozpalenie ogniska podczas przerwy w pracy. Zdejmowało się koczule i kalesony i trzymało tak długo nad ogniskiem, aż wazy pośpadały. Było to dość skomplikowane zadanie wymagające refleksu, gdyż należało bardzo uważać by przy okazji nie przypalić sobie bezcennej odzieży. A poza tym, z powodu panującego zimna trudno było dłużej stać nago.

W obozie nasiliła się liczba zachorowań, a śmiertelność przybrała niespotykane dotąd rozmiary. Rozpoczęła się epidemia czerwonki, a ponieważ nie była odpowiednio leczona - stała się przyczyną wielu nowych zgonów. Coraz częściej zdarzały się przypadki ślepoty spowodowanej ciągłym niedożywieniem i przepracowaniem.

Listopad rozpoczął się obfitymi opadami śniegu, ale w codziennej łagiernej rutynie nic się nie zmieniło. I w mojej sytuacji także nic się nie zmieniło, wyczekiwana wolność nie nadchodziła. Z dnia na dzień stawałem się coraz bardziej słaby i z coraz większym trudem mogłem się poruszać. Po pracy, natychmiast waliłem się na posłanie nie mogąc wykrzesać z siebie nawet tyle energii, by cokolwiek zrobić dla przyspieszenia swego uwolnienia.

W dalszym ciągu układaliśmy cegły na pasie startowym. Lotnisko miało być gotowe w sierpniu, ale ciągle jeszcze roboty trwały i końca ich nie było widać.

Siódmego listopada, kolejną rocznicę Rewolucji Październikowej Stalin uświetnił przemówieniem do Armii Czerwonej. Przeczytałem to przemówienie z przemyconego do obozu egzemplarza "Prawdy". Stalin przyznał, że Niemcy są pod Morską, a

ich armia przewyższa znacznie pod względem technicznym Armię Czerwoną, ale jednocześnie zapowiedział niewątpliwe i ostateczne zwycięstwo Rosji. Tabisz nazwał to przemówienie apelem do krajów zachodnich o pomoc materiałową.

Później spotkałem wiele osób aresztowanych właśnie w tym czasie i skazanych na 10 lat obozu pracy za "rozgłaszanie nieprawdziwych wiadomości o technicznej przewadze wroga". Mieli pecha, że doszli do tego wniosku na podstawie empirycznych doświadczeń trochę za wcześnie. Wcześniej niż Stalin.

x x x

Rozdział XI

STALIN NIE ODPOWIADA

Pod koniec listopada byłem już tak wyczerpany, że kładąc się wieczorem nie miałem pewności, czy rano zwlokę się z pryczy. I nagle, nieoczekiwanie kazano nam przygotować się do drogi i zaprowadzono do łaźni. Zmobilizowałem całą resztę sił na tę zimną kąpiel i na pół żywy znalazłem się w otwartej ciężarówce. Tej podróży nigdy chyba nie zapomnę. Lodowaty wiatr zaczynał śniegiem i przenikał nasze zmarznięte ciała do szpiku kości. Ściągnięci, staraliśmy się ogrzewać jeden od drugiego, ale nie na wiele się to zdało. Niektórzy okupili tę drogę odmrożeniami nosów, uszu i kończyn.

Na pół martwi, pokryci warstwą zlodowaciałego śniegu dotarliśmy w końcu do zabudowań, które na pierwszy rzut oka przypominały magnacką rezydencję. Było to więzienie w Iwanowie, zwane potocznie "zamkiem", które znałem z opowiadań kolegów obozowych. W rzeczywistości raczej był to rodzaj punktu rozdzielczego, skąd pewne grupy więźniów rozsyłano do różnych obozów a nielicznych podobno na wolność. Tak czy owak, była to jednak zmiana i to zmiana otwierająca pewne nadzieje z której mogłem się tylko cieszyć.

Bierwsze wrażenie okazało się słuszne, istotnie "zamek" w czasach carskich był rezydencją miejscowego potentata przemysłowego branży tekstylnej. W dawnych pomieszczeniach dla służby mieściła się teraz stołówka dla personelu, sale klubowe i świetlice oraz pokoje śledczych, zaś dawne stajnie i wozownie przerobiono na cele dla więźniów.

Umieszczono nas w celi, jak zwykle zatłoczonej do tego stopnia, że wraz z Kowalskim mogliśmy znaleźć miejsce dla siebie jedynie wciskając się pod prycę i musieliśmy z braku miejsca tkwić tam przez cały dzień i tam też ^{pod prycę} jadaliśmy.

Pomijając jednak zatłoczenie, nowe więzienie zdawało się stanowić pozytywną odmianę w porównaniu z Bogolubowem. Przede wszystkim, byłem śmiertelnie przepracowany i koniecznie potrzebowałem fizycznego wypoczynku - teraz nie musiałem pracować. Ale wkrótce zaczęły pojawiać się głodowe sensacje. 400 gram chleba i miska wodnistej zupy dziennie nie były w stanie ich ucieszyć.

Z naszej polskiej grupy trzech uciekło jeszcze z Włodimira, trzech zostało zwolnionych, Warczawski zmarł, zostało nas więc tylko trzech: Kowalski, Tobisz i ja. Kaczanowski, jak zawsze krążył wokół nas i próbował intrygować, teraz zaś zaczął wobec mnie zachowywać się wręcz wrogo. Nasza trójka stała się nierozłączna, całymi dniami nie mogliśmy rozmawiać ani myśleć o niczym innym tylko: czy nas zwolnią? kiedy? i co wtedy zrobimy? Leżąc pod jedną pryczą rozmawialiśmy bez końca, opowiadając o swoich losach.

Kowalski pochodził z Bydgoszczy, z zawodu był kolejarzem. Na początku wojny znalazł się w jakimś miasteczku na kresach wschodnich, a kiedy tereny te zajęli białoszewicy, został wraz z żoną, dwójką dzieci i teściową deportowany w okolice Iwanowa. Osadzono ich, bez żadnego wyroku zresztą, w głębi nie kończących się lasów gdzie pracował przy wyrębie lasów jako drwal. Później dostał lepszą pracę jako technik przy budowie kolejki wąskotorowej do wywozu drewna i zaczęło im się powodzić nieco lepiej. Tuż przed wybuchem wojny opowiedział zaprzyjaźnionemu z nim Rosjaninowi anegdotkę dość powszechnie znaną i krążącą po całej Rosji: Hitler i Stalin wybierali się na przejażdżkę na osłach. Kiedy im się znudziło i postanowili wracać, osły się uparły i za nic nie dawały się zmusić do powrotu. Wtedy Stalin nachylił się i poczęptał coś swoim zwierzęciu do ucha. Osioł natychmiast zawrócił i galopem ruszył do stajni. Później Hitler prosi: powiedz Józefie czymś: ty przekonałeś swojego osła. Ach, nic wielkiego - odpowiada Stalin - powiedziałem mu tylko, że droga którą będzie prowadził wprost do kolchozu.

Anegdotka ani szczególnie dowcipna, ani odkrywcza, kosztowała jednak Kowalskiego dziesięcioletni wyrok za uprawianie antysowieckiej propagandy. Jego żona, teściowa i dzieci po-

zostały teraz same w obcym kraju, gdzieś w lasach, ponad 100 kilometrów od Iwanowa. Od czasu do czasu Kowalski otrzymywał od nich paczki i stanowiło to przedmiot jego nieustannej troski. Zamartwiał się, że żona pracuje ponad siły i odejmuje sobie i dzieciom od ust, aby jemu pomóc.

Kowalski był poważnym, odpowiedzialnym człowiekiem, małomównym z natury i raczej nieskorym do żartów, ale o szczerym i niezwykle prawym charakterze. Nie mógł uwolnić się od stałej troski o rodzinę.

W naszej celi, jak w dworcowej poczekalni ruch panował bezustanny. Codziennie jakąś Grupę więźniów zabierano, innych na ich miejsce przyprowadzano, dzięki temu już pod koniec pierwszego tygodnia "awansowaliśmy" z podłogi na prycze. Byliśmy w tej celi jedynymi zapadnikami, resztę więźniów stanowili Rosjanie. Niektórzy z nich nie narzekali nawet na swój los. "Przynajmniej nie trzeba pracować, a jedzenie nie jest o wiele gorazsze niż u nas w kolchozie w Griażnoje" - powiadał jeden z nich - w kolchozie dostaje się tylko o trzyzeta gram chleba więcej a tyrać trzeba od świtu do nocy. A nieraz, zresztą chleba wcale nie dają".

W skali codziennych wartości tego człowieka: chleba i pracy, szala przeważała jednak na korzyść więzienia. W kilka dni później wyjechał z transportem.

Tutaj po raz pierwszy zetknęłam się też z więźniami, którzy odbyli cały wyrok, a mimo to nie zostali zwolnieni. Wśród nich był drobny, zasuszony profesor Siemionow i ksiądz prawosławny Nikołajew, obaj dobrze już po sześćdziesiątce i obaj w 1937 roku skazani na 4 lata z artykułu 58.10. Ksiądz był prawie zupełnie niewidomy, jeszcze w czasie przesłuchania zbito mu okulary. Serce się kroiło, kiedy tego starego schowanego człowieka trzeba było prowadzić do latryny, pomagać mu wspiąć się na prycze, niemal karmić.

Najstarszy spośród Polaków, nauczyciel Tobiasz był pierwszy, który niewytrzymał warunków więziennych i rozchorował się tak ciężko, że zabrano go do szpitala. Tak więc zostało

nas tylko dwóch. W kilka dni później zaprowadzono mnie do szpitala na opatrunek ręki. Miejscowy felczer - relikw dawnych carskich czasów Mikołaj Mikołajewicz przekazał mi w sekrecie wiadomość od Tobiasza. Otóż informował on nas, że został już zwolniony na mocy amnestii, ale władze zatrzymały go w szpitalu do czasu poprawy stanu zdrowia, gdyż obecnie nas może nawet poruszać się o własnych siłach. Dostaje nieco lepsze pożywienie, i zapewne za kilka dni wyjdzie na wolność. Ten sam felczer, w jakimś czasie później zawiadomił mnie, że Tobiasz opuścił już więzienie.

W miarę jak przedłużał się nasz pobyt w więzieniu iwanowskim, postanowiłem podjąć na nowo walkę o prawo do amnestii. Zacząłem pisać podania. Do naszej ambasady w Kujbyszewie, do Prezydium Najwyższego Sowietu, do Mołotowa, do samego Stalina wreszcie. Powoływałem się na ustawę o amnestii, moje obywatelstwo polskie, protestowałem przeciwko bezprawiu, którego stałem się przedmiotem. Z przeszmuglowanej do celi gazety dowiedziałem się, że generał Sikorski przemawiał przez krenlowskie radio do Polaków w ZSRR - i to dodało mi bodźca do coraz energiczniejszych starań.

Aby napisać te wszystkie podania odkupowałem za chleb od współwięźniów potrzebny mi papier, gdyż co jakiś czas otrzymywaliśmy po jednej karteczce na pisanie "prób". Dla mnie było to niewystarczające.

Bardziej doświadczeni więźniowie zapatrywali się dość sceptycznie na tę moją krzątanię. Przekonywali, że ta pisanina i tak wyląduje w koszu na śmieci w biurze administracji więzienia, i pewnie mieli rację. Na żaden z tych listów nie doczekałem się odpowiedzi. Natomiast radzili napisać raczej do miejscowego prokuratora w Iwanowie, gdyż od niego jedynie wcześniej czy później, ale jednak napewno mogę spodziewać się jakiejś reakcji. Posłuchałem ich rady. Napisałem podanie także i do niego.

W miesiąc później strażnik wywołał mnie na korytarz i wręczył urzędową odpowiedź prokuratora. Dowiedziałem się z niej, że władze nie widzą żadnych podstaw, aby mnie zwolnić wcześniej niż przewiduje to termin wyroku. Gdy to przeczytałem, dosłownie nogi się podę mną ugięły, w mojej obecnej

kondycji fizycznej i psychicznej równało się to właściwie wyrokowi śmierci. Siedziałem zaledwie rok i miesiąc a stałem się zupełną ruiną. Podczas spacerów na dziedzińcu mijaliśmy nary z leżącymi na nich zwłokami. Stanowiło to swoiste memento. Mówiło się też, że liczba zgonów z dnia na dzień wzrasta.

Po otrzymaniu odpowiedzi od prokuratora opuściła mnie cała energia, załamane się. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy od czasu kiedy znalazłem się w Rosji. Przestałem w ogóle echodzić z pryczy, przestałem interesować się czymkolwiek. Fizycznie zaś, osłabłem do tego stopnia, że po kilku dniach nie mogłem o własnych siłach usiąść na pryczy. Kowalski troszczył się o mnie i podzielił paczkę jaką otrzymał z domu.

Dwudziestego ósmego lutego 1942 roku rankiem Kowalski został wywołany z celi, ale bez rzeczy. Niecierpliwie czekałem na jego powrót, ale nie wracał. Po jakimś czasie i ja zostałem wywołany, również bez rzeczy - co oznaczało, że powinienem wrócić do celi. Miałem nadzieję, że być może ma to jednak jakiś związek z amnestią, ale z drugiej strony, otrzymałem przecież dopiero co oficjalną decyzję prokuratora. Przypomniałem też sobie, że donosiciel Kaczanowski co parę dni wywoływany był z celi na kilka godzin, a później wracał obdarowany chlebem i machorką i opowiadał niewiarygodne historyjki, że wzywano go do zreperowania projektora filmowego w świetlicy dla personelu.

Szedłem eskortowany przez strażnika, szaniając się na nogach pełen sprzecznych uczuć, nadziei i wątpliwości. Przeszliśmy w ten sposób przez dziedzię a potem na piętro, gdzie czekałem na korytarzu nieskończenie długo.

Wreszcie drzwi się otworzyły i znalazłem się w porządnie umeblowanym pokoju. Za biurkiem siedział major NKWD, drugi cywil, młody i elegancko ubrany przechadzał się po pokoju paląc papierosa.

- Proszę siadać - major wskazał mi krzesło przed biurkiem i zaczęło się jak zwykle: imię, nazwisko, imię ojca, rok uro-

kondycji fizycznej i psychicznej równało się to właściwie wyrokowi śmierci. Siedziałem zaledwie rok i miesiąc a stałem się zupełną ruiną. Podczas spacerów na dziedzińcu mijaliśmy nary z leżącymi na nich zwłokami. Stanowiło to swoiste memento. Mówiło się też, że liczba zgonów z dnia na dzień wzrasta.

Po otrzymaniu odpowiedzi od prokuratora opuściła mnie cała energia, załamane się. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy od czasu kiedy znalazłem się w Rosji. Przestałem w ogóle schodzić z pryczy, przestałem interesować się czymkolwiek. Fizycznie zaś, osłabłem do tego stopnia, że po kilku dniach nie mogłem o własnych siłach usiąść na pryczy. Kowalski troszczył się o mnie i podzielił paczkę jaką otrzymał z domu.

Dwudziestego ósmego lutego 1942 roku rankiem Kowalski został wywołany z celi, ale bez rzeczy. Niecierpliwie czekałem na jego powrót, ale nie wracał. Po jakimś czasie i ja zostałem wywołany, również bez rzeczy - co oznaczało, że powinienem wrócić do celi. Miałem nadzieję, że być może ma to jednak jakiś związek z amnestią, ale z drugiej strony, otrzymałem przecież dopiero co oficjalną decyzję prokuratora. Przypomniałem też sobie, że donosiciel Kaczanowski co parę dni wywoływany był z celi na kilka godzin, a później wracał obdarowany chlebem i machorką i opowiadał niewiarygodne historyjki, że wzywano go do zreperowania projektora filmowego w świetlicy dla personelu.

Szedłem eskortowany przez strażnika, słaniając się na nogach pełen sprzecznych uczuć, nadziei i zwątpienia. Przeszliśmy w ten sposób przez dziedziec a potem na piętro, gdzie czekałem na korytarzu nieskończenie długo.

Wreszcie drzwi się otworzyłem i znalazłem się w porządnie umeblowanym pokoju. Za biurkiem siedział major NKWD, drugi cywil, młody i elegancko ubrany przechadzał się po pokoju paląc papierosa.

- Proszę siadać - major wskazał mi krzesło przed biurkiem i zaczęło się jak zwykle: imię, nazwisko, imię ojca, rok uro-

dzenie itd. Później major popatrzył mi w oczy i obojętnym tonem jakby to chodziło o najdrobniejsze sprawy codzienne oznajmił:

- Otrzymałiśmy informację, że jesteście niemieckim szpiegiem.

Oskarżenie było tak nieprawdopodobne i absurdalne, że zatkało mnie i zupełnie nie wiedziałem jak mam zareagować. Postarałem się opanować i odpowiedzieć najbardziej spokojnie i rzeczowo jak tylko mogłem:

- Opuściłem Warszawę przed zajęciem jej przez Niemców i to jest najlepszy dowód mojej niewinności. Nie miałem żadnych kontaktów z Niemcami, ani też żadnych powodów by pracować na ich rzecz. To oskarżenie nie trzyma się kupy.

Major milczał przez chwilę i odniosłem wrażenie, że oczekiwał takiej właśnie odpowiedzi. A co zamierzacie zrobić, po odzykaniu wolności? - odezwał się wreszcie.

- Natychmiast zgłoszę się do Wojska Polskiego w ZSSR.

- Niemożliwe. Takich jak wy, nie przyjmą do wojska.

- Co obywatel major rozumie mówiąc: takich jak ja?

- Żydów.

- Nie mogę w to uwierzyć. Po pierwsze w Wojsku Polskim służyli Żydzi, wielu z nich było nawet oficerami. A poza tym nie jestem Żydem, jestem Polakiem ...

- Powiedam, że was nie przyjmą.

- W każdym razie zgłoszę się do armii. Nasze dowództwo zdecyduje czy przyjąć mnie, czy nie.

- To niemożliwe - upierał się major i wymienił znaczące spojrzenie z młodym człowiekiem ciągle spacerującym po pokoju.

- Mamy dla was inną propozycję. Zwołniamy was, ale pod pewnym warunkiem. Wiecie, że prowadzimy wojnę z Niemcami. Wojnę na śmierć i życie. Polska jest po naszej stronie. Otóż tu, w Iwanowie, w fabrykach włókienniczych zatrudnionych jest wielu Żydów którzy przyjechali z Łodzi. Wiemy, że wśród nich są niemieccy szpiegowie. Otóż chcemy, żebyście pomogli nam ich zdezaszkować i ująć ...

Zrozumiałem, że żąda bym zaczął szpiegować swoich rodaków. Przypomniał mi się Kaczanowski i od razu podniosło mi się ciśnienie krwi.

- Nigdy nie zaangażuję się w taką robotę. Jest to przeciwnie moim przekonaniem. Jako człowiek i jako obywatel Polaki muszę stanowczo odmówić - powiedziałem z największym spokojem na jaki było mnie stać. Nie wiem jak udało mi się zachować spokój, zdawałam sobie sprawę, że moja odmowa oznacza dla mnie koniec.

- No i tu was mamy. Zdradziliście się. Chcieliśmy was wypróbować, a wy sami dajecie dowód, że jesteście niemieckim szpiegiem. Każdy Polak i patriota przyjąłby z dumą naszą propozycję ... Wracajcie teraz do celi i siedźcie tam do końca wyroku.

Z wysiłkiem podniosłem się z krzesła i poczłapałem do drzwi za którymi czekał strażnik. W chwili kiedy naciakałem już kławkę major odezwał się zupełnie innym tonem.

- Antoni Ekart. Wy mnie źle zrozumieliście. Zaszło nieporozumienie. Chcemy was przywrócić wolność, ale każdy Polak w chwili zwolnienia podpisuje oświadczenie i to bez najmniejszego wahania, że w przypadku jeśli będzie podejrzewał, że zetknął się z niemieckim szpiegiem, natychmiast nas o tym zawiadomi. Jest to naturalny i konieczny obowiązek każdego obywatela kraju sprzymierzonego.

Przemówiła do mnie logika tej argumentacji. W istocie on miał rację - prowadziliśmy wspólną wojnę z Niemcami. Puściłem kławkę, odwróciłem się i powiedziałem:

- To zupełnie co innego. Nawet gdybym nie podpisał żadnego oświadczenia to i tak uważałbym za swój obowiązek zawiadomić władzę, gdybym spotkał kogoś kogo uważałbym za niemieckiego szpiega. Wygląda na to, że rzeczywiście zaszło nieporozumienie ...

- No i widzicie. Wszystko w porządku. Dziś jest sobota, więc nie zdążymy przygotować waszych papierów... Wróćcie do celi a w poniedziałek będziecie już wolnym człowiekiem. A teraz podpiszcie zobowiązanie.

Położyłem swój podpis pod wypisanym na maszynie tekstem, że zobowiązuje się natychmiast zawiadomić władzę jeśli spotkam kogoś, kogo będę podejrzewał że jest niemieckim szpiegiem. Brzmiało to jak deklaracja lojalności. Podpisałem również

oświadczenie, że całą sprawę zachowam w tajemnicy. Nie wiedziałem powodu żeby i tego nie podpisać.

- A teraz towarzysze Nikonow ma nam jeszcze coś do powiedzenia - major wskazał milczącego dotąd człowieka w cywilnym ubraniu - musicie na przyszłość ustalić parę szczegółów.

Nikonow powiedział, że chce się ze mną zobaczyć za kilka dni, kiedy już ułożę sobie sprawy na wolności. Ustaliliśmy, że spotkamy się w następny czwartek o godzinie 19 na dworcu kolejowym przy kiosku z gazetami.

Wracałem do celi jako zupełnie inny, całkowicie odrodzony człowiek. Przestałem czuć się chory i osłabiony.

Kowalekiego w celi już nie było. Sobota ciągnęła się w nieskończoność, wydawało mi się, że ma nie 24 ale 240 godzin. W poniedziałek napięcie nerwowe osiągnęło szczyt. Minął rano, południe, wieczór - i nic. Żadnej zmiany. Zaczęłem zastanawiać się, czy to wszystko wydarzyło się aby naprawdę, czy nie był to tylko sen? We wtorek rano strażnik kazał mi wychodzić w celi z rzeczami. Więc jednak ... Wolność!

Ale przed tym, raz jeszcze szczegółowa rewizja - obejrzelili jamę ustną, pachy, zajrzeli między wypięte pośladki. Popatrzyłem na swoje obnażone nogi i stwierdziłem, że są przerażliwie chude. Skóra zwisała z kości.

Otrzymałem prowiant na trzy dni: trzy funty chleba, trzy śledzie i trzy kostki cukru. Namacałem pięć rubli wszystkie w pasek spodni, których nie wykryto przy wszystkich rewizjach. Były ... ale wiedziałem, że chleb kosztuje 250 rubli. Otrzymałem zaświadczenie, że zostałem zwolniony z zakładu karnego na mocy amnestii dla obywateli polskich. Nakazano mi też nie opuszczać Iwanowa i uprzedzono, że mogę wyjechać z miasta jedynie ze specjalnym zezwoleniem NKWD. Musiałem także podpisać oświadczenie, że zachowam w ścisłej tajemnicy wszystko co widziałem i słyszałem podczas odbywania kary. I jeszcze jeden podpis: że wszystko zostało mi zwrócone i że nie zgłaszam do władz żadnych pretencji.

- Co teraz robić? - powiedziałem głośno, trochę do siebie, trochę do strażnika, który asystował przy wszystkich formalnościach.

- Dzisiaj, najlepiej prześpijcie się na dworcu. A jutro
zaczniście szukać jakiejś pracy - doradził rzeczowo i dobro-
dusznie. Zaczniście pracować, to może jakiś kąt wam
znajdą ...

Zatrzaśnęła się za mną brama więzienia i znalazłem się
na chodniku.

Był 3 marca 1942 roku, zimny słoneczny dzień, nad głową
niebo bez chmurki ...

x x x

Rozdział XII

TRUDNE POCZĄTKI

Wszystko wydało mi się teraz cudownie proste. Upajała mnie świadomość, że mogę pójść dokąd tylko zechcę. Oślepiony przez słońce przezedłem na ukos przez jakiś wielki pokryty śniegiem plac. Ale nie mogłem iść prosto, zataczałem się jak pijany, nogi nie chciały nieść.

Tak jak mi doradził więzienny oficjal, postanowiłem dojechać na dworzec, ale nie wiedziałem jak to daleko i czy dojeżdżę tam o własnych siłach. Przypomniałem sobie, że mam za-czyte w spodniach 5 rubli - powinno wystarczyć na bilet tramwajowy. Siadłem na śniegu i wydobyłem pieniądze. Był to tak wysiłek wielki, że z trudem mogłem się podnieść. Tłumoczek z moim dobytkiem wydawał się ciężarem ponad siły, choć ważył może parę kilo. Nadjechał tramwaj i niedałem rady wspiąć się na stopień, dopiero ktoś podał mi rękę i pomógł wciągnąć się do środka. Tak jak przypuszczałem, tramwaj jechał w kierunku dworca. Pomimo zmęczenia i zupełnej nieznajomości otoczenia zauważyłem, że moje zachowanie nie zwracało niczyjej uwagi. Tylko kilku pasażerów było nieco lepiej ubranych niż ja.

Budynek dworcowy był nowoczesny i ładny. Krył w sobie obszerną poczekalnię a co najważniejsze, było w niej znacznie cieplej niż na zewnątrz. Ułożyłem się wprost na podłodze, musiałem odpocząć po podróży z więzienia i przed podróżą w nieznane. Poczuję się słaby i głodny. Wydobyłem przydział żywności jaką otrzymałem w więzieniu i połykałem prawie bez gryzienia, ani przez chwilę nie pomyślałem, że zjadam porcję, która miała wystarczyć na trzy dni. Chciałem najjeść się wręcz-cie do syta. Było mi najzupełniej obojętne co się dzieje wokół, czułem tylko swój głód i zmęczenie. Do dziś nie wiem czy w moim otoczeniu było dużo ludzi, ani jak wyglądali. Z pewnością byli, ale ich nie dostrzegałem.

Kiedy były już, zacząłem szykować sobie jakieś legowisko, na którym mógłbym przetrwać do rana. Usłyszałem stukot podkutych butów. Pociąg z rannymi przyjechał z frontu i milicja oczyszczała halę dworcową. Rannych na noszach wynoszono z pociągu i układano jednego obok drugiego, w długich szeregach na podłodze poczekalni. Odbywało się to tak szybko, że kiedy milicjant wypychał mnie z sali, była już wypełniona rannymi prawie do połowy.

Zegar wskazywał w pół do szóstej. Obowiązywało pełne zaciemnienie ze względu na możliwość nalotów lotniczych. Nie znałem miasta i nie wiedziałem w którą stronę iść. Wiedziałem natomiast, że obowiązuje godzina policyjna i od 10 wieczór do 4 rano nikomu nie wolno przebywać na ulicy. Tak więc jeśli do godziny 22 nie znajdę schronienia, mogę narazić się na ponowne aresztowanie. I była to jedyna myśl, jaka mi przeszła przez głowę.

Co robić? Byłem zupełnie obcy w tym mieście, nie znałem tu nikogo i nie znałem też warunków życia na zewnątrz. Całe dwa lata swego pobytu w Rosji spędziłem w więzieniach i łagrach. Przez ten czas starałem się wprawdzie nauczyć tyle rosyjskiego ile się da, ale każdy od razu mógł poznać, że jestem cudzoziemcem. Nigdzie nie jest dobrze być cudzoziemcem w czasie wojny, a już szczególnie w ZSSR. Wszetkoi to także, że wyszedłem dopiero z więzienia musiało zawezwać i wozędzie, w każdych okolicznościach świadcząc przeciwko mnie.

Nie wiedziałem w którą stronę iść po zaciemnionych ulicach obcego miasta, wiedziałem natomiast, że coś jednak muszę przedsięwziąć nie chcąc ryzykować świeżo odzyskanej wolności. Do godziny 22 zostało mi jeszcze trzy godziny. Przypomniałem sobie ogłoszenie na dworcu, że biuro informacyjne mieści się w Gorskowicie /ratuszu/. Zapytałem o drogę i poszedłem. Kiedy wreszcie tam dojechałem okazało się, że jest już po godzinach urzędowania. W hallu przy stoliku siedziała podstarzała kobieta o dobrotliwym wyglądzie. Widząc moje rozczarowanie zapytała o co chodzi. Kiedy opowiadałem, dostrzegłem na jej twarzy zrozumienie i współczucie.

- Musicie znaleźć pracę - powiedziała - ale to zajmie parę dni, może nawet tydzień, albo i więcej ... Tymczasem musicie

znaleźć kątek do spania, no i pobrać kartki żywnościowe. Inaczej nie dostaniecie nic do jedzenia.

- Czy mógłbym zostać tutaj na noc, w hallu?

- To zabronione. Ale skończę swoją zmianę przed dziesiątą i jeśli zaczekacie, zabiorę was do domu. Znajdźcie się jakiś kątek do spania. A jutro pomyślimy co dalej ...

Ujęty jej serdecznością, usiadłem na ławce pod ścianą i czekałem, od czasu do czasu zapadając w drzemkę. Gdy nadeszła właściwa pora, Olga Aleksandrowna - jak się później dowiedziałem tak brzmiało jej nazwisko - zbudziła mnie i wyszliśmy. Szedłem, a raczej wlokłem się za nią na uginających się nogach. Droga do jej domu wydawała mi się nie mieć końca, choć później zorientowałem się, że przeeszliśmy zaledwie kilometr, albo może mniej.

W niewielkim, drewnianym domku, w świetle latarki, gospodyni wskazała mi pryczę zupełnie taką samą jak w więzieniu. Nad nią znajdowała się druga taka sama prycza, a z niej rozlegało się głośnie chrapanie. Pomieszczenie było małe, bez okna i przypominało raczej komórkę. Jedyne umeblowanie stanowiły stół i krzesło. Na drugi dzień przekonałem się, że istotnie jest to komórka. Gospodyni powiedziała "dobranoc" i wyszła, a ja rzuciłem się na łóżko. Słyszałem oddech osoby śpiącej nade mną i znajomą bieganię szczurów. Pierwszy dzień wolności zakończył się dla mnie szczęśliwie, dzięki dobroci i otwartemu sercu Olgi Aleksandrownej. Znacznie później dowiedziałem się, że i ona także spędziła trzy lata w łagrze. Być może dlatego potrafiła tak łatwo wczuć się w rolę kogoś takiego, jak ja.

Następnego dnia odebrałem w Grochowicie kartkę na żywność, od tego należało zacząć. Upoważniała do zakupu 400 gram chleba dziennie oraz 800 g mięsa i 150 g cukru raz na miesiąc. To w teorii, bowiem w praktyce, jak się wkrótce okazało - tylko chleb był dostępny, natomiast pozostałe artykuły pokazywały się jedynie w nieregularnych odstępach czasu, niekiedy z dwu lub trzy miesięcznym opóźnieniem. Jedynym słowem liczyć było można wyłącznie na chleb i on miał stanowić podstawę egzystencji. Gdybym zaczął pracować, miałbym również prawo do posiłku w zakładowej kantynie. Dowiedziałem się tego od razu, pierwszego dnia stojąc w kolejkach. Zakup racji chleba okazał

się bowiem sprawą wcale nie taką prostą. Najpierw trzeba było znaleźć sklep, który dzisiaj chleb miał sprzedawać. Ponieważ nie było to nigdzie ogłaszane, należało chodzić od sklepu do sklepu i pytać, a potem szybko ustawiać się w kolejce. Najczęściej kolejka była zorganizowana i ktoś wydawał numerek określający kolejność zakupu, co pozwalało zwłaszcza zimą na wyjście z kolejki i powrót do niej po jakimś czasie. Numerek pisany był chemicznym ołówkiem po prostu na wierzchu dłoni. Sposób bardzo praktyczny biorąc pod uwagę stały brak papieru.

Kolejki bywały czasem bardzo długie, zdarzało się ^{otzyrywać} numerek z liczbą ponad 2000, ^{ale} numerek też nie gwarantował zakupu. Zdarzało się i tak, że tuż przy ladzie, okazywało się iż cały chleb został sprzedany. Wtedy całą operację należało zaczynać od początku w innym sklepie.

Rozpocząłem też regularny obchód miasta, od fabryki do fabryki, od biura do biura personalnego. Na ogół inżynierowie byli wszędzie potrzebni i w pierwszej chwili wszyscy gotowi byli mnie zatrudnić, ale zapal zniknął a nawet przeradzał się w jawną wrogość, gdy okazywało się, że jestem zwolniony z obozu a w dodatku mam etykietkę więźnia politycznego.

Nadszedł dzień w którym miałem wyznaczone spotkanie z Nikonowem, NKWD-ziestę w cywilnym ubraniu i w czwartek 12 marca zgłosiłem się na dworcu kolejowym przy kiosku z gazetami, w którym można było kupić jedynie "Prawdę". Zachowywał się dość grzecznie i uprzejmie ale oznajmił mi, że nie powinniśmy rozmawiać w miejscu publicznym. Przeszliśmy kilka ulic i weszliśmy do małego, drewnianego domu w bocznym zaułku. We wnętrzu było zimno, odniosłem wrażenie, że dom jest niezamieszkały. Nikonow od razu opuścił zasłony w oknach.

Oznajmiłem mu, że z dokumentami jakie posiadam nikt nie chce mnie zatrudnić, i zapytałem czy NKWD nie może mi pomóc w znalezieniu pracy. Odpowiedział, że jest to niemożliwe, gdyż NKWD nigdy nikogo nie rekomenduje, ani też nie interweniuje w tego rodzaju sprawach. Interwencja bowiem przyklepała by rekomendowanej osobie swoistą etykietkę, a to nie było pożądane ani z punktu widzenia NKWD, ani samego protegowanego. Natomiast doradził mi spokojnie czekać jako, że wcześniej czy później każdy dostanie pracę, nadejdzie więc i moja kolej.

A takie drobne niepowodzenia na początku jak moje - są sprawą naturalną. Umówił się ze mną w tym samym miejscu tj. przy ul. Karola Marksa 22. w czwartek za dwa tygodnie i rozstaliśmy się.

Wyniosłem z tego spotkania nie najgorsze wrażenie. Wyglądało na to, że NKWD chce mnie mieć na oku, a moje spotkanie z Nikonowem mają być czymś w rodzaju meldowania się na policji. Ponieważ nie miałem zamiaru zrobienia czegoś, co mogło być niezgodne z prawem, nie miałem też obiekcji wobec tego rodzaju procedury. Nie wydawało mi się możliwe, żeby NKWD chciało ode mnie czegośkolwiek więcej.

Mijały dni i ciągle nie mogłem znaleźć pracy. Pożyczałem pieniądze od Olgi Aleksandrownej aby kupić chleb, ale wiedziałem że i jej wiedzie się nie najlepiej. Zarabiała 115 rubli miesięcznie w czasach, gdy 1 kg chleba na czarnym rynku kosztował 850 rubli. W dodatku miała jeszcze na utrzymaniu dwie córki, jedną w szkole a drugą na bardzo kiepsko płatnej posadzie.

Olga orzekła, że coś ze mną trzeba zrobić. - "Jeśli nikt was nie poprze, nic z tego nie będzie. Nie znajdziecie roboty". No tak, ale kto mógł mnie poprzeć? Nie znałem w mieście nikogo.

- Pomyślały i o tym - stwierdziła Olga Aleksandrowna i dotrzymała słowa. W dwa dni później załatwiła mi posłuchanie u sekretarza Gorsowietu, nazwiskiem Guzin. Przyjął mnie dość łaskawie, wypytał o szczegóły, wysłuchał odpowiedzi i odesłał do Jafimowa, dyrektora fabryki łóżek żelaznych.

Fabryka ta należała do Kombinatów, czyli organizacji przemysłowej miasta Iwanowo i podlegała Komisarjatowi Przemysłu Lokalnego nie zaś centralnej administracji przemysłowej. Należały doń małe fabryczki i zakładyki wytwarzające dobra konsumpcyjne, oparte na lokalnych surowcach, lokalnej sile roboczej i podlegały miejscowemu Sowietowi czyli radzie miejskiej, a nie Moskwie.

Jafimow przyjął mnie z otwartymi ramionami, w fabryce brakowało inżyniera. Produkowano tu łóżka dla szpitali oraz obręcze do kół. Ale produkcja odbywała się wyłącznie w teorii, czyli na papierze! Brakowało surowców, żeliwa, metali, węgla

a nawet smarów do maszyn. Dwie tokarki stały zatarte od młociący. Brakowało także personelu a zwłaszcza fachowców - wszyscy poszli na front. Załoga składała się z kilku inwalidów, starców oraz paru tuzinów chłopców i dziewcząt, właściwie w wieku szkolnym. Ale bez względu na te trudności fabryka coś musiała produkować. Trzeba było uratować plan finansowy w taki sposób żeby uniknąć deficytu, państwo bowiem nie mogło ponieść strat. Oznaczało to, że produkcja musi pokryć koszty.

- Inaczej - powiedział Jefimow, patrząc w sufit - ktoś będzie odpowiadał. Przypomniała mi się brygada buchalterów we Władimirze, przypomniało mi się, że oni właśnie wykazali deficyt i bez trudu zrozumiałem co Jefimow ma na myśli.

Wskazano mi biurko i polecono opracować plany produkcji nowego typu zapalniczki - produktu niezwykle ważnego i potrzebnego jako, że w Rosji Sowieckiej panował nieustanny brak zapalek. Jednakże możliwość pojawienia się ⁱⁿ kiedykolwiek na rynku wydała mi się od razu całkowicie enigmatyczna. Brakowało materiałów do produkcji a także perspektywy na ich rychłe otrzymanie. Wszystko czym dysponowaliśmy były to skrawki metalu nieprzydatne na nic. Niemniej, miałem zajęcie. Pracowałem osiem godzin dziennie planując i konstruując zapalniczkę, która wydawała się jedynym ratunkiem dla finansowych planów całej fabryki. Nie na wiele to jednak poprawiło warunki mojej egzystencji, nawet w porównaniu z pobytem w więzieniu. Nadal otrzymywałem, a ściślej - zdobywałem 400 gram chleba należnych mi jako pracownikowi umyślowemu, fizycyści bowiem dostawali 600 gram. W teorii miałem również prawo do korzystania z naszej fabrycznej kantyny, ale kantyna była nieczynna z powodu braku opału. Nie było czym go przywieźć z lasu. Czasem jednak kantyna była czynna i można było wtedy dostać mięsę rozgotowanej kapusty, bez soli i tłuszczu. Ciągłe też mieszkalem u Olgi Aleksandrowny w jej domu przy ulicy Pierwomajskiej w dzielnicy Oktiabrskiej, dzieląc komórkę z kobietą, która zajmowała górną pryczę.

W sobotę przyjechał jej mąż. Był to duży, prostoduszny i serdeczny człowiek. Nie nadawał się do wojska i pracował jako drwal w lasach rozciągających się wokół Iwanowa. Sądząc z tego, co opowiadał o warunkach swojej pracy, wydały mi się niewiele

lepiej niż w Kergopolu. Różnica polegała głównie na braku strażnicy z psami i możliwości poruszania się bez eskorty.

- Teraz jest wojna - powiedział z westchnieniem. - Nic dziwnego, że jest ciężko.

- A przed wojną? Było dużo lepiej?

- Naturalnie, że lepiej. Znacznie lepiej ... Było więcej chleba i był tańszy, łatwiej można było dostać. Jeśli się miało pieniądze można było kupić jarzyny. Były otwarte młoczarnie i były też jadalnie. Nie, przed wojną było zupełnie inaczej ...

Po tej rozmowie, para wdrapała się na górną prycę i zupełnie nie przejmując się moją obecnością, oddała się spełnianiu funkcji małżeńskich. Deski trzeszczały mi nad głową, robili to tak gwałtownie, że bałem się iż każda chwila deski trzaska i spadną na mnie.

Byłem ciągle słaby, z najwyższym trudem włókłem się do pracy, nie miałem siły wystawać w kolejkach. Olga Aleksandrowna widząc mój stan i chcąc mi pomóc, wpisała mnie na listę uchodźców, których coraz więcej przybywało do Iwanowa. Otrzymali oni w Ewakopunkcie - specjalnym biurze pomocy dla uchodźców i osób wysiedlonych - specjalne racje żywnościowe. Przysługiwały one oczywiście osobom, które nie miały pracy. Było to więc niezbyt zgodne z prawem, nie byłem przecież uchodźcą, ani też nie byłem bez pracy. Dzięki Oldze jednak, która potrafiła jakoś poruszać ukryte sznurki, wszystko to jakoś funkcjonowało. Przez dwa tygodnie, dwa razy dziennie dostawałem miskę kaszy i kromkę chleba. Większość ewakuowanych była w stanie chyba jeszcze gorzej niż ja. Pochodzili głównie z Leningradu i byli wynieszczeni do ostatnich granic. Dosłownie rzucali się na jedzenie. Dla wielu pomoc przyszła jednak zbyt późno, cierpieli na katar żołądka. Raz czy dwa zdarzyły się nawet wypadki zgonu na stołowie.

Dla mnie było to ocalenie. Stopniowo zacząłem odzyskiwać siły. Przestałem myśleć już tylko i wyłącznie o jedzeniu. Pomyślałem że nie mogę w nieskończoność korzystać z dobroci i gościnności Olgi Aleksandrowny, zwłaszcza że od swojej sąsiadki dowiedziałem się, iż zajmowaną przeze mnie prycę wynajmowała poprzednio za cenę dwóch bochenków chleba miesięcz-

nie. Nie mogłem płacić takiej ceny, a poza tym zapamiętałem jeszcze z więzienia, że "jak będzie praca to znajdzie się jakiś kąs do spania". Wprawdzie moja sąsiadka uważała, iż Olga oraz jej córki są osobami dobrze sytuowanymi. Miały bowiem w ogródku grzędkę, na której hodowały własne kartofle i przechowywały w piwnicy. Wiele się mówiło na temat tych kartofli, każdy był policzony a gotowano je "od wielkiego dzwonu" oczywiście w skórkach, żeby się nic nie zmarnowało. Ci, którzy nie mieli własnych kartofli, nie mieli nic, nie można ich było kupić tej wiosny na rynku. Miałem jednak na temat za-
możności Olgi inne zdanie, naciskałem więc swojego dyrektora i dręczyłem go tak długo, aż umieścił mnie wreszcie w baraku przyfabrycznego hotelu. Znalazłem miejsce w pokoju wraz z trzema robotnikami. Mogłem więc na koniec opuścić gościnne progi Olgi Aleksandronny, której tak wiele zawdzięczałem.

Na pożegnanie ofiarowałem jej najlepszą rzecz, jaka mi jeszcze pozostała, jedwabny szalik, kupiony w 1938 roku w Wiedniu, którego nigdy nie nosiłem ani w więzieniu, ani w obozie. Była bardzo zadowolona z tego podarunku i rozsta-
liśmy się jako wielcy przyjaciele.

x x x

Rozdział XIII

KRADNIJ ... ALBO NIE BĘDZIESZ JADŁ

Wkrótce uchodźców ewakuowano dalej na wschód, skończyły się tym samym dodatkowe racje żywnościowe z Ewakuopunktu i na nowo głód zaczął zaglądać mi w oczy. Ale, zbliżała się wiosna, było coraz cieplej, traciłem więc coraz mniej kalorii i to jedno było pocieszające. W pracy rozwiązywałem nadal problem zapalniczki, opracowałem projekt i rabiłem rysunki. Czas płynął.

Co dwa tygodnie w umówiony dzień, chodziłem na spotkania z Nikonowem, do domku przy ul. Karola Marksa 22. W luźnych rozmowach, odpowiadając na pytania mówiłem o wszystkim, gdzie przebywałem, z kim się spotykałem itd. Ale niewiele miałem do opowiadania, więc coraz bardziej umacniałem się w przekonaniu, iż spotkania te wyznaczone są jedynie dla kontrolowania mojej lojalności. Byłem w końcu cudzoziemcem w kraju, który toczył ciężką wojnę.

Od pierwszej chwili, po opuszczeniu więzienia rozmyślałem nad sposobem odzyskania żony. Wiedziałem tylko tyle, że przebywała w jakimś obozie na Syberii. Miałem nadzieję, że została zwolniona na mocy amnestii dla Polaków. Ale jak ją odnaleźć? Tylko NKWD mogło ustalić jej miejsce pobytu, dlatego też podczas jednego ze spotkań z Nikonowem, ośmielony jego poprawnym zachowaniem, zapytałem czy nie mógłby mi pomóc w ustaleniu jej obecnego miejsca pobytu. Nikonow uśmiechnął się: "Tyle jest żadnych kobiet w ZSSR, a poza tym jest wojna, NKWD ma teraz inne znacznie ważniejsze sprawy na głowie".

Pierwszym Polakiem jakiego spotkałem po wyjściu z więzienia w Iwanowie, był pan Wojtecki, który miał jakąś sprawę z Jefimowem. Pochodził z Otwocka, od początku wojny znalazł się na terenach wschodnich, a dwa lata temu deportowano go do Iwanowa. Nie pamiętam kim był z zawodu, ale tu nauczył się

reperować piece, a robił to dobrze i skutecznie ^{rychło} stał się poszukiwanym zdunem i nie brakowało mu klienteli. Zapłatę przyjmował najczęściej w wiktuałach, więc wiodło mu się nie najgorzej.

Przez niego poznałem dwóch innych Polaków, Rosena i Górskiego. Pierwszy z nich był magazynierem w tzw. "kuchni przemysłowej", a drugi dozorcą. Te "kuchnie przemysłowe" są czyste w rodzaju barów szybkiej obsługi. Przed wojną były dostępne dla każdego kto mógł zapłacić. W czasach o jakich piszę, zamieniono je na kantyny fabryczne i można w nich było dostać pożywienie wyłącznie na specjalną kartkę, wydawaną przez zakłady pracy. Obu tym Polakom żyło się całkiem znośnie, obaj bowiem pracowali ... "przy żywności".

- Albo ukradniesz, albo będziesz głodny - powiedział Górski i stanowiło to niemal jego maksymę życiową. Obaj kradli chleb. Najbardziej podstawowy artykuł, za który można było mieć wszystko i który wszystko mógł ułatwić. Wymagało to jednak dobrej organizacji, no i oczywiście "błatu".

- Chleb wychodzi z piekarni zgodnie z fakturą i rozdzielnikiem - objaśniał mi to kiedyś Górski. Aby ukraść parę bochenków trzeba wejść w układ z tym, kto ekspediuje chleb z piekarni tj. wyda np. 305 albo 310 bochenków zamiast 300, które objęte są fakturą. Oczywiście, te dodatkowe bochenki wywieźć trzeba za bramę piekarni i pozbyć się ich w drodze do miejsca przeznaczenia, powiedzmy do jakiejś stożówki. Wymaga to wejścia w układ z dwoma jeszcze osobami - kierowcą ciężarówki i tym, kto ten chleb przejsie podrodze. Wszystkie te osoby tworzą zgrany gang, który następnie dzieli się według ustalonych zasad. Może jednak zdarzyć się, że ten kto wydaje chleb z piekarni jest osobą nową albo zastępującą tego właściwego. W takim wypadku trzeba wejść w błąd z magazynierem, który podpisuje faktury przyjęcia np. 300 bochenków mimo, że w rzeczywistości otrzymuje mniej. Chleb bowiem dzielony jest na porcje i zawsze istnieje możliwość podzielenia go tak, aby ilość porcji się zgadzała, choć każda będzie trochę niedoważona.

- A co się stanie, jeśli obie najważniejsze osoby w tym układzie, wydający i odbierający odmówią? - nie mogłem po-

wstrzymać się od pytania, gdyż sama myśl iż można zaniejrzeć i tak już głodowe racje, wydały mi się wyjątkowo przykre.

- Nieosiągalne - rozemniał się Górecki. Każdy musi żyć. Albo będziesz kradł, albo będziesz głodny. Innego wyjścia nie ma ...

Istotnie, mogłem dowoli cieszyć się wywyższością swoich zasad moralnych nad mniej skrupuletnymi albo bardziej doświadczonymi rodakami, ale czułem że te zasady pękają jak bańka mydlana w sytuacji, która sprzyjać będzie kradzieży.

Wyprzedzam jednak wydarzenie. Na razie przyzedł okres wyniszczającego niedożywienia z jego wszystkimi nieprzyjemnymi objawami. Zaczęłem znowu puchnąć z głodu, nie mogłem pracować, podniesienie się z pościeli zdawało się wysiłkiem ponad siły. Zebrałem całą energię i powlokłem się do szpitala. W Goszdrawoditielu czyli niejakiem wydziale zdrowia powiedzieli mi: - "Takich jak wy są tysiące. Teraz jest wojna. Nie ma miejsca".

I znów Olga Aleksandrowna była osobą, u której znalazłem pomoc. Przez swoją znajomą, urzędniczkę w Gorowiecie, umieściła mnie w szpitalu. Prawdę mówiąc i w szpitalu też niewiele mogli dla mnie zrobić i tu bowiem obowiązywały głodowe racje. Ale przynajmniej nie musiałem chodzić do pracy i wystawać w niekończących się kolejkach. Mogłem leżeć całymi dniami, nie tracić energii i wypoczywać. Zajął się mną bardzo serdecznie lekarz oddziałowy, miły, starszy pan, profesor Skwierskij - ewakuowany z Leníngradu. On też zdawał sobie sprawę, że niewiele może mi pomóc, ale spokój i wypoczynek w każdym razie robiły swoje. Opuchlina zaczęła ustępować. Niemała w tym była zasługa Rosena, który odwiedzał mnie często i za każdym razem przynosił chleb.

Rosen był człowiekiem pełnym energii i pomysłów a przede wszystkim człowiekiem praktycznym. Kiedy opuszczając szpital nie mógł powstrzymać się od udzielenia mi rady: "Nie bądź głupcem. Pozbądź się skrupułów, postaraj się o robotę przy żarciu, kradnij, białuj, oszukuj jak inni - inaczej nigdy się stąd nie wyrwiesz".

Profesor Skwierskij w karcie wypisu ze szpitala zalecił mi lepsze odżywianie i wydał orzeczenie o długotrwałej niezdolności do pracy. Mój dotychczasowy dyrektor Jefimow biorąc

to wszystko pod uwagę dał się uprosić i zwolnił mnie z pracy w fabryce łóżek. Była to z jego strony prawdziwa uprzejmość. W owych czasach w ZSSR wcale nie było łatwo otrzymać zwolnienie z pracy.

I znowu wszystko musiałem zaczynać od nowa, znaleźć pracę i dach nad głowę. Przez Resena poznałem polsko-ukraińską dziewczynę ze Lwowa, Marię Szewczuk, zwaną przez znajomych Nelką. Pracowała jako kelnerka w specjalnej stołówce. ^{Zrozumiałem} ^{rodzicie!} dzięki ^{rodzicie!} niej, że istotnie ludzie zatrudnieni przy artykułach spożywczych, (z pewnością w ZSSR) stenowią grupę uprzywilejowaną. Otóż Nelka wynajmowała pokój w którym spotykała się ze swoim przyjacielem, porucznikiem lotnictwa, zatrudnionym na lotnisku pod Iwanowem. Okazało się, że w tym domu jest wolna oszklona weranda, na której ewentualnie mógłbym zamieszkać. Właściciel domu, 80-letni staruszek - Timofiej, bez trudności zgodził się na przyjęcie jeszcze jednego sublokatora, pomógł mi urządzić sobie na werandzie legowisko a nawet wypożyczył krzesło. Zaczynał się okres ładnej i ciepłej pogody, na jakie więc czas problem dachu nad głowę miałem rozwiązany.

Timofiej żył samotnie. Był słaby, chorowity i niedołężny. Jego 55-letnia córka Natasza została zmobilizowana do "stroj-batalionów", czyli batalionów roboczych i zatrudniono ją przy kopaniu torfu w pobliżu Iwanowa. Przychodziła do ojca w każdą niedzielę by mu trochę posprzątać, przeprać i coś ugotować. Opowiadała nam przy tym o warunkach panujących w jej miejscu pracy. Nie odbiegały zresztą od normy: baraki, zawyżone normy niemożliwe do wykonania, głodowe racje chleba, cienka zupa i wazy. Za to praca niezwykle ciężka, całymi dniami po kolana w wodzie, a często po pas. Nogi Nataszy pokryte były stałe ropiejącymi wrzodami. Co niedziela ezła 15 ka plichotę, dźwięgając wiązki chrustu, które ojcu miały wystarczyć na cały tydzień, jako opał i dla gotowania strawy. Opał w Iwanowie bowiem, był na wagę złota.

Nelka była młodą i ładną dziewczyną. Często przynosiła do domu zupę, dla swego porucznika a kiedy on nie jadł, ja je dostawałem.

Złożyłem podanie do zakładów piekarniczych o przyjęcie do pracy i zostałem przyjęty przez głównego inżyniera Borysa Fochaczewskiego.

Starannie oglądał moje papiery, zadał mi wiele pytań i w rezultacie chciał mnie z miejsca zatrudnić. Napotkał jednak sprzeciw dyrektora, który bał się przyjąć do pracy nie tylko cudzoziemca, ale w dodatku żegiernika. Fochaczewskiemu jednak bardzo na mnie zależało, uparł się, nie ustępował i w rezultacie wygrał, a właściwie wygraliśmy oboje. Zostałem przyjęty jako inżynier.

W jakimś czasie później Fochaczewski wyznał mi w zaufaniu, że po prostu zwrócił się do NKWD o zezwolenie o moje zatrudnienie. Ktoś z NKWD zadzwonił do dyrektora i ten od razu przestał mieć wątpliwości. Wyraził zgodę.

Moja nowa praca jak na warunki sowieckie, była wręcz znakomita. Instytucja nazywała się Rosijskaja Głównaja Kantor Chlebobisrienta - co oznacza Zarząd Przemysłu Piekarniczego Rosyjskiej Republiki i podlegały jej wszystkie piekarnie obłasti, czyli obwodu, w tym kilka wielkich zmechanizowanych.

Wiele już napisałem o znaczeniu chleba w ZSSR, ale nigdy na ten temat za dużo. W krajach takich jak Rosja, mechanizacja i w ogóle urządzenia techniczne, zajmują miejsca drugoplanowe jeśli nie wręcz propagandowe, większość produkcji pochodzi z pracy ludzkich mięśni. Chleb w tych warunkach jest więc nie tylko podstawowym produktem żywnościowym ale siłą rzeczy, również jednym z ważniejszych źródeł energii. Zwłaszcza teraz podczas wojny. Okręg Iwanowski zaś, stanowił główne zaplecze zaopatrzeniowe nie tylko dla zakładów przemysłowych pracujących na potrzeby wojska, ale także dla potrzeb frontu, który ustabilizował się pod Moskwą. Nic więc dziwnego, że Rosgłan-chleb stał się w tej sytuacji oczkiem w głowie władz i był pod stałym nadzorem miejscowego NKWD.

Moje stanowisko inżyniera w zarządzie, czyniło mnie odpowiedzialnym za urządzenia techniczne w czterdziestu jeden piekarniach obłasti, których dzienna produkcja wynosić miała planowo 1000 ton chleba i sucharów, stanowiących podstawowe pożywienie dla kilku milionów ludzi. Moja praca codzienna zaś

polegała głównie na odsiedzeniu godzin biurowych, które przede wszystkim wypełniało kompletowanie dowodów własnej niewinności na wypadek jakiejś awarii technicznej któregośkolwiek z urządzeń, co spowodować by mogło przestój i niewykonanie planu produkcji. W tych warunkach zresztą i tak to było nieuniknione.

W zrozumieniu władz sowieckich bowiem, żadna maszyna ani urządzenie techniczne nie mogło przestać działać "samo z siebie" na skutek np. starości lub zużycia. Jeżeli ^{JAKAŚ} maszyna odmawiała posłuszeństwa, zawsze musiał temu zawinić człowiek - ten kto ją obsługiwał, lub ten który był odpowiedzialny za jej prawidłowe działania. Któregoś z nich należało pociągnąć do odpowiedzialności i przykładowo ukarać, za to że popełnił błąd lub zaniedbał, albo nie przewidział, a najczęściej za sabotaż. Taki sposób rozumowania nie pozostawiał żadnego marginesu dla niedoskonałości ludzkiej natury, czy po prostu błędu. Jeżeli ktoś nie okazał się doskonały była to wyłącznie jego wina, podlega więc karze. Maszyna jako taka, zawsze jest dziełem człowieka, człowiek powinien nad nią panować i zagwarantować prawidłowość i ciągłość jej działania. I od tej reguły nie było odstępstwa.

Rozumowanie to, od początku wydawało mi się nazbyt optymistyczne, zwłaszcza gdy zapoznałem się z faktycznym stanem urządzeń technicznych. Większa ich część bowiem była w stanie kompletnego zużycia, kwalifikującym je do generalnego remontu, jeśli nie wręcz - na złom. O nowych maszynach ani częściach zamiennych nie mogło być mowy, cały przemysł nastawiony był na produkcję zbrojeniową. Tak więc, utrzymanie wszystkich tych urządzeń w ciągłym ruchu stanowić musiały jedną wielką improvizację. Zwłaszcza wobec zupełnego braku części zamiennych, nawet takich drobiazgów jak śrubki, nakrętki, uszczelki, podkładki, a nawet kawałek kabla elektrycznego czy emaru do maszyn nie mówiąc już o łożyskach kulkowych.

W każdej piekarni zatrudniony był statowy "inżynier" z których jeden tylko był inżynierem dyplomowanym, pozostali zaś to zdolni i zaradni ludzie, ale bez wystarczającej, zwłaszcza w tych warunkach wiedzy technicznej. Do mnie należało kontrolowanie ich pracy, planowanie, koordynacja remontów i

napraw w zakładach w taki sposób, by nie występowały przestoje w produkcji, a także zapewnienie niezbędnych materiałów i części zamiennych dla dokonania remontów. W praktyce natomiast, całymi dniami wypisywałem do Moskwy niekończące się zapotrzebowania i prośby o przydział materiałów i części zamiennych o których z góry było wiadomo, że ich nie ma i nigdy pewnie nie będzie. Pisałem je i wysyłałem właściwie jedynie po to aby mieć odpisy, przy pomocy których mógłbym w razie awarii niezbicie "czarno na białym" udowodnić, że zrobiłem wszystko co w ludzkiej mocy, aby jej zapobiec. Ale to jeszcze nie wszystko. Musiałem także wysyłać do Moskwy miesięczne, kwartalne i roczne sprawozdania dotyczące stanu technicznego wszystkich 41 zakładów, ich pieców, kotłów itd. Aby te sprawozdania opracować powinienem samemu poznać wszystkie te zakłady nie tylko ze sprawozdań jakie do mnie napływały, ale także osobiście. Byłem również szefem ekipy naprawczej w przypadkach nagłych awarii.

W czasach o których piszę, było rzeczą absolutnie niemożliwą uzyskanie np. koła zębatego służącego do napędzania maszyny do wyrabiania ciasta. Koła zębate zarezerwowane były wyłącznie dla wojska. Miałem w szufladzie mnóstwo odpisów zapotrzebowań wysyłanych w tej sprawie do Moskwy. Stało się, któregoś dnia zawiadomiono mnie, że koło zębate rozsepkało się i maszyna stoi. Gdyby coś takiego stało się u nas w Polsce przed wojną mógłbym tylko wzruszyć ramionami i czekać na dostawę nowego. Tutaj tak nie mogłem postąpić. Zabrałem więc ekipę złożoną z najzdolniejszych mechaników i pojechaliśmy do zakładu. Za wszelką cenę należało uruchomić to cholerne miazdło. Ale czym zastąpić koło zębate? Rozwiązałem problem w ten sposób, że starą oponą samochodową owinąłem bęben tak, że zastąpił on zużyte koło zębate, drugą oponą owinąłem mechanizm napędzający miazdło i przy pomocy zaimprowizowanego docisku sprężynowego mechanizm ruszył. Łapa zaczęła mieszać ciasto. Znacznie wolniej niż poprzednio, przez co wydajność zmniejszyła się znacznie. Ale mechanizm był "na chodzie" a o to przecież chodziło. Później dyrektor udzielił mi pochwały, dość wątpliwej zresztą, oznajmił bowiem, że postąpiłem jak prawdziwy "boleszewik" i obiecał przedstawić do nagrody.

Nie tylko maszyny były w stanie kompletnego zużycia - budynki też. Oczywiście, teraz była wojna, brakowało materiałów i fachowców, odniosłem jednak wrażenie, że i przed wojną nie było lepiej. Być może działo się tak częściowo na skutek wielkiej płynności załóg.

Oto, np. w jednym z zakładów, największym i najnowocześniejszym w Iwanowie, którego dzienna produkcja wynosiła 150 ton chleba, rozleciało się kompletnie bardzo skomplikowane urządzenie ogrzewające piece mechaniczne. Oczywiście, urządzenia tego nie można było naprawić z powodu braku odpowiednich części, co natychmiast odbiło się spadkiem produkcji. Dopiero w kilka miesięcy później, podczas dorocznego epieju kontrolnego, odkryte przez nieoczekiwany przypadek skrzynie porzucone pod płotem na podwórku. Okazało się, iż skrzynie te leżały tam już od przed wojny i zawierają właśnie owo potrzebne urządzenie, zniszczone częściowo przez rdzę. Inżynier, który to urządzenie sprowadził został niespodziewanie aresztowany i nie miał czasu, ani sposobności przekazać go swemu następcy.

Konieczność osobistych kontaktów z piekarniami miała też i swoją drugą, dobrą stronę, która wkrótce okazała się podstawą poprawy mojej egzystencji. Polegało to na swoistym układzie pomiędzy mną a każdym z zakładowych inżynierów. Teoretycznie byłem w pewnym sensie ich zwierzchnikiem, w rzeczywistości jednak, każdy z nich był w sytuacji o wiele lepszej niż ja, będąc blisko chleba a daleko od wszelkiej administracji. Każdy z nich, pod pretekstem konieczności sprawdzenia jakości kolejnego wypieku, mógł wziąć sobie tyle chleba ile zechciał. A zatem miał się nieporównywalnie lepiej niż ja, pracownik biurowy, grzebiący w papierach i ograniczony do swojej niewystarzającej racji dziennej.

Z drugiej jednak strony, każdy z nich był jednak trochę uzależniony ode mnie: po pierwsze w każdej chwili mógł potrzebować mego doradztwa technicznego, a po drugie mogłem - gdybym zechciał - napisać krytyczny raport o jego pracy. A na ogół, w Sowietach wszyscy, jeśli tylko mogą - pisują takie raporty. W rezultacie i on i ja byliśmy zainteresowani by żyć na "błat".

Udbywało się to mniej więcej tak, około południa wychodziłem z biura pod pretekstem "konsultacji technicznej" i szedłem do którejś piekarni. Oczywiście nie zależało to tylko ode mnie, musiałem to wyjście w przekonujący sposób uzasadnić. Kiedy zjawiłem się w zakładzie, miejscowy inżynier zapraszał mnie zazwyczaj do swego pokoju i nim jeszcze przystępowaliśmy do rozmów, posyłał robotnika by przyniósł kawałek chleba do oceny. Robotnik doskonale wiedział o co chodzi, przynosił więc bochenek chleba wagi 2 kg, odrobinę oleju lnianego i sól. Najadłem się wtedy do syta i na zapas a choć olej lniany wcześniej, w innych warunkach i okolicznościach wydawał mi się dość psakudny, teraz z ciepłym jeszcze chlebem, smakował nadzwyczajnie. Zjadałem go tyle ile mogłem, obawiałem się bowiem wynieść chleb z piekarni licząc się z możliwością rewizji przy bramie.

W taki sam sposób jak ze mną, każdy inżynier mógł wejść w "błąd" ze wszystkimi osobami, które mogły mu się do czegoś przydać. Dzięki tego typu układom mógł też rozwiązywać najróżniejsze problemy techniczne. Jeśli na przykład zdarzyło się, że potrzebny był kabel elektryczny, albo wyrobiło się żołyeko - jedynym rozwiązaniem tego problemu mogło być wejście w układ z kimś, kto pracuje w zakładzie technicznym, w którym dana rzecz akurat znajduje się "na składzie". Osoba ta zostawała zaproszona "na konsultację" i cały problem kończył się na kilku bochenkach chleba. Bywało i tak, że potrzebny przedmiot można było kupić na rynku, ale zakładom nie wolno było płacić ceny wolnorynkowej.

Raz zdarzyło się, że w jednej z piekarni porwał się pas transmisyjny i problem został rozwiązany przy pomocy kilkunastu bochenków chleba. Największą przeszkodą okazał się wówczas sam dyrektor, który z największym trudem dał się namówić na wydanie przepustki potrzebnej do wywiezienia chleba za bramę piekarni. Ale nie miał innego wyjścia. Zatrzymanie produkcji z powodu braku pasa transmisyjnego, mogło narazić go na znacznie większe kłopoty niż podpisanie przepustki. A poza tym ... piekarnia, której dzienna produkcja wynosiła 150 ton chleba czyli 75 000 bochenków, nie miała żadnych trud-

ności w pokryciu niedoboru 20 bochenków. Wystarczyło dolać parę wiader wody więcej do ciasta niż przewidywała norma....

W każdym razie cały ten system "konsultacji" i "inspekcji" sprawił, że dość szybko stałem się całkiem niezłe sytuowanym człowiekiem - jak na ówczesne stosunki sowieckie oczywiście. Pomijając chleb uzyskiwany na zasadzie układów, miałem do dyspozycji swoją przydziałową rację, której nie musiałem zjadać. Dzienna racja, to jest 600 gram, przedstawiała wartość 150 rubli, które dodane dawały około 4500 rubli miesięcznie, a więc znacznie więcej niż wynosiły moje całoroczne zarobki inżyniera w Zarządzie Piekarni Obłasti.

x x x

Rozdział XIV
Z DNIA NA DZIEŃ

W miarę jak układały się moje sprawy związane z mieszka-
niem i pracą, jak również z lepszym odżywianiem - poprawiała
się moja kondycja fizyczna, coraz bardziej interesowało mnie
otoczenie. Była piękna i ciepła pogoda, zacząłem odbywać spa-
cery po mieście, zacząłem dostrzegać to czego poprzednio ne-
kany kłopotami ze zdrowiem i problemami egzystencjonalnymi
nie widziałem.

Iwanowo było jedynym miastem rosyjskim jakie udało mi
się poznać podczas ośmioletniego bez mała pobytu w ZSSR. Jest
to miasto prawdziwie prowincjonalne i uchodzi za typowe.
Zdaniem tych którzy lepiej znali Rosję, życie w takich miast-
tach różni się całkowicie od życia w Moskwie. Wszyscy, którzy
mieszkali kiedyś w Moskwie, stwierdzali bez żadnych wątpli-
wości, że standard życia w stolicy jest bez porównania wyższy
niż w miastach prowincjonalnych. Ale takie właśnie miasta jak
Iwanowo są charakterystyczne i typowe dla całego ZSSR.

W Związku Sowieckim wszystkie miasta podzielone są na
kategorie w zależności od ich politycznego i gospodarczego
znaczenia. Do pierwszej kategorii należy oczywiście Moskwa,
do drugiej stolice republik i wielkie centra przemysłowe, do
trzeciej duże miasta o mniejszym znaczeniu. Każde z nich,
w zależności od kategorii do której zostało zaliczone, otrzy-
muje przydziały żywności i artykułów przemysłowych z central-
nego rozdzielnika, bez względu na to, co samo jest w stanie
wyprodukować. Iwanowo, jako stolica politycznie ważnego ob-
szaru i centrum przemysłu włókienniczego, zaliczane było do
trzeciej kategorii. Standard życia tutaj był więc o wiele
wyższy niż w większości miast sowieckich. Ktoś, gdyby się
uparł i miał dużo dobrej woli, mógłby nawet nazwać Iwanowo
sowieckim Manchesterem, gdyż obok przemysłu tekstylnego ist-

niało tutaj wiele fabryk wytwarzających różne artykuły dla potrzeb tego przemysłu. Zgodnie z danymi statystycznymi miasto liczyło 400 000 mieszkańców, ale wątpię czy ktokolwiek mógłby stwierdzić to z całą pewnością.

W całym mieście były właściwie tylko trzy przyzwoicie wybrukowane, porządne ulice, naturalnie w europejskim tego słowa znaczeniu. Reszta pozostawała w stanie zupełnego zaniedbania. Podczas złej pogody, zwłaszcza wczesną wiosną i późną jesienią dosłownie tonęło się w błocie. Wielokrotnie, zdarzało mi się przechodzić na drugą stronę ulicy, a właściwie przeskakiwać po specjalnie w tym celu wrzuconych w błoto ceglach.

Poza trzema głównymi ulicami, miasto zabudowane było w więkzości parterowymi i jednopiętrowymi, drewnianymi budynkami wzniesionymi na długo przed rewolucją i znajdującym się obecnie w stanie znacznego zużycia. Nikt nie troszczył się o ich wygląd, nikt też - jak sądzę - od dawna nie zadbał o remonty. Wszystko to sprawiało, że boczne ulice wywoływały przygnębiające wrażenie. Jedynymi budynkami wzniesionymi po rewolucji 1917 roku były: główna siedziba NKWD, w której mieścił się także arezt, siedziba Gorsowietu, teatr miejski wyróżniający się nie tylko wielkością, ale i brzydota, dworzec kolejowy, o którym już pisałem, kilka stożówek w budynkach typu barakowego, czy pawilonowego, budynek partii oraz dwie czy trzy szkoły.

W mieście, w związku z wojną obowiązywało od zierzchu całkowite zaciemnienie. Wszystkie okna musiały być starannie przesłonięte czarnymi zasłonami. Ale ludność miała wielkie trudności w dopełnieniu tego nakazu wojny. Przy całkowitym braku papieru, należało na ten cel pojąć jakąś zasłonę albo co najmniej prześcieradło, artykuły równie cenne jak trudno dostępne. I na tym nie koniec. Zasłona, czy prześcieradło musiało być koloru czarnego, należało je ufarbować, a skąd wziąć farbę? Rozwiązywano więc ten problem jak kto mógł - najczęściej używając zamiast farby stramentu, kradzionego zresztą nagiwnie z biur.

Niegdyś Iwanowo było najwidoczniej poważnym ośrodkiem życia religijnego, co można było wnosić z licznych cerkwi i budowli sakralnych, teraz pozamykanych, zniszczonych a w wielu wypadkach zupełnie zrujnowanych, albo zamienionych na magazyny. Także duże zakłady przemysłowe, sądząc po architekturze zabudowań, powstały bez wątpienia na długo przed rewolucją, teraz jednak nazwano je imionami Mołotowa, Dzierżyńskiego czy Czerwonej Gwiazdy. Mówiono mi, że niektóre z tych fabryk zatrudniały do 20 000 robotników - choć wydawało mi się to nieprawdopodobne.

Sklepów w mieście było stosunkowo niewiele, część z nich w okresie wojny pozamykano. Zresztą i w tych otwartych też niewiele można było kupić. Jedyne przed sklepami spożywczymi i tymi, które wydawały chleb nieustannie ustawiały się kolejki. Na głównej ulicy miasta "Sowieckiej" mieścił się wielki państwowy dom handlowy "Uniwersmag", w którym od czasu do czasu pojawiały się bardzo poszukiwane towary jak np. garderoba, pończochy itp. Pończochy w ZSSR wyrabiano wyłącznie w kolorze brudno-białym, zapewne na skutek braku farb. W każdym razie działało się tak w czasach o których piszę.

Mimo, że "Uniwersmag" był przedsiębiorstwem państwowym, obowiązywały tu ceny nie ustalone przez państwo, ale tak zwane "umowne" stanowiące pewnego rodzaju kompromis między cenami państwowymi a czarnorynkowymi. Myliłby się ten, kto by sądził, że każdy mógł wejść sobie do "Uniwersmagu" i kupić to co chciał z towarów wystawionych na półkach. Otóż nie, trzeba było jeszcze mieć na to specjalny dodatkowy kupon wydawany przez zakłady pracy, jako rodzaj nagrody czy wyróżnienia. Kupony te oczywiście rozdzielane były w pierwszym rzędzie wśród ortodoksoów partyjnych, NKWD-zistów, no i na zasadzie "błatu". Mimo to, ^{ograniczeń} (zawsze) było więcej kuponów niż towaru, więc by zdobyć co cenniejsze artykuły należało wejść w układy z personelem "Uniwersmagu" albo jeszcze lepiej, z jego dyrektorem. W takiej sytuacji można było nie tracić czasu na stanie w kolejkach, a zakup dokonywał się "od tyłu". Oczywiście tego rodzaju metoda robienia zakupów dostępna była jedynie grupom uprzywilejowanym najróżniejszego rodzaju i dotyczyła wszystkiego, nawet tak podstawowego artykułu jak chleb. Teraz i ja, będąc

tw, odpowiedzialnym pracownikiem zarządu piekarni korzystającym z tej metody, mogąc wejść w "błot" z odpowiednimi kierownikami sklepów.

Trzeba tu jednak dodać, że wśród "równych" byli i "równiejsi". Wyżej ^{WZĘDNICU} ~~okazywano~~ aparat partyjnego i administracji a przede wszystkim oficerowie NKWD byli upoważnieni do zakupów w specjalnych "zamkniętych" sklepach, stosunkowo przyzwolcie zaopatrzonych w artykuły niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Mieli oni także prawo do korzystania z oddzielnych "zamkniętych" restauracji, specjalnie dla nich przeznaczonych.

W rezultacie tego systemu, towary nie trafiały w ręce tych, którym były potrzebne, ale zostawały przechwytywane przez uprzywilejowaną mniejszość. Pewne jednak dobra były absolutnie niedostępne, dla nikogo. Należały do nich zestawy stołowe, wieczne pióra, zegarki itp. Nie było ich w ogóle.

Najlepszym jednak sposobem zdobycia czegokolwiek była wymiana. I tak np. kierownik sklepu wiedząc o nadejściu partii towaru podstawił jakąś zaprzyjaźnioną osobę, która wykupowała wszystko "jak leci", ponieważ każdy towar mógł być wymieniony. I tak np. powien mój znajomy Szurow, pracujący w Zarządzie Przemysłu Mięsnego, dzięki układom z jednym z kierowników "Uniwersmagu" wykupił prawie całą dostawę kaloszy. Działo się to zimą, ale Szurow był wystarczająco sprytny, by nie odeprzeć ich od razu. Poczekał do wiosennych roztopów, kiedy ulice Iwanowa przemieniły się w bagno i dopiero wtedy sprzedał je na targu przez podstawioną osobę uzyskując nieprawdopodobnie wysoką cenę.

Prawo sowieckie nie zabrania sprzedaży przedmiotów, które należą do sprzedającego, on zaś wszedł w ich posiadanie w legalny sposób. Z jednym wyjątkiem: chleba. Chleb bowiem podlega racjonowaniu, zaś racje są tak niewielkie, że praktycznie nie ma żadnych możliwości zeoszczędzenia czegoś na sprzedaż. Tak więc w oczach milicji, każdy kawałek chleba sprzedawany na targowisku uważany był za pochodzący z kradzieży i stanowił dowód przestępstwa. Po targowisku zaś, wmieszani w tłum sprzedawców i kupujących bezustannie krążyli ubrani po cywilnemu milicjanci i donosiciele.

Targowisku należały się tutaj, też chwila uwagi, odgrywało ono niemałą rolę w życiu miasta. Był to rozległy, zawsze zatłoczony plac, na których rozstawiano długie szeregi kramów, pierwotnie przeznaczonych dla kołchoźników, aby mogli tu odsprzedawać nadwyżki produktów, jakie zostały im po wykonaniu dostaw obowiązkowych. Ale teraz, w czasie wojny, kołchoźnikom nie pozostawały żadne nadwyżki. Czasami tylko zdarzało się, że przynosili po kilka kartofli, trochę jagód albo grzybów, nigdy jednak masła, serów ani maki. Kołchoźnik przychodził na targowisko w Iwanowie by zdobyć chleb, bowiem system kolektywną uprawy ziemi pozbawił rolnika chleba. Całe ziarno jakie wyprodukował musiał oddać państwu. Państwo ludności miejskiej wydzielało chleb w ilości 400-600 gram dziennie, chłop jego producent nie dostawał nic. Aby zdobyć chleb musiał przyjść do miasta i szukać go na targowisku. Prawie każdy sprzedający, zamiast pieniędzy żądał chleba i w ten sposób, każda z takich transakcji stawała się od razu nielegalna. Wykroczenia w tym zakresie były surowo karane i jak powiedano, setki ludzi co miesiąc trafiało do więzień. Ale ludzi wyganiał na targowisko głód, chleb też można było tu kupić, choć ceny były niezwykle wysokie. Bochenak kosztował od 200 do 250 rubli w zależności od wagi - 1,8-2,5 kg a więc prawie dwa razy więcej niż miesięczny zarobek niewykwalifikowanego robotnika.

Targowisko zawsze było zatłoczone, kramy zajęte, panował ruch i krzątanina. Można było kupić właściwie wszystko, choć podaż artykułów o tym samym też cena podlegały ciągłym wahaniom. Wśród kramów kręcili się ludzie sprzedający "z ręki" wielu z nich miało do zaoferowania tylko jeden przedmiot: jakąś chustkę, parę pocerowanych pończoch, srebrną łyżeczkę, zepsuty budzik, kilka gwoździ. Raz widziałem jak ktoś kupował parę butów tak zniszczonych, że u nas odrzuciłby je nawet handlarz starzyzna. Wielu wyprzedawało ostatnie przedmioty jakie pozostały im jeszcze z dawnych, lepszych czasów. Ale byli też wśród nich i stali bywalcy targowiska, lepiej odżywieni i ubrani, którzy mieli dość chleba a poczukiwali innych artykułów. Byli też chyba zawodowi handlarze, poszukujący okazji, starający się kupić jak najtaniej i możliwie drogo sprzedać, funkcjonujący zapewne dzięki układowi z milicją.

Z początkiem lata, obok chleba, "walutę" bazarową stanowiły się też kartofle. Ich cena jednak zawsze była o połowę niższa niż cena chleba. Pojawiała się także kapusta, bardzo rzadko jajka, mleko a nawet masło, ^{ale} głównie na wymianę za chleb. Jeśli sobie przypominać, cena 1 kg masła wynosiła 4000 rubli a więc więcej niż moje roczne zarobki wykwalifikowanego inżyniera. Żeby mieć pełniejszy obraz sytuacji trzeba dodać, że przeciętne zarobki wynosiły 200-300 rubli miesięcznie.

Mimo powazecznie penującej biedy każdy pracujący zobowiązany był raz do roku zakupić obligacje państwowej pożyczki wojennej w wysokości co najmniej jednoniesięcznych zarobków, lepiej zaś płatni w wysokości półtoramiesięcznych a nawet jeszcze większej. Zakup tych obligacji był teoretycznie całkowicie dobrowolny, ale ... Powiadano, że jeśli ktoś tego patriotycznego obowiązku nie spełni bez względu na powody, mógł się liczyć z utratą wolności pod byle pretekstem.

Osobliwie znam przypadek pewnego urzędnika Goroowietu, którego w trakcie podróży służbowej doszczętnie okradziono. Kiedy nadezwał czas wykupywania obligacji, urzędnik ów napisał do swego szefa prośbę o zwolnienie go w tym roku z tego "przywileju", obiecując że w następnym roku wykupi obligacje za dwa lata. Na nic mu to się nie zdało. W miesiąc później został aresztowany i zniknął z miasta. Nie muszę dodawać, że w ZSSR wszelkie pożyczki wykupywane były w ciągu kilku dni i w 100 procentach.

Tak więc byłem wolny, ale wolny na sposób sowiecki, tj. tak jak każdy obywatel mogłem swobodnie chodzić po ulicach, ale nie mogłem ruszyć się z miasta bez specjalnego zezwolenia. Wydawało się, że Rosjanom ten rodzaj i zakres wolności całkowicie wystarcza. Byli do tego przyzwyczajeni i zapewne z trudem przychodziło im wyobrazić sobie inny stopień wolności niż ten dostępny. Jeśli o mnie chodzi, nieustannie ciążyło mi to ograniczenie, nieustannie też myślałem jak wyrwać się z uścisku NKWD. Na razie uciek ten nie był szczególnie ani mocny ani uciążliwy. Instynktownie jednak czułem, że w każdej

chwili wszystko może się zmienić. Jedynym wyjściem było znaleźć się jak najszybciej pod opieką Polskiej Ambasady w Kułbyczewie. Myśl ta nie opuszczała mnie ani na chwilę, i stała się w końcu niemal obsesją. Ale jak nawiązać kontakt z ambasadą nie mogąc ruszyć się z miejsca, kiedy listy pozostają bez odpowiedzi?

W któreś letnie popołudnie, wybrałem się na spacer do parku im. Armii Czerwonej. Nieoczekiwanie, na ławeczce w cieniu spostrzegłem postać, która wydała mi się znajoma. Rzeczywiście, był to stary nauczyciel Tabierz - mój towarzysz z obozów, więzień i transportów, z którym rozstałem się tak nieoczekiwanie.

Jego pierwsze kroki na wolności podobne były do moich. Po okresie początkowych trudności i nieopisanego głodu, znalazł wreszcie pracę w małym artelu, tj. spółdzielni pod zarządem państwowym, wyrabiającym mydło, jego zdaniem nie nadające się do mycia i zapaliki, które się nie paliły.

Zaczęliśmy teraz spotykać się coraz częściej i starałem się zawsze znaleźć czas na te spotkania, zwłaszcza że jego stan zdrowia był bardzo słaby po dwóch latach poniewierki w więzieniach i obozach. Zresztą był już w wieku po pięćdziesiątce. Pomimo lepszych^h obecnie warunków życia, nie mógł jakoś powrócić do zdrowia, wyglądał bardzo chorowicie i łatwo się męczył.

Tabierz mieszkał wśród robotników Melnazowskiego Kombinatu Włókienniczego, którzy zachowywali silne tradycje eserowskie /Socjal-Rewolucjonści byli jedną z radykalniejszych partii politycznych w carskiej Rosji/. Było więc rzeczą zrozumiałą, że ci starzy robotnicy wychowani w duchu europejskiego socjalizmu nie mogli darzyć bolszewików ani sympatię, ani zaufaniem. Iwanowo, i w ogóle cały obwód, jest jednym z najstarszych ośrodków przemysłowych Rosji, a jednocześnie jednym z najstarszych ośrodków ruchu robotniczego sięgających tradycjami połowy XVIII wieku i tradycje te w zachodnim stylu były tu ciągle jeszcze żywe. Nawet najmłodsze pokolenie, wyrosłe już po 1917 roku nie było od nich wolne.

- Ludzie stali się teraz bardzo ostrożni - opowiadał Tabierz, szczególnie po tym, co tu się zdarzyło ostatniej je-

ożeni. Pewnie nie o tym nie słyszałem, ale jeden z zaprzyjaźnionych robotników opowiedział mi co się tu działo na przełomie listopada i grudnia 1941 roku. W Melanowskim Kombinacie wybuchł bunt. Władze wydały nakaz ewakuacji całej fabryki na wschód. Ludzie zaś doskonale zdawali sobie sprawę z tego co oznacza taka ewakuacja. Wiedzieli, że ich fabryka zostanie zniszczona, a sami narażeni na głód i poniewierkę gdzieś na krańcach świata, wiedzieli na jaką nędzę skazane zostaną ich żony i dzieci. Robotnicy odmówili demontażu maszyn, okupowali zakłady i zapowiedzieli ich obronę. Fabryka została specyfikowana przez wojska NKWD, przywódcy rozstrzelani, wielu robotników zesłano do łagrów. Wkrótce jednak rozkaz ewakuacji władze cofnęły.

- Nie rozumiesz - powiedziałem. \checkmark Przecież istniała groźba, że wojnę tu Niemcy. Na co mogli liczyć? Woleli Niemców?

- Na początku wojny, nastroje społeczne były zupełnie inne - ciągnął Tabisz. - Ludzie nie jeszcze nie wiedzieli o niemieckich okrucieństwach. Wcale nie wykluczone, że wręcz liczyli na to, że Niemcy uwolnią ich od bolszewików. Nikt oczywiście tego głośno nie mówił, ale głowy bym nie dał czy tak właśnie nie myśleli. Teraz oczywiście sytuacja zmieniła się całkowicie. Inwalidzi, ranni, a przede wszystkim uciekinierzy z terenów zajętych przez Niemców opowiadają okropne rzeczy o ich okupacji. Wiadomo już, że Niemcy wprowadzają jeszcze gorzys terror niż NKWD. Nawoływania propagandy do uczuć patriotycznych też robię swoje, napewno wzmacniają wolę obrony kraju, która z początkiem wojny wcale nie była taka mocna. Dzisiaj co innego. Nikt już napewno nie wiąże żadnych nadziei ze zwycięstwem Niemiec.

Tak się złożyło, że wkrótce po tej rozmowie, byłem bardzo zajęty w pracy i nie mogłem przyjść na umówione spotkanie. Kiedy Tabisz nie pojawił się na następnym, dowiedziałem się, że zachorował i leży w szpitalu. Natychmiast poszedłem do niego. Nic nie wskazywało na to, że stan jego zdrowia uległ jakiemuś nagłemu pogorszeniu. Zwyczajkiem ogólnego osłabienia, nie zauważyłem żadnych większych zmian. Na pożegnanie powiedział mi, że oprzyja mu dobry apetyt i chętnie by zjadł coś dobrego. Postanowiłem, że pójdę na targ i na następne odwie-

dziny w szpitalu postaram się zdobyć biały chleb, mleko a może nawet kawałek masła. Miałem dość zaszczerdzonego chleba aby wymiana mogła się udać.

Kiedy przyszedłem do szpitala, dowiedziałem się, że Tobiasz zmarł trzy dni temu. Nie udało mi się nawet odzukać jego nogiły na odległym od miasta cmentarzu. Został pochowany we wspólnym grobie. Być może, ktoś błąka Tobiasza, ciągle jeszcze czeka na jego powrót z ZSSR. Przykro mi^o tym zawiadomić,

x x x

Rozdział XV

ULICA KAROLA MARKSA 22

W miarę odzyskiwania zdrowia, rozszerzał się świat moich zainteresowań, spostrzegłem np. że zaczynam się oglądać za kobietami, na które dotąd, od ^{czasu} gdy znalazłem się w ZSRR nie zwracałem uwagi. Zauważyłem też, że moje ubranie znajduje się w stanie kompletnego zaniedbania. Moja szwajcarska narynarka "nie do zdarcia" zaczęła się strzępić. Nela obejrzała ją bardzo dokładnie i uznała, że wymaga pilnej naprawy. Przypomniała sobie, że zna ^{moją} krawcę, (Eisenstein), także deportowanego z Polski, więc wybraliśmy się do niego. Eisenstein ^{moją} poddał starannym oglądziom (narynarkę i od razu zabrał się do rozpruwania szwów. W tym momencie przypomniałem sobie, że jeszcze w obozie w Bogliubowie, zacząłem pod podszewką chustkę z adresem, pod którym miałem się skontaktować z moim przyjacielem Frankiem. Ogarnęła mnie nagła panika, błyskawicznie wróciły w pamięci wszystkie obozowe koszmary. Wpadłem wręcz w histerię i zachowałem się jak głupiec. Wyrwałem narynarkę Eisensteinowi z ręki, chwyciłem nożyczki i schowawszy się w kącie wyprułem chusteczkę i ukradkiem schowałem ją do kieszeni. B pewnością powinienem zrobić to wcześniej, zanim wybraliśmy się do krawca, ale zapomniałem. W momencie, kiedy to zrobiłem, ogarnął mnie lęk, czy to moje dość niecodzienne przecież zachowanie nie uzbudzi u krawca i Neli podajrzeń. Kiedy wracaliśmy do domu przyszło mi na myśl, że ta cała w gruncie rzeczy niewinna sprawa, mogła im się wydać znacznie poważniejsza niż była w rzeczywistości. Opowiedziałem więc Nelce całą tę historię, pokazałem chusteczkę, ona zaś doradziła bym ją zaraz zniszczył. Po namyśle jednak nie posłuchałem jej rady. Nie zniszczyłem chusteczki, lecz zakopałem w ogródku. Przyszło mi bowiem na myśl, że gdyby wszystko poszło całkiem źle, chusteczka mogła być jedynym dowodem, że adresy

to nie mają nic wspólnego np. ze szpiegostwem, kontrrewolucją i niczym w tym rodzaju. Owezem, złożyłem regulamin obozowy, ale to jedzcie nie wielkiego. Wprawdzie za mniejsze sprawy ludzi trafili do łagrów, a moje zachowanie u krawca mogło wzbudzić podejrzenie jako, że panowała powszechna psychoza szpiegostwa - wolałem na wszelki wypadek zachować dowód, jeśli nie swojej niewinności, to w każdym razie "mniejszej" winy.

Sprawa ta ciągle nie dawała mi spokoju. Nieustannie wracały w pamięci wszystkie trudności jakie napotykałem nie zwolniono mnie z obozu, nim udało mi się skorzystać z amnestii. Pozwoliło to uświadomić sobie jak cieniutka granica dzieli obecne moje życie od egzystencji łagiernika.

W dwa, czy trzy dni później przypadał termin stawienia się w kontaktowym mieszkaniu przy ul. Karola Marksa 22, gdzie co dwa tygodnie miałem obowiązek meldować się Nikonowowi. Tym razem nie czekał na mnie sam, jak byłem do tego przyzwyczajony. Wraz z nim był jeszcze inny mężczyzna, o nieprzyjemnym wyglądzie i aroganckim sposobie bycia. Nikonow przywitał mnie i przedstawił tego drugiego:

- Antoni Stiepanowicz, to jest mój szef, towarzysz [Ewgeni] Nikołajewicz Sziżkow. Musicie szczerze odpowiadać na wszystkie pytania, jakie wam zada. Skinęłam głową i ukradkiem przyjrzyjcie się Sziżkowowi. Miał długą końską twarz, cienkie wargi skrzywione w złośliwym grymasie i mało świdrujące oczko. Odezwał się takim tonem, że poczułem się jak więzień na przesłuchaniu. Poczułem niepokój.

- Nazwiska wszystkich Polaków, jakich poznaliście w Iwanowie?

Zacząłem wymieniać: Rosen, Maria Szewczuk, Wojtecki ... i zatrzymałem się na moment.

- Dalej!

Poszukałem w pamięci i wymieniłem jeszcze dwa, czy trzy nazwiska osób, które spotykałem okazjonalnie.

- Dalej!

Milczałem, bo naprawdę nikogo więcej nie mogłem sobie przypomnieć.

- Chcecie, żebym wam pomógł? krzyknął Sziżkow. - Lepiej będzie, jeśli sami sobie przypomnicie.

Brzmiało to jak groźba, ale nadeł milczałem, bo nie wiedziałem co powiedzieć.

- No więc dobrze, jak nie chcecie, to wam pomogę. Nie znacie czasem jakiegoś Krawca?

Zupełnie zapomniałem, że Eisenstein też mógł uchodzić za Polaka. Wprawdzie Nelka wspominała coś o jego pochodzeniu, ale rozmawialiśmy po rysyjsku, a poza tym widziałem w kłapie jego marynarki oznakę Komsomołu. W natłoku myśli i niepokoju ten szczegół umknął mi z pamięci. Zresztą sposób zachowania Sziszkowa wytrącił mnie z równowagi.

- Tak, to prawda - powiedziałem z namysłem. Kilka dni temu istotnie byłem z Marią Szewczuk u krawca o nazwisku Eisenstein. Nikt mi nie powiedział, że jest on Polakiem. Nic więc dziwnego, że go nie wymieniłem. W oczach Sziszkowa spostrzegłem coś jak błysk triumfu.

- Łatwo zapominacie, co wam niewygodne. Wymienialiście nazwiska osób, które widzieliście tylko raz w życiu. Dlaczego zapomnieliście o Eisensteinie?

Ogarnęła mnie fala przerażenia. Myśli, że po pięciu miesiącach na wolności mogę znowu znaleźć się w więzieniu, formalnie mnie paraliżowała. Sziszkow zadawał pytania w taki sposób, że trudno było się zorientować, czy wie coś o zaszytej chusteczce. Wydawało mi się, że główne jego pretensje dotyczą zatajenia przede mną nazwiska Eisensteina. Mogło to naturalnie być związane z chusteczką, ale mogło też chodzić o coś zupełnie innego i sprawa chustki nie musiała mieć z tym nic wspólnego. Przedmiotem zainteresowania NKWD mógł być sam Eisenstein.

- Nie miałem powodu żeby zataić nazwisko Eisensteina. Zapomniałem o nim ...

- "Wrioaz?" - wrzasnął Sziszkow. Nie chcesz zaznawać dobrowolnie, znajdziemy sposób, żeby cię do tego zmusić. Idziemy.

W chwilę później znaleźliśmy się na ulicy. Szliśmy w milczeniu Nikonow po jednej stronie, Sziszkow po drugiej a ja w środku. Dla przechodniów wyglądaliśmy zapewne jak trójka znajomych, ja zaś zastanawiałem się, czy jestem już aresztowany?

Spacer nie trwał długo, budynek NKWD i więzienie otoczone murem z czerwonej cegły, położone było nie dalej niż pół kilometra od ulicy Karola Marksa. Wartownik przed wejściem wpuścił nas bez słowa, drugi wewnątrz, przez okienko podał Sziżkinowi kartkę papieru. Szerokimi schodami weszliśmy na drugie piętro, gdzie na korytarzu przy stoliku siedział trzeci umundurowany NKWD-ziata, również i ten zdawał się nie zwracać na nas uwagi.

Zostałem zamknięty w pustym pokoju. Siedziałem tam z pewnością kilka godzin, za okratowanymi oknami zapadła ciemność. Nie byłem przesłuchiwany tej nocy. Sziżkow dwukrotnie otwierał drzwi i pytał, czy jestem gotów mówić prawdę. Za każdym razem odpowiadałem, że mówię prawdę i drzwi się zamykały. Było gdzieś około czwartej nad ranem, wstawał już świt, gdy Sziżkow wszedł po raz trzeci:

- No, możecie iść do domu. Przemyślcie sobie to wszystko raz jeszcze od początku. Jutro wieczorem o godzinie dziesiątej zgłosicie się do pokoju numer 26. Macie z nikim na ten temat nie rozmawiać. Wręczył mi kartkę z podpisem, przepustkę dla wartownika przy bramie. Byłem roztrzęsiony i zdenerwowany, a gdy znalazłem się na ulicy, nadał wolny, otrzeźwiło mnie świeże powietrze chłodnego poranka. Najchętniej zamiast do pracy poszedłbym do łóżka przespać się trochę, było to jednak niemożliwe. Jeden dzień nieobecności w pracy bez usprawiedliwienia kończył się więzieniem.

Byłem błądy i zęczony. W biurze tłumaczyłem się niedyspozycją żołądka. Po powrocie do domu położyłem się i pragnąłem usnąć, ale nie mogłem. W miarę zbliżania się godziny dziesiątej stawałem się coraz bardziej zdenerwowany.

Tym razem Sziżkow wydał mi się mniej agresywny:

- Myślę, że dzisiaj lepiej nam pójdzie niż poprzednio. Znacicie nas przecież. Mam nadzieję, że zrozumielicie wręczcie, że dalszy opór nie wam nie da. Będziecie mówić prawdę?

- Tak - powiedziałem a moje myśli obracały się wokół chusteczki z adresami. Przyznać się, czy nie? Zdawałem sobie sprawę, że jeśli coś o niej wiedzę, to przechowywanie adresów i to jeszcze w taki niecodzienny sposób wywoła z miejsca podejrzenie co najmniej o szpiegostwo. Z wielu opowiadań wie-

działem, że ludzie w ZSSR w ogóle unikają zapisywania adresów, NKWD znajdując u podejrzanego notes z adresami natychmiast włącza go do sprawy i wszystkie zapisane w nim osoby stają się automatycznie objęte śledztwem i zatrzymane, a w najlepszym razie narażone na nieprzyjemności i nękające wzywania na przesłuchanie. Miałem jednak nadzieję, że o chusteczce nie wiedzą, bo i skąd? Postanowiłem więc wykorzystać tę szansę.

Znowu musiałem odpowiedzieć na te same pytania. Sziszkow demonstrował taki gniewu, walił pięścią w stół, nie szczędził mi pogroźek i wyzwisk. Wreszcie zaczął sporządzać formalny protokół przesłuchania. Zaczął jednak od tego, że wyjął z szuflady wydrukowane na takturze ostrzeżenia i dał mi je do przeczytania: "Fałszywe zeznania karane są pozbawieniem wolności do lat trzech, zgodnie z artykułem 94 k.k."

W trakcie sporządzenia protokołu, oprócz wszystkich poprzednich pytań, doszło jeszcze jedno: Czy zataiłem coś przed NKWD? Odpowiedziałem negatywnie i podpisałem zeznanie. Tej nocy władcywie nic więcej się nie zdarzyło. Zwolniono mnie o świcie i kazano ponownie zgłosić się o dziesiątej wieczorem. W ten sposób przez dwie doby nie zerużyłem oka.

Tego wieczoru również przesłuchiwał mnie Sziszkow. Wreszcie padło pytanie:

- A teraz wreszcie powiesz owołocz, co wyprułeś spod podszewki w marynarce?

- A jednak ... W pierwszej chwili zaskoczyło mnie to, że wiedzę o chusteczce. Później pomyślałem, że chyba jednak bardziej chodziło o to, że usiłowałem ukryć coś przed NKWD, bez względu na to czy był to fakt ważny czy nieważny, ale pozostał jakiś szczegół w moim życiu, który uknął im spod kontroli. Opowiedziałem całą historię chusteczki od samego początku.

- Dlaczego nie przyznaliście się od razu! - krzyknął Sziszkow.

- Przyznać się można do przestępstwa. Nie wiedziałem, że w Związku Sowieckim przechowywanie adresu jest przestępstwem.

- To dlaczego ją zakopaliście? Dlaczego znowu kłanicie?

- Zeby nie zginęła - powiedziałem bez przekonania, wiedząc że w tej odpowiedzi nie ma za grosz sensu. Nie chciałem jednak

dać mu tej satysfakcji i przyznać, że zakopałem ją ze strachu przed więzieniem i łagrem.

- No to pojedziemy teraz szukać tej chusteczki - oznajmił Sziżkow. S będzie dla was lepiej, jeśli ją znajdziecie.

Była pierwsza w nocy. Sziżkow wezwał przez telefon samochód i wraz z Nikonowem pojechaliśmy. Na miejscu Nikonow odświetlał ogródek latarką. Sziżkow stał nade mną z rewolwerem w ręku a ja trzęsącymi się rękami szukałem w ziemi. Kiedy wreszcie wygrzebałem chusteczkę, Nikonow dosłownie wyrwał mi ją z ręki.

W drodze powrotnej, w samochodzie myślałem przez cały czas o protokole i "fałszywych zeznaniach".

Byłem bardzo zdenerwowany i wyczerpany. Nie pamiętam jak długo czekałem. Świtało już, gdy wprowadzono mnie do elegancko umeblowanego pokoju. Za biurkiem siedział cywil ubrany w ciemny, przyzwoity garnitur. Okazało się, że był to sam zastępca szefa iwanowskiego obwodu NKWD. Skinął mi głowę i kazał usiąść.

- Macie szczęście, że się ta chusteczka znalazła. Sprawdziliśmy. Istotnie są to adresy więźniów, których papiery masz u siebie. Gdybyście od razu powiedzieli całą prawdę, oszczędzilibyście sobie całą masę kłopotów.

- Ależ mówiłem prawdę.

Nie! Staraliście się ukryć pewne sprawy.

- Nic nie ukrywałem. Odpowiadałem na pytania.

Przerwał mi niecierpliwie:

- Nie możecie zaprzeczyć, że staraliście się ukryć chusteczkę. Fakt jest faktem. Moglibyśmy was teraz aresztować za składanie fałszywych zeznań. Ale NKWD nie zamyka ludzi za takie drobiazgi. Możemy puścić was na wolność, ale pod pewnym warunkiem ... - zrobił długą pauzę - "podpisaliście zobowiązanie w którym zgodziliście się pomagać nam w demaskowaniu szpiegów i wrogów państwa. Zgadza się?"

Wprowadzie w zobowiązaniu, które podpisałem nie było słowa o wrogach państwa, a podpisując je od początku wiedziałem, że nie zrobię nic dla NKWD, ale z kim i o czym tu dyktować? Jak mogłem znaleźć wspólny język z kimś, od czyjego widzi mi się i podpisu mogło zależeć wpakowanie mnie na trzy, pięć czy

osiem lat do jakiegoś Kargopolu? Nie pragnęłam niczego innego jak tylko zakończenia tej rozmowy, najczybciej jak było to możliwe.

- Tak - powiedziałam.

- Nie wypełniliście jednak tego zobowiązania. Jesteście na wolności już pięć miesięcy i co? Nie dostarczyliście nam ani strzępka istotnych informacji. Jeśli obiecacie poprawę, pójdziecie do domu, inaczej ... - zawiesił głos.

Było jasne, że dla NKWD zdanie: "jeśli napotkam kogoś, kogo mógłbym podejrzewać o szpiegostwo - zawiadamie władzę" oznacza: "będę donosił na każdego kogo spotkam, a wśród nich może znajdzie się szpieg". Innymi słowy nie obietnicą a przyrzeczeniem. Nie było sensu dyskutować.

- Zrobię, co będę mógł - powiedziałam i w tym momencie zapragnęłam wyjść stąd jak najczybciej. Miałam nadzieję, że w domu napewno znajdę jakieś wyjście z tej paskudnej sytuacji.

- W tej sprawie jest wszystko w porządku - zakończył rozmowę. Ale nie zapominajcie, że mam tu w biurku dokument stwierdzający o złożeniu fałszywych zeznań ...

Wstał i przeciągnął się. Z pewnością i on już był zmęczony i też chciał pójść do domu.

- Odeślijcie Eisensteina - rzucił do Sziezkowa, który w tym momencie wszedł do pokoju. - Dajcie mu 100 rubli i coś do zjedzenia. Załóż się sobie ...

Wiele czasu minęło nim dowiedziałam się, że Eisenstein nie miał z tą sprawą w ogóle nic wspólnego.

Sziezkow podpisał moją przepustkę. Był wścickły i nie ukrywał tego: "ty razem ci się udało, fałszytowski szczerze ... ale ja cię jeszcze dostanę" - rzucił na pożegnanie.

Fakt, że zostałam związany z NKWD jeszcze mocniejszym węzłem, nie dawał mi spokoju. Zastanawiałam się nad przyszłymi konsekwencjami mego zobowiązania i przede wszystkim: co ja robię wśród tej bandy? Jestem Polakiem i moje miejsce w każdym razie nie jest tutaj, ale w szeregach powstającego wojska polskiego. Gdzie, po co i dla kogo mam szukać tych szpiegów? Albo wrogów państwa? Sowieckiego państwa? Czym dłużej nad tym myślałam tym mocniej utwierdzałam się w przekonaniu, że nigdy nic dla nich nie zrobię. Nie będę agentem

NKWD . Buntowałem się przeciw temu całą swoją istotą. Wszystko to było mi wstrętne i napawało mnie grozą. Za nic!

Możliwości układały się w jedną logiczną linię postępowania. Jak najprędzej, za wszelką cenę musiałem wyrwać się z Iwanowa i nawiązać kontakt z naszą ambasadą. Dotąd jednak, na swoje listy wysyłane do Kujbyszewa nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Sytuacja Polaków zwalnianych z więzień i obozów na mocy amnestii, w całym okręgu iwanowskim była trudna i skomplikowana. Z nieznanymi mi powodów ambasada nie miała tutaj swojego przedstawiciela. W następstwie stabilizowania się stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a ZSSR w wielu innych okręgach utworzono podobno specjalne, oficjalne misje, których zadaniem była pomoc obywatelom polskim w uwalnianiu z obozów i więzień oraz pomoc w wysyłaniu ich do ośrodków wojskowych generała Andersa. Misje te zakładały szkoły, szpitale itd. a ponadto miały prawo interweniowania w tych przypadkach, w których Sowieci nie dotrzymywali umów i warunków amnestii. Oczywiście władze sowieckie, gdzie tylko mogły sabotowały te umowy a obstrukcja z ich strony wzrastała w miarę jak stabilizowała się sytuacja na froncie.

Ponieważ poczta działała bardzo słabo, a w pewnych przypadkach wydawało się, iż nie działa wcale, nie pozostawało nic innego jak próbować dostać się samemu do Kujbyszewa. Spędziłem wiele godzin nad mapą, wlepiając oczy w dwa punkty. Iwanowo i Kujbyszew i rozważając wszelkie możliwości podróży. W pracy zaś przepytywałem wszystkie osoby wyjeżdżające służbowo o szczegóły. I tak, np. w podróży z Iwanowa do Gorki potrzebne są dwie przepustki, jedna na wyjazd z Iwanowa i druga na wjazd do Gorki. Nie ulegało też żadnym wątpliwości, że bez względu jakie władze przepustki te podpisują, każde z nich akceptowana musiała być przez NKWD i nie było od tej reguły wyjątków, nawet w odniesieniu do dygnitarzy partyjnych. Podróż bez przepustki, nawet na krótkie dystanse nie wchodziła w rachubę. Bez niej, kasa nie sprzeda biletu, a poza tym zarówno przy wejściu na peron a także później w wagonach, już w czasie jazdy przepustki i dokumenty podróży sprawdzane były wielokrotnie. Jedynym dokumentem sowieckim jaki posiadałem

było zaświadczenie o zwolnieniu z więzienia. Podróż z takim dokumentem i bez przepustki prowadziła wprost do aresztu.

Oceeniłem sytuację prawidłowo, świadczą o tym mogła sprawa trzech Polaków zatrudnionych w jednym z zakładów mechanicznych Iwanowa, którzy usiłowali wyjechać z miasta bez przepustek i po przebyciu 30 kilometrów zostali aresztowani. Skazano ich na 7 lat więzienia a wyroki wywieszono na bramie fabryki, w której pracowali.

Rozwazałem inne możliwości nielegalnego wyjazdu. Rozpytywałem kierowników ciężarówek i dowiedziałem się od nich, że nadzór nad ruchem drogowym jest na szosach tak samo ścisły jak na kolei. Co kilka, a w najlepszym razie, co kilkanaście kilometrów rozstawione są posterunki kontrolne, które starannie sprawdzają zarówno dokumenty, jak i ładunek. Do tego dodać należy liczne lotne patrole. Innymi słowy wyszło na to, że jedyną możliwą drogą do Kujbyszewa wiedzie piechotą. Bagaż, około 1500 kilometrów. Rozwazałem i tę możliwość. Ale kto byłby w stanie zgromadzić żywność na dwa miesiące marzu, zaoferować ją z codziennych racji w sytuacji, kiedy każda próba o nocleg czy wodę po drodze stanowiła realne niebezpieczeństwo.

Kiedy rozmawialiśmy na ten temat Rosen zauważył: "w Europie łatwiej przejść nielegalnie wszystkie granice z Warszawy do Lizbony, niż tu z obłasti do obłasti". Od niego też dowiedziałem się, że nasza ambasada uprawniona jest zgodnie z porozumieniem między rządami Polski a ZSSR, do wydawania paszportów obywatelom polskim. Mimo nie ogłoszenia tego oficjalnie, zdecydowałem się wystąpić o polski paszport. Oczywiście jak wszystko tutaj, zaczynać trzeba było od NKWD. Poczekałem więc do wydziału meldunkowego dla "innostranców" i powiedziałem urzędnicze o co mi chodzi. Kazała mi czekać i przeszła do innego pokoju, wróciwszy zaś odczytała mi fragment instrukcji:

- Na podstawie umowy pomiędzy rządami ZSSR i Polski, jesteście uprawnieni do paszportu polskiego. Nie możemy was wydać paszportu ZSSR". Była to odpowiedź dokładnie taka, jakiej oczekiwałem. Nie mogłem ukryć swojej radości.

- A co mam zrobić, aby otrzymać polski paszport?

- Musicie napisać podanie do waszej ambasady w Kujbyszewie. Tylko oni mogą wydać wam paszport - brzmiała odpowiedź.

- A czy nie mógłbym wysłać tego podania przez was? - za-
pytałem.

- Niemożliwe. My do tego nie mamy prawa.

Po powrocie napisałem jeszcze jeden obozerny list do Kuj-
byszewa i zaczął się kolejny okres pełnego napięcia i nadziei
oczekiwania, tym bardziej ważny ze względu na moją sytuację
z NKWD.

Idąc na kolejne spotkanie przy ul. Karola Marksa, byłem
szczególnie napięty i zdenerwowany. Był to pierwszy kontakt
po historii z marynarką i przyznać się, że wolałem nie spotkać
Sziškowa. Przyzwyczaiłem się już do Nikonowa, który wydawał
mi się facetem na swój sposób przyzwolitym, na tyle oczywiście,
na ile mu ^{na} to jego zawód pozwalał. Na szczęście Nikonow był
człowiekiem i powitał mnie jak zwykle dość przyjaźnie:

- Słuchajcie Ekert, zawiodłem się na was. Miałem mnóstwo
kłopotów z moimi przełożonymi w związku z waszą sprawą.
Zawsze dawałem wam jak najlepsze rekomendacje, a ta sprawa
z marynarką wszystko odwróciła ...

- Jeśli mogę coś powiedzieć, to do dziś nie rozumiem, co
było złego w tym, że zapisałem sobie adresy przyjaciół ...

- Nic nie było złego w tym, że zapisałem sobie adresy, tylko
to, że je ukrywałem.

- Ależ nikt nie pytał mnie o adresy. Skąd mogłem wiedzieć,
że właśnie o to chodzi?

- Antoni Stiepanowiczu, to nie jest sposób w jaki w tym
kraju myślimy. W życiu prywatnego obywatela nie istnieje
nic, czego nie powinniśmy wiedzieć. Zapamiętajcie, że jest
wojna i są szpiegzy. Nasza organizacja reprezentuje interes
państwa, a państwo jest na pierwszym miejscu, przed każdym
z nas. Przed wami także. W porównaniu z państwem nikt nie zna-
czy nic. Wy też. Musicie zmienić sposób myślenia. A zresztą,
dlaczego ukryliście tę chusteczkę w tak dziwnym miejscu.
Człowiek o czystych intencjach nie zakopuje kilku adresów
w ogrodzie ...

- Gdyby ktoś mnie o to zapytał, natychmiast opowiedziałbym wszystko dokładnie ...

- Nie będziemy już dyskutować - przerwał mi. Sprawa jest zamknięta. Otrzymałem nowe instrukcje. Będziemy teraz spotykać się częściej. Raz w tygodniu. Musicie nawiązać jak najwięcej kontaktów z polskimi uchodźcami i dostarczać o nich tyle informacji, ile możliwe. Wszystko przedstawiać będziecie mi na piśmie. Bardziej interesujące szczegóły muszą być spisane dokładnie, słowo w słowo. Damy wam teraz miesiąc czasu. W tym czasie będziecie starać się poznać jak najlepiej ludzi. Nie zapominajcie, że i wasze zobowiązanie i protokół fałszywego zeznania leżą w biurku szefa. Wasz los zależy od tego, ile sami dołożycie starań.

Nie miałem już żadnych złudzeń. Wpędłem i grzęźłem coraz głębiej. Jeszcze kilka miesięcy temu, wolałbym raczej śmierć i tortury niż współpracę z NKWD. Teraz zaś, ze strachu i nieprzewidywanej słabości charakteru, stałem się ich agentem. I jakie szanse miałem przeciw NKWD. Stałem oko w oko z wyspecjalizowaną machiną do łamania woli i charakterów znacznie mocniejszych niż mój.

Nie widziałem innej możliwości ucieczki od NKWD, niż ochrona naszej ambasady. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko zyskać na czasie ile się da. Będę pisał raporty, postanowilem - ale będę je pisał tak, by nikomu nie przyniosły szkody i tylko takie o których będę wiedział, że nie wniosę do NKWD nic nowego. Mogli zmusić mnie bym był ich agentem, ale nikt nie zmusi mnie, abym był dobrym agentem.

x x x

Rozdział XVI

GRA NA ZWŁOKĘ

W moim prywatnym życiu zaczęły tymczasem istotne zmiany. Zakochałem się. A było to tak: Nelka zaręczyła się ze swoim lejtenantem Kolą i pewnego dnia z tej okazji zaprosiła grupę swoich przyjaciół, wśród nich i mnie. Tego właśnie wieczoru poznałem Polę Jaruskę, śliczną 23-letnią dziewczynę, pochodzącą z Besarabii, która zresztą określała siebie jako Rumunkę ukraińskiego pochodzenia. Przed wojną mieszkała w Bukareszcie i tam chodziła do szkoły. Była piękna, inteligentna, bardzo czytana i przyjacielska. Co więcej, urodę i czysną nieuchwytnym przypominała mi pewną dziewczynę, moją pierwszą miłość, którą poznałem przed laty. Tak się złożyło, że już pierwszego wieczoru zrozumielismy, jak bliscy sobie jesteśmy oboje.

Polę pracowała w kantynie w iwanowskim przedsiębiorstwie transportowym. Była to dobra praca, ponieważ nie tylko pozwalała najęść się do syta, ale także zaoszczędzić trochę chleba na wymianę na inne artykuły.

Nasz związek zacieśnił się w końcu lata, w czasie gdy moje weranda zaczęła stawać się już nazbyt przewiewna. Kiedyś powiedziałem Poli, że muszę rozsejrzeć się za jakimś nowym lokum, zaproponowała wtedy bym przeniósł się do niej. I tak zaczęło się nasze wspólne życie.

Przeniósłem się do jej obszernego i ładnego pokoju, ona zaś okazała się pełną uroku kobietą o wielkiej dobroci i szczeroci serca.

W tej sytuacji, moje cotygodniowe wizyty na ul. Karola Marksa oraz konieczność opracowywania raportów, przynębiały mnie jeszcze bardziej. W końcu, nie miałem już siły by znosić tę samotność w samotności i zwierzyłem się Poli ze wszystkich trosk. Opowiedziałem jej dokładnie o wszystkim co się w moim życiu wydarzyło, o wszystkich planach i nadziejach i o tym jak spędzamy one na niczym.

Pola przyjęła to bardzo poważnie i przygębilo ją moje wyznanie:

- Musisz robić wszystko co każę. Jeśli tego nie zrobisz, zamknę cię i będziemy musieli się rozstać. Nie zapominaj, że żyjemy w Rosji. To jest inny świat, zupełnie różny od tego, w którym wyrosłeś. Tutaj co trzecia osoba współpracuje z NKWD ¹²⁾ ochotnik¹³⁾, albo jest do tego zmuszona tak jak ty. W twoim przypadku nie ma nic nadzwyczajnego. To samo dzieje się na każdym kroku. Jednego jestem pewna, długo (z nimi walczyć) ci się nie uda. Walka jest beznadziejna i to z każdego punktu widzenia. Wszystko co możesz zrobić, to zniszczyć sobie życie. Sobie i mnie. Nie przy tym nie wygrujemy.

- Nie wiesz o czym mówisz - powiedziałem. To wcale nie takie proste: robić co każę. Nie byłam w łagrze i nie wiesz co to znaczy. Nie mogę pogodzić się z myślą, że mógłbym stać się narzędziem któryś posługuje się NKWD po to, by wysłać kogoś do obozu.

- Tobie naprawdę się wydaje, że to ma jakieś ^{kolwiele} znaczenie czy napiszesz donos, czy nie? Nie bądź śmieczny. Obozy istnieją dlatego, że muszą istnieć. I muszą się znaleźć ludzie, którzy je zapełnią. Nie przesadzaj znaczenia swoich donosów. NKWD i tak wyśle do nich kogo zechce, niezależnie od tego czy napiszesz donos, czy nie.

Pola była z pewnością zakochana i po kobiecemu bała się, że może mnie utracić. Tłumaczyłem sobie jej słowa jako wyraz uczuć i nie przywiązywałem większego znaczenia do argumentacji. Natomiast osobą z której zdaniem najbardziej się liczyłem, był bez wątpienia Rosen i jego darzyłem największym zaufaniem. Rzadko w tych czasach go widywałem i bardzo mi naszymi rozmów brakowało. Pracował teraz przy budowie jakiegoś lotniska, poza Iwanowem. W jego życiu tak się złożyło, iż w 1940 roku zmuszony był przyjąć paszport sowiecki i jako obywatel ZSSR został skierowany do "stojbatalionów" czyli tzw. "frontu pracy". Jego obywatelstwo było jednak na tyle świeżej daty, że nie powołano go do Armii Czerwonej. Swoim zwyczajem oczywiście, postarał się o pracę w kantynie na tej budowie, co nie było niczym dziwnym, biorąc pod uwagę jego szczególne zalety w tym zakresie. Wiodło mu się nie najgorzej.

tylko, tylko, że mieszkać musiał w barakach. Gdy tylko mógł, przyjeżdżał do Iwanowa. Jego największym marzeniem, podobnie jak i moim było najprędzej jak to możliwe, zostawić wszystko i dołączyć do Wojska Polskiego. Zdawał sobie jednak sprawę, że w jego wypadku, sowiecki paszport może stanowić przeszkodę nie do pokonania. Kiedy zwierzyłem mu się z moich kłopotów, powiedział:

- Twój plan jest bardzo ryzykowny, ale nie ma chyba alternatywy. Jest wojna, Niemcy stoją na linii Wołgi. Każdy miesiąc, każdy tydzień może przynieść najbardziej nieoczekiwane zmiany, których rozwoju dziś nikt nie jest w stanie przewidzieć. Jeśli teraz dasz się zamknąć, możesz przepaść na zawsze. Musisz więc pisać te swoje raporty i starać się jak najszybciej nawiązać kontakt z ambasadą. O mnie możesz napisać co zechcesz, i zanieść to na ul. Karola Marksa, możesz powiedzieć wszystko co wiesz, z wyjątkiem tego o czym mówimy w zaufaniu. Zapoznam cię zresztą jeszcze z innymi uchodźcami i powiem ci, co możesz o nich napisać, żeby nie szkodzić. Będzieś pisał to co i tak wiedzę z przesłuchań tyle, że w zmienionej formie. Na dłuższy czas ten numer nie przejdzie, oni w końcu też nie są idiotami ... No, ale zyskać możesz trochę na czasie.

Po tej rozmowie poczułem się znacznie lepiej. Byłem podniecony na duchu. Wiedziałem, że Rosen szczerze chciał mi pomóc i zdawał sobie sprawę z mojej trudnej sytuacji. Nie mogłem tylko przewidzieć, że nasza przyjeźdź narzązona będzie na dramatyczne komplikacje.

Znowu przyjecha jesień, wczesna i przyniosła nieoczekiwane chłody. Pewnego dnia wstąpiła do nas Nelka oznajmiając, że nie będzie miała gdzie mieszkać, gdyż wkrótce musi opuścić swój pokój. Czuję się wobec niej trochę zobligowany, gdyż to ona właśnie załatwiła mi miejsce na werandzie Pola i je przedyskutowaliśmy tę sprawę i choć woleliśmy być sami, zdecydowaliśmy że ważniemy ją do nas zania znajdzie sobie jakieś lokum. Oddaliśmy jej moje łóżko a ja przeniosłem się do Poli.

Muszę się przyznać, że poczułem się mocno zakłopotany stałą obecnością drugiej kobiety w pokoju, zabrakło mi poczucia intymności. Byłem skrępowany i wobec Poli potrafiłem zachowywać się w sposób naturalny, wyłącznie gdy byliśmy sami. Pola trochę śmiała się ze mnie, ale w gruncie rzeczy - jak sądzę - odpowiadał jej mój sposób zachowania. Zresztą i ona przebywała w ZSSR dopiero od roku i też nie przyzwyczała się jeszcze do praktykowanych obyczajów.

W obozie życie było wprawdzie tak brutalne, że wszelka wrażliwość czy objawy delikatności wydawały się czymś zupełnie na miejscu, jeśli nie wręcz czystą groteską, jednak po kilku miesiącach na wolności, moje dawne pojęcia obyczajowości i zakodowane ograniczenia powróciły. Były ^{jeńskie} ^{nie} ^{na} ^{miejscu} w sowieckim otoczeniu, a moja delikatność wobec dziewcząt okazała się co najmniej zbyt czystym, jeśli nie wręcz przestarzałym prześladem.

W kilka dni potem, po wprowadzeniu się do nas Nelki, przyszedł w odwiedziny jej narzeczony lejtenant i został na noc. Para w łóżku Nelki zachowywała się z całkowitą swobodą i uprawiała miłość w sposób, w jaki zdarza się to ludziom przy zgazonym świetle i zaciągniętych zasłonach, a powtarzało się to dwa, trzy razy w tygodniu. Miłośna para nie przejmowała się tym, że pali się światło a my z Polą np. siedzimy przy stole i pijemy herbatę.

Sytuacja wydała mi się na dłuższą metę trudna do pogodzenia. Pola jednakże przyjmowała to wszystko znacznie bardziej swobodnie. Obie z Nelką nadmiewały się trochę ze mnie, że jestem nadbyt pruderyjnym konserwatystą i ulegam staroświeckim prześladom.

Także i lotnik po przyjacieleku poradził mi, bym jak najprędzej porzucił te burżuazyjne nonsensy i fałszywą skromność: "Nikt w Sowietach nie przywiązuje wagi do takich drobiazgów. Jest to sprawa całkiem naturalna i nie ma się czego wstydić".

Naciskany z trzech stron, stopniowo zacząłem akceptować ich punkt widzenia. Zastanawiałem się jedynie nad tym, jak cienka jest skorupka tego, co przyzwyczailiśmy się nazywać "kulturą" i jak łatwo ją ekruazyć.

- Gdyby wszyscy byli tacy głupi jak ty - powiedziała Melka przy jakiejś okazji - to w Związku Sowieckim w ogóle nie rodziły by się dzieci. Jak ci się zdaje, ilu ludzi ma w dzisiejszych czasach pokój wyłączenie dla siebie? Rozejrzyj się wokoło. W każdym pokoju żyje razem po trzy, cztery rodziny i co? Nikt nikogo się nie wstydzi. A resztę czego tu się wstydzisz? Za dwoje ludzi się kocha.

Wszystko to jednak było drobiazgiem oczywiście w porównaniu z innymi codziennymi, wiecznie obecnymi zmartwieniami. W każdy czwartek musiałem stanąć się na ul. Karola Marksa i dostarczać swój raport, który przygotowywałem według z góry ustalonego planu. Przyjąłem założenie, że żaden z tych raportów w żadnym wypadku nie może nikomu zaszkodzić. Myślałem, że moje doświadczenia łagierne i więzienne, rozmowy tam prowadzone były mi teraz bardzo przydatne. Dawały wiedzę, co może być, a co nie może być naprawdę niebezpieczne dla tych, o których te raporty pisałem. Co więcej, starałem się pisać je w sposób jak najmniej rozgarnięty mając nadzieję, że wśród tysięcy podobnych nie będą zwracały nikzyjej uwagi. Tak długo przynajmniej póki dostarczałem będą je regularnie. Miałem nadzieję resztę, że niczego więcej nikt po mnie nie oczekuje.

Prawdą jest też, że nigdy nie zdarzyło mi się natknąć na coś, co mogło być interpretowane jako szpiegostwo czy działanie na szkodę państwa. Wszystko co miałem do przekazania to treści banalnych rozmów z tym lub owym uchodźcą. Co więcej krąg moich znajomych był bardzo ograniczony, mimo to czułem się fatalnie. Już sama świadomość faktu, że stałem się donosicielem na przekór wszelkim zasadom - była ciągle ^u dokuczliwym dyskenfortem, nie mogłem ani na chwilę przestać o tym myśleć.

Nie zamierzam pisać powieści psychologicznej, proszę jednak każdego uczciwego człowieka, który zania potępi - by spróbował postawić się na moim miejscu i wyobrazić sobie co w takim położeniu można odczuwać.

W materialnym sensie, wiedło mi się teraz nieźle, oczywiście relatywnie nieźle - w porównaniu z otaczającą nędzą powozecznego bytowania. Mieliśmy więcej chleba niż było nam potrzeba, Pola zaś, będąc z układach z kierowniczką kantyny w której pracowała, nie tylko mogła tam ~~jed~~^{jeść}, ale nawet przynosiła obiady dla mnie.

Życie z Nelką i jej narzeczonym na codzień, w dłuższym okresie czasu stało się niemożliwe. Nie tylko z powodu jej przerwanych wszelkich zahamowań seksualnych. Okazało się ~~także~~, że jest niezgodna, kłótniwa, ma agresywny charakter i zawsze potrafi znaleźć coś, o co warto jej i chce się walczyć. W końcu wspólna zamieszkiwanie z nią stało się ciężką, dodatkową udręką. Ponadto oboje postanowiliśmy przeprowadzić się, gdyż Nelka nawet nie chciała słyszeć, że to ona powinna opuścić pokój w którym znalazła się jako gość i to na ograniczony czas.

Wyszukaliśmy sobie pokój na jednej z bocznych uliczek odchodzących od ul. Pogranicznej, w starym drewnianym donku. Wprowadzić nie było w nią bieżącej wody, ubikacja mieściła się na podwórzu, sam zaś pokój był mały i zaniedbany, byliśmy jednak zadowoleni, że znów jesteśmy sami, z dala od wszelkich problemów z Nelką i atmosfery wiecznej hysterii i ekshibicjonizmu.

Właścicielką donku była stara 70-letnia kobieta, która drugi pokój dzieliła ze swą córką. Mąż córki zaginął. Wyszedł z domu jak zwykle do pracy, na dzień przed wybuchem wojny i więcej nie wrócił. Nie mieliśmy pojęcia co się z nim stało i straciły wszelką nadzieję by kiedykolwiek powrócił do domu. Córka nie miała żadnego zajęcia, ale niekończący się strumień męskich odwiedzin najprawdopodobniej stanowił źródło jej utrzymania.

Niemcy stali pod Stalingradem, bieda wśród ludzi narastała gwałtownie, stawała się coraz bardziej widoczna i coraz bardziej dokuczliwa. Dostawy żywności - z wyjątkiem skąpych racji chleba - stały się bardzo nieregularne. Artykuły przemysłowe w ogóle zniknęły. Nie można było ich dostać nawet na targu, bez względu na cenę i na rodzaj zapłaty wymiennej. Przed kioskami z gazetami zaczęły formować się kolejki po

egzemplarz "Prandy" z komunikatami wojennymi, długie jak te, które w locie ustawiały się przed kioskami z napojami chłodzącymi.

Ciągle jednak funkcjonowało kino "Central", cyrk oraz teatr, który reklamował, że prowadzi otwarty bar. Okazało się, że jedyne czym ten bar dysponował były oranżada i czasem, z rzadka piwo. Najczęściej chodziliśmy z Polą do kina. Wyświetlano filmy głównie wojenne oraz komedie jeszcze z okresu przedwojennego. Najbardziej zapamiętałem jednak film pt. "Czekiści" gloryfikujący działalność NKWD w walce z wrogami ludu wszelkiej maści, wyróżniający się wyjątkowo przewrotnym i natrętnym wydziwkiem propagandowym oraz "Więźniowie" - film pokazujący jak kryminaliści, pod wpływem ożywczej reedukacji w obozie pracy, przekształcają się w wartościowych obywateli ZSSR. Jawnie bazeczne kłamstwa tego filmu i hipokryzja propagandy wetrzęnęła mną, chyba jeszcze bardziej niż pobyt w łagrze.

Jedynym prawdziwym relaksem, ucieczką od strachu i opresyjnej codzienności, stały się dla mnie godziny spędzone w pięknym budynku biblioteki miejskiej. Przed wejściem na frontonie witał wchodzącego wykuty w kamieniu cytat z Makyma Borkiego: "Wróg, który się nie podda - musi być zniszczony", na jednej zaś ze ścian korytarza inskrypcja: "Kto nie jest z nami - jest przeciwko nam". Nie potrzeba chyba sni specjalnej przenikliwości, ani szczególnego treningu w logicznym myśleniu, by wyciągnąć jedyny właściwy wniosek: "Kto nie jest z nami - musi być zniszczony".

Moimi lekturami obok gazet i czasopism były głównie dzieła klasyki rosyjskiej i dostępne tłumaczenia literatury światowej. Próbowałem też czytać autorów sowieckich, ale dałem sobie spokój. Fałsz, natrętna propaganda i lizusowskie szulzetwo sowieckiego pisarstwa wobec władzy, irytowały mnie nieponiemiennie.

Bywałem, najczęściej jak tylko mogłem w bibliotece, stopniowo zapoznawalem się z jej personelem, a zwłaszcza z pewną starszą bibliotekarką. Kiedyś opowiadałem jej trochę o sobie, a gdy dowiedziała się, że pochodzę z Warszawy, twarz jej rozjaśniła się na wspomnienie tego miasta.

- Jestem Rosjaną, ^{ale} do czternaastego roku życia i ja mieszkałam w Warszawie - pochwaliła się. Tam spędziłam dzieciństwo ... Co za wspaniałe miasto ... co za wspaniałe życie ... Powtórzyła to jeszcze kilka razy z westchnieniem. Zauważyłem, że u wielu Rosjan, którzy niegdyś przebywali w Polsce ^{że} (zawsze ten okres wspominali z sentymentem i żalem jak raj utracony).

- Mamy tutaj wiele książek z biblioteki warszawskiej, które sprowadzone podczas poprzedniej wojny - dodała po chwili a innym razem, w zaufaniu doradziła mi, bym nie wypożyczał samych tylko książek zagranicznych autorów, ponieważ zwrócić to może uwagę, gdyż listy ^{osyle} (wypożyczających książki są starannie sprawdzane. Od tego czasu ^{niec} (także książki autorów sowieckich, ale rzadko udawało mi się przeczytać je do końca.

Kiedyś, podczas pobytu w bibliotece przeczytałem w "Prawdzie" podsunowienie przemówienia prezydenta Roosevelta o czterech wolnościach: wolności wyrażania poglądów, wolności pracy, wolności poruszania się i wolności od strachu. Uderzyła mnie prostota i genialność tych sformułowań, które w kilku słowach ogarnęły wszystko to, co życiu nadaje wartość - a czego w Sowietach nie dopatrzy się szukając nawet ze świecą.

Czas mijał, ciągle nie dostawałem żadnej odpowiedzi z ambasady w Kujbyszewie i ciągle czekałem na polski paszport. Po dwóch miesiącach poszedłem ponownie do biura meldunkowego dla cudzoziemców i otrzymałem identyczną jak poprzednio odpowiedź, że paszport może mi wydać tylko polska ambasada. Nie pozostawało mi nic innego, jak napisać kolejny list. Tym razem mniej więcej po dwóch tygodniach otrzymałem potwierdzenie odbioru listu otemplowane pieczęcią z kacińskimi literami: "Poeste Internationale - Kujbyszew".

A więc jednak. List tym razem doszedł. Ale co dalej? Znowu znalazłem się między nadzieją a zwątpieniem. Rosjan jednak podtrzymywał mnie na duchu i dodawał odwagi:

- Widzisz, dałem ci dobrą radę. Powiadał: najważniejsze, za wszelką cenę zachować wolność. Teraz już ambasada wie o tobie. Postarają się ciebie ściągnąć. Z pewnością cała sprawa

stanie się już teraz kwestią kilku tygodni ... Je mne jest znacznie gorzej, przez ten cholerny, sowiecki paszport.

Potwierdzenie odbioru mego listu i ta pieczęć dawały mi większe poczucie pewności siebie w zabawie w kotka i myszkę z NKWD, zabawie^w (której byłem myszką. Piszem więc dalej reporty, w których nie było nic interesującego myśląc jednocześnie o zyskaniu na czasie i w przedświadczeniu, że tylko mój wyjazd z Iwanowa mógłby przerwać koczmarne kontakty z ulicą Karola Marksa ...

x x x

Rozdział XVII
CHLEB I "BLAT"

Im dłużej pracowałem w biurze "Rozgławchleba", tym coraz lepiej poznawałem działanie typowej sowieckiej instytucji przemysłowej, ucząc się jak ona funkcjonuje. Poznawałem także zakłady piekarnicze, z którymi przyszło mi współpracować.

Nasze biuro zatrudniało ponad trzydzieści osób. Kierował nimi naczelnny dyrektor - mianowany na to stanowisko z Moskwy. Z reguły wchodził on w skład miejscowego komitetu partii i ściśle z nim współpracował. Z zawodowego punktu widzenia podlegał on Narkomatowi /Komisariatowi Ludowemu/ - w rzeczywistości jednak pierwazemu sekretarzowi WKP/b/ Iwanowskiej Oblaści. I chociaż władza sekretarza była w praktyce dość ograniczona przez NKWD - to jednak w sowieckiej hierarchii zajmował on pozycję wyjątkową i tak np. sekretarz Oblastnoy Kompartii, nie mógł być aresztowany przez miejscowe NKWD, bez specjalnego zezwolenia Komitetu Centralnego. Tu trzeba odnotować istnienie dwuwładzy na wszelkich szczeblach: "po linii administracyjnej" i "po linii partyjnej" i przebiegała ona we wszystkich instytucjach i ogniwach, dosłownie wszędzie, przy czym "linia partyjna" była jakby ważniejsza od administracyjnej.

Drugą osobą po dyrektorze i zazwyczaj jego tradycyjnym zastępcą był szef działu produkcyjnego, któremu podlegał dział techniczny składający się z następujących osób: inżynier zakładowy /Ja/, inżynier konstruktor, inżynier elektryk oraz technik laboratoryjny - te dwa ostatnie stanowiska zajmowały kobiety, a także główny "normirowszczyk", tj. inżynier planowania i sprawozdawczości. Do jego zadań należało ustalanie planów produkcyjnych, kontrolowanie i ocena ich wykonania oraz sprawy związane z tak zwaną racjonalizacją pracy.

Trzecią osobą w hierarchii jest "gławbuk" - czyli główny bieżący, który był dyrektorem finansowym przedsiębiorstwa i zatrudniał sztab kontyentów, kasjerów i planistów. Do zakresu zadań tego działu należało sporządzenie bilansów rachunkowych: miesięcznego, kwartalnego i najważniejszego ze wszystkich - rocznego. Bilans ten zresztą traktowany był jako najważniejsze wydarzenie we wszystkich instytucjach i przedsiębiorstwach w całym Związku Sowieckim. Moskwa nadawała mu wielkie znaczenie propagandowe a nawet wyznaczała specjalne nagrody za sporządzenie bilansów rocznych przed terminem. Opóźnienia były oczywiście odpowiednio karane.

Najważniejszą jednak pozycję w każdym przedsiębiorstwie czy biurze zajmował tak zwany "specotdieł" - czyli oddział specjalny ściśle związany z NKWD i stanowiący jakby przedłużenie tej organizacji i jej transmisje. Niezależnie jednak od "specotdieła" w każdym pokoju czy pomieszczeniu fabrycznym bez wątpienia działali donosiciele NKWD spośród personelu. Oficjalnym zadaniem "specotdiełu" były wszelkie sprawy osobowe, dyscyplina pracy, przygotowywanie dokumentów podróży dla delegowanych służbowo itd. Był on też odpowiedzialny za przestrzeganie tajemnicy służbowej, za pieczęcie firmowe, które musiały być regularnie rejestrowane w NKWD.

Następnie, dział planowania ekonomicznego współpracujący z działem produkcji i działem księgowości. Do jego zadań należało opracowywanie planów na najbliższą przyszłość: dzień i miesiąc, oraz planów okresowych - kwartał i rok oraz wykazanie ich co najmniej sto procentowej realizacji. Kierował nimi Rogow, ekonomista z uniwersyteckim wykształceniem.

Na koniec wreszcie, dział zaopatrzenia i dział personalny zajmujący się listą obecności, przyjmowaniem do pracy, wydawaniem różnych talonów itp.

Najwyższą instancją dla naszego przedsiębiorstwa był "Narkomat", najniższą 41 piekarń, z których każda również miała swojego dyrektora, szefa produkcji, księgowego, planistę itd.

Prawdziwą zmorem naszej pracy była nieprawdopodobna ilość sprawozdań i opracowań, które należało przesłać po obu "liniach" - partyjnej i administracyjnej. Korespondencja wychodząca podlegała ścisłym regułom, szczególnie jeśli chodzi o terminy. Biorąc zaś pod uwagę bardzo słabo funkcjonującą pocztę zdarzało się, że Moskwa przysyłała żądanie przesłania jakiegoś papierka, które trafiało do nas długo po terminie jaki wyznaczony został na odpowiedź.

Jak pisałem, nasz kombinat kierował pracą 41 piekarń, rozrzuconych po całym obwodzie, nieraz z dala od kolei czy szosy. Inżynierowie czy księgowi w tych zakładach często ledwie potrafili pisać i czytać tak, że opracowywanie planów czy sprawozdań znacznie przekraczało ich możliwości. W rezultacie cała ta pisanina w większości w ogóle zbędna, pogłębiała tylko chaos.

Dodatkowym czynnikiem pogłębiającym bałagan był stały brak ciągłości na poszczególnych stanowiskach pracy, nieustanne zmiany osobowe. Zapewne wynikało to z generalnej tendencji, przetrzucenia odpowiedzialności ze błędów i niepowodzenia systemowe na pojedynczych pracownikach. Żaden jednak pracownik, bez względu na zajmowane stanowisko, nie śmiał nawet poddawać jakiegokolwiek krytyce. ^{ISTOTY SYSTEMU} (Zawsze w każdej sytuacji winna być mogła wyłącznie jednostka.

Podczas mego prawie rocznego zatrudnienia w tym przedsiębiorstwie następujące osoby zostały aresztowane, wyrzucone lub przeniesione na inne stanowisko: dwóch dyrektorów, dwóch szefów produkcji, dwóch głównych księgowych, trzech ekonomistów i niezliczona liczba młodszych pracowników. Zmiany w kierownictwie kombinatu następowały niemal co miesiąc. Moi towarzysze z pracy wspominali, iż przed wojnę zmiany personalne były jeszcze częstsze, teraz brak siły roboczej i zaciąg do wojska znacznie ograniczyły płynność kadr.

Błąd, układy personalne i stała korupcja także grały niepoślednią rolę w tych przetasowaniach. Każdy nowo mienowany dyrektor starał się obsadzić kluczowe stanowiska swymi poplecznikami zarówno w centrali jak i w zakładach, oczekując od nich właściwego rewanżu. Przy ciągłych brakach wszystkiego na rynku i w sklepach był to sposób na zaopatrzenie się

w podstawowe artykuły. I tak jeden poplecznik z zakładu dostarczył opał, drugi przysłał stolarza do naprawy mebli w domu dyrektora itd. Tak więc każdy dyrektor chciał mieć jak najwięcej swoich ludzi. To samo było z szefem produkcji i dalej według drobinki hierarchicznej. Każda piekarnia w Iwanowie przesyłała codziennie po bochenku chleba dla dyrektora i jego zastępców jako tak zwaną próbkę swojej produkcji. *Jednak* w tym samym czasie, na własne oczy widziałem, że pewnego szeregowego pracownika oddano w ręce milicji za próbę kradzieży kawałka chleba wagi może 200 gram.

Pewnego ranka, gdy przyszedłem do biura, zastałem ogromne podniecenie, strach pomieszany z atmosferą plotkarskiej sensacji, przy czym wszyscy starali się pracować szybciej i gorliwiej niż zwykle. Okazało się, że nasz konstruktor 60-letni inżynier Sergiejew nie stawił się do pracy, choć wiadomo skąd było, iż nie jest chory.

Sergiejew odegrał dużą rolę w informowaniu naszej załogi o przebiegu wydarzeń na froncie. Każdy dzień pracy zaczynał się u nas od tego, że Sergiejew podchodził do wielkiej mapy ZSSR wiszącej na ścianie i wpinał szpileczki obrazujące aktualną linię frontu. Był to jego obowiązek partyjny.

Trzeba tu dodać, że przez cały okres trwania wojny nie wolno było posiadać radioodbiorników. Wszystkie aparaty radiowe zostały skonfiskowane albo zabrane przez milicję do depozytu. Za to, w każdym prawie domu zainstalowany był głośnik radiowęzła kontrolowany przez władze i nastawiony wyłącznie na centralną rozgłośnię moskiewską. Sergiejew miał taki głośnik i każdego ranka wsłuchiwał się w komunikaty wojenne "Sowietinformbiura" a następnie przekazywał nam uzyskane w ten sposób informacje w formie wysoce pedantycznej, nie pozwalając sobie nigdy na żaden własny komentarz, wpinając jednocześnie szpileczki w mapę zgodnie z ostatnimi wiadomościami z frontu. W owym czasie, Armia Czerwona na Kaukazie wycofywała się na całej linii codziennie oddając Niemcom jakieś miasto. Tego jednak szczególnego dnia, Armia Czerwona przestała się cofać, o czym wydano specjalny komunikat już po wyjściu Sergiejewa z domu i czego w drodze do pracy nie mógł wiedzieć.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że siedzi w więzieniu w Iwanowie. A kilka miesięcy później jego żona otrzymała list z dalekiej północy, z którego wynikało, że mąż skazany został na dziesięć lat obozu pracy za rozsiwanie antysowieckiej propagandy.

I tak od września 1942 roku do kwietnia 1943 ponad stu pracowników naszego kombinatu zostało aresztowanych z powodów politycznych, za opuszczenie pracy i kradzież chleba.

Wielce męczącym dodatkiem do codziennych udręk były częste mitingi dla personelu zwoływane po godzinach pracy i najczęściej obowiązkowe. Mitingi te były albo zawodowe, albo polityczne. Zwoływano na nie cały personel by podnieść w ten sposób produktywność, apolując do ambicji załogi lub agitując do wzięcia udziału w wyścigu pracy indywidualnym i zbiorowym, między zakładami. Czerwony proporzyczek przodownika. Jako dodatkową zachętę stosowano obietnice kuponów uprawniających do zakupów w "Uniwersum" jakichś atrakcyjnych artykułów, jak np. talerzy, garnków czy ubrania. W praktyce owego okresu, takie masowe zebrania odprawiano raz na tydzień. Prelegentem był nasz dyrektor członek Iwanowskiego Komitetu Kompartii, albo sekretarz komitetu lub zawodowy agitator. Bez względu jednak na osobę prowadzącego, mitingi te stały nieodmiennie na najniższym poziomie. Obok mobilizacji do pracy miały za zadanie pomniejszenie rozmiarów niepowodzeń na froncie, przesadne rozdmuchiwanie sukcesów armii a nade wszystko gloryfikację mądrości i przenikliwości Stalina.

Innym męczącym zjawiskiem tamtych czasów były tak zwane "subotniki" to jest "ochotnicza" praca w dni wolne od pracy. Kiedy tylko była gdzieś potrzebna siła robocza, komitety partyjne wszelkich instancji nakazywały dyrektorom przysłać tylu a tylu ludzi do pracy. Każdy zaś dyrektor był odpowiedzialny za stawiennictwo żądanej liczby osób. System miał dać wrażenie spontanicznego zapału ze strony robotników.

Brałem udział w sześciu "subotnikach". Dwa razy wysłano nas do wydobywania torfu o kilka kilometrów od Iwanowa. Sta-

nowiliśmy komiczny obrazek. Nasz biurowy kontygent siły roboczej składał się głównie ze starych kobiet, męzczyzn chorych i niesprawnych, nie mających przeważnie zielonego pojęcia o pracy fizycznej. Nie było oczywiście żadnego instruktora, pracami kierował dyrektor kombinatu ościęcia, który na torfoniaku znalazł się bez wątpienia po raz pierwszy w życiu. Pracowaliśmy w grupach po 20-30 osób i spędziliśmy prawie cały dzień w wodzie po kolana. Praktyczny rezultat naszej pracy był prawie żaden. Ludzie jednak odpowiedzieli spontanicznie na apel partii i to chyba było najważniejsze.

Któż zresztą ośmielił by się poddać w wątpliwość zarządzenia władz partyjnych i powiedzieć, że "subotniki" dla gospodarki są bez znaczenia? Przeciwnie - do Moskwy wysyłano długie raporty pełne cyfr wyrażających powszechny entuzjazm do pracy: "w takim to a takim okresie nasz komitet partii zaaranżował tyle a tyle subotników, w których spontanicznie i z entuzjazmem wzięło ileś tam tysięcy ochotników, ^{której} ~~w~~ (wyprodukowali jakąś tam ilość tysięcy czegoś". Dyrektorzy wysyłali takie raporty do "Narkomatu" i do partii. Widziałem je na własne oczy i od tej pory nauczyłem się z wielką rezerwą odnosić się do wszelkich sowieckich danych statystycznych.

W tym miejscu konieczną jest pamiątka: zgodnie z dekretem Najwyższego Sowietu z 1940 roku o zaostrzonej dyscyplinie pracy, za spóźnienie się do pracy powyżej 20 minut grozi kara aresztu. I tak na przykład robotnik, który rozpoczynał pracę o szóstej rano, zimą, musiał wstać o czwartej żeby napalić w piecu, coś zjeść i pokonać dystans między domem a miejscem pracy. Bardzo rzadko miał w domu budzik. Często bywało, że budzika w ogóle nie było w całej kamienicy. Dwa czy trzy zegary uliczne były zazwyczaj poparte, radio zaś rozpoczynało nadawanie programów o szóstej rano. Problemy transportu również były bardzo ekomplikowane. Praktycznie wszystkie samochody zabrane zostały do armii.

U nas, na przykład na dziesięć piekarni w Iwanowie mieliśmy cztery ciężarówki, z których dwie albo trzy stały zawsze z powodu braku części zamiennych. Utrudniało to nie tylko dostarczenie upieczonego chleba do sklepów, jak również zaopatrzenie piekarni w opał z pobliskich lasów. Po ulicach

krążyło wiele nowych, amerykańskich wozów, te jednak należały do wojska.

(Musieliśmy sobie w tym stanie rzeczy) jakoś radzić, więc też coraz powszechniejszy stał się widok ludzi zaprzęzonych do wozów i ciągnących chleb z piekarni do punktów rozdziału. Nie byli to bynajmniej młodzi i zdrowi mężczyźni, gdyż tacy służyli w wojsku, ale ludzie starzy, inwalidzi i ci których nie wzięto do wojska ze względu na kondycję fizyczną. Działo się bowiem tak dlatego, ponieważ brakowało koni a przede wszystkim paszy dla nich. Mieliśmy w kombinacie kilka koni i zawsze były z nimi jakieś kłopoty. Piekarnia nr 1 kupiła konia w kolchozie po drugiej stronie Wołgi, wysłano więc tam woźnicę by go sprowadził. Kiedy przeprawiali się przez rzekę, koń czegoś się przestraszył, wpadł do wody i utonął. Woźnicę aresztowano za zaniedbanie obowiązków służbowych. Inną ofiarą koni stał się dyrektor dużej zmechanizowanej piekarni. Skończyło mu się pasze, wysyłał wiele prób i podań o jej przydział, ale bez rezultatu. Konie stały wygłodniałe, skóra i kości, żal było patrzeć. Dyrektor, członek partii zresztą, pokazywał je wszystkim co ważniejszym osobom, pokazał je nawet i mnie, ale paszy nie dostał.

W każdej piekarni jest pewna ilość mąki, która nie nadaje się do wypieku chleba. Mąka ta poszukiwana jest przez kolchozy do tuczenia świń, mogła być też w ostateczności użyta do karmienia koni lub na wymianę za paszę, ale nie wolno było jej ruszyć bez zezwolenia. Intencją tego zarządzenia był - jak sądzę - zamiar ponownego przesłania mąki do młynów dla przeróbki.

Dyrektor nie miał jednak innego wyjścia i wymienił z kolchozem mąkę na paszę dla koni, inaczej (po prostu) by padły. W kilka dni później stanął przed sądem. Bronił się twierdząc, że nie miał innej możliwości. Odpowiedzialny był bowiem nie tylko za konie, ale również za transport chleba na wyznaczone punkty. Skazano go na pięć lat z artykułu 107 i 111 za "niszczenie zasobów naturalnych".

Powszechne złodziejstwo w ZSSR było problemem samym w sobie. Ludzie uciekali się do najbardziej fantastycznych sposobów, by choć trochę ulżyć swojej doli. Chcąc zapobiec

tym kradzieżom władze rozbudowały cały system przepustek i straży. Ale i strażnicy także głodowali, więc można było ich przekupić. Kiedy okazało się, iż nie można wynieść gotowego chleba, zaczęto wnosić mąkę w kieszeniach ubrań. Kobiety z piekarni nr 2 zawijały surowe ciasto w gazę a następnie owijały się wokół ciała tym ciastem. Sposób ten długo nie był wykryty aż ktoś doniósł i wszystkie kobiety zostały złapane. Mechanicy z piekarni nr 4 kroili chleb w wąskie paski i wynosili je za cholewami butów. Poli przyjaciółka zaś, opowiadała nam o różnych zabawnych i pomysłowych sposobach wynoszenia prędy i fragmentów ubrań. Walka z kradzieżami doprowadziła do tego, że w samym tylko Iwanowie aresztowano ponad setkę osób, aż w końcu i w więzieniach zabrakło miejsca. I tak, pewien pächanik z piekarni nr 3 skazany na osiemnaście miesięcy aresztu, zaraz po wyroku został wypuszczony z powodu braku miejsca. Miał zgłosić się do więzienia sam, kiedy zrobi się tam trochę luźniej.

Z kilkoma kolegami w pracy zaprzyjaźniłem się na tyle, że mogliśmy otwarcie porozmawiać o różnych sprawach. Szczególnie lubiłem rozmowy z Mikołajem Iwanowiczem Rogowem - szefem działu planowania, człowiekiem bardzo inteligentnym i wykształconym. Często prosił mnie, bym zostawał po pracy i pomagał mu w różnych zajęciach. Istotnie, miał ich co niemiara a najgorzej, że były to zajęcia w większości niepotrzebne. Codziennie przychodziły z Moskwy całe paki najróżniejszych regulaminów i instrukcji regulujących postępowanie w najdrobniejszych sprawach, jakie w Polsce każdy pracownik załatwia samodzielnie i od ręki.

Rogow był już starszym panem i chętnie wspominał młode lata, które upływały mu na studiach uniwersyteckich w Sankt Petersburgu. Siedział za biurkiem zawsze zavalonym papierami i niekiedy odsuwał się od niego z krzesłem, skręcał dla mnie i dla siebie papierosa i zaczynał rozmowę, a właściwie monolog, którego jedynym słuchaczem byłem ja. Należał do tego typu starej rosyjskiej inteligencji - dziś już prawie nieistnie-

jącej, który lubuje się w filozofowaniu i wszelkiego rodzaju generalizacjach. A z pewnością też potrzebował dać ujście temu wszystkiemu co w nim kipiło.

- My Rosjanie kochamy abstrakcje bardziej niż realnie istniejącą rzeczywistość. - Powiadał: "jeśli napisane jest coś na papierze, co nie odpowiada rzeczywistości, to cierpi na tym rzeczywistość. A obecny system doprowadza jedynie do absurdu to coś, co zawsze istniało w duszy Rosjan".

- Czy pan się nie myli? - zaprotestowałem. Ja uważam, że to co mnie otacza jest najdalej idącą formą realizmu.

- Realizm? Alez skąd? Jest to doktryna uwikłana w ciągłą walkę z rzeczywistością, polegająca jedynie na tym by właśnie rzeczywistość dopasować do doktryny w którą się wierzy. Kto ma uszy i oczy otwarte, rychło zda sobie sprawę, jak dalece bez znaczenia jest to co realne, wobec tego co pisane. To co pisane żyje własnym życiem, rządzi się własnymi prawami, niezależnie od faktów. I tak się rzeczy mają. Ale władze centralne nie chcą tego wiedzieć i wolą życie dopasowywać do obrazu, jaki jest opisany a nie odwrotnie. Chcą przykryć rzeczywistość czepkiem bez pokrycia. Wszystkie kontrole i stały nadzór prowadzą tylko do powiększenia strat ponieważ wynajdują jedynie błędy, brakeróbstwo, nadużycia i beztrooskę, produkując tym wyłącznie kozły ofiarne.

- To musi^{więc} być spora armia tych kozłów ofiarnych.

- Tak. Niestety, tak jest. Szczególnie wśród partyjnych. W naszym kombinacie, w ciągu ostatnich trzech miesięcy, aresztowano dziesięciu szeregowych pracowników za drobne pomyłki i niedopatrzania w pracy. Stały system nadzoru jest tak ustawiony, że w praktyce każda instancja kontrolna może w każdej chwili postawić w stan oskarżenia każdego pracownika, nie wyłączając dyrektora i osądzić go przy użyciu najbardziej surowych praw - a wszystko to zgodnie z obowiązującymi instrukcjami i przy zachowaniu wszelkich formalności.

- Trudno sobie wyobrazić jak można efektywnie pracować w atmosferze ciągłej niepewności. Sądziłem, że surowa dyscyplina pracy i ciągłe kontrole, są wynikiem wojny ...

- Wojna jedynie pogorszyła sytuację jaka istniała i poprzednio. Jak wtedy, tak i teraz pracujemy pod stałą presją.

Bez poczucia pewności, spokoju i zaufania, które są niezbędne by dobrze wykonywać pracę. U nas każdy myśli tylko o tym jak się wybronić przed ewentualnym oskarżeniem a nie o skutkach tego co robi. Zaś dyscyplina pracy doprowadzona jest do absurdu.

- Jak wobec tego radzą sobie ci, którzy chcą porządnie pracować?

- Tacy ludzie starają się znaleźć złoty środek pomiędzy instrukcjami i doktryną z jednej strony a rzeczywistością z drugiej. Starają się pracować tak wydajnie, jak mogą na przekór kłodom rzucanym im pod nogi przez system.

- W takim razie ich wysiłek idzie na marne ...

- Rzeczywiście umiejętności pracownika i jego wydajność rzadko mają jakieś znaczenie. Nikt spoza sterty papierów nie zauważy ich kwalifikacji. Innymi słowy dobry, doświadczony urzędnik spędza lata, nad robotą nie wartą ani kopiejki - tak długo, aż pozbawi go to zdolności samodzielnego myślenia.

Rogow starał mi się wytłumaczyć również przyczyny, dla których ilość jego pracy nieustannie wzrasta. Najwidoczniej odczuwał potrzebę przedstawienia komuś beznadziejności swojej sytuacji. Przygniatała go napływająca lawina papierów. Składały się na nią plany miesięczne, kwartalne i roczne, sprawozdania z wykonania tych planów i założenia planów na następne okresy. A wszystko to, na podstawie takich samych planów i sprawozdań ze wszystkich piekerń. W dodatku mnóstwo najprzeróżniejszych formularzy i kwestionariuszy napływających z "Narkomatu" z Moskwy i z działu planowania iwanowskiej obłasti a wreszcie prawie identyczna praca i korespondencja dla różnych instancji partyjnych.

- Każdy papioerek z Moskwy, jest święty. Należy udzielić nań odpowiedzi w przepisowym terminie, nawet jeśli taka odpowiedź została już poprzednio wysłana w innym kontekście. Nic, co z Moskwy, nie może być poddane krytyce w żadnej formie. A najgorsze, że nic z tego nie wynika ...

- Jak to nic nie wynika?

- Bo całe to planowanie bierze się z powietrza, a czym bliżej Gosplanu tym większy panuje bałagan. Jestem starym, doświadczonym planistą i wiem co mówię.

- Z tego co widzę, wydaje mi się, że pańska praca wykonywana jest z całą znajomością rzeczy, a plany sporządzane są w oparciu o prawdziwe dane.

- To wygląda dobrze tylko na papierze. Ale cała moja robota opiera się na sprawozdawczości a nasza sprawozdawczość daleko odbiega od rzeczywistości. Dla nas zaś, znacznie ważniejsze jest ratowanie własnej skóry niż troska o to czy sprawozdania są rzetelne i akuradne.

Nie pamiętam już wszystkich szczegółów tej rozmowy, czy odbyła się ona właśnie wtedy, czy kiedyś indziej. Takich rozmów było bardzo wiele. Rogow lubił rozmawiać. Doskonale pamiętam natomiast jej treść. Brzmiała ona mniej więcej tak: każdy planista opracowujący sprawozdanie z wykonania planu musi pamiętać, że ma on być w stu procentach wykonany. Jeśli nie, spowoduje to śledztwo i przesłuchania a także nieobliczalne konsekwencje. Tak więc, mimo że prawdziwa liczba są z reguły niższe niż te wykazywane w sprawozdaniach o 10-20 procent, ten kto sporządza sprawozdanie naciąga je trochę, by rezultat wyniósł o jeden procent więcej niż planowane. Jest to zawsze możliwe, tak jak zawsze możliwa jest kradzież bochenka chleba z piekarni mimo najściślejszej kontroli. Po to jest błąd i wspólna odpowiedzialność.

Ludzie sporządzający raporty o wykonaniu planów w piekarniach przesyłają je Rogowowi już podkolorowane. Na podstawie tych mocno wątpliwych danych, Rogow z kolei przygotowuje swój raport, także przesadzając, by osiągnąć ^(magicznie) ostatecznie jeden procent wykonania planu. Jest on przy tym przekonany, że to samo dzieje się w instancji wyższego szczebla. Tak więc od najniższego ogniw do najwyższego różnica między wartością wykonaną realnie a wartością statystyczną, na każdym szczeblu staje się coraz większa. Fakt ten, ma wielkie znaczenie dla całego Związku Sowieckiego, gdyż przyszłe plany na następny rok przygotowywane są na podstawie rocznych wyników. W ten sposób całe planowanie staje się jedną wielką fikcją!

- Im naprawdę się wydaje, że jeśli wszyscy pracują pod stałą groźbą aresztowania, która wisí nad głową jak miecz Damoklesa, to nikt nie popełni żadnego błędu ani omyłki. W tej Moskwie nie mają najmniejszego pojęcia nad czym pracują.

co istnieje tylko na papierze, a co w rzeczywistości. I tak to idzie. Nierealne plany gonią nierealne statystyki, te zaś prowadzą do następnych nierealnych planów i tak wkoło. Zawsze wszystko co najmniej w stu jeden procentach. Ale nie może trwać w nieskończoność. Wez wcześniej czy później różnica między teorią a rzeczywistością staje się tak wielka, że nie da się jej ukryć. Wszystko wtedy wali się z trzaaskiem, zaczynają się przesłuchania i śledztwa. Dyrektor i większość kierownictwa idzie do więzienia. Na ich miejsce przychodzą następni ludzie, ale i oni nie mają szansy, więc wszystko zaczyna się od nowa. Można powiedzieć, że każda sowiecka instytucja ma swój własny rytm, kończący się generalną katastrofą - czyli wykryciem "nieprawidłowości" i "zaniedbań". A nie są to żadne "zaniedbania" ale ekonomiczne konsekwencje niedoskonałości natury ludzkiej.

Nasz "główny" czyli główny księgowy - Szyzkin, bardzo mnie polubił, a że miałem z nim częste kontakty, zawsze zatrzymywał mnie na parę chwil rozmowy. Był to pan znacznie starszy ode mnie i pochodził z Omska. Często potrzebowałem jego decyzji w różnych drobnych sprawach i z przyzwyczajenia zadawałem się jego, usnymi poleceniami.

- Antoni Stiepanowiczu, uwierzcie staremu człowiekowi - "wszystko na piśmie" - pouczał mnie w takich wypadkach. Na każdą decyzję musicie mieć podkładkę na papierze. Jak się coś zdarzy, zawsze szuka się winnego. I z reguły winien jest ten kto nie ma "podkładki" na piśmie, która świadczyłaby o jego niewinności. Wy nie byliście tu w 1937 roku, to nie nie rozumiecie ...

- Słyszałem wiele w obozie.

- Tak wszyscy o tym słyszeli. Może nawet w całej Europie. Ale w tamtym 1937 roku połowa personelu naszego kombinatu została aresztowana. Wiele osób w mieście zachorowało wtedy na skutek zatrucia. Przesłano ekspertów z Moskwy, a ci wykazali, że przyczyną zatrucia był chleb. Dyrektor naszego kombinatu oraz wielu wyższych urzędników i specjalistów zostało

rozetrzelanych. Reszta dostała wyroki od dziesięciu lat wzywz. Tego nie da się zapomnieć. Mną aresztowanie ominęło o włos i dlatego teraz nic nie robię bez podkładki.

- Teraz ~~spoma~~ chyba się ^{już} takie rzeczy nie zdarzają?

- Zawsze wszystko może się zdarzyć, jeśli się nie jest dosyć ostrożnym. Po co ja i wielu innych, ciągle wzywani jesteśmy do NKWD. Przecież oni bez przerwy zbierają informacje o wszystkich, nie wyłączając nawet dyrektora, mimo że jest on członkiem komitetu obłasti. Ci amatorzy z NKWD, to są idioci. Oni zupełnie nie znają innych motywów ludzkiego działania jak sabotaż i kontrrewolucja. Nie chcą wiedzieć, że są trudności techniczne, że maszyny się psują, i że brakuje części zamiennych. Cały ich wysiłek kieruje się na to, żeby wyszukać winnego i posłać go do łagru. I wydaje im się, że rozwiązują w ten sposób wszystkie problemy ...

Najbliższa przyszłość miała pokazać, że Szyszkin nic a nic nie przesadził.

Nasze zakłady nr 10 największe i najnowocześniejsze ze wszystkich w całej obłasti, zbudowane były na krótko przed wojną i całkowicie zmechanizowane. Obok wielkiej piekarni zakład posiadał największą linię produkcyjną sucharów. Te zaś w wielkich ilościach wytwarzano na potrzeby wojska i była to część produkcji specjalnie ważna, znajdująca się pod specjalnym nadzorem. Chociaż linia produkcji sucharów była nowoczesna i specjalnie zaprojektowana - a może właśnie dlatego - psuła się często a z urządzeniem termoregulacyjnym były nieustanne trudności. W rezultacie suchary albo się przypalały, lub były niedosuszone we właściwym czasie i trzeba je było suszyć dłużej niż przewidywała norma, co zwalniało proces produkcji i wpływało opóźniająco na wykonanie planu.

Inżynier produkcyjny w tych zakładach o nazwisku Lewin, robił co mógł by opanować sytuację. Brak części zamiennych, materiałów i wykwalifikowanego personelu, i choć pracował całymi dniami a nieraz po kilka dni z rzędu nie wracał do domu - nie wiele mógł zdziałać.

Pewnego dnia Pochaczewskij - mój szef wezwał mnie i powiedział:

- Antoni Stiepanowiczu, Lewin jest aresztowany. Ciąg sucharów stoi, pękło urządzenie łańcuchowe. Zbierzcie najlepszych mechaników ze wszystkich zakładów i spróbujcie to uruchomić jak najszybciej. Nie wyjdziecie z zakładu dopóki linia nie ruszy.

Lewin został skazany na dziesięć lat z artykułu 58.14. za "sabotaż".

W parę tygodni później Wołodia - mechanik, który mieszkał w tym samym domu do Lewin, powiedział mi, że rodzina Lewina, żona i trójka dzieci zostały wysiedlone.

Kiedyś wieczorem, już po godzinach pracy wstąpiłem do pokoju Rogowa i zastałem go pogrążonego w lekturze. Kiedy wszedłem, podniósł głowę z nad książki i wydał mi się jakby zakłopotany:

- Muszę wam coś powiedzieć ... Będę niedługo kandydował do partii. Przygotowuję się teraz ideologicznie. Muszę umieć odpowiadać na pytania dotyczące zagadnień partyjnych. Pewnie wyda wam się to dziwne po tym, o czym rozmawialiśmy, ale co robić? Zajmuję pewne stanowisko, mam pozycję. Gdybym odmówił, automatycznie zaczęto by mnie traktować jak dysydenta. Może podjąłbym takie ryzyko, gdybym był człowiekiem samotnym. Ale mam żonę, dwoje dzieci, starą matkę a w dodatku muszę jeszcze pomagać siostrze, która ma też troje dzieci i została sama, bo jej mąż zginął na wojnie. Siedem osób zależnych ode mnie. Gdyby coś się ze mną stało, zginęliby z głodu. Rozumie pan moje problemy?

- Rozumiem - powiedziałem: "są sytuacja z których nie ma innego wyjścia. Wszystko co można zrobić, to pogodzić się z tym co nieuniknione". Pomyślałem o swojej sytuacji i moich uwikłaniach z NKWD.

x x x

Rozdział XVIII
ZLECENIE OD NAWD

Jesienią 1942 roku, stosunki Polsko-Sowieckie, których nigdy nie można było określać jako dobre, pomimo istnienia paktu Sikorski-Stalin, znalazły się teraz w takim punkcie, że znowu było o nich słychać. O co w istocie chodziło ani prasa ani radio nie podawały. Nagłaśniały jedynie atak Wyczyńskiego na polski rząd w Londynie. Ton tych ataków wskazywał, że stosunki międzypaństwowe uległy zamrożeniu. W tym samym czasie zaczęły do Iwanowa napływać z Taszkientu transporty obywateli polskich, głównie Żydów. Od nich dowiedziałem się, że Wojsko Polskie generała Andersa opuściło ZSSR i przeszło do Iranu. Dowiedziałem się także, że władze sowieckie zaostrzyły kurs wobec Polaków, z których większość wcielono do strajbatalionów i wysłano tysiące kilometrów od ich rodzin.

Zdałem sobie sprawę, że nadzieje na odpowiedź z ambasady w Kujbyszewie, a tym bardziej na uzyskanie polskiego paszportu w nowej sytuacji topnieją jak wiosenny śnieg. Rosen, ja i jeszcze kilku innych, instynktownie zaczęliśmy odczuwać zbliżające się niebezpieczeństwo. Najlepszym, jeśli nie jedynym rozwiązaniem byłby oczywiście wyjazd z Iwanowa i to jak najszybciej. Ale jak? Ciągłe jeszcze nie widząc żadnych ścieżek możliwości, mogliśmy liczyć wyłącznie na pomoc naszej ambasady, bo na kogo więcej? Rosen wpadł na pomysł, żeby kogoś do Kujbyszewa wysłać, skoro widocznym się stało, że nasze listy niedochodzą. Wydawało się nam, że najodpowiedniejszym wysłannikiem będzie jakaś kobieta, gdyż kobiety nie podlegały służbie wojskowej i łatwiej im było otrzymać przepustkę na wyjazd z miasta. Zналиśmy tylko jedną taką osobę - Genię Pęczynę, dziewczynę pochodzącą z Łodzi, która wprawdzie przed wojną była komunistką i członkiem KPP, lecz pobyt w Rosji wyleczył

je całkowicie z komunizmu. Zresztą nie znaleźmy nikogo innego bardziej odpowiedzialnego od niej.

Powiedziałem Rosenowi, że wolałbym nie uczestniczyć w realizacji tych projektów ze względu na moje cotygodniowe kontakty z NKWD. Chciałem znać jak najwięcej szczegółów tych przygotowań jako, iż istniało niebezpieczeństwo, że mógłbym się wygadać. Czułem zresztą, że gdybym był torturowany - a i tego nie można było wykluczyć - mógłbym się załamać. Poprosiłem więc, by sami opracowali plan a mnie informowali wyłącznie o tym co niezbędne.

Genia Pęczyna była młodą, zdrową dziewczyną. mieszkała wraz z uchodźcą polskim Spychajem i jego żoną Maliną. Z całej trójki najbardziej interesującą postacią był sam Broniek Spychaj. Znałem go dotąd niewiele, zaciekał mnie jego swoją inteligencją i otwartością poglądów, choć rzadko w jakiejś sprawie mieliśmy jednakowe zdanie, zwłaszcza w ocenach politycznych. Broniek przesiedział osiem lat w więzieniach w Polsce za komunizm, tam nabawił się gruźlicy kregosłupa i do tej pory chodził w gorscie. Został zwolniony przedterminowo i skierowano go na leczenie do Otwocka, gdzie Malina pracowała jako pielęgniarka. Kiedy wybuchła wojna a Niemcy zbliżali się do Warszawy, Spychaj z żoną wyjechali na Wschód. Inwazja bolszewicka ogarnęła ich w Chełmie, gdzie zrobiono go naczelnikiem więzienia. Trwało to krótko, gdyż w wyniku ustalenia linii demarkacyjnej, na nowo Chełm znalazł się po stronie niemieckiej. Przyjechali wtedy do Rosji i osiedlili się w Iwanowie. Tu Spychaj stał się szybko działaczem politycznym i nawiązał kontakty z Kominternem, a jako inwalida znalazł się pod opieką MOPR-u. Korzystał z najlepszej kantyny zarezerwowanej dla wysokich urzędników partyjnych, naukowców, aktywistów itd. jak również ze specjalnego zaopatrzenia, w skład którego wchodziły tak rzadko spotykane dobra jak wódka, wysokogatunkowe papierosy a nawet czekolada.

Podczas następnego spotkania Rosen powiedział mi, że Genia przygotowuje się do podróży do Kujbyszewa, zaś jemu samemu udało się zwolnić ze strajbatelionów i powrócił już do dawnej pracy jako magazynier. Mogłem go teraz widywać znowu nie częściej.

Któregoś dnia zostałem go jednak w podłym nastroju, choć zazwyczaj kipiał optymizmem, energią i nowymi pomysłami.

- Zła jest Antoni - powiedział ^{by wstąpił!} zrobili remanent w moim magazynie i odkryli brak trzech ton kapusty. Dają ci słowo, że nie ma z tym nic wspólnego, ale czuję, że dyrektor i strażnik chcą zważyć ^{WSZYSTKO} na mnie. Muszę sprawdzić dokładnie kwity, całą dokumentację przychodową i rozchodową. Inaczej będę miał kłopoty.

Następnego dnia Bobrzyński, krawiec z Łodzi, którego znałem ^{40V} objął zwiadamił mnie, że Rosen został aresztowany.

- Kiedy, gdzie, dlaczego? - wykrzyknąłem.

- Poszedłem do kantyny jak zwykle na obiad i nie zostałem Rosena, zacząłem więc rozpytywać, co się z nim stało. Ktoś powiedział, że rano przyszła milicja i zabrała ze sobą.

- Może jeszcze wróci - pomyślałem. Milicja, to ^{jeszcze} nie jest najgorszej. Prawdopodobnie chodziło rzeczywiście tylko o tę kapustę. Może zabrali go tylko na przesłuchanie. Rosen jednak nie wrócił. Później jego gospodyni powiedziała, że do mieszkania przyszło NKWD, zrobiło rewizję - zabierając wszystkie listy, zapiski i notatki.

Aresztowanie Rosena stało się dla mnie ciężkim ciosem. Mogłem sobie wyobrazić co go czeka. Przypuszczałem, że i ja znajduję się pod obserwacją, mimo to chciałem mu podać chociaż paczkę do więzienia. Nie udało mi się jednak ustalić, gdzie go przetrzymuje.

To, że Rosena aresztowała milicja a nie NKWD nie musiało naprawdę nic znaczyć, mogło chodzić o zmylenie jego przyjaciół. I nie musiałem długo czekać na wyjaśnienie. Wkrótce Dobe rzyński i dwóch Polaków z Iwanowa również zostało aresztowanych. A więc nasze próby skontaktowania się z ambasadą bez wątpienia zostały wykryte. Oczywiście nasza ambasada była nadal oficjalnym przedstawicielstwem kraju, z którym ZSSR podpisywał układy. Ale co z tego?

Poczułem, że moje wolność wisi teraz na włosku. Wszystko miało zależeć od tego czy Rosen ugnie się pod presję, czy nie. Był on jedyną osobą, która wiedziała, że jestem zamierzony w te plany. Próbowałem wy badać, czy Gienia wie coś na ten

temat i wydawało mi się, że nie wie nic. Niczym też nie zdramatyzowała się, że w ogóle coś wie.

Gdy w trzy tygodnie po tych wypadkach otworzyłem drzwi pokoju przy ul. Karola Marksa 22 i zobaczyłem obok Nikonowa także Sziszkowa - pomyślałem, że nadchodzi już kres mojej tak zwanej wolności.

Sziszkow od razu zaczął od krzyku:

- Jak długo jeszcze mamy tracić na was czas. Te raporty są nie nie warte, szkoda nawet papieru na którym je piszecie. To są śmieci. Można się nimi podetrzeć. Zmarnowaliśmy na was sześć miesięcy, dwa razy powinniśmy was zamknąć. Ale jak nie chcecie dla nas pracować to będziecie w kryminale wychodki czyścić. Mam dosyć tych głupot ... i dalej w tym stylu, aż wrzecie: "dejemy ci ostatnią szansę, jeśli ją zmarnujesz, będziecie sam sobie winni".

Nikonow nie odzywał się, a ja mimo całego strachu i zdenerwowania odetchnąłem z ulgą. Sziszkow nie wspomniał o Rosenie. A więc nie wiedział nic.

- Pojedźcie do Kinaszwy na specjalne zadanie - Sziszkow zmienił ton. Mieszka tam z żoną człowiek o nazwisku Czepak. Bardzo nas interesuje jego działalność. Zbierzcie dokładne informacje i złożycie nam szczegółowy raport.

- Jak mogę wyjechać? - odruchowo próbowałem oponować. Jak wytłumaczę nieobecność w pracy? Jak mam poznać tego Czepakiego?

- To wasza sprawa - oznajmił Sziszkow tonem nieznośnym sprzeciwu. Oficjalnie NKWD nie może być w to zamieszane. Jedyne informacje, jaką mogę wam udzielić to, że Czepak pracuje w tartaku. Tu macie adres tartaku i podałem mi kartkę papieru. Sprawa jest pilna. Załatwcie w pracy tak, aby wyjechać jak najszybciej. A teraz ... uchadij.

Trudno mi opisać reakcję na tę rozmowę. Pierwszą myślą było oczywiście odnowić sprzeciw w żadnym wypadku nie mogłem wydać rodzaka w łapy NKWD - wiedziałem to napewno. Z drugiej strony wróciły mi w pamięć wszystkie okropności jakie prze-

żyłem w żaglach i więzieniach przez które przezeźdłem. Wrócił strach.

Przez całą noc nie mogłem zmruczyć oka. Od czasu aresztowania Rosena nie znalazłem nikogo, komu mógłbym się zwierzyć, komu mógłbym zaufać albo zasięgnąć rady. Musiałem ten problem rozwiązać sam. Zdecydowałem w końcu, że jednak pojedę. Odnajdę Czapskiego i dopiero później zdecyduję co zrobić. Iść na ochotnika do więzienia, zawsze zdęzę.

Pola wyczuła, czy też dostrzegła moje zdenerwowanie, ale nie chciałem jej wtajemniczać w tę sprawę. Najtrudniejsza teraz wydawała mi się strona techniczna tego wyjazdu. Podróż bez przepustki i odpowiednich dokumentów była niemożliwa nawet w obrębie tej samej obłasti. Kineszma jest bowiem jednym z większych miast w okręgu iwanowskim. Nasz kombinat miał tam jeden duży zakład mechaniczny i kilka małych piekarni. Ale jaki wymyślić powód wyjazdu, odpowiednio przekonujący dla biura.

Wieczorem, kiedy już wszyscy rozeszli się do domów i zostałem sam na sam z moim szefem, opowiedziałem mu całą historię i poprosiłem by pomógł w uzyskaniu odpowiednich zezwoleń. Puchaczewskij nie wydał się ani zdziwiony, ani zaskoczony.

- Zorganizowanie wyjazdu do Kineszmy, to mały detal. Dostaniecie delegację służbową na moje polecenie. Dam wam parę technicznych zleceń do wykonania. Będziecie mieli potrzebny czas.

Wyjechałem pod koniec grudnia. Poza ważnym biletem kolejowym, podróżny, aby uniknąć wyrzucenia z pociągu musi być jeszcze zaopatrzonej w "komandirówkę" czyli delegację służbową oraz "sprawkę", tzn. zaświadczenie o przebytych odszyceniach. Dopiero wtedy może jechać.

Pokonanie dystansu 90 kilometrów z Iwanowa do Kineszmy zajęło mi siedem godzin. Pociąg był niemiłosiernie zatłoczony i bardzo brudny, pasażerowie z koszami kartofli, kapusty i innych wiktuałów z tobozami najdziwniejszych przedmiotów, które na wai mogły być wymienione na żywność, tłoczyli się i przekrzykiwali. Prawie na każdej stacji kontrola, każdy kto nie miał odpowiedniego kompletu zaświadczeń, zabierany był

przez milicję. Prawie na każdej też stacji, do pociągu wsiadły młode 16-17-letnie dziewczyny wiejskie powołane przez "front pracy" do fabryk, na miejsce zabranych do wojska robotników. Wiele z nich wyjeżdżało z rodzinnego domu po raz pierwszy w życiu. Jedną z takich dziewcząt, która trafiła do naszego przedziału powiedziała, że wysłano ją do zakładów metalurgicznych gdzieś za Uralem.

W Kinesznie nie było hotelu, ale dzięki delegacji służbowej mogłem zatrzymać się w "Domu Kołchoźnika". To, co się kryło pod tą dumną nazwą, składało się z kilku obazernych pokoi a raczej sal, zastawionych rzędami ciasno jedno przy drugim łóżek, zesłanych brudną pościelą - bez wątpienia od miesiący nie zmienianą. Większości gości to nie przeszkadzało, walili się na nich nie tylko w ubraniach, ale i w butach. Plucie na podłogę wydawało się tu regułą zachowań, a i pewno odgłosy wydawane były bez skrępowania, choć przecież nie był to obóz. Wśród gości było paru kołchoźników, większość jednak stanowili przejezdni na delegacjach.

Rano rozejrzałem się po mieście. Było bardzo podobne i w tym samym stylu co Iwanowo tyle, że na dużo mniejszą skalę i chyba znacznie ładniejsze. Może dlatego, że było tu mniej modernistycznego, porowolucyjnego budownictwa. Poszedłem najpierw do zakładów piekarniczych, gdzie przyjęto mnie zgodnie z obowiązującym rytuałem, to jest od poczęstunku składającego się z białego nawet chleba. Tu muszę wyjaśnić, że kilka naszych zakładów produkowało na potrzeby szpitali wojskowych także niewielkie ilości białego pieczywa. Obejrzałem całe zakłady i wydało mi się, że są w lepszym nieco stanie technicznym niż nasze w Iwanowie. Powiedziałem miejscowemu inżynierowi co mi potrzebne dla kombinatu i wyszedłem najwcześniej, jak tylko mogłem. Mój główny problem nadal czekał na rozwiązanie.

Szedłem wolno w kierunku tartaku, rozpytując przechodniów o drogę. Okazało się, że mieścił się o kilka kilometrów od miasta nad brzegiem Wołgi. Kiedy znalazłem się na miejscu, zagedałem dozorcę:

- Nie wiecie, czy nie potrzeba tu mechanika. Jestem polskim inżynierem i szukam pracy.

- Praca zawsze się znajdzie. W czasie wojny zawsze brakuje ludzi ... Jesteście Polakiem? Tutaj też są Polacy.

- A jak się nazywa? Może znam któregoś?

- Lipski, Czapski, Graf ...

- Czapski? - przerwałem. - Znałem jednego Czapskiego w Warszawie. Może ten sam? ... Gdzie on mieszka?

- Nie wiem dokładnie na jakiej ulicy, ale gdzieś tam, po drugiej stronie drogi - wskazał ręką - w tamtych domach.

Podziękowałem za informację, obiecując wrócić następnego dnia, żeby zobaczyć się z kierownikiem i poszedłem we wskazanym kierunku. Dom, w którym mieszkał Czapski znalazłem bez trudu.

- Gdzie mieszka Czapski - zapytałem jakąś kobietę.

- Piętro wyżej - usłyszałem w odpowiedzi.

Zapukałem do drzwi, otworzyła mi kobieta w średnim wieku. Wymieniłem swoje nazwisko i powiedziałem, że przyjechałem z Iwanowa w poszukiwaniu pracy, trafiłem do tartaku, a tam powiedziano mi, że tu mieszka Polak, przyszedłem więc dowiedzieć się czegoś bliższego ...

Najwidoczniej brzmiało to dość przekonująco, bo pani Czapska gościnnie zaprosiła mnie do środka. Oboje z mężem byli bardzo przyjaźni i od pierwszej chwili wywarli na mnie jak najlepsze wrażenie. Szybko rozgadaliśmy się, opowiadałem o swoich łagiernych i więziennych doświadczeniach, aż doszedłem do opowieści jak Kowalski nieoczekiwanie został wywołany z celi ...

- Kowalski? - wykrzyknął pan Czapski. - Który Kowalski? Nie Tadeusz?

- Tak, Tadeusz. Zna go pan?

- Oczywiście, że go znam. Razem nas wywieziono z Polaki, razem wysłano do lasu i razem, aż do jego aresztowania pracowaliśmy przy wyрубie. Tadeusz przyszedł do nas zaraz po zwolnieniu z więzienia.

- Co się z nim teraz dzieje?

- Zaraz powiem, ale czy pan nie jest tym inżynierem, z Górnego Śląska, którego Tadeusz tak ciepło wspominał? Martwił się, że pana nie zwolniono.

- Tak, to ja. Ale on nie mógł wiedzieć, że i mnie wkrótce po nim wypuścili. Nigdy nie spotkałem go w Iwanowie a adres jego żony był tak skomplikowany, że nie mogłem go sobie przypomnieć. Dlatego się z nim po zwolnieniu nie skontaktowałem.

- Co za nadzwyczajny przypadek, że obaj trafiliście tutaj ... Tadeusz wyszedł z więzienia w ^{Łowdzo} ^{ziemi} stanie, prawie przez miesiąc chorował. Sprzedał futro na jedzenie. Zwolniono go z więzienia pod warunkiem, że natychmiast zgłosi się do wojska. ^{le} Ale kiedy zobaczył, jak ciężko przez te dwa lata, gdy on siedział w więzieniu, musiała pracować żona żeby utrzymać rodzinę [✓] a mają dwoje dzieci i starą matkę [✓] prosił więc o pozwolenie pozostania przy rodzinie i powrót do pracy. Nic z tego. Wytargował tylko miesiąc urlopu, dla nabrania siły. I to wszystko.

- Całkiem odwrotnie niż ze mną. Ja znowu przez cały czas chcę wstąpić do wojska a nie mogę dostać zezwolenia na wyjazd z Iwanowa.

- Tak to tutaj się z nami dzieje. Tadeusz chciał pomagać rodzinie, a po miesiącu musiał wyjechać. Wszyscy odprowadzaliśmy go na dworzec. Kilka miesięcy temu pisał, że przygotowuje się do wyjazdu do Iranu i prosił nas o opiekę nad swoją rodziną.

Czapski opowiedział mi także o sobie. Były to typowe polskie dzieje, jakich tysiące. Przed wojną był zegarmistrzem, mieszkał i pracował w Warszawie. Tak jak i ja, wyjechał we wrześniu na Wschód i tam zagarnęli go bolszewicy. Wraz z żoną został wkrótce deportowany do pracy w lesie - w odwodzie iwanowskim. Kiedy ogłoszono amnestię dla Polaków, otrzymali zezwolenie na przeniesienie z głębi lasów do Kineszmy. Jego żona chorowała i nie mogła pracować. On zaś, mimo że także chorował na serce, otrzymać mógł tylko ciężką fizyczną pracę w tartaku.

Rozmawialiśmy do późna, miałem przed sobą długą drogę do swego "hotelu", żegnając się obiecałem wrócić nazajutrz.

Nie wiedziałem jeszcze co zrobić, byłem jednak absolutnie pewny, że nie będę tym, który mógłby w czymkolwiek zaszkodzić Czapskim.

Następny dzień spędziłem w zakładach piekarniczych, gdzie załatwiałem sprawy polecone mi przez Puchaczewskiego, byłem także w dwóch mniejszych piekarniach, jedna z nich np. mieściła się w przerobionej na ten cel cerkwi. Pod wieczór znowu poszedłem do Czapskich. W czasie drogi podjąłem ostateczną decyzję. Zaraz na wstępie, po przywitaniu powiedziałem:

- Muszę się panu przyznać. Nie przyjechałem do Kineszmy w poszukiwaniu pracy. Przyjechałem tutaj NKWD. Zostałem zmuszony do współpracy z nimi pod groźbą powrotu do więzienia. Do tej pory nie mam nikogo na sumieniu i mam nadzieję, że nic takiego nie zdarzy się nigdy. Dwa lata przesiedziałem w więzieniu i łagrach. Wiem jak tam jest. Otóż NKWD interesuje się panem. Jest pan w dużym niebezpieczeństwie.

Nastąpiło długie, ciężkie milczenie. Czapski zamyślił się.

- Jest pan przyzwoitym człowiekiem - powiedział wreszcie. Dziękuję panu - podał mi rękę. Nie ma tygodnia żeby nie wzywali mnie do NKWD na przesłuchania - zaczął po chwili: grożą mi, że mnie zamkną, że pobiją, ale na razie dopóki jestem oficjalnym przedstawicielem ambasady, nic mi nie mogą zrobić. Mogą się tylko wściekać. Ale co z panem? - dodał po dłuższej chwili zamyślenia - Jak pan rozwiąże ten problem? Jeśli nie wykona pan zadania, nie darują panu.

- Mój los jest teraz w pańskich rękach. Tylko pan może mi pomóc. Jeśli pan nie chce, żeby zamknęli mnie zaraz po powrocie, niech mi pan powie to wszystko, czego jest pan pewny - że oni wiedzą. W ten sposób będę mógł napisać raport, nie robiąc nikomu żadnej szkody.

Czapski przytakiwał na to z ochotą. Prawdę mówiąc, było to jedyne w miarę bezpieczne dla mnie wyjście z sytuacji. W każdym razie dawało szansę powodzenia. Resztę wieczoru spędziliśmy więc na uzgadnianiu szczegółów, które przedstawić miałem w raporcie.

Spośród deportowanych z kraju, tysiące Polaków znalazło się w okolicznych lasach w bardzo złych warunkach. Zaraz po podpisaniu układu Sikorski-Stalin, Polacy ci starali się nawiązać kontakt z ambasadą w Kujbyszewie, ale ich wysiłki, podobnie jak moje skończyły się na niczym. Dopiero Kowalskiemu udało się nawiązać osobisty kontakt z ambasadą. On to zawi-

domił o istnieniu dużej grupy Polaków w obwodzie iwanowkim i on też opisał warunki w jakich muszą tu żyć. Ponieważ zaś ambasada miała prawo wyznaczyć swego delegata w każdym obwodzie - Czapski został wyznaczony jako oficjalny delegat z obwodu Iwanowo i za zgodą miejscowej NKWD otrzymał numer kodu pocztowego ambasady, bez którego żaden list ani przesyłka nie były przez pocztę dostarczane. Od tego też czasu Polacy zaczęli otrzymywać paczki z angielską i amerykańską żywnością i odzieżą.

W ostatnich czasach Czapski otrzymał z ambasady polecenie przesłania imiennego wykazu wszystkich obywateli polskich zamieszkałych w oblasti, w celu ściągnięcia ich do Centralnej Azji - a w przyszłości może do Iranu.

Do tej pory stanowisko delegata ambasady nie nastęrczało Czapskiemu żadnych trudności. Oczywiście musiał utrzymywać kontakty z NKWD, i kontakty te były na ogół poprawne. Teraz jednak, w ostatnich czasach nastąpił zwrot o 180 stopni. NKWD wćiekło się z powodu tej listy. Zaczęły się dokuczliwe nęhanie i brutalne pogróżki.

Jedną tylko sprawę, z całej tej historii, miałem pominąć milczeniem w swoim raporcie. A mianowicie nazwisko Kowalskiego, jako osoby która przełamała bariery i nawiązała bezpośredni kontakt z ambasadą - a to z uwagi na bezpieczeństwo jego rodziny, która nadal pozostawała w oblasti. Reszta szczegółów i tak była znana NKWD - która z pewnością miała wgląd w korespondencję między Czapskim a ambasadą.

- Wpiszę pana na listę Polaków - powiedział na pożegnanie - da Bóg, może nas niedługo stąd wyciągnę.

Rzadko w tych czasach bywałem tak zadowolony z siebie, jak wtedy gdy pod zianym, bezchmurnym niebem wracałem od Czapskich do swego łóżka w "Domu Kołchoźnika".

Następnego dnia przypadał Sylwester, Czapsocy spędzali wieczór w tartaku, ze swymi towarzyszami pracy, ja zostałem sam w obcym mieście. Powitałem Nowy Rok 1943 leżąc w brudnej pościeli, w brudnym pokoju "Domu Kołchoźnika". Na szczęście nie miałem pojęcia co mi on przyniesić ^{miał}.

Przez parę dni pozostałem jeszcze w Kinesznie. Teraz kiedy najgorzej miałem za sobą, starałem się jak najszybciej wypełnić polecenie Puchaczewskiego. Po pracy, pisałem szczegółowy raport dla Szieszkowa, a kiedy był gotowy dałem do przeczytania Czapskiemu. Zrobił kilka bardzo drobnych poprawek i całość zaakceptował. Rozstaliśmy się jak dobrzy przyjaciele.

Nigdy już więcej państwa Czapskich nie spotkałem. Umówiliśmy się, że nie będziemy pisywać do siebie, gdyż NKWD - jak wiadomo - kontrolowało korespondencję. Obawiam się jednak, że nie długo cieszyli się wolnością, zwłaszcza że wkrótce nastąpiło zerwanie stosunków między ZSSR a polskim rządem na wygnaniu. Nastąpiły wtedy masowe aresztowania wśród Polaków i jak dowiedziałem się - dotyczyło to szczególnie delegatów ambasady.

Pola niespokojnie oczekiwała na mój powrót. Wysłałem wprawdzie do niej depezę, na dzień przed wyjazdem z Kineszmy - dostała ją w dziesięć dni po moim powrocie.

x x x

Rozdział XIX
VOTUM NIEUFNOŚCI

Ciężka rosyjska zima była w całej pełni. Ani my, ani nasza gospodyni nie mieliśmy ani kawałka drewna na opał. W mieszkaniu było tak zimno, że przebywaliśmy w nim w palciach i rękawiczkach, jeszcze gorzej było w pracy. Tam trzeba było siedzieć przez osiem godzin za biurkiem. Centralne ogrzewanie nie działało i nie dawało się uruchomić, z braku opału zamaryły rury. Było tak zimno, że rano zastawialiśmy zamrażnięty strament w kałamarzach. Właściwie trudno było wytrzymać, gdy tylko nogiem starałem się wymknąć do któregoś z zakładów, w piekarni było przynajmniej ciepło, i był chleb. Puchaczowekij był zadowolony z wyników mojej pracy w Kinezmie, o inne sprawy nie pytał.

Cała ludność Iwanowa ogarnięta była ówą zimą jednym dominującym problemem: skąd wziąć trochę drewna na opał. Byłem chyba jedynym człowiekiem w mieście, którego myśli zajęte były czymś innym. Zbliżał się dzień mojego stawiennictwa na ul. Karola Marksa i z godziny na godzinę narastał mój strach.

Tym razem zastałem Nikonowa samego. Przywitał mnie jak zwykle, prawie przyjaźnie:

- Antoni Stiepanowiczu, jak wam poszło?
- Zrobiłem co mogłem - powiedziałem i wyczyłem mu raport.
- To bardzo dobrze. Bo musicie wiedzieć, że od czasu tej sprawy z marynarką Sziazkow jest źle do was usposobiony. Musicie odzyskać jego zaufanie. To bardzo ważne.

- Wiem o tym, znam swoje położenie. Ale mam teraz mnóstwo kłopotów w domu i w pracy, a wy nakładacie na mnie tyle obowiązków, że nie mam czasu na swoje prywatne sprawy. Nie mam nawet kiedy postarać się o opał. Oboje z żoną marzliśmy. Mój szef nałożył na mnie mnóstwo roboty, muszę zostawać po godzinach.

- Rozumiem i chcę wam pomóc. Daj wam miesiąc wakacji. Pozalutwajcie wasze sprawy prywatne. Możemy jakiś czas bez was się obejść. Gdybyśmy was pilnie potrzebowali, zadzwonię do biura. Mówcie wtedy do mnie "ty" i "Kola".

To był naprawdę szczodriwy wieczór. Miałem przed sobą miesiąc spokoju. W niedzielę poszliśmy z Polą na rynek i kupiliśmy dla mnie parę walonek, zapłaciliśmy za nie 3500 rubli. Za parę używanych, marnych gatunkowo butów sumę odpowiadającą połowie moich rocznych zarobków. Zaczęliśmy też staranie o zdobycie opału. Dostałem w biurze po wielu trudach przydział na metr sześcienny drewna. W lasach wokół Iwanowa były wielkie ilości drewna, problem był tylko z transportem. O wypożyczeniu ciężarówki czy koni z mojego kombinatu, nawet nie mogło być mowy. Może gdybym był dyrektorem... Sprawę zajęła się Pola, która pracowała przecież w kantynie przedsiębiorstwa transportowego. Wreszcie po wielu wysiłkach, jeden z kierowników zgodził się przywieźć nam to drewno w następną sobotę. Cena były większa, uprzywilejowana porcja w kantynie oraz 15 bochenków chleba. I muszę przyznać, że była to cena niezbyt wygórowana. Kierowca musiał podzielić się z dyepozytorem, który nie tylko miał wystawić zezwolenie na przejazd, lecz także wystawić tzw. "putiowkę" czyli zezwolenie na ładunek. Bez tych podatawowych papierów, kierowca zostałby zatrzymany na pierwszym punkcie kontrolnym. Ale nawet i z tymi dokumentami podróż była dość ryzykowna, gdyż odbywała się bez wiedzy dyrektora. Nie było się co targować. Piętnaście bochenków chleba, był to miesięczny przydział dla nas obojga. Zamiast chleba oddaliśmy nasze kartki. Byliśmy w tym szczególnie położeniu, że Pola pracowała w kantynie, a ja w kombinacie piekarniczym. Obydwoje przy żywności.

W tym samym czasie - zimą 1942-1943 - zaczęły ważne i zasadnicze zmiany na froncie. Niemcy ponieśli klęskę pod Sta-

lingradem. Cała sowiecka machina propagandowa - prasa, radio, mitingi polityczne itp. ruszyła na pełnych obrotach. Wydawało się to zrozumiałe, jako ^{istotne} armia odnosiła wielkie zwycięstwo, mające bez wątpienia ogromne znaczenie dla dalszych losów wojny. Ale reakcja społeczeństwa była nadszpodzielania mała żeby nie powiedzieć - żadna. Nie zauważyłem ani entuzjazmu, ani nawet radości. Zaskoczyło mnie to zjawisko i nie umiałem go sobie wytłumaczyć.

Dymitrow, szef wydziału zaopatrzenia z naszego kombinatu, z którym często wracałem po pracy do domu, spróbował mi kiedyś to wytłumaczyć:

- Pan nie wychował się w ZSRR, więc pan nie rozumie. U nas ludzie już nie wierzą w nic. Mieliliśmy zbyt dużo propagandy, żeby jeszcze na nią reagować. Dam panu taki przykład: pamięta pan ostatnią pożyczkę obronną? Pamięta pan co ludzie wtedy mówili? A czy znalazł się ktoś, kto odmówił? Ina drugi dzień co ci sami ludzie przeczytali w gazetach? Za z najwyższym entuzjazmem wykupili tę pożyczkę przed terminem, dając tym wyraz swemu zaufaniu i miłości do partii i jej wodza - tow. Stalina. Albo, co się dzieje kiedy robotnicy lub kolchoźnicy muszą złożyć swój podpis pod listem dziękczynnym do Stalina, albo kiedy na mitingach podajmuje się decyzje przez eklamacje i z powezecznym entuzjazmem. Po prostu ludzie codziennie przekonują się, że prasa i radio kłamią. I dlatego w nic nie wierzą.

Wołodis, zaprzyjaźniony ze mną mechanik z piekarni nr 2, który miał swoje doświadczenia z frontu i jako inwalida odeślany był do domu, pewnego razu tak mi powiedział:

- Może i pobiliemy Niemców pod Stalingradem, no i co z tego? Woroszyłow mówił, że jeśli ktoś nas zaatakuje, to pobijemy go na jego terytorium. A później, czy nie czytaliśmy w gazetach, że pobijamy Niemców pod Moskwą? Niemcy są silni i dobrze wyposażeni ... A jak to będzie dalej, zobaczymy.

Zarówno Dymitrow jak i Wołodis, choć różnymi słowami wyrażali tę samą myśl: ludzie nie wierzą w żadne oficjalne informacje, nawet jeśli przypadkiem są prawdziwe. Z moich osobistych doświadczeń wynikało jednakże, że nie jest to jedyne wyjaśnienie bierności nas. Z wyjątkiem niewielkiej grupy lud-

ności, która istotnie wierzy w zwycięstwo Rosji i gotowa jest do poświęceń na rzecz tego zwycięstwa, reszta jest tak śmiertelnie zmęczona codzienną walką o przetrwanie, że nie ma siły reagować inaczej. Ogólna apatia społeczna, wydawała mi się porównywalna ze stanem jaki przeżywałam w obozie tyle, że zmultiplikowanym na miliony jednostek.

W lutym 1943 roku, korzystając z wolnego czasu jaki dawał mi "urlop" z NKWD, częściej widywałam się ze Spychajem. Mimo, iż stan jego zdrowia znacznie się pogorszył, był w dobrym nastroju, nabrał jakby większej pewności siebie. Nigdy, co prawda nie zgadzaliśmy się w sprawach politycznych i nieraz dochodziło między nami do gwałtownej wymiany zdań, lecz po aresztowaniu Kosowa właśnie Spychaj, Genia i Halina byli jedynymi osobami w Iwanowie do których miałem zaufanie. Nawet fantastyczna wiara Spychaja w komunizm, nie podważała tego zaufania. Był komunistą, to prawda, ale przecież był "zapadnikiem". Był Polakiem.

Kiedy opowiadałem mu o warunkach w obozach i milionach ludzi niewinnie tam osadzonych odpowiadał zazwyczaj: "gdzie drwa rąbię, tam wióry lecą" - i zwykle na tym kończyła się rozmowa.

Polubiłem zwłaszcza Genię. Początkowo pracowała w fabryce tekstylnej, ale później przeniesiono ją do cięższej pracy, przy zakładunku węgla. Mimo to, gdy była na pierwszej porannej zmianie, pojawiała się po południu już uczesana, odwieżona, ładnie ubrana i w ogóle "zrobiona". Aż trudno było uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, która po wieczornej zmianie wraca z twarzą umazaną w sadzy.

Pola nie mówiła po polsku i zazwyczaj zostawała w domu z pewną rumuńską koleżanką, która chętnie do nas przychodziła, zwłaszcza od czasów kiedy mieliśmy ciepło w mieszkaniu.

W tym samym czasie zaczęły pojawiać się w prasie coraz częściej wzmianki o nowopowstałym w Moskwie Związku Patriotów Polakich i jego przywódcy, Wandzie Wasilewskiej oraz o planach

reformowania dywizji im. Tadeusza Kościuszki z generałem Berlingiem na czele.

Polacy, od razu zorientowali się, że cały ten związek jest tworem całkowicie komunistycznym, pod wpływem a nawet kierownictwem rządu sowieckiego. Polacy komuniści też o tym wiedzieli, ale mimo to Spychaj, Halinka i Genia z najwyższym entuzjazmem odnosili się do Wasilowskiej, Berlinga i całej tej organizacji.

Nie umiałem podzielić ich entuzjazmu. Po doświadczeniach z łagru i prawie roku na tzw. "wolności", poznałem już komunizm wystarczająco dobrze. Poznałem masowy terror, zniewolenie unysłów i nie mogłem wykrzesać iskry sympatii dla tych patriotów ze związku oraz ich przywódców.

Sprawa ta miała również i odwrotną stronę: relacje między ZSSR a naszym rządem w Londynie załamały się gwałtownie i całkowicie. Sprawa Katynia dołączyła oliwy do ognia. Ambasada w Kujbyszewie i wszelkie jej agendy, stały się jeszcze bardziej bezradne wobec prześladowań władz. Polacy nie tylko nie mogli liczyć już na opiekę swoich przedstawicielstw, lecz gorzej, wszelkie kontakty z ambasadą zaczęły stawać się wręcz niebezpieczne. W tych okolicznościach, jedyną drogą jaką mogłaby doprowadzić do Polski zaczęło wydawać się dołączenie do związku i armii Berlinga.

W moim przypadku wszystko było jeszcze bardziej ekomplikowane. Przez prawie rok udawało mi się rozgrywać swoją grę z NKWD mając cały czas nadzieję, że ratunek nadejdzie z ambasady. Teraz zdałem sobie sprawę, że gra się skończyła, że przegrałem. Ile czasu jeszcze ^{mi} zostało nim wazechmocno i wazechpotężne NKWD zorientuje się, że uprawiam bluff. Zawaze jedyny ratunek dla siebie widziałem w wyjeździe z Iwanowa. Teraz została mi już jedyna droga wyjazdu - armia Berlinga.

Kolejny dyrektor "Rozgławchleba" został zmieniony. Nowy, podobnie jak wazycy jego poprzednicy. Był członkiem partii. Biurowa plotka głosiła, że jest to dziki Tatar, ale nie wiem skąd naprawdę pochodził. Wkrótce ~~został~~, po objęciu stanowiska,

zwołał miting i wygłosił przemówienie. Wynikało z niego, że wszyscy pracownicy kombinatu, nie wyłączając poprzedniego dyrektora pracowali źle i źle służyli ojczyźnie. Ale teraz od zaraz wszystko się zmieni. Jest wojna - stwierdził - i to nakłada na każdego obywatela szczególne obowiązki, ci zaś, którzy nie wozną tego faktu pod uwagę, w ogóle nie zasługują na miano obywatela ZSSR. On zaś, dyrektor, opierając się na autorytecie Ludowego Komisarjatu Przemysłu Żywnościowego i partii podniesie stan dyscypliny i będzie bezlitoany wobec każdego, kto spróbuje ją narużyć. Przemówienie zakończył okrzykami na cześć Armii Czerwonej, partii bolszewickiej i ojca narodu, wielkiego Stalina. Nie muszę dodawać, że zebrani pokwitowali wystąpienie burzliwymi oklaskami.

Już w czasie pierwszego tygodnia urzędowania nowego dyrektora następujące osoby zostały wymienione: główny księgowy, kierownik wydziału planowania ekonomicznego oraz szef zaopatrzenia. U nas w dziale technicznym panował spokój, ale Puchaczewskij powiedział mi kiedyś:

- Czuję, że nie będę długo pracował z nowym dyrektorem. On chce o wszystkim decydować sam a nie ma pojęcia o wypieku chleba, bo nigdy nie pracował w tej branży. Pewnie przez jakiś czas będzie mnie tu jeszcze trzymał, na razie nie ma mnie kim zastąpić. On doskonale wie, że trudniej jest znaleźć doświadczonego inżyniera piekarnictwa niż ekonomistę.

Okazało się, iż jego obawy ziściły się jeszcze szybciej niż przypuszczał. W kilka dni później, przyszło z Moskwy polecenie przeniesienia do Wołogdy. Była to w pewnym sensie degradacja, gdyż Wołogda jest znacznie mniejszym miastem niż Iwanowo.

Nowy dyrektor zaś, więcej czasu spędzał w komitecie partii niż w kombinacie. I prawdopodobnie był to powód dla którego personel musiał odbyć kilka "subotników" więcej niż przewidywano. W lutym spadły w Iwanowie obfite śniegi, oczyszczaliśmy więc ulice ze śniegu a także lotnisko. Nie była to przyjemna robota, a że w obozie przywykłem do tego rodzaju pracy, więc nie było tak źle. Uprzątając śnieg, spotykaliśmy często przemierzniętych i wymęczonych żołnierzy odbywających ćwiczenia w walkach ulicznych.

Gdy po raz pierwszy, po "urlopie", spotkałem się z Nikonowem, opuściłem mieszkanie przy ul. Karola Marksa w doskonałym nastroju. Oczywiście nie dlatego, że pochwalił mnie za raport o Czapskim.

- Sprawdziłem fakty i nie znaleźliśmy żadnych sprzeczności - powiedział mi na pożegnanie i wręczył dwie butelki wódki, jako coś w rodzaju premii. Nie odmówiłem. Ucieszyło mnie, że NIKOJ na razie nic do mnie nie ma i muszę się zgłosić dopiero za dwa tygodnie.

W marcu, Pola źle się poczuła. Z początku, żadne z nas nie brało jej dolegliwości poważnie. Narzekała na bóle w kostkach i nadgarstkach. Lekarz orzekł - to reumatyzm, ale nie wydał zwolnienia z pracy. Jej stan zdrowia jednak pogarszał się niemal z dnia na dzień. Po powrocie z pracy od razu kładła się do łóżka. Zaczęło mnie to niepokoić. Już nie tylko ręce i nogi zaczęły jej puchnąć, aż którego dnia przestała w ogóle chodzić.

Następcą Puchaczewskiego został Ukrainiec - Jatozenko. Pracowało mi się z nim nieźle, lecz nie na tak przyjaznej stopie, jak z poprzednim szefem. Był raczej dokładny i pedantyczny niż zdolny, urządowanie zaś rozpoczął od przemeblowania gabinetu. Natomiast w sprawach codziennych, którym trzeba było stawiać czoła: części zamienne, opał, drut, gwoździe itp. okazała się zupełnie bezradny. Tak więc, w rezultacie zmiany szefa, miałem znacznie więcej pracy, a tym samym mniej czasu dla Poli. Całymi dniami przebywała więc teraz sama i często do wieczora aż do mojego powrotu - nic nie jadła. W końcu po wielu staraniach udało mi się umieścić ją w szpitalu. Czekała się z dnia na dzień coraz gorzej, a jej stan wprawiał lekarzy w zakłopotanie. Wkrótce też w ogóle przestała poruszać stopami i dłońmi, rozpoczął się także obrzęk twarzy. Na moje pełne niepokoju pytania, lekarze potrafili tylko rozłożyć ręce. Każdego dnia chodziłem na rynek starając się coś zdobyć dla Poli, trochę mleka, masła czy miodu.

Kiedy podczas następnego spotkania z Nikonowem powiedziałem mu o chorobie Poli, przedłużył mi urlop o następne dwa tygodnie. Gdy już wychodziłem, rzucił na pożegnanie nieoczekiwaną uwagę: "Postarajcie się nie widywać Spychaja tak często".

Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się słyszeć, aby funkcjonariusz NKWD ostrzegał kogoś o zbliżającym się niebezpieczeństwie, gdy jeszcze nie było za późno. W swojej naiwności pomyślałem, że Sziżkow dlatego nie ma dla mnie żadnych poleceń, bo Nikonow za mnie poręczył. Miałem teraz wiele zajęć w pracy, martwiłem się chorobą Poli i obie te sprawy upiły moją czujność. Zapomniałem o swoim bezpieczeństwie. Nie miałem pojęcia, że mój los jest zdecydowany a obecna cisza jest ciszą przed burzą.

Któregoś dnia Mikołaj Iwanowicz Rogow, szef planowania został aresztowany wraz z kilkoma pracownikami kombinatu we Władimirze i Szuji. Biurko Rogowa zostało przeszukane, NKWD-ziści zabrali jakieś papiery. Los sprawił, że spotkałem się z nim w rok później w zupełnie innym miejscu i w innych okolicznościach. W każdym razie studiowanie literatury bolszewickiej i nadzieje na wstąpienie do partii, nie pomogły mu ani trochę w walce o siebie i o byt rodziny.

W końcu kwietnia 1943 roku, leżałem jeszcze w łóżku, kiedy usłyszałem zza ściany głos dobiegający ze "szczekaczki" zainstalowanej w pokoju mojej gospodyni. Zwróciłem uwagę na wielokrotnie powtarzające się słowo "Polsza". Spiker czytał notę Mołotowa do rządu polskiego w Londynie, oskarżając o całą masę zbrodni wobec ZSSR, a jedną z nich było daniowiary niemieckiej propagandzie, która głosiła, że zamordowanie 10 000 oficerów polskich w Katyniu było dziełem Rosjan. W konkluzji nota kończyła się zerwaniem stosunków dyplomatycznych.

- Co to znaczy? - zapytała moja gospodyni, gdy wychodziłem z domu do pracy.

- To bardzo niedobrze - powiedziałem, ale nie wyjaśniłem co mam na myśli.

Tak długo jak Pola była jeszcze w domu, wszystkie wieczory pozostawałem przy jej łóżku i widywałem właścicieli ^{Tylko} Spychaja i Genię, którzy często nas odwiedzali. Gdy Polę przyjęto do szpitala widywałem ich jeszcze częściej, nie bacząc na przestrogę Nikonowa. W szpitalu mogłem przebywać tylko do ósmej wieczorem, później zaś unikając swego pustego pokoju, wstępowałem po drodze do Spychaja. Co więcej, Genia naprawdę

serdecznie zaopiekowała się Polą, robiła zakupy na targowisku, gotowała dla niej jedzenie, które zносиłem wprost do szpitala. Była to dla mnie wielka pomoc, ponieważ z pracy mogłem od razu iść do Poli.

Wczesną wiosną Jatozenko - mój nowy szef zdecydował wysłać część pracowników technicznych na prowincję w celu sprawdzenia urządzeń w tamtejszych piekarniach i ustalenia planu napraw i remontów. Ja wysłany zostałem do Jerewaty, małego miasteczka nad Wołgą. Miałem towarzyszyć Aleksandrze Iwanownie, inżynierowi planowania i jej asystentce Tani. Biorąc pod uwagę niedobry stan zdrowia Poli, za wszelką cenę chciałem uwolnić się od tej delegacji, ale Jatozenko się uparł. Musiałem jechać. Zostawiłem Geni wszystkie pieniądze jakie miałem, ona zaś obiecała codziennie odwiedzać Polę.

Jechaliśmy przez Kinesznię. Bardzo chciałem wstąpić do Czapskich, lecz nie było na to czasu. Ledwie zdążyliśmy przesiąść się z pociągu na statek rzeczny. Tłok na nim był jeszcze większy niż w pociągu, większość podróżnych płynęła na wieś w nadziei wymiany najróżniejszych rzeczy, zwłaszcza odzieży - na żywność. Żywność, jej ceny i możliwości zdobycia, najlepsze sposoby uzyskania maki, oleju i grochu były jedynym tematem rozmów na pokładzie. Byliśmy ściśnięci jak sardynki, przypominało to wręcz pobyt w celi więziennej. Dotarliśmy do Jerewaty zmęczeni i brudni. Było to miasteczko malowniczo położone na wysokim brzegu Wołgi na tle zielonej pagórków.

Następnego dnia przystąpiliśmy do pracy. Spośród trzech piekarni, dwie mieściły się w pomieszczeniach cerkiewnych. Ściślej były to cerkwie przerobione na piekarnie. Nie miałem tu nic do roboty, właściwie przyjechałem na próżno. Żadna z tych piekarni nie miała urządzeń technicznych - praca wykonywana była ręcznie. Oprowadzał mnie tutaj "główny inżynier" a gdy przyszedł do spisania raportu, okazał się półanalfabeta.

- Dlaczego nie naprawiliście pieców? - połowa z nich nie nadaje się do użytku, reszta rozepie się w najbliższym czasie. Ludzie zostaną bez chleba. Czy wiecie, co się wtedy stanie?

- Ależ co ja mogę zrobić, towarzyszu inżynierze? Od dwóch lat biegam do Gorskowietu i do Rajskowietu i ... - zniżył głos - piję z nimi, chleb im zanoszę i błagam o cegły. Stale obiecuję że dadzę, że postawię sprawę na komitecie, ale cegieł jak nie ma, tak nie ma.

- To dlaczego nie zwróćcie się bezpośrednio do cegielni? Nie ma ich w okręgu?

- Są, naturalnie, że są. Farę jest nawet bardzo blisko, ale oni też mają swój kombinat i swój Narkomat ... i muszą cegły wysyłać tam gdzie im każe. Nic się nie da zrobić towarzyszu inżynierze. Może łatwiej to będzie załatwić wam. Jesteście bliżej Moskwy.

Wyjeżdżałem z Jarowety zaopatrzony w pełny raport o stanie budynków i pieców, z zestawem planów ich remontów w najbliższej przyszłości. Aleksandra Iwanowna i Tania okazały się bardziej praktyczne i zapobiegliwe niż ja. Dostały gdzieś mąkę, olej i miód. W czasie podróży poczułem się zrelaksowany i odprężony. Była piękna pogoda, malownicza okolica i pewien rodzaj ulgi, że jestem daleko od Iwanowa. Widocznie mój nastrój udzielił się Aleksandrze Iwanownej i Tani, mimo tłoku i niewygód podróży opowiadaliśmy sobie jakieś wesołe historyjki, śmialiśmy się i żartowali. W pewnej chwili zdecydowaliśmy się przedostać na górny pokład by odetchnąć świeżym powietrzem. Po drodze przystanęłem i spojrzałem w dół do maszynowni. Nieoczekiwanie w luku zobaczyłem niebieską czapkę i wyłogi NKWD-zisty. Dwóch chłopców, 12- może 13-letnich, bosych z rękami do tyłu wyczołgał przez otwór w ładowni i zniknęło mi z pola widzenia. "Następni dwaj"-usłyszałem głos konwojenta i znowu dwóch chłopców wyczołgał z otworu w ładowni.

Zrozumiałem od razu. W ładowniach naszego statku transportowano jakichś bardzo młodych więźniów. W nocy, kiedy na statku zmniejszył się ruch, z dala od oczu pasażerów odbywała się "oprawka". W tym momencie strażnik zerknął w moją stronę i krzyknął:

- Czego się gapicie. Odejść stąd! Uchadź!
Dobry nastrój przyjeź.

x x x

Rozdział XX

DONOS NA SIEBIE SAMEGO

Po dziesięciu dniach nieobecności w mieście, znowu znalazłem się w pokoju szpitalnym u Poli - przeżyłem prawdziwy szok. Miała obrzmiałą twarz i tak spuchnięte powieki, że nie mogła ich podnieść, nie mogła również poruszyć ani ręką, ani nogą. Lekarze nadal nie wiedzieli jakie są przyczyny jej choroby, i jak ją leczyć. Organizm chorej nie przyjmował już żadnych pokarmów, nawet płynnych. Było nieuniknione, jeśli nie w najbliższym czasie się nie zmieni - zagłodzi się na śmierć. Po raz pierwszy przyszło mi wtedy na myśl, ^{jeżeli} jeżeli nie zdarzy się cud, nie ma szansy na utrzymanie jej przy życiu.

Znowu widywałem często Bronka Sychaja. W czasie choroby Poli okazywał wielką przyjaźń i współczucie. Genia zaś z całym samozaparciem robiła wszystko co mogła, by jej i mnie pomóc.

Bronek był dobrze poinformowany w sprawach powstającego Związku Patriotów Polskich oraz formującej się polskiej dywizji nazwanej imieniem Tadeusza Kościuszki i dowodzonej przez generała Berlinga. Dowiedziałem się, że rekrutacja do tej dywizji odbywa się pod kierunkiem sowieckiego Wojenkomatu /Komisariat Wojny/, a jej struktura jest taka sama jak Armii Czerwonej. To już nie było Wojsko Polskie pod dowództwem generałów Sikorskiego i Andersa, ^{czy} czy była inna droga wyjazdu z Iwanowa?

Dowiedziałem się ^{także}, że ochotniczy zaciąg do tej dywizji nie jest sprawą, która najbardziej się liczy. Liczy się sam fakt jej istnienia. Maczyna została puszczona w ruch przez siły nam nieznane i zaczynała się toczyć.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, gdy w tydzień później zastałem w domu kartkę mobilizacyjną. Miałem zgłosić się na komisję ^{wojskową} jeszcze tego samego dnia z ogoloną głową, zmianą

bielizny i zapasem pożywienia na trzy dni. W chwilę potem wstąpił do mnie znajomy Polak - Górecki, z identyczną kartką. Powiedział mi, że wielu Polaków zostało już zmobilizowanych i nie ma wątpliwości, że mobilizacja ta dotyczy armii Berlinga.

Na komisji, kiedy przyszła moja kolej, oficer werbunkowy przejrzał moją kartę i kazał mi na chwilę wyjść z pokoju. Z poczekalni usłyszałem, że rozmawia z kimś o mnie przez telefon, nie mogłem jednak zrozumieć o czym. W chwilę później zawołał mnie i orzekł:

- Jesteście inżynierem. ^{ZNACZNIE} Będziecie ⁱⁿ bardziej przydatni poza frontem. Wróćcie do biura i bierzcie się do pracy. Na mojej kartce wypisał "zwolniony bezterminowo" i przystawił pieczętkę. Wyszedłem z pokoju z niejasnym przeczuciem czegoś bardzo niedobrego.

Okazało się, że jestem jedynym ⁱⁿ który nie został zmobilizowany. Wszyscy inni zakwaterowano w barakach przy ul. Moskiewskiej, gdzie trzymano ich przez kilka dni, nie pozwalając wyjść na miasto ani przyjmować odwiedzin.

Od Spychaja dowiedziałem się terminu ich wyjazdu z Iwanowa, poszedłem więc razem na stację by pożegnać znajomych. Zobaczyłem Góreckiego w szeregu 30-40 innych. Byłem zaskoczony, że w szeregach mówią po rosyjsku. Młody 17-18 letni chłopak stał obok Góreckiego, zapytałem ekeąd pochodzi. Odpowiedział, że nie rozumie po polsku.

- Jak to możliwe? Przecież jesteście zmobilizowani do polskiej dywizji - spytałem tym razem po rosyjsku.

- Pewnie tak. Mówiono nam o tym w barakach.

- To nie jesteście Polakiem?

- Tak, jestem ... w pewnym sensie. Urodziłem się w Leningradzie, ale moja matka pochodziła z Polski ...

Rozmawiałem jeszcze z wieloma i okazało się, że ten nie był wyjątkiem w grupie. Było tam wielu Polaków, którzy nigdy nie byli w Polsce i nie mówili po polsku. Reszta, znaczna mniejszość została ściągnięta z lasów wokół Iwanowa. Byli to rolnicy na ogół o niskim poziomie intelektualnym deportowani w 1940 roku ze wschodnich kręćców Polski.

O wszystkich opisanych wyżej wydarzeniach nie powiedziałem nic Poli. Nie chciałem aby martwiła się ewentualnością mego odejścia. Sam jednak nie przestawałem zastanawiać się nad przyczynami tak nieoczekiwanego obrotu sprawy. Tajemnica rychło się wyjaśniła. W ostatnich dniach maja, zadzwonił do mnie Nikonow i kazał mi stawić się na ul. Karola Marksa. Zarówno dzień, jak i pora umówionego spotkania: niedziela o jedenastej rano - wydały mi się podejrzane. Wyczułem jakiś związek między tym spotkaniem, a zwolnieniem mnie w trakcie mobilizacji.

W chwili kiedy zobaczyłem Szizkowa, ogarnął mnie strach. Użytycham jego ironiczny głos:

- No i co nowego? Dawno was nie widziałem.

Zachowałem milczenie, chcąc by bardziej sprecyzował swoje powitalne pytanie.

- Dlaczego nie odpowiadacie? Nie macie nic do powiedzenia?

- Nie wiem co chcecie bym powiedział? Ostatnio zajmowałem się wyłącznie kinem, kto jest mi bardzo bliski i ciężko choruje, Polę Jaruskę - celowo wymieniłem nazwisko, aby dać mu do zrozumienia, że nie mam nic do ukrycia.

- A co was to obchodzi? No, wasza dama umiera ... Mówcie coś bardziej interesującego.

Zacząłem więc opowiadać o karcie mobilizacyjnej, o dywizji Berlinga, ale przerwał mi niecierpliwie:

- O tym też wiemy. Powiedzcie lepiej co ludzie mówią o rozwiązaniu Kominternu.

Wiadomość o rozwiązaniu Kominternu obiegła ostatnio całą prasę. W ZSSR, gdzie społeczeństwo pozbawione jest całkowicie możliwości wyrażania swojej opinii, rząd w istotnych i ważnych dla siebie sprawach sonduje opinie i reakcje społeczne za pośrednictwem agentów NKWD.

- Nie słyszałem nic specjalnego. Ludzie powtarzają to co podane jest w gazetach - odpowiedziałem.

- A wy, co o tym sądzicie? - brzmiało następne pytanie.

- Ja ...? W ogóle nie myślałem o tym. Po prostu przeczytałem i to wszystko.

- Ach tak, zastanówcie się trochę. Wykształcony człowiek nie wyrobił sobie żadnej opinii o tak ważnym wydarzeniu? Jesteśmy sami, możecie szczerze powiedzieć co o tym sądzicie.

Nie miałem czasu by się zastanawiać. Bałem się, że jeśli nie udzielę wyraźnej odpowiedzi, posądzi mnie o antysowieckie myślenie.

- Wydaje mi się, że krok ten jest naturalną konsekwencją wrażliwości współpracy pomiędzy ZSSR, Anglią i Stanami Zjednoczonymi. ZSSR chce pokazać, że współpraca ta nie ogranicza się wyłącznie do oportunistycznych motywów, podyktowanych sytuacją militarną, ale ma głębsze podstawy i zamierzona jest również w dalszej perspektywie - powiedziałem, starając się położyć nacisk na dobrą wolę i pokojowe dążenia Związku Sowieckiego.

- Ach tak, więc chcecie powiedzieć, że nasz rząd uległ presji angielskich i amerykańskich imperialistów, którzy cały ciężar wojny przerzucili na nasz wielki Związek Sowiecki - spytał Sziachkow z gniewem w głosie.

To co powiedziałem odzwierciedlało z pewnością prawdziwe opinie krążące wśród ludzi, które znane były i NKWD, może tylko nie tak tak otwarcie wypowiedzane.

- Nie takiego nie powiedziałem, ani nie pomyślałem - zapewniłem go. Przeciwnie, powiedziałem, iż rząd sowiecki chciał dać dowód przyjaźni dla sił zachodnich i okazać szczerą pragnienie współpracy z nimi po zwycięstwie nad Niemcami - powtórzyłem raz jeszcze.

Nie mogłem zorientować się o co naprawdę mu chodzi. Pierwszy raz zdarzyło mi się, aby funkcjonariusz NKWD wdał się ze mną w dysputy polityczne. Sziachkowi najwidoczniej nie chodziło wcale o dyskusję, bo patrząc mi świdrująco w oczy powiedział:

- NKWD ma podstawy podejrzewać was, że zdradziliście sekret naszej współpracy. Co o tym powiecie?

Najmniej wahań z mojej strony, mogłoby być interpretowane jako przyznanie się do oskarżenia. Co więcej, zdanie: NKWD ma podstawy podejrzewać ... pozwalało mieć nadzieję, że naprawdę nie wiedzą nic konkretnego. Zmobilizowałem więc całą

wolę by zachować się w sposób naturalny i powiedziałem spokojnie:

- Nic o tym nie wiem. Być może, ktoś odgodził to z mego sposobu zachowania, albo zauważył, że zbyt często przychodzę do tego domu lub coś w tym rodzaju. W każdym razie ja nikomu nic na ten temat nie mówiłem.

Sziszkow podniósł się wolno z krzesła, podszedł do mnie blisko i podsunął mi pięć pod nos.

- Ty sukineynu - tym razem się nie wywiniesz. Śledziłem cię przez cały rok. Znam każdy twój krok, każde słowo, które powiedziałeś i każdą myśl, która ci przyszła do głowy. Mogłbym cię z miejsca posadzić. Ale dam ci jeszcze tydzień. Napiszesz raport. Tym razem na siebie. Kiedy to zrobisz, przyniesiesz mi go tutaj. A teraz idź i przemyśl to sobie wszystko dokładnie.

Wyszedłem i była to moja ostatnia wizyta w domu przy ul. Karola Marksa 22.

Robiłem co mogłem aby utrzymać nerwy na wodzy i starałem się przemyśleć sytuację najchłodniej i najbardziej obiektywnie na ile tylko było mnie stać. Czy Sziszkow wiedział coś konkretnego? Czy był to tylko jeden ze sposobów aby wymusić zeznanie? Jeżeli rzeczywiście miał jakieś dowody, po co by kazał mi pisać raport o sobie? Być może Sziszkow wymyślił tylko to oskarżenie. Starałem się zastanowić, co on mógł wiedzieć z tego, co pomijałem w swoich raportach. Myślałem gorączkowo. Komu zwierzyłem się ze współpracy z NKWD? Rosen, Pola, Puchaczewskiej i Czapecy. Razem pięć osób. Które z nich mogło się gdzieś wygadać. Rosen w więzieniu, Pola umierająca, Puchaczewskiej w Wołogdzie a Czapecy - jeśli ostatnio nie zostali aresztowani - w Kineezmie. Czegóż mogłem się dowiedzieć w ciągu tygodnia?

Wbrew umowie napisałem kartkę z pozdrowieniami do Czapeckich, by sprawdzić czy są jeszcze na wolności. Nie mogłem napisać otwarcie jakie mam kłopoty, ale prosiłem o odpowiedź. Jeśli odpowiedź nie przyjdzie będę mógł sądzić, że są areszt-

towni. Zadzwoiłem do Puchaczewskiego, zaraz w poniedziałek z samego rana. Nie mogłem o nic pytać wprost, powiedziałem mu tylko, że mam masę kłopotów i spytałem czy coś o nich słyszał. Odpowiedział, że nic nie wie i zmieniliśmy temat rozmowy. Od Czapakich nie mogłem spodziewać się odpowiedzi wcześniej niż za tydzień.

Przenyślałem sobie wszystko raz jeszcze od początku. Teoretycznie każda z tych osób mogła się wygadać. Każdy człowiek może być zmuszony do zeznań. Rosen mógł zostać zmuszony torturami w czasie przesłuchiwań, to samo mogło dotyczyć i Czapakich, jeśli byli aresztowani w związku z kontaktami z polską ambasadą. W przypadku Puchaczewskiego - byłem przekonany, że na każde pytanie władz opowie wszystko bez żadnych zahamowań. Nawet i Pola mogła wygadać coś swoim sąsiadkom na szpitalnych łózkach.

Nie wiedziałem co dalej robić. Nie miałem nikogo, komu mógłbym zaufać albo poprosić o radę. A zresztą, czy było w tej historii jakieś rozsądne wyjście? A poza tym, co miałem napisać w tym raporcie?

Spostrzegłem, że jestem śledzony, że ktoś za mną chodzi. Było to dziwne odczucie. Nikogo nie widziałem, a jednak nieustannie czułem czyjąś obecność. Początkowo sądziłem, że to nerwy płatają mi figla. Jednak nie nerwy. Kiedy późnym wieczorem wyszedłem z domu, z sąsiedniej bramy również ktoś wyszedł, a kiedy wsiadałem do tramwaju - ten ktoś również wsiadł za mną itd. Poczuliłem się już napowrót więźniem.

Późnym popołudniem wyszedłem z biura by udać się jeszcze do zakładu nr 1. W owym czasie chodzenie do pracy było dla mnie prawdziwą torturą. Na placu przed Pałacem Sowietów, zobaczyłem Nikonowa. Przyшло mi do głowy, że po raz pierwszy w życiu widzę go w świetle dnia. On również mnie dostrzegł, ale udał że nie widzi. Z pewnością jednak zmienił zdanie, zawrócił i poszedł w moim kierunku, mijając mnie, szepnął bym szedł za nim. Gdy znaleźliśmy się przy budynku partii, raz jeszcze dał mi znak bym szedł dalej za nim. Wdrapaliśmy się po schodach na ostatnie piętro i tam zapytał mnie jak mi idzie z raportem. Odpowiedziałem, mam jeszcze trzy dni do dyspozycji.

Chciałem skorzystać ze sposobności i wybadać co Sziazkin wie o mnie, ale Nikonow nie powiedział mi nic.

Zdałem sobie sprawę, iż moja roczna walka o zachowanie wolności jest już przegrana. Muszę teraz podjąć jakąś decyzję, i że nie mam już siłyby walczyć nadal. Czego mogłem oczekiwać? Wszystkie moje nadzieje zawiodły: nie udało mi się dołączyć do Wojska Polskiego generała Andersa, nie udało z dywizją generała Berlinga, ambasada polska po której spodziewałem się ratunku została zlikwidowana. Na co miałem czekać, skąd spodziewać się pomocy?

Wyznaczony termin zbliżał się do końca, jutro czas mojej wolności będzie skończony. Nie spałem całą noc, układałem w myśli raport - myślałem o moich rodzicach i bracie w Warszawie. Wstałem rano i zacząłem pisać. Najpierw do NKWD. Opisałem całą prawdę, wszystko jak było i wyjaśniłem powody: nigdy nie byłem komunistą i nigdy nim nie zostałem. Zostałem tu przeniesiony, wbrew mojej woli z innego świata, ze świata w którym wszelkie formy donosicielstwa były traktowane jako wykroczenie przeciw etyce. Podałem kilka przykładów, kiedy w czasach dzieciństwa mój starszy brat coś specjił a ja nie skarżyłem rodzicom, to ja byłem ukarany a nie on. I nigdy w życiu tego nie zapomniałem. To samo było również w szkole. Nasi nauczyciele naturalnie karali sprawę zgodnie ze szkolnym regulaminem, lecz ten kto skarżył, otoczony był ogólną pogardą, i uczniów i nauczycieli.

Tak więc to nie ja, ale NKWD działało w sposób godny nagan. Najpierw próbowało mnie zmusić do współpracy przez nadprogramowe przetrzymywanie w więzieniu, żnięć tym samym dekret o amnestii wydany przez Najwyższy Sowiec. Później orientowane mnie groźbą ponownego aresztowania i zmuszono do działania wbrew mojej naturze oraz zasadom moralnym, etycznym i patriotycznym wpajany od dzieciństwa. NKWD wymagało ode mnie bym donosił na innych Polaków, których jedynym grzechem czy przewiną było to, że pozostali Polakami i gorąco pragnęli powrotu do swego kraju. NKWD - jestem o tym przekonany - pozbawiło mnie możliwości wstąpienia do armii Berlinga bez żadnych podstępów prawnych. Mimo wszystko starałem się być lojalny wobec władz sowieckich i pracowałem jak mogłem naj-

lepiej, co moi zwierzchnicy z całą pewnością potwierdzą, zaś ewentualny brak dyskrecji w sprawie współpracy z NKWD wynikał zapewne z mego kompletnego braku kwalifikacji w tego rodzaju zajęciach. Na koniec ~~wreszcie~~^{wreszcie}, wyraziłem nadzieję, iż w niczym nie naraziłem na szkodę państwa sowieckiego.

Przeczytałem to oświadczenie raz i drugi, i wydało mi się zadowolające. Potem napisałem kilka listów osobistych, do rodziców i żony, choć od czterech lat nie miałem od nich żadnej wiadomości i nie wiedziałem ani gdzie są, ani czy w ogóle żyją. Napisałem im, że ja żyję, lecz nie wiem czy kiedykolwiek będę mógł powrócić do kraju, gdyż znalazłem się w sytuacji nie widząc żadnego wyjścia. Pisałem zaś ten list w nadziei, że wojna się skończy ^{wiec} i błagam ich, by moją sytuację przedstawili rządowi polskiemu kiedy ten się sformuje. Zakończyłem list zapewnieniem, iż mimo wszelkich trudności będę starał zachowywać się zgodnie z zasadami wymiesionymi z dzieciństwa.

Napisałem jeszcze jeden list o podobnej treści do Spychaja i Geni, prosząc ich, by po powrocie do kraju, co na pewno nastąpi w niedalekiej przyszłości, postarali się odzukać moich rodziców i oddali im mój list. Obydwa listy włożyłem do jednej koperty i odetchnąłem z ulgą.

Poczułem się teraz zupełnie spokojny. Podjąłem decyzję - napisałem donos na siebie. Nie będę już musiał tego wзыatkiego ciągnąć dalej.

Najwidoczniej jednak ostatnie dni odbiły się na moim zdrowiu, bo wazyacy znajomi zwracali uwagę na mój wygląd. Kiedy wstąpiłem do Spychaja, szczególnie Geniu była poruszona ^{MOIM WYGLĄDEM} i wreszcie nasypywała mnie pytaniami. Starałem się wyjaśnić, że jest to spowodowane zmartwieniami związanymi z beznadziejnym stanem Polii, nie wyglądała na przekonaną i wypytywała dalej. W końcu powiedziałem, że mam ostatnio różne kłopoty, których istoty nie mogę teraz wyjawiać. W każdym razie w najbliższym czasie dowie się wзыatkiego.

W poniedziałek zadzwoniłem do Sziozkowa i zawiadoniłem, że raport jest gotowy. Kazał mi przyjechać następnego dnia do biura NKWD o dziesiątej wieczorem. W ten sposób uzyskałem jeszcze jeden dzień wolności.

Po pracy jak zwykle poszedłem wprost do Poli. Byłem prawie pewny, że widzę ją po raz ostatni. Starałem się ją pocieszyć i podtrzymać na duchu, lecz nie reagowała już na to co mówiłem. Od jakiegoś czasu zdawałem sobie sprawę, że nie już jej nie oceni, ale teraz dodatkowo przygnębiła mnie myśl, oto przychodzi jej umierać samotnie, w obcym kraju i że nie będzie przy niej nikogo bliskiego. Nawet mnie. Na pożegnanie ucałowałem gorąco jej obrzmiałą i zdeformowaną twarzyczkę. Wyszedłem ze ściśniętym sercem.

We wtorek pierwszego czerwca 1943 roku poszedłem, jeszcze raz jak zwykle do pracy, a później do Spychajki. Wręczyłem Geni kopertę z listami i zobowiązałem ją słowem honoru, że nie otworzy ich wcześniej, chyba że nie pojawię się u nich następnego wieczoru. Wróciłem do domu i zacząłem zastanawiać się, co ze sobą wziąć do więzienia. Było gorące lato, byłem więc lekko ubrany. Spodziewałem się, ^{że} jesienią a może nawet zimą, zostaną zesłani gdzieś na północ. Błysnęła też nadzieja, że może i tym razem sprawa zakończy się jak ta z narynarką, może moje szczere wyznanie i tym razem mnie uratuje. Poza tym nie wydawało mi się ^(SPRAWA) ~~nie~~ atawić się u Sziszkowa przypadkowy tak, jakbym spodziewał się uwięzienia. Na wozolki wypadek włożyłem do kieszeni kawałki chleba, ostatni raz obejrzałem się po pokoju i wyszedłem.

x x x

Rozdział XXI

ZNÓW ZA KRATAMI

Tak jak w ubiegłym roku, znowu wapiąłem się po szerokich schodach ~~.....~~ ^{po wstęgu} budynku NKWD. Sziżkow zajmował teraz inny pokój, znacznie obszerniejszy i znacznie szykowny niż poprzednio. Siedział za obszernym biurkiem i najwidoczniej mnie oczekiwał. Od razu wyciągnął rękę po raport i przebiegł po nim oczami. Lecz już po kilku chwilach trzepnął pędem o blat biurka i wrzasnął:

- więc przyznajesz się, ~~.....~~ ^{Sprzedajesz nas!}

- Nie sprzedałem nikogo i nikt mi nic nie płacił. Jeśli przeczytacie mój raport, znajdziecie dokładne wyjaśnienie mego postępowania.

- Twoje wyjaśnienia nikogo nie interesują. Nie będę tracił czasu na czytanie tych krętości. Otworzył szufladę i wyjął z niej drukowany formularz.

Mój pobyt u Sziżkowa nie trwał długo. Zostałem ponownie włączony w tryby maszyny funkcjonującej bez zgrzytów i zahamowań. Po kilkunastu minutach znalazłem się już w celi. Nigdy więcej nie spotkałem Sziżkowa. Później, już w więzieniu, moi współtowarzysze niedoli wyjaśnili mi, że jego rola skończyła się z chwilą podpisania nakazu aresztowania. Jego zadanie polegało na inwigilowaniu ludzi zwolnionych z więzień i obozów, i zbieraniu dowodów w celu ponownego ich uwięzienia. To samo stało się i w moim przypadku. Na podstawie protokołu przesłuchania, wypisał nakaz aresztowania zgodnie z artykułem 121 Kodeksu Postępowania Karnego, oskarżając mnie o "zdradę tajemnicy państwowej".

Tym razem już nie dziwiła mnie starannie przeprowadzona rewizja osobista - nie była nowością. Formalności wstępne były dokonane, wepchnięto mnie do celi, w której nie było nic oprócz "paraszy".

Położyłem się na podłodze i przyznałem, że aż się sam zdziwiłem, że jestem taki spokojny. I nie tylko to. Poczułem głęboką ulgę, gra w kotka i myszkę z NIOWO skończyła się definitywnie i od tej chwili będę miał spokój, a przede wszystkim; że nigdy w życiu nie będę już musiał iść na ulicę Karola Marksa 22. Także i przebiegu śledztwa nie musiałem się zbytnio obawiać. Wszakże wyznałem w swoim raporcie wszystkie "winy" i nie obawiałem się większych komplikacji. Na twardej, gołej podłodze, zasnąłem nocnym, głębokim snem rozpoczynając pierwszą noc w trzecim więzieniu na przestrzeni trzech lat.

Następnego ranka zostałem przeniesiony do innej celi. Strażnik prowadził mnie przez bardzo długi korytarz. Zorientowałem się, że idziemy wzdłuż pasaży łączącego budynek NIOWO z ^{z "PODRĘCZNYM"} więzieniem, który często oglądałem z zewnątrz, spacerując po ulicach.

Nowa celi, całkowicie różniła się od wszystkich które dotąd poznałem - niewielka, oświetlona dużym oknem, zawierała trzy metalowe łóżka a nie prycze. Mało tego, na łóżkach były materace, koce, prześcieradła i poduszki. Wręcz luksus, jakże kontrastujący z tym co poznałem w Starej Wilejce i "na zamku" w Iwanowie.

Wszystkie łóżka były zajęte. Na jednym siedział chudy facet jakby zagapiony, na drugim blondyn o inteligentnym wyrazie twarzy. Pozwolono mi podzielić łóżko z trzecim mieszkańcem celi, ponieważ on był ostatni, który tu trafił przede mną. Zgodnie bowiem z więziennym obyczajem, wszelkie przywileje przysługują najstarszym stażem więźniom.

Okazało się, że chudy facet jest Polakiem. Pochodził z Grodna, przed wojną mieszkał w Warszawie, był jednym z kierowców prezydenckiej kolumny samochodowej, w stopniu sierżanta. Interesująco opowiadał o prezydencie Hościckim, a przede wszystkim o samochodach Zamku Królewskiego. Podczas wojny znalazł się na terenach wachodnich, skąd bolszewicy deportowali go do robót leśnych w okolicach Iwanowa. Początkowo zastąpił, że był żołnierzem i kierowcą na Zamku, z obawy przed

aresztowaniem. Podobnie, jak i ja zostałem zwolniony z poboru do armii Berlinga. Miał dziewczynę, Rosjankę, przyjaciółkę, której wygadał się kim był i gdzie pracował przed wojną w Polsce. Wkrótce po tym NKWD aresztowało go w małej miejscowości Własniki i został oskarżony o szpiegostwo. Tak oceniono jego usiłowania'; nawiąza^ł kontakt z ambasadą "faszyzowską" Polski.

Mój współtowarzysz z którym dzielić miałem łóżko, okazał się pracownikiem fabryki maszyn z Kowarowa. Był to człowiek starszy, już po pięćdziesiątce, od wielu lat cierpiący na wrzody żołądka. Okropnie bał się silnych bólów, jakie nawiedzały go regularnie po zjedzeniu więziennego chleba i kaspiety. Oskarżono go o rozkoleportowywanie ulotek o antysowieckiej treści w fabryce, w której pracował. Nie miał pojęcia o co chodzi, lecz śledczy powiedział mu, że próbki jego piśma zostały wysłane do ekspertyzy grafologicznej do Moskwy. Miały potwierdzić oskarżenie. Mój sąsiad nie widział na oczy ani próbek piśma ani ekspertyzy, śledczy zaś żądał by się przyznał. Którejś nocy, gdy obaj nie spaliśmy, on z powodu bólu, ja zaś, bo się kręcił, wyszeptał mi:

- Pan, Antoni Stiepanowiczu nie jest tutejszy. Trudno panu zrozumieć co w tym wszystkim chodzi. Pewnie, że ludzie w naszej fabryce są bardzo niezadowoleni, ale czego innego można oczekiwać? Pracuję po 12 godzin na dobę za 600 g chleba. Oni głodują, ich żony i dzieci głodują. ^{Bo} boję się mówić - boję się aresztowania. Dobrze pamiętam rok 1937. Trochę poprawiło się po odejściu Jeżowa, ^{lecz} gdy wybuchła ta przekłeta wojna, na nowo zaczęły się aresztowania. Ludzie mają usta na kłódkę. NKWD wie o ich niezadowoleniu - ale nie ma żadnych dowodów. Jestem absolutnie przekonany & może mi pan wierzyć, że ulotki sfabrykowała samo NKWD, że to prowokacja. Od czasu kiedy się pokazały, aresztowano wiele osób, w tym i mnie. Kilku urzędników, w większości robotników, samych starszych ludzi.

Trzecim współmieszkańcem celi, tym o inteligentnej twarzy, był prawnik moskiewski o nazwisku Sarafinow. Z powodów, o których nie chcę tu pisać, znalazł się w Smoleńsku pod okupacją niemiecką. Pracował tam, w małym artelu jako kassjer.

Przez dwa lata nie wiedział nic o swojej rodzinie. Kiedy Sierafim na powrót odbiło Armia Czerwona starał się powrócić do domu. Dowiedział się, że żona wraz z dziećmi przeniosła się do swoich rodziców w okolicy Iwanowa. Wkrótce jak tylko odnalazł żonę, został aresztowany. Podstawę oskarżenia stał się fakt, iż widywano go w towarzystwie Niemców, co miało świadczyć o jego współpracy z niemiecką komendanturą. Sierafimow nie przyznawał się do winy, twierdził, że musiał odwiedzać komendanturę ze względu na wykonywaną pracę. Najciekawsze w tym wszystkim jest, że jedyną osobą, która wiedziała wszystko o tym co się działo z nim w ciągu owych dwóch lat i której wszystko sam dokładnie opowiedział - była jego żona. Nie ulegało najmniejszych wątpliwości, że NKWD uzyskało informacje od niej właśnie. Jedynie, czego nie był do tej pory pewny, czy żona zadenuncjowała to dobrowolnie, czy była do tego zmuszona.

Kiedyś Sierafimow wrócił z przesłuchania w bardzo złym stanie, był tak pobity, że nie mógł utrzymać się na nogach o własnych siłach. Jako prawnik wiedział, że taki sposób traktowania więźniów, z punktu widzenia prawa, przynajmniej tego pisanego, jest nielegalny, zaś naruszanie nietykalności cielesnej więźniów - przestępstwem. Zostanowił więc zrewanżować się śledczemu i napisał skargę do prokuratora. W jakimś czasie później został wywołany z celi. Po powrocie opowiedział nam, że został zbadany przez lekarza w obecności prokuratora i sędziego. Lekarz podpisał oświadczenie, że nie znalazł śladów pobicia ani maltretowania więźnia, a Sierafimow dostał 10 dni karceru - celi o zaostrożonym rygorze za fałszywe i złośliwe oskarżenie śledczego. Tak więc - mimo, że był prawnikiem z wykształcenia nie zdawał sobie z tego sprawy, że wszyscy, i lekarz więzienny, prokurator, sędzia i śledczy nie byli niczym innym jak tylko doskonale naoliwionymi trybikami tej samej maszyny - NKWD.

Sierafimow odzyskał odbywać karę do karceru, ja odziedziczyłem jego łóżko, a zanim powrócił mnie przeniesiono do innej celi.

x x x

Rozdział XXII

ŚLEDZTWO

Warunki w wewnętrznym więzieniu NKWD, czy raczej może areście śledczym, były znacznie lepsze od tych, które ^{ze} znałem w innych więzieniach. ^{ialu}Przed wszystkim panowała tu czystość i nie było tłoku, za to dyscyplina i rygory były znacznie ostrzejsze i ściślej przestrzegane. Wstawaliśmy o szóstej rano, o dziesiątej wieczorem musieliśmy być w łózkach. Strażnik na korytarzu, przez wizjer w drzwiach miał pod stałą obserwację wszystkich więźniów, a każde nawet najmniejsze wykroczenie karane było natychmiast całą o zostrzonym rygorze. Mocne elektryczne światło paliło się pod sufitem przez całą noc. Nie można było uchronić się przed jego blaskiem, gdyż zabronione było przykrywanie głowy kocem. Regulamin nakazywał również, by ręce więźnia były widoczne przez cały czas. Miało to utrudniać ewentualne próby samobójstwa.

Surowo zabroniony był także sen a nawet krótka drzemka w ciągu dnia. W czasie trwania procedury śledczej, przesłuchiwany niejednokrotnie nie spał przez wiele dni i nocy, gdyż z reguły przesłuchania odbywały się nocą. Od dziewiątej wieczór nasłuchiwalimy codziennie, czy nie rozlegnie się zgrzyt klucza w zamku, oraz komenda: "taki a taki, wychodzić". Z przesłuchań nigdy nie wracaliśmy wcześniej niż o piątej, w pół do szóstej rano kiedy już zbyt późno było na sen, gdyż raczej był to czas pobudki. Potem następowało szesnastogodzinne walki ze zmęczeniem i znów, w nocy kolejne przesłuchania. W większości przypadków, po tygodniu, każdy przesłuchiwany przyznawał się do wszystkiego czego chciał od niego śledczy, byle się tylko trochę przespać. Zdarzały się oczywiście wyjątki. Niektórzy więźniowie stwierdzali, iż oskarżenia wysuwane przeciw nim są tak fantastyczne, że nie mogą się przyznać i opierali się tak długo na ile tylko starzało im siły. Wobec takich upartych stosowano inne metody.

Sądziłem, że skoro "wyznałem" wszystkie grzechy jeszcze przed aresztowaniem, będę w śledztwie miał spokój. Omyliłem się. Mój "śledователь" najwidoczniej nie był usatysfakcjonowany, gdyż zaczął oskarżać mnie o czyny, których nigdy nie popełniłem. Z moich dawnych doświadczeń obozowych zapamiętałem, że wszyscy "szpiegry", "sabotażyści" i "terroryci" jakich spotkałem stwierdzali, iż wszelkie argumenty i zaprzeczania nie dają żadnego rezultatu.

Przesłuchujący mnie "śledователь" nazywał się Radionow, miał nie więcej niż dwadzieścia parę lat, i na ogół nie był zły. Naturalnie w porównaniu z innymi śledczymi, o których opowiadano w celi. Inna sprawa, że i ja starałem się rozmyślnie nie sprawiać mu trudności. Ostatecznie zdawałem sobie sprawę, że wypełnia on tylko swoje obowiązki.

Radionow dość często wdawał się ze mną w rozmowy na tematy osobiste, interesował się zwłaszcza warunkami życia w Polsce. Posunął się nawet tak daleko, że opowiadał mi o swoim życiu, chcąc na własnym przykładzie udowodnić, że i w Rosji każdy oddany komuniście ma wszelkie szanse na zrobienie prawdziwej kariery. Przed wstąpieniem do służby w NKWD, pracował jako zwykły robotnik w jednej z fabryk tekstylnych Iwanowa. Był aktywnym członkiem Komsomolu - zaproponowano mu pracę w NKWD, odbył kilkutygodniowy kurs dla śledczych. Obecnie osiągnął stanowisko samodzielnego "śledowателя" w stopniu lejtenanta. W taki sposób opisał swoją karierę jako przykład wielkich możliwości. Nie wyjawiał jednak, jakie to w rzeczywistości przyczyny sprawiły, że NKWD zwróciło uwagę akurat właśnie na niego. Można się tylko domyślać, że poprzednio w swojej fabryce, najpierw był donosicielem. Miałem ochotę zapytać go, ilu ludzi posłał do więzienia nim zwrócono na niego uwagę, ale nie zapytałem.

Już w czasie pierwszego przesłuchania Radionow poinformował mnie, że będzie prowadził śledztwo na bazie artykułów 121 oraz 58 paragraf 10 Kodeksu Karnego ZSRR. Dał mi do przeczytania treść tych artykułów. Artykuł 121 głosił: "ujawnienie tajemnicy państwowej podlega karze pozbawienia wolności na lat trzy". Natomiast art. 58 § 10: "antysowiecka agitacja podlega karze pozbawienia wolności od lat trzech do kary śmierci łącznie".

Zaprotestowałem przeciw oskarżeniu o antysowiecką agitację. Naprawdę nie mogłem (sobie przypomnieć) ani jednego pojedynczego nawet epizodu, który mógłby dać podstawę do takiego oskarżenia. Radionow wyjaśnił, że organa śledcze są uprawnione do prowadzenia dochodzenia na podstawie artykułów, które uznają za właściwe i dopiero wynik śledztwa ustali czy podejrzany jest winien czy nie. No cóż, w takim oświetleniu sprawy, nie pozostało mi nic innego jak tylko zrezygnować z dalszych protestów.

Pierwsze przesłuchania polegały właściwie na opisanu historii mego życia i to w taki sposób, żeby sąd mógł wyrobić sobie o mnie opinię najgorazą z możliwych. W ten sposób, moje obszernie i tak dossier powiększyło się do objętości ponad 300 stron. Już choćby ze względu na samą objętość nie sposób go tutaj przytaczać w całości, ale kilku kawałków z tej historii nie mogę sobie darować, jako że znakomicie charakteryzują sowiecki sposób myślenia. Otóż kiedy powiedziałem, że uzupełniałem swoje studia zagranicą, Radionow przerwał mi pytaniem:

- A jak załatwiliście sobie wyjazd zagraniczny z Warszawy?

- PRZEDETM do konsulatu i otrzymałem wizę.

- Tak, ale dlaczego władze wydały wam pozwolenie na wyjazd?

- Ponieważ chciałem studiować zagranicą.

- To nie jest wystarczający powód. Byliście więc zwerbowani jako szpieg przez wasz faszystowski rząd.

Albo innym razem:

- A teraz opowiedzcie mi jasno i dokładnie, w jakim celu wasi krewni i wasz ojciec utrzymywali ściśle kontakty z rządem polskim?

- Nie mam pojęcia.

- Spróbujecie sobie przypomnieć. Będzie dla was lepiej jeśli sami to powiecie, niż żebyśmy my mieli wam to przypominać.

- Nic takiego nie pamiętam. O niczym takim nie słyszałem.

- My jednak doskonale wiemy, że wasz ojciec i wasi krewni odwiedzali często Ministerstwo Przemysłu i Ministerstwo Spraw Wojskowych.

- Możliwe. Ojciec mógł chodzić tam w sprawach interesów, ponieważ prowadził duże przedsiębiorstwo przemysłowe.

- Ja pytam czy tam chodził, a nie dlatego że o tam chodził. Więc tak, czy nie?

- Tak, chodził tam - odpowiedziałem dla świętego spokoju nie chcąc upierać się przy drobiazgach. W protokole przesłuchania przeczytałem: "oskarżony przyznaje, że jego ojciec często odwiedzał Ministerstwo Przemysłu i Ministerstwo Spraw Wojskowych, gdzie spotykał się z wysokimi urzędnikami tych resortów, a nawet z ministrami". I mógł bym dać niezliczone przykłady takiej właśnie taktyki.

Kiedyś znowu Radionow przytoczył mi pewien drobny epizod, który zdarzył się bezpośrednio przed moim wyjazdem z Warszawy. Przypomniałem sobie, że dość niedawno opowiadałem o tym zdarzeniu Geni. Wiele różnych takich detali bez znaczenia z mego przedwojennego życia znanych było Radionowowi. Zaczęłam podejrzewać, że Spychaj, Genia a i Górecki, wykorzystując naszą przyjaźń przekazywali do NKWD wszystko, co usłyszeliby ode mnie.

W ciągu następnych tygodni, dowiedziałem się od różnych spotkanych w więzieniu Polaków, aresztowanych już po mnie, że w Iwanowie przy udziale przedstawicieli władz sowieckich nastąpiła uroczysta inauguracja działalności sekcji Związku Patriotów Polskich, pod kierownictwem Bronka Spychaja. Teraz dopiero w całej jasności stanęła mi przed oczyma moja głupota, wyrzuciłem sobie nie potraktowania serio - ostrzeżenia Nikonowa. Ale Genia? No cóż, niewątpliwie musiały istnieć jakieś poważne powody, dla których sąd Rzeczypospolitej Polskiej skazał ją przed wojną na dwa lata więzienia. Pomyślałem o tym dopiero teraz. Jeśli zaś chodzi o Góreckiego - sprawa stała się dla mnie jasna dopiero w 1947 roku gdy spotkałem go na ulicy w Warszawie. Zajmował bardzo wysokie stanowisko w cenzurze państwowej.

W czasie któregoś "seesji" z Radionowem, gdy zachowywał się wobec mnie w sposób szczególnie zyczliwy, poprosiłem go by

zadzwoił do szpitala i zapytał o stan zdrowia Poli. Obiecał, że to zrobi i przy następnym spotkaniu zawiadomił mnie o śmierci Poli.

Pewnego dnia zostałem wezwany na śledztwo znacznie wcześniej niż było to w zwyczaju. Radionow wyjaśnił mi, że będzie przeprowadzona konfrontacja z osobą, która mnie zna, lecz nie wymienił nazwiska. Antoniasz Halegał bym nie próbował kłamać.

W chwilę potem do pokoju weszła ... Nelka. Popatrzyła na mnie chłodnym, wyniosłym spojrzeniem i usiadła na-przeciw, obok Radionowa. Nastąpiły normalne formalności polegające na ustaleniu faktu, iż się znamy, że nie żyjemy do siebie żadnych wrogich uczuć, jesteśmy wobec siebie obcy itd. Po tym Radionow zwrócił się do mnie:

- Czy oskarżony przyznaje, iż jego żona była kuzynką marszałka Rydza Śmigłego, i że oskarżony ^{ORAZ JEJ} (żona byli przyjmowani w domu marszałka w Warszawie?

Nic bardziej fantastycznego nawet nie mogło mi się przyśnić. Nigdy w życiu ja, ani żona nie widzieliśmy marszałka z bliska. Odpowiedziałem więc negatywnie.

Radionow zwrócił się do Nelki:

- A wy, obywatelko Maria Sawczuk, potwierdzacie swoje zeznania dotyczące oskarżonego Antoniego Ekarta, iż powiedział wam, że jego żona itd. ...

- Tak - potwierdziła Nelka - powiedział to przy świadkach w czasie moich zeznań. Patrzyła mi prosto w oczy, obojętnie jak na przedmiot.

Szczegółowy protokół tego spotkania został dołączony do moich [] akt, które z dnia na dzień stawały się coraz grubsze. Z wolna wyłaniał się z nich obraz oskarżonego a więc mój, który będąc reprezentantem rodziny wielce wpływowej, będącej w dobrych stosunkach z ministrami i dygnitarzami, spokrewniony z dyktatorem faszystowskiego państwa, wyzykiwał klasę robotniczą, odbywał podróże w sekretnych miejscach do obcych krajów na polecenie tegoż rządu itd. Nie było to wyrażone w zbyt wielu słowach, ale na sądziach mogło wywrzeć odpowiednie wrażenie, zwłaszcza że sąd ten nigdy nie będzie oglądał oskarżonego na oczy, a wydając wyrok ograniczy się wyłącznie do odczytania protokołów śledztwa.

Teraz przeszedłem do przestępstw, które popełniłem ... Po pierwsze wyzwałem na jaw, że NKWD jest w posiadaniu wszystkich listów i petycji jakie wysłałem do naszej ambasady w Kujbyszewie.

- Czy oskarżony przyznaje, że starał się dołączyć do polskiej armii w ZGRR w celu opuszczenia granic Związku Sowieckiego, by uprawiać antysowiecką propagandę zagranicą?

Starałem się wyjaśnić, iż w czasie kiedy pisałem swoje podania o przyjęcie mnie do armii formowanej przez generała Andersa, nie mogłem przewidzieć, że kiedykolwiek armia ta przejdzie do Iranu.

- No więc dobrze. Ale gdyby wcielono was do armii czy wyszlibyście razem z nią?

- Tak.

- Więc zrobilibyście to dlatego, że nie chcecie żyć w Związku Sowieckim.

- Ja tego nie powiedziałem.

- Ujmijmy to więc tak: wiemy że często wyrażaliście opinię iż chcecie wrócić do Polski tak szybko, jak to tylko po wojnie będzie możliwe.

- Tak, to prawda. Polska jest moją ojczyzną. Tam żyje moje rodzinie, tam się urodziłem i tam wychowałem. Cóż w tym dziwnego, że chcę wrócić do ojczyzny.

- A skąd macie pewność, że po wojnie w Polsce nie dojdą do władzy faszyci. Czy gdyby tak się stało, też chcielibyście wracać?

- Chcę wrócić do Polski niezależnie od sytuacji politycznej, jaka by nie była. Moje miejsce jest w domu, w ojczyźnie.

- Acha, więc przyznajecie, że wróciłibyście do faszystowskiej Polski.

- Ja tego tak nie powiedziałem. Powiedziałem, że chcę wrócić do kraju bez względu na sytuację polityczną i pomijając ją. Ale jeśli chce pan, może pan napisać, że wróciłbym do każdej Polski! Nawet faszystowskiej.

I tak to zostało uwiecznione w protokóle.

Pokrętny formalizm sowieckiego systemu sądowego, identyczny zresztą jak np. w sowieckim przemyśle i w całej strukturze machiny państwowej ujawnił się w pełni w kontekście

mojej sprawy. Z formalnego punktu widzenia dokumenty nie mogły budzić żadnych wątpliwości. Sądzę zresztą, że żaden prawnik który by się zapoznał z sowieckim kodeksem karnym a następnie przeczytał protokoły moich zeznań nie miałby nic do zarzucenia procedurze. Technika budowania oskarżenia opierała się na przygotowywaniu protokołów i przesłuchiwanie oskarżonego w taki sposób, że musiał on, czy chciał czy nie, powiedzieć dokładnie to czego ~~zrobił~~ ^{zrobił} "śledowatiel".

W praktyce jednak zarówno przebieg śledztwa, opracowanie protokołu, jak i sam wyrok zależne były wyłącznie od organów NKWD. Określenie wysokości wyroku ^{nie zależało} ~~nie zależało~~ do Moskwy, ^{która} ~~która~~ ^{decyzję} ~~decyzję~~ podejmowała w sposób automatyczny, bazując na ustaleniach protokołów i kodeksie karnym.

W więzieniu spotkałem wielu Polaków, którzy znaleźli się tu po zerwaniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a ZSRR, co stało się sygnałem masowych aresztowań wśród Polaków. Tych, których NKWD uznało za wystarczająco "prawomyślnych" wcielono do armii Berlinga, resztę aresztowano. Zrozumiałem, ^{że} ~~że~~ (zostałem zaliczony do tej drugiej grupy a mój los od dawna był już przesądzony w myśl zasady: "jak mamy człowieka to i paragraf się znajdzie". Ze zresztą ta zawiera głęboką prawdę, przekonywałem się z każdym dniem coraz dokładniej.

W jednej z cel, do której mnie przeniesiono, spotkałem bardzo wychudzonego, młodego człowieka o semickim wyglądzie, leżącego na podłodze. Powiedział, że nazywa się Blaufuchs, pochodzi z Tarnowa, gdzie jego ojciec prowadził niewielką wytwórnię dywanów. Gdy rozpoczęła się wojna uciekł z Tarnowa do Lwowa, skąd później deportowano go w głąb Rosji. W jakimś czasie później został aresztowany. W śledztwie żądano od niego by przyznał się, że został zwerbowany przez Gestapo i przesyłany do Rosji jako szpieg. Miał to uczynić w zamian za ułatwienie mu przez Niemców przekroczenia granicy.

Podczas śledztwa poddawany był torturom fizycznym i psychicznym. Trzykrotnie zmieniał się jego "śledowatiel", wielokrotnie skazywany był na karcer, ostatnio aż na dziesięć dni.

Tu muszę dodać, że w karczerze otrzymywało się wyłącznie 300 g chleba dziennie i wodę - i to stało się przyczyną jego budzącego litość wychudzenia.

- Jak mam się przynąć do czegoś takiego? - powtarzał - przecież ja nigdy w życiu żadnego Niemca na oczy nie widziałem. Uciekłem jak tysiące innych zanim oni zajęli Tarnów.

Każdego wieczoru zabierano go na przesłuchania, które trwały do rana, często powracał z nich pobity. Raz w środku nocy, gdy wrzucano go do celi, obudziłem się. Ponieważ inni spali, zaczął mi się żalić:

- Już nie mam siły, znowu grozę mi karczerem. Podpisałbym im wszystko co chcę. Nie ważne co się później stanie. Ale co mam powiedzieć? Skąd Niemcy mogli trafić akurat do mnie i jak mnie mogli werbować? Niech mi pan powie, był pan przecież zagranicą. Jak Niemcy wyglądają? Niech mi pan pomoże.

Był to w istocie dylemat. Chciałbym pomóc biedakowi w uprawdopodobnieniu jego "przestępstwa". Byłem przekonany, że w tak nie zdoła udowodnić swojej niewinności, bo jeszcze nie słyszałem żeby NIKOŚ nie dowiedźł winy komuś, kogo raz dostało w ręce. Jego skazanie, tak czy inaczej było już zdecydowane. Najważniejszą sprawą było teraz znalezienie sposobu na uniknięcie dalszego maltretowania chłopca.

Jedyną ~~byłem~~ ^{byłem} byłem absolutnie niekompetentny w sprawie udzielenia mu rady. Nie miałem zielonego pojęcia o metodach jakimi posługiwało się Gestapo, o szpiegostwie i w ogóle tego rodzaju sprawach. Nigdy też w życiu, o ile wiem nie spotkałem nie tylko niemieckiego, ale nawet polskiego agenta wywiadu. Nie miałem pojęcia w jaki sposób montowana jest siatka szpiegowska, ani jak się agentów werbuje. Co gorzej nie byłem nawet odczytany w literaturze sensacyjnej.

Blaufuchs był bardzo rozczarowany. Nalegał abym przynajmniej opowiedział jak Niemcy wyglądają, jakie mają mundury, jak się zachowują i jak mówią. W rezultacie wymyślił sobie bajeczkę, która przez kogoś bardzo łatwowiernego może mogłaby uchodzić za prawdopodobną.

Po kolejnym przesłuchaniu wrócił do celi zadowolony z siebie i uspokojony, przyniósł paczkę machorki, skręcił papierosa także dla mnie i oznajmił:

N No i dzięki Bogu. Teraz wreszcie zostawię mnie w spokoju. Przyznałem się. Kazali mi szczegółowo opowiedzieć jak zostałem zwerbowany. Opowiedziałem więc historię, którą wymyśliłem na podstawie tego co mi pan powiedział. "Śledowatiel" wszystko to episał a ja podpisałem, nawet nie czytając. Był bardzo zadowolony, dał mi machorkę i powiedział, że gdybym się przyznał od razu to bym oszczędził sobie dużo zdrowia. No, teraz nareszcie się wyśpię.

Bardzo się jednak omylił. Pozwolono mu spać tylko trzy noce. Na czwartą ponownie został wywołany. Wrócił pokrwawiony i posiniaczony.

- I znowu wszystko zaczyna się od początku. Teraz biję za fałszywe zeznania. Śledczy był wścickły. Jego przełożeni zwrócili mu protokół z uwagą, że historia z Gestapo nie jest prawdziwa. Pobił mnie i musiałem się przyznać, że wszystko to sam wymyśliłem żeby mieć spokój. I znów dał mi karcer. Już nie ma dla mnie żadnego ratunku ... - wzdychał zdesperowany.

Miałem trochę więcej doświadczenia więziennego niż on i zrozumiełem co się zdarzyło. Otóż protokoły, zanim zostaną odesłane do Moskwy dla ostatecznej decyzji studiowane są przez oficerów wyższej rangi. Również i Moskwa czasami odeśle materiały śledztwa jeśli są nieporadnie opracowane i zawierają sprzeczności, nieprawdopodobieństwa czy błędy merytoryczne. Dla kariery prowadzącego śledztwo i jego przełożonych przynosi to fatalne skutki. Dlatego też wszelkie dokumenty są starannie sprawdzane pod względem formalnym i prawnym.

W tej sprawie, niedoświadczony "śledowatiel" episał historyjkę Blaufuchsa w protokóle i trafiło to w niego rykoazetem. Jego wścickłość była więc całkiem uzasadniona.

W innej celi poznałem księgowego z małego artelu w Jerewie. Kiedy powiedziałem o niedawnym pobycie w jego mieście, twarz mu się rozjaśniła. Był bardzo rad, gdy powiedziałem, że "jego" Jereweta, gdzie spędził całe życie jest miastem, które mi się bardzo podobało. Widocznie nabrał do mnie zaufania, bo opowiedział mi swoje dzieje.

W wyniku trudności wojennych urtel, w którym pracował nie mógł wykonać zaplanowanej produkcji i zaczął wykazywać finansowe straty. Miejscowe NKWD wzywało go wraz z dyrektorem na nocne przesłuchania. Dyrektor, członek partii, oczyścił się ze wszelkich zarzutów, zwalając całą winę na księgowego. Okazało się, że księgi są w najlepszym porządku, zaś dokumenty wykazały, iż nie można mu zarzucić ani niedbałstwa ani błędów, ^{nie można tym też było zarzucić} że nie informował dyrektora w odpowiednim czasie o prawdziwym stanie przedsiębiorstwa. Trudno więc było w tej sytuacji aresztować buchaltera. Ale pewnego dnia, z jakiejś tam okazji zaprosił kolegów do domu. Swego czasu, dawno temu, jeszcze w latach dwudziestych prowadził rozległą korespondencję zagraniczną i z tamtych lat zechował koperty ze znaczkami i stemplami. Jak każdy kolekcjoner pochwalił się swymi zbiorami zaproszonym gościom.

W kilka dni po tym koleżeńskim zebraniu, zjawiło się w nocy NKWD. Znaczki i koperty zostały skonfiskowane a ich właściciel aresztowany. Znalazł się w więzieniu oskarżony o szpiegostwo.

- Dlaczego wygadałem się o tych znaczkach? Było by znacznie lepiej gdyby aresztowano mnie za nadużycie gospodarcze albo za niedbałstwo. Dostałbym pięć lat i byłbym traktowany jak pospolity przestępca. Mógłbym być zwolniony jak się wojna skończy. A tak jestem skazany za szpiegostwo. Jestem "polityczny" z artykułu 58 i moje życie zostało zmarnowane ...

x x x

Rozdział XXIII

ARTYKUŁ 58

Jedną z najbardziej tragikomicznych spraw, z jakimi zdarzyło mi się spotkać w więzieniu, była historia "terrorysty-podpalacza". Jego pojawienie się u nas, powitane zostało powszechnym rozbawieniem. Proszę sobie wyobrazić: otwierają się drzwi i staje w nich bosonogi chłopaczek, drobny i wychudzony, wyglądający najwyżej na 7-8 lat, strażnik wpycha go do celi, w której znajdują się "szpieg", "sabotażysta", no i ja - groźny agitator.

Wania, ^{jak się okazało} miał lat 12, oskarżono go o podpalenie fabryki tekstylnej w Wiaźnikach, w której pracował wraz z matką. Specjalna ustawa wydana w pierwszym okresie wojny zezwalała na zatrudnienie dzieci w przyfabrycznych szkołach wakacyjnych, lecz w praktyce dzieci wykonywały normalną pracę robotnika.

W fabryce wybuchł pożar. Dochodzenie ustaliło przyczynę, stał się nią niedopałek papierosa. Ustaliło też, że tym, kto rzucił ów niedopałek był nasz Wania. Nic w tym niezwykłego, często widywałem w Rosji 6-8 letnie dzieci palące papierosy.

Wania od razu przyznał się do wszystkiego. Wtedy kazano mu wskazać tego, kto polecił mu wywołać pożar i poinstruował jak to zrobić. Chłopiec zapewniał, że nikt mu nic nie kazał ani nikt nie instruował, niedopałek zaś rzucił przez głupotę. NKWD w Wiaźnikach oczywiście nie chciało dać mu wiary.

- Jeśli powiesz, kto cię nauczył jak podpalić, pozwolimy ci wrócić do matki - powtarzało się w niekończoność. Kiedy to nie dało wyników, przesłano go do Iwanowa i wszystko zaczęło się od początku.

Wania nie był ale traktowany w więzieniu. Otrzymywał specjalne racje żywnościowe dla małoletnich, przesłuchiwany

był tylko w ciągu dnia i ciągle obiecywano, ^{mu} zwolnienie. Jeśli wakała tego kto go instruował. Lecz chłopiec nie miał nic do powiedzenia, nam tylko zwierzył się, że w więzieniu ma lepiej niż w domu, dostaje bowiem więcej jeść i nie musi chodzić do pracy, któregoś dnia wrócił do celi z całym koszykiem pożywienia. Pozwolono mu zobaczyć się z matką w obecności śledczego. Zapewniono też ^ozwolnieniu na następnym dniu. Matka czekała na niego i ^{musiała} zabrać ^{go} do domu.

Istotnie, następnego ranka wywołano go z celi wraz z rzeczami. Jeśli naprawdę został zwolniony, był to jedyny przypadek jaki znam, kiedy z więzienia śledczego podejrzany wyszedł na wolność.

Podczas mego obecnego pobytu w iwanowskim więzieniu śledczym spotkałem jeszcze wielu interesujących ludzi, oskarżonych o działalność kontrrewolucyjną, licznych robotników z miejscowych fabryk oskarżonych o wyłudzenie jedzenia w kantine, żołnierzy aresztowanych ze dezercją ^{którzy} sołżnili się z przepustki do jednostek, Rumuńskich i węgierskich Żydów, którzy uciekli przed Niemcami do Rosji, esperantystę - który dwadzieścia lat wcześniej brał udział w jakimś kongresie międzynarodowym i utrzymywał korespondencyjne kontakty z innymi esperantystami ^w wielu, wielu innych.

Śledztwo w mojej sprawie doszło już do punktu kulminacyjnego. Charakterystyka mojej osoby, oraz historia mojej "zdrady tajemnicy państwowej" - wszystko to już zostało spisane i zakończone.

Sprawa utknęła na próbie przypisania mi, a raczej przypięcia artykułu 58, Wiedziałem co to oznacza. Przypomniałem sobie łagry w Kargopolu, Władimirze i Bogoliubowie. Otóż w ZSSR nie ma żadnych formalnych różnic między więźniami politycznymi a niepolitycznymi. Ale odrębną kategorię stanowią "skazani z artykułu 58". Składają się nań: szpierzy /paragraf 8/, sabotażyści /14/, osoby działające destrukcyjnie /7/, sławcy antysowieckiej propagandy /10/, terroryści /2/ itd. Okrucieństwo wyroku nie ma znaczenia, ale osoba raz ska-

zana z artykułu 58 jest napiętnowana na resztę życia, nawet jeśli uda się jej wyjść z obozu. Pamiętałem niewidomego księdza i starego nauczyciela z Szuji spotykanych w więzieniu "na zanku" w Iwanowie, którzy mimo odbycia całych wyroków tkwili w więzieniu nadal.

Kiedy więc Radionow oznajmił, że śledztwo skoncentruje się teraz na wyjaśnieniu rozszewrania przez mnie antyradzieckiej agitacji, przestępstwa z artykułu 58 starałem się przeciwstawić. Mój upór kosztował mnie kilka, albo może i kilkanaście nieprzespanych nocy. Regularnie jak w zegarku, każdego wieczoru zaczęto zabierać mnie na przesłuchania, w chwili kiedy tylko zacząłem zasypiać.

Radionow nie znał żadnego faktu, który mógłby stanowić nie tylko dowód, ale choćby tylko punkt zaczepienia dla utrzymania tej właśnie tezy oskarżenia. Nalegał więc abym sam się przyznał: "Tak będzie dla was lepiej. Dostaniecie mniejszy wyrok". Próbował starego triku, lecz nie mogło to dać efektu. Akurat pod tym względem ^{MIAŁEM} zupełnie czystą hipotezę.

Przez cały czas, kiedy byłem na wolności, starałem się być wyjątkowo ostrożny w rozmowach z ludźmi. Na wszelkie pytania znajomych Rosjan i kolegów w pracy, dotyczących warunków w Polsce czy zagranicą wymigiwałem się zawsze nieokreślonymi odpowiedziami.

Po którejś z kolei nieprzespanej nocy poczułem, że mam już dość i opuszczają mnie siły. Zaczęłem zastanawiać się, czy ^{NIE} wymyślić jakiejś historyjki w rodzaju tej Blaufuchsa, tylko lepiej opracowanej w szczegółach. Nie chciałem narażać się ani na karczer ani na pobicie, ale na szczęście do tego nie doszło. Podczas kolejnego nocnego przesłuchania Radionow nieoczekiwanie oświadczył:

- Dobrze, skoro nie chcecie się przyznać dobrowolnie, przedstawię wam świadka.

Zastanawiałem się skąd on weźmie świadka o trzeciej nad ranem? A poza tym kto to mógłby być? Broniek Spychaj? Genia? Bo tylko z nimi wdawałem się w poważniejsze rozmowy. Ale nie zgadłem. Chudy, brodaty człowiek w łachmanach został wprowadzony do pokoju. Para wielkich, rozgorączkowanych oczu polyskiwała w zaróżnionej twarzy.

- Oskarżony Rosen, czy znacie tego człowieka? - usłyszałem głos Radionowa.

Przyjrzałem się dokładnie zabiedzanej postaci i wydało mi się niemożliwe, żeby to mógł być Rosen. Pamiątałem go jako dużego, tryskającego energią i humorem zdrowego człowieka, pełnego coraz to nowych pomysłów. I zdałem sobie sprawę, że minął już rok od naszego ostatniego spotkania. Wyędniała postać poruzyła ustami:

- Tak - Bez wątpienia, był to głos Rosena.

- A wy, oskarżony Ekart, znacie tego człowieka?

- Tak.

Dalej nastąpiły znane formalności, identyczne jak podczas konfrontacji z Nelką. Radionow protokółował każde słowo.

- Oskarżony Rosen, czy potwierdzacie swoje zeznania, że oskarżony Ekart, podczas spaceru na dziedzińcu szpitalnym w czerwcu 1942 roku powiedział: "wolność słowa i wolność prasy były więkaze w Polsce niż w Związku Sowieckim" oraz "w moim przekonaniu, główną przyczyną głodu w Rosji nie tylko w czasie wojny, ale i przed wojną, jest kolektywizacja wsi"?

Rosen skinął głową i powiedział: tak.

A wy oskarżony Ekart, czy przyznajecie, że wypowiedzieliście przytoczone słowa w opisanych okolicznościach?

- Tak - powiedziałem, były to istotnie słowa, których użyłem.

- To wszystko, co chciałem od was wiedzieć - powiedział Radionow i podszedł do drzwi, by wezwać strażnika. Jakby ożywieni tą samą myślą spojrzeliśmy sobie w oczy.

- Wybacz Antoni - szepnął Rosen, nie mogłem wytrzymać ... torturowali mnie ...

- O czym rozmawiacie? - Radionow podbiegł i stanął między nami. W tym momencie pojawił się też strażnik i wyprowadził Rosena, nigdy go już nie zobaczyłem. Natomiast później, w łagrze spotkałem dwóch Polaków, którzy przez pewien czas dzielili z nim celę. Opowiadali mi, że Rosen przeszedł w śledztwie prawdziwe piekło, wielokrotnie trzymano go w karczerze. Wśród wielu innych oskarżeń zarzucano mu szpiegostwo na rzecz Intelligence Service. Dostał 15 lat z artykułu 58 § 6.

Narazie jednak nic jeszcze o tym nie wiedziałem. Nie miałem do niego żalu, ani tym bardziej żadnych pretencji. Wręcz przeciwnie byłem dlań pełen podziwu i uznania. Był jedynym człowiekiem w Iwanowie, który wiedział o mnie dosłownie wszystko. Ile musiał przecierpieć nim wydobyto z niego tylko tyle? Do dziś jeszcze mam w uszach jego ostatnie, niedopowiedziane zdanie ...

W każdym razie konfrontacja z Rosenem uwolniła mnie od konieczności wymyślanie bajeczek typu Blaufuchsa. To, że przyznałem się w trakcie konfrontacji, przyjęte zostało za wystarczający dowód na poparcie oskarżenia z art. 58. Radionow, zadowolony z siebie uznał wreszcie śledztwo za zamknięte.

Oczywiście starałem się bronić dowodząc, że prywatna rozmowa z redakcją, który sam doskonale wiedział jakie warunki panowały w przedwojennej Polsce - nie może być w żadnym wypadku uznawana za antysowiecką agitację. Co innego może, gdybym mówił to do obywatela ZSRR, moim kolegom w pracy czy robotnikom w piekarniach, ale ...

- Uważacie, że moglibyście wejść na podwyższenie i szczerze przeciw władzy sowieckiej - przerwał Radionow. Tego rodzaju działalności wrogów ludu, już dawno temu położył kres nasz mistrz, towarzysz Feliks Dzierżyński i jego czekiści. Dzisiaj, wrogom ludu, pozostaje jedynie szepczana propaganda. Naszym zadaniem jest łamać i niszczyć takich agitatorów.

Ostatnim aktem dochodzenia wstępnego, ^{była} rozmowa z prokuratorem. Jego podpis miał potwierdzić, że prowadzący śledztwo trzymał się ściśle procedury, oskarżony składał zeznania dobrowolnie a przepisy prawa nie zostały naruszone. O wizycie prokuratora zawiadomił mnie Radionow, dodając, że z pewnością nie mam powodów do składania skarg.

Prokurator pojawił się w cywilnym ubraniu, co miało jak sądzę dowodzić, że nie ma on nic wspólnego z NKWD i reprezentuje prawo. Zachowywał się w sposób sztywny i urzędowy.

- Czy oskarżony ma jakieś uwagi dotyczące sposobu prowadzenia śledztwa?

Powiedziałem, że pewne szczegóły zostały celowo w protokole przesadnie wypunktowane by przedstawić mnie w szczególnie niekorzystnym świetle.

- Zapoznałem się dokładnie z dokumentami i nie zauważyłem żadnych niedosłatków. Każda strona dokumentów jest własnoręcznie podpisana przez oskarżonego. Czy chcecie powiedzieć, że oficer śledczy zmuszał was do podpisu? O które fragmenty chodzi oskarżonemu?

- Jest tam np. fragment przedstawiający mnie jako fałszywą. Ja zaś fałszywą nie jestem ...

- Chyba nie oczekujecie, że uwierzemy wam, iż jesteście komunistą? - przerwał mi. A jak ^{sa^{tu}} byście się określili?

- Uważam siebie za demokratę - powiedziałem. Prokurator milczał przez chwilę, wreszcie odezwał się:

- Są dwa rodzaje demokracji: fałszywa, burżuazyjna demokracja i prawdziwa, nasza demokracja sowiecka. Za jakiego demokratę się uważacie?

- Dla mnie słowo demokracja ma tylko jedno znaczenie - odpowiedziałem bez zastanowienia.

- Jesteście w ZSSR dość krótko, więc jeszcze nie wiele wiecie. Spróbujcie wyjaśnić wam to na przykładzie. Wstaniecie z krzesła.

Nie wiedziałem do czego ma to prowadzić, lecz posłusznie wstałem. Prokurator wstał również, przeeedł do kąta pokoju, przekrzywił głowę i popatrzył na krzesło:

- Widzicie, wszystko jest relatywne, zależy od punktu widzenia. Na przykład patrzę teraz na wasze krzesło i widzę, że ma cztery nogi. Ale teraz ... - przekręcił głowę trochę w lewo - teraz widzę tylko trzy nogi. Rozumiecie?

- Zrozumiałem na waszym przykładzie, że można nie widzieć rzeczy, których nie chce się widzieć. Ale krzesło ma i zawsze będzie miało cztery nogi, niezależnie od punktu widzenia.

Nuezę się przyznać, że byłem bardzo zadowolony z tej odpowiedzi. Prokurator pomilczał chwilę, wreszcie rzekł:

- To zresztą bez znaczenia. Stwierdzam, że śledztwo prowadzone było właściwie i zgodnie z przepisami. Nie zawiera żadnych uchybień.

I wyszedł z pokoju.

Po tej rozmowie pozostało właściwie już tylko kilka formalności. Zgodnie z artykułem 204 k.p.k. wszystkie dokumenty oskarżony winien własnoręcznie podpisać. Nadzedł więc dzień.

kiedy Radionow zjawił się z grubą teczką akt, dał mi pióro, atrament, arkusz papieru i oznajmił:

- Przeczytajcie wszystkie te dokumenty raz jeszcze bardzo starannie. Tu, na kartce, możecie wypisać wszelkie uwagi i komentarze. Pamiętajcie jednak, że wyrok w dużej mierze zależy będzie od mojej opinii o was, ~~o~~ ~~ta~~ dołączona zostanie do akt.

W obozie spotkałem kiedyś człowieka dobrze zorientowanego w sowieckiej procedurze karnej. Wiedziałem, że Radionow powiedział prawdę. Istotnie, wyrok w ogromnej mierze zależał od opinii jakę prowadzący śledztwo wystawiał oskarżonemu. Jego opinia bowiem stanowi sugestię NKWD w sprawie wysokości wyroku. Zazwyczaj sąd przyjmuje sugestię śledczego i potwierdza ją wyrokiem. Zdarza się czasem, że podwyższa karę. O przypadku zmniejszenia bądź uniewinnienia, nigdy nie słyszałem.

Zabrakło mi cierpliwości, żeby jeszcze raz przeczytać stronę po stronie opasłe tomisko moich akt. Powiedziałem Radionowowi, że właściwie wszystko dobrze pamiętam i żadnych zastrzeżeń nie zgłaszam, po czym dopełniłem formalności wymaganej przez artykuł 204. W nagrodę dostałem trochę machorki i mogłem wrócić do celi.

Miałem więc śledztwo za sobą, związana z nim presja pod jaką żyłem przez kilkanaście tygodni ustąpiła, zaczęłem zastanawiać się nad moją sytuacją. Kończył się właśnie wrzesień, zza okna dochodziły dźwięki orkiestry, która w pobliskim parku przygrywała do tańca. Echo wolności. Rok temu, o tej porze, do tego właśnie parku często z Polą wychodziłem na przechadzkę.

Teraz z poczuciem wyższości człowieka lepiej poinformowanego przysłuchiwałem się rozmowom moich współtowarzyszy w celi i ich naiwnym nadziejom na poprawę doli po opuszczeniu więzienia, kiedy to znajdują się już w obozie. Wydawało się im, że lagier będzie lepszy, będą pracować w swoim zawodzie, będą mieli możliwość swobodniej się poruszać, jeść do syta ... Milczałem. Po co nieszczęść iluzje?

Rozmyślałem o wielu problemach i byłem bliski religijnego mistycyzmu. Oszczedłem do przekonania, że moje życie już się właściwie skończyło, czas jaki mi jeszcze pozostał i rodzaj powolnego umierania, jakie nieuchronnie musi w obozie nastąpić nie ma dla mnie ~~już~~ praktycznie żadnego znaczenia. Spodziewałem się wyroku nie mniejszego niż 10 lat łagru.

Oswajałem się z tą myślą i pogodziłem ze śmiercią. Ostatecznie był to czas wojny, i gdyby okoliczności ułożyły się inaczej, równie dobrze mógłbym zginąć na froncie. Z pewnością byłaby to inna śmierć niż powolne, zwierzęce konanie z wyniszczenia, które nieuchronnie czekało mnie w obozie. Trudno ... Nie piszę powieści psychologicznej, więc dość na temat przeżyć duchowych z tamtych czasów.

Rano 14 października 1943 roku kazano mi zabrać rzeczy i wyjść z celi. Sierżant NKWD odczytał z kartki maszynopisu wyrok: "oskarżony Antoni Ekart został skazany zgodnie z artykułami 121 oraz 58 paragraf 10 kodeksu karnego na dziesięć lat pracy przymusowej w obozie w Workucie".

Tego samego wieczoru, pod ścisłą eskortą w grupie dwunastu więźniów po raz ostatni przeszedłem ulicami Iwanowa. Było już chłodno. Miałem na sobie jedynie letnie ubranie - w którym 1 czerwca przekroczyłem bramę ~~budynku~~ NKWD. Minęliśmy znajome zabudowania dworca kolejowego. Daleko, na bocznicach, poza zasięgiem wzroku zwykłych podróżnych stał samotny, znajomy mi wagon. Znowu znalazłem się w "stolypince".

Żaden z nas więźniów nie miał pojęcia gdzie leży Workuta.

x x x

Rozdział XXIV

PÓLNOCCNE WROTA

Nie zapamiętałem żadnych szczególnych wydarzeń z tej podróży. Transport był taki sam jak wtedy, gdy przed laty więziono nas do Kargopolu, tak samo przepełniony wagon i identyczna procedura. Jedno tylko można było zapisać na korzyść, nie było wśród nas "urków". Po czterech dobach jazdy kazano nam wysiadać. Na jakimś budynku przeczytałem napis: KOTŁAS. Nigdy przedtem nie słyszałem nie o tej miejscowości, nie miałem nawet pojęcia gdzie ona leży.

Pędzono nas przez miasto jak stado baranów. Tym razem już ani strażnicy, ani psy, nawet grubiaństwo eskorty nie robiły na mnie wrażenia. Ponaglani przez strażników ezliśmy szybkim krokiem. Po wielu miesiącach pobytu w więzieniu nie byłem w najlepszej kondycji, z wysiłkiem przychodziło mi nadążyć za innymi. Niewiele pamiętam więc z tego przemarszu przez miasto: zaniedbane, brudne ulice zabudowane rzędami niskich, monotonych drewnianych domów, tu i ówdzie grupka zagapionych przechodniów. Za miastem skręciliśmy na błotnisty trakt, który doprowadził nas do obozu. Tym razem wieże strażnicze i ogrodzenia zwieszzone rzędami drutu kolczastego już były mi znane i również nie robiły większego wrażenia. Jeden z moich butów utknął w błocie i spadł z nogi. Szliśmy tak szybko, ciągle popędzani, że nie miałem czasu nałożyć go z powrotem. Tak więc brzęk kolejnego w moim życiu obozu przeszedłem w jednym bucie - drugi trzymając w ręku. Pamiętam - bardzo długo staliśmy za brzęk. Czułem się przereźliwie samotny, w grupie z którą przybyłem nie zauważyłem nikogo z kim chciałbym nawiązać jakikolwiek kontakt. Byłem pewny, że w takich warunkach nie przetrzymam dziesięciu lat życia. Zobojętniałem na wszystko.

Natomiast znacznie lepiej zapamiętałem barak, do którego wieczorem nas zapędzono: wysoki, obczerny z czterema rzędami podwójnych prycz pod każdą ścianą, po środku duży żeliwny piec. Ludzie w więkzości już spali w mdłym świetle słabej żarówki zawieszonej pod sufitem. Prycze były zatłoczone, nawet na podłodze leżeli pokotem uśpieni więźniowie. Położyłem się i ja na gołej, polnej błote podłodze, bez przykrycia i niczego pod głowę. Mimo to, w moim stanie zubożenia i zmęczenia, zasnąłem od razu.

Następnego ranka zbudzono nas i pognoniono do pracy zanim jeszcze weszło słońce. Zostałem przydzielony do brygady niejakiego Ławrientiewa. Na początku mieliśmy usunąć podkłady kolejowe z dawnej, niepotrzebnej już bocznicy. Podkłady te tkwiły głęboko w zamrzniętym gruncie, należało je więc poluzować, załadować na taczkę i przepchnąć do obozu po dróżce z ułożonych desek, a później ~~trzeba~~ je ^{było} jeszcze przenieść i ułożyć na sterwie. Podkłady te miały być użyte jako opał w kuchni i w łaźni. Była to Praca to dość ciężka, ale nie taka jakiej doświadczyłem w łagrach Kargopola, Władimira czy Bogoliubowa.

Obecny mój obóz nazywał się "Peresilnyj Punkt Kotłaskowo Selskochozjaestwennego Łagieria" czyli - Punkt Tranzytowy Kotłaskiego Rolniczego Łagru. Jego głównym zadaniem było przejmowanie więźniów z terenów całego ZSSR i rozdzielanie ich do licznych obozów pracy rozrzuconych w autonomicznej republice Komi: Sewełgorłagu, Sewdwinłagu, Peczerstroju i Workutstroju, a także organizowanie transportu więźniów do innych obozów. Tu selekcyjonowano więźniów, rozdzielano ich do różnych prac, tu też odbywały się niezbędne formalności, przegląd lekarski itd. Więźniowie nazywali łagier w Kotłask "wrotami na północ" ponieważ każdy więzień zesłany na północ przejść musiał przez Kotłask.

Wszystkie wymienione obozy usytuowane są na najbardziej mroźnym, jałowym i omiatanym sztormami cyplu, najbardziej na północny-wschód wysuniętego zakątka Europy, w tundrach i w arktycznym klimacie.

Kraina ta za czasów panowania carów była właściwie prawie niezamieszkała, poza nielicznymi od wieków żyjącymi tu ludami

ugrofińskimi Syrynianami, zajmującymi się łowiectwem i rybo-
łóstwem wzdłuż wybrzeży Morza Białego & Arktycznego. Ludyte
nazywają siebie "Komi".

Problemem ludności a raczej jej braku, rząd sowiecki roz-
wiązał w szczególny sposób. Od czasu kiedy odkryto tu bogate
złóża węgla kamiennego nad rzeką Workutę, małym dopływem Usy
łączącej się z Peczorą oraz złóża naftowe w regionie rzeki
Ukty, a także od czasu kiedy ^{Władze} rozpoczęły eksploatację bogatych
i dotąd nieotkrytych rąk człowieka niekończących się obaza-
rów leśnych na zachód od Uralu aż po krąg polarny NKWD ze-
szło na te tereny setki tysięcy ludzi.

Kotłas, biorąc pod uwagę szerokość geograficzną jest
dużym miastem, liczy ponad 30 000 mieszkańców. Położony na
brzegu Dwiny Północnej w jej górnym biegu trochę na południe
od wioś Dwińska-Witegda, jest ważnym węzłem kolejowym
na trasie Kirów-Archangielsk oraz punktem startowym, od któ-
rego w 1939 roku rozpoczęto budowę kolei do północnych krań-
ców gór uralskich. Kolej ta biegnie teraz z Kotłas przez
Kniaziogorsk, Kozwę, Abex do stolicy arktycznego regionu wę-
glowego - Workuty. Na większości dostępnych mi teraz map za-
chodnio-europejskich linia ta w ogóle nie jest zaznaczona.
Natomiast więźniowie opowiadali, że jej odgałęzienie biegnę
aż do wybrzeży Morza Arktycznego a stamtąd przy pomocy promu
łączą się z Nową Ziemią, gdzie odkryto najbogatsze w Rosji
złóża niklu, kobaltu, miedzi, wolframu i innych niezbędnych
minerałów. W obozie utrwaliła się pewność, iż z Nowej
Ziemi nikt nigdy nie wraca. Kiedy przebywałem w łagrze w Koz-
wie w 1946 roku, spotkałem kilku więźniów-inteligentów, któ-
rzy opowiadali mi szczegóły budowy tej kolei /wróć do tego
później/. W każdym razie, kolej ta została wybudowana wyłącz-
nie rękami więźniów.

Nasz obóz w Kotłas, położony był na brzegiem Dwiny, samej
rzeki jednak nie mogliśmy zobaczyć, gdyż oddzielała nas od niej
ściana lasu. Kotłas stanowi centrum grupy obozów o tej samej
nazwie, lecz nie są one związane z naszym obozem tranzytowym.
Więźniowie naszego obozu żyją w przekonaniu, że im dalej na
północ zostaną zesłani, tym mniejszą będą mieli szansę na
przetrwanie, znają też obozy z których nie wraca się w ogóle.

Wśród nich Workuta, miejsce do którego mnie skierowano ma bardzo złą opinię.

W obozie przejściowym, życie codzienne i niepisane reguły zachowań różnią się znacznie od tych, które obowiązują w innych łagrach. Wszystko tu jest prowizoryczne i do tej prowizorki musimy się dostosować. Każdy, w każdej chwili może być gdzieś przeniesiony. Często zdarza się, że strażę przychodzi do pracujących brygad by zabrać kogoś do formującego się właśnie transportu. Często, wracając wieczorem do baraku, nie zastało się już więźniów, których widziało się jeszcze rano. Taka sytuacja sprawia, że w stosunkach między więźniami wszystko jest dozwolone. Brygadzieta, który w innym obozie stara się nie utracić swojej pozycji, tu myśli jedynie o tym by najęść się jak najwięcej zania go wywiazę, i zebrać jak najwięcej odzieży, póki to możliwe.

Mój szef Ławrientiew, nie był ani lepszy, ani gorzy od innych. Żywność, w związku z ciągłym jej niedostatkiem wydawano nie poszczególnym więźniom lecz brygadziestom do podziału wśród pracowników brygady. Rezultat był taki, że więźniowie otrzymywali za ledwie resztki należnych im racji. W konsekwencji, systematycznie wzrastała liczba chorych. Opowiedano, że w 1941 roku w obozie Kotłas były trzy baryki szpitalne, teraz było ich ^{dziesiąt} trzynaście.

Zawsze przy przyjeździe nowego transportu, liczba więźniów wzrastała do tego stopnia, że nie zawsze znajdowano dla nich pracę. W takich sytuacjach, kierownictwo obozu wynajmowało więźniów różnym instytucjom w mieście za ruble, albo za ekwiwalent w produktach. Ustaloną cenę było 12 rubli za dobę pracy więźnia. Ci, którzy znali się na rachunkach twierdzili, że oficjalny koszt utrzymania więźnia w obozie wynosił nie więcej niż 5-6 rubli dziennie. Tak więc zysk był znaczny.

Na tej zasadzie wysyłany byłem do pracy w elewatorze zbożowym i w tartaku. Praca w elewatorze polegała na ładowaniu ziarna w worki pięciopudowe /ok. 50 kg/ i przenoszeniu ich na plecach do wagonów. Choć była to mordercza robota, to jednak

przynajmniej można było zjeść trochę ziarna a nawet wynieść. Mimo rewizji w elewatorze i w obozie na bramie, często udawało się przemyścić trochę ziarna, które można było ugotować albo wymienić na tytoń.

Gorzej w tartaku, tam nie było nic do jedzenia. Komendant obozu wolał jednak wysłać nas do tartaku, ponieważ nie płacono tam w rublach, zawsze niewiele wartych, ale w drewnie budowlanym, które w obozie było zawsze potrzebne, i o które zawsze było bardzo trudno.

W listopadzie wszystko co żyło, nawet "pridurki" zostało zapędzone do innej roboty. Przypłynęły wielkie barki należące do łagiernego kombinatu. Spłynęły w dół Dwiny pełne warzyw, kartofli, kapusty i buraków. Należało je rozładować w największym pośpiechu, gdyż lada moment rzeka mogła zamarznąć. Rozładunek trwał całą dobę "na okrągło" aż do opróżnienia barek i złożenia ładunku do magazynu. Każda zmiana trwała 12 godzin bez przerwy i ^{praca} (bez chwili wytchnienia. Nocna zmiana, od szóstej wieczorem do szóstej rano była szczególnie wyczerpująca. Byłem tak zmęczony, że nawet nie jadłem surowych buraków i kapusty, tak jak inni. Najgorzej jednak był powrót do obozu. Po dwunastu godzinach nocnej pracy musieliśmy jeszcze przez dwie godziny stać na placu, by odbyć odczytywanie listy, nim pozwolono nam iść do baraków.

W mojej brygadzie nie zbliżyłem się z nikim. Nie było w niej ani Polaków, Bałtów czy innych zapadników. Wszyscy byli Rosjanami i to tego gatunku, chyba najgorszego z możliwych. Chociaż starałem się zachowywać powściągliwie i z umiarem, nikomu nie ubliżałem ani się nie kłóciłem, otaczała mnie atmosfera kolektywnej animozji, żeby nie rzec - nienawiści. Moi współtowarzysze w brygadzie zachowywali się wrogo, ponieważ byłem inny niż oni. Czułem, że pragną mnie upokorzyć. Na każdym kroku spotykałem się z brutalnością i chamstwem, wiele godzin snu musiałem poświęcić by ustrzec się przed okradzeniem. Zdawałem sobie sprawę, że nigdy mnie nie zaakceptują, byłem wśród nich obcym niepożądanym elementem. Trzymałem się więc na uboczu, choćby już dla tego, że nie używałem ich okropnego słownictwa i plugawych przekleństw, które w obozie były codziennym językiem. Rozmawiałem z nimi jak najmniej.

nigdy nie opowiadałem ani o mojej przeszłości, ani o wykształceniu. Ich nienawiść nie miała nic wspólnego z "walką klasową". Była instynktowna i osobista.

Zacząłem "dojrzewać" już po miesiącu. W gwarze obozowej termin ten oznacza "dojrzewać" na cmentarz. Wychudłem, ręce i nogi miałem jak patyki, odczuwałem znane mi niegdyś symptomy choroby głodowej i zupełnie opadłem z sił. Chociaż wszyscy wiedzieliśmy, że rzadko komu udaje się wracać ze szpitala, było mi wszystko jedno. Chciałem bodaj przez kilka dni móc uwolnić się od wyniszczającej pracy a jeszcze bardziej od konieczności ocierania się przez 24 godziny na dobę o tłum nienawistnych ludzi.

Zgłosiłem się do sanitariusza, który przyjmował w małym, ciemnym namiocie. Podniósł płachtę wejściową i popatrzył na mnie:

- Och, nie ... ze wcześniej na szpital. Zresztą tam nawet nie ma miejsca - odrzekł i dał mi jakieś proszek.

Wróciłem znowu do pracy. Kończył się listopad, zima była w pełni, mroźna i śnieżna. Byłem w moim letnim ubraniu, dostałem jeszcze fufajkę i także spodnie. Stopy owijałem w gałgany i przywiązywałem sobie do nóg podszewy zrobione ze starej opony. Ale na tutejszą zimę to było za mało.

Dowiedziałem się, że szefem służby sanitarnej obozu jest dr Raisa Siemionowna Buhin. Więźniowie, którzy mieli szczęście ją spotkać powiedali że jest osobą wyrozumiałą i po ludzku dobrą. Trudność polegała na tym, żeby się do niej dostać. Można to ^{było} załatwić za łapówkę ^u sanitariuszki, Saniteriuszem ^{był} Besarobianin nazwiskiem Akerman, kiedyś bogaty kupiec zbożowy. Kiedy Armia Czerwona zajęła jego kraj, został aresztowany jako "element nieprawomyślny" i skazany na 5 lat łagru. Zapewne zadziałał fakt, że obaj byliśmy "zapadnikami", gdyż skierował mnie do szefowej bez żadnej łapówki.

Doktór Raisa Siemionowna Buhin była drobną, kruchą kobietą o niskiej powierzchowności. Przyjęła mnie ciepło i ze zrozumieniem. Zainteresowała się moją przeszłością i zdarzeniami.

które doprowadziły mnie tutaj. Kiedy wysłuchała wszystkiego, powiedziała:

- Dobrze wiem, co to znaczy być więźniem w łagrze. Jestem na wolności dopiero od miesiąca. Sama byłem tu więźniem. Zgodnie z tym co widzę, rzeczywiście nie nadajecie się do pracy. Dam wam zwolnienie na trzy dni. Proszę zgłosić się do mnie gdy termin minie.

Po trzech dniach dr Buhan odesłała mnie do dr Bergera w baraku szpitalnym nr 10. Był to barak dla "częściowo chorych", którzy nie wymagali w zasadzie opieki medycznej, ale tak osłabionych i przemęczonych, że wszystko czego im było trzeba to trochę odpoczynku i odpowiedniego pożywienia. Gdyby je otrzymali, zwłaszcza jedzenie, łatwo by odzyskali zdrowie i siły. Lecz nawet tu jedzenia nie było. Mieli więc szansę przeżyć jeszcze parę tygodni, czy kilka miesięcy, by później jako już poważnie chorzy znaleźć się w szpitalu i tam umrzeć po następnych kilku tygodniach.

Wszedłem do baraku, było tam ciemno i zimno prawie jak na zewnątrz. Oświetlała go jedynie słaba żarówka umieszczona na suficie między belkami. Leżało tu 120 ciał ludzkich i panował okropny zaduch przyprawiający o mdłości. Na końcu baraku było niewielkie przepierzenie z dykty, za nimi mieściła się przestrzeń życiowa doktora Bergera.

Otworzyłem drzwiczki zawieszane na gumowych zawieszach ze starej opony i znalazłem się we wnętrzu. Dzięki małemu okienku, powietrze było nieco świeższe, za to było tu zimniej. Na łóżku siedział mężczyzna okryty czarnym futrem z wydrowym koźnierzem, w ręku trzymał grubą księgę, która zasłaniała twarz.

- Proszę usiąść i poczekać - powiedział nie podnosząc oczu.

Usiadłem i czekałem w milczeniu. Doktor zapomniał jakby o mojej obecności. Nad jego głowę wisiała puszka z palącym się knotem, rzucając migotliwe światło na księgę. Wreszcie odłożył ją, ale nadal wydawało się, że zapomniał o mojej

(obecności)

Zaczął coś pisać kredą na tabliczce z twarzą napiętą skupieniem. Trwało to dłuższą chwilę.

- W porządku. Zgadza się - powiedział wreszcie. Podniósł oczy i spotkał moje spojrzenie.

- Proszę wybaczyć, że kazałem panu czekać, ale to jest mój jedyny ratunek w tym okropnym miejscu. Jedyna ucieczka. Kiedy rozwiązuję jakiś problem matematyczny, zapominam o wszystkim innym. Podniósł kciuk, bym mógł zobaczyć tytuł: "Wyższa matematyka, część I. Rachunek różniczkowy". Tabliczka zastępowała papier, który w sowieckich obozach jest rzadkością.

- Słyszałem już o panu od Raisy Siemionownej - powiedział. Przyjechała pana, żebyś spróbował tu znaleźć panu jakieś zatrudnienie. Praca w szpitalu nie jest naturalnie przyjemnym zajęciem, ale w tych warunkach jest jedyną szansą ocalenia. Jak długo pan tu jest?

- W Kotłach dopiero 6 tygodni. Musiałem jednak opowiedzieć co robiłem przez ostatnie trzy lata.

- Dlaczego został pan aresztowany? - zapytał w końcu, ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, zaraz dodał: - głupstwo, to bez znaczenia. Jaki ma pan wyrok, ile lat i z jakiego artykułu?

- Artykuł 121 oraz 58 paragraf 10, razem dziesięć lat.

- Rozumien - powiedział - ja też dostałem dziesięć lat z artykułu 58, ale z paragrafu 13. Niech pan sobie wyobrazi, że byłem tu już chyba ze trzy lata, nie dowiedziałem się wreszcie co ta "13" oznacza. Otóż oznacza "przynależność do kontrrewolucyjnej organizacji poza granicami ZSRR" - i po chwili dodał: "nie bolszewicy okupowali Litwę, byłem przeze mnie litewskiej organizacji syjonistycznej. Czy pan także jest syjonistą?

- Nie, jestem Polakiem.

Popatrzył na mnie chłodno i nieprzyjaźnie:

- A więc pan się wynarodowił. Asymilant?

- Nie, chyba nie można mnie nazwać asymilantem. Może ktoś mógłby tak powiedzieć o moich dżiadkach, ale ja urodziłem się i wyrosłem jako Polak. Jestem polskim obywatelem.

Wiele czasu musiało upłynąć nim dr Berger - z którym zdążyliśmy się zaprzyjaźnić - przyznał, że po tym oświadczeniu

w pierwszym odruchu miał mnie ochotę bezzwłocznie wyrzucić za drzwi. Wtedy jednak nie zauważyłem nawet, że się wali walczył z ogarniającą go awersją wobec renegata, za którego mnie uznał. Później mi powiedział, że w tej samej chwili ujęła go moja szczerość, i że ~~iz~~ nie próbuje wykorzystywać sytuacji przyznając się do syjonizmu by wyciągnąć z tego korzyść, lecz mówię prawdę. Przyznał, że poczuł do mnie pewien respekt.

- Proszę wrócić na salę i zgłosić się do sanitariusza, żeby przydzielił panu miejsce. Warunki są tu okropne, ale w każdym razie lepsze niż w brygadzie. Jutro pana zbadam. Jest pan zagłodzony, tutaj racje żywnościowe są mniejsze niż minimum konieczne do życia. Jako szef tego baraku, otrzymuję pewną nadwyżkę żywnościową, lecz teraz panu nie pomogę. Jest tu w krytycznym stanie pewien rabin z Wilna i jemu muszę pomóc.) Spróbuję również załatwić panu jakąś pracę w baraku szpitalnym, kiedy to będzie możliwe. Może też, załatwię panu jakąś dodatkową porcję z kuchni. Niewiele, może trochę zupy. No dobrze, dobranoc.

W PIERWSZYM RZĘDZIE.

X X X

Rozdział XXV

BARAK NUMER PIĘĆ

Byłem w marnej kondycji fizycznej, ale od razu zabrałem się do roboty. Do moich obowiązków w baraku nr 10 należało prowadzenie księgowości, zestawianie list przyjmowanych i wypisywanych chorych, wypisywanie zapotrzebowań na leki i żywność ^{przez} wszelkiego rodzaju statystyki.

Spałem na pryczy, między pacjentami, czułem się jak w niebie, w bardzo zimnym niebie co prawda, ale jednak. Wielu pacjentów cierpiało na biegunkę. Silniejsi okradali słabszych, toczyła się walka o chleb, o machorkę, o byt.

Nie minęło wiele dni, gdy wśród pacjentów spotkałem tego dawnego znajomego - Rogowa, ekonomistę z "Rozgławschleba" w Iwanowie. Nigdy bym go chyba nie poznał, gdyby nie nazwisko, które wydało mi się znajome. Pomyślałem, to może on.

Był już w bardzo ciężkim stanie. W ciągu kilku miesięcy, jakie minęły od naszego ostatniego spotkania, stał się innym człowiekiem. Postarzał się bardzo, twarz miał pomarszczoną, zaszarzałą, trawiła go wysoka gorączka, lecz chęć prowadzenia rozmów i filozoficznych rozważań pozostała niezmienną.

Dostał dziesięć lat za "przynależność do kontrrewolucyjnej organizacji" i to samo spotkało jeszcze kilku pracowników kombinatu. Ich "kontrrewolucyjna organizacja" polegała na tym, że kilku kolegów, pracujących w tym samym przedsiębiorstwie spotykało się po pracy w prywatnym mieszkaniu, piło wódkę i rozmawiało. Czasem, wśród tych rozmów zdarzały się i tematy polityczne, a właściwie takie, które tylko ktoś pełen złej woli mógłby za polityczne uznać. Lecz ten ktoś doniósł i to wystarczyło. Śledztwo "udowodniło", że Rogow brał w nich udział.

Teraz, będąc już w obozie, Rogow starał się nawiązać kontakt ze swą rodziną w Iwanowie. Możliwość otrzymywania paczek

żywnościowych, jest w obozie kwestią życia lub śmierci, bez nich właściwie nie ma szansy na przeżycie. Wysyłał listy, ale nigdy nie otrzymał na nie odpowiedzi. Pozostawało sprawę nierozstrzygniętą czy była to wina poczty i cenzury obozowej, co w żęgiernym języku nazywało się, że "poczta obozowa ich zabiła", czy rodzina wyrzekła się go i postanowiła z nim zerwać. Sam Rogow nie potrafił tego wyjaśnić.

Kiedy opowiadałem jak rosyjscy współtowarzysze niedoli mnie traktowali, przerwał mi:

- Jestem w złym stanie i niedługo w tym łóżku umrę. Nie wiele mam już do stracenia. Na koniec więc mogę przygajmniej powiedzieć o sprawach, nad którymi od dawna myślałem i wyrobiłem sobie o nich własne zdanie. Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że bolszewickie rządy zniszczyły wszelkie chrześcijańskie zasady moralne ponieważ nie interesują ich relacje człowieka z drugim człowiekiem, a jedynie relacje człowiek a państwo. Czy zdaje pan sobie sprawę, że potrzeba jeszcze dwóch, trzech pokoleń wychowanych przez bolszewików, a cała ludność Rosji przemieni się w urków. Dwieście milionów urków, z których tylko wybrani będą potrafili posłużyć się jakimś urządzeniem mechanicznym lub bronią. Pan narzeka, że będzie cudzoziemcem i człowiekiem kulturalnym był źle traktowany przez Rosjan. A jak oni traktują sami siebie? Już od najwcześniejszego ^{DZIECIŃSTWA} wpaja im się nieufność do ludzi wykształconych i niewiść do obcych. Od samego dzieciństwa wszelkie przejawy przyzwoitości czy uprzejmości są wyzydzane, jeśli nie wręcz uważane za podejrzane jako przejaw burżuazyjnych tradycji. Jak można im pomóc skoro nikt nigdy nie starał się nawet uczyć ich szacunku do drugiego człowieka, nie mówiąc już o czym takim, jak miłość bliźniego. To czego doświadczają od najmłodszych lat - to głód, nędza, poniewierka i zupełny brak wartości ludzkiego życia. Jest pan tutaj wystarczająco długo, żeby to zrozumieć.

- Można przecież spotkać w Rosji i ludzi przyzwoitych i ludzi wykształconych.

- Można spotkać, można spotkać - przedrzeźniał ironicznie. Jeśli ktoś ma szczęście, to spotka, tak pan powinien powiedzieć. Przyzwoici ludzie, to głównie starsi ludzie, albo tacy.

którzy od wczesnego dzieciństwa znaleźli się pod wpływem ludzi starszych pamiętających dawne, bardziej ludzkie czasy. Ale gdzie ich pan spotka? Kto zaś dominuje? Dominują urkowie. I to po obu stronach drutu kolczastego. Niech mi pan powie jaka jest różnica między urką a tym pańskim Sziżkowem, czy jak tam on się nazywał. Powiadam panu, nie ma żadnej różnicy, tyle tylko może, że "śledowatiel" jest lepiej ubrany oraz potrafi pisać i czytać, ale dusze mają jednakowo małpie. Całe NKWD to urki w mundurach. To oni w dzisiejszych czasach reprezentują ten kraj od szczytów do samego dna. Żeby żyć w Rosji, w dzisiejszych czasach, trzeba mieć duszę urki, trzeba być bestią, kryminalistą, szpiclem i donosicielem. Wszystko jest dozwolone i akceptowane, pod warunkiem, że się kocha partię i Stalina. Urkowie, zresztą też kochają swoją organizację, też są wobec siebie lojalni, też mają swoje sądy kapturowe, które wcale nie są gorsze czy mniej sprawiedliwe niż te państwowe kierowane przez NKWD. Cała Rosja to nie więcej tylko urki, urkę i jeszcze raz urki ...

Twarz Rogowa stała się purpurowa, ślina spływała mu po brodzie. Ostatnie słowa wykrzykiwał *petłuchin głosem*, aż inni pacjenci zaczęli na nas zwracać uwagę. Głośno więc powiedziałem, że najeczny w gorączce.

Za moją pracą, która wcale zresztą nie była tak wyczerpująca, otrzymywałem dodatkową porcję zupy. Zupa była cienka, ale jednak przestałem tracić na wadze.

Personel baraku nr 10 poza szefem, dr Bergerem, składał się z dwóch sanitariuszy pracujących na zmianę: Olszowskiego i Sulejmana, pielęgniarza Kazimira Patazenki i jego pomocnika Władimira oraz Asii przełożonej, czyli osoby zajmującej się rozdawaniem pożywienia. Stanowiliśmy dość zgrany zespół, współpracujący sprawnie i bez większych utarć, a jeden chętnie pomagał drugiemu. Później okazało się, że Asia była kochanką Patazenki, nie więc dziwnego, że dostawał on większe porcje żywności niż inni. Drugim jej ulubieńcem był przyjaciel Patazenki - Władimir - również Ukraińiec, i on też otrzymywał zwiększone porcje.

Sulejman pochodził z Azerbejdżanu, z Baku - tam studiował medycynę, zanim w 1937 roku został aresztowany. Studia po-

mogły mu przetrwać na "funkcji" sześć lat, z dziesięciu jakie dostał za działalność kontrrewolucyjną. Był człowiekiem milczącym i ostrożnym, nigdy nic nie mówił o swojej sprawie. Za to z Olszowskim rozmawialiśmy dużo i często. Może zbliżyło nas to, że pochodził z Iwanowa. Okazało się nawet, iż spędziliśmy w tym samym czasie w jednym więzieniu. Olszowski miał 24 lata i studiował przez cztery lata w Instytucie Medycznym w Iwanowie. Był aresztowany wraz z grupą studentów, z której dwaj znaleźli się w tym samym obozie ^{choć} pracowali w ^{innych} różnych barakach. Olszowski twierdził, że ich aresztowanie miało charakter czysto prewencyjny, wszyscy bowiem mieli "złą" przeszłość, jakieś haczyki w życiorysach. Olszowski, gdyż jego rodzice w 1937 roku zostali aresztowani jako wrogowie ludu i od tej pory ślad po nich zaginął. NKWD całkiem słusznie przyjęło za pewnik, iż człowiek, którego rodzice zostali aresztowani i przepedli bez śladu nie może być lojalny wobec władzy. To samo, w różnej mierze odnosiło się do jego kolegów. W czasie przesłuchań okazało się, że Olszowski od czasu aresztowania rodziców, znajdował się pod ścisłą obserwacją zarówno w czasach szkolnych, jak też i na uniwersytecie. NKWD wiedziało o nim wszystko i tak np. dawno 6-7 lat temu, jeszcze w szkole średniej wraz ze swym kolegą Ustinowem podczas szkolnych zajęć z chemii, spowodowali w laboratorium drobny wybuch. Po aresztowaniu zostali oskarżeni również i o to, że eksperymentowali z materiałem wybuchowym w celu produkcji bomb mających służyć akcjom terrorystycznym - czyli o ten ten przypadkowy wybuch. Dostali obaj po dziesięć lat.

Moje relacje z doktorem Bergerem zaczęły w sposób naturalny stawać się coraz bardziej zażyłe. Wiele rozmawialiśmy - zauważyłem jednak, że rozmyślnie powstrzymuje się od wszelkich uwag krytycznych w odniesieniu do władz, czy warunków w obozie. Nie wynikało to z braku zaufania. Było raczej konsekwencją doświadczeń i zrozumienia, że od tego zależy utrzymanie pozycji. Dr Berger w ogóle niewiele mówił o sobie. Szczegóły

jego ciekawego życiorysu poznałem raczej od innych osób w obozie, które znały go jeszcze z okresu przedwojennego.

Doktor Berger był jednym z prominentnych przywódców litewskich syjonistów i z tej racji trzykrotnie przed wojną odwiedził Palestynę. Był także osobistym przyjacielem wybitnych postaci z kręgów syjonistycznych jak Zabożyński, dr Weizman czy hebrajski poeta Bialik. Ten ostatni był nawet jego gościem w Kownie, gdzie dr Berger kierował szpitalem żydowskim, uznawanym za najlepszy i najbardziej nowoczesny na Litwie.

Kiedy rozpoczęła się sowiecka okupacja Litwy, kierownictwo organizacji syjonistycznej, chcąc być lojalne wobec nowej władzy zwróciło się zapytaniem, czy może kontynuować swoją działalność. Utrzymali zgodę, ale pod warunkiem udostępnienia archiwów i wszelkich dokumentów.

Lecz los dr Bergera, jak mi opowiadano, zdecydował się nie w wyniku udostępnienia archiwów, ale znacznie wcześniej - już w czasie pierwszego spotkania personelu jego szpitala z władzami sowieckimi, kiedy to wybrano go do rady zakładowej. Wszyscy członkowie tej rady po kolei wygłaszali wiernie []] poddańcze przemówienie. Tylko on jeden takiego przemówienia nie wygłosił. Znalazł się na czarnej liście.

Tuż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, na tydzień czy dwa, na Litwie rozpoczęły się masowe deportacje inteligencji, wkrótce objęły one i Kowno. Dr Berger ^{deportowany} był ^{już} ~~jednym~~ z pierwszych. Sam mi kiedyś opowiadał, że jedna z ^{wywiezionych} grup, do której i on należał, pędzona była piechotą, setki kilometrów przez bagniste pustkowia Karalii. Grupa ta składała się z wybitnych przedstawicieli inteligencji litewskiej, ludzi w większości starszych, on sam również był człowiekiem po sześćdziesiątce. Po wielu trudach w końcu znaleźli się w obozie koło Mołotowska w okolicach Anchariela, gdzie Rosjanie budowali nową bazę morską wykorzystując tysiące więźniów wśród nich wielu cudzoziemców, głównie Polaków i Bałtów. Berger zaczął pracować tam w szpitalu, ale wkrótce rozpoczęło się w jego sprawie śledztwo i otrzymał 10 lat z art. 58.13. Trzeba tu też dodać, iż żadna z tych osób przed deportacją z Litwy nie była sądzona, nie miała wyroku skazującego, a zabierano je na podstawie list proskrypcyjnych.

Więźniowie, którzy przebywali z dr Bergerem w obozie w Mołotowsku opowiadali mi o pewnym dość charakterystycznym wydarzeniu. Otóż pewien zupełnie zdrowy człowiek w niezłej kondycji fizycznej został umieszczony w baraku, w którym pracował dr Berger. Był to oficer NKWD, który pełnił funkcję szefa transportu więźniów. Konwojował 700 więźniów z Karelii do obozu gdzieś w głębi Rosji. Wszyscy ci więźniowie zmarli na śmierć z braku opału. Do celu dojechała tylko eskorta. Jej szef został skazany na pięć lat obozu za poważne naruszenie obowiązków służbowych. Oficer ten jednak zaraz po przybyciu do obozu otrzymał różne przywileje, miejsce w szpitalu, a po kilku miesiącach pobytu w obozie został wypuszczony na wolność, w wyniku rewizji procesu.

W czasie mego blisko sześcioletniego pobytu w łagrach bardzo rzadko zdarzało mi się spotkać funkcjonariusza NKWD. Zgodnie z tym co mówili wiarygodni, starzy więźniowie dawniej było wiele wypadków linczowania enkawudziistów w łagrach. Nie ma wątpliwości, że i wielu spośród nich było karanych łagrom. Można więc przyjąć, iż skazani enkawudziści zamykani byli do specjalnych obozów, odizolowanych od zwykłych mieszkańców i reszty kraju. Więźniom tych obozów nie wolno było komunikować się z żadną osobą z zewnątrz. Plotki zaś głosiły, że skazani enkawudziści stanowili personel administracyjny jednego z najbardziej ciężkich obozów na północy, na Nowej Ziemi oraz w północno-wschodniej Azji pomiędzy rzeką Leną a Oceanem Spokojnym. Nikt, nigdy nie został z tych obozów zwolniony. Najwidoczniej NKWD uznawało tych więźniów za skazanych na śmierć a wyrok za wykonany.

Dr Berger bez wątpienia był wybitnie zdolnym lekarzem. Budził zaufanie i zwracał ogólną uwagę swoim spokojem i opamiętaniem. W grudniu 1943 roku, na skutek zmian, zwolniło się miejsce kierownika baru nr 5, który miał specjalny charakter, gdyż kierowano tu ciężkie przypadki chorobowe, trudne do zdiagnozowania, ofiary wypadków itp. Dr Berger został wybrany spośród innych lekarzy i wziął mnie ze sobą. Jego wpływ na szefa całego szpitala był tak duży, iż nie spotkało się to ze sprzeciwem.

Barak nr 5 zrobił na mnie relatywnie dobre wrażenie. Był drewniany jak inne, ale wewnątrz miał znacznie lepiej rozplanowane. Dla lekarzy przewidziano w nim dwa oddzielne pokoiki, z wyjściem na zewnątrz i ten rodzaj pewnej izolacji sprawił dr Bergerowi prawdziwą przyjemność.

Główna sala była tu o wiele lepiej wyposażona niż w innych barakach. Zamiast dwupiętrowych prycz, chorzy mieli metalowe łóżka z pościelą.

Jeśli chodzi o mnie, cieszyłem się wprawdzie zaufaniem dr Bergera, ale nadal groziło mi podwójne niebezpieczeństwo. Nie należałem do załogi szpitala i co gorsze, nie miałem żadnego medycznego przygotowania, zaś urzędnicze zajęcia jakie tu wykonywałem nie było oficjalne. Ciągłe byłem tylko pacjentem szpitala i nic więcej. Gdyby zbadał mnie teraz lekarz z zewnątrz, w każdej chwili mój status mógł się zmienić. Z drugiej zaś strony, nasz obóz był przecież obozem tranzytowym, każdego dnia odjeżdżały stąd transporty w różnych kierunkach i ciągle wisiało nade mną moje przeznaczenie - Workuta. W takim wypadku, protekcja dr Bergera była niewystarczająca. Sam przecież był więźniem.

W porozumieniu z naczelnym lekarzem obozu, dr Berger postanowił uczynić ze mnie sanitariusza. Aby nim zostać, musiałem jednak *odbyć* najbardziej podstawowe szkolenie i zdobyć elementarną przynajmniej wiedzę medyczną, co musiało potrwać minimum trzy miesiące. Po tym, mógłbym zostać zaliczony do najniższego personelu szpitalnego. Tak, ale czy uda mi się uniknąć wywózki i przetrwać te trzy miesiące?

Dr Berger obejmując barak nr 5 odziedziczył również jego załogę: dwie pielęgniarki, Marię Makeymowną i Tatianę Iwanowną, sanitariusza Kułakowa oraz pewną niechlujną Tatarkę zajmującą się pobieraniem żywności z kuchni i rozdzielaniem jej wśród chorych. Dr Berger doskonale wiedział, że główną przyczyną chorób jego pacjentów jest krańcowe wygłodzenie, dlatego też największą wagę przywiązywał do sprawiedliwego rozdziału pożywienia. Wkrótce jednak wyszło na jaw, że owa Tatarka okrada chorych i przehandlowuje ich porcje. Została więc natychmiast zwołana w rozdziałem zajęła się jedna z sióstr, co przysparzało jej dodatkowej pracy. Taki stan rzeczy trwał

blisko dwa tygodnie, aż pewnego dnia dr Berger wróciwszy z obchodu obozu oznajmił:

- Zdaje się, że wkrótce będziemy mieli nową pracownicę. Obserwowałem kobiety ładujące szczepy do wagonów. Jedna z nich pracowała z taką niewymuszoną godnością i dumą, że aż budziło to szacunek. Kazałem jej się do nas zgłosić.

Wkrótce rozdziałem zynności w naszym baraku zajęła się Jelena Jakowlewna i trudno było o lepszy wybór. Intuicja dr Bergera nie zawiodła i tym razem.

Nasza nowa pracownica pochodziła z Leningradu, przed wojną pracowała w jakimś biurze jako kontyentka. Mąż jej został zmobilizowany, ją zaś podczas oblężenia Leningradu ewakuowano do Kotłaa i dostała pracę w którymś z okolicznych tartaków. Miała 32 lata i była bardzo piękną kobietą.

Jej los zdecydował się, gdy w 1942 roku poznała szefa polskiej misji wojskowej w Kotłaa, majora Zielińskiego. Natychmiast po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między ZSSR a rządem polskim, cała polska misja z majorem Zielińskim została aresztowana. Wkrótce też aresztowano i Jelenę Jakowlewną, powodem zaś była jej znajomość z polskim majorem. Innych oskarżeń nie wniesiono.

W trakcie śledztwa wyjaśniała, że w czasie ich znajomości major Zieliński był reprezentantem kraju alianckiego i oficerem powstającej za zgodą ZSSR i na jego terytorium - sojuszniczej armii. Ale oczywiście wyjaśnienia te, nie miały żadnego znaczenia, jak również i to, że nigdy nie rozmawiali na tematy polityczne. *W trakcie trwania* ich znajomości nie mogła ^{przeciwnie} przewidzieć że będzie on później aresztowany i skazany za szpiegostwo. Jelena Jakowlewna dostała trzy lat łagru z art. 58.17. Paragraf 17 powiada, że przestępstwo nie musiało wcale zaistnieć, ale mogło zaistnieć, albo też mogło być tylko zaplanowane.

Kiedy Jelena Jakowlewna opowiadała mi tę historię, nie przypuszczała nawet, że w naszym baraku przebywa major Zieliński i stan jego zdrowie jest już beznadziejny. Napisałem "stan beznadziejny" i natychmiast przypomniałem sobie doktora Bergera, który nigdy nikomu nie pozwolił używać tego określenia.

- W czasie mojej czterdziestoletniej praktyki lekarskiej przekonałem się nieskończoną ilość razy, że lekarz tak długo nie może nazywać żadnego przypadku beznadziejnym, jak długo pacjent żyje - nawiał przy takich okazjach, nawet wtedy gdy sam nie miał żadnych złudzeń. Wiedział przecież doskonale, jeżeli warunki w szpitalu się nie poprawią, wielu pacjentów musi umrzeć.

Major Zieliński był wilaninem. W baraku nr 5 jego sąsiadem został ów rabin z Wilna, którym dr Berger opiekował się specjalnie i przeniósł go tutaj z poprzedniego baraku. Leżeli teraz łóżko obok łóżka, obaj bardzo zadowoleni, mogąc rozmawiać po polsku oraz wspominać znane im wileńskie ulice i zakątki. Szybko zaprzyjaźnili się i przynajmniej w ten sposób można było wpłynąć na poprawę ich kondycji. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy by ich uratować, lecz stopień wyniszczenia był tak wielki, że żadne dodatkowe porcje chleba czy kaszy, które im przemycaliśmy nie mogły pomóc. Potrzebne były albumeny, wysokowartościowe odżywki i witaminy - ale tych w obozie nie było.

Mjr Zieliński dostał 15 lat z artykułu 58.6 za szpiegostwo na rzecz Wielkiej Brytanii, rabin jako "element niebezpieczny społecznie" miał wyrok dziesięcioletni.

Pewnego dnia szepnąłem majorowi, żeby przygotował się na niespodziankę. Jelena Jakowlewna weszła do pokoju. Pozdrowili się bez słów, długo trzymali się za ręce.

Major żył jeszcze kilka tygodni, rabin dziesięć dni dłużej.

Teraz rozpoczął się dla mnie okres upartej i wytężonej pracy jak nigdy dotąd. Była to wręcz walka o ocalenie. Ciało zmarłych^{ch} które codziennie wynosiliśmy z baraku uświadamiły mi co może mnie czekać, jeśli nie wykorzystam szansy jaką dostałem. Zdawałem sobie sprawę, że tylko szczęśliwy przypadek sprawi, iż nie jestem jednym z tych ciał. Przestałem myśleć o czymkolwiek innym, przestałem interesować się wojną, polityką, wazytkim. Opanowała mnie tylko jedna myśl: jak prze-

kształcić się z inżyniera w sanitariusza, najszybciej jak to możliwe.

Miałem w owym czasie wiele roboty administracyjnej, która w warunkach obozowych zajmowała lekarzom więcej czasu niż sama opieka nad pacjentami. Doktor Berger nienawidził tej roboty, uważał ją za niepotrzebną i bezsensowną, zwłaszcza - że potrzebny był wozdzie, wzywano go nawet do chorych poza obrębami obozu do funkcjonariuszy NKWD i ich rodzin. W rezultacie cała praca administracyjna: organizowanie żywności, pościeli, środków sanitarnych itp. spadły na mnie - lecz te wszystkie zajęcia nie chroniły przed niczym. Musiałem wygospodarować sobie czas na naukę medycyny. Najwięcej oczywiście nauczyłem się od doktora Bergera. Codziennie od ósmej do południa odbywał on obchód chorych, w którym brał udział cały personel i ja także. Uczestnicząc w tych obchodach starałem się zmobilizować całą swoją inteligencję by zrozumieć jego objaśnienia i polecenia. Po dokonaniu oględzin chorych dr Berger obowiązany był ich wyniki zapisać w dzienniku szpitalnym, a spostrzegłszy mój czytelny i raczej techniczny charakter pisma, zlecił mi pisanie wszelkich raportów pod dyktando. Początkowo niewiele rozumiałem z tego co mi dyktował, stopniowo jednak zaczęłem oswajać się ze specyficznym językiem medycznych terminów.

Zajęć praktycznych uczyłem się od pielęgniarek. Były one zawsze nadmiernie przebiegane. Jedną z nich Tatjana Iwanowna nie była już więźniem a pracę w obozie przyjęła na zasadzie kontraktu - jako zawodowa pielęgniarka. Obie nie miały nic przeciwko temu, że wyręczał je w zajęciach. Mam im wiele do zawdzięczenia, a zwłaszcza Marii Makeymownie. To ona nauczyła mnie robić zastrzyki, najpierw podskórne i domięśniowe a następnie i dożylnie. Zawsze też asystowałem im przy rozdziale leków, a że znałem dobrze łacinę jeszcze ze szkoły, wkrótce mogłem to robić nie gorzej niż one. Maria Makeymowna, pani po czterdziestce, w obozach i więzieniach przesiedziała pięć lat. Jej mąż był kapitanem statku, w 1937 roku został aresztowany i przepadł bez wieści. Rychło i ona podzieliła jego los, skazano ją na pięć lat z art. 107. Pracując jako pielęgniarka

w obozie w Karelii poznała tam Raisę Siemionowną Buhan, która później została szefem służby medycznej w obozie w Kotłas i która ją tutaj ściągnęła. Od niej dowiedziałem się też szczegółów sprawy doktor Buhan. Jej mąż był wysokim urzędnikiem w komisariacie ludowym przemysłu tekstylnego i stał się ofiarą czystki 1937 roku. W tamtych czasach aresztowano także żony i bliskich krewnych "wrogów ludu". Tysiące żon skazywano na pięć lat robót przymusowych jedynie z tego powodu, że kiedyś, przed laty poślubiły "wroditiele". Osoby tej kategorii według nomenklatury NKWD określano skrótami - ChSiR, czyli x) "Chłon Samyje Izmanika Rodiny" - "Członek Rodziny Zdrajcy Ojczyzny".

x x x

x) Łaпер Siергге Јагненица Родины

Rozdział XXVI

MEDYCYNĄ I TROCHĘ MIŁOŚCI

Mozna by sądzić, że po tylu latach pobytu w Rosji mój system nerwowy był już na tyle stępiący i niewrażliwy, że w pracy w baraku nr 5 nie odczuwałem nic poza zmęczeniem i obrzydzeniem. A jednak nie. Wrażliwym się jest, albo nie, niezależnie od okoliczności.

Oddział składał się z 34 łóżek, z których tylko kilka stało oddzielnie. Pozostałe zestawiono parami, w ten sposób, że na dwóch łóżkach umieszczano trzech pacjentów. Na pojedynczych, lokowano chorych najczęściej już w stanie krytycznym. Zresztą ci, którzy leżeli we trójkę, mieli trochę ciepłej. Czasami jednak było tak wielu chorych, że trzeba ich było układać na podłodze.

Najczęstszym schorzeniem było całkowite wyniszczenie organizmu spowodowane długotrwałym głodem. Chorobę tę nazywano początkowo "pelegrą", później jednak określano ją jako "dystrofia alimentaris" - które to określenie, wydaje się bardziej poprawne. Pelegra jest chorobą spowodowaną brakiem witamin, z grupy "B". Dystrofia alimentaris wszakże wywołana jest nie tylko brakiem witamin, ale i długotrwałym niedożywieniem. Lekarze zaciekle dyskutowali jak nazwać tę chorobę, choć dla chorych nie miało to najmniejszego znaczenia. Jakkolwiek jednak by ją nazwać, chorzy po prostu byli zgłodzeni na śmierć, bez względu na to czy diagnoza była prawidłowa czy nie, oraz bez względu jakie podano im leki. Jedyнным ratunkiem dla tych nieszczęśliwych ofiar sowieckiego prawodawstwa - byłoby usunięcie przyczyny choroby.

Chorzy wyglądali przeraźliwie. Byli tak wycieńczeni, że przypominali raczej żywe szkielety niż ludzkie istoty. Niektórzy z nich byli opuchnięci z nadmieru wody, jaką zatrzymywał ich organizm. U wielu opuchnięcie osiągnęło ten

stopień, że nie mogli przewrócić się z boku na bok o własnych siłach. Ich rozdęte brzuchy sprawiały, że wyglądali jak ciężarne kobiety. Ten rodzaj nazwano "puchling" - przezornie omijając drugą część nazwy - "głodowa". Pacjentom tym, w celu ulżenia ich cierpienia, od czasu do czasu - z kilkudniowymi przerwami, poddawano dracowaniu. Zabieg polegał na tym, że chorego kładziono na stole, dwóch pomocników trzymało go za ręce i nogi, lekarz zaś nakłuwał mu brzuch cienką rurką, przez którą jak z fontanny wytryskiwały nagromadzone wody, niekiedy nawet do kilkunastu litrów. Zabieg powtarzano jeszcze dwa lub trzykrotnie w kilkudniowych odstępach.

Większość chorych na dystrofię cierpiała również na biegunkę, ciężkiej chorzy wypróżniali się do łożka nieraz i dwadzieścia razy na dobę. Wszyscy oni skazani byli właściwie na zagładę. Nielicznych tylko, tych co nie osiągnęli jeszcze stanu krytycznego, można by uratować podając obfite - i odpowiednio z punktu widzenia dietetyki - pożywienie. Lecz takie pożywienie nie było tu dostępne. Normalna, dzienna racja żywnościowa wynosiła około 1000kcalorii, z czego 700-800 kcalorii przypadało na czarny, gliniasty chleb.

Chociaż w tych warunkach nasza walka ze śmiercią była zadaniem kompletnie beznadziejnym i z góry skazaną na przegraną, to jednak dr Berger wymagał od personelu aby czynił wszystko co w jego mocy, dopóki chory nie wydał ostatniego tchnienia. "Jest to moralny obowiązek każdego, kto pracuje w szpitalu" - powiedział i egzekwował to jako regułę od której nie było odwołania.

Brak światła i opału sprawiał dodatkowe utrudnienia. Niekiedy temperatura na oddziale spadała do około 2°C a chorzy na dystrofię potrzebują dużej ciepła. W takie dni, śmiertelność wzrastała katastrofalnie. Kiedy poszła się lokomobila napędzająca prądnicę - gasło światło. Początkowo otrzymaliśmy karbidówki, ale karbidu też szybko zabrakło. Była zima, w baraku przez 16-18 godzin na dobę panowała kompletna ciemność. Aby dokonać najbardziej nawet elementarnych czynności przy chorym podać jedzenie, leki, zastrzyk - używaliśmy kaganeków, albo palącej się emolnej drzazgi.

W innych barakach warunki były jeszcze gorze. Było przede wszystkim jeszcze ciasniej, niekiedy przebywało tam 150-160 chorych. Leżeli stłoczeni na dwupiętrowych pryzkach, ciasno, jeden obok drugiego. Często zdarzało się, że cały oddział obsługiwała jedna tylko pielęgniarka, więc choćby pracowała 24 godziny na dobę i tak nie dała by rady obsłużyć wszystkich. Zdarzało się też, że ludzie umierali na górnych pryzkach a personel przez kilka dni nic o tym nie wiedział. Ci, którzy leżeli najbliżej nieżyjących siedzieli cicho, ponieważ otrzymywali ich porcje żywności. Procent śmiertelności był niezwykle wysoki, nie było dnia by ktoś nie umarł, nieraz liczba zgonów sięgała pięciu. W ciągu zimy 1943-1944 na 1200 chorych naszego szpitala, każdego miesiąca umierało 300-400 osób. Przyczyną zgonu było z reguły wygłodzenie. Wiedzieli o tym nie tylko chorzy i lekarze, ale wszyscy więźniowie w łagrze. Wiedzieli również o tym komendantura obozu i NKWD, lecz nie chciała przyjąć tego faktu do wiadomości i uznać, że przyczyną śmierci jest głód. System sowiecki jest programowo humanitarny, opiekuńczy i doskonały, nikt więc w tym systemie nie może umierać z głodu. Jak zwykle nie system miał być winion, tylko człowiek. W tym wypadku, chłopcom do bicia stali się lekarze. Łatwo było na nich zwać odpowiedzialność, gdyż wszyscy z wyjątkiem naczelnego lekarza obozu byli więźniami.

Postrachem wszystkich lekarzy stał się enkawudzista, lekarz Biereznoj - szef medycyny w Kotlas. Miał zwyczaj wpadać do szpitala na inspekcje w najbardziej nieoczekiwanych porach. Egzaminował nalepki na butelkach z lekarstwami, sprawdzał czystość instrumentów, przeglądał listy chorych i dziennik szpitalny. Kochał wręcz takie inspekcje i robił wszystko, aby znaleźć dziurę w całym i: kogoś pociągnąć do odpowiedzialności. Starał się sprawić wrażenie, że zależy mu wyłącznie na tym, by chorzy otoczeni byli jak najlepszą opieką, ale jeśli ktoś ośmielił się poskarżyć, że dostaje za mało jedzenia - ucinał ostro: nie jesteście w domu wypoczynkowym.

Po każdej z takich inspekcji zwoływał wszystkich lekarzy na odprawę, przeważnie do naszego baraku nr 5, gdyż tu było najwięcej miejsca. Nie byłem obecny na tych odprawach, ale doskonale słyszałem głos Biereznoja przez ściankę z cienkiej

dykty. Bezzał i karał lekarzy za najmniejsze zaniedbanie jakie odkrył w ich barakach. Niektórych na kilka dni karceru, innych pozbawiał nawet prawa praktyki lekarskiej i takich natchmieśt odeyłano do zwykłych robót obozowych. I tak np. 60-letni dr Maziaraki dostał dziesięć dni karceru, za błąd w diagnozie, wykryty podczas sekcji zwłok. Innych, zwłaszcza młodezych wysyłał pierwszym transportem na daleką północ. Młody lekarz z Warezawy dr Władysław Sarnot w ten sposób pojechał do Workuty.

Lekarzy karano także za ilość zgonów. Tym, u których na oddziałach była najwyższa śmiertelność, przedłużał wyroki. W konsekwencji, lekarze ratując swoją skórę, starali się bardziej ciężkie przypadki przerzucić do innych baraków, tanci znowu bronili się jak mogli. Wygrywali ci, którzy byli w najlepszych stosunkach z dr Olgą Iwanowną lekarzem naczelnym - jej decyzja była bowiem ostateczna.

Biereznoj odmawiał słuchania tłumaczeń lekarzy, że przyczyną taką wysokiej śmiertelności jest niedostateczne wyżywienie.

- Pacjenci otrzymują racje żywnościowe przyznane im przez departament sanitarny GULAG. Kto z obecnych uważa, że te racje są niewystarczające? Przez ścianę usłyszałem coś, co można określić jako "wymowne milczenie".

- No i widzicie - krzyczał Biereznoj. To wasza wina. Nie umiecie leczyć, mimo że dostajecie takie leki, które są niedostępne nawet dla cywilnych chorych. Racje żywnościowe są wystarczająco duże, żeby przywrócić pacjentom siły, na tyle przynajmniej aby mogli w krótkim czasie powrócić do pracy. A jeśli nie otrzymują swoich racji, to też wasza wina, bo pozwalacie żeby wasz personel okradał chorych z żywności.

Też trzeba przyznać, do pewnego stopnia miał jednak rację. Okradanie z żywności na więzową lub mniejszą skalę było zjawiskiem powszechnym. I niewiele można było poradzić. Kradzieże zdarzały się nie tylko w szpitalu, ale w całym obozie i nie tylko w Kotłas, lecz we wszystkich obozach w całym Związku Sowieckim. Przez czas pobytu w łagrach, nigdy nie słyszałem by ktoś to potępiał, z wyjątkiem ludzi pokroju

Biereznoja. I trudno było nawet te kradzieże nazwać nieuczciwością, wynikały one raczej z instynktu samoobrony więźniów, z chęci przetrwania za wszelką cenę. Powazecznie slyszalo się taki argument:

- Każdy i tak musi tutaj zginąć, wcześniej czy później. ^WWyj lepiej jeśli ty zginiesz dzisiaj, a ja jutro, nie ^{zostaję} odwrotnie.

U nas jednak jeszcze nie było najgorzej. Zgodnie z tym, co opowiadali więźniowie, którzy trafili do naszego szpitala z innych obozów, zwłaszcza z tych na północy, śmiertelność była tam jeszcze wyższa. Fatalna sława krążyła, zwłaszcza wokół obozu w Opokastroju. Ludzie wymierali tam tak szybko, że nieustannie dosyłano nowe transporty więźniów. W lecie 1944 roku przejeżdżał przez Kotłas transport więźniów do Opokastroju, liczący ponad 2000 osób, większość z nich z Centralnej Azji i Turzkientu. W ciągu zimy 1944-1945 prawie wszyscy z tego transportu wymarli. Na polecenie GULAG-u wysłano nawet w tej sprawie specjalną komisję z Kotłas. W skład jej wchodził między innymi dr Fritz, który po odbyciu pięcioletniego wyroku, pracował w obozie jako wolny obywatel, a którego rozpoznałem dość dobrze. Po powrocie z Opokastroju, opowiadał co się tam stało. Otóż, obok wygłodzenia, przyczyną tak wysokiej śmiertelności było przecpracowanie i mróz.

O swoich obowiązkach należało również wypisywanie aktów zgonu. W rubryce "przyczyna zgonu" powinienem napisać nazwę choroby, która spowodowała śmierć. Na jednej z konferencji lekarskiej - w końcu zostałem dopuszczony do udziału w nich - naczelny lekarz obozu Olga Iwanowna odczytała tajne zarządzenie departamentu sanitarnego GULAG: "surowo zakazuje się wpisywać w aktach zgonu jako przyczynę śmierci takie choroby jak pelagra, dystrofia alimentaris oraz inne choroby wywołane głodem". Od tej pory najczęściej przyczyną zgonu stał się "atak serca".

Wiosną 1944 roku nasz szpital obiegła wiadomość, że dr Olga Iwanowna, naczelny lekarz w Kotłas złożyła rezygnację. Należało spodziewać się, iż jej miejsce zajmie dr Biereznoj. Mogło to mieć dla mnie wręcz fatalne konsekwencje. Stan mego zdrowia poprawił się tak wyraźnie, że nikt, żaden

1
lekarz nie mógłby dłużej uznawać mnie za chorego. Przypuszczam zresztą, że jestem chyba jedynym pacjentem, który wyzdrowiał w tym szpitalu. Oficjalnie nie byłem członkiem personelu szpitala, mogłem więc w każdej chwili być wyrzucony i odesłany pierwszym transportem do Workuty. Ale dr Berger postanowił wystąpić w moje sprawie. Ciesząc się zaufaniem dr Olgi Iwanownej i za jej zgodą, spowodował wyłonienie trzyosobowej komisji w celu zbadania moich kwalifikacji medycznych. No i okazało się, że moje paromiesięczne wysiłki nie poszły na marne. Pomyślnie przeszedłem egzamin. Dr Olga Iwanowna tuż przed swoim odejściem, oficjalnie przyjęła mnie do zespołu medycznego jako sanitariusza w szpitalu obozowym w Kotlas.

W klitce, obok pokoiku dr Bergera, sypiał jego asystent Kossowski, który przez cztery lata studiował w Archangielsku, zanim skazano go z artykułu 58.10 za propagandę antywojewódzką. Czy był morfinistą już wcześniej, czy stał się nim w obozie mając dostęp do apteczki szpitalnej, nie wiadomo. W każdym razie jego nałóg stał się ewidentny. Lecz to nie wszystko, w dodatku kradł. Wielu lekarzy utraciło różne cenne rzeczy, zaczęto go więc śledzić i złapano na gorącym uczynku.

Dr Berger zdecydował, że należy się go jak najszybciej pozbyć, gdyż jako człowiek zupełnie nieodpowiedzialny, mógł narobić wiele nieodwracalnych szkód. Po nim to właśnie, objeźłem tę polówkę i następnie, przez dwa i pół roku mieszkalem obok dr Bergera.

W mojej izdebce było małe okienko, z którego widok rozteczał się na obozową kostnicę. Nie był to najmiły widok z jakim spotkałem się, zwłaszcza w okresach zwiększonej śmiertelności. Zwłoki nie mieściły się wtedy wewnątrz, więc układano je na stosie, obok pod ścianą. Stos był zazwyczaj niedbale przykryty, tu i ówdzie wystawały nagie ręce i nogi, albo twarz wykrzywiona w śmiertelnym grymasie. Zimą stos przykrywała warstwa śniegu. Wiosną jednak, gdy śnieg stopniał, trzeba było mieć naprawdę mocne nerwy, by normalnie funkcyj-

nować, mając stale przed oczami eczerńskie, niedbale porzucone, powyręcane szczątki ludzkie. Intendent naszego baraku Kułbakow, miał wiele trudności ze zwłokami, z powodu braku transportu. Przed moim oknem panował więc nieustanny ruch. Jedne ciała były przenoszone z sali do kostnicy, inne ładowane na nary i zabierano, gdzieś do masowych mogił.

Obok głodu, drugą przyczynę nasiloną śmiertelności w Kotłach były warunki klimatyczne. Wielu więźniów umierało z powodu odmrożeń i na zapalenie płuc. Temperatura zimą spadała tu często poniżej -35°C a praca była kontynuowana bez względu na pogodę. Nie mieliśmy wówczas preparatów typu sulfamidy, musieliśmy zatem próbować ratować chorych w inny sposób. Głównie przy pomocy zastrzyków kamfory pobudzających akcję serca. Pacjenci w większości byli bardzo słabi, a kiedy trafiali do szpitala, byli już w takim stanie, iż mimo największych starań trudno było ich uratować.

Zimą, często trafiali do nas także pacjenci zamarznięci. Zazwyczaj byli znieśli i nieprzytomni. Tym, którzy jeszcze żyli, od razu, jeszcze na noszach dawaliśmy zastrzyki z kamfory i kofeiny, a następnie kładliśmy ich do łóżek ogrzanych gorącymi cegłami. Niekiedy udawało nam się jeszcze uratować im życie.

Silne mrozy utrzymywały się przez dłuższy czas i zwiększała się liczba zamarzniętych na śmierć. Pewnego dnia, dr Berger zwrócił się do mnie z propozycją:

- Antoni Stiepanowicz, musimy znaleźć jakiś sposób aby uratować jak najwięcej tych ludzi. Mam pewien pomysł, lecz rozwiązanie techniczne, w naszych prymitywnych warunkach nastęrcza mi wielkie trudności. Czy pan - jako inżynier, nie chciałby mi pomóc? Oczywiście zgodziłem się z największym zapałem.

- Objasnię to panu z medycznego punktu widzenia, pan zaś niech przemyśli możliwości rozwiązań technicznych. Otóż główną przyczyną, że zamarznięci pacjenci umierają, jest uduszenie, spowodowane redukcją cyrkulacji krwi. Kiedy krążenie ustaje, organizm nie otrzymuje wystarczającej ilości tlenu dla utrzymania go przy życiu. Mój pomysł polega na tym, aby w sposób sztuczny organizm zasilić dużą dodatkową dawką tlenu.

Widziałem w naszym magazynie dużą butlę z tlenem. Problem polega na tym: w jaki sposób tlen wprowadzić do organizmu chorego. Niech pan to przemyśli.

Błogosławiłem teraz swoje wykształcenie techniczne i praktykę. Udało mi się bowiem rozwiązać problem. Użyłem do tego celu dwóch butli, jednej zawierającej tlen, drugiej wodę. Obie butle połączyłem gumową rurką. Do butli zawierającej tlen dołączyłem dodatkową rurkę zakończoną igłą do zastrzyków. Kiedy unosiłem butlę z wodą powyżej poziomu tlenu w drugiej - woda zaczynała przebiegać przez rurkę z jednej butli do drugiej, wtłaczając tlen przez rurkę do igły od zastrzyków. Sposób ten pozwalał na dokonywanie zastrzyków z tlenu w dowolną część ciała pacjenta. Tlen wstrzyknięty pod skórę chorego łączył się z krwinkami, dzięki naczynkom włoskowatym tworząc tak zwaną podskórną odnę. Pomysł dr Bergera nadzwyczajnie zdał egzamin, ratując życie wielu chorym i przynosząc mu pewną, dodatkową sławę wśród lekarzy. Ponieważ i ja miałem udział w tym sukcesie, więc i moja pozycja znacznie się wzmocniła.

Nie była to jednak jedyna innowacja, jaką wprowadził dr Berger do naszego prymitywnego lecznictwa. Pewnego dnia wszedł do baraku bardzo podekscytowany i od progu oznajmił:

- Sądzę, że znalazłem coś, co pozwoli leczyć nas chorych na puchlinę głodową. Słyszał pan zapewne jak przekonywałem Bieroznoja, że nie ma takiego leku, który mógłby ocalić chorego umierającego z głodu. Jego organizm zjada się sam. Najpierw zjada zapasy tłuszczu, później węglowodany. Na koniec zaczyna zużywać własne zapasy białka i to jest początek końca - jako, że wszystko co najważniejsze w ludzkim organizmie składa się z białka. Zawsze twierdziłem, że to co może uratować naszych chorych, to wysokobiałkowe pożywienie, tj. ryby i mięso. Walczyłem o to. Lecz nie ma ani mięsa, ani ryb. Przechodząc, wstąpiłem do magazynu i tam pod półkami zobaczyłem duże puszki z angielskimi napisami. Przeczytałem nalepkę i okazało się, że te puszki zawierają amerykański koncentrat, mający w składzie duży procent białka. Człowiek, który zarządza magazynem powiada że przyszło kilka takich puszek i leżą od dwóch lat. Nikt nie wie, ani co zawierają.

ani do czego służą. Chciał mi przesłać taką puszkę jeszcze dziś. Postanowiłem wypróbować jej działanie na jednym pacjencie. Podał mu roztwór zawierający równowartość 100 g białka dziennie. Teoretycznie puchlina powinna ustąpić, a pacjent odzyskać zdrowie. Zobaczymy jednak jak to działa.

Do tego eksperymentu dr Berger wybrał przypadek zupełnie beznadziejny - niejakiego Makiejewa. Sprawa była jednak o tyle ciekawa, iż Makiejew - choć jego stan był równie zły jak wszystkich innych - przeżył 12 punkcji odwadniających i udało się go nadal utrzymać przy życiu. Dr Berger dokonał na nim trzynastej punkcji, wyściągając jedenaście i pół litra płynu, a potem podawał mu trzy razy dziennie roztwór z amerykańskiego koncentratu.

Rezultat był zadziwiający. Nawet dr Berger sam był zaskoczony. Minął jeden tydzień, minął drugi, gdyby Makiejew nie otrzymał preparatu, spuchł by i wyglądał jak kobieta przed rozwiązaniem. Tymczasem nie było śladu puchliny, mało tego, zaczęły mu ustępować także obrzęki rąk i nóg.

Na następnej konferencji lekarskiej kiedy dr Berger referował ten przypadek, jego koledzy z powątpiewaniem kręcili głowami. Dr Berger poprosił wobec tego, aby wszystkich pacjentów chorych na puchlinę kierowano do jego baraku i poprosił też dr Gideonowa, następcę dr Olgi Iwanownej, by mu dał pewną ilość amerykańskich puszek.

Trudno opisać zdziwienia na twarzach tych lekarzy, kiedy w dwa tygodnie później zobaczyli swoich pacjentów, chodzących teraz o własnych siłach. Dr Gideonow zarządził aby wszystkich chorych tego typu, kierowano do baraku nr 5, a dr Berger został upoważniony do dysponowania całym zapasem amerykańskiego proszku. Po pewnym czasie mieliśmy na oddziale 28 chorych z puchliną głodową. Tylko jeden z nich zmarł i to od razu pierwszej nocy. Wszyscy inni ocalili.

- Niech pan sobie wyobrazi - skonkludował dr Berger - ilu ludzi niepotrzebnie zmarło. Przecież te puszki leżą od dwóch lat. Przez ten czas, ludzie marli jak muchy.

Później, och znacznie później, dowiedziałem się, że ZSSR otrzymał ów koncentrat od USA, w ramach pomocy wojennej i że był on używany powszechnie w armiach angielskich. Puszki

zrzucono z samolotów dla jednostek odciętych przez nieprzyjaciela, dzięki nim żołnierze mogli przetrzymywać długie okresy głodu.

Oczywiście pomysły dr Bergera były tylko kroplą w morzu potrzeb. Pacjenci, którzy pomyślnie przeszli kurację i wyzdrowieli, wracali z powrotem do nieludzkich robót. Po jakimś czasie zapadali na zdrowiu, znowu wracali do szpitala, gdzie wcześniej czy później, musieli umrzeć. Wszystko co mogliśmy dla nich zrobić, to tylko przedłużyć im cierpienie o kilka, czy kilkanaście miesięcy, co z czysto ludzkiego punktu widzenia było co najmniej dwuznacznym dobrodziejstwem. Dla administracji obozowej, nasz wysiłek oznaczał jedynie możliwość wyciągnięcia jeszcze większej ilości pracy. I był to jedyny powód, dla którego nasze próby zyskiwały aprobatę. Starałem się o tym nie myśleć - przeszkadzało by mi to w pracy.

W styczniu 1944 roku przybył do naszego obozu Aleksander Piotrowicz Starostin. Jego nazwisko jest dobrze znane entuzjastom sportu starszej generacji. W latach dwudziestych, trzech bracia Starostinowie byli idolami sowieckiej piłki nożnej i filarami drużyny reprezentacyjnej, która rozgrywała mecze w wielu europejskich stolicach. W Rosji Sowieckiej, ich nazwisko znał każdy uczeń i wymieniane było z taką samą dumą z jaką Finowie wymieniają np. nazwisko Nurmiiego a my Kusocińskiego.

Moja znajomość ze Starostinem była krótka ale serdeczna. Otóż brat jego, Mikołaj - również więzień naszego obozu - pełnił funkcję sekretarza naczelnego lekarza dr Olgi Iwanownej. Dzięki protekcji Mikołaja, Aleksander zgłoszony został do szpitala jako chory i trafił do naszego baraku. Chodziło o to, by zapobiec wysłaniu go na daleką północ do ciężkich robót a w sprzyjającym momencie znaleźć mu odpowiednie zajęcie tu na miejscu.

Aleksander Starostin był bardzo sympatycznym człowiekiem o europejskiej umyślności. Po zakończeniu aktywnej kariery sportowej, odegrał niemałą rolę w rozwoju wychowania fizycz-

nego w Rosji. Gdy wybuchła wojna, aresztowano go. Najpierw zabrano najstarszego z braci, którego imienia nie pamiętam, potem Mikołaja a na końcu Aleksandra. Każdy z nich otrzymał jednakowy wyrok: dziesięć lat za działalność kontrrewolucyjną. Obecnie dwaj bracia znaleźli się w naszym obozie, a trzeci gdzieś za Uralem.

Przyczynę ich aresztowania - zdaniem Aleksandra - był fakt, że zbyt często wyjeżdżali za granicę i zbyt długo tam przebywali. Było oczywiste, że po każdej podróży dzielili się wrażeniami z rodziną i przyjaciółmi. Żaden z braci nie miał naturalnie żadnych kontrrewolucyjnych planów, ani też nie czuł szczególnej nienawiści do władz sowieckich. Gdyby tak było, mogli najzwyczajniej nie wracać do ZSSR i pozostać zagranicą.

Starostin opowiadał, że jego "śledowatiel" podczas przesłuchań, najbardziej interesował się drobiazgami jakie on przywoził z podróży zagranicznych, takimi jak: swetry, koczule, ubrania itp.

Obecność braci Starostinów w naszym łagrze było szeroko komentowana. Jeden z lekarzy, dr Matwiejew znał ich dobrze jeszcze z czasów kiedy byli u szczytu sławy. Sam był lekarzem sportowym w Moskwie i czymś w rodzaju autorytetu w dziedzinie medycyny sportowej. Któregoś dnia, gdy siedział w moim pokoju oczekując na przyjęcie dr Bergera, zapytałem dlaczego w ZSSR ludzie tak rzadko grywają w piłkę nożną mimo, że np. Starostinowie cieszą się wielką popularnością.

- Co pan przez to rozumie?

- Dziwię się po prostu, że w małych miasteczkach, wioskach, na boiskach szkolnych nie grywają tu w piłkę, tak jak to się dzieje w Austrii, Szwajcarii czy w Polsce. Powód, dla którego o to pytam polega na tym, że podczas całego mego pobytu w Iwanowie, przez dwa lata, ani razu nie widziałem żeby ktoś grał w piłkę. Nie zauważyłem też większego zainteresowania sportem. Skąd więc taka ogromna popularność braci Starostinów.

Dr Matwiejew uśmiechnął się smutnie.

- Ma pan rację w odniesieniu do Iwanowa - powiedział. I równie dobrze mógłby pan podobne obserwacje poczynić w całym Związku Sowieckim w odniesieniu do zwykłych śmiertelników.

Sport u nas, przykro to powiedzieć, jest czymś zupełnie odmiennym niż sport na zachodzie. Tu w Rosji, ludzie są zawsze zmęczoni, w złej formie i często głodni. Czy tacy ludzie mogą uprawiać sport? Albo, odpowiedni sprzęt? Nie sądzę żeby udało się panu znaleźć więcej niż dwie, czy trzy piłki, albo dzieśnięć par butów sportowych w całym Iwanowie. I tak jest wszędzie. Wiem o tym - popatrzysz na mnie uważnie. Wiem też kim pan jest i nie będę tego tałż przed panem.

- Ale przecież w Rosji są doskonałe drużyny piłki nożnej. Macie pierwszorzędnych bokserów, atletów, pływaków ... godnych czołówki światowej. Czytałem o ich wspaniałych wynikach w prasie ... Albo wasi szabliści ...

- Ależ to są dwie najzupełniej różne sprawy. W ZSSR sport służy dwóm celom: jest propagandą dla zagranicy i podnosi standard psychiczny obywateli. Władze nie są zainteresowane w umasowieniu sportu. Wręcz przeciwnie. Sport inspirował przecież do samoorganizowania się, uczciwości i lojalności a to władzy nie interesuje. Zainteresowana jest raczej, by sport wtłoczyć na tory służące podnoszeniu wydajności pracy. Dla mas organizuje się więc wyścigi pracy pomiędzy brygadami w jednej fabryce i między różnymi fabrykami tej samej gałęzi przemysłu. Zaś masowe uprawianie sportu traktowane jest jako zbędne wydatkowanie energii. Tak więc sport dostępny jest u nas jedynie dla wybranych. Dla wąskiej elity, w celu przygotowania kadry dla armii i dla NKWD ...

- Czy "Dynamo" jest klubem wojskowym - spytałem.

- Nie, "Dynamo" jest klubem, któremu patronuje NKWD.

- Niech pan mówi co chce, ale "Dynamo" to naprawdę świetna drużyna ...

- Ależ oczywiście. Są to zawodowcy - specjalnie wyselekcjonowani spośród tysięcy, w bardzo młodym wieku. Pracują tylko nominalnie, by zachować status amatora, ale większość roku spędzają na obozach treningowych w różnych miejscowościach uzdrowiskowych na Krymie, czy na Kaukazie. Mają najlepszych trenerów, są dobrze ubrani i odpowiednio żywieni. Ich dieta i sposób życia są ściśle kontrolowane. Żadnego alkoholu, papierosów, kobiet. W gruncie rzeczy nie ma im czego zazdrościć ...

- Jak to?

- Bo wiedzą, że ich wielkość nie trwa wlecznie. Sportowiec cieszy się przywilejami tak długo, póki zwycięża, szczególnie za granicą. Są, jak konie wyścigowe. Dba się o nie i otacza opieką tak długo dopóki zwyciężają. Kiedy przestają zwyciężać, idą do pługa albo do rzeźni. Rząd oczywiście zdaje sobie sprawę z wielkiego znaczenia propagandowego sportu. Zdaje sobie sprawę, że na zachodzie patrzą na sport trochę w ten sposób: jeśli Rosja może wystawić taką drużynę jak np. "Dynamo", to znaczy, że sport tam postawiony jest na wysokim poziomie. Jeśli zaś jest postawiony na wysokim poziomie, to znaczy, że kultura fizyczna, ^{jeź} (doskonalenie i w ogóle poziom życia ludności muszą być bardzo wysokie. I o to właśnie chodzi. Niech Zachód wierzy że ZSSR jest normalnym, bogatym krajem. W ten sposób ^{SPORT} staje się wiarygodnym dowodem, podtrzymującym legendę sowieckiego raju, ^{LEPSZYMI} niż całe tabuny agitatorów Kominternu rozsyłanych co roku po całym świecie. Nikt tego nie wie lepiej niż ja.

- Mimo wszystko, nie wyjaśnia to popularności np. braci Starostinów. Przeciwnie ...

- A tu właśnie pan się myli. Przeciętny obywatel sowiecki odnosi się do sportowców z najwyższym podziwem. Traktuje ich trochę jak nadludzi i dumny jest z każdego ich zagranicznego zwycięstwa. Zresztą, co więcej mu pozostaje by cieszyć się z życia? A poza tym, władze zawsze robią dużo hałasu propagandowego wokół sportu. Przeciętny Rosjanin myśli tak: jeżeli "Dynamo" pobiło Francuzów, to znaczy, że Francuzi dają swoim piłkarzom mniej chleba i mniej sił niż my, a to znaczy, że sytuacja żywnościowa we Francji jest gorsza niż u nas. A więc rząd we Francji jest gorszy niż nasz. I jest to dokładnie to, o co władzy chodzi.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się: "Za to co panu powiedziałem, bez trudu mógłbym znaleźć się w Warkucie".

- Przecież nie jestem szpiclem NKWD - powiedziałem śmiejąc się również. I poczułem w tym momencie ogromną radość, że mówię prawdę.

- Pierwszy raz mam sposobność pogadać z "zapadnikiem" na temat, który od dawna mnie dręczy - powiedział Matwiejew.

Musi mnie pan zrozumieć. Przez wiele lat walczyłem o demokrację sportu w ZSSR. Włożyłem w tę walkę całą energię i entuzjazm. Poniosłem klęskę, a rezultat? Jestem tutaj ...

- Jak długo jest pan w obozie?

- Od 1937 roku.

Bracia Stasostinowie nie zagrzali długo miejsca w Kutłas. Po kilku tygodniach wyjechali. Aleksander z transportem do jednego z obozów na północy, która zbiorowo określana są jako Peczorlag. Jeśli zaś chodzi o Mikołaja, to od początku krzywo na niego patrzyło NKWD. Był on bardzo zaprzyjaźniony z naczelnym lekarzem Olgą Iwanowną. Ona zaś była członkiem WKP/b/ i bliższe kontakty ze zwykłym więźniem narażały na szwank jej partyjny prestiż. Tak więc, kiedy tylko Olga Iwanowna odeszła, Mikołaj natychmiast został wysłany w ślad za Aleksandrem. Usłyszałem o nim w dwa lata później - w Abesz, gdzie i ja zostałem zesłany. Aleksander i tam miał "pozycję". Popularność ułatwiła mu także "karierę" obozową, ale każdy medal ma odwrotną stronę. W Abesz przez pewien czas trenował drużynę piłkarską w mieście złożoną z wolnej młodzieży. Po jakimś wygranym meczu, kibice i publiczność - również wolni - zgotowali mu niezwykłą owację. Dla miejscowego NKWD tego już było za wiele. Aleksander natychmiast został odesłany na daleką północ.

Nasza przełożona Jelena Jakowlewna miała dwie pomocnice: Anię i Lenę. Obie dziewczyny pracowały na dwie zmiany, na dwóch 12 godzinnych dyżurach. Należały do nich takie prace jak mycie podłóg, sprzątanie, podawanie choremu basenów itp. Obie zostały skazane na pięć lat, za samowolne opuszczenie miejsca pracy. W obozie było jeszcze wiele młodych dziewcząt skazanych za podobne wykroczenie.

Lena była 18-letnią dziewczyną, pochodziła z jakiejś zapadłej wioski w okręgu kirowskim. Podczas wojny zmobilizowano

ję do "frontu pracy" i wysłano do zakładów metalurgicznych w Chusowoje na Uralu. Warunki życiowe były tam równie okropne jak wszędzie: brudne i zimne baraki, ciężka praca po 12 godzin na dobę, głód, wszystko to mogło powalić silnego chłopca. Wiele dziewcząt uciekło, Lena również. Wiedziała, że kolejno są ściśle kontrolowane, więc szła piechotę. Trwało to długo tygodnie. Gdy dotarła wreszcie do swojej wioski, od razu zaczęła pracować w kołchozie, na dawnym miejscu pracy. Któregoś dnia zjawił się milicjant i aresztował ją. Dostała wyrok i znalazła się w Kotłas. Historia Ani była bardzo podobna a różniła się tylko w drobnych szczegółach. Także ich życie obozowe ułożyło się w sposób podobny a jednocześnie dość typowy. Obie trafiły najpierw do brygad wykonujących zwykłe, ciężkie roboty. Kobiety w obozie nie korzystały bowiem z żadnych ulg, przywilejów ani ułatwień. Żyły w takich samych jak mężczyźni barakach, używana były do najcięższych prac jak mężczyźni i tak samo chorowały z głodu i wyniszczenia. Lecz młode i zdrowe dziewczyny, miały jednak pewien dodatkowy atut - swoją płć.

W naszym obozie ilość kobiet nie przekraczała 15 procent ilości mężczyzn. Taki sam mniej więcej procent mężczyzn był w obozie "na funkcjach", czyli zajmował jakieś uprzywilejowane pozycje. Mężczyźni ci, na ogół lepiej jadal i wykonywali relatywnie lżejsze prace, nic więc dziwnego, że to oni właśnie interesowali się płcią odmienną.

Ania i Lena, były młode i zawsze głodne. Kiedy zima była w pełni, zrozumiały że i w łagrze można znaleźć lżejszą pracę i lepiej jeść, ale uzyskanie tych lepszych warunków nie jest dostępne bez pomocy wpływowych osób. I tak Lena została kochanką "nariadczika" i to on właśnie, umieścił najpierw ją a potem Anię w naszym baraku.

Później zaczęły zmieniać kochanków. Po "nariadcziku", Lena zaprzyjaźniła się z kucharzem, który dawał jej większe porcje jedzenia, dalej był szewc, który dał jej prawdziwe buty zamiast obozowych gumiaków, potem krawiec itd. a na dodatek miała chłopaka, którego naprawdę kochała. W obozie było pełno takich dziewcząt jak Ania i Lena, mimo że "sozitiaetwo" czyli stosunki seksualne, były najsurowiej karany przestępstwem.

Zakaz ten zapisany był na pierwszym miejscu na czarnych tablicach ustawionych w centralnych punktach obozu wraz z długą listą innych zakazów podpisanych przez GULAG.

Większość łegrów w Rosji jest w zasadzie "jednopłciowa" to znaczy skupia albo mężczyźni albo kobiety, lecz nie zawsze możliwe jest zachowanie takiego rozdzielenia, zwłaszcza w obozach tranzytowych, takich jak nasz. Tak więc, chociaż stanowczo i konsekwentnie prześladowana przez administrację - "miłość" w obozie kłóciła. Największą trudnością w jej uprawianiu stanowił brak pomieszczeń, odpowiednich na tego rodzaju romantyczne schadzki. Ci, którzy przebywali w barakach, zawsze zatłoczonych umawiali się w latrynach po wieczornej "oprawce". Zaś ci, którzy zajmowali jakąś pozycję mieli się znacznie lepiej. Różne ciemne kąty w łazienkach, kuchniach, pralniach a i w szpitalach były często nawiedzane w godzinach nocnych.

Kiedyś, podczas nocnego dyżuru, zajrzałem rutynowo do kuchni by sprawdzić czy nikt nie kradnie żywności, gdyż należało to do obowiązków dyżurnego. Miałem przy tym okazję zobaczyć jak taka schadzka miłosna wygląda. Kucharz wysłał swego pomocnika na czaty, "nadziratel" bowiem lubił wybierać się w nocy na polowanie - kochał wprost przyłapać parę na gorącym uczynku. Był to zresztą bardzo niebezpieczny człowiek i należało go się wystrzegać.

Jako miłosna gniazdka, kucharz wybrał najciemniejszy kąt podłogi, pod piecem. Cała zaś sprawa odbyła się w brutalnym podpiochu i bez żadnych ceremonii. Wybranka, natychmiast otrzymała rekompensatę w postaci talerza kaszy, którą zjadła od razu. Kiedy skończyła jeść, wyszła z kuchni nie powiedziawszy ani słowa.

W baraku szpitalnym, sprawy te załatwiane były na nieco wyższym poziomie, bbo też i warunki były lepsze, a życie seksualne lekarzy i pozostałego personelu, były bardziej zbliżone do tego, co można by określić jako normalne.

W obozach kobiecych - z tego co opowiadali na ten temat inni więźniowie wiem, że sprawy wyglądały dość podobnie. W obozach tych są nieliczni mężczyźni, zatrudnieni przez administrację. Są oni formalnie gwałceni przez kobiety. Pewien

kierowca, który przebywał w naszym baraku z powodu złamania obojczyka, opowiadał że nastąpiło to w wyniku ataku kobiet, gdy dla odpoczynku położył się na chwilę w czasie pracy.

Dzisiaj się tak nie dlatego, że kobiety te, są aż tak złacone seksualnej satysfakcji, ale dlatego - iż większość z nich pragnie zajść w ciążę. Stwarza to największą ozenę ocalenia - a w każdym razie, na pewno daje trzy lata spokoju. Kobiety w ciąży bowiem, zbierane są do specjalnych obozów, gdzie rodzą dzieci i mają możność opiekowania się nimi do lat trzech. W ostatnich miesiącach przed rozwiązaniem i przez okres karmienia otrzymują znacznie lepsze wyżywienie i łatwą pracę. Po trzech latach, dziecko odsyłane jest do państwowego sierocińca a matka wraca do łagru. Zgodnie z regulaminem, zajście w ciążę w trakcie odbywania kary - traktowane jest jako przestępstwo, ale nigdy nie słyszałem, żeby któraś z ciężarnych kobiet była za to ukarana.

x x x

Rozdział XXVII

ODPRYSKI MOSKIEWSKICH SALONÓW

Sukcesorem Nikołaja Starostina został Aleksey Jakowlewicz Kapler. Jego obowiązki dawały mu sposobność częstego odwiedzania różnych oddziałów szpitala, co doprowadziło do bliskich kontaktów z personelem. W ten sposób poznałem go i ja, a znajomość szybko przemieniła się w przyjaźń. Również dr Berger bardzo go lubił. Prawdę mówiąc, wątpię czy w ogóle był ktoś, kto go nie lubił. Ten świetnie wyglądający mężczyzna w wieku około czterdziestu lat obdarzony był naturalnym wdziękiem i sposobem bycia, który szybko i bez najaniejszego wysiłku z jego strony zjednywał mu sympatię i przyjaźń wszystkich dookoła. Wywierał ogromne wrażenie nawet na ludziach, którzy go w ogóle nie znali i nie o nim nie wiedzieli. Nie było wątpliwości, że jest on osobowością. Bo też i był wielką osobowością.

Kapler należał do najwyższych kręgów sowieckiej inteligencji. Był publicystą, znanym dziennikarzem i wybitnym scenarzystą filmowym. Według jego scenariusza powstał *W. I. Nij* film "Lenin w październiku", za *który* odznaczono go najwyższym sowieckim odznaczeniem "Orderem Lenina". Jego nazwisko znane było nie tylko w kręgach intelektualnych, ale szerokim rzeszom kinomanów i czytelników gazet. Podobno był także częstym gościem na Kremlu, a nawet osobiście Stalin zwrócił na niego uwagę.

Kiedy wybuchła wojna, Kapler został korespondentem wojennym i brał udział w obronie Stalingradu. Jego reportaże z frontu były wysoko oceniane i przedrukowywane *przez* prasę światową. Był też znakomitym narratorem. Dr Berger i ja mogliśmy go słuchać godzinami.

W 1943 roku, nieoczekiwanie został aresztowany, uwięziony i skazany na dziesięć lat z artykułu 58.10. Zanim znalazł się

w Kotłach odwiedził już parę więźniów i żagrów. Nigdy jednak nie mówił na temat przyczyn swego aresztowania. Dowiedziałem się o nich od innych osób, potem już jak opuścił Kotłach, dałem wtedy solenne przyrzeczenie, że tego sekretu nie zdradzę. Teraz mówię o tym, po raz pierwszy.

Utoż Kapler w salach recepcyjnych Kremla - poznał córkę Stalina, Świetlanę. Szybko zaprzyjaźnili się, a ponieważ niełatwo im było widywać się, zaczęli pisywać do siebie listy. Rychło jednak otrzymał od NKWD ostrzeżenie, a następnie wręcz nakaz, zerwania wszelkich kontaktów z córką dyktatora. Kapler zignorował te polecenia nie widząc nic złego w wymianie korespondencji z młodą damą, którą lubił, nawet jeśli zdarzyło się, że była ona akurat córką Stalina. Sam zresztą, zajmował wysoką pozycję w życiu kulturalnym ZSSR i pewny był swoich przywilejów. W ostrzeżeniu NKWD widział jedynie manifestację brutalnej potrzeby wtykania nosa we wszystkie sprawy i zlekceważył ich nakazy. Nie aresztowano go jednak od razu. Wyślano go za to, na jeden z najbardziej zagrożonych odcinków frontu. Ponieważ nadal jednak pisywał do Świetłany, nawet z oblężonego Stalingradu, został aresztowany i skazany za antysowiecką propagandę.

Wraz ze zniknięciem Kaplera, znikło jego nazwisko nie tylko ze szpalt gazetowych i bibliotek, ale także z czołówek filmów. Zniknęło z życia publicznego.

Sprawa Kaplera nie była jedyną sprawą, stanowiącą odbicie wydarzeń w moskiewskich salonach z jaką zetknąłem się w obozie. Pewnego dnia dr Berger powiedział:

- A wie pan, kogo konsultowałem kilka minut temu? Pasterbicę samego marszałka Sapożnikowa. Przyjechała wczorajszym transportem z Moskwy i została zabrana na oddział kobiecy.

Była to w istocie wiadomość seneacyjna. Marszałek Sapożnikow bowiem przez wiele lat pełnił obowiązki szefa Akademii Wojskowej ZSSR. Jego uczniami byli tak wybitni dowódcy Armii Czerwonej jak Koniew, Rokossowski, czy Żukow oraz wielu in-

nych, których nazwiska wymieniane są we wszystkich gazetach świata. W całej Rosji mówiono o Sapożnikowie jako o tym, który naprawił błędy popełnione w pierwszych miesiącach wojny przez Budionnego i Woroszyłowa. Wydawało się sprawę wręcz nieprawdopodobną, by jego piersiobica mogła znaleźć się w łagrze.

Wkrótce jednak poznałem ją osobiście. Galina Jewgiejowna Sapożnikowa, powszechnie zwana Galą, była piękną 20-letnią dziewczyną. Ona i Kapler poznali się jeszcze w Moskwie w ten sposób że jego wetawienictwem została pomocnicą pielęgniarki w naszym szpitalu. Szybko też zaprzyjaźniła się z Jelaną Jakowlewną.

Przyjazd Gali do obozu stał się początkiem krótkiego, ale bardzo szczęśliwego dla mnie okresu, jednego z najlepszych od czasu kiedy znalazłem się w Rosji. Kiedy tylko mieliśmy chwilę wolnego czasu, staraliśmy się całą czwórką Galą, Jelaną Jakowlewną, Kapler i ja, spotykać jak najczęściej, przeważnie w moim pokoiku. Rozmawialiśmy, żartowaliśmy i generalnie radowaliśmy się własnym towarzystwem, cała ta trójka - byli to ludzie wykształceni, dowcipni, pełni wdzięku i polotu a przede wszystkim, bardzo otwarci. Przy takich okazjach zasłaniałem od wewnątrz okienko, by widok trupów nie pouł nas dobrego nastroju.

Spotkania te doprowadziły do pewnej, nie całkiem niewinnej przyjaźni z Jelaną Jakowlewną, która rychło przekazała mi się w coś dużo większego niż przyjaźń. Jelena była bardzo piękną kobietą o usposobieniu romantycznym i pełnym nieskrywanym pasji. Kiedyś, w czasie jednego z takich spotkań Galą opowiedziała nam o swoim uwięzieniu. Ostała pięć lat z artykułu 58. Oskarżono ją o to, że "tryb życia jaki prowadziła nie jest odpowiedni do ciężkiej sytuacji w jakiej znalazła się kraj, i nie przystoi sowieckiej kobiecie".

Galą także zwróciła moją uwagę na fakt, że w naszym baraku przebywa pułkownik Jakowlew, wybitny teoretyk artylerii i były instruktor Akademii Wojskowej. Znała go jeszcze z Moskwy - często spotykali w domu jej ojca.

Prawdę mówiąc, był on tu już od dawna, lecz starałem się nie zwracać na niego uwagi. Zdarzało się czasem, że wśród zgłodzonych pacjentów i innych ciężko chorych, trafiał się

dowodzony był przez tępego pułkownika z gatunku partyjnych, którego jedynym doświadczeniem wojennym, był udział w bitwie o Warszawę w 1920 roku. Nie miał pojęcia o nowoczesnej broni i wydarzeniach na froncie. W rozłokowaniu mojej baterii, poza liniami kordonu jego oddziałów widział jedynie chęć ucieczki. Nakazał nawet swoim żołnierzom otworzyć ogień do moich ludzi, którzy wykonywali moje rozkazy dotyczące dyslokacji baterii. Nie wiem czy był wtedy pijany, czy zawiodła łączność, dość, że nasz konflikt nabrał ostrego przyepieszenia. Dzięki szefowi sztabu armii postawiłem na swoim. Operacja zakończyła się sukcesem i wkrótce zapomniałem o tym incydencie. W parę miesięcy później, gdy przekraczaliśmy Dniepr, zostałem aresztowany i oskarżony o zachęcanie do ucieczki, wzniesanie paniki w obliczu nieprzyjaciela itd. Sam pan wie, że w rozmowach z NKWD żadne logiczne argumenty nie skutkują.

- Wiem, ale słyszałem też o stałym antagonizmie między armią a NKWD.

- Antagonizm, to nie jest właściwe słowo. Bardziej jest to kwestia konfliktu interesów. NKWD zagarnia owoce poświęcenia armii. Oni są dobrze odżywieni, ubrani, są za frontem, nie ryzykują życia. A byle starezyzna NKWD jest ważniejszy, ma więcej do gadania niż oficer dowodzący liniową dywizją. Żołnierze doskonale wiedzą, że nigdy nie otrzymają żadnej nagrody ani uznania za swoje poświęcenia i dzielność, nie więc dziwnego że zazdroszczą enkawudziatom. Praktycznie nie ma to żadnego znaczenia.

- Jak to?

- Armia jest tak samo przesycona donosicielami i szpicłami jak instytucje cywilne. Każdy enkawudzista i politruk ma całą siatkę swoich informatorów. Na początku wojny nienawiść do NKWD i rządu była większa niż do Niemców. W niektórych dywizjach, zwłaszcza tych złożonych głównie z mniejszości narodowych, żołnierze wybili swoich politruków i albo poddawali się, albo przechodzili do Niemców. Jest to też jednym z głównych powodów, dlaczego tak wielu ludzi w początkach wojny trafiło do więzień. Teraz duch w armii jest już zupełnie inny.

- Co spowodowało tę zmianę?

- Niemcy przegapili swoją szansę. Okazali się jeszcze bardziej okrutni niż NKWD. Mordowanie jeńców, masowe egzekucje, sanochody-komory gazowe, wywózki ludności, wszystko to wpłynęło na generalną zmianę opinii i nastrojów społecznych. Wywołało wśród żołnierzy nienawiść do Niemców. Jestem przekonany, że gdyby Niemcy zachowywali się na Ukrainie w taki sposób jak w 1918 roku, mieliby za sobą całą ludność. Właściwie to rząd i NKWD powinni postawić Hitlerowi pomnik na Placu Czerwonym. To on spowodował nasze zwycięstwo militarne.

-- Naprawdę sądzi pan, że to zmiana ducha w armii stała się przyczyną sukcesów?

Oczywiście, to wszystko nie jest takie proste. Przegraliśmy z Niemcami pierwszą fazę wojny bo złapali nas ze spuszczonymi portkami. Sztab Generalny, marzałek Sapozhnikow nie ufał Niemcom od początku i jeszcze w początkach 1941 roku ostrzegał, że należy podjąć działania zapobiegawcze, ale Kraml i polityczni przywódcy zabronili ruchów większych jednostek, aby Niemców nie drażnić. Niech pan sobie wyobrazi, że wieczorem 21 czerwca 1941 roku nasza dywizja wydała przyjęcie w pałacu Drucko-Lubeckich pod Grodnem, na które zaprosiliśmy niemieckich oficerów z drugiej strony granicy. Niemcy przyjechali, jedliśmy, piliśmy, bawiliśmy się wesoło. Brałem udział w tym przyjęciu, więc wiem. Niemcy pili bardzo umiarkowanie i przed północą odjechali wymawiając się ważnymi ćwiczeniami wojskowymi. My, Rosjanie, nie skończyliśmy jeszcze przyjęcia kiedy ogłoszono alarm lotniczy i spadły pierwsze bomby. W dwie godziny później ^z niemieckie samoloty ostrzeliwały Grodno. Nasza dywizja się załamała. Jestem chyba jedynym z nielicznych oficerów, którzy uszli cało. Z samego rana odleciałem samolotem z rozkazami do sztabu armii. W ten sposób uniknąłem śmierci lub niewoli. Te niemieckie sukiesyny, mieli w kieszeniach rozkazy ataku, kiedy siedzieli z nami przy jednym stole i wznosili toasty.

- Chyba jednak element zaskoczenia nie był jedynym powodem ... Nawet Stalin wspominał o przewadze technicznej Niemców.

- Teraz zaczynamy dochodzić do równowagi w sprzeczności. Wkrótce zyskamy nawet przewagę techniczną.

- A Stalingrad? Niemcy przegrali, ponieważ nie mogli uzupełnić strat w swojej armii, to samo na Kaukazie. Pytam, bo często się o tym mówi.

- To jest istotnie sprawa o dużym znaczeniu, ale nie decydująca. Decydujące znaczenie miał fakt, że pomoc aliancka przyszła na czas. Bez tej pomocy być może moglibyśmy nawet obronić Stalingrad, ale nie moglibyśmy zrobić użytku z tego zwycięstwa i rozpocząć ofensywy na wielką skalę. Nie ma pojęcia nawet, jak wielką ilość sprzętu, samochodów, samolotów, dział, najróżniejszej broni Amerykanie w nas wpompowali i pompują nadal; mundury, leki, puszki z żywnością, wszystko. Władze starają się ukrywać te fakty przed ludnością, a nawet przed armią. Etykiety z angielskimi napisami są usuwane skąd tylko można je usunąć. Od połowy 1942 roku jedliśmy amerykańskie konserwy, chleb z amerykańskiej maki, paliliśmy amerykańskie papierosy, jeździliśmy amerykańskimi wozami na amerykańskiej benzynie. Znaczenie tej pomocy, która i teraz nadchodzi, nie ma, kapitalne znaczenie w porównaniu z naszymi możliwościami. W wielu dziedzinach amerykańska pomoc jest większa niż wszystkie nasze rezerwy. Nie byliśmy i nie jesteśmy ekonomicznie przygotowani do prowadzenia wojny i w kołach wojskowych powszechnie o tym wiadomo.

- Nigdy o tej pomocy nie wspomniano w gazetach.

- Władze wstydzą się tego. Przyznanie się, oznaczało by przyznanie wyższości amerykańskiej zdolności przemysłowej, a tym samym wyższości systemu kapitalistycznego. Wymyśliły więc całą kampanię propagandową o braku drugiego frontu. W moim przekonaniu drugi front, od dawna już istnienie, istnieje od 1942 roku. Angielskie naloty lotnicze na Niemcy, nieprzerwane bombardowania ich centrów przemysłowych i miast, są równie efektywne jak amerykańskie bombardowania Rury, Berlina i Hamburga. Szlagan jak wywołuje te bombardowanie bez wątpienia dezorganizuje przepływ zaopatrzenia dla niemieckiej armii na froncie. Dało się to zauważyć specjalnie pod Stalingradem. Jako artylerzyści zaobserwowałem zmniejszoną aktywność ich artylerii i lotnictwa. Łatwiej jest walczyć ze źle wyekwipowanym żołnierzem, słabo zaopatrzonym technicznie i dezorganizowanym. Niemiecki żołnierz też nie jest wzorem walecznej

doskonałości, lecz dyscypliną i wykształceniem przewyższa jednak Czerwoną Armię, szczególnie w doborowych jednostkach.

Później Gala opowiadała mi, że pułkownik Jakowlew, jako wybijający się teoretyk wojskowy był autorem licznych podręczników, które podobnie jak prace marszałka Sapożnikowa stanowiły obowiązkową lekturę w Akademii i sztabach.

Nasza znajomość była dość krótka, wytarczającą długą jednak by odbyć wiele rozmów. Wydawało mi się nawet, że pułkownik wykorzystywał sposobność, by wypowiedzieć na głos swoje wieloletnie przemyślenia. Zniknął równie nieoczekiwanie jak się pojawił. Wpływowi przyjaciele zapewnili mu "pozycję" w "Mostozawodzie" - w obozie, gdzie wytwarzano elementy składowanych mostów.

Moje wieczorne rozmowy z pułkownikiem musiały zapewne przeciągać się nazbyt długo, gdyż Jelena Jakowlewna opuściła mnie. Znalazła dość czasu, by zakochać się w przystojnym Armeńczyku doktorze Atanzjanie. Nie przyjąłem tego obojętnie, ale i jej ta zmiana nie przyniosła szczęścia. Jej nowy przyjaciel mieszkał w innej części obozu i ich spotkania stały się niebezpieczne. Oboje kochankowie zostali przyłapani przez obozowego komisarza, Jelena wysłano do innego obozu pierwszym transportem.

Jej smutna przygoda przyniosła niepożądane skutki także dla całego baraku nr 5. Straciliśmy idealną przełożoną. Jest to stanowisko wymagające w warunkach obozowych wielkiej odpowiedzialności, ponieważ do obowiązków przełożonej należy porządkowanie żywności dla chorych i personelu oraz sprawiedliwy jej rozdział. Zależy to nie tylko od jej uczciwości, co nie jest częstą zaletą w obozie - ale także, umiejętności wchodzenia w "błat" z kuchnią, magazynami itd. Dla Jeleny, z jej urodę i naturalnym wdziękiem, była to sprawa łatwa. Umiała wzbudzać sympatię kiedy chciała, albo kiedy to było potrzebne. Wykonywała swą pracę tak doskonale, że brak jej teraz, odczułem boleśnie nie tylko ja, ale cały barak.

x x x

Rozdział XXVIII

MIEDZY NADZIEJĄ A ZWAJPIENIEM

Następczynią Jeleny Jakowlowny została Sonia. Wcześniej już, przez trzy miesiące pracowała w naszym baraku. Wzięliśmy ją na miejsce Leny, którą wysłano do obochozu należącego do Kotłasza. I to ja dokonałem tego wyboru.

Sonia trafiła do Kotłasza transportem z głębi Kaukazu. Był to jeden z najcięższych transportów jak dotąd do naszego obozu. Dwa tysiące "natemenów" stłoczonych w bydłych wagonach w podróży, która trwała 6 tygodni. Trudno opisać, co ci więźniowie przecierpieli, dość powiedzieć, że do Kotłasza dotarł jeden wagon - który przywiózł same trupy. Cel tego transportu wyznaczony był gdzieś na dalekiej północy, w Kotłaszu zostawiono tylko zmarłych i osoby bardzo chore. Sonia była wśród nich. Kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy była półżywa i przeraźliwie wychudzona. Lecz nie to zwróciło moją uwagę, wiele innych było w takim samym stanie, uderzyła mnie jej zadziwiająca, egzotyczna uroda. Być może dlatego zresztą, że nie widziałem dotąd w naszym obozie żadnej "natemenki". Była drobna, z czarnymi jak smoła włosami, ciemną skórą i wielkimi, prawie bez białek oczami. Wśród gromady ordynarnych i przeklinających gorzej niż mężczyźni bab, wydawała się wyoboowana i całkowicie bezbronna. Zrobiło mi się jej żal. Poprosiłem dr Bergera, aby ją wziął na miejsce opuszczone przez Lenę do naszego baraku. Z początku była zbyt słaba, by rozpocząć pracę. Jelena Jakowlowna zajęła się nią szczególnie. Sonia szybko odzyskała siły i stała się jej prawą ręką. Najpierw wykonywała proste prace, ale szybko stała się doskonałą pielęgniarką, zysując sobie uczciwość, spokój i inteligencję poważającą sympatię. Sonia była Karaczajką i mahometanką. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało Sufiat Akajowna Kabichawa.

Karaczajowie są ludem pochodzenia tureckiego, zamieszkującym północną stoki Kaukazu. W latach 1924-1943 utworzono tam Karaczajsko-Czeczeński Obwód Autonomiczny. Sonia pochodziła z Mikojan-Szakhar, miasta będącego czymś w rodzaju stolicy Karaczajów. Była mężatką i wywodziła się z licznej rodziny składającej się z wielu braci i sióstr, do których była bardzo przywiązana. Nie wieś na skutek jakich okoliczności została kandydatem partii, lecz nigdy nie porzuciła wiary Mahometa.

Kiedy wybuchła wojna, Sonia miała dwadzieścia cztery lata, jej mąż został zmobilizowany i wysłany na front. W 1942 roku gdy jej rodzinne miasto zajęli Niemcy, jako partyjna miała obowiązek zejść do podziemia i ukrywać się. Nie była to jednak decyzja prosta, gdyż większość jej rodaków traktowała Niemców przyjaźnie, jako wyzwolicieli spod bolszewickiego panowania i była do nich usposobiona dobrze. Sowieccy partyzanci chcieli ją zabrać w góry, ale Sonia do nich nie dołączyła. W 1943 roku Niemcy zostali wymięceni z Kaukazu a Sonię aresztowano i skazano na siedem lat z artykułu 58 jako "zdrajcę ojczyzny".

Nie to było największą tragedią w jej życiu. Podczas swego pobytu w więzieniu, dowiedziała się, że cała ludność karaczajska została wywieziona w nieznane miejsce. Do jej osobistych cierpień dołączyła się teraz stała udręka rozmyślań i niepokojów o losy rodziny, rodziców, braci i sióstr. Gdy tylko znalazła się w Kotłes rozpoczęła natychmiast poszukiwanie śladów swej rodziny. Zaczęła wysyłać listy a wysyłała ich nie dziesiątki, ~~lecz~~ setki. Pomagałem jej w tym, głównie gdy chodziło o listy wysyłane nielegalnie, gdyż miałem w tym zakresie większe niż ona doświadczenie i możliwości. Początkowo adresowała te listy do osób znajomych w obwodzie Karaczaji, ale nie dostawała żadnej odpowiedzi. Cała ludność licząca 150 000 osób dosłownie zniknęła, po prostu jakby zapadła się pod ziemię.

Sonia nie dawała za wygraną, jej upór i determinacja były zdumiewające. Nigdy nie zaniechała nawet najmniejszej okazji, mogącej doprowadzić na jakiś ślad. Związek Sowiecki jest ogromny, zajmuje jedną siódma powierzchnię Ziemi, Sonia roz-

pytywała nieskończoną ilość więźniów, błagała ich, by w listach do swoich domów i rodzin dowiadywali się, czy nie spotkali kogoś z Karaczajów. Musiał upłynąć niemal rok, zanim udało się jej natrafić na pierwsze ślady. Pewien Kozak powiedział, że spotkał Karaczajów w jednym z kołchozów w środkowym Kazachstanie. Od kogoś innego dowiedziała się, że pewne grupki jej rodaków przebywają także w Kirgizji.

Trudno tu opisywać wszystkie szczegóły starań i wysiłków jakie podejmowała Sonia. Zajęło jej to dokładnie dwa lata. Dopiero w 1946 roku otrzymała pierwszy list od kogoś ze swojej rodziny - pracowali w kołchozie w Kazachstanie. Sonia nie posiadała się z radości, choć sama przecież była w sytuacji, w której nie pozostawał jej zbyt wiele nadziei, że kiedykolwiek zobaczy swoich najbliższych i drogich.

Karaczajowie nie byli jedynym ludem, który władze sowieckie przesiedliły gdzieś na niemiernie obzary ZSSR. Podobny los spotkał ludność Czeczeńsko-Inguskie^{go} Rejonu Autonomicznego. Przyczyną, miała być ich sympatia do niemieckiego okupanta. Najbardziej wplątani we współpracę z Niemcami mieszkańcy tego regionu, zostali rozstrzelani natychmiast po wkroczeniu Armii Czerwonej, natomiast mniej wplątani - zostali zesłani do łagrów. Reszta zaś, praktycznie cały naród, bez względu na to czy byli winni czegośkolwiek czy nie, zostali deportowani z własnej ziemi. Wolnych górali, którzy swoją wolność cenili ponad wszystko i jak długo mogli, bronili się przed niewolniczą pracą - wtłoczono teraz do farbyk, kołchozów i łagrów. I stanowiło to ukoronowanie walki, jaką bolszewicy od początku, od rewolucji prowadzili przeciw ludom Kaukazu.

Podobny los wreszcie, spotkał również Tatarów Krymskich zamieszkujących swe ziemie od trzynastu stuleci. W latach 1945-1946 i oni, cały naród deportowany został na stepy i pustynie Środkowej Azji.

Jednego z Tatarów Krymskich poznałem zimą 1944 roku w naszym szpitalu. Aresztowano go za "współpracę z wrogiem" i skazano na dziesięć lat z artykułu 58.3. Kolaboracja polegała na tym, iż w czasie okupacji ten stary i ledwie piémienny człowiek pracował w lesie jako gajowy - tj. na tym samym stanowisku i w tym samym miejscu - na którym był przez trzydzieści lat.

Sonia pracowała w naszym beraku szpitalnym przez dwa lata. Zarówno dr Berger, jak i ja bardzo ją polubiliśmy, darząc przyjaźnią i szacunkiem. Była to dziewczyna w pełnym tego słowa znaczeniu - wielce moralna. Młoda i piękna, obdarzona atrakcyjną egzotyczną urodą, zwracająca powszechną uwagę mężczyzn, nigdy nie weszła na drogę erotycznych przygód, tak powszechnych w obozie. Była chyba jedynym wyjątkiem wśród całego żeńskiego personelu. I co najważniejsze, mogliśmy być absolutnie pewni, że Sonia nie doniesie i prędzej da się żywcem pokroić niż zdradzi jakąś tajemnicę. A to w warunkach obozowych było bezcenną wartością.

Kiedyś, gdy rozmawialiśmy o niej, dr Berger zauważył: "Sonia jest żywym przykładem znaczenia i wartości podstawowych zasad moralnych, wpajanych przez tradycje i religijne wychowanie w życie człowieka. I nie ma znaczenia czy dotyczy to wiary chrześcijańskiej, mozeszowej czy islamu".

Wiosną 1946 roku przyszło z Moskwy polecenie by władze obozowe zwolniły z zajmowanych funkcji wszystkich więźniów skazanych z artykułu 58. Wyjątek stanowił skazany z paragrafu 10 /"Antysowiecka propaganda"/ i specjaliści, których trudno było natychmiast zastąpić, przy czym każdy taki przypadek zatrudniania specjalistów administracja musiała uzasadnić na piśmie a uzasadnienie przesłać do Moskwy do zatwierdzenia.

Takie ograniczenie dla więźniów z artykułu 58 obowiązywało w zasadzie zawsze i traktowane było jako reguła, ale od reguł istniały wyjątki. Administrację obozów, rzadko tych ograniczeń przestrzegali i starali się je obchodzić. Nie z dobroci serca, oczywiście, ale dlatego że miały trudności w znalezieniu wykwalifikowanych ludzi, wśród pospolitych więźniów kryminalnych. Na przykład wśród piętnastoosobowego personelu lekarskiego w naszym szpitalu, był tylko jeden skazany za przestępstwo niepolityczne /w ataku zazdrości zabił swoją przyjaciółkę/. Kierownictwo, odpowiadając za poprawne funkcjonowanie obozu, po prostu nie miało innego wyjścia - musiało zatrudniać "pięćdziesiątkę ósemkę".

Jednakże polecenie Moskwy tak czy owak trzeba było wykonać. Wielu moich znajomych padło ofiarą tej gorliwości - zostali zdjęci ze swoich funkcji i przeniesieni do brygad roboczych.

albo odeszani na późno. Jako "zdrajca ojczyzny", Sonia również musiała opuścić barak nr 5, lecz dzięki naszym staraniom trafiła do obozowych krawieckich warsztatów naprawczych, musiała teraz spędzić dwanaście godzin na dobę w warsztacie, wykonując norę, polegającą na reperowaniu podartych, brudnych i zamszonych ubrań roboczych, żeby więźniowie mieli w czym iść do pracy. Było więc jej bez porównania gorzej niż u nas w baraku, ale jednak bez porównania lepiej niż w zwykłych brygadach roboczych.

Najwybitniejszą osobowością w naszym szpitalu, obok dr Bergera był szef baraku nr 8 - dr Popow, niegdyś profesor psychiatrii na jednym ze znanych uniwersytetów. Człowiek ten starszy już i chorowity był obozowym weteranem, ponieważ w czasie wojny trafił do łagru już po raz drugi. Poprzednio, przed wojną skazany był również z artykułu 58.10 i odbył całą karę.

Pewnego dnia on i dr Berger zostali wezwani do Kotłae na konsultacje. Wrócili obaj ledwie żywi, gdyż pędzono ich pod strażą, szybko i nierzadym, tam i z powrotem kilkanaście kilometrów. Wrócili jednak nie tylko zmęczeni fizycznie, ale roztrzęsieni nerwowo do ostatnich granic. Zostałem wezwany, aby pod ich dyktando opisać raport. Otóż okazało się, że obu tych specjalistów sprowadzono do miasta w celu sprawdzenia władz umysłowych pewnej kobiety z Kotłae, którą aresztowano za zabicie własnego dziecka. Zatrzymano ją przypadkowo na targowisku za nielegalny handel mięsem. Po obejrzeniu zawartości jej koszyka, okazało się, że są w nim nerki, wątroba oraz poćwiartowana kawałki mięsa ludzkiego - dziecka. W zeznaniach ona kobieta stwierdziła, że ostateczny głód popchnął ją do tego desperackiego czynu. Człowiek prowadzący śledztwo zwołał z obozu dwóch najwybitniejszych rzeczoznawców dla sprawdzenia stanu jej władz umysłowych.

Dyktując mi swoje orzeczenie, obaj eksperci prowadzili zacięłą dyskusję. Trudność polegała na tym, iż według ich opinii, owe kobieta była całkowicie normalna. Z drugiej jednak

strony, biorąc pod uwagę swoje położenie, nie mogli nie liczyć się z tym, czego domagał się od nich śledczy i NKWD w Kotłas. A on właściwie oczekiwał orzeczenia skurat wręcz przeciwnego.

I Berger i Popow byli lekarzami starej szkoły, i gdy chodziło o skłonienie ich do odstąpienia od zawodowych principów, zawsze potrafili stawia czoła wszelkim naciskom. Po długich dyskusjach jednakże orzeczenie wypadło kompromisowo. Oba lekarze uzgodnili: na podstawie krótkiego i pobieżnego badania nie byli w stanie stwierdzić żadnej choroby umysłowej. Zazwyczaj dla ustalenia właściwej diagnozy potrzebny jest dłuższy okres obserwacji pacjenta. Niemniej jednak fakt, iż zabiła własne dziecko a jego części wyniosła na sprzedaż świadczy, że nie jest osobą normalną.

W marcu na zachód Armia Czerwona wkroczyła na terytorium Polski, w Lublinie powstał PKWi. Równocześnie Rada Najwyższa Rosji ogłosiła kolejną amnestię dla Polaków. Znowu zaświtała nadzieja.

W połowie września zostałem wezwany do obozowego NKWD. Wraz ze mną wezwani też zostali: żydowski krawiec z Lublina - Hochberg i Ukrainiec z okolic Drohobycza - Skrypianko. Oba, podobnie jak ja skazani byli z artykułu 58 - Hochberg na osiem lat, Skrypianko na dziesięć. Oficer NKWD zwołał mnie pierwszego, oficjalnie poinformował o amnestii oraz, że jestem jednym z tych, którzy mogą skorzystać z jej dobrodziejstwa. W tym celu, miałem wypełnić specjalny formularz i przynieść go do administracji obozu. Formularz był bardzo szczegółowy i zawierał mnóstwo pytań. Zajął mi sporo czasu zanim go wypełniłem.

- Uważajcie tym razem, bo na następną amnestię możecie długo poczekać - powiedział mi na pożegnanie enkawudzista i poklepał po ramieniu.

Wróciłem do baraku uszczęśliwiony. Moi przyjaciele cieszyli się razem ze mną, choć nie ukrywali, że trochę mi zazdroszczą. Zasypywali mnie za to poleceniami, które miałem

spełnić po wyjściu na wolność. Zaczęłam żyć w niezwykłym podnieceniu. Nie potrafiłam ekwipować się nawet w pracy. Próbowaliśmy uzupełnić moją garderobę. Zastanawiałem się, co będę robił gdy nadejdzie wolność. Zdecydowałem, że postaram się dołączyć do armii Berlinga bez względu na uprzedzenia. "Cotam polityka" - myślałem - "najważniejsze, żeby jak najprędzej dostać się do Polski". Dni w oczekiwaniu, stały się nieskończenie długie, wlokły się jak żółw.

Szóstego października - a nigdy tej daty nie zapomnę - był mglisty deszczowy, jesienny dzień. Hochberg przybiegł do mego baraku i rozpromieniony oznajmił nowinę: właśnie został zwolniony, spieszył do biura załatwić ostatnie formalności. Poszedłem do skrypienki, zastałem go w baraku pakującego swoje rzeczy. On też został zwolniony.

Pobiegłem do URZ /Uczetno-Raspreditielno Czast/ biura, które zajmuje się dokumentami, listami transportowymi, zwolnieniami itp. Powiedziano mi, że otrzymali nakaz zwolnienia Hochberga i Skrypienki, mojego jednak nie. W kilka minut później zobaczyłem ich obu przechodzących przez bramę obozu. Poczuliśmy się chyba jeszcze bardziej zdesperowani, niż tamtego września w Boguliubowie. Nie wiedziałem wtedy, że tylko bardzo nieliczna grupa Polaków została zwolniona w wyniku tej amnestii. Że był to po prostu propagandowy chwyt.

Lisopad przyniósł mrozy i gęsty śnieg. Zaraz pierwszej nocy spałem twardo po całonocnym dyżurze, gdy obudziło mnie szarpnięcie i ostry głos: "zbieraj rzeczy i wychodź". Inspektor obozowy, sierżant NKWD, Praskurin stał nade mną i szarpał za ramię. Wszyscy w obozie znali go jako gorliwego służalca i bali się jego.

- Wstawaj! Nie rozumiesz? Wyjeżdżasz z transportem za dwie godziny. Ruszaj do łaźni i zabierz swój czamadan.

A więc przyszło najgorsze. Dr Berger wyskoczył z żółką i był ni mniej przerażony niż ja. Zaden z nas nie wiedział co robić. Była godzina piąta rano, transport miał odejść za godzinę. Moją jedyną nadzieję mógł być dr Gideonow, następca

dr Dłgi Iwanownej, obecny szef służby medycznej w Kotłas - tylko on mógł mnie ocalić. Wydawało się możliwe, że na prośbę dr Bergera będzie interweniował. Gdyby jednak omówił, pozostała jeszcze pewna nikła szansa, gdyż dr Berger był w dobrych układach z najważniejszymi osobami w hierarchii obozowej. Ale żadna z tych osób, nie nocowała na terenie łagru, dr Berger zaś jako więzień nie mógł wyjść poza teren. Ani Gideonow, ani komendant obozu - Koczkin nie zjawiali się tu przed dziewiątą. A o też porze będzie już za późno. O dziewiątej będę daleko w drodze.

Byłem zdenerwowany i roztrzęsiony, próbowałem opanować się i coś rozsądnego wymyślić. Postanowiłem, że za wszelką cenę muszę zostać. Wiedziałem, że najgorsze co może mnie spotkać to karcer i wyjazd następnym transportem za kilka dni. Gdyby dał się zabrać teraz to i tak byłbym stracony. Transport szedł do Workuty, a Workuta ...

Musiałem się ukryć, w innym wypadku zabiłoby mnie się. W sąsiednim baraku miałem przyjaciela, na którego zawsze mogłem liczyć w potrzebie. Pobiegnąłem do niego. Ani przez moment nie miałem wątpliwości, że mi pomoże, nawet za cenę utraty swej funkcji, karceru czy transportu na północ. Bez wahania otworzył drzwi magazynu gdzie przechowywano prześcieradła, koce itp. pomógł mi wpełznąć się na najwyższą półkę i przykrył mnie największym tobołem z pościeli, po czym wyszedł i zamknął drzwi na klucz.

Leżałem bez ruchu i wsłuchiwałem się w łomot własnego serca. Nie wiem ile to trwało, godzinę czy dłużej, usłyszałem stukot podkutych, żołnierskich butów i chrapliwy głos Prasurina: "gdzieś tu musi być. No, niech ja go tylko dostanę..." Kroki oddaliły się, widocznie przeszedł na oddział, bo po paru chwilach jednak wrócił i znów przeszedł obok mojej kryjówki klęcząc i złorzecząc. Z pewnością spieszył się, gdyż musiał odprawić transport. Na wszelki wypadek, pozostałem w ukryciu jeszcze przez kilka godzin po czym przeniknąłem się do mojego baraku.

Dr Berger był bardzo rad, że udało mi się tym razem uniknąć transportu, niepokoił się jednak o następstwa mojej nie-subordynacji. Byłem przygotowany na najcięższą karę. Berger,

Sonia i mój przyjaciel, który mnie ukrył, powiedzieli że Praskurin był wściekły, zarządził poszukiwania w całym obozie. Przeszukał nawet wszystkie łóżka w szpitalu podejrzewając, że ukryłem się w którymś z nich, wśród chorych. Oczekiwałem, iż przyjdą po mnie łała moment.

Tuż po dziewiątej rano zostałem wezwany do lejtonanta Koczniaka - komendanta obozu, enkawudziasty - którego wszyscy się bali. Stojąc przed jego drzwiami przygotowany byłem na najgorsze. Odetchnąłem z ulgą, kiedy powiedział:

- Dlaczego uciekacie i chowacie się? Jesteście wykaztaczonymi człowiekiem a nie zwykłym urką. Musicie wiedzieć, że to co zrobiliście, jest ciężkim naruszeniem dyscypliny obozowej.

- Obywatelu komendancie obozu - powiedziałem: wiem, że popełniłem poważne przestępstwo i poniosę konsekwencję. Jestem na to przygotowany. Ukryłem się, bo pracuję tu ponad rok i dobrze się zachowuję, więc nie zesłużyłem na zesłania. Prosiłem sierżanta Praskurina, aby pozwolił mi poczekać na powrót obywatela komendanta albo na powrót naczelnego lekarza, lecz on nie wyraził zgody, transport zaś odchodził natychmiast. Ukryłem się. Nie miałem innego wyjścia.

Praskurin popatrzył na mnie ze złością:

- A wy myślicie, że kim jesteście? Zostaliście wyznaczeni do transportu i musicie jechać. Jesteście więźniami jak inni. Wasze nazwisko jest na liście i na tym koniec.

Ale Koczkin zdecydował inaczej:

- Tym razem was daruję, wracajcie do baraku. Lecz pamiętajcie, za najmniejsze przewinienie, pojedźcie nie do Worskuty, ale do Halmer-Yu.

Koczkin nie często przejawiał taką wyrozumiałość. Zazwyczaj, za najmniejsze przewinienie dawał dziesięć dni karceru i wysyłał na północ. Wkrótce dowiedziałem się czemu zowdziejczam tak łagodne potraktowanie.

Koczkin z natury był tyranem i nie znoził, żeby w obozie coś działo się bez jego wiedzy. Cały jego gniew i cała burza skupiły się na głowie szefa komórki rejestracyjnej, który wpisał moje nazwisko bez jego wiedzy. Listy więźniów wysyłanych z obozu, muszą być dla każdego transportu podpisywane osobiście przez komendanta. Tak było i tym razem, ale w ostatniej

chwili, ktoś za żepówkę usiłował uniknąć transportu, skreślono więc jego nazwisko a wpisano moje. Zrobiono to, za plecami Koczkińa i dlatego mi się upiekło.

Epizod ten, na nowo rozbudził moje dawne, chwilowo utopione niepokoje. To, że tym razem okoliczności tak się dla mnie pomyślnie ułożyły - nie oznacza, że uda mi się i następnym razem. Należało brać pod uwagę i taką możliwość. Więźniowie, którzy byli w obozach na północy w Workucie i Halmer-Yu, opowiedzieli rzeczy tak straszliwe, iż wolałbym szybką i bezbolesną śmierć niż powolne konanie.

Prawdziwym nieszczęściem dla więźniów stało się to, że odkryto tam bogate złoża węgla. Praca pod ziemią w kopalniach, w arktycznym klimacie i w niezwykle trudnych warunkach, nie dawała szansy na przeżycie. Do tego, sztoray śnieżne /purgi/, które w czasie ich trwania nie dają możliwości przejścia nawet 10 metrów z baraku do baraku. Zdarzały się wypadki, że ludzie zwaleni z nóg, nie mieli siły wstać a ich ciała znajdowano dopiero po jakimś czasie. Aby zapobiec mnożeniu się takich wypadków, między barakami rozciągnięto specjalne liny zabezpieczające, ale i one nie zawsze pomagały.

Jednak nawet w porównaniu z Workutą, prawdziwym piekłem jest Halmer-Yu, położone o 250 km na północ od Workuty u brzegów Morza Karakiego. W języku Syrynien, nazwa ta oznacza "dołinę śmierci". Budowany jest tam port, który służyć ma jako baza węglowa dla floty arktycznej ZSSR oraz linia kolejowa mająca połączyć Workutę z Halmer-Yu - oczywiście rękami więźniów. Tak więc, łagry tam nie są właściwie obozami pracy lecz obozami zagłady. Nigdy nie słyszałem, aby jakiś pospolity więzień, robotnik, stamtąd powrócił, a nie miał innej drogi powrotu niż przez Kotłas.

Nieliczni, którzy stamtąd wracali byli wyłącznie "pridurkami", wracali zaś w stanie całkowitego wyniszczenia. Oni właśnie zapewniali nas, że porównując warunki Kotłas jest prawdziwym rajem.

Istny paradys - pomyślałem. Raj, w którym - na każdych 1000 chorych - co miesiąc 300-400 umiera.

x x x

Rozdział XXIX
CZUJNOŚĆ REWOLUCYJNA

Aby uniknąć losu, jaki nieuchronnie musiał czekać na północy, każdy więzień w Kotłas robił co mógł, aby nie znaleźć się w transporcie. Pomysłowość w tym zakresie, była wprost niewyczerpana, szczególnie wśród tych, którym udało się uplastować na "funkcjach". I nic dziwnego, ci właśnie mieli przeciż największej do utracenia.

Gorszиков, przed uwięzieniem, porusznik lotnictwa, został złapany na gorącym uczynku odbywania stosunku seksualnego, i to przez samego Koczkiną. Ten, natychmiast wpisał go na listę do transportu. Gorszиков, by tego uniknąć, zrobił sobie zastrzyk z nafty, dostał gorączki powyżej 40° i omal nie umarł z trudem go odratowano. Któryś ze szpicli, a w obozie aż się od nich roziło, doniósł o tym Koczkinowi. Ten z kolei, przekazał sprawę obozowemu szefowi kontrwywiadu z poleceniem wszczęcia natychmiastowego dochodzenia. Dla obwinionego o samoekalczenie oznaczałoby to następny wyrok, dodatkowych dziesięć lat.

Na długo jednak przed tym wydarzeniem, mówiło się, że Gorszиков jest agentem szefa kontrwywiadu. Podobno widywano go jak wieczorami chodził do pokoju szefa. W każdym razie, ten ostatni, zawsze wiedział doskonale o wszystkim co się poprzedniego dnia wydarzyło w baraku nr 1, w którym pracował Gorszиков. Mówiono też, że z tego właśnie powodu, administracja patrzyła przez palce na jego obyczaje seksualne, aż do czasu gdy nakrył go sam komendant. Mimo osobistego polecenia Koczkiną, szef kontrwywiadu jednak wziął w obronę Gorszikowa i nie wytoczył mu procesu. W rezultacie między tymi notablami powstał ostry konflikt, wtajemniczeni, a i ja do nich należałem - wiedzieli, że obaj serdecznie się nienawidzą i jeden drugiemu stara się "podstawić stołkę". Szef kontr-

wywiadu i tym razem, na przekór komendantowi, ograniczył się do powołania komisji lekarskiej w celu zbadania Gorzíkowa. Ponieważ pod dyktando ja pisałem orzeczenie tej komisji, z rozmowy lekarzy zorientowałem się, że byli dyskretnie ostrzeżeni, by orzeczenia nie zawierało nic, co by mogło zaszkodzić Gorzíkowi.

I tak uniknął on śledztwa, sądu i nowego wyroku, ale Koczkin też nie dał za wygraną i wpisał Gorzíkowa na listę pierwszego transportu. W rok później spotkałem go w Abex i przez pewien czas razem tam przebywaliśmy.

Jak już wspominałem Kotłaśląg był kombinatem rolniczo-produkcyjnym i składał się z wielu sowchozów wykorzystujących więźniów jako siłę roboczą. Każdy z tych sowchozów miał swój plan produkcyjny, który za wszelką cenę musiał być wykonany, a jeszcze lepiej przekroczony. W rzeczywistości plany, tak jak wszędzie, były znacznie zawyżone. Co więcej, także i administracja obozów była zainteresowana zwiększeniem produkcji ile się da, ponieważ wszystko to co wyprodukowano ponad plan, mogło iść na potrzeby obozu.

Już w marcu, mimo panującej w Kotlae jeszcze zimy w pełni, rozpoczynały się w naszym obozie tranzytowym istne polowania na ludzi. Rozpoczęła też działanie specjalna komisja składająca się z przedstawicieli władz wszystkich obozów, pod przewodnictwem majora NKWD - Świridinowa, szefa całego Kotłaślągu, a wchodził do niej również dr Biereznoj.

Ponieważ zawsze w tym okresie było za mało ludzi, nie oszczędzono nawet chorych. Biereznoj kierował do pracy również i tych chorych, których sam osobiście miesiąc wcześniej zakwalifikował jako "stan ciężki" - czego dowodziły ich karty ewidencyjne. Większość lekarzy w takich wypadkach bała się protestować. Dr Berger wyklócał się jednak o każdego pacjenta. Zwłaszcza, że wielu spośród nich, z najwyższym trudem i dzięki osobistemu staraniu udało mu się utrzymać przy życiu. Uważał, że człowiek najpierw musi stanąć dobrze na nogi, a dopiero później można od niego wymagać pracy. Biereznoj nie lubił

jednak ustępować. Kończyło się przeważnie na krzyku: "Kraj potrzebuje żywności, a wy jesteście za słabi".

Komisji tej najbardziej jednak obawiali się więźniowie "funkcyjni" czyli "pridurki". Byli oni przeważnie jedynymi ludźmi w obozie w jakiejś takiej kondycji fizycznej, stąd też w pierwszym rzędzie oni stanowili przedmiot zainteresowania. Nawet faworyci administracji i różni donosiciele, pod koniec marca wyjechali do sowchozów.

Polowanie nie ominęło i szpitala. Szef służby medycznej musiał uszczuplić swój personel i wyznaczyć pewien kontyngent ludzi do robót w polu, spośród sanitariuszy i personelu pomocniczego. Wybrał oczywiście tych, z których był najmniej zadowolony. Ja uniknąłem wywózki.

Wysyłanie ciężko chorych ludzi do wyczerpujących prac polowych, było oczywistym idiotyzmem. Błędnej był tego całkowicie świadomy. Nie był również w najmniejszej mierze odpowiedzialny za realizację planów produkcyjnych w sowchozach i plany te w gruncie rzeczy w ogóle go nie obchodziły. Interesowało go natomiast wyrażanie do swoich przełożonych jak najlepiej brzmiących raportów, z których miało wynikać, że: "tylu a tylu robotników po odbyciu kuracji w jego szpitalu powróciło do pracy". Tak więc nie ideologiczny zapał w walce o zapewnienie krajowi jak największej ilości pożywienia, kierował jego postępowaniem.

Nie trzeba było długo czekać, by większość naszych pacjentów wróciła z powrotem do szpitala. Wielu z nich było tak słabych, że przynoszone ich na noszach. Wracali, żeby umierać.

Reszta więźniów zabranych w marcu powróciła w listopadzie. Miałem wśród nich wielu kolegów i byłem przerażony zmianami jakie zaszły w nich w ciągu tych kilku miesięcy. Pod koniec robót polowych w sowchozach, napływ pacjentów do szpitala był tak wielki, że trzeba ich było lokować na gołej podłodze. Kiedy wróciła nasza pielęgniarka Lena z trudem mogłem ją poznać. Zniszczona i wychudzona, w podartych łachmanach, w niczym nie przypominała zdrowej i silnej osiemnastoletki, sprzed kilku miesięcy.

- Lena, co się z tobą stało? - spytałem, kiedy wreszcie ją poznałem. Popatrzyła na mnie nieruchomym wzrokiem:

- Nie mam siły mówić.

Sonia przyniosła jej miskę zupy, ja - chleb. Zarłocznie rzuciła się na jedzenie. Znałam Lenę dobrze - wiedziałam, że zawsze potrafiła sobie radzić w trudnych warunkach. Kiedy się więc najadła i prześpała parę godzin, zapytałam wprost:

- Dlaczego nie znalazłaś sobie jakiegoś "pridurka"? U nas sobie w ten sposób całkiem nieźle radziłam.

- Tam były same kobiety i tylko kilku "pridurków". Przychodzili w nocy na nasze kwatery i robili co chcieli. Nie było żadnej dyscypliny. Cała administracja myślała tylko o tym, żeby wykonać plan. Na wszystko inne zamykali oczy.

Wszyscy, którzy powrócili z sowchozów potwierdzali to co powiedziała Lena. Praca zaczynała się o świcie a kończyła o zmierzchu, jedzenie składało się z czarnego chleba i miski zupy z rozgotowanej kapusty lub pokrzyw. Trudno też było przynieść sobie coś z pola, bo pod tym względem nadzór był bardzo ścisły. Jesienią, kiedy więźniowie pracowali przy wykopie ziemniaków, czasem próbowali ja sobie upiec przy ogniskach. Nadzór otrzymał ściśle instrukcja. Jeśli ktoś próbował piec kartofle, straż miała obowiązek natychmiast ognisko ugasić a kartofle zdeptać. Tu trzeba dodać, że przy pracy na polu, w chłdzie, ognisko ma nie mniejsze znaczenie niż pożywienie. Można sobie przy nim rozgrzać zgrabiając dłoń i przemarznięte stopy.

Proceder zdeptywania ognisk wydaje się już nie tylko pustą formalnością, ale celowym okrucieństwem. Zwłaszcza, że w sowchozach nigdy nie udało się wykopać wszystkich kartofli i część ich - co roku - pozostawała w ziemi. Ziemia szybko zamarzała a pola ziemniaczane przysypywał śnieg. Więźniom świadomie pozwalano przymierać z głodu, a kartoflom gnść.

Naturalnym zjawiskiem w obozie były regularne i bardzo dokładne rewizje zarówno osobiste, jak i we wszystkich pomieszczeniach. Odbywały się dwa razy w roku - przed Świętem Pracy 1 maja oraz przed rocznicą Rewolucji Październikowej 7 listopada - i nie stanowiły żadnej niespodzianki. Również

przed każdą z tych rocznic, pewną liczbę więźniów politycznych, zwykle około dziesięciu, zamykano w obozowym areszcie. Nikt jednak, nie wiedział na jakiej zasadzie administracja dokonuje wyboru, ani jakimi kryteriami się kieruje. Listę tych osób układali osobiście: komendant obozu, szef kontrwywiadu oraz szef "Wochry" /Wojenna ochrona/ czyli straży obozowej. Lista obejmowała zawsze więźniów z art. 58, często faworytów komendanta, ludzi zajmujących najwyższe pozycje w łagiernej hierarchii. Nigdy jednak nie stawiano im żadnych zarzutów, ani nie wysuwano przeciw nim oskarżeń. Natychmiast - po obu tych świątkach - zwalniano ich i wracali do swoich poprzednich zajęć.

Zatrzymywani ^{WE WNIETRZNYM} w areszcie, przyjmowali to jak najnaturalniejszą sprawę na świecie, doskonale wiedząc, że w ich przypadku areszt nie jest żadną karą, lecz regularnie powtarzającym się epizodem bez znaczenia - stanowiącym niemal rytualny punkt obchodów.

Rewizje przed świątkami były niezwykle szczegółowe. Więźniom odbierano przedmioty, normalnie uważane za legalne w warunkach obozowych. Wszystkie naczynia metalowe, miski, kubki, garnki, nawet puste puszkę po konserwach. Odbierano wszelkie papiery, listy, także czyste, niezapisane kartki. Na dwa dni wcześniej załogi baraków szpitalnych musiały oddać do depozytu instrumenty medyczne oraz leki o silnym działaniu jak morfina, belladonna itp. Jedynie strzykawki oraz kamforę pozwolono zatrzymać. Wszystko co należało oddać do depozytu, wyliczone było na specjalnej liście i ja zostałem osobiście wyznaczony do wykonania tego polecenia.

Taki sposób obchodzenia świąt narodowych, początkowo był dla mnie wielkim zaskoczeniem. W obozach, w których poprzednio przebywałem, nie praktykowano tego dziwnego obyczaju. Zresztą nie byłem jedynym "zapadnikiem", zaskoczonym tak groteskową formą obchodzenia świąt narodowych.

- Czego oni naprawdę szukają? - dziwił się dr Berger - w środku nocy 29 kwietnia 1944 roku, kiedy trzech enkawudzieli wyszli już z naszego pomieszczenia po dokonaniu szczegółowego przeszukania. Rewizja odbyła się niezwykle brutalnie i zabrano nam wiele najzwyklejszych przedmiotów.

- Czego się boję? Jakie niebezpieczeństwo może im grozić ze strony więźniów, którzy nie mają nawet scyzoryka? Cemu oni to robią akurat i mają. To wszystko mogłoby być nawet śmieszne, żeby nie było tak bezsensowne i koczmarne. Nie sądzi pan? I był to jedyny komentarz, jakim dr Berger kwitował całe zajęcia.

W jakimś czasie później, nasz obozowy inspektor sanitarny - Paweł Iwanowicz Sokołow, przed aresztowaniem pułkownik Sztabu Generalnego Armii Czerwonej i długoletni członek partii, spróbował wyjaśnić mi istotę tych zdarzeń:

- Panu, taki sposób celebrowania świąt państwowych i to w obozie, może wydawać się śmieszny i niezrozumiały, ale dla nas ma on głębokie znaczenie wynikające z naszego sowieckiego punktu widzenia - powiedział, - Oczywiście, że komenda obozu doskonale wie, że tego rodzaju działania zabezpieczające są całkowicie zbędne, gdyż sama zasada organizacji łagrów wyklucza powstanie możliwości jakichś niepokojów czy rozruchów ze strony więźniów. I wcale nie o to chodzi. Istnieje natomiast potrzeba zmanifestowania w jakiejś formie, że obywatele sowieccy, a przede wszystkim "czekiści" - bo NKWD ciągle siebie tak nazywa - wykazują stałą i uporczywą czujność rewolucyjną w walce z wrogimi elementami. W naszym przypadku ten wrogi, kontrrewolucyjny element reprezentują więźniowie. I dlatego właśnie na czas obchodów świąt państwowych zamyka się "politycznych", gdyby naprawdę chodziło o względy bezpieczeństwa w obozie - zamykano by urków. Ale to jeszcze nie wszystko. W każdym obozie jest zatrudnionych wielu obywateli wolnych. Władze są głęboko zainteresowane w niedopuszczeniu do zbliżenia obu tych grup: wolnych i łagierników. Na każdym cotygodniowym mitingu dla pracowników wolnych, Koczkin, który jest nie tylko komendantem, ale i pierwszym sekretarzem partii, ostrzega ich przed wszelkimi, poza służbowymi, kontaktami z więźniami. Dąży do wywołania jak najgłębszych podziałów, przepaści między jednymi a drugimi. Oczywiście, jak pan sam to może zauważyć, mądrzejai z nich i lepiej wykształceni, nie przywiązują większej wagi do tych zaleceń, ale w stosunku do bardziej prymitywnych odnosi to jednak pewien skutek, formuje w pewnym sensie ich system wartości. A chodzi po prostu

o to, by zapobiec traktowaniu więźniów jak ludzi. I to wszystko ...

Pułkownik Sokołow był człowiekiem bardzo inteligentnym i obdarzonym swoistym poczuciem honoru. Z rozmów, jakie z nim prowadziłem wynikało, że miał niegdyś rozległe koneksje w partyjnych kręgach wojskowych i koneksje te, nie ustały do teraz. Aresztowano go i skazano w 1938 roku, w związku ze sprawą marszałka Tuchaczewskiego. Jego zdaniem zresztą - czym różnił się od innych opinii na ten temat - sprawa Tuchaczewskiego stanowiła ostatni akt trwającej od bardzo wielu lat rozgrywki między armią a NKWD. Zwracał też uwagę na fakt, że proces Tuchaczewskiego stanowił zapowiedź gigantycznej czystki wśród kadry wojskowej, a jednocześnie był naturalną konsekwencją masowych czystek rosyjskiej inteligencji zapoczątkowanej w 1937 roku przez Jazowa.

Termin wyroku Sokołowa upłynął w 1943 roku, a mimo to, nie został dotąd zwolniony. Podobnie, jak i inni członkowie partii, zajmował w obozie wysoką pozycję. Był w bardzo dobrej kondycji fizycznej, lecz mimo to nigdy, przez cały sześciolatni pobyt w obozie nie wysłano go ani razu do sezonowych robót polnych w sowchozach. Trzeba też przyznać, że nigdy nie okazywał śladów przygnębienia.

Wśród przetrzymywanych w obozie członków partii, wyjątek stanowił Gawriło Aleksandrowicz Łukaszyn, przyjęty do naszego baraku pod koniec 1944 roku. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że jest to osobowość, nie tylko ze względu na jego inteligencję, ale przede wszystkim na jakąś charakterystyczną dla niego dystrykcję.

Mimo, że był synem bogatego posiadacza ziemskiego, od najmłodszej młodości połączył swe losy z ruchem socjalistycznym. Dużo jako chłopiec brał udział w rewolucji 1905 roku. Kiedy aresztowała go carska ochrona i osadziła w twierdzy Orzeł, podzielił celę z późniejszym członkiem naszego rządu emigracyjnego - Kwapińskim. W tym czasie, jego ojciec odżegnał się od niego publicznie, w gazetach.

Po rewolucji bolszewickiej, Łukaszyn, jako stary członek partii piastował wiele wysokich stanowisk w Komisarzacie Ludowym Przemysłu, głównie zaś w tym jego dziale, który zajmował się wydobywaniem złota. Współpracował blisko z Ordżonikidze, kilkakrotnie rozmawiał osobiście ze Stalinem. Rząd miał do niego pełne zaufanie i przed wojnę kilkakrotnie wysyłało go w różnych misjach do USA - przede wszystkim do Południowej Ameryki, a także do Chin i do Japonii.

Łukaszyn, przekonany i ideowy komunistę, w okresie czystek 1937 roku popadł jednak w niełaskę. Udało mu się wprawdzie uniknąć wtedy aresztowania i oczyścić z wysuwanych zarzutów, ale zaufania partii nie odzyskał. Często z nim rozmawiałem i bardzo te rozmowy lubiłem, mimo dzielącej nas w zasadniczy sposób różnicy poglądów. Łukaszyn wydawał mi się twardym i prostoliniowym człowiekiem, prawdziwym idealistą, zupełnie wolnym od cynizmu, tak charakterystycznego dla młodszej generacji komunistów zaindoktrynowanych przez propagandę. Wyrażał myśli w jasnych i pełnych zdaniach, w sposób klarowny formułując wnioski. W początkach wojny otrzymał polecenie partyjne sprawdzenia warunków panujących w kołchozach i oceny ich możliwości. Po każdej z tych niezliczonych podróży inspekcyjnych, opracował szczegółowe i poparte bogatą faktografię raporty, nie oszczędzając w nich lokalnych komitetów i działaczy partyjnych. Raporty te nie trafiały do Komitetu Centralnego. Różne siły działające na zapleczu, zdecydowały, że jego sprawozdania - jako nazbyt krytyczne - nie mogą dotrzeć ani do Biura Politycznego, ani tym bardziej do Stalina. Łukaszyn nadal podróżował po kraju, nadal sporządzał raporty przekonany, że wykonuje swoje obowiązki dla dobra kraju.

Podczas jednej z takich podróży w 1943 roku został aresztowany i przekazany do Moskwy, gdzie po ciężkim i bardzo brutalnym śledztwie skazano go za działalność kontrrewolucyjną i trockizm na osiem lat z artykułu 58.10.

Jego postawa wobec tego, co się zdarzyło, wydała mi się bardzo charakterystyczna dla wszystkich członków partii. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może być winien system. System - w jego przekonaniu - ciągle był doskonały. Nieprawości mogli wobec niego dopuścić się ludzie zawiśni i

niegodni - system zaś, jako taki pozostawał poza wszelką krytyczną oceną - bez względu na to, czego sam doświadczył na własnej skórze i czego był świadkiem w naszym baraku szpitalnym i całym łagrze.

Łukaszyn, trafił do naszego baraku w bardzo złym stanie. Kiedy tylko poczuł się lepiej, zaczął pracować wykonując moje dawne obowiązki administracyjno-gospodarcze. Jednak nie udało nam się go utrzymać. Gdzieś wysoko, postanowiono, że musi wyjechać do Workuty, tylko ze względu na chorobę pozwolono mu, na okresowy pobyt w naszym obozie. W czerwcu 1948 roku, na specjalne polecenie z Moskwy, odesłany został do miejsca przeznaczenia - pierwszym transportem.

x x x

Rozdział XXX
SENS PROPORCJI

W obozie zawsze było bardzo trudno o prasę, a zwłaszcza w miarę świeżą prasę. Nie dlatego, żeby gazety były zabronione, ale po prostu przychodziło ich zbyt mało. "Kawecze" /"Kulturalno-Waspitatelna Czast"/ otrzymywał tylko jeden egzemplarz "Archangielskiej Prawdy" - czyli lokalnego organu partii.

Była to najnudniejsza chyba gazeta na świecie. Przynosiła prawie wyłącznie lokalne wiadomości: plany produkcyjne i opisy przebiegu ich realizacji w różnych regionach, kołchozach, sowchozach, gospodarstwach leśnych itd. Publikowała sylwetki najróżniejszych "bohaterów pracy", stachanowców, racjonalizatorów oraz ich fotografie, no i oczywiście listy "czarnych owiec" - to znaczy tych, którzy planów nie wykonali. Ale przede wszystkim tasienkowe przemówienia miejscowych dzierżycieli władzy wygłaszane przy różnych okazjach, a najczęściej bez żadnych okazji. Nigdy w tej gazecie - mnie przynajmniej - nie udało się znaleźć nic interesującego.

Strzępy informacji dotyczących wydarzeń rozgrywających się na świecie, można było znaleźć w gazetach moskiewskich, w "Prawdzie" i "Izwiestjach". W całym obozie, tylko dwie osoby otrzymywały te gazety: Koczkin - komendant obozu i dr Gideonow. Ich egzemplarze przechodziły potem z rąk do rąk, zgodnie z pozycją zajmowaną w hierarchii obozowej. I tak, po kilku dniach, egzemplarz dr Gideonowa trafił do dr Bergera a na samym końcu do mnie.

Każdy, kto zna gazety sowieckie, wie - że pierwsze trzy strony są zupełnie nieciekawe, w każdym razie dla cudzoziemca. A każdy, kto spędził w Rosji tyle lat co ja, wie także, że nikt ich nie czyta, chyba że z jakichś powodów, jest akurat tym zainteresowany osobiście. Depesze i informacje ze

Świata można znaleźć na czwartej i na ostatniej stronie. Czytaliśmy je zachłannie, zdając sobie sprawę, że są one dobierane i przykrawane na potrzeby propagandy sowieckiej i pod ciężką pieczę cenzury państwowej. W obozie bowiem należało być i w tym bardzo ostrożnym i nie ograniczać się do ostentacyjnego, publicznego czytania gazety od czwartej strony. Gdyby szef kontrwywiadu dowiedział się przez swoich informatorów, że ktoś omija pierwsze trzy strony zawierające pasy na cześć Stalina, listy osób dekorowanych i sorwiliistyczne przemówienia najróżniejszych dygnitarzy na cześć wielkiego Wodza - mógł w dossier takiego opieszalca umieścić odpowiednią notatkę. Notatka ta stanowiła zaś ścisły dowód wrogiej postawy wobec Związku Sowieckiego oraz burżuazyjnego sposobu myślenia. To nie jest żart, znam takie przypadki.

Gazety te wraz z całym ich brakiem i ograniczeniami są jednak, dla Europejczyka, który znalazł się w sowieckim obozie pasjonującą lekturę. Już choćby tylko śledzenie zmiany tonu, nastroju a nawet używanego słownictwa wobec rozgrywających się wydarzeń, i tak w miarę sukcesów militarnych i zwycięstw Armii Czerwonej na froncie, ton sowieckiej prasy wobec wczorajszych aliantów stawał się coraz bardziej agresywny i napaściwy. Gazety zaczęły wypełniać się komunikatami TASA o antykomunistycznym i faszystowskim terrorze w Grecji i Hiszpanii, strajkach w USA i głodzie oraz brakach w zaopatrzeniu we Francji i Anglii.

Czytałem te artykuły i notatki z mieszanymi uczuciami; o skazaniu na śmierć dwóch komunistów w Grecji, o procesie pięciu komunistów w Hiszpanii, o wzrastającym terrorze w obu tych krajach, o zagrożeniu demokracji przez reakcjonistów, i o prześladowaniach i ograniczeniach słowa i myśli... Wystarczyło podnieść wzrok nad gazetę i spojrzeć przez okienko w moim pomieszczeniu. W odległości dwóch metrów miałem przed oczami kostnicę, a w niej ciągły ruch. Na stosie, pod ciężką układano zwłoki tych, którzy umarli tej nocy.

Spośród wykształconych Rosjan, zaledwie nieliczni, ci z pewnym zagranicznym doświadczeniem zwłaszcza, byli w stanie dostrzec ów groteskowy wręcz cynizm, z jakim prasa sowiecka przedstawia resztę świata. Większość z nich jednak przyjmuje

to najzupełniej normalnie. Z autentycznym współczuciem odnoszę się do losu dwóch skazanych Greków. I nawet ten przypadek, szczególnie przecznie nie wywoływał w ich głowach żadnych asocjacji ani porównań z NKWD, machinę prześladowań i całą potworną obozową egzystencją.

W obozowym szpitalu w Kotłas spotkałem ludzi, którzy dopiero co wydarci śmierci z głodu, mrozu i przepracowania, oddając mi przeczytany egzemplarz "Prawdy" czy "Izwestii" w najlepszej wierze dzielili się takimi uwagami: "I znowu ten wścibki pies, Franco, morduje ludzi. Powinno go się wreszcie powiesić".

W czasie jednej z rozmów z pułkownikiem Sokołowem, wyraziłem zdziwienie, że "Prawda" drukuje informacje o terrorze za granicą. W moim przekonaniu musiało to nieuchronnie pobudzać czytelnika sowieckiego do porównań z warunkami w ZSSR.

- Myli się pan, Jest wręcz odwrotnie. Rząd sowiecki przedstawia dowody, że terror panuje we wszystkich krajach świata, lecz nie w Związku Sowieckim. W każdym razie że istnieje ogromna różnica pomiędzy wyrokami wydanymi zgodnie z prawem i w imieniu ludu pracującego, a podeptaniem prawa w przypadku tych dwóch Greków, którzy poświęcili swoje życie w walce o wolność, i co tu porównywać.

- Być może, ale czy samo już zestawienie liczb, nie zmusza czytelnika do zastanowienia. Kiedy się czyta gazetę, trudno oprzeć się wrażeniu, że wszyscy rewolucjonisci skazani w Grecji i Hiszpanii w ciągu roku, razem wzięci, są mniej liczni niż więźniowie z artykułu "58", którzy tu w Kotłas, umierają każdej nocy. A Kotłas, to zaledwie jeden obóz, każdy zaś wie, że są ich setki, jeśli nie tysiące. Czy nie musi to doprowadzić do absurdalnej konkluzji, że jeden grecki komunista, jest więcej wart niż 100 000 obywateli sowieckich, niełojalnych wobec władzy?

- My patrzemy na to zupełnie inaczej. Liczby, nie mają żadnego znaczenia. Istotne jest, że my walczymy o wolność i socjalizm, zaś faszystowski reżim w Hiszpanii, walczy o utrzymanie wyzysku mas pracujących i ucisk klasowy.

Do dziś nie jestem pewny czy Sokołow mówił to serio, czy była to tylko próbka argumentacji używanej przez aparat partyjny.

Kiedy Rosjanin przeczyta w "Izwestii", że racja chleba we Francji została zmniejszona do 250 g dziennie, jest mu autentycznie żal Francuzów i odczuwa w ich imieniu przykrość. A jednocześnie trudno mu się oprzeć refleksji: "u nas jednak racja chleba wynosi 600 g dziennie". Konsekwentnie więc dochodzi do przekonania, że: "u nas mimo wszystko nie jest jeszcze tak źle".

Sowiecki czytelnik prasy, który nie odbywał zagranicznych podróży i nie pamięta carskich czasów, jest najgłębiej przekonany, że takie same warunki jak w Rosji, panują na całym świecie. Wie również doskonale, iż zredukowanie racji chleba do 250 g dziennie, dla wielu milionów ludzi oznacza tylko jedno - głodową śmierć, gdyż w Rosji owe 600 g chleba dziennie nie jest dodatkiem do pożywienia, ale stanowi jego podstawę, przynajmniej dla większej części ludności kraju.

Ten sam czytelnik, dowiedziawszy się np. że 200 000 robotników w USA ogłosiło strajk, jest przekonany, że każda chwila wybuchnie w Ameryce rewolucja, zaś jej rząd nie ma do wyć wojska i policji, by ją stłumić. I wyciąga z tego następujące wnioski, że rząd USA jest słaby i los robotników pod władzę kapitalistów oraz warunki ich ^{caj}życia gorzej niż w Rosji Sowieckiej. Czytelnik sowiecki bowiem, patrzy na te sprawy pod kątem własnych doświadczeń. Czy byłoby do pomyślenia, żeby 200 000 robotników zestrajkowało w Moskwie? Stopień zdesperowania mas, konieczny do wywołania tak wielkiego ruchu protestu istotnie musiałoby w Rosji doprowadzić do rewolucji. Ale rząd ZSSR jest mocny, więc do strajku 200 000 robotników zapewne nigdy nie dojdzie. I obywatel sowiecki znajduje w tym wszystkim powód do zadowolenia, być może dość dwuznacznego, ale jednak. Wie, że jego rząd w porównaniu z rządami innych krajów jest znacznie silniejszy i nieporównywalnie bardziej stabilny. Utwierdza się w przekonaniu, że ZSSR jest najpotężniejszym państwem na świecie.

Przekonanie to umacnia prasa w każdej dziedzinie, pozornie tak obiektywnej, jak choćby komunikaty z frontu. Przebieg wojny od samego początku gazety prezentowały w ten sposób, aby sprawić wrażenie, że Rosja samotnie pokonała i Niemcy i Japonię. Zgodnie z oficjalną wersją - a jest to wersja jedy-

nie znana w ZSSR - do 1944 roku anglosasi nie zrobili nic, z wyjątkiem okrutnych bombardowań skierowanych głównie przeciwko ludności cywilnej Niemiec. Drugi front zaś, utworzono dopiero wtedy, gdy Armia Czerwona zaczęła zbliżać się do Berlina.

Prowadzona przez angloamerykańskie lotnictwo trzyletnia, ofensywa powietrzna, wojna na Pacyfiku czy nawet gigantyczne dostawy sprzętu i zbrojenia dla Rosji - są dla przeciętnego obywatela sowieckiego nieznane do dziś. Ani prasa, ani radio nie wspominały o tych wydarzeniach nawet w najkrótszych wzmiankach. Ja sam w 1946 roku ^{wielokrotnie} przeczytałem w "Izwestii" długi artykuł podpisany przez Fominowa, sławiący zwycięstwo Stalina nad Japonią. Fakt, że Stany Zjednoczone również prowadziły wojnę z Japonią nie był w nim nawet wspomniany.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że przeciętny obywatel sowiecki jest całkowicie przekonany, że ZSSR samotnie pokonał wrogów i w związku z tym uprawniony jest do wszystkich owoców zwycięstwa. Wielokrotnie też, słyszałem zdanie, że rządy USA i Wielkiej Brytanii mogły po wojnie utrzymać swoją kapitalistyczną strukturę, wyłącznie dzięki humanitarnej postawie i pokojowej polityce Rosji, lecz ich dni są już policzone, gdyż klasa robotnicza tych krajów, łańcuch dzień wystawi rachunek swoim reakcyjnym rządów.

Jeżeli chodzi o sprawy krajowe, obywatel sowiecki czyta prasę trochę tak, jak u nas rozwiązują się lamigłówki albo szarady. Jest to specjalna sztuka, której trudno się nauczyć. Nie wystarczy sama znajomość języka rosyjskiego, nawet doskonała. Potrzeba jeszcze znać i rozumieć mechanizm życia obywateli w ZSSR, a tę wiedzę zdobywa się przez doświadczenia.

Pewien agronom, należący do wolnego personelu, który wstąpił do dr Bergera by przedyskutować jakiś problem z zakresu bakteriologii, powiedział w rozmowie, że zamierzał właśnie wyjechać do Moskwy, aby odwiedzić swoją żonę, ale teraz zastanawia się czy powinien to zrobić.

- Dlaczego nie? - zapytałem zaciekawiony, wtrącając się do rozmowy.

Na to on wyciągnął z teczki gazetę i bez słowa wskazał palcem notatkę informującą, że przestaje obowiązywać specjalne zezwolenia na podróże koleją.

- Nie rozumiem pana - powiedziałam - "przecież to oznacza, że każdy obywatel, kiedy mu się tylko zechce, może kupić sobie bilet i pojechać bez żadnych ograniczeń i formalności dokąd mu się spodoba".

Agronom tylko się rozśmiał:

- Nie rozumie pan, co to znaczy? To znaczy, że kontrole milicyjne i kontrole NKWD będą ^{TERAZ!} na kolejach wzmocnione.

- Ale co pan opowiada! Ta wzmianka dowodzi przecież czego wręcz przeciwnego ...

- Niech pan tylko pomyśli przez chwilę. Jeśli mam przepustkę na przejazd z Kotłaa do Moskwy, ważne zezwolenie z miejsca pracy i dokumenty osobiste w porządku, żadna milicja ani nawet NKWD na trasie Kotłaa - Moskwa nie mi nie może zrobić. No, chyba że popełnię jakieś głupstwo, albo znajdę nieprzewidziane, wyjątkowe okoliczności. Teraz zaś wszystko zmienia się całkowicie. Każdy milicjant kolejowy, każdy patrol NKWD, może mnie zatrzymać w zależności od kaprysu i swego widzi mi się, ponieważ nie chroni mnie już żaden dokument, żadna pieczętka i żadne zezwolenie. Istotnie nie sposób zrozumieć Związku Sowieckiego, nie czytając jego prasy. I odwrotnie, nie znając warunków życia w ZSSR - nie sposób zrozumieć prasy.

Trudności w zaopatrzeniu Moskwy w opał w latach 1941-1944 były tak dotkliwe, że ludzie, aby nie zamierzać na śmierć paliłi wszystko, co nadawało się do spalania, nie wyłączając własnych mebli. Zdecydowano więc, że problem ten musi być rozwiązany raz na zawsze. Na wysokim szczeblu zapadła decyzja, przeprowadzenia rurociągu gazu naturalnego z Saratowa do Moskwy o długości 600 kilometrów. Projekt opracowano w rekordowo krótkim czasie, a rozpoczęcie budowy ogłoszono z wielkim hałasem. W czerwcu 1944 roku przeczytałem w "Izwestii" ^{arty-}kuł ogłaszający ten ^{nowy,} kolejny triumf sowieckiej techniki. Na

na samym końcu dostrzegłem króciutką wzmiankę, że "kierownictwo budowy powierzono Ludowemu Komisarjatowi Spraw Wewnętrznych", czyli NKWD. Taka wiadomość, czytelnikowi z zachodu oczywiście nie mówi nic. My jednak wiemy, że budowa tego rurociągu dokonana się rękami więźniów i że ich tysiące, jeśli nie setki tysięcy odda tam życie.

Tak więc czytając gazety uzupełniałem swą wiedzę o Rosji i poznawałem sowiecki sposób myślenia. Przede wszystkim jednak szukałem informacji dotyczących spraw polskich. Odkładając na bok wszystkie dotychczasowe rozczarowania, w głębi serca nigdy nie straciłem wiary w możliwość ocalenia. Tym, co podtrzymywało we mnie tę wiarę - był status obywatela polskiego. Tę samą nadzieję podzielali wszyscy bez wyjątku Polacy w obozie, ale co ciekawsze, także wielu więźniów Rosjan:

- Ty jesteś w zupełnie innej sytuacji niż my - słyszałem często - "ty jesteś Polkiem. Jak się skończy wojna, twój rząd zabierze cię z powrotem do kraju. Co innego my, my jesteśmy zgubieni".

W owym czasie prasa poświęcała sporo miejsca sprawom polskim: postępy Armii Czerwonej i początek ofensywy na polskim terytorium, spotkanie Wielkiej Trójki w Jałcie i uzgodnienie granic Polski, wizyta Mikołajczyka w Polsce itd. Ale wszystko to, dla nas więźniów, były sprawy odległe, jeśli nie wręcz abstrakcyjne. Z naszego punktu widzenia sprawę o najważniejszym znaczeniu praktycznym było istnienie Związku Patriotów Polskich. Niestety tak to ocenialiśmy. Już sama nazwa tej organizacji, nie mówiąc o licznych patriotycznych oświadczeniach, sprawiała wrażenie, że jej podstawowym celem jest ochrona interesów obywateli polskich przebywających w ZSSR. Musiało upłynąć sporo czasu, zanim przekonałem się, że o ile te polegają na czymś zupełnie innym.

Wówczas, w każdym razie najważniejszą sprawę wydało mi się nawiązanie kontaktu z ZPP. Aby jednak Związek mógł interweniować w mojej sprawie u władz sowieckich, w pierwszym rzędzie musiał dowiedzieć się o moim istnieniu w ogóle. Postanowiłem więc wykorzystać każdą naderzającą się sposobność by wysłać listy do ZPP. Wprawdzie szansa, aby ^{te} listy dotarły do adresata, nie była zbyt wielka, postanowiłem wysłać ich

tylko, ile się tylko da. Nie było to, jak wazytko w obozie ani proste, ani łatwe.

Oficjalnie, więzień skazany z art. 58 miał prawo wysłać list raz na trzy miesiące, więzień kryminalny jeden list co miesiąc. Wszystkie listy były bardzo dokładnie czytane i cenzurowane, przez specjalne biuro obozowej administracji. Cenzor, według własnego uznania mógł list, co do którego miał jakieś zastrzeżenia, zatrzymać, zniszczyć go lub dołączyć do akt personalnych więźnia. List zatrzymany przez cenzora nie wracał oczywiście do nadawcy, czyli do więźnia, nigdy więc nie wiedzieliśmy, czy został wysłany z obozu czy nie. Na możliwość wysłania następnego trzeba było czekać następne trzy miesiące. Tak stanowiły przepisy, a większość więźniów nie miała możliwości ich obejścia.

Ja byłem w nieco lepszej sytuacji. Dzięki funkcji miałem wiele kontaktów z "wolnikami" pracującymi w szpitalu i miałem wśród nich kilku przyjaciół. Nie zdarzyło mi się, by któryś z nich - bez względu na ryzyko jakie musiał podjąć - odmówił mi zabrania listu do miasta i wysłania go na pocztę. Lecz i ten sposób nie dawał żadnej gwarancji, że list dojdzie do celu. Cenzura obozowa nie była jedyną cenzurą funkcjonującą w Rosji.

Potwierdzenie, że niektóre z moich listów dotarły do adresata przyeszło w sposób równie nieoczekiwany jak radosny. Jesienią 1944 roku, enkawudziata Goworow z biura komendanta obozu, przyjechał do naszego baraku. Często nas zresztą odwiedzał, gdyż chorował na gruźlicę a doktor Berger go leczył. W związku z tym nasze stosunki były mniej oficjalne.

- Mam dla was dobrą nowinę - oznajmił na wstępie.

- Co takiego?

- Sami przeczytajcie - podał mi kartkę papieru.

Czytałem później tę karteczkę nieskończoną ilość razy. Do dziś słowo w słowo pamiętam jej treść: Kotłas, Archangielsk, skrytka pocztowa 2020 D. Więzień Antoni Ekart, Związek Patriotów Polskich otrzymał od obywatelki Marii Ekart pytanie dotyczące jej męża Antoniego. Podajemy jednocześnie jej adres: Artel Pierwomajski, Osz, Kirgicka SSR. Jednocześnie przekazujemy do Marii Ekart wasz adres. /podpisano/ Z.P.P.

A więc żyła i była wolna. Od chwili, kiedy aresztowano nas na granicy minęło cztery i pół roku. W sześć miesięcy później, maszerowaliśmy razem przez kilka minut wraz z innymi więźniami na stację Stara Wilejka w drodze do transportu. Jeszcze później, przez kilka sekund widziałem ją z daleka w wagonie na stacji w Orazy. Od tej chwili straciłem jej ślad. Tylko jeden list otrzymałem od niej w maju 1941 roku, gdy byłem w obozie we Władimirze. Przebywała wówczas w obozie, gdzieś daleko w obozarze Nowosybirskie. Później kontakt się urwał. Poszukiwałem jej usilnie w czasach Iwanowkich, ale na próżno. Życie brutalnie wyrwało ją z mojej orbity na wiele lat. Miałibyśmy sobie z pewnością wiele do powiedzenia, gdybyśmy kiedykolwiek się spotkali, ale przed sobą miałem jeszcze przecież osiem i pół roku do końca wyroku.

Nasze pierwsze listy minęły się w drodze. Maria opisała swoje doświadczenia: spędziła półtora roku w obozie dla kobiet na Syberii, zwolniono ją na podstawie amnestii we wrześniu 1941 roku i wysłano do Kazachstanu. W 1942 roku miała szansę wyjścia z wojskiem polskim do Iranu. Pozostała jednak w Rosji, by mnie odzukać. Nawiązała kontakty z ambasadą w Kujbyszewie, ale nie dostała o mnie żadnej informacji. W ciągu ostatniego roku napisała wiele listów do ZPP - i w końcu uzyskała mój adres.

Odnalezienie żony przyniosło mi ogromną ulgę i na nowo obudziło nadzieje. Przestałem czuć się osamotniony i opuszczony wśród milionów rzuconych na północ. Przestałem być jednym z tych, o których podaje się później w komunikatach "zginął bez wieści". Miałem już teraz kogoś, kto walczy o mnie, kto zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy, by mnie uwolnić. Wojna wkrótce się skończy, Maria powróci do Polski. Będzie starała się odnaleźć rodziców, brata - jeśli jeszcze żyją. Polska będzie miała własny rząd, do którego zwróci się o pomoc i o interwencję w sprawie wywieśnięcia mnie stąd. Tak w każdym razie to sobie wyobrażałem. Lecz jeśli miałem doświadczyć tak szczęśliwego zakończenia musiałem przede wszystkim dotrwać. Nie wolno mi było załamać się pod żadnym pozorem, bez względu na to, co by się mogło wydarzyć.

Zapytałem kiedyś doktora Bergera, jak to się dzieje, że niektórzy pacjenci umierają bardzo prędko, inni zaś nawet cięższej choroby i w gorzszym stanie, jakby na przekór rokowniom, wracają do zdrowia.

- Ma pan wykształcenie techniczne i dlatego odbiera pan to w sposób techniczny - powiedział dr Berger. Ma pan skłonność traktowania pacjentów tak, jak się traktuje zepsuty mechanizm. Widzi pan wyłącznie fizjologiczne funkcje organizmu, a zapomina o roli mózgu ludzkiego. Współczesne, nowoczesne nauki medyczne coraz większą wagę przywiązują do oddziaływania czynnika psychicznego na kondycję człowieka. Istnieje cała grupa schorzeń, w których przebiegu można w sposób naukowy dowiedzieć, że rokowania zależne są ściśle od kondycji psychicznej chorego. Ciało i duch tworzą nierozdzielny całość. Jeśli nauczy się pan obserwować pacjentów bardziej wnikliwie, przekona się pan, ile prawdy zawiera to twierdzenie. Ci, którzy mają silną wolę przetrwania żyją dłużej niż ci, których chęć życia nie jest zbyt mocna.

Poświęciłem się teraz pracy z jeszcze większym zapałem niż dotąd. Wylimitowałem ze swego życia wszystko, co nie służyło podnoszeniu kwalifikacji. Zdałem sobie sprawę, że np. taki flirt z Jeleną Jakowlowną był z mojej strony przejawem karygodnej lekkomyślności. Obiecałem sobie, że w przyszłości będę unikał takich sytuacji.

Żona obiecała wysłać paczkę z żywnością i odzieżą, ale napisałem jej, by raczej, jeśli może, przysłała mi pieniądze. Chciałem sobie kupić podręczniki medyczne. Miałem dosyć chleba i kaszy aby przeżyć, a to ubranie - które miałem, wystarczało do pracy w szpitalu. Pieniądze podobnie jak i listy, żona wysłała na adres pewnej osoby, która pracowała w obozowym szpitalu i mieszkała prywatnie w Kotłas. Takie ułożenie sprawy było konieczne, gdyż zgodnie z przepisami, więźniom nie wolno było posiadać pieniędzy poza depozytem w administracji obozu. Z depozytu jednak nie wolno było podjąć więcej niż 50 rubli, a i to, za każdorazowym zezwoleniem komendy. W czasach,

o których pisał, pięćdziesiąt rubli stanowiło równowartość jednego kilograma kartofli na czarnym rynku.

Kiedy otrzymałem pieniądze, rozpocząłem starania o zakup i sprowadzenia podręczników. Jednym z naszych pacjentów był inżynier z Moskwy - Georgij Władimirowicz Frank, skazany na dziesięć lat za antysowiecką propagandę. Jego rodzina, co miesiąc przysyłała mu z Moskwy paczki żywnościowe. Zaproponowałem mu następującą wymianę: jego rodzina spróbuje dostarczyć mi podręczniki, ja zaś, odkupię mu za to produkty żywnościowe. Na rynku w mieście, można już było kupić takie artykuły jak mleko, kartofle a czasem nawet masło, oczywiście po astronomicznych cenach. Zakupów bowiem można było dokonywać dzięki uczynności pewnych osób z wolnego personelu. Frank przystał na moją propozycję i w ciągu następnych miesięcy stałem się posiadaczem kilku cennych podręczników: anatomii, fizjologii, farmakologii i interny. Każdą wolną chwilę spędzałem na ich studiowaniu. Jeśli funkcjonowało światło, czytałem także w nocy.

Przyznam, że podobały mi się sowieckie podręczniki. Były łatwe do przyswojenia, pisane żywym obrazowym stylem, znacznie przystępniejszym niż np. niemieckie. Jedyne wstęp zawese był irytujący. Każda książka, bez względu na temat, musiała być poprzedzona obeszernym wstępem, którego autor sławił Marksa, Lenina, a nade wszystko ich wielkiego następcę Stalina. Gdyby ograniczyć się do samych wstępów, można było wyciągnąć wniosek, że wszelkie nauki mogły rozwijać się jedynie dlatego, że partia bolszewicka pod przewodnictwem swego genialnego wodza otoczyła je wszechstronną opieką. Inaczej, bez tej opieki, pozostały by jedynie zabawką w rękach wąskiej klikki kapitalistów.

Mój pomysł, aby studiować medycynę, zaczynał się realizować. Innym pozytywnym, jaki wynikał z nowej pasji było to, że na wiele godzin mogłem wyłączyć się z otaczającej rzeczywistości. Moje ambicje zawodowe wzrastały systematycznie. Postarałem się o pozwolenie na obecność podczas badań lekarskich. Dr Berger nauczył mnie jak posługiwać się stetoskopem, badać serce i płuca. Pozwolono mi także na obecność podczas sekcji zwłok, a odbywały się one prawie codziennie, gdyż szef

lekarzy nakazywał autopsję w każdym wypadku, gdy wydawało mu się, że postawiono błędną bądź niedokładną diagnozę. Dla lekarzy była to denerwująca i męcząca procedura, gdyż w wypadku odkrycia błędu, mogli spodziewać się odesłania do brygad roboczych, wysłania pierwszym transportem na północ, albo co najmniej karczeru.

W wolnych chwilach byłem także częstym gościem na sali operacyjnej i przyglądałem się ciekawszym zabiegom chirurgicznym. Dr Atanzjan, ten który odbił mi Jelienę Jakowlewną - był w swoim zawodzie prawdziwym czarodziejem. Dr Berger twierdził, że należy on bez wątpienia do tych błękotliwych chirurgów, których nie powetydziłyby się najbardziej renomowane kliniki Wiednia, Berlina czy Paryża. Pozwolono mi wreszcie na uczestnictwo w konferencjach lekarskich, podczas których dyskutowano i omawiano interesujące przypadki chorobowe. Z czasem, zacząłem także rozumieć przedmiot tych dyskusji.

Pracując w ten sposób, awansowałem na głównego sanitariusza obozu, szybciej niż mógłbym się tego spodziewać. Było to stanowisko pośrednie między lekarzami a resztą personelu i zazwyczaj obsadzane było przez studentów medycyny, którym aresztowanie przerwało naukę.

W nowej sytuacji, nie mogłem teraz wykonywać samej całej roboty, jaka przypadła na mnie w pierwszym okresie pracy. Pozwolono mi wybrać sobie pomocnika do prac biurowych i buchalteryjnych spośród pacjentów, którym stan zdrowia pozwalał na podjęcie tego rodzaju pracy.

Z własnego doświadczenia wiedziałem, że taka praca może stać się dla więźnia możliwością zaczepienia i daje mu pewne szanse na przeżycie. Wyszukiwałem więc ludzi, którym tego rodzaju pomoc była konieczna. Pierwszym wybranym był właśnie Łukaszyn, o którym pisałem.

Wspomnienie o nim, przypomniało mi jeszcze jednego starszego pana, poważnie chorującego na serce, który przyjaźnił się z Łukaszynem. Nazywał się Bożenkow, był profesorem budownictwa kolejowego w Moskiewskim Instytucie Technologii i jednym z najwybitniejszych w Rosji specjalistów w tej dziedzinie oraz autorem niesłychanej ilości prac i podręczników. Będąc na wolności, co tydzień odbywał podróż z Moskwy do

Leningradu aby ~~przeprowadzić~~ wykłady na tamtejszej politechnice. Bożenkow, specjalista tej klasy, skazany został z artykułu 58.10 za kilka bezmyślnie wypowiedzianych słów, których zresztą nawet on nie pamiętał i wątpić można, czy miały jakieś polityczne znaczenie. Ale i on wkrótce zniknął z obozu, w tym samym mniej więcej czasie co Łukaszyn.

x x x

Rodział XXXI

ARTYKUŁ "58" KOLONIZUJE PECZORSKĄ TUNDRĘ

Po wyjeździe Łukaszyńska i Bożenkowa, wybrałem na pomocnika Anińskiego. Ten był prawdziwym weteranem obozowym, kiedy w końcu 1944 roku przybył do naszego baraku w bardzo złym stanie zdrowia, miał już za sobą trzynaście lat pobytu w najróżniejszych obozach na dalekiej północy. Z zawodu był inżynierem górnictwa, miał lat 55 - zaś studia politechniczne ukończył w Czechosłowacji w okresie, kiedy to rząd sowiecki wyniszczył inteligencję w czasie rewolucji i po niej, wobec braku wykształconych kadr, wysyłał młodych ludzi na studia zagraniczne. Po powrocie do Rosji rozpoczął pracę w przemyśle wydobywczym, a w 1932 roku aresztowano go jako "szkodnika" i "sabotażystę" i skazano na dziesięć lat z artykułu 58.10. Proces jego związany był z likwidacją tak zwanej "Partii Industrialnej". Nikt, nigdy nie potrafił wyjaśnić mi, czy ta partia w ogóle naprawdę istniała, czy też rząd po prostu ją wymyślił, żeby dokonać czystki wśród niewygodnych osób. W każdym razie, propaganda sowiecka rozgłosiła, że przeżywaną właśnie trudności gospodarcze spowodowane są tym, że pracownicy przemysłu nie wypełnili programu zadań, gdyż okazali się agentami obcych wywiadów, dopuszczającymi się aktów sabotażu i szpiegostwa w kontrrewolucyjnych celach. I chociaż nigdy nie było żadnego kontrrewolucyjnego ruchu nazywanego się Partią Industrialną kierowaną przez inżyniera Ramzina, proces owego inżyniera zapoczątkował falę masowych aresztowań wśród kadry technicznej obejmujących kraj od końca do końca.

Przed przybyciem do Kotlas, inżynier Aniński spędził całe lata w obozach Ukta-Peczora. Grupa tych obozów, znajduje się w całym centrum Autonomicznej Republiki Komi, a jej głównym zadaniem jest eksploatacja miejscowych złóż naftowych. Aniński,

jako specjalista miał się tam nieźle, zwłaszcza w okresie, gdy Niemcy zajęli Kaukaz z jego zasobami naftowymi, a złoża Ukty stały się niezwykle cenne. Administracja obozu robiła co tylko mogła, by zwiększyć wydobycie i okazało się to korzystne dla więźniów. Warunki w obozach Ukty stały się niemal z dnia na dzień znacznie lepsze niż w innych obozach, a racje żywnościowe przewyższały wartość kaloryczną przydzielaną ludzi wolnych. Dotyczyło to szczególnie obiadu technicznej, do której Aniński właśnie należał.

- Dowodzi to - powiedział mi w rozmowie - że NKWD doskonale zdaje sobie sprawę ze współzależności wyników produkcyjnych i poziomu wyżywienia, a politykę wygładzania więźniów nie jest dziełem przypadku. Dowodzi to więc, że polityczne korzyści wynikające z szybkiego wymierania więźniów są ważniejsze od osiągnięć produkcyjnych wynikających z lepszego żywienia.

Wraz ze zwyciężką marzem Armii Czerwonej, która odebrała Niemcom kaukaskie złoża, relatywnie szczęśliwy okres dla więźniów łagrów Ukta-Peczora, musiał się zakończyć. Nafta była oczywiście nadal wydobytą, lecz przestała już być tak cenna jak poprzednio. W obozach zapanał "normalny" łagierny porządek. Od razu wzrosła też liczba chorych i zmarłych. Stan zdrowia Anińskiego, nadzarpnięty wieloletnim pobytem w obozach w krótkim czasie kompletnie się załamał. Przestał nadewadzać się do jakiegokolwiek pracy i odesłano go do szpitala w Kotlas. Pamiętam dzień, kiedy przyniesiono go na noszach do naszego baraku. Doktor Berger określił chorobę jako najbardziej złośliwy przypadek pelagry, z jakim dotąd się spotkał i zajął się nią ze szczególną troską. Nie mógł pogodzić się z myślą, że człowiek, który odbył swój wyrok - dziesięć lat - w całości i jeszcze dalsze trzy lata przesiedział w obozie bez żadnej podstawy prawnej, miał umierać teraz, kiedy nakaz zwolnienia mógł nadejść z Moskwy w każdej chwili. Ale to nie dr Berger uratował chorego. Zrobiła to kobieta.

Wspomniałem już poprzednio pielęgniarkę w naszym baraku - Marii Makeymownie Grandetom. Była ona niepoprawną romantyczką. Być może zawsze była taka, być może dopiero wiek dojrzały i warunki obozowe ujawniły tę cechę osobowości. Dość

powiedzieć że zawaze, odkąd ją poznałem, wybierała sobie spośród pacjentów jakiś obiekt westchnień i niespełnionych marzeń. Otaczała taką osobę specjalną opieką, w wolnych chwilach całymi godzinami przesiadywała przy jej łóżku i czytywała powieści miłosne. Była zapaloną miłośniczką tego rodzaju literatury i w miarę upływu czasu stała się posiadaczką sporej biblioteczki zawierającej głównie romansy. Jej biblioteka stała się popularna wśród personelu obozowego, a nawet pracownicy z wolności chętnie od niej pożyczali książki.

Wśród regularnych czytelniczek książek Marii Makeymownej, była także między innymi - Świetłana Tuchaczewska, córka marszałka Tuchaczewskiego. W czasie egzekucji ojca miała jedenaście lat, gdy skończyła siedemnaście - została aresztowana i skazano ją na pięć lat, jako osobę "niebezpieczną społecznie". W naszym obozie przebywała jednak dość krótko, wysłano ją na północ do Peczorżagu, a później dowiedzieliśmy się, że pracuje tam jako pielęgniarka. W tym samym czasie co ona, w naszym obozie znalazła się zresztą jeszcze jedna córka wysokiego oficera straconego w 1938 roku. Ten ostatni, którego nazwisko brzmiało Uborewicz czy Oborewicz, był dowódcą Mińskiego Okręgu Wojskowego i zajmował ważne stanowisko w Armii Czerwonej. Jego córka również dostała pięć lat, jako element "niebezpieczny społecznie".

Maria Makeymowna, należała do tego gatunku ludzi, o których się powiada, że mają "serce ze złota". Była bardzo poruszona losami Anińskiego. Kiedy dowiedziała się od dr Bergera, że nie pomogą mu żadne lekarstwa, lecz wysokowartościowe pożywienie, porzuciła romansy z kart powieści i zorganizowała przez ludzi wolnych zakupy mięsa i jajek na rynku w mieście.

Początkowo jednak wydawało się, że wszelkie jej wysiłki nie przyniosą rezultatu. Organizm chorego nie przyswajał nawet najbardziej odpowiedniego pożywienia, a biegunka nie ustępowała. Ale Maria Makeymowna walczyła jak lwica, sprzedała wszystko, co miała cennego nie wyłączając księgozbioru i pracowała za trzech. Stopniowo stan zdrowia Anińskiego wreszcie zaczął się poprawiać i poprawił na tyle, że po wyjeździe Łukaszyńskiego, mógł zająć jego miejsce. Zaczynał się właśnie jego czternasty rok pobytu w łagrach a nakaz zwolnienia ciągle

nie nadchodził. Jeśli nie nadejdzie dość prędko, wszelkie starania mogą spełznąć na niczym. Ciągłe bowiem istniała groźba, że jeśli jego stan zdrowia poprawi się w sposób widoczny, w każdej chwili może być wypisany ze szpitala i odesłany raz jeszcze na północ.

Aniński w tej sytuacji, żył w ciągłym napięciu, a stała huśtawka nastrojów doprowadzała go do stanu znerwicowania graniczącego z obłądkiem. Ani on, ani żaden z innych licznych więźniów w obozie, którzy odbyli już swoje wyroki nie wiedzieli, kiedy przyjdzie ich nakaz zwolnienia i czy w ogóle przyjdzie. W Kotłas była spora grupa tych tak zwanych "pie-reliczków", czyli więźniów skazanych z artykułu 58, których wysoki skończyły się w czasie trwania wojny. Początkowo w administracji obozu mówiono im, to co zawsze: "jak nadejdzie z Moskwy zwolnienie ..." i nic się nie zmieniło, cała grupa pozostawała w obozie na tych samych warunkach, co reszta więźniów. Ci, co byli w brygadach roboczych, pozostawali w brygadach, a ci co na funkcjach, pozostawali na funkcjach. Odbycie kary nie dawało im żadnych uprawnień. Tak samo jak inni, odesyłani byli na Północ.

W końcu, Moskwa specjalnym dekretem zmieniła ich sytuację z bezprawną, na prawnie zalegalizowaną. Więźniowie z odbytymi wyrokami, wezwani zostali do biura i tam wręczono im pisemne zawiadomienia, że będą trzymani w obozach aż "do zakończenia działań wojennych". Wojna skończyła się w maju 1945 roku, a oni nadal tkwili w łagrach i grupa ich nieustannie wzrastała. Moskwa więc wydała nowy dekret oznajmiający, że pozostaną w obozie aż do wydania "specjalnych zarządzeń". Fakt, że wielu z nich zmarło, nie miał dla Moskwy najwidoczniej żadnego znaczenia.

Poświęcenie Marii Maksymowny dla Anińskiego było prawdziwe i szczerze, choć wprowadzało go w pewną konfuzję. Twierdził, że w jego wieku nie przeżywa się już tak gorąco miłosnych uniesień. W każdym razie miło było na nich popatrzeć. Czynili różne plany na przyszłość i często w ich rozmowach uczestniczyłem. Ustalili, że jeśli Aniński wyjdzie wcześniej, pozostanie w Kotłas i poczeka na Marię. Jej do końca terminu wyroku pozostawał jeszcze rok i kilka miesięcy.

A jednak, jakby na przekór wszelkim okolicznościom i trudnościom, historia ta zakończyła się happy-endem. Jesienią 1945 roku zaczęły napływać z Moskwy pierwsze zwolnienia i nazwisko Anińskiego znalazło się na jednej z pierwszych list. Jednocześnie z okazji zakończenia wojny proklamowano amnestię, obejmującą więźniów pospolitych i skracającą niektórym wysoki o połowę. Maria została zwolniona o kilka miesięcy wcześniej niż się spodziewała.

Po zwolnieniu Aniński otrzymał pracę w biurach kołchozu "Krasnyj Siewier" należącego do Kołtaszagu. W kilka miesięcy później dołączyła do niego i Maria. Rozpoczęli nowe życie w najbardziej na północny-wschód wysuniętym zakątku Europy. On po czternastu latach, ona po siedmiu, spędzonych w nędzy i poniewierce obozów śmierci.

Zwolniono w tym czasie także wielu innych więźniów. Wśród nich parę osób spośród personelu naszego szpitala. Wyzili na wolność lekarze Maziaraki i Weinberg, inspektor sanitarny Sokółow, elektryk Szumilin oraz Polek - kucharz Marianowski. Wszyscy oni pozostali na Północy i znaleźli zatrudnienie w Kołtaszagu. Wielu z nich zostało do takiej decyzji zmuszonych - było to po prostu warunkiem ich zwolnienia. Niektórym pozwolono opuścić obłast, lecz związane było to z wieloma ograniczeniami, szczególnie w zakresie wyboru miejsca zamieszkania. Najważniejszym z tych ograniczeń było zarządzenie zabraniające zwalnianym więźniom z artykułu 53, osiedlenia się w więźności dużych miast ZSSR, ^{a nawet} w promieniu 100 km od nich. Niektóre osiedla stały się wręcz słynne z tego, że zamieszka^{li} w nich byli więźniowie polityczni. Jedną z takich najbardziej znanych osad jest na przykład Aleksandrow, leżący w odległości 101 km od Moskwy uznawany powszechnie jako nieoficjalny punkt zborny starych więźniów politycznych - dawnych Moskwiczów, którym zabroniono powrotu do rodzinnego miasta. Jelena Jakowlewna również nie mogła powrócić do Leningradu. Dr Berger, dr Atanzjan i ja, dostaliśmy od niej listy wysłane z miejscowości położonej o sto kilka kilometrów od Leningradu.

Większość *jednak* starej "pięćdziesiątki ósemki" decydowała się dobrowolnie pozostawać na Północy. Podejmowali pracę w obozowej administracji i podpisywali kontrakty jako pracownicy organizacji pozostającej na służbie NKWD. Czynie tak w większości po to, by zapewnić sobie minimum bezpieczeństwa.

Było sprawą powszechnie znaną, iż osoby, które wracają do dawnego miejsca zamieszkania opatrzone etykietką "wroga ludu" albo "elementu kontrrewolucyjnego", podejmują wielkie ryzyko. Z reguły wszelkie instytucje i przedsiębiorstwa odmawiały im zatrudnienia nawet na średnich stanowiskach, a pamiętać tu trzeba, że w zasadzie w ZSSR jedynym precedencją jest państwo. Poza tym, sąsiedzi i najbliższe otoczenie starało się ich unikać z obawy posądzenia o sympatię dla nich. Najgorzej jednak, że w każdej chwili mogli być narażeni na ponowne aresztowanie, bez względu na zachowywaną ostrożność. Zawsze też mogło w kraju wydarzyć się coś takiego jak zamordowanie Kirowa, "spisek" Tuchaczewskiego, czy powie¹²dzmy - wybuch wojny. W takim przypadku, też było regułą, że NKWD zawsze przeprowadza prewencyjne aresztowania i izoluje takich ludzi po raz wtóry. "Izolacja" oznacza, że zostaną ponownie skazani na pięć, osiem czy dziesięć lat pobytu w obozie jako "element niebezpieczny dla społeczeństwa".

Los taki nie zagrażał tym, którzy pozostali na północy jako kontraktowi pracownicy w służbie NKWD. Poznałem wiele takich osób, a ci - którzy nie obawiali się rozmawiać, tak mniej więcej uzgadniali swoje decyzje:

- Wcale nie żałuję tych głupców, którzy wracają i narażają się na aresztowanie po raz drugi czy trzeci. Widocznie niczego nie nauczyli się podczas pobytu w łagrze. Im się ciągle wydaje, że po odsiedzeniu kilku lat spokojnie wrócą do domów i rozpoczną nowe życie jako pełnoprawni sowieccy obywatele. Ale NKWD doskonale wie, że każdy były więzień jest w głębi serca wrogiem reżimu i jest absolutnie pewno, iż tacy właśnie są najbardziej niebezpieczni ze wszystkich. Oczywiście nie boi się ich jako szpiegów, agitatorów, sabotażystów czy terrorystów, gdyż samo wie najlepiej, ile prawdy zawierają ich akty oskarżenia. NKWD boi się ich jednak, bo wie, że zostali skazani niewinnie i że po latach spędzonych w obozach pracy,

są naczynymi świadkami terroru, na jakim opiera się system sowiecki i cały ruch komunistyczny na świecie.

Inny reprezentant tej grupy tak mówił:

- Niech ci się nie wydaje, że chciałbym resztę swego życia spędzić tu dobrowolnie. Ulacznego nie mielibyśmy wrócić do domu? Do rodzin? Wiemy przecież, że to jest bez sensu. Jeśli zaś zostajemy tutaj, ryzyko ponownego aresztowania staje się od razu nieporównywalnie mniejsze. Tutaj, nie jesteśmy niebezpieczni dla władzy, przeciwnie, tutaj - władza potrzebuje nas. Kolonizujemy niezamieszkałe obszary, lasy i tundry, wśród których nikt nie chce osiedlać się dobrowolnie. Wielu z nas zakłada rodziny, żeni się, rodzi dzieci. Dzieci dorastają i nawet nie wiedzą, że życie gdzieś może wyglądać zupełnie inaczej. To dzięki nam powstają i rozrastają się nowe miasta, jak Workuta, Abex i wiele innych, zasiedlamy tereny - gdzie niegdyś były tylko błota, komary i niedźwiedzie. Lecz najważniejsze jest to, że pozostając tutaj uwalniamy się od strachu. Uwalniamy się od koszmaru narastającego codziennego strachu.

Wśród moich obecnych obowiązków w baraku nr 3 jednym z najtrudniejszych i najbardziej odpowiedzialnych był dobór personelu. W obozie pełno było wszelkiego rodzaju donosicieli. Jeżeli prawdą jest, że w Związku Sowieckim, co trzeci obywatel donosi - a wydaje się, że nie ma w tym przesady - to w obozie na pewno co drugi. Szpicle komendanta, naczelnego lekarza, czy superintendenta byli stosunkowo niegroźni, przynajmniej w odniesieniu do naszego baraku. Informatorzy tej kategorii interesowali się głównie porządkiem, kradzieżami żywności, jej niewłaściwym rozdzielaniem, albo kto z kim sypia. Nasz barak miał dobrą opinię pod tym względem i panował w nim porządek. Tak więc nie było się czego obawiać z ich strony. Rzeczywiste niebezpieczeństwo stanowili jednakże agenci szefa kontrwywiadu.

Było to niebezpieczeństwo realne. Znałem wiele osób, które jak się to mówiło - "oszczędzały i zbierały na nowy wyrok". I zwykle było to dzieło informatorów. Każde beztrąsko wypo-

wiedziane słowo mogło być podsłuchane przez szpicla, doniesione szefowi kontrwywiadu, a następnie zapisane w teczce osobowej więźnia. Najlepiej, jeśli zdarzyło się to od razu jak w przypadku młodego Jaszkiwa, który już w ciągu pierwszego roku pobytu w łagrze, został skazany na następne, dodatkowe dziesięć lat, co w praktyce oznaczało, że jego wyrok przedłużał się każdego roku o jeden dodatkowy rok. Ale bywało i gorzej. Spotykałem wiele osób, które odsiedziały już w obozie siedem, czy nawet dziewięć lat z dziesięcioletniego wyroku i zaczynały odliczać dni do zwolnienia. Można sobie wyobrazić ich rozpacz, gdy szef kontrwywiadu wytaczał im kolejny proces. W czasie przesłuchania okazywało się zazwyczaj, że jakieś nieostrożnie rzucone słowo, wypowiedziane gdzieś rok temu i dosłownie powtórzone - figurowało w teczce personalnej i stanowiło podstawę do wyroku skazującego na nowych dziesięć lat.

Sprawa taka przytrafiła się pewnej młodej Polce, którą dobrze znałem, lecz nazwiska nie mogę wyjawić. Koniec terminu jej pobytu w łagrze upływał w 1945 roku. W czasie, gdy leżała w naszym baraku na kobiecej sekcji, pod koniec 1944 roku, do sąsiadki na szpitalnym łóżku powiedziała, że przed wojną - w Polsce - mogła kupić sobie tyle żywności bez żadnych kartek, ile tylko chciała. Po wypisaniu jej ze szpitala, wytoczono jej nowy proces. Miał on miejsce w Kotłas, sprawa była tak drobna, a dowód jej winy tak oczywisty, że postanowiono nie zanurzać głowy OSO w Moskwie. Przyjechała do mnie, wprost z tej rozprawy i oznajmiła, że dostała nowy wyrok - pięć lat z artykułu 58 "za pochwałę reakcyjnej Polski", a jako świadek na procesie wystąpiła sąsiadka ze szpitala.

Znałem jeszcze niżej jedną podobną sprawę i stale obawiałem się, że szef kontrwywiadu zechce umieścić swego informatora w naszym baraku na stałe.

W tamtych czasach, miałem niezłe oko w odgadywaniu ludzkich charakterów. Być może procentowała teraz ta odrobina teeningu, jaką odebrałem w NKWD w Iwanowie. Na ogół poznawałem się na ludziach od pierwszego wejrzenia i choć brzmi to dość zarozumiałe - rzadko, jak sądzę, myliłem się.

Pewien pacjent, przeniesiony został do nas z innego baraku. Było w jego oczach, a może w sposobie zachowania, coś takiego, co wzbudziło moją czujność. Co dziwniejsze, to negatywne wrażenie nie zniknęło nawet wtedy gdy dowiedziałem się, że jest Polakiem, choć zazwyczaj ufałem redaktorom bez chwili wahania. Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z dr Bergerem, lecz on - jak zwykle - ograniczył się do uwagi w swoim stylu:

- Nie należy nikogo z góry osądzać. To, że ktoś nam się nie podoba, nie oznacza wcale, że jest zły.

Uwaga była bardzo rozsądna, lecz postanowiłem jednak zaufać raczej własnej intuicji. Kiedy nie ma pewności, najlepiej polegać na własnym doświadczeniu.

Nasz nowy pacjent nazywał się Zasepa, był bardzo wychudzony, ale na ogół w nienajgorszym stanie, mógł nawet chodzić o własnych siłach. Obejrzałem jego kartę chorobową z podwójną uwagą. Uderzyło mnie, że przybywał już w kilku barakach naszego szpitala, zania trafił do naszego. Zdarzało się dość często, że pacjenci byli przenoszani do nas z innych baraków, ale głównie z powodu stanu zdrowia, gdyż nasz oddział prowadził najcięższe przypadki. Stan zdrowia jednak nie kwalifikował go do nas. Jeszcze raz zwróciłem uwagę, dr Berger tak jak poprzednio odpowiedział - to jeszcze nie dowód, że jest on szpiclem. Niemniej jednak dr Berger zgodził się, że stan jego zdrowia nie kwalifikuje go by zajmował miejsce w naszym baraku. Obiecał przy pierwszej okazji, poprosić głównego lekarza o pozwolenie przeniesienia tego chorego na inny oddział.

W kilka dni później dr Berger powrócił do tej sprawy:

- Zaczynam wierzyć, że tym razem intuicja pana nie zawiodła. Wie pan, co powiedział Mikołaj Mikołajewicz? Że to nie na jego polecenia umieszczono tego Zasepę w naszym baraku, i nie od niego zależy, żeby przeniesiono go gdzie indziej. To mówi samo za siebie. Musimy bardzo uważać z tym pacjentem, i ^{nie} - pozwolić aby się zorientował, że coś o nim wiemy.

Zasepa był jednak kiepskim "Rekrotem". Określenie to niema nic wspólnego ze sprawami seksu, w potocznym rosyjskim, jest skrótem od "sekretny sotrudnik" czyli tajny współpracownik. Szybko zdradził się zachowaniem. Zaczął domagać się oddzielnego łóżka, lepszego wyżywienia i różnych innych przywilejów.

Kiedy ich nie uzyskali był traktowany tak jak wszyscy, oznajmił, że poskarży się na nas do "odpowiednich władz". Ponieważ na oddziale panował porządek, a wszystkie jego zarzuty ^{były} bezzasadne, nie przejmowałem się nim szczególnie, starałem się tylko zachować możliwie największą ostrożność w rozmowach z chorymi.

Maria Makeymowna i ja pracowaliśmy razem, jako jeden zespół przy podawaniu witamin. Dla Zaeępy ten zabieg był dość kłopotliwy ze względu na cienkie i słabo widoczne żyły, a poza tym bał się zastrzyków. Kiedyś, gdy kilka kropli krwi pojawiło się, kiedy wyciągałem strzykawkę, rozkrzyczał się na cały oddział:

- Marnuje pan resztki krwi, jakie mi pozostały. Myśli pan, że nie wiem, iż nie jest pan lekarzem, tylko zwykłym inżynierem.

Dużo czasu zajęło nam, zanim wreszcie mogliśmy się go pozbyć. Wreszcie naderżyła się sposobność. Przyszedł duży transport ciężko chorych i główny lekarz opróżnił połowę naszego baraku. Zaeępa znalazł się wśród nich.

W kilka miesięcy później dowiedziałem się, że zmarł w baraku nr 3. Pewna siostra, Polka, opowiedziała mi o jego ostatnich chwilach. Będąc w pełni świadom, że umiera oznajmił jej, że pragnie się wypowiedzieć, a wie, że kiedyś w Polsce była zakonnicą. Na to ona odrzekła, że nie ma prawa przyjmowania opowiedzi ani udzielania rozgrzeszenia. Mimo to Zaeępa prosił, aby go jednak wysłuchała, gdyż miało mu to przynieść ulgę. Podczas tej rozmowy wyznał, że jest agentem szefa kontrwywiadu, że długo się opierał i nie chciał być konfidentem i przez długi czas mu się to udawało. Ale wysłano go z brygadą roboczą do bardzo ciężkich robót. Miał nadzieję, że uda mu się przetrwać, jeśli będzie pracował więcej i wydajniej. Ale jak i u wielu innych przedowników pracy tak i jego zdrowie nie wytrzymało, trafił do szpitala. Wokół niego umierali ludzie, chciał za wszelką cenę uratować życie. Nie miał dłuższej siły opierać się naciskom komórki kontrwywiadu. Wyznał też, że zachował się w sposób niegodny chrześcijanina i Polaka i przyjmuje swój los jako karę Bożą, na którą w pełni zasłużył. Na koniec zaś, prosił siostrę, by się za niego modliła.

Jeszcze podczas pierwszej zimy, jaką spędzałem w baraku nr 5 w długie wieczory, gdy nie było światła i prowadziliśmy niekończące się rozmowy z Jeleną Jakowlewną, dr Berger często opowiadał o swojej rodzinie. Miał przy sobie fotografie wnuczków i z dumą nam je pokazywał. Gdy został deportowany z Kowna pozostawił tam żonę, córkę, zięcia oraz synową i troje wnucząt i od tamtej pory nie miał od nich żadnej wiadomości. Jego niepokój, jaki wyrażał w owych rozmowach był sprawą jak najbardziej naturalną, oczywistą i powazadną.

W miarę jak Armia Czerwona posuwała się na Zachód, prasa sowiecka zaczęła publikować coraz to więcej szczegółów o zbrodniach niemieckich dokonanych na ludności żydowskiej, na zajmowanych przez nią teraz terenach. Niepokój dr Bergera wzrastał wraz z napływem tych wiadomości. Zaczęły go prześladować koszmary, a ponieważ nasze łóżka stały niedaleko, nieraz w nocy budził mnie jego szloch. Starałem się go uspokoić i przekonać, że wiadomości jakie przynosiła prasa należy przyjmować ze sceptyzmem, jako nadgorliwość propagandystów raczej niż rzeczywistość.

Sam byłem zdania, że jakkolwiek nastawienie Hitlera wobec Żydów było faktem dobrze znanym, ale Niemcy jako cywilizowany naród europejski nie są jednak zdolni do popełnienia tego rodzaju barbażyńskich zbrodni, jakie przypisuje im gazety sowieckie. Znałem Niemcy z 1932 roku i sam wierzyłem w to, co mówiłem. Stopniowo zresztą udało mi się przekonać także i dr Bergera. Istotnie trudno było uwierzyć, że wszystkie relacje dotyczące obozów zagłady jak Oświęcim, Majdanek, Treblinka mogą być czymś innym, niż tworem chorej wyobraźni. Jak można było nawet przyjąć, że naród, który wydał Lessela, Goethego, Bacha i miał niemały wkład w kulturę europejską mógł dopuścić się zbrodni spalania w krematoriach blisko 10 milionów ludzi, w tym większej części zamieszkujących w Europie Żydów.

Rozumując w ten sposób nie byłem też wcale zdziwiony, gdy po powrocie do Polski, ludzie nie chcieli uwierzyć w moje opowieści o obozach sowieckich, mimo że w tym samym czasie było już w Polsce tysiące naocznych świadków, takich jak ja - byłych żegielników. Bowiem są sprawy, które normalnemu człowiekowi nie mieszczą się w głowie i po prostu brakuje mu

zatłoczonym oddziale i pewną śmierć w brudzie, chłdzie i głodzie. Chciałem zapobiec temu za wszelką cenę. Lecz nie byłem lekarzem, a moje możliwości były bardzo ograniczone, zwłaszcza w zakresie diagnozowania. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zaapelować do lojalności kolegów doktora Bergera i prosić ich o pomoc. Nie odmówili. Codziennie rano lekarze Czernaszukin i Grinspan robili obchód pacjentów a ja, w tym czasie mogłem zająć się opieką nad doktorem Bergerem.

Ataki serca powtarzały się, najczęściej w nocy, a każdy z nich mógł się zakończyć tragicznie. Cierpiał bardzo i zdawał sobie sprawę, że sprawa jest poważna. Podczas napadów bólu kazał mi mierzyć ciśnienie krwi. Często podnosiło się powyżej 200.

Po pewnym czasie sytuacja dała się opanować, przynajmniej na tyle, że mógł trochę pracować. Odbywało się to ^{w tej sprawie} z pomocą, prowadzony pod rękę, mógł dokonywać obchodu. Trwało to około 20 minut, po czym kładł się z powrotem do łóżka i stąd, wydając polecenia, kierował pracą oddziału.

x x x

Rodzina XXXII

ECHA KORONACJI ANGIELSKIEGO KRÓLA

Doktor Berger z trudem jeszcze chodził. Był powszechnie lubiany i szanowany, przyjmował bardzo częste wizyty kolegów w pokoju. Do jego najbliższych przyjaciół zaliczali się lekarze Czeriaczukin, Grinspan i Atanzjan oraz asystent medyczny Feldberg.

Przed wojną, dr Grinspan był specjalistą chorób wenerycznych i praktykował w Berlinie, chociaż urodził się w Rydze i zachował ^(FZ) obywatelstwo łotewskie. Wyjechał z Berlina i znalazł się wraz z żoną i córką w Stambule. Gdy w Europie wybuchła wojna, Grinspan znalazł się w obcym mieście bez żadnego oparcia i bez środków do życia. Nie chciał wracać do Niemiec. W podobnym położeniu, co on, znalazło się w Stambule jeszcze kilku Bałtów. Po wielu dyskusjach, całą grupę zwrócili się do ambasady sowieckiej w Stambule, z prośbą o wydanie zezwolenia na wyjazd do swoich krajów, które właśnie zostały przyłączone do ZSRR. Wizy otrzymali natychmiast i wkrótce opuścili Stambuł, udali się w podróż koleją przez turecką Armenię.

Na pierwszej stacji po stronie sowieckiej, wszyscy mężczyźni, wśród nich i Grinspan zostali aresztowani. Co się stało z ich rodzinami, nie wiedzieli do dziś. Mężczyźni zamknięto w więzieniu NKWD w Erewaniu i tam poddani zostali śledztwu, a następnie skazani przez moskiewskie OSO z artykułu 58.6, tj. za szpiegostwo.

Dr Atanzjan, skazany był za zdradę stanu. W chwili wybuchu wojny znalazł się na froncie i bardzo prędko dostał się do niemieckiej niewoli. Przeżył tam bardzo ciężkie chwile. Dwukrotnie próbował ucieczki. Za drugim razem, omal tej próby nie przepłacił życiem, dopiero trzecia zakończyła się sukcesem. Natychmiast zgłosił się do Armii Czerwonej i z miejsca

został przesłany. Ostał pięć lat łagru z artykułu 58.1, gdyż pobyt w niewoli - zdaniem władz - równał się zdradzie stanu.

Przez długi czas dr Atanzjan nie potrafił tego zrozumieć, ani pogodzić się z wyrokiem. Napisał do Moskwy kilka listów, w których starał się wyjaśnić sytuację, dowodząc swego patriotyzmu i poświęcenia. Twierdził, iż zawsze był oddanym obywatelem ZSRR, a władzy sowieckiej zawdzięcza, ^{że} jako Armeńczyk, mógł ukończyć studia w Moskwie i uzyskać dyplom doktora medycyny. Zresztą gdyby nie był patriotą, nie ryzykowałby przecież ucieczki z obozu.

W naszym obozie, znalazło się jeszcze wielu skazanych za to, że byli w niewoli niemieckiej. Zazwyczaj dostawali za to, jak się w obozie mówiło - "czerwonca" - czyli dziesięć lat. "Czerwoniec" jest rosyjskim banknotem, jeden równa się dziesięciu rublom.

Wielu z nich, podobnie jak dr Atanzjan, uciekło z niewoli i zgłosiło się do Armii Czerwonej. Podobnie jak i dawny asystent Atanzjana, porucznik lotnictwa Gorzиков, który również należał do tej samej kategorii. Ale fakty nie przekonywały dr Atanzjana. Po wielu latach spędzonych w więzieniach i łagrach ciągle należał do tych nielicznych, którzy uważali, że wszyscy inni skazani zostali słusznie i zażalenie, tylko w jego przypadku, znaszło nieporozumienie i przykra pomyłkę sądową. Wierzył też niezachwianie, że pomyłka ta rychło się wyjaśni, sprawiedliwości stanie się zadość, a on zostanie zwolniony.

Dopiero, gdy z Moskwy nadeszło potwierdzenie wyroku, dr Atanzjan stracił iluzje. Pogodził się z losem, ale nie mógł odnieść sobie przyjemności wyrażenia satysfakcji, że on jednak dostał tylko pięć lat, podczas gdy inni za to samo, dostali dziesięć.

Najbliższym przyjacielem doktora Bergera był asystent medyczny - Feldberg. Związani byli nie tylko silnymi więzami wspólnoty narodowej ale jeszcze bardziej, wspólną ideą, dla której każdy z nich poświęcił większą część swego życia, a która w końcu stała się przyczyną obecnej sytuacji. Obaż byli pionierami syjonizmu w swoich krajach.

Feldberg był Ukraińcem, pochodził z Kijowa. Pasażer jeszcze carskich pogromy, powitał więc nowy reżim z sympatią i entuzjazmem. Wierzył, że przyniesie on wielkie zmiany na lepsze, nie tylko w jego życiu osobistym, ale w życiu całej ludności żydowskiej w Rosji. Uważał jednak, że sama rewolucja nie rozwiąże kwestii żydowskiej. Jedynym rozwiązaniem - jego zdaniem - byłoby powstanie państwa żydowskiego w Palestynie. Wstąpił do ruchu syjonistycznego. W latach dwudziestych, bolszewicy nie uznawali jeszcze ruchu syjonistycznego za działalność kontrrewolucyjną, ale czas upływał, wszystko się zmieniło i rozpoczęły się prześladowania "zgniłego liberalizmu", do którego zaliczono także i syjonizm. Feldbergowi nie udało się zatrzeć śladów dawnej działalności w ruchu. Został aresztowany i przebywał w różnych obozach w okolicach Archangielska. Zwolniony został po odbyciu wyroku, tuż przed wybuchem wojny. Od razu jednak aresztowano go ponownie, choć od dawna żadnej działalności syjonistycznej nie uprawiał, bo i jak mógł to robić siedząc w obozie. Tym razem skazany został na dziesięć lat. Jego wyrok nie wymieniał jednak żadnego artykułu kodeksu karnego, zamiast tego wypisano w nim trzy litery KRU - kontrrewolucyjna działalność, czyli działalność kontrrewolucyjna.

W obozie było jeszcze wielu syjonistów. W większości pochodzili oni z krajów bałtyckich, Polaki i Rumuni, i aresztowano ich natychmiast po zajęciu tych krajów przez Rosję. W tej grupie znalazł się także 16-letni chłopiec z Polski również niebezpieczny syjonista.

Ojca Serafina aresztowano po raz drugi już po wybuchu wojny i wszystkie wskazywało na to, że znalazł się ze kratami niejako z własnej woli. Jak wynikało z jego opowieści, władze po okresie prześladowań kościoła i wprowadzeniu urzędowo bezbożnictwa, kiedy wybuchła wojna nieoczekiwanie zaionizowały kurs. Oczywiście ludzie dojrzało zorientowani od początku nie mieli żadnych złudzeń i nie wierzyli w szczerą intencję rządu w tej kwestii. Dla nich "nowa polityka" od razu wyglądała na pro-

pagandowy manewr mający na celu wzmocnienie popularności Związku Sowieckiego w krajach kapitalistycznych. A poza tym, we wschodniej Polsce, Bułgarii i Serbii, ludność w większości należy do ortodoksyjnego kościoła greko-katolickiego. Bolszewicy nie chcieli antagonizować tych społeczeństw od samego początku. Mieli dość czasu, by stopniowo wprowadzić sowiecki system. W pierwszym rządzie uznali, że muszą zebrać wszystkie siły aby zniszczyć panujący w tych krajach kapitalizm.

- Najlepszym dowodem, prawdziwych celów nowej polityki kościelnej stał się fakt, że aktywny działacz ateistyczny został mianowany kierownikiem do spraw kościoła - powiedział ojciec Serafin.

Dawny kler był już od dawna wyniszczony. A ci nieliczni, którzy ocalili, nie byli naturalnie osobami dobrze widzianymi przez władze. Nie godzili się z tym, że kościół ma się stać narzędziem w rękach władzy. Dawny patriarcha Sergiusz, głowa kościoła był jeszcze i cieszył¹⁹⁴⁵ się dobrym zdrowiem, ale bolszewicy wprowadzili nowego patriarchę, własnego - Aleksjusza. Stary kler odmówił mu jednak uznania, rząd odpowiedział represjami. Drobną mniejszość załamała się i uległa terrorowi. Reszta została aresztowana.

- I ja jestem jednym z nich - powiedział ojciec Serafin z dumą w głosie. Mam 76 lat, więc w moim przypadku nie ma mowy o żadnym heroizmie, ale gdybym był młody, zrobiłbym dokładnie to samo. Nie boję się ich ... Bóg ich pokarze, za te wszystkie zbrodnie, których dopuścili się przez ostatnie dwadzieścia siedem lat. Sprawy zaczęły u nas już tak daleko, że nowo powoływani księża są agentami NKWD i używają konfesyjonałów do zbierania informacji dla swych nadzawców. Ciężkie czasy przyszły teraz na ludzi. Z całej duszy nienawidzę reżimu, który zabrał rodzinom ojców, mężów i synów. Tym, którzy zostali, spowiedź jest potrzebna, przynosi ulgę i oczyści z nienawiści. A w konsekwencji prowadzi teraz do nowych aresztowań i cierpienia ...

Ojciec Serafin mówił mi jeszcze wiele o organizacji i sposobach działania "bolszewickiego kościoła", lecz nie mogę tego tutaj relacjonować.

Z miejscowości z której pochodził, do ojca Serafina przychodziło wiele paczek żywnościowych, co dowodziło, że ma wielu wiernych parafian, którzy o nim nie zapomnieli. Jako nadawca tych paczek zawsze występowała jego siostra, ale ojciec Serafin mówił, że nigdy nie byłoby jej stać na wysłanie takiej ilości pożywienia - to wierni się na to zbierają.

Komenda obozu traktowała Archimandrytę z pewnym respektem. Pomimo regulaminowego zakazu pozwolono mu zachować długie włosy zgodnie z regułą ortodoksyjnych księży. Ale już w czasie pierwszej inspekcji zabrano mu krucyfik, modlitownik i grzebień. Dwa razy dziennie, przy każdej "powierce" ten stary człowiek prosił o zwrot swoich rzeczy, lecz nie otrzymał ich z powrotem. "Nadziratel" tylko śmieił się z niego. Bez grzebienia nie mógł jednak utrzymać w porządku włosów i brody. Dopiero kiedy pokarzył się komendantowi obozu - Koczkinowi, gdy ten wizytował barak, zwrócono mu grzebień, ale krucyfyka i modlitownika nie.

Ojciec Serafin był z nami jeszcze przez kilka miesięcy zanim zmarł, nie z głodu, lecz w wyniku zawaśowanego zwapnienia żył. Dr Berger osobiście postarał się, żeby pochowano go w oddzielnej mogiłce, a nie w masowym grobie.

Nasz "kwaternistrz" Kużabukow, był przyzwyczajonym człowiekiem, w odróżnieniu od innych, którzy zajmowali podobną funkcję w innych barakach. Nigdy nie przywłaszczczał sobie żadnych rzeczy pacjentów złożonych u niego na przechowanie. Jego uczciwość została nagrodzona. Ojciec Serafin zmarł tuż przed zwolnieniem Kużabokowa z obozu po odbyciu pięcioletniego wyroku. Wyzadł, w pięknych butach, jakie otrzymał od ojca Serafina na pamiątkę.

Żołosną, ale też i trochę komiczną postacią był Wiczesław Josipowicz von Neumann, który przybył do Kotłas z niemieckim transportem z Frankfurtu nad Odrą. Miał siedemdziesiąt dwa lata. Uratowanie mu życia, było kolejnym dowodem niezwykłych zdolności lekarskich doktora Bergera. W chwili przyjazdu do obozu von Neumann był naprawdę w beznadziejnym stanie, a

gdy po dwóch miesiącach starań niebezpieczeństwo minęło, dr Berger przedstawił ten przypadek jako ilustrujący słuszność swojej ulubionej tezy: "Nigdy nie wolno z góry zakładać, iż dla pacjenta nie ma ratunku".

Von Neumann, mimo - być może - niemieckiego nazwiska był z krwi i kości Rosjaninem i arystokratą, który obracał się w kręgach dworskich oraz oficerem cesarskiej gwardii przybocznej. Opowiadał nam wiele epizodów z tego okresu życia. Zapamiętałem jeden:

Kiedy był jeszcze bardzo młodym oficerem, car wysłał go z zaszczytnym posłaniem do emira jednego z wasalnych krajów w środkowej Azji. Młody oficer, jako osobisty przedstawiciel cara, udekorować miał owego emira orderem wysokiej rangi. Emir przyjął go z igrasem wachodnia przepychem, wydał na jego cześć wspaniałe przyjęcie, wytworne uczyty, piękne kobiety, a na koniec mianował go majorem własnej armii i ofiarował przepyszny, kapiący od złota wielce egzotyczny uniform. Von Neumann będąc pod wielkim wrażeniem tej wizyty, nie mógł się oprzeć pokusie, by w mundurze armii emira zaprezentować się na ulicach Moskwy. Okazało się jednak, że mundur jest całkowicie niezgodny z regulaminem carskiej armii i młody oficer "zrobił" swój pierwszy areszt - dziesięć dni odwachu.

Podczas pierwszej wojny, von Neumann awansował do stopnia pułkownika, a w 1916 roku dostał się do niemieckiej niewoli. W Rosji dokonała się rewolucja, car zginął, postanowił więc nie wracać do kraju i jak wielu innych byłych oficerów osiedlił się w Paryżu. W kręgach emigracyjnych stał się ważną osobowością i jako jeden z nielicznych, zaproszony został do Londynu na uroczystości koronacyjne króla Jerzego VI. Z dumą opowiadał nam o tych uroczystościach, na których wystąpił w mundurze carskiej armii, w pełnej gali i w otoczeniu świty.

W czasie okupacji, Niemcy aresztowali go, jako przedstawiciela orientacji pro-brytyjskiej. Rok przesiedział w więzieniu, zanim uwolnili go Amerykanie. Dostał u nich pracę przy rejestracji osób przesiedlonych, przy rozdawaniu odzieży i żywności. W związku z tą pracą właśnie pojechał do jakiegoś miasta /zapomniałem jego nazwy/ położonego w pobliżu linii demarkacyjnej amerykańsko-sockieckiej. Z jakichś tam powodów,

przyjeżdżali do tego miasta również oficerowie sowieccy. Von Neumann poznał pewnego majora Armii Czerwonej. Po trzydziestu latach na wygnaniu, stary pułkownik poczuł coś w rodzaju solidarności ze zwycięską Armią Czerwoną. Zaprzyjaźnił się szybko z owym majorem i zalił mu się na niedolę losu emigranta. Major zaczął zachęcać na powrót do ojczyzny, apelując do uczuć patriotycznych.

- Nasza ojczyzna potrzebuje takich ludzi jak pan, pułkowniku - von Neumann przedłożył argumenty majora. Po wojnie Związek Sowiecki stał się światową potęgą i potrzebuje ludzi, którzy znają świat. Czeko pana wspaniała kariera. Zostanie pan natychmiast generałem w naszej armii. Niech pan wraca i sam się przekona, jak się teraz wspaniale żyje w Rosji. A zresztą, co pan ryzykuje? Jeśli się panu nowa Rosja nie spodoba, zawsze może pan wrócić do Francji ...

Von Neumann długo zastanawiał się, bardzo długo. Na temat życia w ZSSR słyszał także i inne wersje. W końcu jednak zdecydował się do wniosku, mając siedemdziesiąt dwa lata, nie ma wiele do stracenia. Że za trzydzieści lat czekał na możliwość powrotu do "Matiuszki Rosji", zdecydował, że warto mimo wszystko podjąć ryzyko.

Wrócił dobrowolnie - rzecz można - na ochotnika. Nikt ^(go) do tego nie zmuszał. Zgłosił się do sowieckiej komendantury, dwa ^(dni) czekał na decyzję, dokąd go mają skierować. Trzeciego dnia został aresztowany i przeniesiony do więzienia we Frankfurcie nad Odrę. Enkawudzieta, który go przesłuchiwał, spisał całe tomy o emigrantach zamieszkałych w Paryżu. Nie postawiono go przed sądem. Sądu nie widział, dostał wyrok zaoczny: dziesięć lat za zdradę ojczyzny.

Potem cały miesiąc spędził w wagonie więziennym, w transporcie. Jego towarzyszami podróży byli głównie Niemcy oraz kilku żołnierzy i oficerów sowieckich aresztowanych w Berlinie za przestępstwa kryminalne. Ci ostatni, sterroryzowali cały przedział, nie tylko obrabowali współwięźniów ze wszystkich wartościowych rzeczy, ale odbierali im racje żywnościowe, tak że przez kilka dni, tylko oni mieli co jeść. Kilku Niemców zmarło w czasie drogi. Von Neumann przy końcu podróży

był tak ułaby, że nie mógł stać o własnych siłach. "Łaska Boża, że w ogóle to przeżyłem" - powiedział.

Von Neumann nie miał zębów. Sprawiało mu to wielkie trudności w jedzeniu, a biorąc pod uwagę obozowe pożywienie - wręcz uniemożliwiało. Mógł wprowadzić sztuczną szczękę, ale owi oficerowie w transporcie mu ją złamali. Prosił mnie więc, bym ją wysłał do miasta, do reperacji. Starszy pan, był bardzo naiwny i nie zdawał sobie sprawy, gdzie się ^{TERAZ} znalazł. Jedną przez całą Rosję w zaplonbowanym wagonie, a do baraku nr 5 trafił nieprzytomny i na noszach. Jego zachowanie i postawa w konfrontacji z warunkami panującymi w obozie były niekiedy wręcz groteskowe. Prosił mnie np. bym pożyczył mu trochę pieniędzy, bo chce posłać kogoś do miasta by kupić ^{mu} masło, jajka, ser, wędlinę i okulary. Sprawiało to tym bardziej wrażenie ponuraj groteski, gdyż poza tym, był to człowiek inteligentny i wykształcony. Kiedy nabrał trochę siły, potrafił dowcipnie i zajmująco opowiadać o różnych wydarzeniach, jakich był świadkiem w czasie długiego i barwnego życia. Był jednak zamknięty we własnym świecie. Trudno mu było wyjaśnić czym jest życie w łagrze w ogóle - a w naszym w szczególności - mimo, że podczas swego pobytu w Niemczech, stykał się przecież z ludźmi, którzy przeszli niemieckie obozy koncentracyjne, nie tak znowu różne od sowieckich. Do pielęgniarzek i sanitariuszy odnosił się w sposób wyniosły, tonem rozkazującym i czynił uwagi na temat warunków w szpitalu, które wywoływały śmiech. Starano się uświadomić mu, gdzie się znalazł i skłonić, by zdał sobie z tego sprawę, na co odpowiedział, że doskonale wie, gdzie jest i jak powinno być, ponieważ już raz przebywał w szpitalu. Dwadzieścia lat temu, w prywatnej klinice paryskiej. Mimo to, był człowiekiem najzupełniej normalnym.

Postarałem się zorganizować ^{mu} naprawę sztucznej szczęki. Był w obozie pewien technik dentystryczny, również więzień - mój kolega. Nie wolno mu było oczywiście wykonywać żadnych prac dla więźniów, a tylko dla pracowników administracji obozowej, ale od czego błąd. Użyłem więc swoich wpływów i załatwiłem starszemu człowiekowi reperację jego sztucznej szczęki.

x x x

Rozdział XXXIII
NA PÓLNOCY ... ŚWITA

Odzienięty maj 1945 roku, Dzień Zwycięstwa. Z tej okazji komendant obozu zwołał zebranie więźniów funkcyjnych w świetlicy administracji obozowej. Przewodniczył mu szef KWCh - Goworow, półanalfabeta, którego głównym zadaniem było prowadzenie pracy oświatowo-edukacyjnej wśród więźniów. Oczywiście, sam tej pracy nie wykonywał, wyręczał się asystentami dobieranymi spośród więźniów kryminalnych. "Pięćdziesiątka ósemka" do tego rodzaju działalności niegdy nie była dopuszczona.

Na mityngu jednak, Goworow pojawił się osobiście. Zasiadł na podium, przy stole przydzielonym obok komendanta obozu Koczkin, szefa kontrwywiadu i innych wysoko postawionych osobistości obozowych. Wstał, odchrząknął i rozpoczął przemówienie:

- Po czterech latach heroicznych zmagañ, pod nieomylnym kierownictwem największego geniusza wszystkich czasów towarzysza Stalina - Armia Czerwona odniosła bezprzykładną kapitulację ...

W tym momencie Koczkin zerwał się na równe nogi i przerwał:

"Towarzysz Goworow przejęzyczył się ... Chciał powiedzieć, że armia hitlerowska skapitulowała".

Goworow powtórzył jak automat: - "hitlerowska armia skapitulowała ..." - ale powtórzył to cichym głosem i jakby bez przekonania. Było ewidentne, że zupełnie nie wiedział dlaczego Koczkin się wtrącił i co naprawdę znaczy to obce słowo "kapitulacja". Daleszy ciąg przemówienia był już jednak znacznie lepszy. Dalej bowiem były apele do więźniów o zwiększenie wysiłków w pracy, a to Goworow naprawdę znał na pamięć. Tyle, że zakończył przemówienie nie jak zwykle: "dla ostatecznego zwycięstwa nad Niemcami", ale "dla odbudowy naszego wielkiego,

niezwyciężonego Związku Sowieckiego", resztę pozostawiając bez zmian. Nieznośność słownika wyrazów obcych nadal nie kosztowała go utraty stanowiska. Och nie, nie aresztowano go oczywiście, dla NKWD ignorancja jest kwalifikacją dodatkową. Ale Koczkin pozbył się go i wysłał do innego obozu.

Amnestia proklamowana dla uczczenia zwycięstwa przyniosła powazne rozczarowanie. Zgodnie z ustawą zwolniono tylko tych, których wyroki nie były większe niż trzy lata, a więc objęła niewielki procent więźniów. Nie objęła w ogóle skazanych z artykułu 58 - wyroki z tego artykułu z reguły były znacznie wyższe. W późniejszym okresie za to, zwolnieni zostali również więźniowie niepolityczni, którzy odbyli połowę kary.

Kiedy wyraziłem swoje zdziwienie, że z okazji tak wielkiego wydarzenia jakim jest koniec wojny, ogłoszono amnestię w tak ograniczonej i skromnej wymiarze, obecny przy tym Sokołow zauważył: "Nasz rząd przywiązuje wielką wagę do istnienia obozów, traktując je przede wszystkim jako czynnik ekonomiczny. Nie może więc pochopnie pozbywać się siły roboczej więźniów".

Znacznie później, w moskiewskim więzieniu na Butyrykach, gdzie spotkałem wielu wybitnych specjalistów z najróżniejszych dziedzin, repatriantów z Zachodu i mieszkańców Europy Wschodniej, z krajów zagarniętych przez Armię Czerwoną, przypomniałem sobie tę rozmowę. Pomyślałem, że jest jeszcze coś, o czym Sokołow nie wspomiał. Mianowicie, że amnestia była celowo zaplanowana dwustopowo, pozwoliła to bowiem na uzupełnienie braków siły roboczej w obozach tak, że w jej wyniku liczba więźniów nie tylko się nie zmniejszyła, ale nawet przeciwnie - wzrosła.

Zakończenie wojny przyniosło pewną poprawę w zaopatrzeniu w żywność. W naszym szpitalu zwiększono nieco racje żywnościowe, ale nie wszystkim chorym. Specjalna komisja enkawudzystów i lekarzy spoza obozu, wyselekcjonowała pacjentów, którzy mieli otrzymać dodatkowe porcje 100-200 g chleba

dziennie. Byli to wyłącznie pacjenci, których wiek i kondycja fizyczna gwarantowały powrót do zdrowia, a tym samym do pracy. Starsi wiekiem, albo cierpiący na przewlekłe choroby, dodatkowych porcji chleba nie otrzymali.

W połowie 1945 roku, dokonały się zmiany, które przyniosły daleko idące konsekwencje dla wielu z nas. Grupa obozów wokół Kotłas - czyli Kotłaszağ, który stanowił dotychczas samodzielną jednostkę organizacyjną podporządkowaną bezpośrednio GULAG-owi w Moskwie, został włączony do grupy obozów Peczory - Peczorzağ. W rezultacie tych zmian, centrum administracyjne zostało przeniesione z Kotłas do Abez - stolicy Peczorzağ, o dobre 1000 km na północ od Kotłas. Nasz obóz stał się jedną z sekcji Peczorzağ, a zarządzenie wydane przez GULAG pdało wszystkich więźniów Kotłaszağ do dyspozycji Abez.

Peczorzağ, który i do tej pory był jednym z największych, znanych mi grup obozowych, teraz stał się prawdziwym mołochem. Objął ogromny obszar terytorialny, którego najbardziej wysuniętym na południe punktem był nasz Kotłas a ostatnią stację Malmer-Yu, nad Morzem Arktycznym, ponad 1500 km na północ. Nasz obóz, w którym spędziłem dwa lata stracił swoją rolę tranzytową na rzecz obozu Reczora-Kozwa, stając się jako najbardziej wysunięty na południe - czymś w rodzaju "uzdrzwiska" dla więźniów z całego tego obszaru.

Z północy, zaczęli teraz napływać do nas chorzy więźniowie, chroniczni inwalidzi różnych kategorii, bez względu na to, czy inwalidztwo wynikało z wieku czy nieuleczalnej choroby. Stan ich i wygląd przedstawiał prawdziwy obraz warunków tam panujących. I dotyczyło to nie tylko więźniów zatrudnionych przy najcięższych robotach fizycznych, ale również specjalistów. W tej sytuacji, wszyscy nieco podleczeni pacjenci z naszego szpitala byli odcyżnieni, aby zrobić miejsce dla tych wynędziałych nieszczęśliwów z północy.

Nasz szpital otrzymał nowego zwierzchnika w obozie szefa medycznego Peczorzağ - doktora Iwaszkiewicza. Miał on prawo

dyseponowania całym naszym personelem. Pierwszym, którego Inszenowicz wysłał na północ, był popularny i powszechnie lubiany dr Czeriaczukin. Z największym żalem zegnaliśmy go w pierwszych dniach 1946 roku.

W rezultacie tych zmian, wszyscy byliśmy przygotowani na to, że każdego dnia możemy być wysłani na Północ. Zdałem sobie sprawę, że nie mogę już dłużej liczyć na opiekę moich protektorów. Byli bezsilni wobec zarządzeń z Abex. Tak więc rok 1946 przyniósł poważniejsze zagrożenia niż kiedykolwiek dotąd.

Podczas pobytu w Kotłas zyskałem sobie pewną renomę jako asystent doktora Bergera. W czasie jego choroby, zwłaszcza kiedy musiałem podejmować samodzielne decyzje, nabrałem pewnego doświadczenia. Wielu pacjentów a zwłaszcza nowo przybyłych, traktowało mnie jako lekarza. Gorzej, bo i ankwizdźci zaczęli przychodzić do mnie po porady lekarskie. W istocie przychodzili do doktora Bergera, który ciągle miał reputację najlepszego lekarza nie tylko w obozie, ale w całym Kotłas. Najczęściej byli to strażnicy, którzy zwracali się do doktora Bergera z prośbą o zbadanie ich żon i dzieci. Dr Berger ciągle jeszcze był bardzo słaby, więc radził im, aby zwrócili się do innego lekarza.

- Jeśli nie możecie sami doktorze, to przyślijcie swego asystenta.

Co miałem robić? Chodziłem. Raz był to strażnik, leżący w baraku na pryczy i skręcający się dosłownie z powodu bólu brzucha. Dałem mu jakiś lek i bóle ustąpiły. Przyszedł potem podziękować za uzdrowienie. Innym razem sam "Nadziretial" zabrał mnie poza teren obozu, abym zbadał jego dziecko. Dało to mi możliwość zapoznania się z warunkami, w jakich żyją nasi aktualni władcy. Znalazłem się w małym pokoiku, niechlujnie utrzymanym, który służył jednocześnie za kuchnię. Kilka mebli prywatnych i rozpadejacych się, zaduch, trójka dzieci śpiących w barłogu. Nie był to rodzaj egzystencji ani wolności, którego mógł pozazdrościć nawet więzień.

Do naszego baraku trafił pacjent, nauczyciel z Białoruś, który mieszkając przez całe życie na polskich terenach wschodnich uważał się za Polaka. Nie będąc więźniem politycz-

nym miał prawo do korespondencji raz na miesiąc. Zgodził się, abym wraz z jego listami, mógł wysyłać wiadomości do no-
jej żony.

Od pewnego czasu starałem się nakłonić żonę, by przy
pierwszej naderzającej się sposobności wracała do Polski,
żona zaś obawiała się, że będąc w Polsce, nic mi nie będzie
mogła pomóc. Jej poświęcenie jednak wydało mi się bezsensowne,
zwłaszcza ^{byłby młodością i} ~~że~~ ^{gdyby} ewentualne starania o moje zwolnienie
podjęła w Warszawie, byłyby bardziej skuteczne.

W marcu otrzymałem od niej wiadomość, że już wyruszyła do
kraju z grupą kilkuset osób, z odległego zakątka Kirgizji,
w warunkach niezbyt różniących się od zwykłego transportu
więziennego. Później korespondencja urwała się na długo. Ro-
biłem co mogłem, aby dać jej znać do Polski, że jeszcze żyję.
Było powszechnie wiadomo, że żaden list adresowany za granicę
z Kotłes nie wyjdzie. Starałem się więc przez różne osoby,
załatwić wysyłanie listów z innych dużych miast z centralnej
Rosji. Teraz ten nauczyciel z mego baraku, bardzo mi pomógł.
Od jego żony otrzymałem wiadomość, że dzięki pewnemu koleja-
rzowi, mój list wyjechał do Polski i tam został nadany.

W czasie, kiedy już byłem prawie pewny, że nie da się
uniknąć mego wyjazdu na daleką północ, zainteresowała mnie
serie artykułów pt. "Na północy świata" opublikowanych w "Praw-
dzie" w wydaniach w dniach 26, 27, 30 i 31 maja 1946 roku a
podpisanych przez niejakiego Weliczkę. W artykułach tych sta-
rał się ^(ON) przedstawić proces zagospodarowania i uprzemysłowie-
nia przez Związek Sowiecki obezarów Dalekiej Północy ze
szczególnym uwzględnieniem zagłębia węglowego Workuty, a więc
obezaru, który poznałem nieźle z autopsji.

Oczywisty entuzjizm p. Weliczki dla bolszewickich sposobów
skolonizowania i ucywilizowania tych ziem jakoś mnie nie
przekonał. Doskonała wiedziałem, że - jak powiedano w obozie
- "każdy wagon węgla z Workuty, kosztuje życie jednego więź-
nia" i "że pod każdym podkładem kolejowym na trasie Kozłes-
-Workuta, leżą czyjeś zwłoki". Wiedziałem też, że powiedzenia

te dealekie są od przesady. Pewne fragmenty artykułu zrobiły na mnie jednak wrażenie. Teraz, kiedy w Sztokholmie piszę tę książkę, poszedłem do biblioteki i raz jeszcze przeczytałem te artykuły by odświeżyć pamięć.

Pan Weliczko, rozpoczyna przegląd historii Workuty opowiadając, jak to bogaty kupiec rosyjski, Sidorow w 1857 roku, przesłał do cara Aleksandra II obywatelski memoriał, w którym przedstawił dokładny plan budowy kanału wodnego mającego połączyć Wołgę z dopływem Kamy i rzekę Peczorę, dla eksploatacji bogatych zasobów tutajszych złóż węglowych. Oczywiście rząd carski nie docenił tego pomysłu. Komisja carska, jak na kapitalistów przystało orzekła, iż realizacja projektu będzie zbyt kosztowna, biorąc pod uwagę niezwykle trudne warunki pracy w arktycznym klimacie. Projekt odłożono na półkę i wkrótce o nim zapomniano.

W 1919 roku, traper nazwiskiem Popow, podczas wyprawy myśliwskiej znalazł płytkie złożo węglowe nad brzegiem rzeki Workuta i na tym węglu gotował sobie strawę. Parę kawałków zaś, zabrał ze sobą gdy wracał na południe, a następnie wysłał do Moskwy.

W latach 1928-1929 rząd sowiecki wysłał w okolice Workuty specjalną ekspedycję geologiczną. Ludzie ci pokonali ogromne trudności, walcząc z niezwykle ciężkimi warunkami klimatycznymi uchodzącymi za najgorsze na świecie. Arktyczne wichry "purgi" wieją tu przez cztery miesiące w roku bez przerwy z szybkością 40 m na sekundę. Miejscowe ludy - Syrynianie i Neneci - nazywają je "chanowej", co w ich języku oznacza "burza burz". Przeciętna temperatura roczna wynosi tu -7°C a przez dwadzieścia parę dni panuje wieczna noc. Mimo trudności ekspedycja dotarła do syberyjskiej rzeki Ob, następnie do jej ujścia, by stąd przy pomocy tubylczych zaprzęgów psów i reniferów przekroczyć Ural. Geolodzy potwierdzili odkrycie Popowa znajdując bogate złożo węglowe w dolinie dzikiej i niespełwanej rzeki Workuta, która zamrożona jest zresztą przez dziewięć miesięcy w roku. Złożo to znajdowało się pod wieczną zmarzliną. Okazało się jednak, że kryje węgiel o wysokiej wartości cieplnej i odpowiedni dla przemysłu chemicznego.

W początkach lat trzydziestych - jak stwierdza Weliczko - mimo niezwykłych trudności, rozpoczęto prace eksploatacyjne. Próbowano rozmrozić wieczną zmarzlinę przy pomocy generatorów elektrycznych i rozpoczęto pierwsze odwierty. Artykuł wspomina, że pierwsza grupa robotników składała się z około 5000 osób, nie wspomina jednak, że wszyscy byli więźniami, najprawdopodobniej "kułakami" z Ukrainy i innymi "wredziolami". Nie wspomina też, że roboty te prowadziło NKWD. Ale ja wiem, że tak było. Również wielokrotnie słyszałem, że w ostatnich latach kopalnie Workuty pochłonęły ponad milion istnień ludzkich.

Trudności związane z rozpoczęciem tych prac, były wręcz niewyobrażalne. Dość powiedzieć, że każda łopata czy kilof, każdy gwóźdź i śruba nie wspominając o maszynach, żywności i odzieżach musiała odbyć drogę ponad 4000km przez Morze Białe i Arktyczne z Archangieleka do źródeł rzek Peczora i Ussy i dalej, setki kilometrów na wschód, do ujścia Workuty. W późniejszym okresie wybudowano stąd wąskotorówkę do centrum zagłębia węglowego, ale wąskotorówka nieprzeżyła się w klimacie arktycznym. Śnieg zasypywał tory, a "purgi" zlatwały całe pociągi. Taki transport z Archangieleka, potrzebował prawie dwa lata by dotrzeć do celu, to jest do Workuty.

"W roku 1938 inspekcję tych terenów odbył pułkownik NKWD Nikanow-Manin i oznaczała ona dla tych terenów prawdziwy przełom. Prace nabrały właściwego tempa" - nie bez dumy notuje Weliczko. "Aż do końca 1946 roku ludzie w ZSSR nie wiedzieli nic, albo bardzo mało o tych wszystkich trudnościach". Tak samo jak dziś, nie wiedzę nic, albo bardzo mało o tym, co się tu dzieje - pomyślałem czytając ten artykuł.

W 1940 roku Stalin przyjął na Kremlu delegację zagłębia węglowego z Workuty z meldunkiem o otwarciu pierwszej kopalni, której wydobycie określono na 750 000 ton. Przyjął też zapewnienie, że w najbliższym czasie zostaną otwarte nowe kopalnie w tym obszarze.

Nowa linia kolejowa łącząca Kotłas z Workutą znajdowała się już w budowie. Liczy ona 1236 km długości, a budowana była w tempie dwóch kilometrów dziennie, przez nieprzebyte ostępy pierwotnej puszczy, tundrę i szerokie rzeki - bijąc w ten

eposób wszelkie rekordy świata. "Praca trwała dzień i noc bez przerwy" - zauważyła Weliczko. I dalej:

"Kiedy Niemcy zajęli Zagłębie Donieckie i przystąpili do oblężenia Leningradu, rozpoczął się prawdziwie śmiertelny wyścig o węgiel. Cały przemysł wojenny ZSRR zależał teraz od dostaw węgla z Workuty. I Rosja wygrała ten wyścig. Ostatni kilometr trasy do Workuty ukończony został 28 grudnia 1941 roku, a pierwszy pociąg z węglem ruszył na południe, zaraz następnego dnia. Produkcja węgla wzrastała błyskawicznie. Jeśli przyjąć wydobycie roku 1940 za 100 - to jego wzrost przedstawia się jak następująco:

1940 = 100	1943 = 603
1941 = 118	1944 = 871
1942 = 271	1945 = 1110

"Pravda" nie podaje żadnych liczb bezwzględnych dotyczących produkcji w workuckim zagłębiu węglowym, ale pewien pacjent, fachowiec w tej dziedzinie powiedział mi, iż w 1945 roku wzrosła do 5 milionów ton, a na 1950 rok zaplanowano jej podwojenie.

Eksploatacja złóż węglowych Workuty jest przedsięwzięciem niewyobrażalnie kosztownym i z pewnością bardzo trudnym. Prace podziemne można prowadzić jedynie, tłocząc tam ogrzane powietrze. Są to ciągle prace eksperymentalne. Nikt na świecie zresztą nie ma jeszcze wystarczającego doświadczenia w eksploatacji głębokich złóż w rejonie arktycznym, tak że eksperymenty trwają do dzisiaj.

W 1943 roku nadzór nad Workutetrojsem przejął generał NKWD Michaił Malcew, który kierował pracami fortyfikacyjnymi w czasie oblężenia Stalingradu. Często słyszałem to nazwisko. Stało się ono takim samym postrachem więźniów Workuty, jak nazwisko Barabanow dla więźniów w Abex.

- Generał Malcew przechadzał się po Workucie i z wielkim zainteresowaniem oglądał osiedle robotnicze" - napisał pan Weliczko. Tu, nie mogę powstrzymać się od złośliwej uwagi: gdzie on u licha je zobaczył, bo ja będąc tam znacznie później widziałem jedynie ponure, żagierne baraki, zimne, zatłoczone i pełne wozy.

Generał Malcow energicznie wziął się do dzieła, jeszcze w tym samym roku 1943 rozpoczęto budowę wielkiej elektrowni o mocy 22 000 kW. W końcu listopada tegoż roku, a ściślej 26. Workuta ogłoszona została miastem.

W tym samym czasie, na północy przebywała kolejna ekspedycja pod kierownictwem Bogdanowicza, podróżująca specjalnie do tego zadania skonstruowanymi pojazdami, mogącymi poruszać się w tundrze. Jej celem było osiągnięcie niewielkiej rzeczki Halmer-Yu. Wkrótce potem rozpoczęto budowę linii kolejowej z Workuty do Halmer-Yu. Do chwili wybuchu wojny ukończono 153 km tej trasy. W dwa lata później rozpoczęto przygotowania do budowy kolejnej linii z Workuty na wschód, przez Ural. W 1946 roku, nacelni świadkowie, jej budowniczości, mówili mi, że trasa ta jest już bardzo zaawansowana.

Kiedy ruszyła kolej do Halmer-Yu, doprowadzono tam również z Workuty linię wysokiego napięcia. Obecnie zaś rozpoczyna się tam budowa wielkich zakładów metalurgicznych. Ruda dostarczana będzie z półwyspu Kola via port Halmer-Yu. Przedsięwzięcia te stanowią zaledwie część szeroko zakrojonego planu uprzemysłowienia całego gigantycznego obszaru Leningrad-Kola-Peczora.

"Na Alasce, w pobliżu rzeki Yukon, istnieją złoża węglowe tego samego rodzaju, jak te nad Peczorą" - czytam w artykule Weliczki: "Aby je móc eksploatować należy przeprowadzić jedynie 900 km trasę kolejową do portu Mac Murray. Lecz Amerykanie nie poważyli się na taką przygodę. Jedyna kopalnia węgla nad Yukonem funkcjonowała krótko przed I wojną światową, a później wydobycie zarzucono jako nieopłacalne. Nawet rozwinięte kraje kapitalistyczne jak USA, których businessmeni nie tak łatwo dają się wystraszyć trudnościom - nie są w stanie eksploatować złóż węglowych wartych więcej, niż złoto Klondyke" - stwierdza stanowczo Weliczka. "Na tym polegają trudności w rozwoju krajów kapitalistycznych. Twórczy duch socjalizmu jednakże, nie zna żadnych ograniczeń, trudności ani limitów". I dalej konkluduje:

"Wielkie przemiany dokonywane są na sześćdziesiątym siódmym równoleżniku. A dokonują ich prości sowieccy ludzie, ożywieni gorącą ideą, jaką promieniuje geniusz Lenina i

Stalina. Na dalekiej północy budują nową strefę - strefę życia".

Autor, oczywiście ani słowem nie wspomina, że oni "prości sowieccy ludzie, ożywieni gorącą ideą geniuszu Lenina i Stalina" - to pokolenie wynędzniałych więźniów NKWD.

Kiedy odkładałem tę gazetę na półkę biblioteczną, zastanawiałem się, czego w niej więcej: cynizmu czy hipokryzji.

Pierwszą wiadomość o zbliżającym się terminie wysłania mnie na północ, przyniosła nieoficjalnie pewna osoba zaprzyjaźniona z dr Bergerem. Widziała listę osób skierowanych do Abez i zobaczyła na niej moje nazwisko.

Liczni specjaliści najróżniejszych zawodów zaczęli napływać teraz do Kotlas. Z ogiętych kołchozów przyjechali dwaj młodzi lekarze: Gogelis i Lichaczow i pozostali tu przez pewien czas. Dr Gogelis był Litwinem, współrodakiem Bergera, a dr Lichaczow pochodził z Moskwy. Zapamiętałem z tamtych czasów dość zabawne wydarzenie:

Wśród naszych pacjentów był ogólnie lubiany inżynier budowlany z Moskwy - Borysow. Zanim znalazł się w baraku nr 5 pełnił w naszym obozie funkcję "proraba". Dr Berger i ja znaliśmy go od pewnego czasu i stał się jednym z najczęściej odwiedzających nas osób.

Lichaczow i Borysow prędko się zaprzyjaźnili, obaj pochodzili z Moskwy, a nawet doszukali się wspólnych znajomych. Kiedyś podczas rozmowy, ktoś zapytał Borysowa, za co go skazano.

- Z artykułu 58.1, dziesięć lat - odpowiedział - "jestem zdrajcą ojczyzny". Zostałem skazany za to, że wyjechałem z Moskwy do Nowosybirsku, w czasie paniki, kiedy Niemcy podchodzili pod Moskwę. Mam żonę, dzieci, chciałem znaleźć się jak najdalej. Zaczęłem pracować w fabryce przeniesionej za Ural, budowałem tam fabryczną halę. Aż tu, pewnego pięknego dnia, zostałem aresztowany. Śledczy przekonywał mnie, że popełniłem zdradę, gdyż opuściłem Moskwę w czasie zagrożenia. No i jak widać przekonał mnie skutecznie.

Dr Lichaczow, który nigdy nie lubił mówić o sobie, wybuchnął głośnym śmiechem:

- Wyobraźcie sobie tylko: ja też jestem skazany z artykułu 58.1 i też jestem "zdrajcą ojczyzny", ale zostałem skazany za to, że nie opuściłem Moskwy w czasie zagrożenia. Kiedy tylko Niemcy zostali odparci, NKWD aresztowało ludzi na wielką skalę za to, że nie ewakuowali się z Moskwy. Oskarżono nas o skryte sympatie do Niemców. Mój śledczy dla odmiany przekonywał mnie, że zostałem w więźniach po to, by "czekać na Niemców, aż zajmą stolicę". Siedziałem w celi pełnej ludzi aresztowanych pod tym samym zarzutem.

Wkrótce okazało się, że wszelkie zabiegi czynione, by zatrzymać mnie w Kotłus, upadły na niczym. Do komendy Kotłuskiego przyszło kategoryczne polecenie nakazujące odesłanie całej grupy specjalistów, w tym i mnie. Polecenie podpisane było osobiście przez szefa centralnej administracji rezerwacji p.k., Barabanowa i nikt nie ośmieliłby się zlekceważyć tego rozkazu. Co drugi dzień pociąg ze stożypinką odjeżdżał na północ. Co drugi dzień, dziesięć razy z rzędu byliśmy wywoływani i staliśmy w szeregu przed bramą obozu, z rzeczami gotowi do odjazdu. Po kilku godzinach oczekiwania odesłano nas z powrotem do baraków. Za każdym razem gdy pociąg przyjeżdżał okazywało się, że stożypinki są już tak pełne, że nie ma nas gdzie wepchnąć.

Te dni były męczące i szarpały nerwy. Ale dzięki zwłocze, zdążyłem jeszcze odebrać wiadomość od żony, pierwszą wysłaną już z Polski. Dokładnie na godzinę przed ostatecznym odjazdem, jedna z pielęgniarek, nie będąca więźniem i mieszkająca w mieście, przyniosła mi list adresowany na jej nazwisko. List był od mojej żony i wędrował sześć tygodni. Przesłała mi następującą informację: "Antoni jest pod opieką najlepszych specjalistów i są wszelkie powody by wierzyć, że niedługo wyzdrowieje". Nie muszę dodawać jak bardzo mnie ta wiadomość ucieszyła. Dodała odwagi i podniosła na duchu.

Pozegnanie z dr Bergerem było jednym z najprzykrzejszych momentów w moim życiu. Rozstawaliśmy się w milczeniu. Ubaj doskonale wiedzieliśmy, że nigdy więcej już się nie spotkamy.

x x x

Rozdział XXXIV

PECZORŁAG

Tym razem, podróż nie była zła. Jechaliśmy zatłoczoną jak zwykle "stożypinkę", ale byliśmy przecież starymi kolegami z Kotłesa, a nasza solidarność łagodziła trudy. Spaliśmy kolejno na półkach i po bratersku dzieliliśmy się zapasami jedzenia zabranego na drogę. Byliśmy grupą wykształconych ludzi i prawie każdy miał coś ciekawego do opowiadania. Pociąg toczył się przez niekończące się lasy, mijając stacje Książpogost, Chibow, których nazwy żadnemu z nas nie mówiliśmy i nie wiedzieliśmy nawet czy w ogóle figurują na mapach. Zresztą mapy, wszelkiego rodzaju, były w obozach niedostępne i zabronione. Jedno wiedzieliśmy na pewno, jechaliśmy na północ.

W celkach "stożypinki" nie ma okna, ale z górnej półki, można przez szparę wyglądać na zewnątrz. Można było przez nią dostrzec stacje kolejowe otoczone przez łagry. Wzdłuż toru kolejowego równolegle biegła droga, rodzaj drewnianego traktu z ułożonych obok siebie drewnianych kłód, czy pni drzewnych. Bez wątpienia stara i dawno nieużywana. Niektóre pnie były połamane, wielu brakowało, powstała zapewne w czasach gdy budowano tu linię kolejową, po niej napewniej dochodzili do pracy więźniowie, po niej transportowano potrzebne materiały. Prymitywna droga wśród lasnych ostępów.

Po trzech dniach dotarliśmy do centralnego obozu tranzytowego naszej grupy obozów Peczorłagu. Jeszcze w Kotłesa, więźniowie którzy tędy przejeżdżali, opowiadali nam o nim. Był to typowy obóz tranzytowy. Masa urków, bałagan, nieporządek, rabunki. Można się było spodziewać, że po jednej nocy tu spędzonej zostaniemy ograbieni z rzeczy, odarci z ubrania i wyjdziemy w szmatach. Urkowie byli bezczelni, pewni bezkarności ponieważ trzymali bilet z "wochrami", z którymi dzielili się łupami. Gdy tylko zamknęła się za nami brama, zaczęliśmy

od razu szukać miejsca, gdzie by bezpiecznie można pozostawić rzeczy. Dzięki temu, że przez pewien czas pozostawaliśmy w jednym obozie, większość z nas mogła zebrać sobie trochę odzieży. Od początku pobytu w Kotłas, każdy z nas liczył się z możliwością wysłania na północ, każdy więc starał się zapatrzeć w ciepłe ubrania. Wiedzieliśmy, że od ciepłego ubrania zależy szansa przeżycia.

W naszej grupie byłem tym, który życie w obozach znał chyba najlepiej. Wiedziałem, że pierwsze kradzieże zaczynają się już w chwili, gdy nowo przybyli prowadzeni są do łaźni. Musieliśmy więc przede wszystkim znaleźć bezpieczne miejsce na rzeczy. Liczyłem, że spotkam tu jakiegoś dawnego znajomego z Kotłas, może Akermana - kupca zbożowego z Beuarabii, o którym wspominałem, a najpewniej Baranowa. Pierwsze kroki skierowałem więc do szpitala.

I miałem słuszność. Dentytą w szpitalu był Polak i od razu zajął się naszymi rzeczami. Prosiłem go też o pomoc w załatwieniu miejsca do spania, by nie narazić się na spędzenie noclegu z urkami. Lecz mój nowy znajomy nie miał wystarczająco dobrych układow z szefem obozu, który decyduje, w którym baraku nowo przybyli mają być umieszczeni. Baranow, którego edezukałem znał go lepiej i w końcu udało nam się znaleźć go, zanim zapadł wieczór.

Baranow zatrudniony był jako "kwaterymistrz" w szpitalu obozowym, a jednocześnie był prawą ręką naczelnego lekarza, a więc osobą bardzo wpływową i dobrze poinformowaną. Oceniając warunki w Peczorłagu uznał, że dla przeciętnego więźnia są gorzej niż zła a procent zgonów w szpitalu znacznie ^{fizy} wyższy niż w Kotłas. Powiedziałem, że przydzielono mnie do Abex.

- A, to już znacznie lepiej trafiłeś - powiedział. Znasz dr Czeriaczukina? On jest tam zastępcą naczelnego lekarza... Ale podróż będziecie mieli straszną. Pełno urków w każdym transporcie.

Dzięki układow Baranowa, nie musieliśmy spać w przejściowym baraku, ulokowano nas w baraku dla "stachanowców". Było

tam względnie czysto i spokojnie, ale i tak nie udało mi się zasnąć ze względu na dokuczliwą inwazję pluskiew. Pryczną pod moją zajmował starszy człowiek wykazujący niezwykłą wprawę w polowaniu na pluskwy. Nie mogąc zasnąć zaczęliśmy rozmowę. Nazywał się Noskow i także nie był "stachanowcem", a mającąc w baraku zdobył dzięki paczkom jakie otrzymywał od rodziny, a więc dzięki temu, co nazywa się "błat".

Pochodził z Moskwy i z wykształcenia był prawnikiem. Pracował w Ludowym Komisariacie Sprawiedliwości. Na kilka lat przed wojną, otrzymał od Politbiura zadanie opracowania nowego kodeksu karnego, który miał być wprowadzony w 1939 roku. Noskow, znalazł się w zespole prawników, którym powierzono tę pracę. Ponieważ był człowiekiem o raczej liberalnych poglądach, z całym zrozumieniem i zaangażowaniem uzasadniał potrzebę złagodzenia przepisów prawa, a szczególnie artykułu 58 paragraf 10. Paragraf ten w wersji pierwotnej przewidywał karę od trzech lat do kary śmierci włącznie. W projekcie zaś, nad którym pracował Noskow miał być złagodzony od napomnienia za pierwsze wykroczenie, a następnie zaostrzony w miarę recydywy, i przewidywał karę deportacji z miejsca zamieszkania - za drugim razem i dopiero za każdym następnym razem - kary więzienia. Noskow odczuwał potrzebę humanizacji prawa w ZSSR i z całym przekonaniem oddał się tej pracy. Ale rozwój wydarzeń politycznych i militarnych, aneksja ziem polskich, trzech krajów bałtyckich oraz Besarabii - zmienił wszystko. Na zajętych terenach władze wprowadzały politykę silnej ręki, a projekty złagodzenia przepisów prawa musiały pójść w zapomnienie. Z chwilą wybuchu wojny z Niemcami uznano, że prawa nie trzeba złagodzić, a przeciwnie - znacznie zaostrzyć. Kiedy więc rząd zmienił politykę karną, Noskow i jego zespół zostali aresztowani. Ich zapach i oddanie z jakim pracowali nad humanizacją prawa, teraz świadczył przeciwko nim. Uznany został za "działalność kontrrewolucyjną". Otrzymali wyroki zgodnie z kodeksem karnym, który uznali za nazbyt surowy i chcieli złagodzić. Noskow dostał dziesięć lat z artykułu 58.10 i zesłano go na północ.

Podczas mego krótkiego pobytu w obozie tranzytowym Peczorskiego, wiele jeszcze razy prowadziliśmy długie rozmowy.

które pozwoliły mi znacznie poszerzyć wiedzę o sowieckim systemie karnym.

- Dopiero teraz zrozumiałem, że siedząc w swoim gabinecie w Komisariacie Ludowym, patrzyłem na nasz system karny, wyłącznie z teoretycznego punktu widzenia - mówił Noskow. Teraz zaś z perspektywy obozu widzę, jak na się teoria do praktyki codziennego życia. Różnica jest ogromna, zaskakująca. Byłem przekonany, że znam zarówno zasady prawa, jak i nasz system karny. Uważałem się nawet za eksperta. Byłem też przekonany, że stonowisko jakie zajmowałem, zawdzięczam swojej wiedzy prawniczej. Jako komunistę, byłem gorącym zwolennikiem zasad prawodawstwa sowieckiego, jako odpowiadającego wymogom państwa oraz naszego systemu politycznego i ekonomicznego. Uczono mnie, że w naszym państwie, prawo jest podstanowym czynnikiem stojącym na straży zmian dokonanych przez rewolucję październikową oraz zdobycy socjalizmu - nie zaś dla abstrakcyjnych praktyk jurystycznych, jak na zachodzie Europy. Rozumiałem to. Byłem też przekonany, że w okresie budowy socjalizmu, surowość prawa jest całkowicie uzasadniona. Uważałem za sprawę słuszną, konieczność wychowywania w duchu socjalizmu i wdrażania socjalistycznego sposobu myślenia. A służyć temu miały między innymi surowe kary za takie wykroczenia jak: spóźnienia do pracy, zaniedbywanie obowiązków czy propaganda antysowiecka. Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, jak wygląda realizacja tych praw i egzekwowanie ich w praktyce codziennego życia. Co jednak najbardziej uderzyło mnie, to że więkzość ludzi jakich spotkałem w obozach, nigdy w ogóle nie stanęła przed sądem. Nigdy nie stanęli w normalny sposób przed normalnym sądem, a skazywani byli przez NKWD we własnym zakresie, zaocznie i w trybie administracyjnym. Komu więc potrzebny w tym kraju zawód prawnika? Jakie znaczenie może mieć cały system prawny w sytuacji, kiedy NKWD może aresztować i skazać każdego, kogo zechce i kiedy zechce i ukarać, tak jak mu się podoba albo uzna za właściwe? NKWD w ogóle nie przejmuje się kodeksem karnym. Jeśli dla jakiegoś działania nie ma odpowiedniego przepisu w kodeksie karnym, to NKWD samo takie przepisy tworzy. Różnica polega na tym, że zamiast powoływać się na artykuły kodeksu karnego wypisuje

litery. Przez trzydzieści lat byłem prawnikiem i nie miałem o tym pojęcia, zanim sam nie znalazłem się w obozie, że są więźniowie a nawet setki tysięcy więźniów, skazanych nie z przepisów prawa, a według "artykułów NKWD".

- Jakie artykuły ma pan na myśli?

- Mówię o skrótach używanych przez NKWD w odniesieniu do pewnych kategorii przestępstw takich, jak:

- ASA - antysowiecka agitacja
- KR - kontrrewolucja
- KRD - kontrrewolucyjna działalność
- KRA - kontrrewolucyjna agitacja
- CHSIR - członkowie rodziny zdrajcy ojczyzny
- PSZ - podejrzany o szpiegostwo
- SOE - element niebezpieczny społecznie
- SWE - element szkodliwy społecznie

To nie są żadne przepisy, to jest co najwyżej wykaz spisany przez żandarma, ale w żadnym razie nie przez jurystę. Oznacza one po prostu, że w całym Związku Sowieckim nie ma ani jednego człowieka, który nie mógłby być pozbawiony wolności na podstawie tych "praw" NKWD. Zrozumiałem to, kiedy zobaczyłem te miliony ludzi w "łagrach".

- A więc, przepisy te nie mają żadnych podstaw prawnych?

- Ależ oczywiście, że nie. Ich podstawą jest aksjomat, że nie jednostka, ale całe grupy społeczne są przedmiotem działania polityki karnej. Drugim zaś aksjomatem jest, że grupy te przez samo swoje istnienie stanowią przeszkodę w budowie komunizmu i jako szkodliwe powinny być zlikwidowane.

Zaniósł się kaczlem i po chwili ciągnął dalej:

- Morda powiedział, że byt określa świadomość. Pan np. jako jednostka mógł nie popełnić żadnego przestępstwa, ale urodził się pan i wychował w burżuazyjnym środowisku i niezależnie od tego, czy pan chce, czy nie chce, należy pan do burżuazji. Jest pan burżujem, burżuazja zaś stanowi śmiertelne zagrożenie dla zwycięstwa komunizmu. Tak więc w chwili gdy zostanie dowiedzione, że należy pan do burżuazji, można a nawet powinno się skazać pana jako członka klasy społecznej, skazanej już jako takiej na zagładę.

- Innymi słowy, NKWD skazało nie mnie osobiście, ale ustaliło jedynie moją przynależność do wrogiej klasy. Ciekaw jestem, czy NKWD otrzymało takie upoważnienia od prawodawców?

- W czasach kiedy pracowałem w Komisariacie Sprawiedliwości nie słyszałem o takich uprawnieniach. Lecz sądzę, że jakieś tajne dokumenty muszą w tej sprawie istnieć.

- Rozumiem zatem, że NKWD nie skazuje arbitralnie, lecz jednak w oparciu o jakieś przepisy?

- Teoretycznie zapewne tak jest. Ale trzeba by wiedzieć jaki zakres arbitralności przyznał rząd NKWD. Personal tej instytucji, zwłaszcza ta jego część, która bierze udział bezpośrednio w procesie stosowania prawa tj. przebiegu śledztwa i orzecznictwa - obłąka się w więkzości z ludzi bez żadnego przygotowania prawnego. Ich poziom umysłowy i moralny jest bardzo niski. A to przecież od nich zależy, np. ocena zgodnie z marksistowskimi pryncypiami "działalności antyspołecznej" oskarżonego. Więc zmieniają reguły tak, aby nagieć je do osoby tego, kogo oskarżają. Na pewno natknął się pan na jakiegoś śledczego NKWD, więc z autopsji zna pan skutki ich działania.

- Można stąd wnosić, że władzom zależy na jak największej liczbie skazanych, bez względu na to czy są winni, czy nie?

- Nie mogę na to odpowiedzieć. Natomiast pewny jestem, że władze w Moskwie, Politbiuro, są na bieżąco informowane o stanie tych spraw. Muszą istnieć jakieś powody, dla których sowieckie zasady postępowania penitencjarnego idą znacznie dalej, niż wymaga tego obrona systemu. Nie może się to obejść bez aprobaty najwyższych władz.

Nasz pobyt w obozie tranzytowym trochę przedłużał się. Mimo, że Abze leży 250-300 km na północ od Peczorżagu, chcieliśmy znaleźć się tam jak najszybciej, ponieważ mając niezłe warunki w Kotłas, przyzwyczailiśmy się do lepszych warunków niż te tutaj, zwłaszcza że żywność nas bardzo źle. Otrzymywaliśmy jedynie racje, jakie przysługują więźniom w podróży.

Według oceny naszych dwóch lekarzy wartość odżywcza tych racji nie przekraczała 1000 kalorii dziennie, nie więc dziwnego, że byliśmy stale głodni.

Jednak i w tym obozie np. Baranow miał pomieszczenie znacznie lepsze, niż dr Berger w Kotłas. Któregoś wieczoru zaprosił mnie na kolację, która świadczyła, że musi się on cieszyć niezwykłymi przywilejami w kuchni. Nie wielu ludzi na wolności w ZSSR może jeść tak dobrze.

Następnego dnia rano Baranow oprowadził mnie po szpitalu, który składał się z siedmiu baraków dających pomieszczenie dla osmiuset więźniów. Tu w odróżnieniu od Kotłas, każdy chory miał własne łóżko, szpital zaś był znacznie lepiej wyposażony. Ale pacjenci wyglądali tak samo jak u nas w Kotłas, te same śmiertelnie blade twarze, te same wychudzone szkielety, taka sama apatia i rezygnacja w oczach i taki sam procent śmiertelności.

Jeszcze bardziej zaskoczyło mnie to, co na drugi dzień pokazał mi Akerman, który był "kwatremistrzem" kliniki profesora Złotkowskiego. Szliśmy świeżo zagrąbioną ścieżką między rabatami kwiatowymi i klombami, na końcu której stał okazały budynek z wysokim dachem, pobielony z szerokimi schodami i ozdobnymi drzwiami. Akerman prowadził wzdłuż czystego korytarza nim dotarliśmy do jego pokoju. Od czasu wyjazdu z Polski, nie widziałem takiego pokoju, ani nie jadłem takiego obiadu jakim mnie poczęstował.

- Jak to się dzieje, że wy tutaj tak żyjecie - wykrzyknęłam. Nawet na wolności ludzie nie mają takich warunków.

- Czy ja wiem? Najwidoczniej miałem niezwykle szczęście. Tylko ... żeby to utrzymać. Ale sam wiesz, jak to jest w obozach. Dzisiaj żyjesz jak człowiek, jutro idziesz do ciężkich robót, a za miesiąc, dwa, jesteś już w szpitalu, skazany na wymarcie. Lepiej, jeśli ci powiem o naszej klinice. Prowadzi ona bowiem badania naukowe i jest całkowicie niezależna od tutejszej administracji obozowej, podlega bezpośrednio szefowi służby medycznej Pezorżagu w Abez doktorowi Iwaszewiczowi. Bez jego podpisu nie wolno nam przyjąć żadnego pacjenta. Kierownikiem kliniki jest mój bezpośredni zwierzchnik - profesor Złotkowski, niegdyś jeden z najbardziej znanych

profesorów medycyny w Moskwie. Ma on i tutaj wielkie wpływy, jutro mu cię przedstawię. To ci się może przydać.

Akerman oprowadził mnie po klinice. Wszędzie było czysto, a wyposażenie przypominało mi szpitale widywane w Europie. W każdym pokoju, jeden albo dwóch pacjentów. Obejrzałem też gabinet z pełnym wyposażeniem roentgenowskim. Wszystko to sprawiło, iż z trudem przychodziło mi uwierzyć, że znajduje się w "źgrze". Później zwiedziłem jeszcze ogród, gdzie hodowano zioła lecznicze. Każda z roślin opatrzona była tabliczką z łacińską nazwą. Wzdłuż południowej ściany budynku mieściły się szklarnie. Rośliny tam pomidory i rzodkiewki, dojrzewające pod skąpymi promieniami słońca.

Umówiłem się, że następnego dnia, Akerman oprowadzi po klinice także moich przyjaciół lekarzy Gogelisa i Lichaczowa. Gdy ujawiliśmy się tam, Akerman przedstawił nas jednemu z asystentów profesora Złotkowskiego - Litwinowi, który bardzo ucieszył się ze spotkania rodaka, dr Gogelisa.

- Nasza klinika prowadzi badania nad chorobami najczęściej występującymi w tej szerokości geograficznej. Objątniał nam, że są to w większości choroby związane z brakiem witamin. Profesor Złotkowski prowadzi właśnie doświadczenia nad wpływem warunków klimatycznych Arktyki na poszczególne organy ciała ludzkiego jak serce, płuca itd. W tej klinice znajdują się wyłącznie przypadki chorobowe interesujące z naukowego punktu widzenia, nie tylko więźniowie, lecz także pracownicy administracji zatrudnieni z wolnej stopy i również funkcjonariusze NKWD - ci, naturalnie w oddzielnych pokojach. Moskwa bardzo interesuje się wynikami naszych prac. GULAG dostarczył nam wszystkie niezbędne urządzenia i instrumenty, a także wyznaczył specjalne racje żywnościowe dla pacjentów. Wyniki badań odesłaliśmy bezpośrednio do doktora Iwaszewicza w Abaz. Prace te, mają ogromne znaczenie dla procesu zaludniania Autonomicznej Republiki Komi. Nasza klinika ponadto zatrudnia botaników i zoologów z Moskwy ...

- Czy także są więźniami? - zapytałem.

- Oczywiście. Inaczej ani by tu nie przyjechali, ani dobrowolnie przebywali w "źgrze". Obydwóch wprowadzono tu bezpośrednio z więzienia w Moskwie. Są uprawnieni do podróży

pociągami w pewnym obazarze i do poruszenia się bez eskorty. Tak samo profesor Złotkowski - jest to niezbędne do jego pracy.

Później pokazał nam także obazerny budynek, jeszcze nie wykonany, z białego masywnego drewna, jak to najczęściej bywa na północy i dachem przykrytym gontem. Budynek był w kształcie litery "E", dobrze wkomponowany w krajobraz i ładny w proporcjach. Litwin objaśnił, że jest to nowa klinika w budowie.

- Nasze obecne pomieszczenia nie są dosyć obazerne. Nie mamy miejsca na badania zoologiczne i botaniczne. Nie mamy laboratoriów.

W parę dni później Akerman przedstawił mi profesora Złotkowskiego. Był to niewysoki starszy pan, energiczny i ruchliwy, krótka brodka nadawała mu szorstki wygląd. W czasie rozmowy wspomniałem, że przez prawie trzy lata byłem asystentem doktora Bergera, na co usłyszałem, że go zna i ma o nim bardzo wysokie mniemanie.

- Gdyby w nowym obozie natrafił pan na jakieś trudności, proszę się zwrócić do mnie - zakończył rozmowę.

Zapytałem Akermana, za co profesor Złotkowski znalazł się w obozie.

- Nie wiem - odparł Akerman. Profesor unika rozmów na ten temat. Wiemy tylko, że w 1938 roku dostał pięć lat. Pisał protesty i apelował tak długo i uparcie, że w końcu jego sprawa została odesłana do ponownego rozpatrzenia. I dostał dziesięć lat, zamiast pięciu. Odsiedział już osiem. Gdyby się poddał swemu losowi, od dawna byłby wolny.

Tego wieczora opowiedziałem Noskowowi o wszystkim co wiedziałem.

- Gdyby pan czytał gazety z Syktywieru /stolica Autonomicznej Republiki Komi/ nie byłby pan taki zdziwiony - odpowiedział. Rząd właśnie opublikował założenia nowego planu gospodarczego na lata 1946-1950. Republika Komi zajmuje w nim główne miejsce. I nie ma się co oszukiwać, to nie ludność miej-

scowa ma go wykonać. W Workucie są kopalnie, buduje się kolej do Halmer-Yu, są szyby naftowe w Uchcie i przemysł drzewny. I wszędzie tam jest pełno obozów. To więźniowie zrealizują tę pięcioletkę. Jeśli chce pan poznać szczegóły, dam panu tę gazetę.

W ciągu najbliższych pięciu lat przewidywano budowę drugiego toru kolejowego na linii Kotłas-Workuta w związku z podwojeniem wydobycia węgla w kompleksie kopalni Workuty. W związku zaś z rozbudową kolei, która omijała Syktawar, stolicę republiki, postanowiono ją przenieść. Nowa stolica musiała też mieć odpowiednio wymowną nazwę: Krasno-Peczorsk. Usytuowano ją w doskonałym miejscu, tam gdzie krzyżuje się główne linie z Workuty ze splawnym odcinkiem rzeki Peczora. Na drugim brzegu rzeki leży Kozwa, która łączyć się ma z Krasno-Peczorskiem linią kolejową i żelaznym mostem.

Plany przewidywały też wymianę wszystkich drewnianych, często prowizorycznych mostów na żelazne. Zaplanowano oczywiście nowe dworce kolejowe, obiekty przemysłowe, szkoły, szpitale i całą infrastrukturę potrzebną do życia.

Wiosną 1947 roku zaś cała administracja Peczorłagu miała być przeniesiona z Abez do Peczory. Więźniowie rozpoczęli już wznoszenie nowych budynków przeznaczonych na ten cel - lecz nie były to już wiadomości z prasy.

Wszystkie budynki miały być wykonane w licznych seriach z oddzielnych, powielanych taśmowo elementów w tzw. "fabrykach domów" a następnie przewożone i montowane w odpowiednich miejscach. Oczywiście wszystkie miało powstać rękami więźniów, od wyrębu drzew w lasach do wznoszenia miast i osiedli. Wszelkie roboty techniczne, budowlane, elektryfikacyjne oraz kopalnie, transport, mosty podlegały centralnej administracji Peczorłagu w Abez. Cała masa inżynierów i techników ściągano dla realizacji tego planu. Wszyscy oni zjeżdżali tu z obozów i więzień całego ZSRR. Wśród nich i nasza grupa z Kotłas.

Nie miałem nic do roboty, często więc wdawałem się w pogadanki z nowo poznanym polskim dentystą. Ten miał wyjątkowego pecha w życiu. Pochodził ze Lwowa i przez całą wojnę przebywał w Rosji. Należał do tej grupy, którą wcielono do armii generała Berlinga i z nią powrócił do Polski. Po pod-

pisaniu w 1945 roku polsko-sowieckiej umowy repatriacyjnej umożliwiającej Polakom powrót do domu, dentysta zapragnął pojechać do Lwowa, wcielonego do ZSRR, gdzie zostawił całą rodzinę. Chciał ją sprowadzić do Polski na ziemie zachodnie. W Warszawie, w ambasadzie otrzymał wizę i tak wypocząony udał się w podróż do Lwowa. Tuż za granicą, gdy tylko minął Przemysł, został aresztowany i dojechał do Lwowa, ale już jako więzien. Nie zobaczył miasta, ani nie pozwolono mu zawiadomić rodziny, że znalazł się tutaj. Dostał dziesięć lat za szpiegostwo.

Nie był zresztą jedynym "szpiegiem" w tym szpitalu. Zauważyłem również pewną kobietę, której bardzo zniszczone, lecz eleganckie ubranie wskazywało, że należała niegdyś do elity. Była Rumunką i pracowała jako pielęgniarka. Miałem przyjemność ją poznać. Jej mąż zajmował jakieś wysokie stanowisko w czasach Antonescu i zania Armia Czerona zajęła Bukareszt, uciekł za granicę. Najwidoczniej postąpił słusznie, gdyż natychmiast po zajęciu miasta przyjechał po niego NKWD. A ponieważ nie było go w domu zamiast męża, zabrała żonę. Przewieziono ją samolotem do Moskwy i tu zasądzono na pięć lat za szpiegostwo. Najdziwniejsze jednak, że ta kobieta dotąd nic z tego nie zrozumiała.

x x x

Rozdział XXXV
ZA KOLEM POLARNYM

Nadezwał czas wyjazdu do Abex. Powiedziano nam, że podróż nie powinna potrwać dłużej niż jedną dobę. Nasi nowi znajomi z obozu tranzytowego, znowu ostrzegli przed urkami.

Maszerowaliśmy w długiej kolumnie więźniów, w której bez trudu rozpoznawałem całe gromady urków. Pomyślałem sobie, że jeśli trafią się nam do wagonu, to do Abex dojedziemy odarci ze wszystkiego. Lecz mieliśmy szczęście, bo nasza grupa znalazła się znów razem, w części wagonu, odgradzonej od reszty drewnianą ścianką. W naszym pomieszczeniu były półki tak, że można się było na zmianę wyciągnąć. Mnie przypadła górna półka tuż przy zakratowanym okienku, mogłem więc obserwować mijany krajobraz. Jechaliśmy najpierw przez niekończący się las sosnowy. Trwało to wiele godzin, tak długo aż zasnąłem. Obudziłem się w zupełnie odmiennej scenerii, rozległa się po horyzont równina, porośnięta gdzieśgdzie krzaczkami i rzadkimi kępkami wrzośu. Tundra. Pociąg zatrzymywał się wielokrotnie przy ni to wiatach, ni to strzechach spełniających rolę budynków dworcowych. Na prywitywnych tablicach odczytywałem egzotyczne nazwy miejscowości, które nikomu z nas nic nie mówiły. Czasami zatrzymywaliśmy się na mijankach, przepuszczając długie, powolne pociągi wyładowane węglem, zdążające w odwrotnym kierunku - na południe.

Po wielu godzinach jazdy, zatrzymaliśmy się wreszcie na stacji z napisem: Abex. Pozbieraliśmy rzeczy i przygotowaliśmy się do wysiadania, ale nic takiego się nie stało. Sami siebie pytaliśmy, co to może oznaczać. Pociąg ruszył, a dalej na północy była już tylko Workuta - której sama nazwa budziła lęk. Nie było nikogo, kogo można by zapytać. Siedzieliśmy w zamkniętym, zakratowanym wagonie i czuliśmy się żałośnie bezradni. Pociąg sunął na północ, przez niekończące się pustkowia tundry.

Wreszcie na horyzoncie, gdzieś daleko zamajaczyło pasmo gór. Z opowieści zasłyszanych w Kotlas wiedziałem, że to szczyty Uralu.

O zmierzchu, wjechaliśmy w obozar bardziej zaludniony. Nawet z pewnej odległości, łatwo było wyróżnić liczne wielokątne typowych wież strażniczych. Nigdy przedtem nie spotkałem tak wielkiej koncentracji łegrów. Pociąg znowu zwolnił. Na zabudowaniach rozległej hali odczytałem napis: "Mech-Zawod, Nr 1". Wjechaliśmy w sam środek osiedla złożonego z niskich drewnianych domków, z rzadka tylko dostrzec można było nieco wyższy - piętrowy. Przyszło mi na myśl, że gdzieś już widziałem podobną scenę. Nie mogłem sobie przypomnieć gdzie, aż wreszcie ... Oczywiście - Klondyke, zapamiętany z amerykańskich filmów o poszukiwaczach złota, oglądanych dawno przed wojną.

Pociąg, po kilku szarpnięciach stanął. Byliśmy w Workucie. W wagonie było ciemno i zimno, zapasy żywności jakie dostaliśmy na drogę już były dawno zjedzone. Czekaliśmy na eskortę - ale nic. Nikt nie nadchodził. Minęła noc, zaczęło świtać. Dopiero rano zajrzał sierżant NKWD i wyjaśnił nam, co się stało:

- Nie wysadziłem was w Abaz, bo nie przyszła eskorta żeby odprowadzić was do obozu - śmiał się oglaszając tę nowinę. Zabrałem was do Workuty. Już zawiadomiłem administrację w Abaz. Jutro tam wrócicie. A jeśli znowu nie przyśle eskorty, zabiorę was z powrotem do Peczory.

Popatrzył na nas uważnie, skinął na mnie i kazał iść ze sobą. Poszedłem za nim do drugiej części wagonu. Za drewnianą ścianką znajdował się przedział dla eskorty, były tam cztery prycze, piecyk żeliwny, stół i parę krzeseł. Młoda i bardzo piękna kobieta leżała na jednej z tych prycz.

Sierżant, który był komendantem eskorty, kazał mi tu wyprzątać, wyrzucić śmiecie, unyć podłogę i zdrapać nożem powierzchnię stołu. Widać nie bał się, że uciknę, bo pozwolił pójść po wodę do stacyjnej pompy bez żadnej eskorty. Wróciłem do swoich współtowarzyszy obdarowany paczką machorki. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że mamy szczęście, mając za ścianką konwojentów.

Wieczorem pociąg wyruszył z powrotem na południe. Od razu poprawiły się nam humory. Cieszyłem się, że pobyt w Workucie okazał się tylko krótkim przyetankiem. Zgodnie z wyrokiem, powinieneo być tu już od trzech lat.

Rankiem, konwojent wprowadził do naszego przedziału jeszcze dwóch nowych więźniów. Obydwaj wyglądali groźnie, zwłaszcza jeden wydawał się szczególnie niebezpieczny, miał w oczach coś, co przypominało raczej dzikie zwierzę niż człowieka. Przez skórę wyczuwałem niebezpieczeństwo. Z jego zachowanie wynikało, że to on jest "szefem", drugi zaś spełniał raczej rolę aide de camp. Od razu zajęli najlepsze miejsca, a szef otworzył paczkę papierosów "Białomorkanał" - rzadki rarytas wśród więźniów - i z ukrycia wyciągnął sprężynowy nóż:

- Oddawać forszę i żarcie - rozkazał krótko. Jeden przez drugiego, zaczęliśmy tłumaczyć, że nic nie mamy.

- Oddawać, bo jak nie, weźmiemy sami. Szybko! Zaczęli nas przeszukiwać po kolei, ale bez skutku. "Szef" rozkazał asystentowi:

- Zabieraj ich manatki, ale te najlepsze. Spiesz się, zaraz stacja.

Nie mam pojęcia, jak ten incydent by się zakończył, gdyby najstarszy z nas, Botkin nie zaczął krzyczeć, kiedy urka wyciągnął z jego tłumoczek parę nowych kaloszy. Dostał silny cios w szczękę i zamilkł. Urka przyłożył mu nóż do gardła i zagroził, że zabije każdego, kto piśnie choć słówko. W tym momencie pociąg zaczął zwalniać, Urkowie usiedli na miejscach i spokojnie zabrali się do pakowania łupów w swoich zwinnych torbkach.

- Potrzebujemy jeszcze spodnie i koszule. Ściągniemy z was jak pociąg ruszy - oznajmił szef. Zapalił spokojnie papierosa i jakby się nic nie wydarzyło, zaciągnął się dymem.

Ale tym razem im nie wyszło. Gdy tylko pociąg stanął, drzwi się otworzyły i wszedł komendant eskorty.

- Którego okradli? - zapytał. Żaden z nas nie odpowiedział.

- Pytam kogo obrabowali? Kto krzyczał? To samo milczenie. Każdy z nas dobrze wiedział, że kto się poskarży, będzie miał poderżnięte gardło, gdy tylko drzwi za konwojentem się zamkną. Ale i sierżant nie był nowicjuszem. Odwrócił się do urków i powiedział:

- Oddawać coście ukradli! "Szef" zaczął zaprzeczać. Nikomu nie nie ukradli.

- Oddawać natychmiast - krzyknął sierżant - złaź z pryczy.

- Nie zejść - powiedział stanowczo "szef".

Sierżant podszedł krok bliżej, podniósł metalowy pręt i zamierzył się na urkę. Ten wyszczerzył zęby jak dzikie zwierzę, w jego ręku błysnął nóż, oprężył się do skoku i wysyczał:

- Tylko mnie dotknij ... Zabiję!

Sierżant cofnął się i zawołał resztę eskorty. Wbiegło ich czterech. Za ręce i nogi zaczęli ściągać go z pryczy. Urka wyrwał się, wyskoczył przez otwarte drzwi i biegiem ruszył w kierunku lasu, ale strzał ostrzegawczy osadził go na miejscu. Strażnicy zakuli go w kajdanki i gdzieś odprowadzili. Potem jeden wrócił i zaryglował drzwi.

Wkrótce po tym incydencie dojechaliśmy do Abex. Nasza grupa została rozdzielona, techników zabrano oddzielnie, a personel szpitalny poszedł do obozu w pobliżu kolejowej rampy. Rozpoczął się piękny, słoneczny, wrześniowy dzień.

Gdy tylko minęliśmy obozową bramę, oczekiwała na nas grupa starych znajomych z Kotłas. Doktor Czeriaczukin, jego asystent Gorazikow i wielu innych dowiedziało się o naszym przyjeździe i czekali na nas.

Był to obóz szpitalny, przebywali w nim wyłącznie pacjenci, lekarze oraz personel administracyjny i pomocniczy szpitala. Pełna jego nazwa brzmiała: "Rajbolnica Nr 1, Peczorlag NKWD".

Szefem obozu była lekarka z wolności, obecnie przebywająca na kilkumiesięcznym urlopie. W czasie jej nieobecności kierownictwo obozu sprawował dr Czeriaczukin, jej oficjalny

zastępcą. Warunki w jakich żyli tu lekarze były znacznie lepsze niż w Kotłas, zwłaszcza w zakresie wyżywienia.

Na początek przydzielono mi miejsce na wspólnej sali dla personelu. Był to długi baryk na wprost wkopany w ziemię tak, że tylko dach i wąskie okienka wystawały ponad powierzchnię.

Wieczorem odwiedziłem doktora Czeriaczukina. Miał oddzielny pokój przy oddziale i podobnie urządzili się Gorazikow i jego asystent Worobiew. Czeriaczukina poznałem w Kotłas, gdzie kierował barakiem nr 7. Przed aresztowaniem był komendantem szpitala wojskowego w Rostowie. W jego sposobie bycia i postawie zostało coś z żołnierza. Lubił też podkreślać, że jest Kozakiem z dziada pradziada. Aresztowano go w czasie wojny i skazano na dziesięć lat z artykułu 58.10. W Abex, poza szpitalem, kierował przychodnią roentgenowską i wybrał Gorazikowa jako swego asystenta. Gorazikow, był tym oficerem lotnictwa, który w Kotłas zrobił sobie zastrzyk z ropy, by uniknąć wywózki. Tu stał się specjalistą od niskich napięć.

Przychodnia roentgenowska nie mieściła się w obozie lecz poza nim, w kolonii w Abex i przeznaczona była do obsługi przede wszystkim wolnych pacjentów. Obaj - dr Czeriaczukin i Gorazikow - mieli prawo poruszać się między obozem a przychodnią bez eskorty. Sprawiało im to wielką przyjemność i stanowiło wielkie urozniczenie w obozowym życiu. Stanowiło namiastkę wolności.

Dr Czeriaczukin dał mi kilka dni wolnych na wypoczynek i rozejrzenie się w nowym obozie, a w tym czasie zdecydować się miała sprawa mojego przydziału.

Podczas pobytu w Kotłas przyzwyczaiłem się, że mam swój własny kąpiel dla siebie. Trudno mi było przywyknąć do wspólnego pokoju, lecz z tej nowej sytuacji wynikały także pewne korzyści. Poznałem wielu nowych, interesujących ludzi, wśród nich specjalistów botaniki i zoologii. Młodego, był człowiekiem niewiele ponad trzydziestkę, starszy zaś - profesorem zoologii, hodajcą z Leningradu. Całe dnie przebywali poza obozem i wracali do baraku dopiero na noc. Biolog w czasie wojny trafił do niewoli niemieckiej i dostał się do obozu jenieckiego w Austrii. Skorzystał z pierwszej możliwości by powrócić do Związku Sowieckiego, natychmiast został aresztowa-

wany i skazany za zdradę stanu. Przed powrotem jednak, a po uwolnieniu z obozów jeńców, przez krótki czas mieszkał w Wiedniu i z entuzjazmem opowiadał o mieście i o ludziach. Tutaj, w Abex początkowo pracował przy ciężkich robotach ziemnych, teraz jednak - od niedawna, przeniesiono go do pracy w wyuczonym zawodzie.

- I co pan robi? - zapytałem.

- Najogólniej mówiąc, staram się sprawdzić czy i na ile, możliwe jest w tutajszym klimacie hodowla pospolitych warzyw takich, jak kartofle, buraki, kapusta czy pomidory. Badanie to, związane są z ogólnym planem zagospodarowania tych terenów i uczynienia ich niezależnymi żywnościowo od dostaw z południa. Mój kolega, zoolog, przeprowadza badania o podobnym charakterze. Niedaleko stąd mają obóz agrotechniczny, a w nim stado składające się z setki krów. Kolega zajmuje się badaniami nad rodzajem paszy najodpowiedniejszej dla bydła w tutajszych warunkach.

- A jakie są rezultaty?

- Jesteśmy tu dopiero od paru miesięcy, trudno więc mówić już o rezultatach. Sądzę jednak, że stosując metody naukowe, na rezultaty nie przyjdzie długie czekać. W każdym razie zapowiadają się wręcz fantastycznie.

- Pozwoli pan, że zadam takie pytanie: czy możliwe jest praca naukowa i w ogóle twórcza, kiedy jest się więźniem i ma się świadomość, że przez najbliższe dziesięć lat, a może nigdy, nie zobaczy się rodziny, ani przyjaciół i że nie jest się wolnym człowiekiem. Wydaje mi się, że w tych warunkach trudno zachować równowagę psychiczną, a cóż dopiero, zdobywać się na stały wysiłek twórczej pracy?

- Chyba rozumiem, co ma pan na myśli. Ale rodzina, krewni, przyjaciele ...? Staram się nie myśleć o nich. Praca pomaga zapomnieć ... A poza tym? Wie pan, co by się stało, gdyby stracili tę robotę? posłali by mnie z powrotem do łopaty. Tak więc praca nie tylko daje mi lepsze warunki egzystencji, ale i ratuje życie. Nie jestem głodny, nie jestem obdarty. Wolno mi poruszać się w promieniu 500 km wokół obozu. Czego można jeszcze więcej chcieć?

Nasz obóz połączony był na wzniesieniu i nie otoczony murem a tylko drutem kolczastym. Rozciągał się stąd rozległy widok na okolicę. Tuż za ogrodzeniem, przebiegały tory linii Kotłas-Workuta. Pół kilometra dalej, kolej przecinała rzekę przez wysoki żelazny most. Ten sam, po którym dwukrotnie przejeżdżałem w drodze do Workuty i z powrotem. Starzy więźniowie twierdzili, że właśnie ten most na Ussie dokładnie wyznacza Koło Polarno.

Na trasie kolejowej zawsze panował ożywiony ruch. Długo pociągi z węglem wędrowały na południe, w przeciwnym kierunku wożono maszyny, sprzęt, urządzenia, drewno lub jechały puste wagony. Raz dziennie przejeżdżał pociąg osobowy, a co drugi dzień ekspres Moskwa-Workuta. Podróż na tej trasie trwała siedem dni.

Teren, jaki zajmował obóz, był mniejszy niż w Kotłas. Stało tu pięć dużych baraków szpitalnych, jeden barak dla personelu, kuchnie, magazyn i kilka ziemianek, na wpół wkopanych w ziemię oraz barak kierownictwa szpitala.

Dostałem przydział do sekcji I - jako asystent medyczny, dyżury miałem całodobowe, co drugi dzień. Na oddziale przebywało zazwyczaj powyżej stu pacjentów. Wyposażenie było znacznie lepsze niż w Kotłas. Nic dziwnego zresztą, władze były na miejscu a i inspekcje z Moskwy zaglądały tu często. Był to szpital pokazowy i stanowił oczko w głowie wazochwładnego doktora Iwaszewicza - szefa służby medycznej całego Peczorłagu.

Nie czułem się tu dobrze tak jak w Kotłas, nie znalazłem bliskich przyjaciół, a mój nowy szef okazał się antypatyczną postacią. Nazywał się Meissner i był galicyjskim Żydem. Przez wiele lat mieszkał w Wiedniu i tam ukończył studia medyczne. W latach trzydziestych ochotniczo przyjechał do ZSSR i tu się osiedlił, a w roku 1938 skazano go na osiem lat za szpiegostwo i działalność kontrrewolucyjną. Na kilka miesięcy przed moim przybyciem do obozu, ukończył termin odbywania wyroku i został zwolniony, ale bez prawa zmiany miejsca pobytu. Musiał pozostać w Abex. Bez wątpienia należał do tej kategorii więźniów, którzy za wszelką cenę starali się przekonać organa NKWD o swoim całkowitym oddaniu i chęci służenia. Był jednak

z tych którzy starali się dowiedzieć, że pod debroczyнным wpływem obozu, przekształcili się już w pełnowartościowych obywateli ZSSR. Był zupełnie jak bohater filmu, który tak mnie rozczłodził w Iwanowie.

Doktor Meissner odnosił się do mnie w taki sposób, jakby był bardziej jeszcze przekonany niż NKWD, że jestem niebezpiecznym faszystą, a to że siedzę w obozie jest rzeczą najszlachetniejszą i oczywistą. Od początku nie układała się nam współpraca i wspominałem miłe warunki pracy w Kotłas ze wzrastającą nostalgią. Najbardziej jednak denerwowało mnie, że dr Meissner nieufnie i podejrzliwie odnosił się do mojej pracy i zawsze w jego obecności odczuwałem nieprzyjemne uczucie, ~~brak~~ pewności.

Do Abex przybył transport wolnych dziewcząt, które przeszły podstawowe przeszkolenie pielęgniarstwa i miały zastąpić więźniów zatrudnionych w obozie, przy pracach wymagających mniejszych kwalifikacji i łatwiejszych. Wkrótce dziewczęta te znalazły się i w naszym obozie szpitalnym. Do nas trafiła 17-letnia Sima z Władimira. Od niej dowiedziałem się, że wszystkie pochodzą z Iwanowskiej Obłasti i są absolwentkami tych samych kursów pielęgniarstwa, a żadna z nich nie ukończyła osiemnastu lat. Zgodnie z zasadami obowiązującymi w sowieckim systemie szkolnym, każdy kto ukończy szkołę i złoży egzaminy końcowe zobowiązany jest odpracować trzy lata w miejscu wyznaczonym przez władze na tzw. "nakazie pracy". Poprzednio już spotkałem absolwentów techników przy budowie tamy we Władimirze, będących w identycznej sytuacji.

Dziewczęta miały obowiązek odpracować trzy lata w Abex i wszystkie były z tego bardzo niezadowolone. Nie podobała im się praca w obozie, pobyt na północy w ciężkim klimacie i duże oddalenie od rodzin. Ich przyjazd był żywo i szeroko komentowany wśród więźniów zatrudnionych przy obsłudze szpitala. Poważecznie obawiali się, że ich miejsca zajmą nowo przybyłe, a oni zostaną odesłani do ciężkich robót. Były jednak i inne opinie. Niektórzy uważali, że kierowanie tutaj młodych i zdrowych dziewcząt stanowi część państwowego planu zasiedlenia dalekiej północy. Brzmiało to dość przekonująco. Na północy zawsze było mało kobiet. Pomijając miejscowych

Syrynian, wolna ludność składała się głównie z byłych więźniów osiadłych po odbyciu wyroków oraz funkcjonariuszy NKWD, w większości młodych niezonatych mężczyzn. Wydawało się bardzo prawdopodobne, że dziewczęta te wyjdą tu zamąż, założą rodziny i osiedlą się na stałe. O tym, że rząd zainteresowany jest zasiedleniem tych obszarów domodziło choćby to, że osoby które podpisały kontrakty do pracy na północy, otrzymywały różne specjalne przywileje. Płace były tu znacznie wyższe niż w Rosji Centralnej, dłuższe urlopy, nawet 3-4 miesięczne, większe racje żywnościowe i odzieżowe - a co najważniejsze - region ten zawsze cieszył się lepszym zaopatrzeniem z planu centralnego. W Abex łatwiej można było dostać cukier, białą mękę, a także żywność z paczek UNRRA przysyłanych na Ukrainę i do Białorusi ^{wz gdzieś indziej}. Takie uprzywilejowane warunki przyciągać miały jak magnes.

Swoją drogą, więźniowie ze szpitalnej załogi mieli dużo szczęścia. Okazało się prędko, że dziewczęta te pod względem przygotowania zawodowego są całkowicie surowe. Na przykład się musiałem uczyć robić zastrzyki i objaśniać jej podstawowe terminy medyczne.

Jedna z sal naszej sekcji zarezerwowana była dla syfiliśtyków. Ciągłe napływali nowi pacjenci tak, że zawsze wszystkie łóżka były zajęte. Początkowo byłem zaskoczony dużą ilością świeżych przypadków - zwłaszcza, jak już wspominałem - na północy było bardzo mało kobiet. Opiekę nad nimi sprawował specjalista chorób wenerycznych - asystent medyczny. Ponieważ byliśmy kolegami, zaproponował mi, bym i ja, zajął się tą specjalnością, co zresztą mogło stanowić dodatkowe zabezpieczenie utrzymanie pracy w szpitalu. Zaczęłem więc pomagać mu w pracy na oddziale chorób wenerycznych.

Wielkość z tych pacjentów, trafiła do szpitala bardzo późno, dopiero kiedy choroba ujawniła się już na podstanie zewnętrznych objawów. Aby ustalić czas trwania choroby, lekarz miał obowiązek wypytywać chorego o szczegóły. Miało to doprowadzić do ustalenia kontaktów. Rychło okazało się, że okoliczności zarażenia były zawsze takie same. Pacjenci w przeważającej części rekrutowali się spośród kierowców i perso-

nelu kolejowego zatrudnionego przy transporcie więźniów. Kontakty łatwo dały się ustalić - żeński personel kolejowy.

Pacjenci z oddziału wenerycznego, bardzo mnie lubili, gdyż w odróżnieniu od większości personelu szpitalnego, traktowałem ich dokładnie tak samo jak wszystkie innych chorych. Zapamiętałem zwłaszcza jednego z nich, młodego chłopaka Paszkę, który zwracał uwagę, gdyż miał pomarszczoną twarz starego człowieka. Nie mając samemu doświadczenia i będąc jeszcze nowicjuszem sądziłem, że przyczyną jego wyglądu jest choroba. Myliłem się.

- Widział pan ten wielki most, koło naszego obozu? - zapytał kiedyś Paszka.

- Nie tylko widziałem, ale dwa razy przejeżdżałem.

- A ja go budowałem - powiedział nie bez pewnej dumy. I opowiedział jak to w początkach 1942 roku rozpoczęła się ta budowa. Specjalna komisja medyczna selekcjonowała najzdrowszych i najsiłniejszych, spośród młodych więźniów. Praca trwała tylko sześć godzin, a budowniczowie dostawali specjalne racje żywnościowe, mimo to wielu adlało podczas pracy. Była tak wyczerpująca, że z brygady do której Paszka należał tylko nieliczni przeżyli do teraz, ale zdrowie utracili na zawsze.

- "... wśród nich było wielu Polaków. Nie są pan pojęcia, jacy byli delikatni i wrażliwi ludzie. Marli jak muchy".

x x x

Rozdział XXXVI

DLA SZCZĘŚCIA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ

Praca w pierwszej sekcji nie była trudna, ale dosyć męcząca. Po zakończeniu mojej całonocnej zmiany nie wolno mi było od razu iść do łóżka. Dr Meissner wymagał, abym czekał na niego z gotowym raportem, aż zjawi się w obozie około dziewiętej. Do dzisiaj nie wiem, czy była to z jego strony czysta złośliwość, czy powodowały to inne względy, dość że musiałem mu asystować jeszcze podczas porannego obchodu pacjentów. Dopiero koło południa, po 36 godzinach na nogach, wolno mi było wypocząć. Mieszkałem we wspólnym baraku, który dzieliłem z całą gromadą osób, z których każda miała inny rozkład dnia, nie było mowy o sponiu aż do wieczora. A następnego dnia rano obejmowałem kolejny dyżur. Tak więc, spałem co drugą noc. Na dyżurze też miałem ręce pełnej roboty, trzeba było wykonać około stu zastrzyków z witaminy C, selwarsanu i innych leków, a niektóre z nich wymagały dużej wprawy, nie mówiąc już o innych zabiegach.

Pacjenci w Abetz otrzymywali znacznie lepsze wyżywienie niż w Kotłas, częściowo być może dlatego, iż w założeniach miał to być szpital wzorcowy, również i dlatego, że poziom wyżywienia, od czasu zakończenia wojny znacznie się podniósł. Był to też, być może jeden z powodów, dla którego procent zgonów był u nas mniejszy niż w Kotłas.

Wydział sanitarny komendatury naszych obozów, pragnął wykorzystać ten fakt w statystykach, jako wyraz ogólnej poprawy warunków. Zamiast jak dotąd statystyki zgonów, wprowadzono teraz statystykę wypisów ze szpitala. [otrzymali lekarze] nowe instrukcje, regulujące czas potrzebny do wyleczenia chorych, następnie zaś odbywała się konferencja lekarska, omawiająca przebieg i wyniki leczenia. Nad lekarzami, którzy nie wykurowali chorych w przepisowym terminie - zawisła groźba kary.

Rozpoczęło się coś w rodzaju zawodów czy może "wyścigu pracy" pomiędzy poszczególnymi oddziałami, którego celem stała się jak największa liczba wypisanych ze szpitala pacjentów.

Dzięki doktorowi Czeriaczukinowi otrzymałem oddziałny pokój. Poprzednio zajmował go sanitariusz Worobiew, którego wyłano za kradzież alkoholu i notoryczne pijaństwo. Znalazłem się teraz w przyjemnej i kulturalnej kompanii, dzieląc kwatery praktycznie tylko z Czeriaczukinem i Gorazikowem. Ale musiałem uważać na to co mówię, mając w pamięci dane, jeszcze z Kotłas, powiązania Gorazikowa z władzami obozu i NKWD. Musiałem też starać się unikać wypowiedzi na delikatne tematy wiedząc, że jest on swego rodzaju sowieckim patriotą, jeśli nie wręcz nacjonalistą.

"Kwatermistrzem" u nas był Wasyli, Ukraińiec ze wschodniej Polski. Należał do takiej kategorii więźniów, o jakiej istnieniu zanim znalazłem się na dalekiej północy, nie wiedziałem. Należeli oni do tzw. "specjalnych kontygentów". Więźniowie ci w ogóle nigdy, przez nikogo nie byli skazani i z prawnego punktu widzenia, byli w zasadzie wolnymi ludźmi. Mimo to znajdowali się w obozie na tych samych zasadach co więźniowie, tak samo pracowali w brygadach roboczych albo na funkcjach, tak samo chorowali i umierali. Do tej kategorii należeli Ukraińcy, Białorusini i Bałtowie, i w zasadzie nie mieli pojęcia, jaki ich czeka los. Jedni mieli nadzieję, że wkrótce ich zwolnią i będą mogli powrócić do domu; inni sądzili, że czeka ich śledztwo, a następnie sąd, zaś wyrok zalegalizuje prawnie ich pobyt w więzieniu, czy obozie. Którzy z nich mieli rację nie udało mi się stwierdzić. Wyjechałem wcześniej, zanim ich sytuacja ostatecznie się wyjaśniła. Jedynym przywilejem z jakiego korzystali, było to, że częściej niż inni mogli poruszać się swobodnie poza terenem obozu. Wasyli także należał do tych uprzywilejowanych.

Zapytałem kiedyś, czy któryś z uprzywilejowanych więźniów próbował kiedykolwiek uciec.

- Sam się nad tym zastanawiałem - powiedział dr Czeriaczukin - kiedy przyjechałem z Kotłas. Byłem zaskoczony łatwością z jaką otrzymałem pozwolenie, na poruszanie się bez eskorty. W Kotłas, wydział sanitarny występował w tej sprawie

na piśmie. I gdyby nie to, że byłem jedynym specjalistą który potrafił obsługiwać roentgeny, nigdy bym takiego pozwolenia nie otrzymał. Tu dostałem je po paru tygodniach.

- Osh, to bardzo proste - wtrącił Gorzиков - Kotlas jest stosunkowo dużym miastem, a w dodatku położone jest o 1000 km bliżej centralnej Rosji. Dlatego nieporównywalnie łatwiej uciec z Kotlas niż z Abaz czy powiedzmy z Workuty. Ucieczka stąd, jest praktycznie samobójstwem. Na taki pomysł mógłby wpaść jedynie ktoś, kto nie ma nic do stracenia. Mogłoby to dotyczyć raczej tych, którzy pracują w brygadach roboczych, ale na pewno nie więźniów funkcyjnych, zwłaszcza takich, którym pozwolono na swobodne poruszanie się.

- To znaczy, że szanse są naprawdę małe?

- Praktycznie żadne. Aby dotrzeć do obozów zamieszkałych, trzeba przebyć całą republikę Komi. Ucieczka zostanie wykryta przy pierwszym opolu i NKWD natychmiast wyśle patrole ze specjalnie szkolonymi psami. Jest tu ich cała sfora. Przyjmijmy czytało teoretycznie, że patrole jednak nie wytropią zbiegów - co jest założeniem całkowicie nieprawdopodobnym. Przecież zbieg musi najpierw zgromadzić i zabrać ze sobą, żywność na wiele dni marzu. W tundrze nie znajdzie nic do jedzenia. Przez całą całą drogę musi wystrzegać się ludzi. Gdyby spotkać jakąś żywą istotę, zostałaby natychmiast schwytany ...

- Ale dlaczego? Dlaczego, każdy spotkany człowiek, miałby natychmiast wydać go w ręce NKWD?

- Nie rozumiesz? - Gorzиков opędził się gestem dłoni. Mieszkańcy republiki Komi dzielą się na trzy kategorie: więźniów, enkawudziatów i Syrynian. Od kogo więc, uciekinier mógłby oczekiwać pomocy? Nie może zbliżyć się do żadnego obozu, ani tym bardziej do żadnego posterunku NKWD. Najgorzej jednak, byłoby spotkanie z krajowcami. Są to prymitywni ludzie żyjący w skrajnej nędzy i wszyscy są od dawna kupieni przez NKWD. Wiedzą, że za każdego schwytanego więźnia otrzymują nagrodę: mąkę, kasze lub pieniądze. Jest to metoda niezwykle skuteczna. A poza tym, przesadzacie z liczbą więźniów, którym pozwolono poruszać się swobodnie. W naszym obozie jest nas tylko czterech. Komenda wydaje takie zezwolenia jedynie

wtedy, gdy pracy więźniów nie da się zastąpić w inny sposób
- zakończył dyskusję.

Najbardziej interesującym człowiekiem jakiego poznałem w Abez, był Grigori Konstantynowicz Rogiński. Był to postawny, zupełnie żywy mężczyzna, w wieku około 50 lat. Oficjalnie pełnił funkcje "med-statistika", czyli zajmował się statystyką szpitala. Innym jego tytułem był "sekretarz naczelnego lekarza obozu" - czyli spełniał tę samą funkcję do piłkarz Starostin czy dziennikarz i scenarzysta Kapler w Kotłas.

Przed aresztowaniem Rogiński należał do najważniejszej grupy prominentów w ZSSR. Podczas słynnych procesów moskiewskich w 1937 roku był zastępcą Wyszynskiego, a Wyszynski - jak wiadomo - był generalnym prokuratorem ZSSR. Nikt w obozie nie wiedział, za co go aresztowano, ani z jakiego artykułu oraz na ile został skazany, zaś sam nigdy nie pisał na ten temat ani słowa. Wydawało się możliwe, że NKWD nakazało mu całkowite milczenie na temat procesu i okoliczności, jakie go doń doprowadziły.

Opowiadano mi, ²⁴gdy Rogiński znalazł się w jednym z obozów Feczorżegu, więźniowie dowiedziawszy się kto do nich trafił, próbowali go zlinczować. Uratował mu życie szef kontrwywiadu, przenosząc go do szpitala, gdzie mógł się czuć bardziej bezpieczny niż w brygadach roboczych. W tym samym czasie nadszedł z Moskwy "prikaz", by mieć go stale na oku. Był zastępcą generalnego prokuratora, pracując przez sześć lat w obozowym szpitalu wyrobił sobie jednak pewną pozycję. Nie było też cienia wątpliwości, że ma jakieś powiązania z miejscowym NKWD. Nie tylko lekarz naczelnny i personel szpitalny, ale i komenda obozu odnosiły się do niego z pewnym respektem. Tolerowano nawet fakt jego ~~inwencji~~ ^{oficjalnego} współżycia z pewną siostrą, choć takie układy topione były z całą bezwzględnością.

Dość szybko poznałem Rogińskiego, wydał mi się człowiekiem wybitnie inteligentnym o pewnym naukowym zacięciu. Każdego wieczora, gdy obchodził oddziały, by zebrać swoje dane statystyczne, zatrzymywał się trochę u mnie na pogawędkę.

Wkrótce też stało się zwyczajem, że zaczął przychodzić do mnie do pokoju na dłuższe rozmowy. Początkowo, wiedząc z kim mam do czynienia starałem się mieć na baczności i zachować daleko idącą ostrożność. Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że nie zależy mi wcale ^{by} wyciągać mnie na słówka ani wyznania, które mogłyby mi zaszkodzić, ani też na pewno naszych rozmów nie chce wykorzystywać przeciwko mnie. Wydało mi się, że jest raczej ciekawy zdania, jakie na różne sprawy, może mieć taki "zapadnik" z burżuazyjną mentalnością - jak ja i że jest to zainteresowanie czysto akademickie. Był po prostu ciekawy, co ludzie z zachodu sądzą o Związku Sowieckim. Pamiętam, zapytał mnie kiedyś, jakie są obozy koncentracyjne w zachodnich krajach i czym różnią się od tych w Rosji?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałem. O ile wiem nie ma w Europie obozów koncentracyjnych z wyjątkiem Niemiec. Kryminaliści siedzą w więzieniach. A o niemieckich obozach nie wiem nic.

- A więźniowie? Czy pracują przy budowie dróg, torów kolejowych, mostów albo w kopalniach i fabrykach?

- Nie umiem odpowiedzieć z całą pewnością, ale o ile wiem nigdzie z wyjątkiem Niemiec.

- Dlaczego nie?

- Nie znam się na przepisach prawa, nie umiem odpowiedzieć.

Zaczął więc nalegać, bym powiedział, co naprawdę na zachodzie myślę o sowieckich łagrach. Zanim jednak odpowiedziałem, zastrzegłem się, że nie wyrażę własnego sądu, jaki sobie wyrobiłem na ten temat podczas pobytu w Rosji, gdyż z pewnością byłby jednostronny. Natomiast, gdyby prawda o istnieniu sowieckich obozów znana była na zachodzie Europy, uznano by je za najbardziej niehumanitarny i niekonnomiczny sposób wyzyskiwania ludzkiej pracy.

Rogineki wydał się moją odpowiedzią bardziej zaskoczony niż mogłem to przypuszczać.

- Przedyskutujmy ten problem - zaproponował. Niech pan odpowie na moje pytanie tak, jakby odpowiadano na nie w Zachodniej Europie.

- Zgoda, ale chcę aby pan pamiętał, że nie wyrażam żadnych własnych poglądów - zastrzegłem się na wszelki wypadek. Będę zachowywał się jak aktor, który recytuje wyuczoną rolę.

Zgodził się chętnie. Rozmowa ta odbyła się któregoś wieczoru, kiedy byłem sam na dyżurze, a wokół nie było nikogo, kto mógłby nas podsłuchiwać. Początkowo Rogiński usiłował mnie przekonać, że jednak żagry mają - pomijając okropne warunki i wysoką śmiertelność - wielką szansę do spełnienia:

- Piotr Wielki - twierdził - wznosił Sankt Petersburg na niedostępnych bagnach. Dziesiątki tysięcy ludzi zarówno wolnych, jak i jeńców wojennych straciło życie w trakcie tej budowy, nikt nigdy nie zapytał go, czy postępował wobec tych ludzi w sposób humanitarny i zgodny z prawem. Większość z nich zginęła, ale Sankt Petersburg, a teraz Leningrad żyje, stał się wielkim miastem i centrum kulturalnym, promieniującym na całą północno-wschodnią Europę. Niech pan powie, czy ktokolwiek z ludzi nam współczesnych, poświęcił bodaj jedną myśl tym robotnikom-niewolnikom, których Piotr Wielki przeznaczył na zagładę. Może wie o nich kilku historyków i to wszystko. A Leningrad istnieje i mieszka w nim trzy miliony ludzi.

- Na zachodzie, powiedziano by, że w ten sam sposób faraonowie wznosili piramidy i że niezwykle łatwo tworzy się takie budowle w krajach, w których panuje przemoc i powszechne niewolnictwo.

- A coż oznacza niewolnictwo, ba nawet zagłada jednego lub dwóch pokoleń w łańcuchu generacji, jeśli ich ofiara pozwala na stworzenie nowych nieprzemijających wartości na dwulecie i pożytek światu i ludzkości? Niech pan spróbuje spokojnie i rzeczowo przyjrzeć się temu, co dzieje się tu, w dorzeczu Peczory. To jest pionierska praca o gigantycznym znaczeniu dla nadchodzących pokoleń. Powstają całe zespoły największych kopalni. A posiadając bogate złoża węgla i rud żelaznych na półwyspie Kola staniemy ^{cię} na długie lata jednym z najpotężniejszych centrów produkcji stali w całej Rosji, z centralnym portem w Halmer-Yu. Plany są gotowe a budowa kolei północno-transyberyjskiej przez Ural na Kamczatkę weszła już w stadium realizacji. Powstaną wielkie porty, stocznie, wielkie miasta przemysłowe, obozary rolnicze, centra rybołówstwa i to

wszystko na obszarze, gdzie mogły wyżyć tylko renifery i to z najwyższą trudnością. W przyszłości, w niedalekiej przyszłości będą tu żyły i pracowały miliony i miliony ludzi. No więc co z tego, że teraz milion ludzi pożyje trochę krócej, niż mogłoby żyć w normalnych warunkach. Będą żyć nadal, w wynikach swej pracy. W swoim dziele. Nasz rząd patrzy na te problemy dalekosiężnie i nie ogranicza swojej troski do zapewnienia dobrobytu i satysfakcji jednemu tylko pokoleniu. Myśli także o następnych.

- Człowiek z zachodu, mógłby o tej kwestii tylko wyrazić zdumienie, że wszystkie te obozy i wszystkie te miliony więźniów służą wyłącznie jako środek do realizacji gigantycznych planów kolonizacyjnych. Oznaczałoby to bowiem, że władza aresztuje i skazuje ludzi nie za ich czyny dokonane, nie za ich przestępstwa, ale dla zapewnienia sobie stałego napływu siły roboczej, potrzebnej do wykonania tych zamierzeń.

- Z początku, nie - zapewnił Rogiński. Ale postęp socjalizmu w kraju musiał doprowadzić do tego, że pewna, duża nawet część ludności stała się nieużyteczna, a nawet wręcz szkodliwa w drodze jego rozwoju. Obywatele socjalistycznego społeczeństwa muszą mieć zupełnie odmienny sposób myślenia niż ci w kapitalizmie. Muszą myśleć po nowemu. Doświadczenie zaś uczy, że rzadko udaje się zmienić sposób myślenia dorosłego człowieka. Partia komunistyczna opiera całą strukturę społeczną na młodych pokoleniach, które wznoszą się w duchu partyjnym. Z tego powodu pokolenia starych, które nie dają się już przekształcić, muszą być spisane na straty. Lecz to nie my, bolszewicy wymyśliliśmy tę metodę. Stosowano ją w historii zawsze wtedy, gdy nowe idee zdobywały świat. Na przykład kościół w wiekach średnich zmonopolizował proces edukacji młodzieży, a jednocześnie powstrzymał się od próby reformowania starszych pokoleń które, gdy to było konieczne - likwidował.

- Co pan rozumie przez "spisanie na straty"?

- Jeśli np. w fabryce, jakaś maszyna nie nadaje się do wykonywania zaplanowanej produkcji, w księgach wpisuje się ją na straty. Taka maszyna może być zupełnie dobra, "na chodzie", lecz nie nadaje się do produkcji, tego co zaplanowano. I taka

właśnie sytuacja powstała w naszym kraju na początku lat trzydziestych, kiedy zaczęto likwidować kułaków. Były ich miliony, ^{stanów} to jednak zupełnie inny problem, niż proces likwidacji burżuazji i biurokracji dawnej Rosji podczas rewolucji. ^{Tenż zaś zastawia} problem usunięcia i odizolowania od zdrowej tkanki społecznej ogromnych zasobów siły roboczej o wielkim znaczeniu ekonomicznym. Innymi słowy, rząd musiał położyć kres mieszaniu się ich ze zdrowymi kadrami komunistów, a jednocześnie we właściwy sposób wykorzystać ich siłę roboczą w warunkach izolacji od zdrowej części społeczeństwa i z pożytkiem dla niego.

- Na zachodzie powiedziano by, że ubiory tego obozu pracy są rezultatem programów państwowych, a nie wykonywaniem kodeksu karnego.

- Nie zrozumiał pan jeszcze tego do tej pory?-- zdziwił się. Każdy inteligentny obserwator zauważa to od razu. Nasz kodeks karny jest narzędziem - powiedzmy, jednym z ważniejszych narzędzi - w przebudowie struktury społecznej z kapitalistycznej na socjalistyczną.

- Przecież jednak nie tylko ludzie, jak ich pan nazwał "starej generacji" siedzą w obozach. Pełno tu jest i młodych.

- Kiedy powiedziałem "stara generacja" - miałem na myśli pewną typową postawę - niemożność myślenia i działania w duchu komunizmu. Wiek metrykalny jest bez znaczenia. I cała ta kategoria ludzi musi udźwignąć ciężar pionierskich prac nad industrializacją tego obszaru. A z pewnością zdaje pan sobie sprawę z tego, że dokonanie tego dzieła w dolinie Peczory, czy w Dalstroju na Wschodniej Syberii byłoby nie wykonalne przy wykorzystaniu pracy wolnych robotników. Byłoby to zbyt kosztowne. Nie opłacałoby się. A poza tym nikt by tu, do Komi nie przyjechał z własnej woli. Więźniami zaś można dysponować w sposób arbitralny. Jest ich tyle, ilu potrzeba. Można też zmarnować ich tyle, ile się chce, nie narażając państwa na straty. Odwrotnie niż, na przykład ze zbożem.

- W Paryżu czy Londynie, pewnie by zapytano czy wobec tego NKWD dokonuje masowych aresztowań według z góry założonego planu?

- To nie jest z góry ustalone, ale w praktyce pewnie tak się dzieje. Możemy założyć, że partia decyduje się odizolować jakąś klasę społeczną, czy grupę. Na przykład obecnie taką grupę stanowią byli jeńcy wojenni. Są odizolowani i osadzeni w obozach. Ale, aby utrzymać w obozie powiedzmy - 1000 osób, potrzeba dwóch lekarzy, dwóch inżynierów, dziesięciu techników, dwudziestu urzędników itd., nie wspominając o strażnikach i komendzie. No więc cały ten proces musi przebiegać według jakiegoś planu.

- No tak, ale jeśli w tym czasie żaden lekarz, ani inżynier nie popełni akurat przestępstwa, co wtedy? Zayka się niewinnych ludzi?

- Sowieckie prawo karne i organa ścigania są wystarczająco elastyczne, by wyeliminować tego rodzaju trudności. Plan mobilizacji siły roboczej spośród elementów skazanych na eliminację musiał być przeprowadzony pomimo kosztów. Jest to sprawa zbyt ważna dla ekonomii państwa jako całości, by można było pozwolić sobie na sentymentalizm lub jakieś abstrakcyjne spekulacje z zakresu teorii prawa. Organa ścigania w ZSSR mają inne zadanie niż w krajach kapitalistycznych.

- Na zachodzie, ludzie z pewnością chcieliby wiedzieć, czy Związek Sowiecki stosuje te same zasady działania w innych krajach europejskich, które znalazły się w sferze jego dominacji, takich jak np. Polska, Rumunia, Węgry itd.

- Oczywiście. Towarzysz Stalin na XVIII zjeździe partii, powiedział, że nasza armia, służba wywiadowcza, organa ścigania i legislatura zwalczają wroga politycznego, nie ograniczając się do terytorium naszego kraju - zwalczają go wszędzie. I dlatego wprowadzenie sowieckiego prawodawstwa jest jednym z pierwszych kroków, jakie trzeba uczynić w tych właśnie krajach, które ZSSR włączył w orbitę swej politycznej potęgi. Dlatego właśnie pan jest tutaj, chociaż jest pan Polakiem.

- Tak więc uważa pan, że jesteśmy "spisany na straty" w związku z procesem przemian struktury społecznej, jakie mają się dokonać na polskich terenach zajętych przez Armię Czerwoną?

- Bez wątpienia tak. Przebany tam, już się dokonują i każdy musi dostosować się do nowej rzeczywistości, jaką tworzą komuniści w celu osiągnięcia tak wielkiego i ostatecznego celu jakim jest szczęście ludzkości. A przede wszystkim, nie trzeba przeceniać własnej wartości, ani przesadzać na temat tak zwanych praw jednostki. Jedyne ci, którzy przestaną myśleć w kategoriach własnego jednostkowego losu, czy jednostkowej sprawiedliwości, mogą stać się pełnowartościowymi członkami społeczeństwa przyszłości.

- Tak więc jeśli ZSSR zdobędzie Europę, Chiny czy Indie proces tego rodzaju przemian rozpocznie się tam natychmiast, wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej. Na zachodzie, takie działania uznano by za próbę pozbawienia narodów prawa do egzystencji a wyniszczenie elit tych narodów ...

- Zostawmy słowa i definicje. One nie mają żadnego znaczenia. Bez znaczenia jest też, w jaki sposób Zachód będzie to interpretował. Jest to kwestia zaostrzonej walki klasowej. Pewne klasy skazane są na zagładę, przez sam proces ewolucji historycznej. Co to ma za znaczenie, czy wół w drodze do rzeźni będzie wiedział co się z nim stanie, czy nie. Tak czy owak zostanie zarżnięty. A to że rewolucja likwiduje dawne elity, to już czysty truizm. Ani protesty ani próby zorganizowania obrony, nie mogą powstrzymać determinacji procesów historycznych, których prawa odkryli Marks, Lenin i Stalin. I czym wcześniej ludzie zdadzą sobie z tego sprawę, tym dla nich lepiej. Tak więc i dla pana będzie lepiej, im szybciej pogodzi się i pan ze swoim losem.

Taką to konkluzję Rogiński zazwyczaj kończył rozmowy ze mną. Nie powtarzał jej za każdym razem tymi samymi słowami, ale one zawsze pozostawał niezmienniony. Sam zresztą, był żywym przykładem osoby, która całkowicie zaakceptowała swój pobyt w łagrze, jako wynik procesu "historycznej ewolucji".

x x x

Rozdział XXXVII
ZYCIE "STOLECZNE"

W poniedziałki, środy i piątki, chorych naszego szpitala przeprowadzano do Abex na badania rentgenowskie dokonywane przez doktora Czeriaczukina. Dotyczyło to pacjentów podejrzewanych o początki gruźlicy. Wyniki badań miały zdecydować o ich pozostaniu w oddziałach bądź o przeniesieniu na oddział nr 4 dla zakaźnie chorych.

Pewnego dnia siostra Sonia, zaproponowała mi abym towarzyszył jej i grupie pacjentów, których zabierała na badania do Abex, bym sam mógł zobaczyć przychodnię dr. Czeriaczukina. Siostry, ze wszystkich oddziałów wyprowadziły chorych i ustawiły ich w szeregu przed bramą obozu. Pacjenci ubrani byli okropnie, w nieopisanie brudne i podarte łachmany, niektórym przeświecało gołe ciało. Szliśmy wolno spacerowym krokiem, co wyraźnie denerwowało konwojentów, lecz Sonia nie pozwoliła popędzać chorych:

- Uspokój się - powiedziała do szefa eskorty, Jak będziesz ich poganiał, złożę na ciebie raport do komendanta obozu.

Droga biegła wzdłuż torów kolejowych. Po przejściu około dwóch kilometrów, rozpoczęły się zabudowania. Mineliśmy jakiś obóz.

- To mój łagierpunkt - powiedział jeden z chorych - pracowałem tu, zanim znalazłem się w szpitalu.

- A co tam robiliście?

- Tutaj mieszkały brygady, które budują domy w Abex. A tamci - pokazał rękę - pracują w zakładach mechanicznych.

Weszliśmy do miasta. Pojedyncze drewniane domy, przeważnie parterowe, rozrzucone dość bezładnie wzdłuż traktu, który stanowiąc miał w przyszłości główną ulicę. Jedną z wyróżniających się budowli była przychodnia. Dr Czeriaczukin oprowadził mnie po niej, z pewną dumą pokazując gabinety i wypo-

szczenie techniczne. Pacjenci siedzieli w przestronnej poczekalni, skąd pojedynczo przechodzili do pokoju badań.

- Antoni Stiepanowiczu, jeśli chcecie, to mogę pokazać wam naszą stolicę - zaproponowała nagle Sonia.

- Chcę oczywiście, ale co na to strażnik?

- To się da załatwić - powiedziała Sonia i zaczęła pertraktacje z szefem konwoju. Po chwili zawołała:

- Grażdanin, starszyna daje nam pół godziny.

Pierwszy raz, od trzech lat znalazłem się na ulicy. Iluzję wolności potęgował fakt, że szedłem na spacer z towarzyszyką mi ładna, młoda kobieta, a nie strażnik z bagnetem na karabinie. Ale w Abex nie było wiele do zwiedzania. Kiedy mijaliśmy niski budynek, na wpół wkopany w ziemię, tak że tylko dach i wąskie okienka wystawały ponad poziom ulicy, Sonia oznajmiła:

- To jest najważniejszy budynek w całej mieście. Kwatera główna naszej władzy - administracja całego Peczorządu. Planowano wybudowanie nowego gmachu, ale ponieważ wkrótce i tak władze mają się przenieść z Abex do Peczory, więc zaniechali tej budowy i wszystko pozostało, jak było.

Byłem ciekawy, czy pracują tu wyłącznie ludzie wolni czy również i więźniowie.

- Jedni i drudzy. Lecz funkcje kierownicze sprawują wyłącznie wolni, natomiast większość zatrudnionych to więźniowie - wyjaśniła Sonia - która, jak się okazało, była już osobą dobrze zorientowaną w miejscowych stosunkach. Tylko, że ci więźniowie, to sami ważni specjaliści. Rano przychodzą do pracy pod eskortą, a wieczorem zabierają ich z powrotem do obozu. Tylko nielicznym z nich wolno swobodnie poruszać się po mieście. Pokażę wam ich łagier, w którym mieszkają.

Innym budynkiem, na który Sonia zwróciła mi uwagę, była siedziba III oddziału administracji obozów, czyli tzw. oddział operczekietowski, najważniejszy w całej organizacji obozów. Sprawuje kontrolę, dokonuje aresztowań i przesłuchań - podobnie jak jednostki NKWD wśród wolnych obywateli Rosji. Podlegają tej sekcji nie tylko więźniowie, ale cały wolny personel obozowy a także wszyscy szefowie kontrwywiadu, którzy działają w każdym łagierpunkcie.

- A tutaj mieszka pułkownik Barabenow - Sonia pokazała ładny budynek - jeden z najładniejszych jaki do tej pory widziałem w mieście, a właściwie wolnostojącą willę. Nazwisko Barabenowa znane jest każdemu więźniowi i figuruje pod każdym rozkazem czy rozporządzeniem obowiązującym w całym Peczorlagu. Jest on pułkownikiem NKWD i wszechwładnym panem życia i śmierci wszystkich więźniów, największej grupy łagrów w całym ZSSR. Gazety donosiły, że za swoje zasługi otrzymał ostatnio wysokie państwowe odznaczenie.

- Tutaj jest właśnie ten obóz dla zatrudnionych w administracji - Sonia wskazała wysoki drewniany płot zwieszony pięcioma liniami drutu kolczastego, nad którego sterczą znajome wieże strażnicze. Główną ulicę w mieście i właściwie jedyną zamykała okazała budowla w syberyjskim stylu z grubych pni drewna - teatr miejski. Sonia poinformowała mnie, iż przy różnych okazjach, teatr daje również specjalne przedstawienia dla więźniów. Onesama należała do stałych bywalców. Kilka razy była już w teatrze i starała się nie opuszczać ciekawych przedstawień. Powiedziała także, że każdy łagierpunkt w Abex otrzymuje pewną ilość biletów do rozdania dla najlepszych robotników wśród więźniów. Ale oczywiście - rozdawała się - wszystkie bilety przechwytuje "pridurki".

Od dawna już słyszałem o tych przedstawieniach teatralnych w Abex. Jeszcze w dawnym obozie w Kotłas, mówiono o nich z okazji przyjazdu do obozu bardziej lub mniej znanych aktorów, którzy od czasu do czasu trafili do łagrów. Niektórzy z nich dawali różne przedstawienia i u nas, w obozie tranzytowym. Zazwyczaj wkrótce odwyżano ich dalej na północ, przeważnie do teatru w Workucie. Akterzy tutaj również byli więźniami, wśród nich wielu z znanych nazwisk z teatru Bolezoi i Teatru Dramatycznego w Moskwie.

Pół godziny minęło szybko i chwila wolności zbliżała się do końca. Musieliśmy wrócić do przychodni, ale też i nie wiele więcej chyba było tu do zobaczenia.

W Abez, miałem warunki chyba jeszcze lepsze niż w Kotłach. Należałem nadal do elity obozowej, miałem przyjemną kwatery, wystarczające pożywienie, byłem czysty i syty. Uchodziłem za dobrego pracownika, nie musiałem obawiać się wysłania do brygad roboczych, i nie zadowalało mnie to. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że następne siedem lat przyjdzie mi spędzić w ten sam sposób, a później jeśli wszystko dobrze pójdzie i uda mi się przeżyć jeszcze jakiś czas, nieokreślony żadnym terminem jako "wolny pracownik" w służbie obozowej. Czy miało to być już wszystko, czego miałem oczekiwać na resztę życia? Wydało mi się to zbyt małą dawką nadziei, z której można by czerpać siły do walki o przetrwanie. Dla mnie, motorem wszelkich działań było i pozostało ^{NADAL} (głębokie i niezachwiane przekonanie, że wcześniej czy później powrócę do rodziny, domu i ojczyzny. Trudno to bowiem zrozumieć komuś, kto sam tego nie przeżywał.

Początkowo przypuszczałem, że każdy więzień czuje i myśli tak jak ja, myliłem się jednak. Większość z nich żyje z dnia na dzień i nie myśli o przyszłości. I dotyczy to w jednakowej mierze tych wynędzniałych i głodnych więźniów używanych do najcięższych, zwierzęcych prac jak i tych, którym udało się zająć uprzywilejowaną pozycję i żyć we względnie dobrych warunkach. W pierwszym przypadku powołana, codzienna walka o zachowanie życia musi wcześniej czy później doprowadzić do zupełnego załamania, apatii i rezygnacji. I jest to zrozumiałe. Trudniej jednak wyjaśnić, dlaczego ci uprzywilejowani tak łatwo przyzwyczajają się i wtapiają w okropnie beznadziejną rzeczywistość, jak ich otacza. Każdy z nich przecież, gdzieś w świecie, pozostawił swoją rodzinę, żonę, dzieci, przyjaciół - przeżyte niegdyś dni szczęścia i radości. Dlaczego tak łatwo zapominali? Jak to się stało, że tak szybko potrafili ograniczyć swoje zainteresowania wyłącznie do problemów życia wewnątrz obozu? Intrygi, wzajemna zawiść, współzawodnictwo, antagonizmy angażują całą ich energię i zainteresowania. Oboz staje się ich całym światem i nie potrafią myśleć już o niczym innym, jak tylko o swoich drobnych sukcesach czy niepowodzeniach i o tym, jak tu poprawić warunki bytowe, ale wyłącznie w ciasnych granicach obozowej egzy-

steneji, angażując w takie działania całą swoją wysiłek woli, nadzieje i całą życiową energię. Działo się dokładnie tak samo w Kotłas, w Abex i we wszystkich obozach, w których przebywałem.

Spotkałem naprawdę bardzo wielu ludzi, którzy życie w obozie traktowali jako chwilową, przejściową niedolę, która musi przeminać. I ci nieliczni, prawie bez wyjątków byli "zapadnikami". Rozjanie i to niezależnie od poziomu intelektualnego i moralnego, nie wierzyli w ogóle w możliwość odzyskania wolności kiedykolwiek. Wydawało się, że przyjmują swój los bez większych oporów, żeby nie rzeć z fatalizmem. Było wiadoczne, że postawa i zachowanie w obozie były najściślej związane z ich głębokim przekonaniem wewnętrznym, że nie ma już dla nich żadnej nadziei.

Ja również miałem różne okresy załamania, ale kiedy mijają ich bezpośrednia przyczyna, wracałem do równowagi i zaczynałem walkę od nowa. Teraz, od kiedy wiedziałem, że moja żona jest już w Warszawie walka ta stała się determinacją. Wyrwać się stąd za wszelką cenę i co najważniejsze nie utracić kontaktu z krajem. Wszelkie inne sprawy miały wartość drugorzędą.

Wyjeżdżając z ZSSR, żona miała jedynie mój adres w Kotłas. Moje przeniesienie do Abex spowodowało zerwanie tego kontaktu i mogło stać się dodatkową przeszkodą w jej staraniach o moje uwolnienie. Stanowiło to teraz dla mnie największe znartwienie. Szanse na nawiązanie kontaktów na razie wydawały się bardzo wątpliwe, mimo wielkich o to starań. Cały system jaki zbudowałem dla utrzymania korespondencji z krajem, który kosztował mnie tyle wysiłku, starań i trudności przestał od chwili wyjazdu z Kotłas funkcjonować. Jeszcze raz poczułem się tak, jak zapewne musi się czuć ktoś, kto wyszedł z domu i wszelki ślad po nim zaginął.

W ostatnich dniach września, gwałtownie uderzyła zima. Przyszła bez ostrzeżenia i rozpoczęła się ostrymi mrozami, wielkimi opadami śniegu i zamieciami. Nie poprzedzała jej

jesień, co jest typowe dla tego obszaru klimatycznego i także aura miała potrwać aż do czerwca następnego roku. Wielu więźniów przyszłego lata z pewnością nie doczeka.

W szpitalu nie marzliśmy. Nie było tu takich trudności z opałem jak w Kotłas. Z Warkuty nadchodziły pociągi wyładowane węglem i zatrzymywały się na rampie przed naszą bramą. Cała załoga szpitalna mobilizowała się wtedy do wyładunku. W ciągu paru godzin rozładowywano wagon.

Pewnego dnia zjawił się u nas mój dawny znajomy z Kotłas - Sokołow. Skończył się już termin jego wyroku i był wolny, ale nadal pracował w wydziale medycznym Kotłasłagu. Przyjechał do centrali załatwić jakieś sprawy i zabrać medykamenty. Miał wiele do opowiedzenia o naszych wspólnych znajomych z obozu. Dowiedziałem się od niego, że stan zdrowia doktora Bergora uległ znacznemu pogorszeniu, co przyjąłem z głębokim smutkiem. On też powiedział, że wielu kontraktowych pracowników administracji obozowej z Kotłas dobrowolnie przemieściło się na północ ekuszonych większymi zarobkami i racjami żywności.

- Ale ja bym się tu nie przeniósł za żadne skarby, nawet gdyby mi obiecali codziennie butelkę wódki/Sokołow był wielkim amatorem napojów alkoholowych/. Jak tu można żyć? Dzisiaj rano, kiedy szedłem tu do was z Abaz, wicher zmiotł mnie z drogi i wrzucił do rowu jak zwiędły liść. O nie, już wolę gryźć suchy chleb w Kotłas, niż osiedlić się tutaj..

Pewnego dnia dr Czariaczukin, z miną wielce zadowoloną oznajmił:

- Dostałem dzisiaj piętnaście biletów do teatru, do rozdania wśród naszej załogi. Czy nie wybrał by się pan do teatru? Zabrzmiało to, biorąc pod uwagę okoliczności, bardzo niezwykle niemal jak kiedyś, dawno temu, przed wojną. Czy bym się nie wybrał? Pownia, że się bym wybrał.

Peszliśmy do teatru eskortowani przez strażników. Przed frontonem szeregi więźniów pod konwojem z bronią oczekiwały już na otwarcie teatru. Widownia miła i przestronna z miejscami dla 500 widzów wypełniona była do ostatniego miejsca przez więźniów i "wochrów". Zgodnie z tym co mówiła Sonia, sama elita z dwunastu obozów regionu Abaz, wielu z nich było pracownikami administracji Peczorłagu.

Występował Zespół Pieśni i Tańca z Archangielska, byli to artyści amatorzy przyjeźni tu na gościenne występy. Ale spektakl był raczej nudny i na kiepskim poziomie. Zwykle "państwotwórcza" składanka pieśni i redytacji sławiących partię, Stalina i sowiecki porządek.

- Nie warto było się trudzić i iść taki kawał - powiedział ktoś w drodze powrotnej, a inni skwapliwie potwierdzali tę opinię. Bywalcy zaś byli zdania, że jedynie dobre przedstawienia jakich można się tu spodziewać, to wystawiane przez teatr z Workuty, w skład którego wchodziły wybitni aktorzy-więźniowie o nazwiskach znanych w całej Rosji.

- Och, jeszcze zdążyłeś zobaczyć ich wiele, wiele razy - powiedział mi Gorzиков na pocieszenie. Ale nie miał racji.

W kilka dni później, kiedy akurat robiłem zastrzyk pacjentowi, przybiegła siostra Szura i już z daleka wołała:

- Antoni Stiepanowiczu dopiero byłem w biurze i pan powiedział mi, że jesteście na liście i jutro wyjedziecie z rannym transportem - mówiła zdyszana. Przyszło to jak piorun z jasnego nieba. Nie mogłem uwierzyć w tę nowinę. Pobiegnąłem

НАТЯХМИ АСТ ДО РОДИНСКОГО, АЛЕ ТОЛЬКО ПОНЯВЕРДИТЬ ЭТИ ВЕДОМОСТИ.

- Tak jest, właśnie otrzymałem polecenie z administracji. Jutro o siódmej rano wyjeżdża pan do Moskwy. Musi pan oddać wszystkie rzeczy należące do obozu i spakować się.

Nikt z obozu nie znał przyczyn tego polecenia. Przyjeżdżałem tu prawie ostatni i to na specjalne zapotrzebowanie z administracji Peczorskiego, a teraz znowu miałem wyjeżdżać - i to do Moskwy. Jediną osobą, jaka mogłaby znać szczegóły i ewentualnie interweniować w mojej sprawie był dr Czeriaczukin, który zastępował naczelnego lekarza. Ale ponieważ był to poniedziałek, więc akurat przebywał w swojej przychodni w Abez.

Poprosiłem siostrę Szurę, żeby zastąpiła mnie na dyżurze i z kolejną grupą pacjentów wyprawianych właśnie na badanie rentgenowskie, poszedłem do Abez.

Dla doktora Czeriaczukina wiadomość o moim wyjeździe była zupełnym zaskoczeniem. Natychmiast poszedł do administracji obozu by zorientować się, co można w tej sprawie zrobić. Ja zaś, ogromnie zdenerwowany czekałem w przychodni.

- Nic się nie da zrobić! - oznajmił po powrocie. Przyszło polecenie z GULAG-u i nasza administracja jest bezsilna. Przykro mi bardzo, ale musi pan wyjechać.

- Doktorze, czy nie dowiedział się pan, dlaczego GULAG ściąga mnie do Moskwy?

- Nikt tego nie wie w naszej administracji. Ale może ma to coś wspólnego z tym, że jest pan Polakiem? Może pana zwolnią?

Taka możliwość wydała mi się najmniej prawdopodobna ze wszystkich. W tym okresie nie nie słyszało się o zwalnianiu Polaków. Wróciliśmy do obozu i zaczęłam szykować się do podróży. Wydano mi żywność na dziesięć dni a także kawałek mięsa renifera, który dostałam dzięki protekcji i w dowód sympatii.

x x x

Rozdział XXXVIII

ZAPOTRZEBOWANIE NA INŻYNIERÓW

Następnego ranka, a był to wtorek 15 października 1946 roku pożegnałem się ze wszystkimi przyjaciółmi i kolegami, i eskortowany przez strażnika poszedłem na dworzec kolejowy. Czekając na nadejście pociągu trapiła mnie obawa czy aby nie będę musiał podróżować z urkami. Niepotrzebnie się jednak niepokoiłem. W przedziale "stołypinki", do której mnie wieszono był tylko jeden człowiek i to zupełnie nie wyglądający na urkę. Pomyślałem sobie, że przeładowane transporty podążają wyłącznie na północ. W odwrotnym kierunku można się rozkoszować komfortem jazdy.

Mój towarzysz podróży był bardzo wych^udzony, apatyczny i spoglądał oczami pełnymi rezygnacji. Kiedy tylko wymieniliśmy pierwsze zdanie, od razu poznałem, że nie jest Rosjaninem. Okazało się, jest Polakiem, lekarzem z Warszawy i nazywa się Niewiadomski. Obaj ogromnie ucieszyliśmy się z tego spotkania. Wkrótce dowiedziałem się, że w sierpniu 1939 roku został zmobilizowany, brał udział w kampanii wrześniowej, a kiedy Rosjanie uderzyli od tyłu przedostał się na Łódź. Został internowany, lecz wkrótce go zwolniono i osiedlił się w Rydze. Otrzymał pracę w szpitalu i miał swoje szczęście przeżyć w tym mieście obie okupacje, niemiecką i sowiecką. Kiedy Rosjanie ponownie zajęli Rygę, aresztowano go za kolaborację z Niemcami. Na wszystkich zajmowanych terenach bezpośrednio po przejściu linii frontu, NKWD rozpoczynało masowe aresztowanie na taką skalę, iż nie wystarczyło miejsc w więzieniach. Żadna z osób aresztowanych nie wiedziała dlaczego ją to spotkało, ani za co. Niewiadomskiego przesłuchiwano tylko jeden raz. Śledczy zadowolili się ustaleniem, że podczas okupacji niemieckiej pracował jako lekarz. To wystarczyło, by otrzymał wyrok piętna^{ci}u lat ciężkich robót. Dr Niewiadomski właści-

wie mógłby ^{NAJET} mówić o szczęściu, był to bowiem najniższy wyrok. Pozostali, jego współtowarzysze otrzymali wyroki dwadzieścia lat, przy czym nikt nie wiedział co spowodowało tę różnicę. Prosto z więzienia wysłano go do Workuty, a teraz właśnie z niej wracał. Został wezwany do Rygi i również nie wiedział z jakiego powodu.

- Mogliśmy się tam spotkać, zauważyłem i opowiedziałem mu jak z powodu braku eskorty znalazłem się w Workucie.

- Niech pan dziękuje Bogu, że nie musiał pan tam zostać - powiedział - ale nie mogliśmy się spotkać. Pan został skazany na obóz, a ja na ciężkie roboty - czyli na katorgę.

- Czy to wielka różnica?

- Nieporównywalna. My, skazani na katorgę jesteśmy całkowicie odizolowani od świata zewnętrznego - powiedział i zapadł w milczenie. Zrozumiałem, że rozmowy na ten temat są dla niego zbyt bolesne i przestałem pytać. Była mi go ogromnie żal, gdyż zdałem sobie sprawę, że w porównaniu z jego losem, mój - mógł się wydawać niezwykle fortunny.

Byłem głodny, lecz krapowałem się jeść przy nim, zwłaszcza że wyposażono mnie na drogę w rozmaite specjały. Natychmiast jednak zrobiło mi się wetyd za siebie i podzieliłem się z nim chlebem i mięsem renifera. Później rozmowa stała się już znacznie łatwiejsza i dr Niewiedomeki zaczął opowiadać o sobie i warunkach w jakich przyszło mu żyć:

- Widzi pan ten numer? - wskazał na swoją czapkę, wstał i pokazał mi taki sam numer namalowany na plecach kapoty. Więźniowie skazani na katorgę, w chwili przekroczenia bramy obozu, otrzymują taki numer i w tym samym momencie tracą imię i nazwisko. Kierowani są do najcięższych robót, w kopalniach np. do prac na najniższych poziomach. Po pracy zaś, od razu zamykani są w barakach, z których nie wolno wyjść. Te baraki, to jest dopiero prawdziwe piekło. Niech pan sobie wyobrazi dwustu bardzo wygłodniałych ludzi, którzy nie mają nic do stracenia, skłoczonych na małej przestrzeni, jak zwierzęta w klatce. Oznacza to niekończące się awantury, wymyślanie, bójki a nawet zabójstwa. Po paru godzinach "odpoczynku" w takich warunkach, wraca się z powrotem do pracy pod ziemię. Nie ma dni wolnych. To jest błędne koło. Powolne, systematyczne wyniszczanie.

- Jak pan to mógł wytrzymywać?

- Udało się dzięki memu zawodowi. Nie, nie było wolno zatrudnić mnie w szpitalu, ale wyznaczono mnie jako sanitariusza w baraku. Do moich obowiązków należały drobne opatrunki, zgłaszanie chorych do lekarza obozowego itd. Opieka medyczna jest oczywiście poniżej wszelkiego poziomu. Zwolnienia z pracy wydawane są bardzo rzadko. Tych, którzy są zbyt słabi, żeby pracować odesyła się do szpitala, ale mało kto stamtąd wraca...

Z tego co mówił dr Niewiadomski zorientowałem się, że warunki pracy i poziom wyżywienia na katordze nie różnią się specjalnie od tych, w innych obozach, lecz śmiertelność była tam znacznie wyższa. Niewiadomski nie znał bliższych danych liczbowych, ale odnosił wrażenie, że mimo to, przeciętne liczba więźniów przez cały czas utrzymywała się na jednym poziomie, dzięki stałemu napływowi nowych transportów. Najwięcej przybywało ich z Ukrainy, z tej części obecnej Ukrainy, która przed wojną należała do Polski oraz z krajów Bałtyckich, ale było także dużo Rosjan.

- Ilu więźniów przebywa teraz w Workucie? - zapytałem.

- Nie jestem pewien, mogę powtórzyć tylko to, co mówiono na ten temat w obozie. Jak pan sam widzi, mój numer składa się z litery i czterech cyfr. Zaobserwowaliśmy, że wraz z każdym nowo przybyłym transportem więźniów zmienia się litera i następują cyfry od 1000 do 1999. Doszliśmy więc do wniosku, że każda litera stanowi ekwiwalent 1000 więźniów. Po wyczerpaniu alfabetu, zaczynają się liczby od 2000 do 2999. Najwyższy numer jaki zauważyłem w obozie był "D" i zaczynał się od 2. "D" jest piątą literą alfabetu rosyjskiego, który składa się z dwudziestu ośmiu liter. Z arytmetycznego wyliczenia wynika, że w obozie jest 33 000 więźniów, choć nie jestem pewny czy każdy nowo przybyły otrzymuje nowy numer, czy też dziedziczy go po kimś zmarłym. Zresztą takie wyliczenie też nic nie mówi, gdyż Workuta nie jest jedynym miejscem katorgi. Sam znam jeszcze jedno takie miejsce: Tazek na Syberii.

Przejechaliśmy przez długi most nad Peczorą i zbliżaliśmy się do Kozwy. Zapadła ciemność. Dr Niewiadomski zasnął, ja zaś leżałem i rozmyślałem. Wydało mi się więcej niż pewne, że po przyjeździe do Moskwy, zostaną zamknięty w więzieniu i

zerwą się wszelkie kontakty z zewnętrznym światem. Ani moja żona, ani przyjaciele w Kotłas, nie będą wiedzieli, gdzie się podziałem i co się ze mną stało.

Następnego dnia powinniśmy znaleźć się w Kotłas, gdzie ciągle miałem przyjaciół, dzięki którym mogłem utrzymywać korespondencję. Przyzedł mi do głowy pomysł, aby spróbować wysłać list do tego spośród nich w Kotłas, który dawniej pośredniczył w mojej korespondencji z krajem.

Zawsze wiele mówiło się o przekupstwie konwojentów. Postanowiłem i ja spróbować oszczędzić i zaproponować strażnikowi w zamian za wysłanie listu coś z resztek mojej garderoby. Miałem przy sobie papier i ołówek, ponieważ przed wyjazdem z Abez nie poddano mnie rutynowemu przeszukaniu. O świcie, zacząłem ukradkiem pisać list, tak żeby strażnik spacerujący tam i z powrotem po korytarzu tego nie zauważył. Pociąg trząsał okropnie i szło mi to niesporo. Zwłaszcza że i treść listu musiała być bardzo ostrożna i wyważona, żeby nie wzbudzić zarówno czujności strażnika, jak i ewentualnej cenzury. Kiedy skończyłem, na drugiej kartce napisałem parę słów do strażnika z prośbą, aby wrzucił list do skrzynki na stacji w Kotłas, wyjaśniając mu, że nie miałem czasu załatwić tego samemu w Abez. Zaproponowałem mu też za to swoją kamizelkę.

Od przyjaciół w Abez dostałem na drogę trochę dobrych papierosów. Przez szybkę pokazałem je strażnikowi, młodemu, najwyżej osiemnastoletniemu chłopcu, a gdy otworzył drzwi, wraz z papierosami wsunąłem mu do ręki moją prośbę. Z opowieści kolegów wiedziałem, że transakcje tego typu są możliwe jedynie wtedy, kiedy strażnik jest absolutnie pewny, że nie ma świadka. Czekałem.

Po paru minutach wrócił i spostrzegłem, że z aprobatą spogląda na moją kamizelkę. W chwilę później otworzył drzwi i kazał mi wyjść wraz z rzeczami. Pożegnałem się z doktorem Niewiedomskim i poszedłem ze strażnikiem na drugi koniec korytarza, do pustego przedziału "stółpinki".

- Dajcie ten list i kamizelkę - powiedział i zamknął metalowe drzwi pozostawiając mnie w pustym przedziale. Ze wzięciem sobie kamizelkę, nie miałem żadnych wątpliwości, ale czy wysłał list? W pół roku później, kiedy byłem już w War-

szawie, żona pokazała mi list od przyjaciela z Kozłes, który zawiadomił, że "w celach zdrowotnych udałem się do Moskwy a z drogi, przesłałem mu kartkę z pozdrowieniami", informacja ta miała wielkie znaczenie i znacznie przyspieszyła moje zwolnienie oraz powrót do Polski.

W Kozwie, nasz wagon zapełnił się więźniami. ^{a)} W moim przedziale, przesyłani byli do obozu w Tennikowie, w okolicach Moskwy. Nie było wśród nich politycznych. Jeden z nowo przybyłych, zapewne kierownik kołchoru, zalił się:

- Pięć lat, w moim wieku? Za co? Czy to moja wina, że kołchoz nie mógł wykonać planu produkcyjnego? Żniwa były marne, a jakich mamy robotników? Same kobiety i inwalidzi. Śledczy nic nie chciał słuchać tylko krzyczał, że wlepi mi pięć lat za zaniedbanie obowiązków służbowych. No i dostałem pięć lat z artykułu 111.

Po siedmiu dobach, dojechaliliśmy do Moskwy. Pociąg zatrzymał się na stacji. Ktoś znający miejsce stwierdził, że jest to dworzec Kurski. Nasza "stołypinka" została odłączona i po licznych manewrach zatrzymaliśmy się w wykopie, tak, że tory kolejowe biegły znacznie poniżej poziomu gruntu. Minęło jeszcze kilka godzin ^{nim} kazano nam wychodzić, ustawić się w szeregu i zanim odbył się apel spostrzegłem, że na tym samym torze czekało w kolejce jeszcze wiele "stołypinek". Jakżeś sto metrów dalej, ponad torami wznosił się szeroki most. Niektórzy przechodnie zatrzymywali się przy barierce i z zaciekawieniem patrzyli w naszą stronę. Pojawił się konwój z psami i popędzono nas pod górę, po nasypie. Przypomniałem sobie, że przeżywałem już coś zupełnie takiego samego tyle, że wówczas była zima, a ziemię pokrywała gruba warstwa zmarzniętego śniegu. Będąc na nasypie rozajrzałem się wokoło i dostrzegłem widziany już niegdyś długi, jednopiętrowy budynek. I tak samo jak wówczas, czekał na nas "czarny woron". Tak, nie miałem wątpliwości, znalazłem się dokładnie w tym samym miejscu, w którym byłem sześć lat temu, w drodze z Kargopola do Władimira.

Tym razem jednak "czarny woron" miał małeńkie zakratowane okienka, przez które przedzierał się słaby promyk światła. Obok mnie siedział blady, chudy człowiek o inteligenckim

wyglądzie, czterech może 12-13 letnich chłopców i dwie nieco starsze od nich dziewczyny. Chłopcy czuli się jak u siebie w domu. Byli zadowoleni, jechali do młodzieżowego więzienia, które było im już doskonale znane. Zartowali z dziewczętami i robiąc im miłe propozycje używali słownictwa, jakiego dotąd nie słyszałem, chociaż przesiedziałem tyle lat w obozach i więzieniach. Mój sąsiad dostał ataku kaszlu i przycisnął rękę jakąś szmatą do ust. Powiedział, że pochodzi z Moskwy, a teraz zabrano go z obozu w Solikamsku na północnym Uralu. Był ciężko chory na gruźlicę, a w obozie przez ostatni okres czasu, przebywał w szpitalu. Także nie wiedział dlaczego przewieziono go do Moskwy.

"Czornyj woron" zatrzymał się i zabrano chłopców. W parę minut później wysiadły dziewczęta. Na trzecim postoju wywołano mego sąsiada. Zostałem sam. Wóz stał dłuższy czas. Wreszcie usłyszałem ciężkie kroki podkutych butów, jakby westchnienie i czyjś głos:

- I co z nim zrobimy? Więzienie go nie chce.

Zapenowała dłuższa cisza i inny głos powiedział:

- Wleziemy z powrotem.

Zrobiło się już ciemno. Przez zakratowane okienka przenikały światła latarni ulicznych. W jakimś czasie później wpełznięto mnie z powrotem do jednej ze stojących w szeregu "stożypinek".

Przedział był bardzo zatłoczony, mogłem usiąść, a właściwie ^(włose) przykucnąć na swoim węzełku i w ten sposób spędziłem paskudną noc. Nie spałem, byłem pełen niepokojów, trapiła mnie myśl, co teraz ze mną zrobić. Odeślg z powrotem do Peczorłagu? A może do jakiegoś innego obozu? Rano spytałem jednego z sąsiadów czy przypadkiem nie wie dokąd ten wagon będzie skierowany. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem nim się odezwał:

- Kolego, coś z tobą niedobrze, jesteś zielony?

- Nie, byłem w obozie przez cztery lata, a przedtem jeszcze dwa - oznajmiłem z godnością i z pewną dumą. W jego oczach dostrzegłem jakby odcień szacunku:

- No, to znaczy, że jesteś pierwszy raz w Moskwie. Naprawdę nie słyszałeś o więzieniu na kółkach?

- Nie. Co to takiego?

→ Siedzisz w nim właśnie. No wiesz, brakuje miejsc w więzieniach, choć jak mówię jest ich w Moskwie szesnaście, więc tych, których nie ma gdzie podziąć, pakują do "stożypinek". Bóg jeden wie, ile ich tu stoi na dworcu Kureki, a nie jeden dworzec Kureki w Moskwie. Niekiedy wpychają i po 30 wagonów do jednego przedziału, nie ma gdzie palca wetknąć. Sto osób w jednym wagonie, to w dwudziestu wagonach - 2000. I co? Jest więzienie? Całkiem przyzwoite, tyle że na kółkach.

- Długo się tu siedzisz?

- Różnie. Nie trzymają długo. Inaczej wszyscy by pomarli. Ja tu jestem sześć dni, ale znam jednego, który siedział miesiąc. Jak masz szczęście, kolego, to posiedzisz tu jeden, dwa dni.

Miałem jeszcze większe szczęście. Zaraz po południu wywołano mnie z wagonu i znowu odbyłem drogę do "czarnego worona". Wkrótce znalazłem się na obzernym dziedzińcu otoczonym wysokimi, masywnymi budowlami o zakratowanych oknach. Konwojent przekazał mnie oficerowi dyżurnemu.

Już podczas załatwiania wstępnych formalności, uderzyło mnie poprawność zachowania służby więziennej i niezwykły porządek, jakiego nigdy dotąd nie spotkałem w żadnej tego rodzaju instytucji. Gdy już wszystkie papierki zostały podpisane i oestemplowane, a ja bardzo starannie przeszukany, zaprowadzono mnie do obzernego hallu, z wieloma drzwiami po obu stronach, przypominającego nieco salę politechniki warszawskiej. Kazano mi przejść przez jedno z tych drzwi i odniosłem wrażenie, że znalazłem się na dnie głębokiej studni. Cztery wysokie ściany i powierzchnie posadzki jeden na półtora metra. Wrażenie to powiększały jeszcze błyszczące kafelki, jakim wyłożono ściany. Po dłuższym oczekiwaniu, do pokoju wszła pani w białym fartuchu, która przedstawiła się jako lekarz, lecz nie badała mnie, przeprowadziła jedynie wywiad i stwierdziła, że jestem bardzo brudny. Wyjaśniłem więc, że od ośmiu dni jestem w podróży i nie miałem możliwości umyć się. W chwilę później zaprowadzono mnie do łaźni. Aż trudno było mi uwierzyć, że jestem w więzieniu. Znalazłem się w wykafelkowanym pomieszczeniu, rozdzielonym na dwie części, z których jedna służyła jako rozbieralnia, druga zaś była ła-

zienką. Z pryszniców leciała ciepła i zimna woda. Nikt mnie nie popędzał. Moje rzeczy zabrane do dezynfekcji. Ten, kto się nimi zajmował, zastukał do drzwi zanim wszedł.

Był już późny wieczór 22 października 1946 roku, kiedy znalazłem się w celi. Cella była duża i przestronna, kilkunastu osób leżało na pojedynczych pryczach ustawionych wzdłuż ścian. Niektórzy już spali, ktoś podniósł głowę i zapytał:

- Skąd przyjechaliście?

- Z Peczorłagu.

- Inżynier - brzmiało to jednak, nie jak pytanie, ale raczej jak stwierdzenie oczywistego faktu.

- Tak, skąd wiecie?

- Bo tutaj wszyscy są inżynierami.

Od razu i dowiedziałem się wszystkiego, co trzeba było wiedzieć. W celi nr 73 moskiewskiego więzienia na Butrykach znajdowali się wyłącznie inżynierowie najróżniejszych specjalności sprowadzani ze wszystkich obozów Związku Sowieckiego. Poddawani byli specjalnemu egzaminowi przez specjalną komisję a następnie, w zależności od kwalifikacji rozeyłani do właściwych zajęć. Tak więc wydało mi się, że na koniec znalazłem wyjaśnienie powodu mego nagłego wyjazdu z obozu na północy.

Moim sąsiadem z najbliższej pryczy, był człowiek o niezwykle atletycznej budowie, którego wszyscy nazywali Giszę. Przyjechał z Seweldorłagu, gdzie miał dobrą funkcję kierownika budowy wielkiego koncernu, mimo że z zawodu był inżynierem chemikiem. Przebywał na Butrykach już dwa miesiące i właśnie odbył egzamin przed taką komisją. Opowiedział mi jak się to odbywa.

Otóż co dwa miesiące, pojawia się w więzieniu komisja składająca się z pułkownika NKWD i oficera mniejszej rangi i wówczas lokatorzy celi 73 wzywani są na egzamin. Pułkownik ten - zdaniem Giszę - sądząc po sposobie zadawania pytań, musi być ekspertem wysokiej klasy. Natomiast drugi oficer zajmował się wyłącznie kondycją więźniów, przyczynami jego aresztowania i sposobem odbywania kary. W wyniku egzaminu, pułkownik oznajmił Giszę, że zostanie zatrudniony w laboratorium chemicznym, które zajmuje się badaniami naukowymi

w zakresie materiałów wybuchowych. I rzeczywiście, w kilka dni później Grisza oraz paru innych więźniów, zostali wywożeni z celi z rzeczami.

Pryczę obok mnie, zajął po nim szczupły Gruzin o imieniu, którego nie pamiętam i nazwisku kończącym się jak większość gruzińskich nazwisk na "ezwili". Był inżynierem budowlanym. Pozostało mu zaledwie pięć miesięcy do odbycia całego ośmioletniego wyroku. Był wścibki, że przeniesiono go z obozu do więzienia, gdzie stale czuł się głodny. Dzięki swojej specjalności urzędził się w obozie stosunkowo dobrze, pracując przy konstrukcji mostów.

Opowiadał o istnieniu specjalnych obozów kierowanych bezpośrednio przez GULAG. Zajmowało się tam wyłącznie pracami konstrukcyjnymi a następnie budowę elementów oraz ich montażem na obszarze całego ZSRR. Mosty te budowały specjalne zakłady zwane "Mostzawod", w których zatrudnieni byli wyłącznie więźniowie. "Mostzawod" w Kotłas, w pobliżu obozu tranzytowego w którym przebywałem, był jednym z pierwszych. Instytucja ta, obozy i zakłady wytwórcze, powstały właśnie w związku z budową mostu nad Dwiną w Kotłas dla uruchomienia linii Kotłas-Workuta. Później wykonywano tam elementy stalowe dla wielu innych mostów na tej samej linii kolejowej, a gdy i te już zostały wykonane - do mostów w innych częściach Rosji, szczególnie na zniszczonych przez wojnę terenach Kaukazu i Ukrainy.

Do prac nad montażem mostów, wydzielono specjalne ekipy więźniów z wykształceniem technicznym i wyspecjalizowanych robotników. Mieszkali oni nie w barakach obozowych, lecz w wagonach kolejowych i gdy prace nad budową jakiegoś mostu były już zakończone, przenoszono ich w inne miejsce. Ekipy te w miarę potrzeby wędrowały po całym Związku Sowieckim. Mój gruziński przyjaciel, na przykład budował most nad rzeką Paczora koło Kozwy w 1941 roku, a ostatnio gdzieś na Kaukazie, w miejscu starożytnego zniszczonego przez wojnę. Z jego opowieści wynikało, że warunki w tych specjalnych ekipach były bez porównania lepsze niż w zwykłych obozach.

Kiedy mój przyjaciel Gruzin wspomnił obóz "Mostzmodu" w Kotłas powiedziałem mu, że poznałem tam w 1944 roku pułkownika Jakowłewa. Gruzinowi wydawało się, że słyszał już to nazwisko i kojarzył je z jedyłą, uwieńczoną sukcesem, próbą ucieczki o jakiej słyszał.

Jakowlew podobno gdzieś na Ukrainie wyskoczył z pociągu i przepadł bez wieści. Żadne poszukiwanie nie dały rezultatu. Znając go, nie byłem tą informacją zaskoczony.

x x x

Rozdział XXXIX

CELA NUMER SIEDEMDZIESIĄT TRZY

Liczba więźniów w naszej celi nr 73 wahała się od dwudziestu do trzydziestu. W miejsca odchodzących pojawiali się nowi przybysze. Niektórych z nich pamiętam do dnia dzisiejszego, innych czas zatarł w pamięci. Nie mogę ich wszystkich opisać, ale szkoda by było nawet o nich nie wspomnieć. Jedynym z nich był Iwan Stepanowicz Tkaczow. Gdyby nie trafił do naszej celi, zapewne nie poznalibyśmy odpowiedzi na gnębiące nas wszystkie pytania: jakie będą warunki tam, dokąd nas wyślą? Nikt tego nie wiedział, bo też nikt tam jeszcze nie był. Jedynym człowiekiem, który mógł udzielić odpowiedzi na te pytania był właśnie Tkaczow.

był Śięgło jeszcze niestarym człowiekiem. Na kilka lat przed wojną uzyskał stopień doktora w dziedzinie matematyki fizycznej na uniwersytecie w Charkowie. Później pracował w laboratorium kombinatu metalurgicznego na Ukrainie i zajmował się tam pracami badawczymi nad strukturą metali. Dostał się do niemieckiej niewoli i normalną kolejną rzeczą otrzymał za to wyrok. Na krótko przed terminem jego zakończenia, kiedy już odliczał tygodnie dzielące go od wyjścia na wolność, zaproponowano mu, by kontynuował swoje badania naukowe. Zgodził się na to chętnie. Miejsce, do którego go przeniesiono, okazało się młym, "zakonspirowanym" więzieniem w Moskwie. Spotkał w nim innych więźniów i wszyscy byli Technikami. Każdego ranka zawożono do laboratorium a wieczorem z powrotem do celi. W pracy miał oddzielny pokój i otrzymywał literaturę naukową jakiej żądał. Jego praca dotyczyła teorii fizyki nuklearnej.

Więźniom tej kategorii, pod żadnym pozorem, nie wolno było komunikować się z zewnętrznym światem. Nie wolno im było utrzymywać żadnej korespondencji, zakazano także otrzymywanie

paczek - co jak wiadomo w warunkach więziennych - nie jest bez znaczenia. Racje żywnościowe wprawdzie były dość obfite, ^{ale} bardzo jednostajne. Początkowo warunki te, wydawały się Tkaczowi znosne, z biegiem jednak czasu - zwłaszcza zupełna izolacja, stała się nie do wytrzymania. Zawiadomił więc dyrekcję swego więzienia, że dłużej nie będzie w takich warunkach pracował. W konsekwencji przewieziono go na Butryki i umieszczono w naszej celi.

Tkaczow zapewnił nas, że aczkolwiek nie ma pojęcia co go czeka w przyszłości, woli iść do obozu, niż wracać tam skąd przyzedł. Od niego też dowiedzieliśmy się, że takich "instytucji" w jakiej przebywał, jest w Moskwie więcej, a liczba ich wzrasta. Nie mają one żadnej nazwy, lecz jedynie numery. Zaś na bazie centralnej kartoteki GULAG można było do nich ścisnąć, ze wszystkich obozów ZSSR każdego więźnia jaki był aktualnie potrzebny. Szefem całej tej organizacji jest właśnie ów pułkownik, który egzaminuje inżynierów, drugi zaś oficer jest przedstawicielem kontrwywiadu NKWD.

Rewelacje Tkaczowa wywołały wśród nas poczucie desperacji i powszechne przygnębienie. Większości, dzięki różnym zawodowym umiejętnościom udało się zdobyć znosne warunki bytowe w obozach. Teraz zaczęła nam zagrażać kompletna izolacja na wiele lat. Tylko ci, którzy do tej pory pracowali przy ciężkich robotach w obozie, wydawali się zadowoleni, odnajdując szansę na przetrwanie.

Tkaczow okazał się uzdolnionym niezwykle matematykiem. Godzinami mogliśmy słuchać jego dyskusji z Penkowem, starym profesorem mechaniki. Wielkie wrażenie robiło na nas gdy rysując palcem w powietrzu, rozwiązywał najtrudniejsze problemy matematyczne.

W celi mieliśmy szachy, domino i warcaby. Tkaczow był najlepszym szachistą, z łatwością wygrywał ze wszystkimi i praktycznie nie miał partnera. Natomiast warcaby służyły mu do innych celów. W sposób niezwykle przejrysty przedstawiając pionki potrafił objaśnić teorię atomu. Czarne przedstawiały neutrony a białe elektrony. Już po pierwszej lekcji zrozumiałem bez trudu zasady rozszczepiania atomu i przemiany materii.

Ale nie tylko dzięki Tkaczowowi mogłem poszerzać swą wiedzę. Prawie tak samo lubiłem słuchać pewnego inżyniera o nazwisku Tożetogubow. Był on wykładowcą radiografii w Gorki. Podczas wojny aresztowano go, gdyż w małym gronie najbliższych przyjaciół wyraził niezadowolenie z warunków bytowych w jakich przyszło mu żyć. Dostał osiem lat za szerzenie anty-sowieckiej propagandy /artykuł 58.10/ i zesłano go do jednego z grupy obozów w okolicach Gorki. Jego historia obozowa, jako żywo przypominała mi moją własną, albo Gorszikowa. Gdy wysłano go na roboty z łopatą w rękę, szybko "dojrzał" i znalazł się w szpitalu. Miał minimalną szansę na ocalenie, gdyż procent śmiertelności był wówczas niezwykle wysoki. Miał jednak ~~z~~^{to} odrobinę szczęścia, gdyż w szpitalu brakowało personelu pomocniczego a naczelny lekarz starał się uzupełnić te braki, co bardziej rozgarniętymi pacjentami. Zaczął od rozpoznania jedzenia, nabrał nieco siły i w końcu całkiem nieźle urządził się w obozie. Co więcej, po pewnym czasie udało mu się nawiązać kontakty z żoną, która mieszkała w pobliżu Gorki, zaczął otrzymywać paczki i wiadomości od rodziny. Teraz wyrzekał na swą dolę, ponieważ jak się wydawało, miał utracić to wszystko.

Do grupy naukowców należał również Pankow - były profesor mechaniki stosowanej moskiewskiego Instytutu Technologii. Podczas wojny powołano go do wojsk inżynierskich i dostał się do niewoli. Nie był już człowiekiem młodym, warunki w niemieckich obozach jenieckich były okropne i gdy Niemcy zaproponowali mu pracę w biurze konstrukcyjnym, zgodził się by ratować życie. Dostał za to dwadzieścia lat /artykuł 58.1b/.

W większości jednak inżynierowie z celi nr 73 byli raczej praktykami w różnych dziedzinach i specjalnościach. Wielu z nich miało dobrą, gruntowną podstawę naukową, ale wielu - obawiam się - używało tytułu zupełnie bezpodstawnie, co zresztą w Rosji, nie było aż tak niezwykle. Ani w Łagrach, ani poza nimi.

Inżynier Schernacher był Łotyszem. Podczas okupacji niemieckiej pracował w jakiejś fabryce w Rydze. Kiedy Rosjanie powrócili, skazali go na dziesięć lat. Odbywanie kary rozpoczął w Łagrze w pobliżu Rygi i nawet nie uznawał tego za jakąś szczególną krzywdę. Przeniesienie do Moskwy jednak od-

czuł bardzo boleśnie, uważając je za nielegalne, przestępcze i naruszające wszelkie prawa ludzkie.

- Nawet jeśli Łotwa została teraz włączona do ZSSR i stała się Republiką Autonomiczną, Łotyzy powinni odbywać swoje wyroki w granicach Łotwy - powtarzał uparcie. Codziennie wieczorem podchodził do okna i godzinami spoglądał poza okratowane szyby, za którymi widać było przeciwległy mur, jakby milcząco protestując przeciwko dokonującemu się na nim bezprawiu.

Przypominam sobie również pewnego geodetę przywiezionego z obozu w Chimce w pobliżu Moskwy oraz konstruktora lotniczego, który nie znalazł się na Butrykach, będąc w wielkim żagrze w okolicach Tejszoku, pracował dla potrzeb wewnętrznych linii lotniczych obsługujących Syberię.

Moje kontakty z tymi ludźmi, nie wyłączając Tkaczowa i Tołstogubowa były bardzo powierzchowne i bezosobiste. Słuchając ich opowieści i komentarzy, dowiadywałem się o warunkach życia w innych obozach rozrzuconych po całej Rosji - o niektórych z nich dotąd nie wiedziałem nawet, że istnieją. Mimo to, że dzieliliśmy wspólny los, było jednak w poglądach moich współtowarzyszy coś, jakaś nieuchwytna bariera myślowa - co nie pozwalało mi na bliższe kontakty. Dopiero kiedy pojawili się w naszej celi inżynier Bobkow i dr Harnisch, znalazłem kogoś z kim mogłem dzielić poglądy. Gdy zwolniło się miejsce po ich stronie sali, przeniosłem się tam, a nasze rozmowy rekompensowały mi interesujące przecież, ale nieco męczące wykłady Tkaczowa o energii atomowej.

Bobkow łączył w sobie wszystkie te najlepsze cechy starego Rosjanina, jakie znałem z literatury i opowieści ludzi starszych. Już sam jego sposób zachowania się wobec współwięźniów był dowodem wysokiej kultury, dobroci i serdeczności. Historia jego życia i sposób w jaki o niej opowiadał wskazywał na pewne inklinacje w kierunku mistycyzmu, na ową przedziwną mieszankę rosyjskiego romantyzmu i samopoświęcenia. Przyjmował swoje dołę z rezygnacją a jednocześnie z dumą

pogardę dla bolszewików, pomieszaną z fatalistyczną wiarą w nieuchronność swojego losu. Tak właśnie wyobrażałam sobie zaważe Dekabrystów, którzy sto lat temu wystąpili przeciwko despotyzmowi cara.

Mikołaj Wasylewicz Bobkow był z zawodu geodetą i specjalizował się w hydrologii. Jako główny inżynier, prowadził roboty w tym zakresie, na terenie niemal całego Związku Sowieckiego. Był również ekspertem współpracującym z najważniejszymi ciałami naukowymi, w tym również z Akademią Nauk ZSRR. Był synem kolejarza z małego miasteczka - Kostrymy. Po rewolucji wyjechał do Moskwy na studia, co było sprawą niełatwą w czasach wojny domowej. Poznał zimno, głód i poniewierkę, studiując pracował dorywczo i zarabiał na życie. Mimo to - a może właśnie dlatego - stał się zwolennikiem rewolucji, która otworzyła mu drogę na studia i do dalszej kariery. Potem nadszedł czas NEP-u niesąc względny poprawę warunków i wydawało mu się wtedy, że rewolucja bliska już jest osiągnięcia swoich celów. Ale ^{psychologicznie} zaczęła się kolektywizacja i odtąd na kraj spadły głód, terror i cierpienie. W miarę ich narastania zmienił się również stosunek Bobkowa do rewolucji. Stopniowo zaczął skrycie śmienawidzieć reżimu i bolszewików. Nie wyrażał tego otwarcie, wiedział czym to grozi, był ostrożny.

Wraz z żoną i małym synkiem zajmowali pokój we wspólnym mieszkaniu w Moskwie, dzieląc kuchnię oraz urządzenia sanitarne z innymi, licznymi współlokatorami. Kochał swoją żonę, która była jego pierwszą i jedyną miłością. Pracowała ona zresztą jako chemik równie ciężko, jak on choć często zapadała na zdrowiu. Bobkow pomagał jej w domu i wykonywał najcięższe prace. Robił pranie, zakupy - co połączone było z koniecznością wielogodzinnego wystawiania w kolejkach, wyręczał ją jak mógł. Wiedział, że wśród współlokatorów, dwoje jest informatorami NKWD, nigdy więc w domu nie rozmawiał na tematy polityczne, nawet z żoną i to mimo, że byli sami w swoim pokoju. Był ostrożny do tego stopnia, że gdy udało mu się kupić lepszy kawałek mięsa, gotował je na maszynie w swoim pokoju, żeby nie wzbudzać u sąsiadów zawiści.

Z czasem, dorobili się małej "deczy" pod Moskwą i spędzali tam wszystkie święta i dni wolne od pracy. Jeszcze z czasów

dzieciństwa Bobkow wyniósł zamiłowanie do poezji. Sam również próbował pisać wiersze, a niektóre z nich recytował mi szeptał, kiedy w celi prowadzone były głośne rozmowy. Wiele z nich, poświęconych było jego żonie, z czasów narzeczeńskich i późniejszych. Były proste, szczerze i prawdziwe jak ich autor. Będąc pod przenoźnym wrażeniem rozszalałego terroru, bezprawia i wzechobecnej ludzkiej niedoli, napisał także wiersz pt. "Czerwony Car". Recytował mi fragmenty tego wiersza i przyznał, że wyrazistością uczucia wobec "Matiuszki Roeji" wywarł na mnie duże wrażenie. Także nienawiścią do obecnych ciemiężców ludu rosyjskiego, a szczególnie do Stalina.

Bobkow, oczywiście zdawał sobie sprawę - że nikt, nigdy, poza jego żonę - nie przeczyta tego wiersza, ale mimo to musiał go napisać. Była to potrzeba serca, samooczyszczenia, a może potrzeba "dania świadectwa prawdzie". Napisał go na "daczy", następnie wetknął w butelkę i zakopał. Był absolutnie pewny, że nikt, poza jego żonę o tym nie wie.

Wkrótce potem został aresztowany wraz z 15-letnim synem. Gdy wezwano go na przesłuchanie, na biurku śledczego obok innych wierszy zobaczył również swojego "Czerwonego Cara". Na ławie oskarżonych zasiadł obok niego również i syn Witia. Głównym i jedynym świadkiem oskarżenia był najbliższy przyjaciel syna z ławy szkolnej. Chłopiec okazał się dokładnie tym, co później prokurator określił jako "wierny syn rodzicielskiej ojczyzny i czuły Komsomoлец". On to bowiem złożył doniesienie. Ujciec dostał dziesięć lat, syn - trzy za to, że nie doniósł na ojca. Ale trzeba tu wspomnieć, że Witia jednak wkrótce został ułaskawiony i zwolniony.

Witia przychodził do więzienia i przynosił paczki, a raz nawet pozwolono mu na widzenie z ojcem. Stało się to wtedy, gdy ich żona i matka popełniła samobójstwo, wykakując z okna.

- No i teraz Witia jest sam - zakończył Bobkow. To jest dobry chłopiec. Staraliśmy się uchronić go przed deprawującym wpływem szkoły, chcieliśmy by został przyzwoitym człowiekiem. Mam nadzieję, że takich jest więcej, że nie wszyscy zostaną Horozowami ...

- Zaraz, zaraz - odezwałem się - Morozow był przecież tym rewolucjonistą, którego car okazał na dożywocie, a rewolucja 1917 roku przywróciła mu wolność po dwudziestu latach pobytu w carskich więzieniach.

- Wiem o nim więcej niż pan - przerwał mi - czytałem jego pamiętniki. Teraz władze eksploatują tę historię ze względów propagandowych. Ma ona stanowić świadectwo okrucieństw popełnianych przez carat.

- Po tym, co widziałem w łagrach, gdzie większość więźniów umiera już w pierwszych latach pobytu - można powiedzieć - że Morozow, który przeżył dwadzieścia lat w więzieniu jest raczej reklamą carskich czasów.

- Ma pan rację. Lecz bolszewicy znaleźli sobie innego Morozowa, z którego zrobili narodowego bohatera. Ten drugi Morozow był dwunastoletnim chłopcem.

Zaciekawiła mnie ta sprawa, więc poprosiłem Bobkova, by mi ją opowiedział.

- Działo się to na Uralu podczas wojny domowej. Ojciec chłopaka dał w swoim domu schronienie kilku "białym". Chłopiec doniósł o tym "czerwonym", a ci rozstrzelali zarówno "białych", jak i ojca. Mieszkańcy wioski, po odejściu "czerwonych" dokonali samosądu i zlinczowali chłopaka. ^{z koleją} (Bolszewicy doszedłszy do władzy zrobili go swym bohaterem narodowym i wzniesli mu niezliczone pomniki. W szkołach zaś przedstawiany jest jako przykład do naśladowania. Chłopak, który doniósł na własnego ojca i tym samym spowodował jego śmierć staje się wzorem do naśladowania dla dzieci i młodzieży. Czy zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji wyboru tego typu bohatera? Rodzice nie mogą ufać swoim dzieciom, boją się ich. Więzy rodzinne zostają zerwane, rodziny rozpadają się ...

Pewnego dnia Bobkow został wywołany z celi z rzeczami. Nigdy go więcej nie zobaczyłem.

Doktor Harnisch przyjechał z Wiednia. Ponieważ i ja przez pewien czas w tym mieście studiowałem, ulubionym tematem naszych rozmów były różne wspominki i "dawne dobre czasy".

Harnisch miał doktorat chemii i był uczniem profesora, który wynalazł czy też udoskonalił plastik. Produkcja tego materiału stawała się coraz bardziej popularna w Europie i wywoływała wielkie zainteresowanie w Związku Sowieckim. Dawno temu, jeszcze w początkach lat trzydziestych, firma w której pracował, wysłała go na pewien okres do Rosji jako eksperta. Przyjęto go tu z wszelkimi rewerencjami i tak wystawnie, jak nigdy nie doświadczył tego w Austrii. Kiedy Hitler zajął Wiedeń, Harnisch uciekł do Polski. Później Hitler reaktakował z kobietą Polką, więc Harnisch uciekał dalej na wschód, aż znalazł się na obszarach zajętych przez Rosjan. Mając w pamięci poprzednią wizytę w Rosji, z entuzjazmem przyjął pracę w laboratorium wielkiego koncernu metalurgicznego na Uralu, ale kiedy wybuchła wojna niemiecko-rosyjska został aresztowany. Należąc do siebie za "burżuazję" i w ogóle będąc skromnym człowiekiem, nie czuł się zagrożony. Dopiero w czasie śledztwa, okazało się, że przyczyną aresztowania była poprzednia wizyta w ZSSR. Dostał dziesięć lat zgodnie z artykułem 58.6 jako niemiecki szpieg. Nic mu nie pomogło, iż był Żydem, który dwukrotnie uciekał za granicę przed Niemcami.

Po wyroku zesłano go do łagru w Karagandzie i choć był to obóz rolniczy, bardzo szybko "dojrzał". Uratował się dzięki temu, że magazynier - też zresztą więzień - pomógł mu uzyskać funkcję stróża nocnego. Teraz zaś, wprost z Karagandy znalazł się w Moskwie. Komisja egzaminacyjna GULAG-u przeznaczyła go do pracy w laboratorium, gdzie prowadzono badania nad wprowadzeniem produkcji plastiku. Dowiedział się jednak od Tkaczowa o warunkach ^{bytowych} w tych laboratoriach więziennych, założył swego dawnego stanowiska stróża nocnego w łagiernym magazynie.

W celi, jeden dzień był podobny do drugiego nieodmiennie monotonością. Stopniowo przyzwyczajałem się do więziennej atmosfery. Warunki były znośne. Wrażenie czystości i porządku jakie odniosłem w pierwszej chwili po przyjeździe, potwierdziło się w pełni. W toaletach była bieżąca woda, co dziesięć

dni pozwalano nam na kąpiel w przyzwoitych warunkach. Ściany łazienki wyłożone były kafelkami - nie ze względu na czystość, jak twierdzili złośliwi - lecz po to, by uniemożliwić więźniom komunikowanie się z innymi celami. Na kafelkach bowiem nic się nie da napisać. Każdego dnia odbywaliśmy 15 minutowy spacer. Szliśmy najpierw długimi niekończącymi się korytarzami, przy każdym zakręcie strażnik który nas prowadził, uderzał kluczami w ścianę. Ani razu nie spotkaliśmy więźniów z innych cel. Strażnicy i personel więzienia traktowali nas rutynowo, ale poprawnie, nie uciekając się do wymyślań czy poszturchiwania. Dwa razy w miesiącu mogliśmy na żądanie dostać papier i strament, dla napisania skargi albo prośby do dyrektora więzienia.

Patrząc na to wszystko i porównując z warunkami w innych więzieniach, które widziałem i o których słyszałem, nieraz sobie myślałem, że gdybym był tylko na Butrykach i nigdzie więcej, wyniósł bym jak najbardziej błędne sformułowanie o systemie penitencjarnym w ZSRR.

- To jest tak, jak gdyby pan odwiedził tylko Moskwę i na podstawie tego co tu zobaczył, wyrobił sobie pogląd na życie w całym Związku Sowieckim - uzupełnił Harnisch.

Powody, dla których przeniesiono mnie z łagru do Moskwy zaczęły mi się wydawać coraz bardziej tajemnicze. W listopadzie ^{ZNOWU} pojawiła się i działała komisja egzaminacyjna i nic. Nie wezwano mnie. W grudniu to samo. Wywoływano więźniów, którzy przybyli znacznie później niż ja. Wyglądało na to, że nikt się mną nie interesuje. Jedni specjaliści odchodzili, inni przychodzili na ich miejsce. Od tych więźniów, którzy stawali przed komisją dowiedzieliśmy się, że spotkali specjalistów z cel sąsiadujących z naszą 73. Do tej pory sądziliśmy, że wszystkich inżynierów jacy przebywają na Butrykach umieszczają się wyłącznie w naszej celi.

x x x

Rozdział XI

ZARAŹKI PRZENIKAJĄ Z ZACHODU

Z biegiem czasu, charakter naszej celi zaczął się zmieniać. W miejsce inżynierów i specjalistów różnych dziedzin zaczęli teraz pojawiać się więźniowie zupełnie innej kategorii. Dla nas, starych już "weteranów" stało się jasne, że przybywają z innych więzień, zaraz po otrzymaniu wyroków. Byli i tacy, których przyprowadzono wprost z sali sądowej. Jedni zostawali u nas na krótko, jedną lub dwie doby, inni po kilka tygodni. Dotyczyło to zwłaszcza tych, którzy postanowili odwoływać się od wyroku do wyższej instancji.

Zgodnie z przepisami, odwołanie musi być wniesione w ciągu 72 godzin od chwili ogłoszenia wyroku. Jest to ^{zbyt} mały czas na przygotowanie skutecznego uzasadnienia. Mimo to, odwołania składano nagminnie. Przekonanie o własnej niewinności było tak głębokie, że ludziom trudno było pogodzić się z wyrokiem. Ich pierwszą reakcją, pierwszą myślą po usłyszeniu sentencji było: apelować. Na i oczywiście przez pewien czas żudzili się, że jeśli sprawę rozpatrzy inny zespół sędziowski, natychmiast zostaną uniewinnieni. Kiedy obserwowałem ich krzelenie i zabiegi wokół apelacji, przypominał mi się dr Atanzjan z Kotłas i wielu, wielu innych. Trwało to zazwyczaj kilka dni, później otrzymywali standardową odpowiedź, że sąd nie znajduje żadnych powodów dla rewizji procesu i nie pozostawia im już nic innego, jak tylko pogodzić się z losem. W każdym razie, w czasie mojego pobytu na Butrykach, nie było ani jednego odstępstwa od tej reguły.

W naszej celi utarł się zwyczaj, że każdy nowo przybyły obok nazwiska wymienił artykuł z jakiego został skazany oraz wysokość wyroku. Z nielicznymi wyjątkami wszyscy odpowiadali jednakowo: "artykuł 58.1b, dziesięć lat". Z tego zaś, co opowiedzieli przyszyby aresztowanie, okoliczności, przebieg śledztwa i same procesy, we wszystkich prawie przypadkach - były

zupełnie jednakowe. Opowieści były do siebie tak podobne i dotyczyły takiej ilości osób, że na ich podstawie nie trudno było wyrobić sobie zdanie o tym, co działo się w owym czasie w ZSSR.

Wszystkie sprawy dotyczyły oficerów i żołnierzy Armii Czerwonej, przed którymi - po wyzwoleniu - otworzyły się bramy niemieckich obozów koncentracyjnych, jenieckich a także obozów dla internowanych w krajach neutralnych. Wszyscy znali proklamację czy może raczej apel generała Golikowa, wzywający do powrotu do ojczyzny, a jednocześnie zapewniający wybaczenie wszelkich win. Dla większości oficerów i żołnierzy proklamacja ta nie miała większego znaczenia, gdyż i tak starali się jak najszybciej wracać do rodzin i domów. Nie poczuli się do żadnej winy, zostali wzięci do niewoli nie z własnej woli, nieraz poddawali się na wyraźny rozkaz swoich przełożonych, w niewoli zmuszano ich do życia w najcięższych warunkach, w głodzie, poniżeniu, wymagając pracy ponad siły. Nie widzieli swoich najbliższych od lat i spieszyli do domów najszybciej jak to możliwe. Ci, którzy istotnie mieli coś na sumieniu, jak na przykład to, że przyłączyli się do armii Własowej czy Bandery, też zresztą chcieli wracać do rodzin, mając zapewnienie generała Golikowa - któremu zaufali.

Żaden z nich nie dotarł od razu do domu. Zaraz po przekroczeniu granicy, wprost z pociągów zostali zabierani do obozów FKL /Filtrujazczyj-Kontrolnoj Łagier/ gdzie, jak sama nazwa wskazuje, poddawani byli szczegółowej kontroli i gdzie dokonywał się "odeiw".

Każdy z takich obozów skupiał około 30 000 osób i - jak się zorientowałem z powiadań - warunki jakie tam panowały, nie odbiegały zbyt od tych, w zwykłych obozach karnych. Tak samo otoczone były drutem kolczastym, tak samo pilnowane jak te, które poznałem. Również i tam obowiązywała ciężka, fizyczna praca, podobnie zorganizowana jak w zwyczajnych łagrach. Różnica polegała może na tym, że dawano im nieco więcej żywności i dyscyplina nie była tak surowo przestrzegana. Przebywający w tych obozach nie byli jednak więźniami ale internowanymi, co - jak sądzę - można uznać jako różnicę jedynie formalną. W każdym razie ci, którzy trafili do naszej celi, w większości, podczas pobytu w obozie zatrudnieni byli

celi, w większości, podczas pobytu w obozie zatrudnieni byli przy odbudowie zniszczonych przez Niemców kopalń.

Powracający z niewoli żołnierze byli niezmiernie przygnębieni i rozczarowani przywitaniem jakie zgotowała im ojczyzna. W obszarach obiecywano im, że wrócą do domów, jak tylko zakończy się dochodzenie w ich sprawach. Ale gdzie, kiedy, i przed obliczem jakiego trybunału toczyły się owe dochodzenia - tego nikt nie wiedział. Wywożywano ich, odczytywano zarzuty oraz komunikowano wyrok. Trafiali do naszej celi, wprost z sądu, w stanie kompletnego niezrozumienia tego co się wydarzyło. To co przeżyli, mieli świeżo w pamięci, nie mogli powstrzymać się by nie mówić o swoim losie.

Fakt, że w obozach było pełno agentów NKWD, nie budził niczyjej wątpliwości, zastanawiać się można było jedynie, jak się tam znaleźli. Czy trafili tam normalną jeniecką drogą, czy też NKWD umieściło ich wśród byłych jeńców, gdy tylko władze sowieckie przejęły te obozy w Niemczech i krajach okupowanych. Byłby to chyba najłatwiejszy sposób przenikania agentów do środowisk dawnych jeńców. Zadaniem ich było zapewne wy badać, co każdy poszczególny jeńiec robił i jak się zachowywał w niewoli. W trakcie procesów bowiem okazywało się, że sąd znał prawie każdą krytyczną uwagę wypowiedzianą przez podeśdnego na temat ZSSR. Przeważnie krytyki te dotyczyły porównania poziomu życia w ZSSR a krajami zachodnimi. Byli jeńcy nie mogli powstrzymać się od wypowiedziania takich uwag, zwłaszcza że podróżując przez Europę, bez względu na warunki - widzieli jednak sporo. A że porównania te nie wypadały korzystnie dla Związku Sowieckiego - no cóż? Na tym polegał ich pech. Sąd też znał zazwyczaj każdą uwagę, wypowiedzianą na temat sposobu w jaki byli jeńcy zostali potraktowani we własnym kraju. Lecz te krytyczne uwagi nie były przyczyną dokonywanych aresztowań, a jedynie pretekstem. Tylko w nielicznych bowiem przypadkach skazywano z artykułu 58,10, czyli za antysowiecką propagandę. Prawie każdy z byłych jeńców opowiadał o przebiegu swego procesu i prawie każdy proces miał niemal

TAK! SAM!
przebieg i wyglądał mniej więcej tak:

Podesdny: Nie poczuwam się do winy, że zostałem wzięty do niewoli. Walczyłem tak długo, dopóki miałem amu-

nicję. Później zostaliśmy otoczeni przez wrogów i wzięci do niewoli. Mój dowódca kazał mi się poddać. Wykonałem rozkaz. Nie czuję się zdrajcą, ani nie poczuwam do winy.

Sędzia: Pamiętajcie rotę przysięgi: "Będę bronił mojej ojczyzny do ostatniej kropli krwi". Złamaliście przysięgę.

Podległy: A cóż innego mogłem zrobić? Odmówić wykonania rozkazu?

Sędzie: Złożyliście przysięgę, której nie dotrzy maliście. Waszym obowiązkiem było bronić się do ostatniej kropli krwi a nie poddawać się i iść do niewoli. Trzeba było ostatnią kulę zostawić dla siebie.

Powtarzam słowo w słowo to, co usłyszałem od bardzo wielu byłych jeńców wojennych, którzy przewinęli się przez naszą celę.

Młody i bardzo sympatyczny porucznik Berg w pierwszych dniach wojny, znalazł się na froncie bałtyckim. Batalion, a może nawet cały pułk w którym służył, został odcięty od reszty armii i zapchnięty do morza. Berg, nie widząc żadnej możliwości przebicia się do własnej armii a chcąc uniknąć niewoli, wraz z kilkoma kolegami, starą łodzią rybacką przepłynęli się przez Bałtyk do Szwecji. Znalazł się w obozie dla internowanych w pobliżu Sztokholmu. Było mu tam bardzo dobrze i okres ten wspomina ze wzruszeniem. W obozie, często pozwalano internowanym na wycieczki do stolicy. Pewnego razu idąc z obozu do miasta natknął się na stojący przy krawężniku samochód, którego właściciel bezskutecznie usiłował naprawić zepsuty silnik. Berg w cywilu, był mechanikiem samochodowym, ofiarował swą pomoc i udało mu się uruchomić wóz. Ponieważ nie chciał przyjąć zapłaty właściciel zaprosił go do domu. Berg powiada, że oniemiał wprost na widok komfortu i zamożności tego domu. Został też przedstawiony córce gospodarzy, młodej i ładnej dziewczynie. Wkrótce młodzi zaczęli widywać się coraz częściej. Berg zaś stał się stałym gościem domu.

Po pewnym czasie szwedzka rodzina, nic nie wiedząc o tym, że Berg zostawił w Rosji żonę, zaczęła go traktować po trochu tak, jak się traktuje narzeczonego córki. On sam, zresztą - jak opowiadał - poważnie zastanawiał się czy nie pozostać w Szwecji i nie ożenić się z dziewczyną. Wymieniał nazwisko tej rodziny, ale wyleciało mu z pamięci. W każdym razie szwedzki znajomy kupił mu frak, i Berg - wytwornie ubrany bywał z nimi w operze. Zrobiło to na nim tak wielkie wrażenie, że ciągle do tego epizodu powracał w rozmowach.

W 1943 roku na mocy porozumienia między rządem Szwecji a ZSRR, do obozu internowanych przyjechała sowiecka komisja wojskowa, aby zabrać tych spośród internowanych, którzy wyrazili chęć powrotu do Związku Sowieckiego. Berg długo nie potrafił się zdecydować, lecz myślał o żonie, która gdy odchodził na front, spodziewała się dziecka - przeważyła. W grupie oficerów, a wśród nich i pewnego generała, odesłany został wojskowym samolotem do Rosji. Od razu poszedł na front, był trzykrotnie ranny, ostatni raz bardzo ciężko, w bitwie o Berlin. Odznaczono go wieloma medalami i jako jeden z pierwszych został zdemobilizowany. Pojechał do Moskwy i po raz pierwszy od czterech lat spotkał się z żoną i zobaczył dziecko. Zaraz pierwszej nocy spędzonej w domu, przyszło po niego NKWD, został aresztowany i oskarżony o zdradę kraju z artykułu 58.1b i skazany na dziesięć lat.

Berg wielokrotnie opowiadał o swoim procesie. Kiedy dowodził niewinności powołując się na służbę frontową, sędzia wojskowy orzekł: "Władza ludowa jest sprawiedliwa. Za służbę na froncie zostaliście odznaczeni medalami, a za ucieczkę do Szwecji musicie być przykładowie ukarani".

- Jak długo trwała wojna i byłem im potrzebny, nie uważali mnie za zdrajcę. Myśleli pewnie, że zginę na froncie. Ale, że nie zginęłem, a wojna się skończyła, więc mnie zamknęli - mówił z goryczą.

Prawie identyczną przygodę przeżył powien marynarz floty bałtyckiej. Jego statek uszkodzony przez Niemców schronił się w jakimś porcie szwedzkim a cała załoga została internowana. Nie będę opowiadał wszystkich szczegółów tej historii, dodaję że po wojnie, cała załoga i statek wróciły do ZSRR. Kiedy

znaleźli się na ziemi sowieckiej, wszyscy bez wyjątku z kapitanem włącznie prosto z pokładu zabrani zostali do więzienia. Merynerz ten powiadał, iż jego koledzy także siedzą na Butrykach, tyle że każdy w innej celi. Wszyscy jednakowo dostali "czerwonca", czyli po dziesięć lat.

Więzień nazwiskiem Iwanow przebywał w naszej celi przez bardzo krótki czas, ale zapamiętałem go, gdyż przed wojną był mistrzem dziesięcioboju. Wyróżniał się wzrostem i mimo wychudzenia, wspaniałą kondycją fizyczną. On także dostał dziesięć lat, ponieważ internowany był w Szwajcarii i wrócił do kraju sam, z własnej woli.

Na sąsiednim łóżku, obok mojego, przez pewien czas sypiał Wania Popow, którego inni więźniowie nazywali "Afrykańczykiem". Był to młody rolnik, a właściwie kołchoźnik, osuły i jakby trochę ociężały umysłowo. Przed wojną nawet mu się nie śniło, że kiedykolwiek wyjedzie dalej niż poza granicę własnego rejonu. Kiedy dostał się do niewoli, Niemcy wysłali go do robót fortyfikacyjnych na południowym wybrzeżu Francji, a później całą ich grupę budowlaną do Półn. Afryki. Po zakończeniu wojny, sowiecka Armia wojskowa ściągnęła ich z powrotem do kraju. Dostał także dziesięć lat.

Ale najciekawsze były opinie, jakie byli jeńcy, wyzwoleni przez wojska anglosaskie, wygłaszali na ich temat a zwłaszcza opinie o Amerykanach. Nawet tutaj, w celi, wspominali żywność którą od nich dostawali. Powiadali że w domu, nawet przed wojną nigdy takich dobrych rzeczy nie jedali. Ale największe wrażenie robiło na nich to, że każdy żołnierz anglosaski otworzywszy jakąś puszkę mógł z niej zjeść tyle, na ile miał ochotę, a resztę po prostu wyrzucał.

Nie wszyscy byli jeńcy wprost z obozów "filtrujących" trafiali od razu do więzienia. Wielu z nich, zwłaszcza w początkowym okresie repatriacji, zwalnianych było do domu. Wcześniej czy później kończyli jednak w więzieniu. Do tej kategorii zaliczał się Kalinin i w pewnym sensie doktor Michajłow.

Kalinin był szewcem w jakiejś niewielkiej miejscowości w pobliżu Moskwy. On również dostał się do niewoli, ale uciekł z niej i do końca wojny ukrywał się na polskiej wsi. Dowiedziawszy się, że jestes Polakiem wydał się ogromnie wzruszony i to zresztą stało się przyczyną naszej bliższej znajomości. Poza tym, tak niewiele mieliśmy wspólnego, że w innych warunkach nie byłoby o czym mówić. Teraz ^{JEDNAK} z największą przyjemnością wysłuchiwałem, jak z nieokłamana entuzjazmem opowiadał o naszym kraju. Był szczególnie poruszony solidarnością i patriotyzmem Polaków. Wielokrotnie był świadkiem, jak na wieś, gdzieś w województwie warszawskim, przyjeżdżali przedstawiciele władz podziemnych, był też świadkiem jak chłopci dobrowolnie i bez żadnego przymusu wcielali i zapatrywali różne oddziały Armii Krajowej. Wspominał, że był dobrze traktowany przez gospodarzy i czuł się absolutnie pewny, że nikt go nie wyda w ręce Niemców. W związku z tym, zapamiętałem pewną jego uwagę, która wydała mi się dość charakterystyczna:

- U nas zawsze by się znalazł jakiś "swołocz", co by za kawałek chleba, albo za paczkę tabaki wydał człowieka.

Kalinin, starając się odwdziaczyć gospodarzom za utrzymanie łańka i buty. Lecz największe wrażenie zrobiła na nim obfitość pożywienia. Nie mógł ^{Aż} pojąć, że nawet w środku wojny, może być ^{Aż} tyle mleka, masła, mięsa i chleba. Po wojnie, powrócił do Rosji, oczywiście też znalazł się w obozie "filtrującym", ale szybko zwolniono go do domu. Wrócił do swojej miejscowości i zaczął robić to co przed wojną, reparaować buty w tej samej szewskiej kooperatywie, wieczorami zaś dorabiał w domu i jakoś żył. W pół roku później został aresztowany i okazany za to, że dostał się do niewoli.

Doktor Iwan Michajłow należał także do tej samej grupy nieczczeniików. Prawda jest, że obóz "filtrujący" przeszedł lepiej niż inni, gdyż jako lekarz nie był wysyłany do ciężkich robót. Po stosunkowo krótkim pobyciu tam pozwolono mu jechać do domu, do Woroneża gdzie zostawił żonę i syna. Droga z

obozu wiodła przez Moskwę, jako że jest ona głównym węzłem kolejowym. Musiał się tu przesiąść do innego pociągu. Przyjechał późnym wieczorem.

— Chodziłem po peronie, kiedy nagie poczułem, że ktoś mi się natarczywie przygląda — opowiadał nam. Przypomniałem sobie, że skądś znam tę twarz, ale kiedy nasze oczy się spotkały, człowiek ów szybko odszedł. Po jakimś czasie pojawił się znowu, ale w asyście enkawudziisty. Poznałem w nim dawnego towarzysza z obozu jenieckiego. Powiedziałem "zdrastuj kak żywioz", czy coś w tym rodzaju. Enkawudziista grzecznie poprosił mnie, żebym poszedł za nim, na posterunek dworcowy, w celu sprawdzenia dokumentów. Niczego nie podejrzewałem ani niczego specjalnie się nie obawiałem, dopiero co wyszedłem z obozu i papiery miałem w porządku. Na posterunku dworcowym przetrzymano mnie całą dobę a później zabrano na komendę, gdzie wszystko miało się wyjeść. Zaczęłem naprawdę ^(SIE) nerwować (dopiero w celi, kiedy spotkałem innych byłych jeńców, którzy tak jak ja, byli zwolnieni z FKŁ i na powrót zatrzymani na dworcu w Moskwie.

Z dalszych opowieści Michajłowa wynikało, że materiały stanowiące podstawę oskarżenia dostarczył właśnie ten dawny towarzysz z obozu jenieckiego, którego zaumeżył na peronie. Doniósł on mianowicie, że dr Michajłow w niemieckim obozie leczył grupę jeńców, którzy następnie wstąpili do armii Własowa. Michajłow tłumaczył, że będąc w niewoli niemieckiej, jego podstawowym obowiązkiem było pomagać swoim rodakom-jeńcom i leczyć ich i było to również jego obowiązkiem jako lekarza. W ~~ZADANYM~~ ^{ZADANYM} razie nie mógł przecież przewidzieć, że jego pacjenci, kiedyś w przyszłości wstąpią do armii Własowa — lecz taka linia obrony — oczywiście nic nie dała. Ustalono bez wątpienia, że leczył zdrajców a nawet być może, ²² ~~nie~~ ^{którzy} z nich uratował życie. Takie przestępstwo nie mogło ująć bezkarnie. Ostał więc dziesięć lat.

Michajłow, jak i tylu innych, wniósł podanie o rewizję wyroku i z całą nadzieją oczekiwał, że jeśli jego sprawa zostanie ponownie rozpatrzona, wyrok może być tylko jeden — uniewinnienie. Poza tym, był to uzdolniony młody człowiek, kulturalny i obrotny. W chwili wybuchu wojny miał 29 lat.

Z wielką przyjemnością wysłuchiwałem jego wykładów na temat prawa Mendla, oraz najnowszych odkryć w medycynie. Był też fanatycznym komunistą, doskonale obytym z zagadnieniami filozofii marksistowskiej. Komunistą był od najmłodszych lat i przeszedł całą przepisową drogę. Był najpierw pionierem, potem komsomolcem a na koniec członkiem partii. Zrobił szybką karierę naukową, w wieku 27 lat został wykładowcą na uniwersytecie w Woroneżu. Żony i syna nie widział od ośmiu lat. W dniu, w którym opuszczalem celę przyszło z sądu potwierdzenie wyroku. Kiedy zegnaliśmy się, był zupełnie złamanym człowiekiem.

Wśród całej tej plejady "zdrajców ojczyzny" trafili się oczywiście i tacy, którzy rzeczywiście mieli coś na sumieniu. Jednym z nich był Pawłenko, chłop ukraiński, którego Niemcy wciągnęli do współpracy w czasach kiedy okupowali jego wieś. Kiedy Niemcy się wycofali a linia frontu przebiegała w pobliżu, kilkakrotnie przekradał się na ich stronę przynosząc informacje o charakterze wojskowym. Podczas jednej z tych wypraw został złapany na gorącym uczynku i skazany na dwadzieścia lat ciężkich robót.

Dwaj inni, chłopcy rosyjscy, podczas okupacji wskazywali Niemcom, członków partii komunistycznej, których natychmiast rozstrzeliwano. Mieli na sumieniu wiele istnień ludzkich. Ich także skazano na ciężkie roboty.

Na jedną dobę trafił do naszej celi więzień, który przez trzy czy cztery miesiące przebywał w celi śmierci, zania zmieniono ^{mu} wyrok na dziesięć lat obozu. Nie była to wcale sprawa wyjątkowa. Kilka razy w obozie na północy spotykałem ludzi, którym karę śmierci zmieniono na dziesięć lat łagru. Nie spotkałem jednak nikogo, ani nie słyszałem o takim wypadku, żeby komuś zmieniono karę śmierci na dożywocie, albo pobyt na katordze.

Człowiek, który przez tak długi czas oczekiwał na śmierć, wywołał w naszej celi wielkie zainteresowanie. Wcześniej już słyszeliśmy, że więźniowie z wyrokami śmierci trzymani są

w wieży, znajdującej się na styku dwóch skrzydeł budynku więzienia. Podczas spaceru widywaliśmy tę wieżę i nazywaliśmy ją między sobą "wieżą śmierci". Nasz nowy współtowarzysz potwierdził tę wiadomość i uzupełnił w licznych szczegółach. Opuszczę rozważania na temat jego psychicznych doznań, stanu nerwów i reakcji na każdy zgrzyt klucza w zamku celi. Byliśmy ciekawi, jak takie egzekucje przeprowadzane są w więzieniu na Butrykach. Otóż dowiedzieliśmy się, że w wieży istnieje specjalna, mała cęła, w której umieszczony zostaje skazaniec, a kat strzela do niego przez niewielki otwór w drzwiach na wysokości ~~około~~ głowy. Cęła jest tak wyposażona, że pozwala na szybkie zmycie krwi i usunięcie wszelkich śladów.

Niedawno, już tu, w Szwecji przeczytałem w gazecie, że Związek Sowiecki zniósł karę śmierci. Nie zdziwiło mnie to zbyt, bo tym, co sam widziałem w obozach - także uważam - że kara śmierci jest tam najzupełniej zbędna.

x x x

Rozdział XLI

ZYCIE JEST SILNIEJSZE ...

Iłarion Pawłowicz Gładkin, należał bez wątpienia do grupy prawdziwych przestępców. Był to człowiek 53 letni, wykształcony, wyróżniający się energią i tym czymś trudnym do określenia, co charakteryzuje zawodowych żołnierzy. Mimo skąpych racji żywnościowych, starał się utrzymać w dobrej kondycji fizycznej i każdy dzień rozpoczynał od gimnastyki przy otwartym oknie. Całymi godzinami chodził później po celi tam i z powrotem i liczył kroki, aby wiedzieć ile kilometrów przeszedł w ciągu dnia.

Gładkin miał burzliwe życie. Urodził się jako syn bogatego obzarnika w prowincji Orisz i już od pierwszych dni rewolucji przyłączył się do "czerwonych" i w ich szeregach brał udział w wojnie domowej. Lubił opowiadać o swoich przygodach najpierw w partyzantce bolszewickiej, potem w Armii Czerwonej, a był dobrym narratorem, więc słuchaliśmy go chętnie. Będąc jeszcze młodzieńcem, został mianowany komisarzem armii i dzięki temu miał sposobność licznych kontaktów osobistych z Leninem, Stalinem, Bodiennym i innymi przywódcami bolszewików. Był też oczywiście członkiem partii. Po rewolucji osiadł w Moskwie, gdzie jako bohater wojny, pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji w różnych instytucjach państwowych. Wszystko szło dobrze, aż do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Został zmobilizowany i otrzymał wysokie stanowisko w aparacie politycznym armii. Dostał się do niewoli i wstąpił do armii Własowa, a nawet miał swój znaczący udział w propagandzie na rzecz tej armii. Długo nie mogłem zrozumieć pobudek, jakie kierowały tym bądź co bądź, starym i zasłużonym komunistą. Nie mogłem zrozumieć, co spowodowało że tak nieoczekiwanie i tak gruntownie zmienił orientację. Kiedy go poznałem nieco lepiej, doszedłem do wniosku, iż kierowała nim

szczerą sympatią do ustroju totalitarnego, bez względu na kolor czy hasła. Sam to zresztą częściowo potwierdzał różnymi wypowiedziami.

- Chciał ~~być~~ się często buntować wewnątrz, przeciwko hitlerowskiemu okrucieństwu, przyznam, że mogę je zrozumieć - powiedział kiedyś. Ale Hitler w konsekwencji doprowadził do wyniszczenia własnego narodu i to w stopniu niespotykanym dotąd w historii świata. Z tym już trudno się zgodzić, choćby działało się to w imię idei, dla której poświęciło się całe życie.

Kiedy w celi panował gwar głośnych rozmów, siedaliśmy w kącie i po cichu wymienialiśmy poglądy o interesujących nas sprawach. Gładkin, był doskonale poinformowany w przedmiocie zasad funkcjonowania systemu sowieckiego. Niektóre jego uwagi zupełnie na nowo oświetliły różne fakty i zjawiska, które sam zaobserwowałem. Ich inteligentna interpretacja poparta doświadczeniem jego całego życia sprawiły, że wszystkie te komentarze i opinie nabierały szczególnej wiarygodności i brzmiały jak potwierdzenie zarówno własnej przeszłości, jak i obecnej sytuacji.

- Wiem, że sporo pan sam zobaczył, ale wszystko co pan widział i tak dalekie jest od prawdziwego obrazu cierpień i niedoli ludu rosyjskiego przez ostatnie trzydzieści lat. Powiedział kiedyś: "Jeśli policzymy ofiary rewolucji z całym jej terrorem, wojny domowej, deportacji, żegrów, wysokiej śmiertelności spowodowanej głodem, chorobami, nędzą, poniewierką i w końcu jeśli wliczymy w to ofiary ostatniej wojny, przemieszanie całych narodów - widać jak na dłoni, że lud rosyjski zapłacił za istnienie wprowadzonego systemu komunistycznego ceną 100 milionów istnień ludzkich".

Wyraziłem wątpliwość co do tej liczby.

- A jednak zapewniam pana, że nie ma w niej najmniejszej przesady - rzekł stanowczo. Sędzę, że nawet rząd sowiecki nie ma co do tej liczby wątpliwości. Ostatnio wprowadzono wysokie premie i inne przywileje dla rodzin wielodzietnych oraz medale dla matek kilkorga dzieci. Niegdyś, Rosja miała największy przyrost naturalny w Europie, a teraz musi się zachęcać ludzi, żeby chcieli mieć dzieci. Ale jak może być inaczej.

skoro dwadzieścia pięć milionów ludzi trzymanych jest w różnego rodzaju łagrach.

Tu znowu zaprotestowałem. - Myśli pan, że istotnie dwadzieścia pięć milionów? Słyszałem już wiele liczb i naprawdę nie wiem, która jest najbliższa prawdy.

- Moim zdaniem właśnie ta ostatnia. Dwadzieścia pięć milionów - upierał się Gładkin. Przed wojną szepotało się w Moskwie, że w kraju jest piętnaście milionów więźniów. Do tej liczby należy dodać dwa miliony aresztowanych i deportowanych z Polski, Litwy, Łotwy, Estonii i Rumunii w roku 1939 oraz jeden lub dwa miliony aresztowanych w czasie wojny jako "elementy niebezpieczne społecznie". A później niech pan sobie przypomni te masowe aresztowania na wielką skalę na terenach poprzednio okupowanych przez Niemców, a szczególnie na Kaukazie, Ukrainie i w krajach bałtyckich, ^{ZAS} teraz tych wszystkich powracających z obozów jenieckich i osoby cywilne wywiezione na roboty przymusowe. Musi pan przyznać, że liczba dwadzieścia pięć milionów nie jest przesadzona.

- Jestem w Rosji od 1939 roku i wiem o aresztowaniach w tych czasach może więcej niż pan. I liczba, którą pan wymienia jest być może prawdziwa, jeśli istotnie przed wojną było w Rosji piętnaście milionów więźniów.

- W tym na pewno się nie mylę. Kiedy mieszkał pan jeszcze za granicą, z pewnością czytał pan w prasie co się działo tu w Rosji: kolektywizacja wsi, proces Ranzina i inżynierów w 1932 roku, zabójstwo Kirewa w 1936, fala czystek w latach 1937-1938, wymieniam tylko najbardziej znane wydarzenia z ostatnich lat. Ale oczywiście nie wyczytał pan w prasie nic, ^{o tym} co w istocie kryło się za tymi procesami.

- Sędzę, że wiem, choć ...

- Nie wie pan - przerwał Gładkin. Istotnym celem tych procesów nie było wcale ukaranie kilkudziesięciu czy kilkuset osób, które naruszyły sowieckie prawo. To była zwykła inscenizacja. Widowisko zorganizowane dla prasy, po to by pokazać, iż w Rosji istnieje prawo i że jest to kraj praworządny. Widowisko na użytek zagranicy, na które spreparowano dziennikarzy z całego świata. Ale świat nie dowiedział się nigdy, że każdy z tych procesów był ^{tylko} sygnałem ^{wywoławczym} dla NKWD do masowych

aresztowań na polecenie politbiura. I tak po ogłoszeniu dekretu o kolektywizacji wsi, zarządzano procesy kulaków, którzy istotnie sabotowali ten dekret. I oni praworządnie i legalnie zostali postawieni przed sądem. Ale również w tym samym czasie zamykano setki tysięcy nieznanymi, bezimiennymi kulaków - których jedyną winą było to, że w ogóle istnieli w czasach, kiedy nie powinno ich być. To samo po zlikwidowaniu NEP-u, wyniszczono setki tysięcy drobnych właścicieli. Póki NEP istniał, stanowili oni podstawę państwa, później oskarżono ich, że są reliktem kapitalizmu i przeszkodą na drodze do socjalizmu. I jako takich należało ich zlikwidować. Proces Namzina też znany za granicą, był sygnałem do masowych aresztowań kadr technicznych.

- Słyszałem o tym - powiedziałem, przypominając sobie Anielskiego.

- Pamiętaj pan, zapewne słynne procesy moskiewskie z 1937 roku Bucharina, Zinowiewa, Kamieniowa, Tuchaczewskiego. Ich procesy toczyły się przy drzwiach otwartych. Zapraszano nawet prasę zagraniczną. W wyniku tych procesów 30, czy 40 znanych osób skazano w majestacie prawa, ale przecież na tym się nie skończyło. To był dopiero początek. NKWD nie miało czasu bawić się w procesy. Jeźw powołał tak zwane "trojki". W każdej jednostce administracyjnej od wioski i osady poczynając, takie trzy osobowe komisje przystąpiły do pracy, mając pełnię władzy, mając prawo aresztowania, prowadzenie dochodzenia i skazywania każdego, kogo uznały za stosowne. Dało to możliwość zesłania do obozów wielu milionów ludzi. Musiał pan spotkać się z takimi ludźmi w obozach.

- Tak, ale niewiele ich już zostało.

- Wcale się nie dziwię. Jest to zaledwie pojedynczy przykład masowej eliminacji. Kiedy Niemcy wycofali się z Kaukazu, rozpoczęły się tam, jak pan pamięta, wielkie procesy pokazowe w Krasnodarze. Zgodnie z prawem osądzić miano zbrodniarzy, którzy pomagali Niemcom w masowych egzekucjach dokonywanych na komunistach w tzw. "duzogukach" - czyli specjalnie skonstruowanych samochodach-komorach gazowych. W związku z tym procesem, wprowadzono nawet oddzielnym dekretem, dla tego typu zbrodniarzy, karę śmierci przez powieszenie. Procesy

były jawne, odbywały się na oczach świata, a ich przebieg był szeroko komentowany. Ale co się działo potem? Armia Czerwona postępowała na zachód, a za nią krok w krok posuwało się NKWD dokonując masowych aresztowań. I teraz już, procesy odbywały się w największym pośpiechu z całkowitym pominięciem przepisów prawa, bez świadków, bez możliwości obrony, bez dowodów winy, po cichu, w warunkach zupełnego chaosu, jaki panował tuż po zakończeniu działań. Ich genezą była nie tyle potrzeba ukarania winnych, ile masowe represje i dyskryminacja całych grup ludności, jeśli nie całych narodów. W tym samym czasie wprowadzono na nowo karę ciężkich robót - czyli "katorgę". Przebywałem już wtedy w więzieniu i przez dwa lata oglądałem to na własne oczy. Jeśli dodamy wszystko razem to okazało się, że liczba dwadzie^{stu}, pięć^u milionów nie jest wcale przesadzona.

Także głośno omawiane sprawy naszych współtowarzyszy z celi dawały Gładkinowi okazję do wygłoszenia własnych komentarzy i tak na przykład o sprawie Michajłowa powiedział:

- Sądzi pan może, że jego sprawa stanowi odosobniony przypadek? Siedziłem w kilkunastu celach więziennych w Moskwie i w każdej prawie spotkałem kogoś takiego. Nawet siedząc za kratami, bez trudu mogę zgadnąć co się dzieje na moskiewskich dworcach. Moskwa jest największym węzłem kolejowym w Rosji i dlatego stanowi najlepszy punkt obserwacyjny dla NKWD. Stanowi coś w rodzaju dodatkowego sita dla tych wszystkich, którym udało się przejść przez filtry F-K-Lagrow albo z nich uciec, albo jak w przypadku naszego Michajłowa, nie natrafić w swoim obozie na właściwego agenta. Z tego to powodu na wszystkich dworcach umieszcza się licznych agentów obserwatorów. Nie tylko na dworcach moskiewskich.

Przypadek Kalinina zaś tak skomentował:

- Dla mnie jest to wszystko całkowicie jasne. W pierwszym okresie zwalniano z obozów "filtracyjnych" wprost do domu. Dotyczyła to przede wszystkim żołnierzy i osób cywilnych, wywiezionych na roboty. A działo się tak, ze względu na tych, którzy ciągle jeszcze pozostawali za granicą. Korespondencja między ZSSR a sowiecką strefą okupacyjną w Niemczech funkcjonowała całkiem niezłe. Teraz repatriacja jest już właściwie

zakończona, a ci którzy nie chcieli powrócić i pozostali w strefie brytyjskiej czy amerykańskiej, dobrowolnie już nie powrócą. Można więc teraz pozwolić sobie bez żadnego ryzyka na wyrocztowanie wszystkich zakątnych zachodem, zapewniając sobie miliony rąk do pracy a jednocześnie zapobiegając dalszemu szerzeniu się "węgiewej" propagandy. Zauważył pan, co opowiedział Kalinin o obfitości pożywienia w Polsce? A przecież miliony takich Kalininów powróciło do domów.

Gładkin otrzymał wyrok piętnaSTU lat, wyrok więc ciężki, mimo to jednak wydawał się znacznie tym mniej przejęty, niż więkzość lokatorów naszej celi. Przypisywałem to sile jego woli, a może także poczuciu winy i odpowiedzialności za własne czyny. Lecz gdy spytałem go, skąd czerpie optymizm, odpowiedź jaką otrzymałem, nie potwierdziła moich przypuszczeń.

- Jestem absolutnie przekonany, że w ciągu najbliższych lat wybuchnie nowa wojna - oznajmił. Tak więc sądzę, że praktycznie nie ma większej różnicy, czy ktoś otrzymał 5, 10 czy 15 lat. Oczywiście, wysoki wyrok bez wątpienia oddziałuje na psychikę więźnia. Ale kto ma mocne nerwy, jak ja, i jest zorientowany w sytuacji politycznej, nie powinien sobie łamać głowy wysokością wyroku.

Wypowiedź ta wywołała szerszą dyskusję w celi na temat możliwości wybuchu nowej wojny. Dzisiaj nie ma powodów przytaczać argumentów, jakimi wiele lat temu posługiwał się Gładkin, ponieważ można je przeczytać w każdej gazecie na świecie. Przytoczę jedynie krótko podstawowe tezy, na jakich opierał swoje rozumowanie.

- Sowiety - powiedział - rozpoczną gwałtowny i na szeroką skalę zakrojony proces zbrojeń i będą utrzymywały silną armię w stanie stałej gotowości bojowej. Mogą sobie na to pozwolić, gdyż system totalitarny może bezkarnie utrzymywać ludność na najniższym poziomie, co w krajach zachodnich jest oczywiście niemożliwe. Demokracje zachodnie skierują cały swój wysiłek na odbudowę zniszczeń wojennych i odbudowę podstaw gospodarki swoich krajów. Także Ameryka nie może sobie pozwolić na utrzymywanie dodatkowej armii w Europie w nieskończoność. Europa odradzająca się ze zniszczeń, także nie będzie mogła utrzymywać silnych armii, gdyż musiałoby to prowadzić nieuchronnie

do obniżenia standardów życiowych bbywateli, co wywołało by niechybne niezadowolenie, a w konsekwencji rozszerzenie się komunizmu. W tej sytuacji i Ameryka i kraje zachodnie nie mają innego wyjścia - nawet wbrew swojej woli - jak tylko pójść na rozwiązanie zbrojne, w celu obrony całej zachodniej kultury. Tak, panowie, wojna jest nieunikniona.

- Przypuśćmy, że ma pan rację i wojna rzeczywiście wybuchnie - powiedziałem - ale czy przyniesie to jakąś zmianę w doli więźnia. Pamiętaj pan, jak rosyjski żołnierz dzielnie walczył przeciw Niemcom ...

- Rosyjski żołnierz - przerwał Gładkin - zaczął walczyć i zwyciężać dopiero wtedy, kiedy przekonał się, że Niemcy ze swymi zwycięstwami nie przynieśli poprawy bytu, nie uwolnili od bolszewizmu, lecz są jeszcze gorzysmi tyranami i zbrodniarzami, niż własne rządy.

Podczas jednej z takich rozmów zapytałem o sprawę, która od dłuższego czasu mnie intrygowała i na którą od dawna nie mogłem znaleźć rozsądnej odpowiedzi.

- Czy mógłby mi pan wytłumaczyć psychologiczne przyczyny pasywnej postawy Rosjan. Rozumiem, że nie można mówić o buncie ani podjęciu walki z władzą z powodu wazzechobecnego istnienia NKWD. Wiadomo też, iż co trzeci Rosjanin jest donosicielem. Nie mogę natomiast pojąć, jak ludzie tkwiąc w nieustannym głodzie, terrorze i cierpieniu mogą pracować, żyć normalnym życiem, a nawet bawić się, chodzić do kin, teatrów i na potańcówki? Mam na myśli oczywiście ogół, a nie uprzywilejowaną grupę nowej arystokracji.

- Życie jest mocniejsze niż wszystko - powiedział Gładkin - pan sam jest tego najlepszym przykładem. Natura wyposażyła człowieka w niezwykle możliwości adaptacyjne do warunków w jakich przychodzi mu żyć. Człowiek łatwo przystosowuje się do wszystkiego, o ile tylko ma na minimalnym poziomie zapewnioną egzystencję. Poza tym, niech pan nie zapomina, że współczesny Rosjanin wzrastał już w systemie sowieckim, i na ogół nie wie o reszcie świata. Nie ma żadnych możliwości porównywania. Wszyscy zaś, są tak zaabsorbowani trudnościami dnia codziennego, walką o poprawę swojej sytuacji, że nie mają ani czasu ani siły, na inne sprawy. Człowiek, którego

nie zdominowała jeszcze nienawiść do systemu, wobec ciężarów i trudów codziennej walki o przetrwanie, daje sobie spokój ze wszystkim co jest i tak silniejsze od niego, i na co nie ma żadnego wpływu. Nie mający żadnej możliwości wyboru i zmuszony żyć w warunkach, jakie system stworzył, cały swój wysiłek wkłada w to, by życie w warunkach jakie są, ułożyć sobie najwygodniej jak to możliwe.

Właściwie zadowolili mnie te odpowiedzi. W pewnym sensie wyjaśniła także postawy różnych elit w obozach i wielu niezrozumiałych zachowań znajomych mi Rosjan, z jakimi często się spotykałem. Takim żywym przykładem teorii Gładkina, był na przykład Bobkow. Nie potrafił bezkrytycznie zaakceptować rzeczywistości i opanować narastającej nienawiści do systemu - musiał wcześniej czy później zostać pokonany przez silniejszego - przez państwo, musiał mu ulec. Rozmowy z Gładkinem stały się dla mnie przyjemną i pouczającą odmianą w więziennym bytowaniu, a jednocześnie znacznie poszerzały moją wiedzę o ZSSR. Ale nie trwało to długo. Pewnego dnia Gładkin, został zabrany z transportem, prawdopodobnie pojechał tam, skąd ja przyjechałem. Był ostatnim, a może i najlepszym przewodnikiem w rozwiązywaniu tej ogromnej i zagadkowej krzyżówki jaką był dla mnie i jest nadal Związek Sowiecki.

W ciągu kilku tygodni nasza cela z wolna zaczęła pustoszeć. Więźniowie, którzy wnosili społeczę, na drugi, trzeci dzień po otrzymaniu potwierdzenia wyroku opuszczali cele, na ich miejsce nikt nie przybywał. Zostało nas tylko 15 w celi przeznaczony dla 28. Z grupy inżynierów, pozostałem już tylko ja jeden. Wszystko zdawało się wskazywać na to, że nie zostałem tu przekazany z łagru, w celu umieszczenia mnie w którymś ze specjalnych więzień GULAG-u. Całe godziny spędzałem teraz na rozmyśleniach, próbując rozwiązać tę zagadkę. Całymi dniami rozstrząsałem ten problem i zadreptałem moich współlokatorów dyskusjami na swój temat. Zdania były podzielone, jedni uważali, że zostałem ściągnięty do Moskwy jako świadek w procesie, któregoś z moich dawnych znajomych, zaś inni, że otwarto

przeciw mnie nowe śladstwo. Najgorzsze były długie, bezsenne noce. Całymi godzinami przewracałem się z boku na bok, przeglądając w pamięci listę swoich "grzechów". Gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach byłem niedyskretny, przed kim narzyt się otworzyłem i kto mógł na mnie donieść.

Za wszelką cenę pragnąłem poznać prawdę, najezybciej jak to możliwe, bez względu jak brutalne by się ta prawda mogła okazać i bez względu na cenę, jaką przyjdzie mi zapłacić. Postanowiłem wreszcie skorzystać z jednego z naszych przywilejów i w połowie grudnia napisałem do dyrektora więzienia prośbę o wyjaśnienie powodów przeniesienia mnie na Butryki. Z doświadczenia wiedziałem, że odpowiedź powinienem otrzymać w ciągu miesiąca.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Na tę okazję, od dawna już oszczędzałem z codziennej racji żywnościowej kawałek chleba i odrobinę cukru. Święteczne zapasy z dnia na dzień rosły, choć muszę się przyznać, że przykro mi było leżeć na pryczy z pustym brzuchem i świadomością, iż mam pod głowę woreczek z chlebem. Za to w wigilię i w święta urządziłem sobie prawdziwą ucztę i po raz pierwszy od czasów kiedy znalazłem się na Butrykach usnąłem nie mając uczucia głodu.

W ostatnich dniach grudnia 1946 roku w naszej celi nastąpiły niesoczekiwane zmiany. Pownego wieczoru zaczęli napływać nowi więźniowie. Jeden, drugi, dziesiąty, wydawało się, że nigdy nie będzie końca. Kiedy wreszcie drzwi celi zamknęły się ostatecznie, okazało się że jest nas 93. Ścisnęliśmy się, ile się tylko dało, ale to i tak niewiele mogło zmienić. Część nowo przybyłych musiała rozlokować się na podłodze, w takiej samej ciasnocie, jak my na pryczach. Początkowo nie mogłem zorientować się kim są nowo przybyli. Łapałem pojedyncze słowa, które brzmiały mi obco. Większość z nich, miała ubrania europejskie, choć bardzo zniszczone i w kiepskim stanie. Wśród nich wyróżniało się dwóch mężczyzn, których uznałem za Japończyków oraz jeden w mundurze nieznanej mi armii. Niektórzy mówili po rosyjsku, ale w odmienny sposób, a w od-

niecieniu do siebie używali zwrotu "gospodin" nie używanego w Rosji chyba od czasów rewolucji.

Trzech z nich rozlokowało się w moim najbliższym sąsiedztwie. Najwidoczniej byli z sobą bardzo zaprzyjaźnieni, a dwaj traktowali tego trzeciego z dużym szacunkiem i zwracali się doń per "gospodin gienierał". Od razu zacząłem z nimi rozmowę. Okazało się że moi sąsiedzi, jak i większość pozostałych, przybyła z Harbina. Natychmiast po przyjeździe, GSO odczytało im wyroki. Wszyscy dostali po dwadzieścia lat łagru. Blizsze szczegóły opowiedział mi, mój najbliższy sąsiad, dyrektor rosyjskiego teatru w Harbinie.

W Mandżurii a szczególnie w Harbinie mieszkało wielu Rosjan. Część z nich osiedliła się tam, jeszcze za cara, w czasie budowy kolei mandżurskiej. Wielu uciekło tam przed bolszewickim terrorem w czasie rewolucji. Rosyjska ludność w Harbinie wzrosła wtedy do 40 000 i zaczęła nadawać miastu swój specyficzny charakter. Powstały wówczas rosyjskie szkoły, teatry, biblioteki, kluby sportowe itp. Rosjanie stali się także właścicielami największych sklepów i zakładów przemysłowych w europejskiej części miasta. Kiedy Japończycy zajęli Mandżurię, zostawili ich w spokoju. Jesienią 1946 roku Armia Czerwona zajęła Harbin. Początkowo nic się nie zmieniło, ale szybko rozpoczęły się aresztowania. W ciągu jednej nocy kilka tysięcy osób zostało zabranych, większość z nich spośród ludzi wykształconych i zajmujących poważną pozycję społeczną. Co się stało z resztą ludności rosyjskiej Harbina mój rozmówca - nie wiedział, a zostawił TAM żonę i dzieci. Przypuszczał, że ich również aresztowano i deportowano.

Ta pierwsza grupa, do której należeli moi nowi znajomi została od razu załadowana do bydzących wagonów i po sześciu tygodniach podróży, podczas której wielu z nich zmarło, znalazła się na Butrykach. Tutaj jako "biali" i aktywni "kontrrewolucjoniści" dostali najwyższe wyroki od 15 do 20 lat. Starszy pan, którym towarzysze opiekowali się i traktowali go z szacunkiem, był 75-letnim generałem carskiej armii.

Nasza cela była teraz tak zatłoczona, że w ciągu dnia po kilka osób mdlało. Więzienie na Butrykach, straciło swoją wyjątkowość i upodobiło się do wszystkich innych więzień

w Rosji, jakie dotąd odwiedziłam. W celi panował duży ruch, co drugi, trzeci dzień wielu nowe przybyłych odchodziło, a na ich miejsce przybywali inni. Jako doświadczony już więzień łatwo poznałam reguły tej gry, poznałam przyczyny przypływów i odpływów. Otóż pewna kategoria więźniów osądzana była nie przez sądy, ale przez OSO. Kolegia te urzędowały, albo może raczej odbywały sesje w naszym więzieniu co drugi miesiąc. W zależności od odbywanych przez nie sesji, setki więźniów przenoszono z celi w których oczekiwali na wyroki, do celi dla już osądzonych. Obie te kategorie więźniów nigdy nie były umieszczane w tych samych pomieszczeniach.

Wyroki wydawane przez OSO były ostateczne i nie podlegały apelacji, ale ich ofiary mogły składać podania o łaskę do Przewodniczącego Najwyższego Sowietu /dawniej Kalinin, obecnie Szwarznik/, do Ministerstwa Sprawiedliwości oraz Prokuratora Generalnego ZSRR. Ale złożenie próby o łaskę nie oznaczało wcale, iż potent będzie - tak jak w przypadku złożenia apelacji - oczekiwał na odpowiedź w więzieniu. Przeciwnie, więźniów takich natychmiast odsyłano do łagrów, skąd mogli już sobie pisać do wymienionych władz, ile tylko zechcą. OSO bowiem w pojęciu prawnym nie jest sądem. Jego orzeczenia nie są wyrokami, ale nakazami. OSO ma uprawnienie nie tylko odizolowania /czytaj aresztu/ każdego obywatela kiedy tylko zechce i którego zechce, ale może również zwolnić go, bez konieczności opowiadania się innym władzom. W praktyce rzadko albo wcale nie zdarza się, by więzień skazany przez OSO został zwolniony przed upływem terminu wyznaczonej mu kary. Jedynym wyjątkiem od tej reguły - jaki znam - jestem ja sam.

X X X

ROZDZIAŁ XLII SYPIALNYM DO GRANICY

W ciągu najbliższych trzech tygodni chaotycznych ruch w naszej celi ustał. Prawie wszyscy skazani przez GSO wyjechali, a przed moimi oczami przeesuwał się teraz nieprzerwany *Korowód* ludzi najróżniejszej narodowości. Każdy skrawek naszej celi wypełniali Rumuni, Niemcy, Japończycy, Litwini, Łotysze, Koreańczycy, no i Polacy, obok "prawowitych" mieszkańców, to jest Rosjan i obywateli ZSSR.

Niemiec, Zee, znał tylko trzy rosyjskie słowa: "nie", "da" i "klieb". Dla wielu spośród nas wydawał się śmiały ze względu na swą *wyjątkową* uprzejmość i wyszukane maniery. Był to wysoki, bardzo spokojny i zrównoważony mężczyzna w wieku około pięćdziesiątki, bardzo inteligentny i zachowujący się w sposób tak naturalny, że nie budziło najaniejszych wątpliwości iż wywodzi się z tzw. wyższych kręgów społecznych. Kiedy spostrzegłem, jak bardzo jest bezradny i nieporadny w obcym środowisku, przełamałem swoją generalną wobec Niemców rezerwę i starałem się mu pomóc w różnych trudnych sytuacjach. Odtąd nie omijał żadnej okazji by porozmawiać ze mną.

Pochodził z Frankfurtu nad Menem, podczas wojny kierował strażą przemysłową w protektoracie Czech i Moraw. W 1944 roku w związku z zamachem na Hitlera - został aresztowany przez Gestapo i osadzony w berlińskim więzieniu Moabit. Kiedy Rosjanie zajęli Berlin, udzielał rosyjskiej komendanturze więziennej ważnych informacji dotyczących wyższych urzędników hitlerowskich. Zee był bardzo dobrze traktowany, w trakcie przesłuchań starannie zaprotokołowano to co miał do powiedzenia, a prowadzący dochodzenie obiecał, że wkrótce wyjdzie na wolność. Jednak zamiast obiecanej wolności został przesłany na Butryki, oskarżony o szpiegostwo na rzecz angielskiej Intelligence Service a następnie skazany na 20 lat.

Nigdy nie dowiedziałem się kim był naprawdę. Może istotnie Rosjanie mieli rację, gdyż nie wykazywał żadnych cech tak charakterystycznych dla hitlerowskiej mentalności. Poza tym był aresztowany przez Gestapo i doskonale mówił po angielsku. Taką hipotezę wyraził Schein. On także doskonale mówił po angielsku i wdawał się w długie rozmowy z Zee.

Schein urodził się w Galicji, ale ponad dwadzieścia lat swego życia spędził w USA. Zafascynowany komunizmem, dał się zwieść bolszewickiej propagandzie i w latach dwudziestych wyemigrował ze Stanów Zjednoczonych do ZSSR. Wstąpił do partii i szybko wpełznął się po drabinie hierarchii partyjnej. Podobnie jak Krawczenko, wysłany był do USA w różnych misjach handlowych, w sprawie zakupu jakichś maszyn i urządzeń przemysłowych. Ominęły go kolejne fale czystek, aż dopiero ostatnio aresztowano go jako "element niepewny politycznie". Dostał tylko trzy lata, a że był człowiekiem już znacznie po sześćdziesiątce i w dodatku na pół ślepy, nie miał wielkich nadziei na dotrwanie do końca wyroku. Schein przypuszczał, iż aresztowany został z powodu żony, która zachowała obywatelstwo brytyjskie. Był on zresztą jedyną osobą w naszej celi skazaną na więzienie a nie na pobyt w łagrze.

Przez naszą celę przewinęło się jeszcze wiele osób, wśród nich także dwóch wykształconych Rumunów. Rozmowa z nimi była jednak bardzo utrudniona, gdyż okazało się że zupełnie zapomniałem resztek swojej szkolnej francuszczyzny. Dowiedziałem się zaledwie tyle, że są kuzynami, a ściślej szwagrami, jeden z nich był profesorem teologii na uniwersytecie w Bukareszcie i obaj zostali skazani na dwadzieścia lat.

Człowiek w nieznanym mi mundurze, okazał się węgierskim lotnikiem.

Dwaj Japończycy w rogowych okulatach zwracali powszechną uwagę, ze względu na wzrost, oraz futrzane buty i eleganckie skórzane kurtki. Niektórzy z Rosjan wyrażali nawet głośno nadzieję, że może będą mieli szczęście znaleźć się z Japończykami w transporcie w jednym wagonie, gdyż zarówno buty, jak i kurtki wydawały się im bardzo użyteczne na dalekiej północy. Japończycy byli bardzo grzeczni i taktowni, a wszystko czego udało mi się od nich dowiedzieć to, iż obaj

byli dziennikarzami i aresztowano ich na Korei, i że dostali po dwadzieścia lat.

Największym wydarzeniem tamtych czasów było dla mnie przybycie grupy polskich oficerów, w noc noworoczną 1947 roku. Tuż przed północą, otworzyły się drzwi naszej celi i rozpoznałem ich od razu po mundurach, mimo że nie mieli rogatywek, podcinano im insygnia a zamiast guzików z orzełkami, mieli mundury pozapinane na drewniane kołeczki. Było ich jedenastu. Postarałem się znaleźć im miejsce w pobliżu, a dwóm odstąpiłem swoją pryczę. Przebywałem z nimi trzy dni, ale pozostali w mojej pamięci na zawsze i to nie tylko dlatego, że byli Polakami.

Już na długo przedtem, od więźniów przenoszonych z innych cel do naszej, dowiedziałem się, że w butryckim więzieniu przetrzymywani są polscy oficerowie, oczekujący na wyroki. Bobkow np. wspominał w słowach pełnych najwyższego uznania jednego z nich, porucznika Jakubowskiego, z którym dzielił celę przez kilka miesięcy. Ja zaś, cały czas marzyłem, żeby któryś z nich trafił do naszej celi, i mógł opowiedzieć co działo się w kraju. Teraz miałem ich jedenastu. Przez całe trzy dni słuchałem chciwie ich opowieści.

Los całej grupy był bardzo charakterystyczny dla tego, co się działo w obecnej Polsce. I chociaż doświadczenia każdego z nich były bardzo różne, geneza ich losów wydawała się identyczna. Wszyscy brali udział w wojnie polsko-niemieckiej w 1939 roku i wszyscy po wkroczeniu Niemców wstąpili do armii podziemnej kierowanej przez rząd polski w Londynie, brali udział w Powstaniu Warszawskim i wstąpili do nowej armii generała Roli-Żymierskiego. W 1946 roku, polski odpowiednik NKWD, Urząd Bezpieczeństwa urządził czystkę w Wojsku Polskim, usuwając wszystkich oficerów podejrzanych o sympatie prozachodnie. Cała ta niewielka grupa, która znalazła się w naszej celi, należała do tej właśnie kategorii. Początkowo internowano ich w obozie w miejscowości Skrobów w okolicach Lublina, tam zostali aresztowani i oddani pod władzę OSO. Ich wyroki

wahały się w granicach od trzech do ośmiu lat i wszyscy osędzeni zostali z artykułu 58.4 - "związki z międzynarodową burżuazją" /Świat z międzynarodową burżuazją/. Głównym a nierozstrzygniętym dotąd pytaniem pozostaje podstawa prawna ich deportacji z Polski oraz przepisy, na jakich wobec oficerów Wojska Polskiego zastosowano sowiecką procedurę i sowiecki kodeks karny.

Zygmunt Krasucki, major Armii Krajowej w czasie okupacji kierował szkołą podchorążych zorganizowaną przez armię podziemną. Opowiadał, że nauka teorii prowadzona była w prywatnych mieszkaniach w Warszawie, a zajęcia praktyczne odbywały się w lasach otaczających stolicę. Z rozkazu AK, uczestniczył także w pomocy udzielanej walczącym w warszawskim getcie, zaś jego 10-letni syn przekradał się do Getta jako łącznik. Później brał udział w Powstaniu Warszawskim a następnie wstąpił do Wojska Polskiego.

- Już podczas pierwszego przesłuchania zrozumiałem, że mój los zdecydowany został jeszcze w Polsce a nie w Stalinogorsku - powiedział major. Kiedy generał Rola-Zymireki, po raz pierwszy spotkał się z oficerami AK wcielonymi do armii, gorąco zapewniał o niezależności Wojska Polskiego od władz sowieckich. Gdy poprosił o zadawanie pytań, wstałem i spytałem z jakich powodów wobec tego, tylu oficerów sowieckich nosi polskie mundury, choć nie mówią słowa po polsku. Dodałem, że cenimy współpracę i doświadczenia sowieckich instruktorów, ale obie te sprawy są całkowicie różne. Zymireki oświadczył, problem ten jest tylko przejściowy i że wkrótce zostanie rozwiązany zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Czy uwierzy pan, że przesłuchujący mnie w Stalinogorsku enkawudziści znał doskonale każdy szczegół tego epizodu?

Najbliższym przyjacielem majora Krasuckiego, był major Bohdan Piotrowski - człowiek niezwykłej kultury i wiedzy. Przed wojną był członkiem zespołu redakcyjnego "Dziennika Poznańskiego", którego redaktorem naczelnym był obecny ambasador Polski w USA - Józef Winiewicz. Dopowiedział mi wiele szczegółów o działalności majora Krasuckiego, który brał udział w wykonywaniu licznych wyroków sądów podziemnych, na agentach Gestapo i tych Niemcach, którzy najbardziej przyczyniali się do umacniania terroru w Polsce.

Myr Zawietowski, człowiek wspaniałej postawy, nie tylko fizycznej, był tym, który w toku największych walk powstań-
czych, przepłynął Wisłę w celu nawiązania kontaktu ze sztabem
armii marszałka Rokossowskiego. Marszałek odmówił przyjęcie
go i major Zawietowski zamiast w sztabie stojącej za Wisłą
Armią Czerwoną, znalazł się - jako jeden z pierwszych -
w obozie dla internowanych w Skrobowie. Otrzymał wyrok: osiem
lat.

Największe jednak wrażenie zrobiły na mnie opowieści
kapitana Kawackiego o łączności z krajem utrzymywanej przez
samoloty należące do polskich eskadr w Anglii. Ogrom tego
zadania można było ocenić, zdając sobie sprawę, że kraj znaj-
dował się pod niedającym się opisać terrorem okupacyjnym, a
samoloty te lądowały na małych przecinkach leśnych i to w nocy,
kierując się tylko światłem latarek elektrycznych.

Nazwisko kapitana Kawackiego znane jest wielu entuzjastom
sportu. Przed wojną reprezentował Polskę w międzynarodowych
zawodach jeździeckich, na których zdobywał liczne nagrody.
Porusznik Janusz z kulei był już człowiekiem po sześćdzie-
siątce. Mimo zaawansowanego wieku, jako ochotnik zgłosił się
do Powstania Warszawskiego. W czasie okupacji mieszkał w
Otwocku pod Warszawą. Oboje z żoną przyszywali Żydów, chro-
niąc ich przed wywiezieniem i do Świątynia czy na Majde-
nek. Za przechowywanie Żydów, groziło Polakom natychmiastowe
rozstrzelanie, bez żadnego sądu czy śledztwa. Teraz otrzymał
wyrok trzech lat łagru, za związki z międzynarodową burżuazją.
Biorąc pod uwagę jego wiek i bardzo zły stan zdrowia, wyrok
ten mógł oznaczać najgorsze.

Po trzech dniach, ostatni z grupy polskich oficerów opu-
ścił celę. Zgodnie z wyrokiem, każdego więźnia osądzonego
przez OSO najbliższym transportem odsyłano do łagru. Moim
nowym sąsiadem został teraz Koreańczyk o nazwisku niemożliwym
do zapamiętania. Był obywatelem sowieckim, przyjechał do ZSRR
w młodoci, na studia do Leningradu i pozostał tu na stałe.
Na uniwersytecie był studentem profesora Marra, ligwisty
o światowej sławie, później jego asystentem, a w końcu sam
został lektorem. W naszej celi wygłosił kilka niezmiernie
interesujących odczytów, między innymi o istocie i pochodze-

niu ludzkiej mowy. Było jasne, że jest człowiekiem rozległej wiedzy.

W pierwszych dniach wojny, aresztowano go jako szpiega i wiele lat spędził w różnych obozach centralnej Azji w okolicach Taszkientu, a w 1945 roku przesłano go do moskiewskiego więzienia, na Łubiankę. Więzienie to upytuowane jest tuż obok Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSSR - czyli kwatery głównej NKWD.

Nie chciałem aż wierzyć w to co opowiadał Koreańczyk o warunkach w tym więzieniu; jedzenie podawane jest tam więźniom na tackach, dostaje się dobre papierosy, kiełbasę a nawet słodycze. Wprawdzie nie wiedział on, czy wszyscy więźniowie traktowani byli w jednakowy sposób, ale i tak wszystko to brzmiało jak bajka. O tym, że mówił prawdę, świadczyła przyniesiona przez niego na Butryki zarówno kiełbasa, jak i papierosy. W trakcie pobytu na Łubiance zajmował się tłumaczeniem najróżniejszych dokumentów z koreańskiego i japońskiego, jakie w czasie wojny wpadły w ręce Rosjan. Najwidoczniej teraz, kiedy skończył już swoją pracę, pozostał być potrzebny, więc - jak przewidywał - prawdopodobnie odesłany zostanie z powrotem do Łagru.

Pewnego dnia strażnik wywołał mnie z celi. Zaprowadził na trzecie piętro i znalazłem się w obszernym hallu, na który wychodziło wiele potwieranych drzwi. Przeszliśmy przez jedno z tych drzwi do pokoju, gdzie za biurkiem siedział lejtenant w mundurze NKWD. Już same jego fizjonomia i sposób w jaki zadawał pytania, wskazywały, że jest to typowy "śledzący". Po krótkim przesłuchaniu, które polegało na wymienieniu najważniejszych szczegółów mego pobytu w ZSSR, stwierdził raczej niż zapytał:

- Napisałicie do dyrektora więzienia podanie z prośbą o wyjaśnienie powodów waszego przeniesienia do tego więzienia?

- Tak jest, obywatelu lejtenancie.

- No, to wkrótce otrzymacie odpowiedź - i odesłał mnie do celi. Od kolegów dowiedziałem się, że ta część budynku, do

której mnie zaprowadzono, były tą w której przeprowadzano śledztwa. Napięcie we mnie rosło. Zaczynałem się coraz bardziej denerwować.

Dziesięć dni minęło, zania znowu zaprowadzono mnie do tego samego pokoju. Tym razem jednak, za biurkiem siedział inny lejtenant NKWD. Początkowo nie odzywał się ani słowem, podszedł do mnie i z bliska przyglądał mi się bacznie od stóp do głowy. Następnie kazał mi odwrócić się tyłem i w końcu zapytał:

- Dlaczego macie takie podkrężone oczy? Pytanie było tak nieoczekiwane, że nie wiedziałem co odpowiedzieć, on zresztą nie czekał na odpowiedź.

- Czy macie jakieś ciepłe okrycie? - padło drugie pytanie.

- Mam kożuszek w celi, ten w którym tu przyjechałem.

- Bardzo obdarty?

- Nie, Nie bardzo.

- Bardzo dobrze, wróćcie do celi i postaracie się go poroperować. Strażnik będzie was codziennie wydawał igłę na kilka godzin.

Moji współtowarzysze w celi słuchali tego z niedowierzaniem a nawet z pewną rezerwą. Odniosłem wrażenie, że ta opowieść wydała im się podejrzana. Może zostałem kapusiem? Ale prędko przyszedł dowód, że mówiłem prawdę. Drzwi otworzyły się, strażnik wywołał moje nazwisko i zapytał:

- Czy wasze buty potrzebują naprawy? Buty nie były jeszcze w zupełnie niezłym stanie, więc zaprzeczyłem. Strażnik jednak nie chciał uwierzyć na słowo i sam sprawdził.

Koledzy w celi byli tym zaskoczeni. Wszystko wydawało się im nieprawdopodobne i nierealne. Wielu więźniów od miesięcy prosiło o naprawę butów i były to prośby bezskuteczne.

- Będziecie zwolniony - ktoś zawyrokował. To nie może oznaczać nic innego.

- Tak, oczywiście. Będziecie zwolniony i odeślę go do Polaki - potwierdził ktoś inny. Dlatego tak się kręcił koło jego ubrania. Kiedy wypuszczają nas, Rosjan, nikt nie dba, w jakich łachmanach wychodzimy.

W końcu i ja zacząłem wierzyć, że zostanę zwolniony. Zabrałem się więc gorączkowo do naprawy moich rzeczy. Ale

nigdy dni i nic się nie działo, wzrastał tylko stan napięcia nerwowego. Żeby dźwierać myśli, gorliwie naprawiałem kozuch. Byłem tak tym zajęty, że ledwie zauważyłem przybycie nowego więźnia. Lecz ani to zajęcie, ani podniecenie nerwowe nie przeszkodziło mi wyluszczyć jego historii opowiedzianej drżącym ze zdenerwowania głosem:

- Wracam właśnie prosto z sądu. Dali mi osiem lat za "szkodnictwo" z artykułu 58.7. Nic z tego nie rozumiem. Jestem naukowcem, wiele lat temu wraz z całym zespołem pracowaliśmy nad nowym wielkim atlasem geograficznym dla Akademii Nauk. Było to ogromne dwutomowe dzieło, jeden obejmował ZSSR a drugi resztę świata. Sam indeks zawierał tysiące nazw miejscowości, rzek, gór itd. To była wspaniała praca. Każdy w naszym kolektywie otrzymywał pochwały i nagrody. Potem przyszedła wojna. Cała edycja została zatrzymana przez władze i zniszczona. Okazało się podobno, że Niemcy korzystali z naszego atlasu podczas inwazji. Pocięliśmy się, że nowe wydanie wyjdzie po wojnie. Kiedy wojna skończyła się, podjęliśmy starania o zezwolenie na nowe wydanie. Ale zostaliśmy aresztowani i oskarżeni o działalność "na szkodę ZSSR".

Następnego dnia, kazano mi zabrać rzeczy i opuścić celę.

Znowu znalazłem się w tej samej wykafelkowanej "studni", poznanej cztery miesiące temu, zaraz pierwszego dnia, kiedy znalazłem się na Butrykach. Teraz wiedziałem już, że celę tę nazywano w więzieniu "puszką" i że służy ^{ona} przy różnych okazjach - jako coś w rodzaju poczekalni dla ^{przebiegłych} więźniów. Czas włókił się nienišosiernie, byłem bardzo zdenerwowany i podniecony, marzyłem żeby trochę pospacerować tam i z powrotem, ale nie było to możliwe. Minęło zapewne kilka godzin, bo strażnik przyniósł mi miszkę kaszy. W końcu jednak kazano mi wyjść z ~~celi~~ i zabrać rzeczy. Przeprowadzono mnie do innego pokoju, nieco więkzszego, w którym nie było nic z wyjątkiem stołu i krzesła. Po chwili wszedł fryzjer z przybotami, w białym kitelku i ogolił mnie bardzo starannie, przy pomocy

mydła i brzytwy, a na koniec skropił mi twarz wodą kolońską. Było to wydarzenie niesłychane, do tej pory raz na dziesięć dni, przycinano nam brody nożyczkami. Nikt się nigdy tak z nami dotąd nie pędził.

Znowu zamknięto mnie w "puszce", ale teraz już tylko na chwilę. Wkrótce znalazłem się w obozernym, lukeusowo urządzonej gabinecie. Za biurkiem siedział gruby major NKWD, obok zaś stał ten sam lejtenant, który wykazywał zainteresowanie moją garderobą. Major pozwolił mi usiąść i zaczął wypytywać o sprawy osobiste, od czasu do czasu zglądając do pękatej teczki z aktami. W końcu rozkazującym tonem nakazał:

- Proszę wstać. W imieniu Związku Socjalistycznych Socjalistycznych Republik ogłaszam, że wasz wyrok został zmniejszony z dziesięciu lat, do okresu jaki upływa w dniu dzisiejszym. Nastąpiła krótka pauza. Major patrzył na mnie w milczeniu, wziął do ręki inny papierek i odczytał:

- Uwzględniając prośbę Rządu Jedności Narodowej Demokratycznej Polski" - słowa te odczytał powoli i z nacięciem raz po raz spoglądając na mnie - "Rząd ZSSR zdecydował odesłać was do Polski".

Tu przerwał, pozwolił mi usiąść i zapytał czy mam coś do powiedzenia. Powiedziałem tylko, że cieszę się z tej decyzji. Wtedy zapytał, czy mam jakieś zastrzeżenia wobec administracji więzienia i w ogóle władz sowieckich. Naturalnie nie miałem żadnych. Major poprosił, żebym potwierdził to na piśmie. Podpisałem też oświadczenie, że zachowam w tajemnicy wszystko, co widziałem i słyszałem w obozach i więzieniach ZSSR. Podpisując to zobowiązanie i mając na myśli niniejsze wspomnienia, powiedziałem sobie, że czynię to pod przymusem.

Kiedy zakończyły się formalności, lejtenant poinformował mnie, że osobiście będzie mi towarzyszył do Brześcia nad Bugiem to jest do obecnej granicy polskiej. Otrzymałem z powrotem wszystkie drobiazgi oddane do depozytu więziennego, przewidowano mnie bardzo starannie, dostałem jeszcze na drogę żytni chleb i dwa śledzie i skierowaliśmy się do wyjścia.

Zbliżał się zmierzch. Na dziedzińcu stał otwarty "czarny woron", do którego wprowadzano więźniów. Automatycznie poszedłem w jego kierunku, ale zatrzymał mnie czyjś głos:

- A wy kuda? Dopiero teraz dostrzegłem wytworną limuzynę i mojego lejtenanta w otwartych drzwiczkach.

Kiedy minęliśmy bramę, gruby mur otaczający więzienie i wyjechaliśmy na ulicę, lejtenant zwrócił się do mnie z pytaniem:

- Czy widział pan Moskwę?

- Przejechałem raz, ale w "czornym woronie".

- Szkoda, wielka szkoda, że opuszcza pan ZSSR nie zwiedzając Moskwy. Mógłbym panu pokazać miasto, ale tak się niefortunnie składa, że za dwadzieścia minut odchodzi nasz pociąg i musimy jechać wprost na dworzec Białoruski.

- Tak, wielka szkoda - powiedziałem z ulgą. Moim największym i jedynym pragnieniem było najszybciej, jak to możliwe opuścić ZSSR i wydostać się spod władzy NKWD.

Zdmiał i zaskoczył mnie wagon kolejowy. Nie byłem w Rosji przyzwyczajony do takich luksusów: cztery łóżka w przedziale biało posłane, w każdym przedziale głośnik. Poczuliśmy się bardzo zmęczony i od razu położyłem się. Ale nie mogłem zasnąć. Przeszkadzały mi nerwy i natręctwo pluskiew. Z ulgą powitałem świt. Za oknem przesuwał się monotony krajobraz, bezkresna równina pokryta białą śniegu. Ślady wojny były wszędzie widoczne, wypalone domostwa, opustoszałe wioski, na polach porzucone resztki wyposażenia armii, wypalone szczątki czołgów, rozbite i poprzewracane wagony kolejowe.

Podczas postoju w Saolańsku wyszliśmy na peron. Natychmiast otoczył nas tłum wychodzonych dzieciaków, ofiarowujących po nieprawdopodobnych cenach puszki z amerykańską żywnością. Mój lejtenant - Grigorii Dymitrowicz, był zgorzony:

- Powinno się tych wszystkich spekulantów wystrzelać. Razem z ich rodzinami. Dostają tę żywność po cenach ustalonych przez państwo, a sprzedają dwadzieście, trzydzieści razy drożej.

Lecz to nie byli spekulanci. Były to po prostu biedne, głodne dzieciaki, które wolały odeprzedać unowocześnie emakolizy, niż je zjeść, bo mogły za to kupić więcej chleba. Chleb zaś, na wolnym rynku, także kosztował dwadzieście, trzydzieści razy więcej, niż po cenach ustalonych przez państwo.

Po kilku godzinach, pociąg zatrzymał się w Orazy. Tutaj klęcząc w mokrym śniegu, w 1940 roku, w drodze na północ po raz ostatni, przez chwilę widziałem swoją żonę. Siedem lat minęło od tego czasu ...

Znowu zapadła noc, już druga w tej podróży. I tym razem nie mogłem spać. Kiedy nad ranem, zatrzymaliśmy się w Baranowiczach^Z pomyślałem, że gdyby sowieci we wrześniu 1939 roku, nie wbili nam noża w plecy, byłbym już teraz w Polsce. Za kilka godzin znajdziemy się w Brześciu, który teraz stał się stacją graniczną. Co będzie dalej, nie mogłem sobie wyobrazić. Być może, będę tam musiał poczekać przez kilka dni. A jeśli tak, to gdzie? Nie starczało mi na to imaginacji. Nie miałem żadnych papierów, żadnych dokumentów^J ani ^{JEDNEJ} kopiejkę. Lejtenant również nie umiał mi udzielić żadnych informacji w tej sprawie. I on, po raz pierwszy w życiu wyślany był w takiej miejsc.

Dotarliśmy nareszcie do Brześcia. Ładne zabudowania stacyjne pochodzące jeszcze z polekich czasów i zupełnie nienerużone przez wojnę. Lejtenant zostawił mnie samego w hallu dworcowym i gdzieś odeszedł. Ponownie wpadłem w panikę. Nie miałem żadnych dokumentów. Co się stanie, jeśli przechadzający się po poczekalni patrol milicjantów zażąda ich ode mnie? Przypomniałem sobie rozmowy w naszej celi, na temat tego co się dzieje na dworcach. Oczywiście żaden milicjant nie uwierzy w ani jedno słowo i zabierze mnie do NKWD. Z pewnością odeśle mnie z powrotem do Moskwy i mogą oskarżyć o ucieczkę z więzienia, próbę przedostania się za granicę, szpiegostwo i bo ja wiem o co jeszcze². A udowodnienie przed NKWD, że nie jest się na przykład szpiegiem jest zadaniem beznadziejnym. Słowem wszystko zacznie się od początku ...

Po paru minutach wrócił Grigori Dymitriewicz. Wydawało mi się, że wygląda trochę niepewnie, lecz jakby nadrabiając miną, przyjacielsko poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

- Macie szczęście. Zostaniecie w Brześciu, tylko przez parę dni. Dowiedziałem się, że za jakieś dwa, trzy dni, przyjedzie tu polska komisja, żeby odebrać repatriantów. Teraz zabiorę was na miejsce, gdzie spotkacie wielu Polaków.

Jechaliśmy samochodem przez ulice zniszczonego miasta. W końcu dostrzegłem znajomy widok: wieże strażnicze, druty kolczaste, "wochry". Samochód zatrzymał się przed bramą. Grigori Dymitrowicz wysiadł i zniknął w małym domku tuż obok wartowni. Po kilku minutach wrócił i grzecznie oznajmił:

- No, teraz się pożegnamy, mój pociąg do Moskwy odchodzi za parę minut. Ci towarzysze teraz się wami zaopiekują. Żegnajcie ...

x x x

Rozdział XLIII

I NA KONIEC, ZNOWU ŁAGIER

Miejsce w którym się znalazłem, okazało się obozem dla niemieckich jeńców wojennych. Najpierw zaprowadzono mnie do komendanta - grubego, potężnie zbudowanego Niemca, byłego feldfebla - którego sowietci wybrali "starszym" niemieckich jeńców. Kiedy dowiedział się, że jestem Polakiem, odesłał mnie do starszego polskiej grupy. Znalazłem się w chwilę potem w pokoju pełnym ludzi leżących na dwupiętrowych pryzach. Od razu musiałem opowiedzieć o sobie, a gdy doszedłem do tego jak to Grigori Dymitrewicz obiecał mi, że za dwa, trzy dni zjechać na tu polska komisja repatriacyjna, z pryz rozległy się głośne protesty:

- Nie wierz bracie, w ani jedno słowo. Siedzimy tu od trzech miesięcy i co dzień powtarzają nam w kółko to samo: wkrótce będziecie zwolniony ... traktują nas tak samo, jak niemieckich jeńców wojennych, jak więźniów a nie jak wolnych ludzi ...

Szybko zorientowałem się w sytuacji. Polska grupa składała się z około 160 osób, w większości byli to żołnierze wzięci do niewoli przez Rosjan we wrześniu 1939 roku. Po przebyciu wielu obozów, ostatnie pięć lat spędzili w Kazachstanie. Oficjalnie nigdy nie byli ani aresztowani, sądzeni ani też nie ciążyły na nich żadne wyroki. Byli jedynie internowani przez władze wojskowe, w praktyce jednak, różnica była żadna. Obozy internowanych podlegały NKWD tak samo, jak wszelkie inne obozy w ZSSR, bez względu na ich nazwę. Internowano wówczas również wielu cywilów, głównie jednak byli to cudzoziemcy, zatrzymani na samym początku wojny. Większość z nich stanowili Niemcy i Austriacy Żydzi, którzy uciekli przed Hitlerem do Polski a następnie znaleźli się na terenach okupowanych przez Armię Czerwoną i objętych przepisami NKWD.

W Kazachetanie, warunki w obozach były bardzo trudne zarówno ze względu na klimat, jak i stałe braki żywności. Pożowa, a może nawet większy część internowanych wymarła a tym, którzy ocalili, po zakończeniu wojny - zaświtała nadzieja na powrót do kraju. W sierpniu 1945 roku rządy Polski i ZSRR podpisały porozumienie o repatriacji Polaków ze Związku Sowieckiego. Ale porozumienie to nigdy nie doszło do skutku i Polacy pozostali tam, gdzie byli. Tyle tylko, że NKWD zaczęło traktować ich nieco lepiej, co wyrażało się między innymi w tym, że zaczęto zatrudniać ich jako kierowników zespołów roboczych składających się z japońskich, niemieckich, włoskich i hiszpańskich jeńców wojennych. Niektórzy pokazywali im i różne przedmioty - buty, męszki, ubranie odkupione od tych jeńców.

Polacy jednak nigdy nie zaprzestali starań o powrót do kraju, komenda obozu zaś nieodmiennie odpowiadała im, że jest to sprawa, o której decyduje wyłącznie Moskwa. W ciągu 18 miesięcy trzy razy zawiadamiano ich, że będą zwolnieni, nakazując przygotować się do podróży. Za każdym razem zbierano ich przy bramie, ze wszystkimi rzeczami i za każdym razem, po wielogodzinnym czekaniu, musieli wracać do baraków i czekać przez następnych kilka miesięcy do kolejnego fałszywego alarmu. W końcu listopada polska grupa, składająca się z około 160 osób została wreszcie załadowana do eszelonu, a po długiej podróży, kiedy znalazła się w Brześciu, powiedziano im dokładnie to samo co mnie, że za dwa, najdalej za trzy dni, odjadą do Polski a na razie poczekają w obozie dla niemieckich jeńców wojennych. Do czasu, kiedy ja się tu znalazłem, czekali tak już trzy miesiące i nadal nie było żadnych oznak, by wkrótce miało nastąpić jakaś zmiana. W ciągu trzech miesięcy kilka osób ciężko się rozchorowało i zostało odesłanych do szpitala.

Moje rozgoryczenie nie miało granic, Tyle myślałem o możliwości powrotu do kraju, że ta zupełnie nieoczekiwana przeszkoda tuż na samej mecie wydała mi się wprost nie do zniesienia.

Moja sytuacja wydawała się jeszcze czarniejsza w atmosferze beznadziejności i rezygnacji jaka opanowała całą naszą grupę i upiorne warunki panujące w tym obozie.

Obóz składał się z czterech identycznych, dwupiętrowych drewnianych budynków, pochodzących z czasów kiedy Brześć należał jeszcze do Polski. Każdy budynek składał się z ośmiu pokoi na tyle dużych, żeby ustawić w nich wystarczającą ilość podwójnych prycz dla dwudziestu sześciu osób. W całym obozie przetrzymywano ośmiuset ludzi, w tym około dwustu Polaków. Resztę stanowili niemieccy jeńcy wojenni.

Pewien redak, dawny mieszkaniec Brześcia, powiedział nam, że w czasie niemieckiej okupacji, Gestapo umieściło tu obóz przejściowy dla Żydów przeznaczonych do obozów zagłady. Kiedy Brześć zajęli Sowietzi, urządzony i odpowiednio ogrodzony obóz pasował jak ulał dla potrzeb NKWD, które bezzwłocznie przejęło schodę wraz z dobrodziejstwem inwentarza, nie zmieniając nawet jego przeznaczenia. Nadal był to obóz przejściowy tyle tylko, że tym razem głównie dla Niemców.

W Brześciu zresztą były jeszcze dwa takie obozy. Nasz mieścił się przy ulicy Jagiellońskiej, obecnie przemienowanej na Moskowską. Na terenie obozu nie było światła, opału i wody. Bez względu więc na pogodę, musieliśmy dostarczać wodę w beczkach z punktów dość odległych od terenu, przy czym ilość jej była tak ograniczona, że w praktyce wystarczało jej jedynie dla potrzeb kuchennych. Mycie, nie mówiąc o kąpieli w praktyce nie wchodziło w rachubę.

Dyscyplina i porządek w obozie były podobne do tego, co już poznałem w innych łagrach NKWD. Również i praca była podobnie wyczerpująca. Większość z nas zatrudniono przy odgruzowywaniu miasta, albo przy przeładunku towarów na stacji kolejowej. Brześć bowiem był ostatnią stacją, na której szerokokotorowa kolej rosyjska kończyła swój bieg. Odtąd, dalej na zachód biegły już normalne tory europejskie. Wszakże dobre, jakże Rosjanie wywozili z Niemiec i Polski, trzeba tu było przeładowywać na rosyjskie, szerokokosłowe wagony. Prace te wykonywali pospołu niemieccy jeńcy wojenni i "wolni" Polacy, obywatele zwycięskiego w tej wojnie kraju. Również i racje żywnościowe były jednakowe i w najlepszym razie osiąga-

ży 1500 kalorii, co w połączeniu z ostrymi mrozami, było trudne do wytrzymania. Polacy uznawali, że warunki tutaj, porównywać można jedynie z najgorzejm okresem czasu wojny, mnie zaś, jako żywo przypominały okres budowy tamy na Władimirze i roboty na lotnisku w Boguliubowie.

Nasza grupa repatriantów popadła w swoisty rodzaj zdeeserowanego rozgoryczenia i choć byliśmy zapracowani i wyczerpani, wszystkim nam trudno było zasypiać. Dyskusje na temat naszej sytuacji i możliwości powrotu do domu, a raczej ich braku, ciągnęły się długo w noc. Najczęstszym, nieustannie powracającym motywem tych rozmów była nieustająca obawa, że zawrócą nas z powrotem w głąb Rosji. Nikt już chyba w naszej grupie nie wierzył, że pozwolą nam wyjechać do Polski. "Coś się znowu popełniło" - powiedano i wyenunowano stąd wniosek, że decyzja o naszej repatriacji została cofnięta. O dowody na potwierdzenie tej tezy było bardzo łatwo. Każdy miał ich niesłychaną ilość w pamięci. Przez całe siedem lat pobytu w ZSSR, Rosjanie ciągle nas oszukiwali i stale zwodzili.

Tu, muszę dodać, że ogromną większość w naszej grupie stanowili rolnicy i robotnicy oraz drobni rzemieślnicy. Przedstawicieli inteligencji, można było policzyć na palcach jednej ręki i było nimi w zasadzie paru oficerów. Tak więc, nie nienawiść klasowa kierowała odruchami w naszej grupie ...

Naszyc oficerów internowano najpierw w obozach w Starobielsku, Kozieleku i Oateszkowie. Ci, którzy przebywali w Kozieleku, w 1940 roku zostali wymordowani w lesku Katyńskim. Co się stało z pozostałymi, nie wiadomo. Natomiast ci nieliczni, którym udało się ocalać, zostali następnie przeniesieni do obozu w Griadowcu w pobliżu Wołogdy, na północ od Moskwy. Później zesłano ich do Kazachstanu wraz z dużą grupą szeregowców i podoficerów.

Oficerowie, których spotkałem w Brześciu w 1947 roku, należeli właśnie do tej nielicznej grupy. Jeden z nich, w randze porucznika, był szefem polskiej grupy. Władze obozu, codziennie wyznaczały kontyngent ludzi do pracy, ale w zasadzie

kontygent ten był mniejszy, niż ilość osób w naszej grupie. Porucznik decydował, kto może zostać w obozie, a kto ma iść do pracy. Robił wszystko co w jego mocy, by ochronić ludzi starszych, chorych i najbardziej wyniszczonych. W czasie jego pobytu w obozie i mnie kilka razy zwolnił, albo wyznaczał do lepszych pracy.

Trzeba tu wspomnieć, że w skład naszej grupy wchodziło także kilka kobiet a wśród nich również i takie, które spodziewały się dziecka. Były to w większości "obozowe żony" Polaków, którym zezwolono na zabranie ich do kraju, przeważnie Rumunki, Węgierki i Austriaczki. Jedną z nich, pani R. - Żydówka z Warszawy, z kilkunastoletnią córeczką i ośmioletnim synem odegrała niemałą rolę w naszych staraniach o wyjazd do Polski. Kiedy wysiłki mężczyzn nie przynosiły skutków, wysłaliśmy do komendanta delegację kobiet z panią R. na czele. Płaczem i lamentami starały się wymusić na nim energiczniejsze staranie o przyspieszenie naszego wyjazdu - choćby ze względu na dzieci, które w tych warunkach nie miały szansy na przetrwanie. Lecz i one otrzymały taką samą odpowiedź: wysłał już kilkanaście telegramów do Polski, do władz w Warszawie i zapewniał, że to nie jego wina, że Warszawa nie reaguje i zwleka z przyjeźdem po nas swoich przedstawicieli.

Nasz obóz - jak wspominałem - był obozem tranzytowym dla niemieckich jeńców wojennych, panował tu więc nieustanny ruch w obu kierunkach. Transporty jeńców z Niemiec szły w głąb ZSSR i wtedy też szły transporty odesyłanych z Rosji do Niemiec. Tych ostatnich było jednak znacznie mniej. Jeńcy wracający do Niemiec byli tak wyniszczeni i słabi, że nie nadawali się do żadnej pracy. Już samo patrzenie na tych ludzi wołało o pomoc do nieba. Były to ppruszające się szkielety. Ale nie tylko żywe, z każdego eszelonu wyładowywało 30-40 takich, którzy zmarli w transporcie. Panowała ciężka zima, a transporty te były w drodze po kilka tygodni w nieogrzewanych wagonach. Zmarłych wyrzucano z wagonów na oczach wszystkich, a ze-

zamrożone zwłoki układano na stocie. Lecz przed tym, trupy rozbierano z koszul i ubrania, które po parodii prania, wydawano nam, przy okazji kąpieli.

W obozie istniały zespoły do grzebania zmarłych. Była to robota, nie tylko wielce niesprzyjemna ale i ciężka. Trzeba było kopać rowy w zamrożonej ziemi a następnie przenosić martwe ciała, by pochować je we wspólnych mogiłach.

Pewnego razu, jeden z Polaków zwrócił się do komendanta który przyezedł na inspekcję:

- Obywatelu komendancie obozu czy nie uważacie, że to nie jest w porządku, że Polacy wyznaczeni są do odgruzowywania miasta? Ostatecznie, to Niemcy zburzyli Brześć a nie Polacy. Tak więc oni powinni go odgruzować.

Major uśmiechnął się i powiedział:

- Macie rację, znajdę was jakąś inną robotę, żebyście byli zadowoleni. Następnego dnia Polacy zostali wyznaczeni do kopania grobów i przenoszenia zmarłych na miejsce ich ostatecznego spoczynku.

Pan Józef, ze Śląska, z którym dzieliłem pryczę, opowiedział mi, że po pracy został wysłany do piekarni po chleb dla obozu. Chleb był transportowany tym samym wozem, którym przez cały dzień wożono ciała zmarłych.

- Prosililiśmy w piekarni, żeby nam dali parę arkuszy papieru. Chcieliśmy wyłożyć nimi podłogę wozu. Powiedzieli, że nie ma papieru i kazali żądać wprost na deski — opowiadał pełen obrzydzenia.

Warunki w obozie cechował prymitywizm pod każdym względem, nie wiem — zamierzony, czy wynikający z bałaganu i głupoty. Była np. brygada wyznaczona do opróżniania latryn. Ci, którzy w niej pracowali, ciągnęli beczkowóz przez całe miasto aż do miejsca poza obozem, gdzie go opróżniano. Beczkowóz był nie doskonały, a ludzie przez 10 godzin pracowali zamiast koni, których w obozie nie było.

Byłem już w Brześciu przeszło miesiąc nic się nie zmieniło i czas ten wydawał mi się jednym koszmarem, choć inni

Polacy spędzili tu już ponad cztery miesiące. W miarę upływu czasu liczba pesymistów, którzy twierdzili, że odeśle nas z powrotem do Rosji, z dnia na dzień rosła w postępie arytmetycznym. Było to wynikiem pewnego charakterystycznego sposobu myślenia, który mogą zrozumieć tylko ci, którzy spędzili parę lat w Rosji. Naszego uczucia zagrożenia i niepewności nie zmieniał nawet fakt, że byliśmy o kilkaset metrów, niemal o krok od granic własnego kraju. Byliśmy kompletnie bezradni i zdani na los, w oczekiwaniu aż coś się wydarzy. Dopiero przyjazd nowej grupy Polaków poprawił nieco nastroje, zaczęliśmy na nowo odzyskiwać wiarę. Jeżeli przyjeżdża nowa grupa repatriantów, to nie może oznaczać nic innego jak tylko to, że jednak wcześniej czy później odeśle nas do kraju. Zaczęliśmy podejrzewać, że to lokalne władze NKWD starają się przetrzymać nas ile się da, ze względu na brak siły roboczej. Było to jedyne rozsądne i prawdopodobne wytłumaczenie naszej obecnej sytuacji. Wysłaliśmy więc ponownie naszego porucznika oraz panią R. jako matkę dwojga dzieci na pertraktacje z komendantem obozu. Odpowiedź, jaką otrzymaliśmy i tym razem nie różniła się od poprzednich:

- Wysłałem sześć telegramów do waszych władz w Warszawie, ale nikt po was nie przyjechał. Jeśli wasze władze was nie chcą to co ja mogę poradzić? - i rozłożył ręce w geście zupełnej niemożności. Ani delegaci ani nikt z nas nie uwierzył mu w ani jedno słowo.

Nowo przybyli Polacy byli w okropnym stanie. Było ich piętnastu i wszyscy przejechali z okolic Donbasu na Ukrainie, gdzie przez ostatnie dwa lata pracowali w kopalniach węgla. Powiadali, że pozostało tam jeszcze bardzo wielu Polaków, spośród tych, którzy tak jak oni deportowani zostali z Wilna w latach 1944-1945, kiedy to Armia Czerwona po raz drugi zajęła miasto. Ludzie wówczas zabierani byli z ulicy i wywożeni na Wschód. Żaden z nich nigdy nie był o nic oskarżony ani sądzony, zostali deportowani jako tzw. "spec-kontygent" dla zagłębia w Donbasie. Zamknięto ich w obozach i spotkali tam Rumunów, Węgrów i przedstawicieli innych narodów "wyzwolenych" przez Armię Czerwoną. Wszystkich, których do nas przesłano, można określić jako grupę inwalidów. Jeden z nich miał

wszystkie palce prawej dłoni odcięte przez maszynę, innemu w wyniku odmrożenia amputowano nogę, wszyscy zaś byli w stanie kompletnego wyniszczenia.

Inaczej Niemcy, których przesyłano w odwrotnym kierunku. Oni prezentowali się bardzo dobrze. Niewątpliwie wiedzieli co ich czeka, gdyż na ogół byli dobrze zaopatrzeni w ciepłe rzeczy. Niektórzy z nich, jako przestępcy wojenni, otrzymali ciężkie wyroki 15 i 20 lat łagru i trzymani byli oddzielnie, cały czas pod strażą, podobnie jak i młodociani członkowie Wehrwolfu, którzy także otrzymywali wysokie wyroki. Lecz większość nigdy nie była sądzona, zostali po prostu deportowani, co zapewne miało stanowić część procesu denazyfikacyjnego. Wszyscy w drodze do Brzeźcia przejechali przez całą Polskę z wielkiego obozu NKWD w Frankfurcie nad Odrą. Jeńcy wracający z Rosji odsyłani byli do tego samego obozu.

W naszym obozie funkcjonował dla nich "kрасnyj ugok" - czyli "czerwonykącik", na który składała się dość obfita biblioteczka i czytelnia czasopism w języku niemieckim. Instytucję tę najwędoczniej stworzono po to, by rozszerzać propagandę komunistyczną wśród niemieckich jeńców. Kącik prowadziło dwóch Niemców /byłych jeńców/, którzy kilka miesięcy spędzili w Moskwie w specjalnym obozie szkoleniowym. Do ich zadań należało organizowanie mitingów oraz redagowanie własnego biuletynu. Wśród stale dostępnych periodyków była tu także gazeta drukowana po niemiecku w Moskwie. Obok artykułów o Thälmannie, Róży Luksemburg, Libknechte i innych niemieckich komunistach, można było w niej znaleźć wiadomości z Niemiec. Doniesienia z brytyjskiej i amerykańskiej strefy okupacyjnej przynosiły wiadomości o głodzie, biedzie, strajkach i cierpieniach ludzi. Z drugiej zaś strony, wieści z sowieckiej strefy były niezwykle zachęcające - wzrastający dobrobyt, szybki rozwój życia kulturalnego i gospodarczego, same pomyślnie wiadomości. Oficjalni niemieccy agitatorzy zajmowali w obozie uprzywilejowaną pozycję. Mieli wyłącznie dla siebie oddzielny pokój, dostawali lepsze pożywienie a nawet wolno im było wychodzić poza teren obozu. Podobno wyjeżdżali nawet bez eskorty do Mińska. Obok Niemców, przez obóz - podczas mojego pobytu - przewijały się także grupy Austriaków oraz oficerów węgierskich.

Wielu Polaków było zatrudnionych na stacji kolejowej przy przeładunku i oni właśnie opowiadali o nieprawdopodobnej obfitości dóbr wszelkiego rodzaju wywożonych z Niemiec, a zapewne także i z Polski. Czasami udawało się im przemyścić coś z tych rzeczy do obozu takich jak papier, ołówki, szklanki itp. Od nich dowiedzieliśmy się, że Rosjanie wysyłają do siebie wszystko co tylko wpadnie im w ręce: urządzenia techniczne - od wyposażenia całych fabryk po drobne instrumenty precyzyjne i narzędzia, meble, dywany, obrazy, lustra, papier, buty, ubrania, futra itd. Wszystko o przewożone jest bez żadnego zabezpieczenia na otwartych lorach a przy przeładunku wyrzuca się wprost w śnieg i wiele cennych przedmiotów ulega zniszczeniu. Nikt się tym nie przejawuje. Są to "trafioje".

Któregoś dnia, grupa ta wróciła z roboty wcześniej niż zazwyczaj. Pan Józef rzucił się na swoją pryczę i sapiąc z ukontentowania powiedział:

- I No, jeśli tak dalej pójdzie, to nieźle sobie wypoczniemy.

- Co się stało?

- Całe grono ministrów i dygnitarzy z Anglii, Francji i Ameryki jedzie do Moskwy na jakąś konferencję. A z nimi całe tabuny urzędników, dziennikarzy i fotografów.

- I A co to ma wspólnego z nami?

- Zaraz ci powiem. Poszliśmy na stację jak zwykle i zabraliśmy się do przeładunków, kiedy nagle cały dworzec otoczyły uzbrojone oddziały. Zaczęliśmy przepytywać kolejarzy co się dzieje a jeden z nich wyjaśnił, że cały teren dworca odcięty jest przez wojsko i zamknięty dla zwykłych podróżnych ponieważ dyplomaci mocarstw zachodnich będą się tu prześiadać do rosyjskich wagonów. Nikomu nie wolno przebywać na dworcu poza kolejarzami na służbie. Do bufetu wprowadzono kawior, wódkę, bułki paryskie i wystawiono takie ceny, żeby było wiadomo, że w Rosji jest pełno zymności i że jest najtańsza na świecie, a nas odesłali do obozu. Nie chcę, żeby cudzozienci pouli sobie widok z okien pociągu.

Największą, bezsilną wściekłość wywoływała w nas świadomość, że nie możemy napisać nawet do rodzin z prośbą, żeby próbowały interweniować u naszych władz i przyspieszyć nasz powrót. Nie mogliśmy uwierzyć, by rząd w Warszawie, bez względu jaki on jest - zwlekał z przysłaniem swoich przedstawicieli, jeśli by tylko wiedział, że znajdujemy się tuż przy granicy. Brześć od Warszawy dzieli zaledwie parę godzin jazdy koleją. Polacy w czasie swego 4-miesięcznego pobytu wysłali setki listów do rodzin w kraju, mimo iż od spotykanych w pracy stałych mieszkańców Brześcia wiedzieli, że nie istnieje żadna komunikacja pocztowa między Brześciem a Polską i żadne listy nie dochodzą. W mieście pozostali jeszcze nieliczni Polacy i oni również nie mogli nawiązać żadnego kontaktu z rodzinami po drugiej stronie Bugu. Postanowiłem więc wykorzystać dawne kontakty i napisałem do przyjaciół w Kotłach, prosząc by zawiadomili moją żonę, gdzie teraz jestem. Oczywiście doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że ^{za} mój list dotrze do Kotłach musi upłynąć dwa lub trzy tygodnie, a list z Kotłach do Warszawy! jeśli w ogóle dojdzie - będzie wędrował pięć do sześciu tygodni - czyli zawiadomienie żony via Kotłach musi w sumie potrwać kilka miesięcy.

Przerwa w pracy na dworcu trwała trzy dni. W jakiś czas potem, mój przyjaciel Józef, znów przyniósł interesującą wiadomość: na stacji stoi transport z Kazachstanu, jest w nim wielu znajomych z obozu i składa się głównie z niemieckich Żydów powracających do domu. Wiadomość ta wywołała w obozie wielkie poruszenie, ludzie zaczęli rozpytywać czy różni ich przyjaciele i przyjaciółki są w tym transporcie. Padły imiona najczęściej kobiece i było oczywiste, że większość chodziło o mniej lub bardziej legalne żony i obozowe przyjaciółki. Wielu postanowiło na drugi dzień zgłosić się na ochotnika do pracy na stacji.

Noc zapadła, zaczęliśmy układać się do snu, kiedy wazedł nasz porucznik i oznajmił:

- Słuchajcie chłopcy. Oni potrzebują dwudziestu ludzi na nocną zmianę. Mamy pozakładać prycze i piecyki w tym transporcie z Kazachstanu. Kto na ochotnika?

Kilkunastu natychmiast wystąpiło. Ubierali się w pośpiechu przy migotliwym świetle kaganka. Ktoś wpadł na pomysł, żeby napisać listy do rodzin w Polsce i oddać je przyjaciołom w transporcie. Pociąg w drodze do Frankfurtu będzie przejeżdżał przez całą Polskę i jeśli nawet będzie tak strzeżony, że nikomu nie uda się opuścić wagonu, to na pewno znajdzie się jakaś sposobność by przekazać może listy komuś po drodze, albo w ostateczności wyrzucić je przez okno na którejś polskiej stacji.

Od razu zdałem sobie sprawę ze znaczenia tej możliwości. Napisałem krótki list do żony: "Od dwóch miesięcy przebywam w obozie dla niemieckich jeńców wojennych w Brześciu. Razem ze mną jest tu około 200 Polaków, którzy od ośmiu lat przebywają poza krajem i nawet nie wiedzą co się dzieje z ich rodzinami. Żyjemy tu w bardzo złych warunkach. Wielu z nas choruje. Obawiamy się, że decyzja odesłania nas do domu, może być wstrzymana. W imieniu swoim i w imieniu tych wszystkich, którzy ocalili, proszę Cię, zrób wszystko co możesz, by przyspieszyć nasz powrót".

Koledzy wrócili rankiem. Wszystko poszło zgodnie z planem, nie tylko mieli możliwość widzieć się i rozmawiać ze swymi przyjaciółmi, ale także oddać im listy. Mój list, który wszystkim wydał się najważniejszy, powierzony został pewnej kobiecie znanej z przedsiębiorczości. Zapewniano mnie - że zrobiono zostało wszystko co możliwe.

Dni wlokły się jeden za drugim. Komendant znowu przekonywał kolejną wysłaną przez nas delegację, że zrobił wszystko co w jego mocy i że wielokrotnie zawiadamiał polskie władze o naszej obecności w Brześciu. Ale wreszcie nadeszła wiadomość, która zelektryzowała cały obóz. Ktoś widział samochód podjeżdżający pod budynek obozowej NKWD i wysiadającego z niego polskiego oficera. Z trudem przychodziło nam wierzyć w te rewelacje i przygotowani byliśmy raczej na kolejne rozczarowanie.

Lecz tym razem okazało się, że jest to najczystsza prawda. W parę godzin później, ustawieni w szeregu wysłuchaliśmy powitania i pozdrowienia delegata Polskiego Urzędu Repatriacyjnego w mundurze kapitana.

Następnego ranka zostałem wywożony z baraku. Serce biło mocno kiedy szedłem do baraku administracji obozowej. Dla czego spośród dwustu Polaków wywołano właśnie skurat mnie? Wydało mi się, że nie może to wróżyć mi dobrego. Pewnie znowu jakieś nieoczekiwane przeszkody pojawiły się w mojej sprawie. Byłem przecież jedyny w całej naszej grupie, który skazany został prawomocnym w ZSSR wyrokiem. Wszetko jednak zmieniło się, kiedy zobaczyłem polskiego delegata. Przywitał mnie serdecznie i powiedział:

- Mam panu przekazać pozdrowienia od żony. Obiecałem jej, że osobiście odstawię pana do domu. Obecny przy tym komendant obozu, w swojej niebieskiej czapce enkawudziasty, wśmiechał się uprzejmie i powstrzymywał od wszelkich świąg.

Znowu minęły trzy dni pełne napięcia i oczekiwania. ^{WZRAŚCIAJĄCEGO} Po przedniego dnia kazano nas się przygotować do drogi i ustawić ze wszystkimi rzeczami na ulicy. Pół dnia przestaliśmy na mrozie i wietrze, po czym odesłano nas do baraków. Byliśmy przekonani, że i tym razem znowu nie coś poszło. Kapitan z PUR-u zniknął. Ktoś powiedział, że wrócił do Polski. Ale na czwarty dzień pojawił się znowu. Zebrał kilku z nas, w tym i mnie i pojechaliśmy ciężarówką do sklepu NKWD odebrać żywność na drogę. W czasie jazdy powiedział:

- Miał pan dobry pomysł wysyłając ten list do żony. Od razu przybiegła z nim do mnie a ja natychmiast przekazałem go ministrowi Wołskiemu, który zajmuje się sprawami repatriacji. Przyjechałem tak szybko, jak tylko mogłem. W Warszawie nie mieliśmy pojęcia, że jesteście tu w Brześciu i to od tak dawna ...

Gwiazdy świeciły już na niebie, kiedy zaczęliśmy załadowywać się do wagonów. Były to zwykłe wagony towarowe, zupełnie puste bez piecyków i nawet bez ławek, nie wyczyszczone po

potatnia ładunku. Nikt nie umiał powiedzieć kiedy pociąg ruszy, zimno przenikało do kości. Chodziliśmy po wagonie przytupując dla rozgrzewki i tłukąc rękami ramiona. Kapitan rozsiadł się na jakimś tłumoczku przy drzwiach wagonu i jakby nie czując zimna, miał minę bardzo zadowoloną.

- Chwalić Boga, że się udało - powiedział do mnie, kiedy się zbliżyłem. Niewiele brakowało a zostalibyście w obozie jeszcze na parę miesięcy. Byłem już zdecydowany wracać do Polski. Chcieli zatrzymać was za wszelką cenę. Najpierw mówili żeby poczekać, bo nowy transport jest już w drodze i że powinniśmy poczekać na nich. Kiedy się ^{nie} zgodziłem, powiedzieli że nie mają wagonów. Wobec tego przywiozłem te wagony z polskiej strony. Wziąłem jakie były pod rękę. Dłatego nie w nich nie ma, nawet ławek. Ale nie ma się czym przejmować. Najważniejsze, żeby jak najszybciej przekroczyć granicę. Potem będziemy się martwić, co dalej.

Pociąg nie ruszył prawie do świtu. Wraz z pierwszym brzaakiem wjechaliśmy na most na Bugu. Po drugiej stronie była Polska ...

Stockholm, czerwiec 1948 roku

 ARCHIWUM WSCHODNIE